

J.T. MCINTOSH

DZIESIĄTE PODEJŚCIE

Błogosławieństwo samotności

Ord siedział na obrotowym krześle i spoglądał na Układ Słoneczny. Wyrazistość obrazu, nie zniekształconego przez trzystukilometrowy woal ziemskiej atmosfery, pozwalała mu, ze stanowiska na orbicie Plutona, widzieć gołym okiem wszystkie planety z wyjątkiem samego Plutona, ukrytego w skupisku jasnych gwiazd, oraz Merkurego, który w tej chwili znajdował się po drugiej stronie Słońca.

No, ale Ord wiedział dokładnie, gdzie ma patrzeć. Każdego dnia, przez ponad dwa tysiące dni spoglądał na Układ Słoneczny. Widział, jak Merkury pośpiesznie okrążył Słońce dwadzieścia pięć razy, Wenus - bardziej statecznie - dziewięć, Ziemia wykonała sześć owych znajomych kursów w Kosmosie, z których każdy równał się jednemu rokowi, Mars był w swej czwartej podróży, ale Jowisz nie skończył nawet połowy jednej.

- To chyba pomaga, gdy można je oglądać - rozległ się z tyłu delikatny, wesoły głos. Nawet kiedy Una mówiła najważniejsze rzeczy, jej głos śmiał się. - Gdybyś nie mógł widzieć planet, zapewne dawno już nadawałbyś się do kaftana bezpieczeństwa.

- A skąd wiadomo, że już się nie nadaję? - spytał Ord. - Ty na pewno tego nie możesz powiedzieć.

Nie obrócił się jeszcze. Odwlekał ten moment, przeciągając go bez mała ekstatycznie z sekundy na sekundę - niczym namiętny palacz, który celowo wstrzymuje papierosa w ustach, zanim go zapali.

- Uważam - odparła, dalej ze śmiechem w głosie - że póki potrafisz rozsądnie mówić o szaleństwie, nie jest jeszcze z tobą tak źle.

Nadszedł ów moment. Nie można było tego przeciągać w nieskończoność. Obrócił się gwałtownie i spojrzał na nią z nonszalanckim, ironicznym uśmiechem. Poznał w życiu wiele pięknych kobiet, ale chyba żadna z nich nie uświadamiała sobie tak dobrze swych braków, jak Una.

Zawsze miała na sobie ową nieskazitelną białą bluzkę, rozpiętą przy szyi i ciasno wepchniętą w talii do jej ostro zaprasowanych ciemnozielonych spodni. Może pesymizmem było myśleć jak najgorzej o tym, o czym nie miało się pojęcia, ale Ord z góry założył, iż jedyne partie jej figury możliwe do przyjęcia, to zgrabna talia, dekol i ten fragment nogi, którego jej codzienny strój nie ukrywał.

W jej czole była drobna nieregularność, którą zręcznie ukrywała opuszczając kaskadę swych pięknych, popielatych włosów na jedną stronę twarzy. Jej zęby wyglądały doskonale w subtelnym półuśmiechu; na więcej nigdy sobie nie pozwalała. W najniższym miejscu dekoltu jej nieskazitelnej bluzki znajdował się minimalny ślad wskazujący, iż jej skóra nie jest na całej powierzchni gładka, ale owemu podejrzeniu nigdy nie dane było przerodzić się w pewność.

- Jak długo jeszcze, Colin? - spytała Una. - Nie śledzę czasu tak jak ty. Gdzie mogą być, jeśli wystartowali w momencie zaniku sygnału?

- Od tamtego czasu, gdy o to pytałaś, jeszcze tego nie obliczyłem. - Nie potrafił uspokoić drżenia głosu. - Ale mogą być bardzo blisko.

Skinęła głową; wyczuł w tym geście jakiś cień żalu.

Ord popatrzył poza jej plecami na pustą ścianę naprzeciwko okien obserwacyjnych. Nie odczuwał ciasnoty.

Stacja kosmiczna położona pięć tysięcy osiemset milionów kilometrów od Słońca przeznaczona była dla jednego człowieka, który zawsze będzie sam, który spędzi dwa lata we własnym towarzystwie za dość bajeczne wynagrodzenie oficera dowodzącego stacją, gdzie zrobiono wszystko, by było tu zacisznie i wygodnie bez jednoczesnego odstręczającego wrażenia pustki. Znajdowało się więc tu obserwatorium, maszynownia, pokój wypoczynkowy, pracownia, sypialnia, łazienka, magazyny, nawet pokój gościnny, w którym zniknęła Una, choć nie dla niej, ani dla nikogo w jej rodzaju go nie przeznaczono.

Kiedy Ord spoglądał na pustą ścianę, myślał o zamieszkaniu na Ziemi, jakie sześć lat temu spowodował zanik sygnału kierunkowego - jednego z trzech, jakie umieszczono na orbicie Plutona.

Sygnalów nawigacyjnych w Kosmosie było dość, by statki kosmiczne mogły się nimi posługiwać, ale nagły zanik sygnału ze Stacji nr 2 z pewnością miał znaczny wpływ na większość rejsów międzyplanetarnych. Wydłużenie lotu na Księżyc o pięć minut, w zależności od pory; o dwa do trzech dni w przypadku Wenus czy Marsa przy uwzględnieniu miejsca startu, portu przeznaczenia oraz dwóch pozostałych sygnałów nawigacyjnych; tygodnie, a nawet miesiące w rejsach do niektórych asteroidów i satelitów planet zewnętrznych.

Dwie "szprychy" owego koła nawigacyjnego pozostały, ale ziała w nim ogromna, studwudziestostopniowa wyrwa, którą z ledwością tylko wspomagały sygnały kierunkowe z portów przeznaczenia statków, nie wzmocnione potężnym sygnałem nawigacyjnym.

Taka sytuacja nie była nowa. Kiedyś w Układzie Słonecznym ustawi się tyle sygnałów nawigacyjnych, że statki kosmiczne nie będą musiały rozpoznawać tych, z których korzystają. Po prostu skierują się tam, dokąd chcą lecieć, i wystartują niczym starożytne galeony z wiatrem. Ale jak dotąd przestrzeń kosmiczna nie wypełniła się ruchem międzyplanetarnym do tego stopnia, by zwiększanie liczby sygnałów nawigacyjnych było opłacalne.

Kiedy sygnał zawodził, to zawodził i mijało ponad sześć lat, nim można było ponownie uruchomić - chyba że awaria następowała w dogodnej porze, powiedzmy, kiedy ku stacji leciał statek z nowym oficerem na zmianę oraz w celu przeprowadzenia okresowego przeglądu aparatury. Jednakże historia dowodzi, że awarie urządzeń zbudowanych przez ludzi następowały bez wyjątku w najmniej odpowiednich momentach.

Ord prześledził w pamięci cały sześciolatek podróży z Ziemi na stację. Tydzień przygotowań. Dwa dni lotu na Księżyc. Trzy tygodnie - na Marsa, z których można by urwać pięć dni, gdyby Stacja nr 2 wysyłała swój sygnał. Potem już niedobrze. Tylko maleńki Ganimedes wciąż wysyłał swój sygnał, wspomagający statek naprawczy w drodze z Marsa. Prawie dziewięć miesięcy do Jowisza. Ale przynajmniej wówczas statek osiągnie jakiś rozpęd, by pokonać pozostające mu do przebycia pół miliarda kilometrów... po których nastąpi długie i żmudne poszukiwanie owego pyłka w Kosmosie, który był stacją sygnału.

W sumie jednaście miesięcy przy działającym sygnale; a ponad sześć lat bez niego.

Wśród niewielu rzeczy, które pomogły Ordowi przetrzymać dodatkowe pięć lat samotności na pokładzie stacji o miliardy kilometrów od najbliższego człowieka, była myśl o nagromadzonej pensji, którą odbierze. Oficerowie obsługujący stację byli niezbędni i różne linie lotów kosmicznych musiały przyjmować odpowiedzialność za to, co im się może przydarzyć.

Kiedy wróci w końcu na Ziemię, mając lat dwadzieścia dziewięć, będzie urządzony na całe życie.

Una wzruszyła ramionami.

- No, trudno. Miło było cię poznać. Mówię szczerze.

- Nie wątpię, Una. Ale to dlatego, że przed tobą były inne. Wiele się nauczyłem.

- Właśnie złamałeś Zasadę nr 1 - odparła lekkim tonem. - Nigdy nie mów o "innych". Uważaj też, żebyś nie złamał Zasady nr 2.

- Co to za zasada?

- Powinieneś wiedzieć. Chcesz, żebym ja ją złamała? Brzmi ona: "W szczególności nie mów o tych innych, które dopiero będą".

Gestem zbyła ten temat; zupełnie jakby wydarła go z notatnika, zgniotła i wyrzuciła.

- Zagramy w szachy? - spytała. - Dawno nie graliśmy.

- Dobrze. Ale nie tutaj. Chodźmy do salonu.

Poszedł pierwszy, niby to wskazując drogę; tak jakby ona nie znała jej równie dobrze, jak on. Szybko rozstawił figury; miał jednak wieloletnią praktykę. Una nie usiadła naprzeciwko, lecz przycupnęła na skraju sofy. Zawsze starała się zachować nieskazitelną swoją wdzięczną postawę.

Dopiero co wypowiedzieli pierwsze, niejasne jeszcze aluzje dotyczące czegoś, co narastało od dłuższego czasu. Bez wątplenia Ord zaczynał nużyć się Uną. Nie była to niczyja wina; jeśli zaś musiała być czyjaś, to jego. Partia szachów miała w sobie coś z pożegnania. Jedna na drogę, jeśli można tak powiedzieć.

Una grała szybko i zdecydowanie. Jedno, szczególnie pośpieszne posunięcie, wywołało zwykły komentarz Orda.

- Wolalbym, żebyś więcej uważała - zaprotestował. - Kiedy wygrywasz, wychodzę na głupca, skoro się tyle namyślam. A kiedy ja wygrywam, to ty nic nie tracisz, bo wychodzi na to, że się nie koncentrowałaś.

Una zaśmiała się.

- To tylko gra - odparła.

Wygrała pierwszą partię.

- Udało ci się - mruknął Ord. - Nawet nie zauważyłaś, że wieża zagraża gońcowi.

- Może i nie. Ale widzisz, jak dobrze z tego wyszłam? Więc chyba tamto nie ma znaczenia, prawda?

Zagrali również nieuchronną drugą partię i równie nieuchronnie wygrał ją Ord. Jak wszyscy szachiści, którzy wygrywają partie kiedy i jak chcą, poczuł się odprężony i zadowolony z siebie.

Ziewnął.

Una wstała.

- Pojęłam aluzję - stwierdziła.

- Nie, proszę...

Uśmiechnęła się i zniknęła w swoim pokoju.

Ord przez dłuższy czas patrzył na zamknięte drzwi. Przed odlotem na stację ostrzegano go przed solitozą (łacińskie solitanus od solus i grecka końcówka), ale u niego nie przybrała ona stanu zbyt poważnego. Nadal był świadom prawdy; może to o to chodziło. W końcu po tylu latach spędzonych na stacji nadal nie groziło mu niebezpieczeństwo uwierzenia w to, czego nie ma. Na przykład...

Podniósł się i poszedł do maszynowni. W pomieszczeniu tym można było, między innymi, zapoznać się z warunkami panującymi w dowolnym miejscu na stacji. Mógł usiąść przed wskaźnikami, przełącznikami, licznikami i sprawdzić wszystko - od temperatury na zewnątrz do ciśnienia powietrza w najdalszym magazynie.

Widział, na przykład, całkiem jasno, że w tej chwili temperatura w pokoju Uny wynosiła -110°C . Niewątpliwie znacznie powyżej zera absolutnego, ale dużo mniej niż powinna wynosić temperatura w sypialni. Poza tym ciśnienie atmosferyczne wynosiło tam nieco ponad 500 hPa.

Jednym słowem, choć Ord widział, jak Una wchodzi do pokoju i może zobaczy jeszcze, jak z niego wychodzi, Uny tam nie było. Drzwi nigdy się nie otworzyły.

Nie było żadnej Uny.

Świadomość tego była bardzo ważna. Kiedyś, bardzo dawno, obawiał się, że przyjdzie taki czas, gdy nie zdoła już odróżnić tego od rzeczywistości. Wciąż jeszcze czasem się tego bał.

A jednak, gdyby w tamtym pokoju podniósł ciśnienie powietrza i temperaturę do normalnego poziomu, a potem wszedł do środka, znalazłby ją uśpioną w łóżku. Gdyby jej dotknął, wydałaby mu się rzeczywista. Gdyby uderzył ją w twarz, zabołałoby ją to i obudziłaby się, oburzona. Gdyby przebił ją nożem, umarłaby i musiałby zadać sobie trud wyrzucenia jej ciała w Kosmos.

Wszystko to było realne - dla niego.

Potrafił jednak dostrzec i uznać fakty sprawdzalne przez aparaturę. A mimo to, choć znużył się już Uną, nie mógł tak po prostu powiedzieć jej, żeby sobie zniknęła i już by jej nie było. Nie - skoro stworzył sobie statek, który ją tu przywiózł, musiał stworzyć następny, który ją zabierze. Solitozą nie była niczym nowym; odkryto ją wkrótce po rozpoczęciu lotów kosmicznych. Niestety, nie odkryto jednocześnie sposobu jej zwalczania poza zmianą warunków, które ją powodowały. Kosmos nie jest po prostu pustką - jest znacznie bardziej pusty, pozbawiony horyzontu, niebosłonu, łagodnego światła słonecznego, podłoża zieleni, budynków, czasu i ciągłości historycznej poszczególnych jednostek. A co najgorsze, pozbawiony jest również ludzi.

Pustelnik może z wyboru uciekać przed cywilizacją, ale pozostawiony samotnie na pustej planecie zostaje ogarnięty psychozą. Na tym, w skrócie, polega solitoza.

Istniały powody, dla których stacja kosmiczna miała swego oficera - zajmującego się jej obsługą - oraz inne, dla których był on sam. Dwoje ludzi nie wystarczyło, by uchronić się wzajemnie przed solitozą. Trzeba było co najmniej czterdzieścioro. Ale budowanie stacji dla czterdziestu osób było nieopłacalne. Natomiast pozostawienie mniejszej liczby, choć większej od jednego, było niebezpieczne dla wszystkich, bowiem człowiek ogarnięty solitożą zdradzał skłonności mordercze.

Naturalne rozwiązanie polegało na tym, że zostawiano się jednego człowieka, który oczywiście zapadał na solitozę, ale zwykle nie robił sobie nic złego i można go było przywrócić do stanu normalnego po prostu przenosząc go po zakończeniu zmiany na Ziemię.

Było to bardzo proste i dawało dobre wyniki. Oczywiście oficerowie stacji musieli otrzymywać odpowiednie wynagrodzenie za dwa lata szaleństwa. Solitozą rzadko była całkowicie przyjemna lub całkowicie nieprzyjemna. Przybierała różne formy, ale zawsze zdarzały się blaski i cienie. Żaden oficer nigdy nie był świadom tego, na co się godzi podpisując kontrakt, bowiem nikomu nie pozwolono na dwukrotne obcowanie z solitożą.

Orda jednak bardziej zajmował problem Uny. Wiedział, oczywiście, że nie wymyślił żadnego rozwiązania, by to jakoś załatwić. Jego osobista solitoza nie działała w ten sposób. Z pewnością, gdzieś tam w jego umyśle jakaś decyzja została podjęta. Ale jego świadomość nic o niej nie wiedziała. Musiał czekać na to, co się stanie. Tym niemniej, skoro znużył się Uną, ogólne zarysy tego planu były mu znane.

Włożywszy skafander Ord wyszedł na zewnątrz. Piędziesiąt lat temu przybyły tu dziesiątki statków, wiedzione sygnałem ze stacji, którą na kursie utrzymywało sześć transportowców. Każdy statek ciągnął lub pchał odłam skalny, którego nikt nie potrzebował, bowiem stacja, kiedy będzie ukończona, musi opierać się na jakiejś masie. Stopniowo powstała planeta - bardzo mała planeta, wystarczająca jednak, by służyć za bazę dla stacji i umożliwić jej podążenie po orbicie Plutona przy minimalnym wydatkowaniu energii. Stacja na samym Plutonie już działała, a Stacja nr 3 powstawała jednocześnie z Drugą.

Odbijając się łagodnie od skał mrocznej, pozbawionej atmosfery planетки, która miała zaledwie taką masę, by utrzymać niewielki statek kosmiczny, Ord zatrzymał się przy małym patrolowcu, którym przyleciała Una. Był on ani mniej, ani bardziej rzeczywisty niż ona. Ord zapomniał już szczegółów opowieści Uny, którą tłumaczyła swoje przybycie. Pomyśl, że jakkolwiek dziewczyna mogłaby przybyć sama na jakąkolwiek stację kosmiczną, w dowolnym statku, był tak absurdalny, że Ord nie miał na to żadnego rozsądnego wyjaśnienia. Una, podobnie jak inne, po prostu zjawiała się. Miała jakąś historię, którą chciała opowiedzieć, ale przerwał jej. To było najlepsze wyjście.

Statek, jak widział, nie sprawiał wrażenia uszkodzonego. By to sprawdzić, wskoczył na kadłub. Zdawało mu się, że na nim stanął, gdy zawisł prawie cztery metry nad powierzchnią planетки.

Leniwie szukał w głowie jakiegoś wyjaśnienia. Może zobaczył gdzieś iglicę skalną i zrobił z niej statek kosmiczny? Może jego oczy zmyśliły czterometrową wysokość? Nigdy z bliska nie przyglądał się statkowi i teraz też nie zamierzał; wymagałoby to od niego dużej dozy nużącego wysiłku umysłowego. Świadomość nie powie mu, że stwarza sobie wszystko, co widzi, ale właśnie tak będzie.

Wrócił do wnętrza stacji i wszedł do pozbawionej powietrza maszynowni, by jeszcze raz przyjrzeć się wysyłającej sygnał nawigacyjny aparaturze. Nie była to żadna poważna awaria. Sam by ją naprawił w kilka godzin, gdyby miał odpowiednie narzędzia i sześcioro rąk. A większość oficerów ze stacji kosmicznych nawet tego nie mogła o sobie powiedzieć.

Na tym polegała właśnie trudność w przypadkach takich prac, jakie wykonywał Ord: obsługa stacji musiała być doświadczona, ale jak można było to osiągnąć, skoro nigdy przedtem z taką pracą się nie spotkał?

Po raz ostatni obrzucił wzrokiem maszynownię i wyszedł.

Myślał nawet, by wrócić do statku Uny, znaleźć tam jakiś defekt i naprawić go, aby mogła odlecieć. Ale tym samym ustąpiłby wobec własnej solitozy, a wolał zachować tyle równowagi umysłu, ile będzie można.

Kiedyś, mimowolnie, stwarzał sobie towarzystwo mężczyzn, ale to nie wychodziło. Nigdy nie potrafił wzbudzić w sobie tyle zainteresowania ich wyglądem zewnętrznym, by mężczyźni ci wyglądali jak ludzie z krwi i kości. Mógł z nimi rozmawiać i to z przyjemnością, ale wyglądali jak duchy, którymi wszak byli. Kobiety nigdy nie zdawały mu się duchami.

Kiedyś bał się, że nadejdzie czas, gdy naprawdę w nie uwierzy. I oczywiście, często się także zastanawiał nad tym, co to będzie, gdy faktycznie ktoś przyleci na stację, a jemu się będzie wydawać, że to kolejna halucynacja. Nie miał się jednak czego obawiać, skoro w dalszym ciągu z łatwością mógł sobie udowodnić, że na stacji nie ma nikogo poza nim.

Zdjął skafander i starannie umył się i ogolił; dawno już postanowił, że należy starannie przestrzegać normalnych zwyczajów ludzkiej egzystencji. Mimo że na stacji było ciepło i odzież była właściwie niepotrzebna, ubierał się starannie, a do snu wkładał piżamę.

Był kiedyś czas - czas Suzy i Margo - kiedy pozornie życie na stacji toczyło się w taki sposób, jakiego można by się spodziewać po człowieku samotnym. Odkrył jednak, całkiem zwyczajnie i po prostu, że jest z tym zbyt wiele komplikacji. Una natomiast przechyliła się trochę za bardzo w drugą stronę. Ich wspólne życie, Ord pomyślał kwaśno, nie obraziłoby dobrego smaku, gdyby je opisać w książce dla chłopców i dziewcząt z epoki wiktoriańskiej, z wyjątkiem może tego, że nie strofował jej za palenie papierosów.

Spał dwanaście godzin. Raz się obudził, na wpół przekonany, że coś usłyszał, ale chciało mu się spać, nie zamierzał się ruszać i współpracować ze swą neurozą.

Dopiero kiedy był już na nogach od dobrych paru godzin, zaczął się zastanawiać, dlaczego Una nie pojawiła się jeszcze. Może zachorowała. Może, choć sam tego nie chciał, jego podświadomość postanowiła uśmiercić ją na długo i skutecznie.

Westchnął, wszedł do maszynowni i podwyższył temperaturę i ciśnienie powietrza w pokoju Uny do normalnego poziomu. Potem wszedł do środka.

Nie było jej tu, choć pozostał jeszcze zapach jej perfum. Wyszedł do obserwatorium, by poszukać jej statku. Również go nie było.

Poczuł lekki niesmak, ale nie obarczał siebie winą. Łatwiej i przyjemniej było winić Unę. Mogła się chociaż pożegnać. W każdym razie lubił ją. Gdyby gdzieś istniała prawdziwa Una, z chęcią by ją poznał. Znużyła go głównie dlatego, że nie stała się postacią prawdziwą, wiarygodną. Zawsze postępowała zgodnie ze swoim charakterem, podczas gdy prawdziwym ludziom często zdarzają się odstęstwa.

Został jeszcze w obserwatorium i rozejrzał się po niebie, szukając statku. Uśmiechnął się na myśl o tym, że to, co zobaczy na niebie oczekując kolejnej dziewczyny z fantastyczną opowieścią o tym, jak to zagubiła się w Kosmosie, może okazać się autentycznym statkiem naprawczym.

Cieszył się, że jego solitoza nie przybrała takiej formy jak u Bena. Benson zatracił poczucie czasu. W wyobraźni czekał miliony lat na zmianę, choć jego dyżur trwał tylko normalne dwa lata. Bensonowi to nie przeszkadzało. Zdawało mu się, że stał się tytanem umysłu. Okazało się, że faktycznie jego aktywny współczynnik inteligencji wzrósł o jakieś piętnaście punktów. Spadł potem o jedenaście, ale z pewnością Benson nie miał powodu żałować swoich dwóch lat samotności. Tym niemniej Ord był zadowolony, że jemu się coś takiego nie przytrafiło.

Tak jak się spodziewał, zobaczył statek schodzący do lądowania. Nie mógł być to statek ze zmiennikiem, bo był zbyt mały. Mówiąc szczerze, zbyt mały na to, by pokonać całą drogę z Ziemi bez pomocy sygnału nawigacyjnego.

Ord znów wpadł w swój diabelski młyn. Nawet jeśli jego podświadomość spała ostatnie chwile z Uną, powetowała sobie to w czasie pierwszych godzin z tym nowym przybyszem. Mały stateczek miał trudności z lądowaniem, dokładnie takie, jakie często przydarzają się kobietom. Zszedł na powierzchnię planетки długą, pięciogodzinną spiralą, w czasie której Ord niemal do kości

obgryzł sobie paznokcie. Poza tym nie był to w ogóle statek o napędzie rakietowym. Być może tym razem dziewczyna - bo będzie to oczywiście dziewczyna - znajdzie wyjaśnienie tych nieprawdopodobieństw, które przewyższy wszystkie poprzednie wytłumaczenia. A już z pewnością trzymała go w niepewności.

W końcu jednak statek wylądował i Ord, już w skafandrze, pośpieszył w jego kierunku. Kiedy dotarł na miejsce, we włazie pojawiła się postać, której twarz, widoczna przez szybę hełmu, wcale go nie zaskoczyła.

Dziewczyna skinęła w stronę statku, ale nie zrozumiała. Pokazał na budynek stacji. Potrząsnęła głową wewnątrz ogromnego hełmu, ponownie wskazując na statek. Zdziwił się. To było coś nowego.

Nagle, by wyjaśnić, o co jej chodzi, pochyliła się i uniosła brzeg statku, po czym spojrzała na Orda. W końcu zrozumiała. Bała się, że pozostawienie statku w tym miejscu może być niebezpieczne. Myślała, że mógłby oderwać się od powierzchni planетки.

Roześmiał się i starał się zapewnić ją gestami, że statkowi nic nie grozi. Oczywiście, że nawet lekki wietrzyk wystarczyłby, aby zerwać słabe nici siły ciężenia na planetce. Ale na tym sztucznie utworzonym maleństwie, na którym nie było atmosfery, nic nie groziło. Zademonstrował jej to wchodząc pod statek i wypychając go w górę. Pojazd poszybował wolno w górę i przez chwilę Ord niemal podzielał strach dziewczyny, iż, statek nie wróci. Ale potem siła ciężenia pochwyciła go i łagodnie opadł na powierzchnię. Jasne było, że rozerwanie więzów grawitacji tej małej planетки wymagało jednak znacznej siły.

Dziewczyna obróciła się, gotowa wejść za Ordem do wnętrza stacji.

Ord zamknął śluzę i zaczął zdejmować skafander. Dziewczynie jednak nadal czegoś brakowało. Rozejrzała się dookoła, szukając wskaźników, by upewnić się, że ciśnienie wewnątrz śluzy jest już wystarczające. Ord z poważną miną pokazał jej tarcze wskaźników. Dziewczyna zdjęła hełm i wzięła powolny, ostrożny oddech.

- Pan to na pewno Baker - powiedziała.

Był to kolejny wstrząs. Baker był poprzednim oficerem na stacji i Ord nieomal zapomniał już jego nazwiska; dopiero wymienione przez dziewczynę, wróciło do pamięci. Przez chwilę Ord zastanawiał się głupio, czy dziewczyna nie pochodzi z którejś halucynacji Bakera sprzed siedmiu lat. Ale solitoza Bakera nie przybierała takich form.

- Nie, Ord - odrzekł - Colin Ord.

- Zanim przejdziemy dalej - powiedziała - chciałabym zapytać, jak się objawia pańska solitoza?

To również było coś nowego.

- Po prostu widzę coś, czego nie ma - odrzekł Ord przezornie.

- A pan wie, że tego nie ma?

- Czasami.

- Czy pan uważa, że ja tu jestem?

Ord uśmiechnął się.

- Nawet się nad tym nie zastanawiam.

Nagle w dłoni dziewczyny pojawił się wycelowany w niego pistolet.

- Jednej rzeczy może być pan pewien - powiedziała. - Ten pistolet jest tutaj. Nie chciałabym zachowywać się niegrzecznie, ale uważam, że powinniśmy się dobrze zrozumieć. Nie jestem podarkiem od Pana Boga dla samotnych oficerów stacji kosmicznych, a za każdym razem, gdy zrobi pan coś, co może wskazywać, że uważa pan inaczej, pojawi się ten przedmiot i może zrobić kuku. Czy to jasne?

- Całkowicie. Ja powiedziałem, jak się nazywam. A pani?

- Elsa Catterline. Oczywiście chce pan wiedzieć, skąd się tu wzięłam.

- Niespecjalnie.

Przyjrzała się mu uważnie, ale nie przerwała zdejmowania hełmu i skafandra. Otd nie ruszył się, by jej pomóc. Zawsze istniała możliwość, że jest to naprawdę groźna sytuacja.

- Jednak panu powiem - mówiła dalej. - Zabiłam człowieka... jak i dlaczego, to nie ma znaczenia. Miałam dostęp do statku doświadczalnego. To ten, którym przyleciałam. Myślałam, że jeżeli zniknę na jakieś dwa lata...

- Niech się pani nie wysila - powiedział Ord. - O nic nie pytałem.

- Wiem. Zastanawiam się dlaczego.

Wygrała swoją bitwę ze skafandrem i wyszła ze służby. Oczy Orda rozszerzyły się. Dziewczyna była piękna, bardzo piękna, ale spodziewał się tego. Nie spodziewał się zaś tego, że miała na sobie strój spotykany dotąd w podobnych okolicznościach jedynie na okładkach magazynów SF: białe nylonowe szorty i coś, co można było określić jako mini-biustonosz.

Kiedyś nie zdziwiłby się ani trochę, ale od wielu lat postępował bardzo ostrożnie i rozważnie. Próbował nieograniczonego seksu, potem jednak, we własnym interesie, zaczął go dawkować. Dawno już żadna z jego dziewczyn nie była taka kobieca i tak ostentacyjnie to okazywała.

Mówiąc szczerze, po raz pierwszy poważnie wziął pod uwagę możliwość, że dziewczyna istnieje naprawdę. Realni ludzie wyglądali czasem dużo dziwniej niż owoce najdzikszej wyobraźni.

- Zastanawiam się - zaczął.

- Nie ma potrzeby - warknęła.

- Myślałem tylko - kontynuował swobodnie - że będzie pani ciężko z tym pistoletem, kiedy już zmęczy się pani trzymaniem go. To ciężka broń. Chce pani może pas z kaburą?

Zaczerwieniła się ze złości. Wyglądała jak dzieciak o łagodnym usposobieniu, który jednak nie zawahałby się przed zabiciem człowieka. Jej nos, oczy i usta znajdowały się dokładnie tam, gdzie sama by je umieściła, by osiągnąć najlepszy wynik, gdyby to od niej zależało. Wszystko w niej było doskonale rozmieszczone, jakby stworzone do skuteczności. Nie skuteczności w sterowaniu statkiem kosmicznym czy posługiwaniu się bronią, ale w tym, że zawsze dostawała to, co chciała. Powiększający się spis rzeczy interesujących Orda w Elsie Catterline zawierał również i to, że nie była taką dziewczyną, jakie zwykle go interesowały.

- A ten pistolet, jeśli mogę coś powiedzieć - rzekł - to głupi pomysł. Co chce pani z nim osiągnąć? Ile czasu upłynie, zanim go pani odbiorę? Może dwie godziny, dopóki nie stanie się pani nieostrożna. A i tak mógłbym poczekać na jeszcze lepszą okazję. Prędzej czy później musi pani pójść spać. Czy zdoła pani zamknąć jakiegokolwiek drzwi w mojej stacji i mieć pewność, że ja się tam nie dostanę? Nie będę trzymał pani w niepewności: to niemożliwe. - Wzruszył ramionami. - Ale niech pani próbuje.

Niespodziewanie odrzuciła pistolet i uśmiechnęła się do niego.

- Nie jestem głupia - powiedziała. - To było na czas, póki nie upewniłam się, że nie jest pan niebezpieczny. Myślę, że jakoś się ułoży, panie Ord.

Skinął chłodno głową. Wszystko już pasowało.

- Rozumiem - powiedział.

Niestety, i tego wszystkiego nie wynikało jeszcze, czy dziewczyna jest prawdziwa, czy nie. Możliwość, że jest jedynie następczynią Uny, była tak oczywista, że nie warto się było nad nią zatrzymywać. Ale pozostawała jeszcze druga ewentualność - mało prawdopodobna, ale jednak - że dziewczyna taka właśnie, za jaką się podawała, mogła wybrać stację kosmiczną za kryjówkę, a także zachowywać się tak, jak się zachowywała, teraz i w przyszłości.

Nagle poczuł się znużony całą tą sprawą. Zachciało mu się Ziemi. Tęsknota za nią cały czas gdzieś tam doskwierała, ale teraz wybuchła pełną mocą, tak jak zwykle co kilka miesięcy. Wordsworthowi dobrze było wypisywać o owym wewnętrznym oku, które jest błogosławieństwem samotności. Niechby sam się tutaj znalazł jako oficer stacji kosmicznej.

Ord pożądał wokół siebie obecności ludzi, która trzymałaby go przy zdrowych zmysłach. Potrzebował znowu umieścić kobiety na swoim miejscu. Chciał mieć możliwość zapomnieć na kilka godzin, nawet na kilka dni, że istnieje coś takiego, jak kobieta.

Zaledwie dwadzieścia cztery godziny temu gratulował sobie, że nie dał się solitozie. A teraz nie wiedział, czy Elsa jest prawdziwa, czy też nie. Obie możliwości były jednak równie złe. Jeśli była

prawdziwa, powinien był się domyślić tego od razu. Jeśli zaś to kolejna zjawia, też powinien się był domyślić.

- Idę popatrzeć na pani statek - powiedział.

Myślał, że się sprzeciwi, ale ona tylko wzruszyła ramionami.

- Mógł pan więc zostać w skafandrze - odpowiedziała.

Dwadzieścia minut później był już wewnątrz niewielkiego stateczku. Nie badał jego wnętrza; na oględziny przyjdzie czas, gdy ustali coś innego. W statku paliło się światło i było powietrze. Licznik wskazywał 980 hPa.

Znalazł zapalniczkę i zaczął niezgrabnie manipulować nią swymi pólśztywnymi rękawicami. Zjawił się płomień. To jednak niczego nie dowodziło. Jeśli w rzeczywistości nie było żadnej zapalniczki, a on ją widział, mógł również widzieć jej płomień w próżni.

Skafander Orda miał zawór do badania ciśnienia atmosferycznego. Otworzył go. Strzałka na maleńkiej skali szybko wskazała 980 hPa. Pytanie jednak, czy rzeczywiście otworzył zawór? Spróbował raz jeszcze, skupiony, upewniając się, że faktycznie trzyma kurek zaworu. Potrzebował tylko pół obrotu. Powoli, prawie boleśnie przekręcił kurek. Widział, jak się obraca. W ciasnym wnętrzu kabiny unosił się jeszcze dym papierosowy. Patrzył, jak dym przedostaje się do kasetki zaworu na biodrze. Wskazówka znowu zatrzymała się na 980 hPa.

Poczuł pot na czole. Starając się oszukać siebie samego, znaleźć się o jeden krok przed swym własnym umysłem, wyskoczył na zewnątrz i ponownie otworzył zawór. Wmawiał sobie, że tylko go sprawdza. Spojrzał na tarczę.

Ciśnienie 0.

Uniósł ciężkie ramiona i niczym lunatyk ponownie wszedł do śluzi statku. Cały czas trzymając ramiona wyprostowane ponownie wszedł do sterowni. Dopiero wtedy spojrzał w dół.

Strzałka, nie poruszona, w dalszym ciągu wskazywała zero. W statku nie było powietrza. Nie było statku. Teraz, kiedy już to wiedział, mógł do woli otwierać i zamykać zawór.

Elsa nie była ani trochę bardziej prawdziwa niż Una.

Po tym wszystkim znacznie łatwiej mu przychodziło sprawdzanie raz po raz. Wkrótce mógł już przechodzić przez ściany statku, którym przyleciała. Łatwiej było go przetestować niż Elbę. Ona pozostanie realna do końca, ale statek był jedynie drobnym elementem złudzenia.

W czasie minionej godziny miał kilka rzeczywiście fatalnych chwil. Stawało się coraz jaśniejsze, że tracił ostatnie możliwości oporu w swej walce o zdrowy rozsądek podczas szaleństwa. Znowu wygrał bitwę, ale być może już po raz ostatni. Następnym razem może mu się nie udać udowodnić iluzoryczności zjawiska. A i to, po tym wszystkim, może nie wystarczyć do ustalenia rzeczywistości.

Elsa była skończona. Zbyt rzeczywista, a jednocześnie za mało rzeczywista. Po co w ogóle kazał Unie odejść?

Doczłapał z powrotem do stacji i zdjął skafander. Znalazł Elbę w salonie, przycupniętą w kucki i wyglądającą jak dziewczyna z okładki.

- Wynoś się - rzucił bez ogródek. - Popełniłaś błąd przychodząc tutaj. Przykro mi.

Błyskawicznym ruchem rzuciła się w kierunku broni. Zdażył na czas spaść się, przypominając sobie cały czas o tym, czego się dowiedział, i kiedy wystrzeliła do niego, nie poczuł nic.

Wyszczrzył do niej zęby w uśmiechu.

- Mój instynkt samozachowawczy jest zbyt silny - rzekł. - Nie mogę sobie pozwolić na to, by mnie zastrzelono, cokolwiek by się zdarzyło.

Ruszył do przodu. Walczyła z nim o pistolet. Ugryzła go w dłoń, aż zabolalo. Ale pistolet jej odebrał.

- Jeśli do mnie strzelisz, nic się nie stanie - zwrócił jej uwagę. - Ale jeśli ja strzelę do ciebie, umrzesz. Wiesz o tym?

Skinęła posępnie głową; wstała, włożyła skafander i wyszła.

Jej statek wystartował po dwudziestu minutach. Ord nawet nie popatrzył za nim.

Wciąż trzymał w ręku pistolet. Rzucił go do szuflady. Pozostanie tam, póki o nim nie zapomni. Wtedy broń zniknie.

Od tej chwili, postanowił, nie będzie rozejmu z solitozą. Nie będzie więcej żadnej Elsy, Susy czy Margo. Kiedy osłabnie, ponownie przywoła Unę albo jeszcze raz spróbuje męskiego towarzystwa.

Przez wiele dni wydawało mu się, że wygrywa tę walkę. Spał dobrze i trwał w samotności. Spędzał wiele czasu w obserwatorium, ale ani razu nie zobaczył statku.

Problem polegał na tym, że walka była prowadzona nie na świadomym poziomie jego umysłu. Nie będzie ostrzeżenia, kiedy zobaczy statek, nie podjąwszy uprzednio żadnej świadomej decyzji. Potem będzie zbyt późno na to, by wmawiać sobie, że nie ma żadnego statku.

Nadleciał w końcu. Zobaczył wyraźnie poruszający się maleńki punkcik światła. Jak tylko go ujrzął, wyszedł z obserwatorium i stoczył ze sobą walkę. Mógł przekonać ową drugą część swego umysłu, że to nieprawda, a kiedy wróciłby do obserwatorium, to rzeczywiście byłaby nieprawda - poruszający się punkcik światła zginie. Bywało już tak.

Ale solitoza była chorobą progresywną, myślał tępo stojąc cztery godziny później w obserwatorium i wciąż widząc statek. Jeśli nie capnie cię w ciągu roku, to za dwa lata. Albo cztery czy sześć. Una, inteligentna i opanowana, była ostatnim bastionem obrony umysłu pod nieustannym ogniem. Owszem, ona też była częścią choroby, ale wciąż jeszcze ściśle kontrolowanej. Kiedy pozwolił jej odejść, oznaczało to poddanie się.

Tym razem statek objawił się jako szalupa ratunkowa z większej jednostki. To nic nowego. Susy przyleciała w czymś takim, podobnie jak później Dorothy, z tego samego urojonego statku.

Ord stał i patrzył, jak szalupa ląduje, koncentrując się na tym do tego stopnia, że włosy załśniły mu potem. Nie starał się odpędzić statku ze swojej wyobraźni; to byłoby niemożliwe. Jedynie budował w sobie mocne, wiążące postanowienie, aby w tym i wszystkich następnych przypadkach odróżniać prawdę od kłamstwa. Nie odpędzi nowego gościa, tak jak odpędził Elsę, kiedy odkrył, że jest ona kolejnym fantomem. Ale musi wiedzieć. Do chwili przybycia Elsy wiedział zawsze. Nie może tego stracić, cokolwiek innego by postradał.

Ujrzał, jak odziana w skafander postać wychodzi z szalupy, a potem zszedł do śluzicy powietrznej i czekał.

Bez wątplenia jestem nieuleczalnym romantykiem, pomyślał czekając. Solitoza mówiła ludziom wiele o ich naturze. Miał mnóstwo sposobności do realizmu, jako przeciwieństwa romantyzmu, ale nigdy ich nie wykorzystał.

Drzwi śluzicy otworzyły się. Przez chwilę twarz za szybą hełmu była w cieniu, źle widoczna. Potem stopniowo stała się wyraźniejsza, niczym obraz z rzutnika po ustawieniu ostrości.

Ord westchnął z ulgą. Jeszcze nie udowodnił przed sobą, że nowa dziewczyna jest kolejną zjawą, ale możliwość taka wciąż istniała. Kiedy twarz Elsy pokazała mu się od razu wyraźnie niczym jego własna w lusterku, skąd miał wtedy wiedzieć?

Dziewczyna otworzyła szybę hełmu.

- Colin Ord? - spytała energicznym tonem. - Jestem dr Lynn z Linii Kosmicznych "Cztery Gwiazdy". Marilyn Lynn. - Uśmiechnęła się; był to uśmiech przyjazny, ośmielający. Zawodowy uśmiech należący do rytuału zachowania się dobrego lekarza, mężczyzny czy kobiety, młodego czy starego. - Trochę mi się imię rymuje z nazwiskiem - dodała - ale już się do tego przyzwyczaiłam.

- Bardzo ładnie - odrzekł. - Pierwsze słowa drugiego rozbitka na bezludnej wyspie. Opowie mi pani resztę swej historii od razu, czy będzie się pani wstydzić?

Zmarszczyła brwi - "okiełznanie nowego pacjenta".

- Nic panu nie powiem - odezwała się - póki nie będę wiedziała o panu czegoś więcej.

- Doskonale! - odparł Ord. - Ton głosu, modulacja i wymowa na właściwym poziomie. Wszystko pasuje.

Z dalszą ulgą spostrzegł, że dziewczyna jest w typie Uny. Oczywiście piękna, ale nie olśniewająca. A kiedy zdjęła skafander, zobaczył, że dziewczyna ma na sobie tunikę i spodnie, co było rozsądne. Wyglądała inteligentnie. Nie była zbyt młoda - miała przynajmniej tyle lat, co on. Może więc nadal był panem swej wyobraźni.

Ona też mu się przyjrzała, okiem lekarza stawiającego diagnozę.

- Niech się pani nie trudzi - powiedział do niej. - Ze mną jest tak, że widzę coś, czego nie ma. Szczególnie ludzi.

Skinęła głową. - Rozumiem. Więc pan nie wierzy, że tu jestem?

- Hm... powiedzmy, że ja panią najpierw o coś zapytam - odrzekł sceptycznie. - Czy pani na moim miejscu uwierzyłaby w coś takiego? - Przypomniał sobie fragment absurdałnego wiersza - chyba z Króla Lira - i zacytował: - Co byś zrobił, będąc mną, by udowodnić mi, że jesteś sobą?

- A czy pan wie, że nie jestem prawdziwa? - spytała.

- Nie. To przychodzi z czasem. Przynajmniej dotąd tak było.

- To znaczy, że zawsze mógł pan udowodnić sobie, że pańscy... goście są jedynie wytworami fantazji?

- Nie bez trudności - przyznał.

- Ciekawe. Wygląda to na przypadek solitozy kontrolowanej. Nigdy o czymś takim nie słyszałam.

Ord zaśmiał się cynicznie.

- Tak jest, niech pani podbudowuje moje ego. Zawsze do tego dochodzi.

Dziewczyna skinęła dłonią w kierunku zdjętego skafandra.

- A tego też pan nie potrafi zidentyfikować, czy jest prawdziwy?

- Nie od razu. W końcu jednak tak... mam nadzieję.

Zaprowadził ją do salonu. Rozejrzała się dookoła i skinęła głową. Wyglądała na zadowoloną.

- Wszystko uporządkowane i posprzątane. Nie ma pan pojęcia, jaką przyjemność sprawiło mi poznanie pana, panie Ord.

- To jeszcze nie czyni pani realną - odrzekł nieuprzejmie. - Wszystkie tak mówią.

Spojrzała nań zaskoczona.

- A niby dlaczego miałyby mi zależeć na tym, by uważał mnie pan za realną? - spytała.

Słowa podziały niczym fizyczne uderzenie. Ord nie miał pojęcia dlaczego, ale to w niczym nie osłabiało skutków.

- No właśnie - powiedział powoli. - Dlaczego?

- Niech mi pan opowie o innych - zaproponowała.

Tak jak każdy dobry lekarz, sprawiała wrażenie, że motywem jej pytań było zainteresowanie osobiste, nie zaś zawodowe. Praktykujący lekarz, zamyślił się Ord, był przede wszystkim artystą, a nie uczonym.

Opowiedział jej. Nieco skrócił swą opowieść, ale przekazał wszystko wiernie, a szczególnie dokładnie w przypadku Uny i Elsy, ostatnich, które go odwiedziły.

- Una jest ciekawa - rzekła Marilyn. - Jedyna, która wiedziała wszystko, to co pan wie. Nie pozwoliła panu o tym mówić, ale jednak wiedziała.

Machinalnie Ord zaczął przygotowywać kawę. Marilyn przyglądała mu się.

- Kiedy będzie pan pewien, czy jestem realna, czy nie? - spytała jakby od niechcienia.

- Nie wiem. Może za pięć minut, może też i wiele godzin nie wystarczy. Ja...

- Proszę mi nie mówić, jak pan to robi - wtrąciła szybko. - Jeszcze nie. Niech pan to najpierw zrobi. Czy ja w tym biorę udział? To znaczy, nie będzie pan chyba strzelał do mnie, żeby zobaczyć, czy zginę, albo coś w tym rodzaju?

Uśmiechnął się.

- Nic podobnego. Gdybym do pani strzelił, umarłaby pani jak czarownica w średniowieczu; ginęły, jeśli nimi były, ale ginęły też, jeśli były niewinne.

- Pański umysł nie utracił swej sprawności.

- To zrozumiałe. Nigdy nie słyszałem, żeby solitoza wpływała ujemnie na inteligencję. A pani słyszała?

Zachowała znaczące milczenie. Uniósł brwi.

- To znaczy, że to się często zdarza? Albo zawsze?

- Nie zawsze. Często. To przecież oczywiste, prawda? Niezrównoważony umysł musi funkcjonować gorzej niż normalny.

- A Benson był tym wyjątkiem, który potwierdza regułę?

Skinęła głową. Wiedziała więc, kto to jest Benson. Ale i to, podobnie jak reszta, niczego nie dowodziło.

Wyciągnęła przed siebie dłoń z filiżanką.

- Czy to też należy do próby? - spytała. - Sprawdza pan, czy było więcej kawy, niż pan normalnie sam pija?

- Nie, to na nic. Bardzo łatwo byłoby mi zrobić tylko połowę tego, co przygotowałbym w wyobraźni; wyjąć jedną filiżankę myśląc, że biorę dwie; wziąć nieistniejącą szklankę od nieistniejącej dziewczyny, o w ten sposób. - Wziął jej szklankę. - Napęłnić ją niczym i oddać, a potem...

Słowa zamarły mu w ustach, bo ujrzał coś dziwnego w jej twarzy. Przewrzenie, smutek czy zrozumienie - nie wiedział.

- Co się stało? - zapytał.

- Nie wiem. Chyba czegoś nie rozumiałam.

- Czegoś, co powiedziałem? - ciągnął. - No więc, łatwo zrobić tylko połowę tego, co przygotowałbym w wyobraźni, oczywiście. I wyjąć jedną filiżankę myśląc, że biorę dwie. Nieistniejąca szklanka, nieistniejąca dziewczyna... chyba nie o to chodzi, że nazwałem panią nieistniejącą, bo już o tym mówiliśmy. No i oczywiście, skoro nie ma filiżanki, to część mojego umysłu musi bardzo uważać, żeby nie nalać do niej prawdziwej kawy...

Zmarszczył czoło.

- Znowu to samo. Tym razem starała się pani tego nie okazywać, ale dostrzegłem słaby cień na pani twarzy. Coś, co mówię, przeraża panią albo unieszczęśliwia, albo po prostu zaciekawia. Chyba nie daję pani urojonej kawy, co? Mnie się ona wydaje realna.

Już się całkowicie opanowała. Zaśmiała się.

- Nie, to nie to. Daje mi pan prawdziwą kawę, co oznacza, że część pańskiego umysłu już jest przekonana, że jestem realna. Ale pan tej części nie wierzy i nie tyka jej.

- A może chodzi o to, że robię coś, o czym nie wiem?

Potrząsnęła głową.

- Skoro już pan musi o tym myśleć... no więc było to coś w pana wypowiedzi. I wie pan, że pan to powiedział. I nie jest to straszne, przerażające, a nie ma też żadnego powodu, dla którego miałoby mnie to zasmucać. To po prostu coś, o czym nie wiedziałam.

- Nic mi pani więcej nie powie?

- Czy pańskie fantomy zawsze robią to, co im pan każe? - odpowiedziała pytaniem.

- Nie; wie pani przecież.

Odstawiła filiżankę.

- Pozmywam - powiedziała lekko. - Czy to będzie dowód?

- Czasem, jak na inteligentną dziewczynę jest pani niezwykle głupia - powiedział ponuro. - Przecież kiedy używałbym naczyń następnym razem, mógłbym sobie wyobrazić, że są czyste, prawda?

- Oczywiście. - Jej oczy, brązowe, głęboko osadzone pod wąskimi brwiami - podążyły za nim, gdy uniósł się nagle. - Dokąd pan idzie?

- Sprawdzić, czy jest pani realna.

- Do mojego statku. Proszę bardzo.

Ord wszedł do śluzu i włożył skafander. Myślał przez chwilę o tym, co takiego mógł powiedzieć, że wywołało to ów dziwny wyraz na twarzy Marilyn. Ale jasne było, że nigdy bez jej pomocy nie domyśli się tego. Musiało to być coś tak prostego, tak bez wątplenia prawdziwego... zresztą w końcu i tak mu powie. Nieważne.

Nic z tego, co się dotąd zdarzyło, ani z tego, co powiedziała dotąd, nie pomagało w rozwiązaniu najważniejszego problemu bieżącej chwili. Może do wszystkich argumentów przeciwko temu, że Marilyn jest prawdziwa, należało doliczyć i ten, że gdyby była, utrzymywałyby, że tak jest. Ale czy rzeczywiście? Była lekarzem, zapewne psychiatrą. Znała solitozę.

Każdy lekarz, powiedział sobie zdecydowanie Ord, który spotka kogokolwiek dotkniętego solitozą, z pewnością będzie z nim igrał, nic mu nie mówiąc, nie zaprzeczając ani nie twierdząc niczego.

A to, zdawał sobie niejasno sprawę, miało istotne znaczenie. Nie wiedział jednak dokładnie dlaczego.

Test, który okazał się skuteczny w przypadku statku Elsy, był równie dobry, jak każdy inny. Może nie zadziałał po raz drugi, ale Ord postanowił zrobić wszystko, by zadziałał.

Otworzył zawór w skafandrze upewniając się, że licznik wskazuje ciśnienie atmosferyczne równe zeru. Potem zwarł obie dłonie i naprężył, usiłując je rozerwać. Otwierając śluzę trzymał dłonie zwarte kciukami. Po kilku chwilach stał w sterowni - jedynym pomieszczeniu małego stateczku, a dłonie miał nadal złączone.

Wskazówka pokazała 1055 hPa. Ogarnęło go tępe uczucie porażki.

Koncentrował się całą siłą woli, upewniając się, że zawór jest rzeczywiście otwarty, a on nigdy nie miał sposobności, by go zamknąć. Spróbował raz jeszcze, otwierając i zamykając go.

Powinien się spodziewać, że nowy plan zadziała tylko raz. Myślał starając się uspokoić.

Solitoza nie należała do psychoz samobójczych tak przynajmniej słyszał. Czytał o tym w książkach. Jednym z drobniejszych faktów świadczących o tym był przypadek Elsy, która strzeliła do niego, on nie poczuł nic, choć wyglądało to wszystko doskonale realnie. Mogło go boleć, tak jak wtedy, gdy Elsa go ugryzła, ale nigdy nic poważnego.

Zaczął walić pięścią w ścianę sterowni. W miejscu, gdzie wylądował statek, nie było żadnej iglicy skalnej tej wysokości. Więc albo tu była ściana, albo nic.

Jego rękawica została tak zaprojektowana, by chronić przed próżnią, ale w środku nie miała żadnego zabezpieczenia przed uderzeniami. Dłoń więc bolała go coraz bardziej.

Z ponurym zacięciem tłukł w ścianę, aż w końcu nie mógł już wytrzymać bólu.

A więc była tu ściana. I był też statek. Podniósł zdrową rękę do szyby hełmu. Zawahał się, pomyślał jednak, że solitoza nie wywołuje skłonności samobójczych. Otworzył szybę. Dotknął nosa, oczu, podbródka. Uszczypnął się w policzek.

Szyba hełmu była otwarta, a on mógł oddychać.

Pozostawały więc dwie możliwości. Albo Marilyn i wszystko z nią związane było realne, albo przekroczył już próg szaleństwa, wpadł całkowicie w objęcia solitozy, do tego stopnia, że nie mógł już być nawet pewien, czy rzeczywiście znajduje się teraz poza stacją.

A jeśli Marilyn była realna...

Poczuł bezsilność, gdy zdradliwa myśl odebrała mu hart ducha. Gotów był uwierzyć w Marilyn, ale jednej rzeczy nie mógł przeoczyć. Na solitozę zapadali wszyscy. Można było z nią walczyć, ale nie można się było jej oprzeć. A jednak Marilyn ona nie dotknęła. Każdy, nawet on, potrafił rozpoznać chorego na solitozę.

Nie potrafił powiedzieć, czy ona istnieje obiektywnie, czy też w jego wyobraźni - jak więc mógł stwierdzić, czy istnieje sama stacja, Ziemia, Galaktyka? Jaka była zasadnicza różnica między Uną a jego matką i siostrą? Czy wszyscy są wytworami jego umysłu?

Nawet samo życie może być jego wytworem. Materia może być jedynie pojęciem. O n istniał. "Myślę, więc jestem". To mógł przyjąć. Ale czy cokolwiek jeszcze?

Gwałtownie przywołał siebie do normalnego stanu, ograniczając myśli do Marilyn. Ona istniała, a ponieważ przybyła w statku, w którym on mógł otworzyć szybę hełmu, istniała bardziej niż Una.

Trzymając się z determinacją tej myśli zamknął hełm i powlókł się do stacji. Zdawało mu się, że to bardzo daleko. Za wiele z siebie dał. Wysilek psychiczny może być nawet bardziej wyczerpujący niż fizyczny. Jakakolwiek była prawda, walczył zbyt silnie, by się do niej zbliżyć albo od niej uciec.

Wszedł przez służbę do wnętrza stacji, a gdy już był bezpieczny w środku, upadł na twarz.

Dwadzieścia cztery godziny później wiedział, że udowodnił istnienie Marilyn ponad wszelką wątpliwość. Był bowiem, chory, a ona się nim zajęła.

- Udowodnił pan to, co pan chciał - rzekła do niego, kiedy minęło najgorsze. - Czy warto było?

- Warto - odparł siadając na łóżku. - Nic dziwnego, że powstały całe szkoły filozoficzne oparte na podejściu do rzeczywistości. Jest to najważniejsza sprawa dla człowieka.

Potrząsnęła z uśmiechem głową.

- Tylko dla pana - odrzekła. - Solitoza naturalnie wpływa na to, co ma największe znaczenie dla każdego. Ale nie musimy o tym mówić.

Czuł w niej ciepło i dobroć, których żaden z jego fantomów nie potrafił nigdy okazać, bowiem wszystkie były odbiciem jego samego. Sam je uczynił tym, czym były.

- Jak się pani udało uniknąć solitozy? - zapytał.

Znowu się uśmiechnęła.

- W sposób jedyny z możliwych. Na Lwicy, statku ratunkowym, znajduje się pięćdziesiąt osób. Ta liczba jest znacznie powyżej punktu krytycznego. Upłynie jeszcze wiele czasu, nim będzie można dużym statkiem wylądować na takiej maleńkiej planetce, ale przez cały czas ich manewrów utrzymują mnie w równowadze psychicznej przez to, że są tam. Ja wiem, że tam są. A kiedy pan to przyjmie, od razu pański stan się poprawi.

Ord odprężył się. Długie skomplikowane wyjaśnienia nigdy nie były zadowalające. W to zaś wyjaśnienie można było uwierzyć natychmiast.

- To jeszcze trochę potrwa - powiedział. - Mnie to nie przeszkadza.

Znowu ujrzał ten sam cień przemykający przez jej twarz.

- Powiedz mi - poprosił cicho.

- Spójrz na mnie.

Spojrzał. Jej uroda była przekonująca i spokojna. Wciąż jeszcze miała na sobie tunikę i spodnie. Zobaczył nawet, z lekkim żalem, że choć nie miała obrączki, na jej palcu widniał biały ślad.

- Tak? - ponaglił ją.

- Nie zdawałam sobie z tego sprawy, dopóki nie zacząłeś mówić o nieistniejącej dziewczynie - powiedziała cicho. - Widzisz, ja byłam realna, ale nie twoje wyobrażenie o moim wyglądzie. Nie, nie ma w tym nic strasznego. Prawie wszystko wygląda tak, jak myślałeś. Oczywiście jest, że do chorego wysyła się najpierw lekarza. Ja jestem lekarzem i kiedyś byłam dziewczyną, ale... czterdzieści lat temu. A ty musiałeś zrobić mnie młodą i piękną.

Ordowi udało się roześmiać.

- Czy to wszystko? A ja myślałem...

Stara lekarka nie słyszała go. Nie myślała o swej odwadze, kiedy zdecydowała się polecieć do niego sama. Wszyscy lekarze ryzykują.

- Przyjemnie było znowu mieć dwadzieścia kilka lat - powiedziała zamyślona. - Widziałam jak na mnie patrzysz i... prawie... znowu byłam młoda. Lubię cię. Gdyby to nie było tak kompletnie bezsensowne, zakochałabym się w tobie.

- Twój stan będzie się poprawiał - mówiła dalej - gdy ja będę się w twoich oczach starzała. W ten sposób poznasz, jak postępuje leczenie. Kiedy ujrzysz mnie taką, jaka jestem naprawdę, będziesz już zupełnie zdrow.

Położył łagodnie dłoń na jej ramieniu. Myślał o jej odwadze - że przyleciała przed statkiem ratowniczym, sama, bo uznała, że uda jej się pomóc człowiekowi, który nie mógł być przy zdrowych zmysłach.

- Myślę - powiedział - że już teraz widzę cię taką, jaka jesteś naprawdę.

Dziesiąte podejście

Pożegnawszy się ze wszystkimi przyjaciółmi Gene Player pojechał taksówką do Domu Drugiej Szansy. Dla znajomych był już martwy. Nie zobaczą go już nigdy - w każdym razie nie w tym wszechświecie.

On ich oczywiście ujrzy ponownie.

Kierowca taksówki wytrzeszczył oczy na napiwek.

- Może powinienem trzymać język za zębami - odezwał się - ale nie mógłbym później spać w nocy. Dał mi pan pięć tysięcy dolarów, szefie.

Zamiast odpowiedzi Gene wskazał po prostu Dom Drugiej Szansy.

- Aha - rzekł taksiarz - rozumiem. Ale co, nie ma pan komu tego zostawić?

- Nie - odrzekł Gene.

Dał już pieniądze tym spośród swoich przyjaciół, którym się one jego zdaniem mogły przydać. Trochę przekazał na cele dobroczynne. Resztę miała otrzymać Belinda, nawet jeśli była żoną Harry'ego Scotta.

Nie zwrócił uwagi na ogromne reklamy w hallu olbrzymiego Domu Drugiej Szansy. Widział je już przedtem, w dziewięciu podobnych, choć minimalnie różniących się wszechświatach. Jeszcze mniej uwagi poświęcił wahającym się, zdenerwowanym, niepewnym ludziom, którzy przyglądali się reklamom gryząc paznokcie, postępując to krok naprzód, to dwa w tył lub odwrotnie.

Po raz pierwszy była to dla niego trudna decyzja. Jeśli powodziło ci się w życiu w wieku lat czterdziestu, pięćdziesięciu, sześćdziesięciu, wspaniała myśl o tym, że znowu będzie się miało osiemnaście lat, znowu będzie się silnym, zdrowym i zapewne zakochanym, traciła znacznie na atrakcyjności, jeśli się wzięło pod uwagę, że znów będą tobą pomiatać, znowu trzeba będzie wstawać o siódmej i ciężko pracować cały dzień nawet nie za dziesiątą część tego, co teraz zarabiasz, znowu trzeba będzie przejść przez to czy tamto, znowu będzie się świadkiem śmierci ojca i matki...

Poza tym nie było żadnej gwarancji, że za drugim razem też ci się powiedzie. Uśpiony osiągniętym we wszechświecie sukcesem możesz mniej przykładać się do pracy. Albo popełnić błąd, którego uniknąłeś poprzednio.

Można sobie ułożyć życie lepiej albo gorzej.

To ci, którym się nie powiodło, szukali drugiej okazji - i mieli mniej więcej osiemdziesiąt pięć procent szans, że znowu im się nie uda. Ale niewielu mogło się o tym przekonać. Pechowcy zwykle miewali dosyć pieniędzy na retro.

Tylko dlatego, że Gene przypadkiem zauważył wolną kabinę wideofonu, zdecydował się nagle zadzwonić do Belindy. Pomysł był całkowicie spontaniczny - nawet się z nią nie pożegnał ani nie miał tego zamiaru.

Tym niemniej, zanim się w pełni zdecydował, już stał w kabinie i wybierał numer Belindy.

Twarz, która pojawiła się na ekranie, udała zdziwienie.

- Ależ, Gene - odezwała się Belinda - przyrzekłeś...

- Jestem w Domu Drugiej Szansy - odparł. - Wracam do roku 1987.

Jej spojrzenie zmiękło. Nie odezwała się.

Po trzydziestce Belinda Scott była ładniejsza niż dziesięć lat wcześniej, ponieważ był to taki typ kobiety. Zawsze wyglądała wspaniale, ale ta wspaniałość wdzięczniej uwidaczniała się w wieku dojrzałym niż w młodości.

- Ty mnie już nie zobaczysz - powiedział Gene. - Ale ja ciebie tak.

W jej oczach pojawiła się sympatia, ale nie miłość. Nigdy nie było miłości.

- Gene - odezwała się cicho - czy nie potrafisz po prostu pogodzić się z myślą, że dla mnie zawsze będzie to Harry?

- Przypuśćmy, że Harry by nie żył? Przypuśćmy, że bym go zabił? Potrząsnęła głową z uśmiechem. - Nie zrobiłbyś tego.

- Nie - westchnął ciężko. - Nie zrobiłbym.

- Powodzenia, Gene - powiedziała, a jej ciepły uśmiech zniknął z ekranu, gdy Gene przerwał połączenie.

Wyszedł z kabiny i skierował się schodami na górę. Wiedział dokładnie, dokąd ma iść. Tym razem w gabinecie Pethicka siedziała inna sekretarka. Zastanowił się, co się stało ze złotowłosą blondynką z poprzednich wszechświatów; gdzie pracowała, skoro nie tutaj.

Pethick był zawsze ten sam. Gene'a nie znał, jak zwykle, ale to nie miało znaczenia.

Był to okrągłutki człowieczek o kaczkiej sylwetce; jajowata głowa umieszczona na baloniastym tułowi zakończonym dwiema mizernymi, zmęczonymi nogami. Wyszedł mu na spotkanie z wyciągniętą dłonią.

- Pan Player? - zapytał. - Bardzo mi miło. Czytałem wszystkie pańskie książki.

Za pierwszym razem Gene był mile zaskoczony, rozmawiał z nim o swoich powieściach i stwierdził, że Pethick rzeczywiście przeczytał je wszystkie. Potem już nie zadawał sobie tego trudu.

- Szczerze mówiąc, panie Player - rzekł Pethick - choć jako dyrektorowi Korporacji Drugiej Szansy miło mi, że myśli pan o retro, jako czytelnik przyjmuję to z przykrością.

- Dziękuję panu - odparł Gene automatycznie. Nawet szczerze słowa traciły swą wymowę za dziewiątym podejściem. - Ale ja nie myślę tylko o retro. Już się zastanowiłem. Wracam.

- Są pewne sprawy, o których muszę panu powiedzieć...

- Znam je. Robiłem tu już kilka razy.

- Ach, tak? - Pethick był zaniepokojony. - Czy spotkaliśmy się już w innych wszechświatach?

- Zawsze.

- Zawsze? Ile razy...

- Dziewięć. Ten jest dziesiąty.

Pethick wyglądał na zaskoczonego. - I zawsze pan tu wracał? Pewnie ma pan bardzo ważny powód...

- Owszem.

- Panie Player, jeśli chce pan coś zmienić i nie udało się to panu osiem czy dziewięć razy, istnieje poważne prawdopodobieństwo, że ma pan do czynienia z sytuacją utrwaloną, którą nazywamy tu amutacyjną. W takim wypadku...

- Wiem o tym. To moje zmartwienie.

- Oczywiście, ale...

- Chcę wrócić do trzeciego czerwca 1997 roku.

- Jest to najwcześniejszy dzień, który możemy osiągnąć - odrzekł Pethick uderzony tym zbiegiem okoliczności. - I dopiero w tym tygodniu pozwolono nam tak daleko przesunąć zakres retro.

- Wiem. Dlatego tu jestem.

- Czekał pan aż do roku 1998, by móc wrócić do 1987?

- Tak jest.

Pethick był ogromnie poruszony tym wszystkim. Dawno już nie miał tak ciekawego klienta.

- Czy zawsze kończyło się to zgodnie z planem? - spytał. - Zawsze osiągał pan...

- Godzinę jedenastą dwadzieścia, wtorek, trzeciego czerwca 1987 roku. Zawsze wtedy pada i zawsze przemakam do suchej nitki. Tamtego dnia nie wziąłem płaszcza.

- Może moglibyśmy załatwić jakąś późniejszą porę, powiedzmy...

- Przepraszam, panie Pethick; nie chcę wydać się panu niegrzeczny, ale mniej więcej podobną rozmowę prowadziłem już dziewięć razy.

- Oczywiście, panie Player.

- No więc może skończylibyśmy tę gadaninę i zabrali się do rzeczy?

Pethick był urażony, jak zwykle.

Niewiele rzeczy zmieniało się tak mało przy przejściu z jednego wszechświata do innego, jak Pethick. Od momentu retro wykonywał inne czynności, myślał i mówił co innego, tworzył nowy świat. Temu, który właśnie opuścił, nie robiło to większej różnicy; toczył się bez ciebie

szczęśliwie naprzód. Natomiast ten, do którego wchodziłeś - czy też wracałeś - to zupełnie inna sprawa. W ciągu kilku dni mogłeś stać się powodem wielu poważnych zmian.

Było jednak parę spraw, małych i dużych, ważnych i nic nie znaczących, które się nie zmieniały. Których nie można było zmienić.

Zwano je amutantami.

Nikt sobie nie zawracał głowy badaniami lekarskimi; obecne ciało Gene'a i tak za kilka chwil miało być martwe.

Nie była to właściwie podróż w czasie. Nic w nim nie podróżowało poza świadomością i pamięcią. I dlatego nikt nie mógł zabrać ze sobą żadnych pieniędzy.

Odstawiano cię takim, jakim byłeś wtedy, w ubraniu, jakie wtedy miałeś na sobie, do miejsca, w którym się wówczas znajdowałeś, do dowolnego dnia pomiędzy trzecim czerwca 1987 roku, kiedy zaczęła się cała sprawa, a punktem wyjścia. W przypadku Gene'a był nim dziewiąty lutego 1998 roku.

Naturalnie cała sprawa nie miałaby najmniejszego sensu, jeśli wracając traciłoby się całą pamięć. Po retro Gene będzie wiedział to wszystko, co wiedział dziewiątego lutego 1998 roku, oraz to, co wie Gene Player z trzeciego czerwca 1987 roku. Dla tego ostatniego będzie to ogromny wstrząs, ale wiadomo było, że zniesie to.

Gene nie zwrócił uwagi na sprawy techniczne; była to dlań stara śpiewka.

Pethick spojrział w oszołomieniu na czek wystawiony na 191 tysięcy 732 dolary, czyli dokładną opłatę za retro ze wszystkimi narzutami, dodatkami i opodatkowaniem. Ta suma również nigdy się nie zmieniała.

Rozległy się słowa ostrzegające go, że powrót nastąpi za chwilę; skinął głową. Wiedział, że irtuje wszystkich swoją swobodą przy zabiegu...

I oto biegł ulicą miasta szukając schronienia przed nagłą ulewą.

Ciało i mózg należały do innego Gene'a Playera, który miał lat dwadzieścia sześć a nie trzydzieści siedem; i choć od razu podjął wysiłek, by zdominować je swoim umysłem z roku 1998, szok był tak silny, że Gene potknął się i upadł jak długi.

Gdy wstał, był przemoknięty na wylot i szukanie schronienia nie było już takie ważne. Ludzie kulili się w bramach domów, przyglądając mu się z zaciekawieniem.

Żaden z nich nie mógł odgadnąć, co się stało, bo choć na pewno niektórzy słyszeli o retro, wprowadzonym do użycia od tego właśnie dnia, mało kto jeszcze w nie wierzył.

Deszcz ustał nagle, ku niejakiemu zdziwieniu Gene'a. Jego przybycie w żaden sposób nie mogło bezpośrednio wpłynąć na zmianę pogody. Spojrzął na zegarek i zobaczył, że jest jedenasta czterdzieści jeden. Dwadzieścia jeden minut później niż zwykle.

Jeśli Pethick musiał już kombinować z godziną jego przybycia, mógł ustawić ją pięć minut później, kiedy będzie po deszczu.

Zabłysło oślepiające słońce i ulice zaczęły parować. Z bram wyroiły się tłumy ludzi, którzy szli chodnikami rozbryzgując stojącą jeszcze wodę.

Gene z roku 1987 cały czas dziwił się niezmiernie, co się z nim stało, ale właściwie kontrolę nad ciałem i mózgiem sprawował Gene z roku 1998. Za godzinę czy dwie obaj zespolą się całkowicie.

Ludzie byli zawsze tacy sami, ale moda dostarczała chwilowego zaskoczenia. Zdawało się niemożliwe, że dwudziesty wiek zdoła zrodzić okres superskromności, a jednak miał oto go przed sobą, w największym rozkwicie. Dwudziestoletnie dziewczyny stanowczo zaprzeczały swym wyglądem, że jeszcze trzy lata temu nosiły szorty i miały odkryte ramiona.

Gene pamiętał, że ten osobliwy okres będzie krótki i potrwa jeszcze z pół roku, po czym nastąpi kolejny zwrot. Ale na razie odpychającym krojom towarzyszyły ponure barwy: granaty i brązy, czerń, butelkowa zieleń. Nikt, ale to nikt, nie miał na sobie nic czerwonego.

Gene otrząsnął się z oszołomienia. Przecież wiedział wszystko o roku 1987 i jego powierzchownej ponurości. Był to po prostu wstrząs taki, jak przy oglądaniu starej fotografii.

Wiedział, co ma zrobić.

Najpierw poszedł do banku i podjął wszystkie pieniądze. Z tym, co miał w kieszeniach, zasoby jego wynosiły trzysta czterdzieści siedem dolarów i siedemdziesiąt jeden centów. Niewiele, ale starczy. Wkrótce dostanie jeszcze trochę: ostatnie wynagrodzenie, niedługo bowiem wyleją go z pracy.

Nie złożył wizyty panu Kynochowi, producentowi płatków śniadaniowych Wheatie Puffets. A kiedy o dwunastej dziesiąt wszedł do agencji reklamowej Motet, czekał tam już rozwścieczony pan Carswell.

- Słuchaj, Player; właśnie przed chwilą dzwonił pan Kynoch - powiedział. - Zdaje się, że nie był pan u niego.

- Nie - odparł lakonicznie Gene.

- Dlaczego?

- Miałem inne sprawy.

Carswell aż zakipiał. - Już pan u mnie nie pracuje, Player - warknął wściekle.

- Dziękuję panu - rzekł Gene z prawdziwą wdzięcznością. Poszło jeszcze szybciej niż zwykle.

Kiedy zebrał już swoje rzeczy i otrzymał czek z wypłatą, raz jeszcze natknął się na Carswella, który już znacznie ochłonął.

- Może postąpiłem zbyt pochopnie, Player - odezwał się. - Na pewno ma pan coś na swoje usprawiedliwienie. Nie chcielibyśmy pana stracić. Ma pan dobry styl do reklam...

- Dziękuję panu - powiedział Gene po raz drugi, minął Carswella i wyszedł z biura.

Kiedy ty ich potrzebujesz, oni ciebie nie. I odwrotnie. Gene rozmyślał nad tym problemem idąc znowu ulicą i prażąc się w południowym słońcu.

Za pierwszym razem, a w mniejszym stopniu również za drugim, chciał zatrzymać tę posadę. Błagał o to Carswella, który jednak był nieugięty. Potem zaś Gene chciał już tylko, żeby go zwolniono - a Carswell prosił go, by został.

Może była w tym jakaś wskazówka co do tego, jak powinien postępować z Belindą. Rozmyślał o tym przy lunchu.

Nie ma sensu próbować teraz się z nią zobaczyć. Belindą zdążyła już poznać Harry'ego Scotta - a czas przed tą istotnie ważną chwilą w jej (i jego) życiu był dla niego nieosiągalny.

Harry Scott był znajomym Gene'a i przy pierwszym podejściu Gene poznał Belindę dopiero po jej ślubie z Harrym. Później Gene aranżował niezupełnie przypadkowe spotkania w najróżniejszych okolicznościach i miejscach. Wyprawa do Kanady, gdzie obecnie przebywała Belinda, skończyła się fiaskiem. Była z nią ciotka, która natychmiast poczuła antypatię do Gene'a i skutki były katastrofalne.

Nie, od tamtej pory Gene zawsze wybierał owo dziwaczne, nieprawdopodobne, niebezpieczne i pozornie całkowicie przypadkowe miejsce spotkania w ów dzień za kilka tygodni, gdy Belinda wróci z Kanady. Skoro powiodło mu się już kilka razy, nie było powodu, dla którego nie miałoby się udać jeszcze raz. Wtedy jeszcze nie było źle. Dopiero później Belinda tak się zakochała w Harrym, że w żaden sposób nie udawało się zmienić jej przekonań.

Tym razem będzie musiał zrobić lepszy użytek z owego pierwszego spotkania. Jeśli znowu zepsuje sprawę, już nie będzie odwrotu.

Tymczasem miał parę spraw do załatwienia. Potrzebował pieniędzy, jak wszyscy. Było jednak tak gorąco, że nie chciało mu się wracać do maleńkiego, dusznego pokoju i zająć pracę. Po lunchu zasiedział się w parku, jak nigdy przedtem - i od razu nastąpiła zmiana sekwencji wydarzeń.

Okna jego mieszkania, o ile w ogóle można to było nazwać mieszkaniem, wychodziły na park. Wystarczyło pięć minut, by zabrać się ostro do roboty. Wiedział, że powinien już zaczynać, ale jeszcze chwilę postanowił posiedzieć w słońcu, zbierając siły na długą, intensywną pracę, która go czekała.

I wtedy zobaczył tę dziewczynę.

Zamiast owej ohydnej szarej spódnicy do kostek i czarnego zakietu powinna mieć na sobie szorty i obcisłą bluzkę, pomyślał. Ciekawe, że jest sama. Nawet w roku 1987 taka dziewczyna powinna przyciągać mężczyzn jak syrop muchy.

Ustaliwszy sobie dokładnie kolejność swych czynności, wiedząc, co się ma stać, Gene czuł się jakoś swobodniej, był jakby mniej skrępowany. Zatrzymał się obok dziewczyny.

- Nie upuściła pani chusteczki - odezwał się.

Udawała, że go nie dostrzega. Stojąc przy niej dostrzegł teraz, że jest bardzo młoda, może nawet nie ma dwudziestu lat. Była jeszcze ładniejsza, niż mu się przedtem zdawało.

- Czemu nie upuściła pani chusteczki? - nacierał dalej.

- Nie mogłam - odrzekła dość nerwowo. - Nie mam chusteczki.

- Czyli chce pani powiedzieć, że gdyby pani miała, to na pewno by ją pani upuściła?

- Nic takiego nie chciałam powiedzieć! - rzuciła gniewnie. - A teraz, będzie pan łaskaw...

- Bardzo pani dziękuję - przerwał. - Oczywiście, że usiądę. - Co od razu wykonał.

Dziewczyna była wzburzona, ale nie mogła powstrzymać się od uśmiechu. Wygląda to obiecująco, zdecydował. Ciekawe, że teraz, gdy istniała dlań tylko jedna kobieta na świecie, dużo swobodniej szło mu z inną. Może to tak jak z jego pracą w agencji reklamowej. Można było mieć wszystko, pod warunkiem, że się tego nie chciało.

- Byłaby pani bardzo ładna - powiedział.

To ją poruszyło. Odwróciła się do niego kształtnym noskiem.

- Gdyby co? - spytała.

- Gdyby miała pani na sobie coś kobiecego. Kształtny nosek powędrował do góry.

- Nazywam się Gene Player i jestem pisarzem - oznajmił. Brak odpowiedzi.

Właściwie, to mu nie zależało, a i tak była najwyższa pora, by wziąć się do roboty. Wstał.

- Ja nazywam się Doreen Barrett - powiedziała szybko. Usiadł znowu.

To, oczywiście, zupełnie nie miało znaczenia. Belinda była jedyną kobietą, która się liczyła. Był w niej zakochany od dziewiętnastu lat - 9 x 11.

Ale jednocześnie coraz bardziej ogarniało go fatalistyczne przecucie. Jeśli z Belindą miało być tak samo, jak zawsze, to nic nie szkodziło, by mieć w odwodzie kogoś w rodzaju Doreen Barrett.

Kiedy późnym popołudniem zabrał się w końcu do pracy, rzucił się od razu w jej wir, by nadrobić stracony czas.

Wkręciwszy kartkę papieru w starą maszynę do pisania wystukał: "Gene Player, Jedna twarz dla niebios", po czym wyciągnął kartkę i zaczął zapisywać następne w przeciętnym tempie jednej na pięć minut. Kiedy przestał pisać o trzeciej nad ranem, miał już gotowe równo sto stron.

Jeśli w ogóle Jedna twarz dla niebios różniła się czymkolwiek od poprzednich wersji, to tylko na korzyść. Znikały z niej wszystkie śmiecie i jedynie naprawdę dobre partie pozostały w nie zmienionej wersji. Za każdym razem powieść stawała się mocniejsza, pewniejsza. I ciekawa rzecz: za każdym razem sprzedawano jej prawie dokładnie tyle samo egzemplarzy, pomimo ciągle dokonywanych drobnych zmian, których zakres w sumie musiał być znaczny.

Za pierwszym razem napisał Jedną twarz dla niebios kilka lat później, po wielu miesiącach mało udanych prób. Natomiast po pierwszym retro wysłał powieść do gazety już w roku 1987, choć nie bez wahania, wiedział bowiem, że każdy bestseller może czekać kłapa, jeśli ukaże się on dziesięć lat za wcześnie albo za późno. A szczególnie dotyczyło to Jednej twarzy dla niebios, której dość swobodne partie mogły spowodować jej klęskę w pruderyjnych latach osiemdziesiątych.

Niepotrzebnie się jednak martwił. W latach osiemdziesiątych, podobnie jak w epoce wiktoriańskiej, surową moralność publiczną równoważyła niemoralność osobista. Każdy byłby za tym, aby ocenzurować Jedną twarz dla niebios, ale też każdy ją chciał przeczytać.

Nazajutrz napisał kolejne sześćdziesiąt stron, zanim wyszedł na chwiejnych nogach do parku, by zobaczyć tam Doreen. Nie spotkał jej, pomimo obietnicy. A, do diabła z nią. Wrócił do domu i napisał kolejne osiemdziesiąt stron.

Następnego ranka, zmęczony i nieogolony, znowu siedział przy maszynie. Jedna twarz dla niebios była długą powieścią.

Około południa zaczął już widzieć koniec i byłby dociągnął do niego, gdyby nie stwierdził nagle, jaki jest spocony, wyczerpany i znużony. Wprost ociekał potem.

Nie zadając sobie trudu, by się ogolić, umyć, czy włożyć świeże ubranie wyszedł znowu do parku, jedynie po to, by zaczerpnąć świeżego powietrza.

A tam czekała na niego Doreen i zasypała go przeprosinami za to, że nie przyszła wczoraj, tak jak obiecała...

Tak bardzo chciała się usprawiedliwić, że zrazu nie przyjrzała się mu dokładniej. Dopiero po chwili zobaczyła, w jakim Gene jest stanie.

- Dlaczego... co się stało? - zapytała. - Wyglądasz, jakbyś dopiero co przeszedł przez piekło,

- Bo to prawda - odparł Gene. - Dlatego, że ciebie tu nie było wczoraj.

Doreen była jeszcze bardzo młoda. - Czy naprawdę tak ci na mnie zależy, Gene? Nie wiedziałam... - Ale inteligencji też jej nie brakowało. - Nabierasz mnie - rzuciła urażonym tonem. - To nie miało nic wspólnego ze mną.

Uśmiechnął się do niej. Była wręcz cudowna.

- Co robiłeś naprawdę? - spytała.

- Pisałem książkę. Odwałem już trzysta stron, od kiedy ciebie poznałem.

- Czy warto tak się nad nią trudzić?

- O, tak. To jest bestseller.

- Skąd wiesz?

- Powiedzmy, że mam przecucie.

Zdumiała ją to, ale jednocześnie wywarło wrażenie. Miała może około osiemnastu lat i Gene zaczął żałować, że w ogóle do niej wtedy podszedł. Bez wątplenia była jeszcze niedoświadczona, ufna i niewinna, bo nigdy dotąd nie kochała, a z tymi, których nie kochała, łatwo sobie mogła poradzić. Ale Gene'a zaczynała już darzyć uczuciem, a to była nowa komplikacja.

Za żadnym razem jeszcze nie utracił Belindy z powodu innej, zakochanej w nim dziewczyny. Ale każda rzecz ma swój pierwszy raz.

Oczywiście, jeśli dojdzie z Belindą do tego samego miejsca, co zawsze, Doreen nie będzie musiała rozpaczać. Był przygotowany na to, że kiedy i tym razem utraci Belinę, zwróci się, choć bez większego entuzjazmu, ku jakiejś innej dziewczynie, którą równie dobrze może być Doreen.

Ale tym razem nie miał zamiaru stracić Belindy i dlatego jego postępowanie wobec Doreen nie było uczciwe.

Miłość Belindy do Harry'ego Scotta nie miała prawa być amutantem. Gene nawet nie miał zamiaru rozważać podobnej ewentualności.

Amutanty... nikt właściwie dobrze nie wiedział, czym one były i co je powodowało. Były to po prostu rzeczy, które musiały się zdarzyć, obojętnie w jaki sposób.

Oto, na przykład, wybuch jądrowy w roku 1993. Kiedy nastąpił, wysłano o kilka dni wstecz technika z zadaniem naprawienia awarii, która spowodowała eksplozję. W tym wszechświecie wybuch już nastąpił i uniknąć go nie można było, ale w pozostałych - owszem.

Nic dziwnego, że na ochotnika do tej misji zgłosił się człowiek, którego cała rodzina zginęła w eksplozji. Udało mu się ich uratować w kolejnym wszechświecie, ale awaria i tak nastąpiła. Wydarzyła się ona we wszystkich wszechświatach, które Gene zdążył poznać, a był w końcu niezłym specjalistą od nich. Choć skutki eksplozji można było ograniczyć i zrobiono to, ale awaria mimo to następowała - zawsze.

Był jeszcze jeden amutant, o którym Gene dowiedział się przypadkiem.

Za pierwszym podejściem zdarzyło mu się oglądać spotkanie bokserskie wagi ciężkiej o mistrzostwo świata, w którym Frank Bolsey znokautował Fatsa Homeiera w siódmej rundzie. Za drugim razem nie chciało mu się iść, bo wynik znał z góry.

Tym razem jednak Bolsey walczył całe piętnaście rund, wygrywając na punkty.

Wtedy jeszcze Gene nie zwrócił zbyt wiele uwagi, ale zaniepokoił się tym dostatecznie, by kupić sobie bilet na mecz za trzecim podejściem. Tym razem Homeier gonił Bolseya niemiłosiernie po ringu aż do dziewiątej rundy; wtedy to Bolsey znokautował rywala swym właściwie pierwszym udanym ciosem.

Od tamtej pory Gene wiele razy miał możliwość przekonać się, że ta walka, ponad wszelką wątpliwość uczciwa, musi być kolejnym osobliwym amutantem. Wszystko się w niej mogło zdarzyć. Homeier mógł być pewnym kandydatem na zwycięzcę przez dziewięć dziesiątych spotkania albo też Bolsey przechodził przez nie spacerkiem; co by się jednak nie działo, Bolsey musiał zwyciężyć.

Wiedząc o tym wszystkim Gene uparcie odmawiał przyznania, że miłość Belindy do Harry'ego Scotta jest amutacyjna.

Tym razem amutant zostanie poddany mutacji.

I dlatego Gene czuł się winny wobec Doreen.

Kiedy zobaczył ją następnym razem, miał już napisane ponad czterysta stron książki.

Doreen pracowała w biurze, gdzie była dwugodzinna przerwa na lunch, a ponieważ te kilka kęsów, które zjadała, zajmowało jej zaledwie piętnaście minut, pozostawało jej jeszcze wiele czasu, który spędzała w parku.

Obecnie Gene nie miał już najmniejszej wątpliwości: dziewczyna była w nim zakochana. Ponieważ odebrała staranne wychowanie, nie odważyła się zachęcać go do czegoś więcej poza codzienną godziną randką w parku, pocałunkiem, liścikiem czy choć trzymaniem się za ręce; za to jednak zrobiła wszystko, na co może się odważyć dobrze wychowana młoda dziewczyna, by wydać się jak najatrakcyjniejszą. W roku 1987, kiedy modnym ciuszkom nie dane było spełniać swej roli, zbyt wiele nie udało się jej osiągnąć. Z tego, co Gene był w stanie zobaczyć, Doreen mogła mieć równie dobrze figurę Afrodyty jak i babki Afrodyty.

W każdym razie Gene miał co innego na głowie. Mył się i golił tylko przed spotkaniem z Doreen, spał i jadł, kiedy o tym nie zapominał, i czasem szedł do toalety; a poza tym spędzał cały czas przy maszynie do pisania. Musiał się spieszyć: wydawcy płacą za doręczony im materiał dopiero po jakimś czasie, a Gene chciał zakończyć wszystkie prace przy książce, zanim Belinda wróci z Kanady.

Taki system pracy odpowiadał mu najbardziej. Zazwyczaj autor musi mieć czas na poprawki i przemyślenia, a czasem zdarza mu się, że potrzebuje wyrzucić pewne partie tekstu. Ale Gene znał doskonale swoją powieść, bohaterów, wszystko. Wiedział również, że tym razem Jedna twarz dla niebios była jeszcze lepsza i ta świadomość pomagała mu w pracy.

Ignorując pełne tęsknoty aluzje Doreen wrócił do domu, by znowu zabrać się do pracy. Kiedy zrobiło się już bardzo późno, był tak blisko końca, że postanowił kontynuować pracę; około siódmej rano wystukał szczęśliwie ostatnie słowa i padł jak nieżywy na łóżko.

Kiedy ponownie otworzył zaspane oczy, Doreen pochylała się nad nim. Z wyraźnym zaskoczeniem spostrzegł, że nawet przy obecnej modzie widok, jaki się otwiera, gdy nachyla się nad kimś uroczą osiemnastolatka, może być bardzo obiecujący.

Nie podniósł się. - Jak się tu dostałaś? - spytał niewyraźnie. - Czy musiałaś zastrzelić panią Schukelmacher?

- Twoją gospodynię? Oczekałam, aż wyjdzie. Gene, ty masz tu istny chlew. Mieszkasz jak prosię.

- Wiem o tym - westchnął. Usiadł, krzywiąc się; Doreen już się nad nim nie pochylała. Gardło płonęło mu od zbyt wielu papierosów, bolała go głowa i miał nieziemskiego kaca, co już było niesprawiedliwe, bowiem nie pił alkoholu w żadnej postaci od roku 1998.

Doreen otworzyła szeroko okno; był to dobry pomysł, ponieważ klimatyzacja w tym pokoju, po pierwszej próbie uporania się z unoszącą się w nim szaroniebieską mgłą, poddała się. Temperatura musiała dochodzić do czterdziestu stopni, powietrze było w całości zużyte, toteż nic dziwnego, że język Gene'a zdawał się czterokrotnie większy niż zwykle, a czaszka sześć razy za mała.

- Przyszłam tu, kiedy nie znalazłam cię w parku - odezwała się Doreen. - Bałam się, że i ty...

Odwróciła się szybko i zaczęła zbierać porozrzucane rzeczy. Gene wstał, kołysząc się. Coś sobie przypomniał.

- Dziś jest sobota - powiedział.

- Tak.

- Nie pracujesz dzisiaj.

- Nie.

- Zazwyczaj wyjeżdżasz na weekendy do domu.

Nie odpowiedziała. Nadal nie patrzyła na niego.

Było już za późno na odwrót. Wczoraj powiedziała mu, że następnego dnia spotka się z nim jak zwykle; teraz zdał sobie sprawę, że została specjalnie w mieście, żeby dotrzymać obietnicy. Poprzedniego dnia nie uświadamiał sobie tego, zbyt pogrążony w Jednej twarzy dla niebios, by zauważyć cokolwiek.

Wiedział, że jeśli teraz jej powie, że musi pracować, to dziewczyna pokornie odejdzie, rozczarowana i urażona, ale dzielnie skrywając te uczucia. Usilnie starając się racjonalnie myśleć zdecydował, że znacznie lepiej byłoby, gdyby tak postąpiła.

Ale gdyby odesłał ją z kwitkiem, czułby się jak ostatni cham. Gdyby kazał jej odejść, byłby chamem. A poza tym głupcem.

- Doreen - rzekł - zostawmy ten pokój w takim stanie, w jakim jest; jedźmy poza miasto, popływać, poleżeć na słońcu, może wybrać się wieczorem na tańce. - Myśl o kąpieli przyprawiła go o dreszcze, ale wiedział, że będzie po niej jak nowo narodzony.

Oczy Doreen zabłyśły. - Cudownie, Gene, ale... co z twoją książką?

Wziął do ręki stos kartek i zaczął je układać w zgrabny prostopadłościan. - Skończona - odparł z zadowoleniem. - Powinienem przejrzeć ją, wyrzucić anachronizmy, ale do diabła z tym... Wydawcy spodoba się i w takiej postaci, a retusz można zrobić później.

Zaczął niezgrabnie owijać gruby plik kartek brązowym papierem do pakowania.

- Może ja to zrobię - zaoferowała się Doreen.

- Bardzo proszę.

Kiedy dziewczyna była zajęta pakowaniem, Gene wziął prysznic i włożył swoje najbardziej przewiewne ubranie. Nic nie jadł, tylko wypłukał sobie usta. Kiedy wydobrzeje i zgłodnieje, można będzie pomyśleć o jedzeniu.

Oboje wyszli z ponurej kamienicy. Gene wysłał maszynopis do wydawcy, po czym lekkomyślnie wynajął stary samochód i zawiózł Doreen do mieszkania, które dzieliła z inną dziewczyną.

Zanim weszła do środka, zawahała się. - Gene, czy ty mówiłeś poważnie o pływaniu? - zapytała.

- Oczywiście, a bo co?

- Och, nic. - Ale nadal się wahała.

- O co chodzi? Nie umiesz pływać?

- Umieję, ale... mój kostium... nie jest... jest stary i...

Zrozumiał. - Obiecuję, że mną to nie wstrząśnie - przyrzekł uprzejmie.

Nie bardzo wiedziała, jak przyjąć jego słowa, ale weszła powoli po schodkach, podczas gdy on czekał w samochodzie.

Przejechali już spory kawał, gdy Gene stał się wściekle głodny; wtedy zatrzymali się w przydrożnej restauracji na lunch. Kupili parę kanapek, po czym pojechali dalej, aż znaleźli jezioro jeszcze nie skażone przemysłem.

Do tego stopnia było ono dziewicze, że podczas dojazdu do niego samochód utknął i musieli go zostawić, blokując tak zwaną drogę. Gdy dotarli na miejsce, pokonując resztę drogi piechotą, nad jeziorem nie było nikogo poza nimi i nikogo nie należało się spodziewać, skoro samochód stał na drodze.

Kiedy Doreen z wahaniem wyłoniła się z krzaków w dwuczęściowym kostiumie, który może pasował na nią w wieku lat piętnastu, ale obecnie był cudownie skąpy, Gene'owi zawirowało w głowie. Na całe dwie sekundy zapomniał o Belindzie.

To, że nigdy przedtem nie oglądał nawet jej odkrytych ramion czy kostek u nóg, sprawiło, że wstrząs był bez mała śmiertelny. Pozbierał się jednak.

- Kochanie - rzekł słabym głosem - wejdź do wody, zanim stracę panowanie nad sobą.

Przelknęła ślinę i odparła beztrasko: - Nie wiem, czy uciekłabym od ciebie z wrzaskiem, gdyby tak się stało, Gene.

Gene Player stoczył ze sobą krótki, lecz zaciekły bój. Podczas tej walki ze sobą usilnie starał się nie patrzeć na Doreen, bo gdyby spojrzął, nie byłoby żadnej walki.

Dziewczyna była po raz pierwszy zakochana i jak wszyscy w tej sytuacji, gotowa była porzucić wszelkie zahamowania. Gdyby nie Belinda...

Wygrał tę bitwę. - Chodźmy popływać - powiedział.

Później kiedy leżeli na słońcu, opowiedział Doreen o swoim retro. Nie uznał jednak za stosowne przyznać się, że robił to już dziewięć razy.

Nie miał kłopotów z przekonaniem jej. Doreen słyszała już o retro.

- To naprawdę działa? - spytała. - Przybyłeś tu z roku 1998?

- To nie jest tak, Ja, ten tutaj, nigdy faktycznie nie przenosiłem się poza rok 1987. To oznacza tylko, że wiem, co stało się w ciągu następných jedenastu lat w innym wszechświecie - nie w tym.

Wzrok jej błędził, zdziwiony, szukając jego oczu. Zastanawiała się, co to ma wspólnego z nią, jaki może mieć wpływ na jej stosunek do Gene'a.

Opowiedział jej o swej książce, o tym, że będzie ona wielkim bestsellerem.

- Dlaczego po prostu nie grasz na wyścigach? - spytała. - Albo na giełdzie? Albo...

- W tej sprawie będzie wkrótce ogromny proces sądowy - odparł. - Wielka firma prowadząca totalizator złoży pozew przeciwko Korporacji Drugiej Szansy oraz kilku osobom, które wygrały wysokie sumy, pod zarzutem, że retro psuje cały interes. Widzisz, nie można ustalić, czy ktoś jest po retro, czy nie, bez poddania go hipnozie lub działaniu odpowiednich środków farmakologicznych. Zostanie wydane zarządzenie, że jeśli ktoś szybko zrobi duże pieniądze spekulując na inwestycjach, ubezpieczeniach czy też innych formach prawnie dopuszczalnego hazardu, może zostać poddany przesłuchaniu za pomocą hipnozy lub farmaceutyków. Jeśli okaże się, że jest po retro, jego pieniądze zostaną skonfiskowane.

Doreen była zaciękwiona. - Powiedzmy, że zamiast samemu zajmować się spekulacją, dany osobnik sprzedaje odpowiednie informacje?

- Logicznie rozumiesz - odrzekł Gene z podziwem. - Owszem, tego też będą próbować. I też nic z tego nie wyjdzie, ponieważ kogokolwiek by nie przesłuchiowano, zawsze zdradzi źródło swoich informacji, o ile jest takie, i w ten sposób wyśledzi się je. Nie, retro nie daje łatwych zysków. Moja książka, to co innego. Naprawdę sam ją napisałem.

- A gdyby ktoś ci ją ukradł? To znaczy, zrobił retro, napisał ją i sprzedał jako własną?

- Musiałby mieć ją całą w głowie, a to nie jest takie łatwe dla innych osób poza właściwym autorem.

Doreen dalej z zapalem rozmawiała o różnych aspektach retro i Gene uświadomił sobie z mieszanymi uczuciami, że udało mu się zmienić temat aż nazbyt dobrze. Godzinę wcześniej oddałaby mu się z ochotą. Teraz zaś mówiła o nim, jakby był tematem z tygodnika ilustrowanego.

Jemu Doreen nie wydawała się inna. Wciąż jeszcze miała na sobie biały dwuczęściowy kostium dający stuprocentowe pojęcie o cudownym kształcie jej piersi, o zapierającej dech talii ozdobionej w środku, niczym wiśnią, małym różowym pępkiem; o długich, smukłych nogach, które wyglądały coraz lepiej w każdej nowej pozycji, w jakiej je ułożyła, a także o wszelkich innych dodatkowych atrakcjach.

Zmusił się, by skupić uwagę na wyjaśnianiu jej powodów, dla których zdecydował się na retro.

- Doreen - rzekł - miałem swój powód. Dobrze o tym wiesz.

Natychmiast w jej oczach pojawił się ów wyraz zaskoczenia i zwątpienia, oznaczający, że zastanawia się, czym był ów powód, jeśli chodzi o nią i Gene'a.

- Nie mogę ci jeszcze go wyjawić - powiedział - jeszcze nie teraz. Czy możesz trochę poczekać, tydzień czy dwa?

- I co wtedy? - szepnęła.

- Nie wiem. - Znowu czuł się jak osioł. Jego pytanie miało właściwie znaczyć: Czy zaczekasz, póki ci łaskawie wyjawię, że inna dziewczyna mnie nie chciała?

- Nie będziemy się mogli spotykać przez ten czas?

- Hm... powiedzmy, że pozostaniemy przy naszych randkach w parku?

Twarz jej znowu pojaśniała. Cokolwiek, byleby nie wypaść z jego życia.

Zerwał się na równe nogi. Robiło się chłodno; zbliżał się wieczór. - Chodźmy gdzieś potańczyć.

- Jeszcze tylko jedno, Gene - powiedziała. - Ostatnie pytanie: czy spotkaliśmy się w poprzednim wszechświecie?

- Nie - odrzekł.

Wyszeptala coś, czego nie dosłyszał. Nie chciała powtórzyć, nawet kiedy ją o to poprosił.

Kiedy znowu ukazała się w zapiętej po szyję długiej, szarej sukni, a jej cudowna figura pozostała zaledwie wspomnieniem, łatwo było wmówić sobie, że Doreen znacznie ustępuje urodą Belindzie, nawet jeśli nie liczyć innych cech, które ta ostatnia miała, a Doreen nie.

Tym razem wydawcy zaoferowali zaliczkę dziesięciu tysięcy dolarów, co trochę zaskoczyło Gene'a. Poprzednio dostawał tylko siedem i pół tysiąca.

Jak poprzednio, nastąpiły targi o wydanie w odcinkach, jednak bez powodzenia. Poza tym dwie wytwórnie filmowe usłyszały o powieści, zażądały egzemplarzy, po czym wystąpiły ze śmiesznie niskimi ofertami, które Gene odrzucił.

Dziesięć tysięcy wystarczało zupełnie na bieżące potrzeby Gene'a. Wiedział, że prawdziwe pieniądze za książkę nadejdą w ciągu ośmiu miesięcy.

Pewnej lipcowej niedzieli spotkali się jak zwykle z Doreen w parku. Namawiał ją, żeby na ten weekend wyjechała do domu, ale nie chciała; mówiła, że i tak ma coś do roboty w mieście i może się z nim zobaczyć jak zwykle.

Gene zastanawiał się, czy nie jest aby to ich ostatnia randka w parku.

Po spotkaniu, odpowiednio rozkładając w czasie to, co miał zrobić, pojechał swoim niedawno nabytym chevroletem, model 1984 - nie takim samym jak poprzednio, ale to było bez znaczenia - na pewien bulwar, gdzie skręcił chcąc zaparkować.

Zaklął z wściekłością.

Dokładnie w miejscu, w którym Gene chciał stanąć, znajdowała się taksówka. Jednak pasażerka, starsza kobieta, już płaciła kierowcy, a ten na pewno ruszy za kilka sekund.

Ale, niestety, nie zrobił tego. Taksjarsz, flegmatyczny mężczyzna o chudej twarzy i stalowo-siwych włosach, wyjął z kieszeni jabłko i zaczął je żuć w zamyśleniu.

Gene'a zaczynała ogarniać rozpacz. Taksówka zapewne odjedzie w ciągu kilku minut, ale rzut oka na zegarek uświadomił mu, że tych minut nie pozostało za wiele. Jeśli kierowca poświęci zbyt dużo czasu na to jabłko, będzie za późno.

Trzeba go było stamtąd usunąć.

Wpadł mu do głowy dziki pomysł, żeby staranować taksówkę. Ale to na nic; byłaby rozróżba.

Zastanowił się, czy nie wskoczyć do taksówki i kazać się gdzieś wieźć. Mógłby niby coś sobie przypomnieć i wysiąść. Albo mógł polecić taksówkarzowi, by objechał okoliczne domy.

Ale brakowało mu już czasu.

Gene wyskoczył ze swego chevroleta i podbiegł do taksówki.

- Czy może pan przekazać wiadomość? - rzucił bez tchu. - To bardzo ważne.

Siwowłosey kierowca wyjął z wahaniem jabłko z ust i miał już coś powiedzieć, kiedy przed jego oczami pojawił się otwarty portfel Gene'a.

- Jasne - odezwał się. - Co to ma być i gdzie?

- Panna Doreen Barrett - rzekł Gene. Podając adres dziewczyny usiłował wymyśleć jakąś wiadomość, jakakolwiek.

- Niech pan jej powie - odezwał się w końcu z wahaniem - że zadzwonię o ósmej wieczorem. I niech się pan pośpieszy, dobrze?

Taksówkarz nie ukrywał swego przekonania, że coś w tym wszystkim nie gra, ale studolarowy banknot Gene'a był bez wątpienia faktem rzeczywistym. Wziął go, wrzucił bieg i odjechał.

Niemal w tej samej chwili, w której koła taksówki zaczęły się obracać, Gene siedział już z powrotem w swoim wozie i ustawiał go w pożądanym miejscu. Spojrzał na drzewa rosnące po obu stronach bulwaru i stwierdził, że trochę źle stanął. Zaczął cofać samochód; jednocześnie zobaczył nadjeżdżającego szybko łososiowego cadillaca.

Omali nie wybuchnął zobaczywszy starego taksjarsza, który nachylał się ku niemu.

- Mówił pan o siódmej czy o ósmej?

- O ósmej - Gene niemal wrzasnął i taksówkarz ruszył do swego samochodu stojącego dwadzieścia metrów dalej. Gene ponownie zakręcił szybę.

Idący chodnikiem taksówkarz zatrzymał się i obejrzał. Jego oczy rozszerzyły się; a gdy Gene usłyszał zgrzyt hamulców i pisk opon, stary człowiek na chodniku wyrzucił obie ręce do góry.

Głowa Gene'a uderzyła boleśnie o boczną szybę, gdy łososiowy cadillac zmiażdżył tył chevroleta i ustawił go w poprzek jezdni. Oszołomiony, obolały, ledwie przytomny, Gene opadł głową na kierownicę.

Jak przez mgłę dotarła do niego świadomość, że uderzył głową mocniej niż przy poprzednich razach.

Chwilę później drzwi jego wozu otworzyły się, ktoś kto bardzo ładnie pachniał, wśliznął się na sąsiednie siedzenie i nagle głowa Gene'a spoczęła na czyjejs miękkiej piersi, podczas gdy jakaś ręka łagodnie badała jego głowę. Spróbował unieść wzrok.

Była tak cudowna, jak zawsze. Wspaniałe czarne włosy, najładniejsze, najsympatyczniejsze oczy, jakie w życiu oglądał, twarz tak urocza, że dech mu w piersiach zaparło jak zawsze, a także figura, która zdradzała swą doskonałość nawet poprzez spowijającą ją długą niebieską suknię.

- Panienko, takie osoby jak pani, powinny jeździć tylko taksówką - mówił jakiś głos. - Jezu, żebym to ja tam stał, przywaliłaby mi pani jak nic!

Irytacja usunęła część oszołomienia Gene'a. Przy poprzednich razach Belinda i on mieli tę chwilę tylko dla siebie.

- Nic mi nie jest - odezwał się.

- Bardzo mi przykro - mówiła Belinda. - Była tam kałuża oleju...

- Panie, jak pan chce świadka - odezwał się ten drugi głos, którego Gene chciał jak najszybciej się pozbyć - to ja służę. Takie jak ona...

- Nic mi nie jest - upierał się Gene. - Niech pan dostarczy tę wiadomość.

- Doznał pan silnego wstrząsu - powiedziała Belinda. - Ja tu niedaleko mieszkam. Czy dojdzie pan tam sam, przy mojej pomocy?

To była ostatnia rzecz, którą sobie uświadamiał przez jakiś czas. Miał niejasne pojęcie, że taksówkarz na tyle przewyciężył swoje oburzenie, że zdecydował się pomóc Belindzie zaprowadzić go do jej domu. Gene'owi kołatała się po głowie jedna myśl: To coś nowego. To się jeszcze nie zdarzyło.

Poprzednio zawsze odwoziła go do domu. Nigdy nie zaprosiła go do siebie.

Kiedy znowu otworzył oczy, leżał na kanapie, a Belinda przemywała mu głowę zimną wodą. Wyglądało, że pozbyła się taksówkarza.

- Niech pan leży spokojnie - odezwała się. - Zaraz zadzwonię po doktora.

Nie chciał oglądać lekarza. Chciał, żeby Belinda dalej się nim zajmowała.

- Nie warto - powiedział. - Już mi lepiej.

- Też mi się tak zdaje - odparła, łagodnie przemywając mu głowę - ale wolałabym się upewnić.

- Jestem uczulony na lekarzy. A pani spisuje się znakomicie.

Twarz jej rozjaśniła się w tym cudownym, ciepłym uśmiechu.

- No, dobrze - rzekła. - Nie będę denerwować pacjenta. Teraz muszę wyjść i przesunąć samochód. Niech pan tu leży i o nic się nie martwi. To była wyłącznie moja wina i każe natychmiast naprawić pański wóz.

Kiedy wyszła, Gene znowu poczuł zawroty głowy. Bez wątpienia uderzenie w szybę było silniejsze niż poprzednio. Stało się tak zapewne dlatego, że w pośpiechu postawił chevroleta niedokładnie tam, gdzie było trzeba.

Zamyślił się nad tym, jak to niewielkie różnice stwarzały zupełnie nowy ciąg, wypadków. Już teraz, kilka minut po spotkaniu Belindy po raz pierwszy, znajdował się na zupełnie nowym torze zdarzeń. Był w jej domu. Poprzednio kończyło się na tym, że odwoziła go do jego mieszkania. Teraz było lepiej, znacznie lepiej.

Nadal oszołomiony, zastanawiał się, czy kiedykolwiek uda mu się zidentyfikować któryś z tych punktów zwrotnych przed faktem, a nie później. Co sprawiło, że Belinda zabrała go do siebie, a nie odwoziła go? Być może obecność taksówkarza. A najpewniej to, że tym razem jego obrażenia były poważniejsze. Poprzednio stwierdzała, że nic mu się poważnego nie stało, i odwoziła go. Tym razem było gorzej i wzięła go do siebie, by wypoczął.

Złapał się na tym, że myśli o amutantach. Niektórzy teoretycy twierdzili, że są to punkty styku równoległych wszechświatów. Retro wykazało, że istnieje coś takiego, jak wolna wola, i że prawie wszystko można zmienić. Prawie wszystko. Z wyjątkiem eksplozji w Pittsburgu w roku 1993, zwycięstwa Bolseya nad Homeierem, miłości Belindy Morton do Harry'ego Scotta...

Nie, to akurat nie. Wiedział o tym, nie miał najmniejszej wątpliwości, że gdyby nie Harry Scott, Belinda równie dobrze mogłaby pokochać Gene'a Playera. To zostało stwierdzone setki razy w ciągu jedenastu lat pomnożonych przez dziewięć.

A jednak, jak to przyznał Belindzie, nie mógłby zamordować Harry'ego.

Pozostawało mu jedynie przyciągnąć uwagę Belindy do Gene'a Playera, zanim tę uwagę skupi całkowicie na Harrym. Sprawić, żeby zakochała się w nim, a nie w Harrym.

Teraz.

Belinda poznała już Harry'ego, a teraz spotkała jego. Miał wszelkie powody przypuszczać, że teraz, właśnie w tej chwili, nie była zakochana w żadnym z nich. Kilka dni potem będzie za późno.

Teraz był punkt zwrotny.

Wróciła Belinda. - Niech się pan nie rusza - powiedziała. Usiadła przy nim na kanapie, spojrzała na jego głowę i w jej oczach pojawił się niepokój.

- Znowu krwawi - rzekła. - Na pewno nie chce pan, żebym zadzwoniła po lekarza?

- Na pewno - powiedział Gene. - Zaraz będzie dobrze. A nawiasem mówiąc... jestem Gene Player.

- Ja się nazywam Belinda Morton. Player... zdaje się, że mamy wspólnego znajomego. Zna pan może Harry'ego Scotta?

- Tak - odparł Gene. Błagał los, by Belinda nie dotknęła teraz jego głowy, gdyż wyczułaby kołatanie serca. Oto miał okazję stwierdzić wcześniej niż kiedykolwiek, co dziewczyna czuje do Harry'ego. Miał wcześniejszą sposobność, by sam się o nią upomnieć. Szansę, by odebrać ją Harry'emu, gdyż w miłości i na wojnie wszystkie chwytaki są dozwolone.

- Opowiadał mi o panu - rzekła. - Harry to mój wielki przyjaciel. Właściwie, to...

Zerwała się na nogi. - Muszę znowu przemyć panu głowę - powiedziała. Po chwili była już z powrotem, z gąbką namoczoną w zimnej wodzie.

- Nawet nie umiem wyrazić, jak bardzo mi przykro - odezwała się znowu. - Zahamowałam zbyt gwałtownie, koła pośliznęły się w oleju i...

- Niech pani już tak nie przeprasza - rzekł Gene. - Jakoś coraz bardziej jestem zadowolony, że tak się stało.

Roześmiała się uroczo. O, Belinda to nie była Doreen. Miała w sobie tyle spokoju, pewności siebie.

- To najmiłszy komplement w moim życiu - odparła. - A pan to tak powiedział, jakby pan naprawdę tak myślał.

- Bo tak jest. Gdybym tak nie myślał, cóż byłby wart ten komplement? Może ja z kolei przeproszę. Zdaje się, że poplamilem krwią pani suknię.

Uśmiechnęła się. - A czy to takie ważne?

Gene uświadomił sobie, że przed spotkaniem z Belindą miał jakąś niejasną nadzieję, iż wsparty miłością Doreen stwierdzi, że właściwie mu nie zależy na Belindzie aż tak bardzo, i że powróci, szczęśliwy, do Doreen. Ale nic z tego nie wyszło. Znowu był zakochany po uszy w Belindzie.

Spowodowała to jej serdeczność, jej dobroć, jej szczerość. Była dla niego miła nie tylko dlatego, że mógłby złożyć na nią skargę albo żeby uspokoić własne sumienie, albo żeby przekonać samą siebie o swojej wzorowej postawie.

To właśnie jej dobroć, jej serdeczność sprawiały, że Gene kochał ją, mimo że uczucie Belindy do Harry'ego Scotta nigdy nie uległo zmianie. Choć kochała Harry'ego, starała się nie ranić uczuć Gene'a.

I raz jeszcze, przez te błahe słowa, które oboje wypowiadali, wyczuł jej serdeczność, dobroć i szczerość, i jak poprzednio, pożałował jej aż do bólu.

- Czemu jest pan uczulony na lekarzy? - spytała.

- Jeśli pani chce znać prawdę, to właściwie nie jestem uczulony. Po prostu obawiam się, że lekarz może stwierdzić, iż symuluję, i wtedy nie będę miał żadnego usprawiedliwienia, by tu leżeć i patrzeć na panią.

Belinda znowu się roześmiała. Jednak w jej śmiechu pojawiła się nutka zdziwienia. Głos Gene'a brzmiał tak, jakby mówił szczerze. Ale przecież nie mógł mówić szczerze. Przecież nigdy przedtem go nie spotkała.

- Mówi pan tak, jakby pan był doświadczonym podrywaczem - zauważyła.

Westchnął. - Więc jeśli powiedziałbym, że zakochałem się w pani od pierwszego wejrzenia, to po prostu potwierdziłbym pani opinię?

- Na pewno.

- Więc lepiej nie powiem tego.

Zmarszczyła brwi. - Niech pan tego nie robi, panie Player - rzekła.

- Czego mam nie robić?

- Niech pan nie mówi, czego pan naprawdę nie myśli. Mam staromodne poglądy. Lubię prawdę. Lubię wierzyć, że to, co słyszę, jest prawdą. Przykro mi, gdy słyszę, jak ktoś kłamie z takim przekonaniem.

- A może jest prostsze wytłumaczenie?

- Jakie?

- Że po prostu mówię prawdę. Że cię Kocham... Belindo.

Nie wiedziała, co powiedzieć, a to jej się rzadko zdarzało. Przypomniała sobie o zakrwawionej sukni i uchwyciła się tego, jako pretekstu, by coś zrobić.

- Przepraszam na chwilę; muszę się przebrać - powiedziała. - Proszę się nie ruszać.

- A naprawdę myślisz, że poszedłbym stąd?

Rzuciła mu ostatnie, figlarne spojrzenie i już jej nie było.

Gene wiedział, że ostro blefuje. Może odrzuca znakomitą okazję. A może stwarza sobie taką. To było coś, co nigdy przedtem się nie zdarzyło między nim i Belindą; znacznie wcześniej niż poprzednio cokolwiek między nimi zaistniało. Tym razem mogło się udać. Wszystko inne zawiodło.

Zadzwonił telefon stojący na stoliku obok kanapy. Gene podniósł słuchawkę.

- Belinda? - spytał głos, który był mu znany.

- Nie... a zgadnij kto - odparł.

Nastąpiła chwila pełnego zdziwienia milczenia. - Gene Player - rzekł głos Harry'ego. - Nie wiedziałem, że znasz Belindę. - Jego ton sugerował, że nie bardzo mu się to podobało.

- No więc znam - powiedział Gene.

- Czy już wróciła? Na pewno tak, bo inaczej ciebie by tam nie było. Mogę ją poprosić?

- Nie ma jej tu w tej chwili. Czy ma do ciebie zadzwonić, jak wróci, Harry?

- To już chyba nie ma znaczenia. - Głos zdradzał lekkie rozdrażnienie. - Jeśli nie pamiętała, że ma się ze mną spotkać...

- O, naprawdę? Nic nie wiedziałem. Nie mówiła mi o tym.

- No pewnie, że nie. - Tym razem irytację słysząc było wyraźniej. - No, nieważne. Do zobaczenia.

Serce Gene'a znowu załomotało. Tak, to był naprawdę punkt zwrotny. Poprzednio było tak: Belinda spowodowała drobny wypadek samochodowy, co było okazją do poznania Gene'a; odwiozła go do domu, po czym udała się na spotkanie z Harrym. Ten był stęskniony po długiej nieobecności Belindy, a Gene nie zdążył się jeszcze zapisać w jej życiu. Kiedy widział się z nią ponownie pięć dni później, było już za późno.

Tym razem było tak: Belinda spowodowała poważniejszy wypadek i uważała, że powinna zabrać Gene'a do siebie, by zebrał siły, postanawiając jednocześnie, że Harry może poczekać. Gene już stawał się kimś w jej życiu, a spotkanie z Harrym w ogóle nie nastąpi, jeśli Gene'owi uda się temu zapobiec.

Myślał intensywnie, co ma jej powiedzieć, gdy wróci. Nie wspomnieć o telefonie? Ale później Harry powie jej, że dzwonił i rozmawiał z Gene'em.

Nie miał czasu na dłuższe rozmyślenia, bowiem Belinda już była z powrotem, okryta jedwabnym szlafrocikiem w kwiaty. Przez kilka sekund Gene wytrzeszczał na nią oczy. Belinda nie należała do kobiet, które mają zwyczaj zabawiać zupełnie nieznanymi mężczyznami w szlafrociku.

- Czy ktoś dzwonił? - zapytała.

A więc wszystko się wyjaśniło. Belinda usłyszała dzwonek telefonu i wrzuciła na siebie, co jej wpadło w rękę. Jednak Gene postanowił odpowiedzieć zgodnie z prawdą.

- Owszem, Harry Scott - odrzekł. - Mówił, że coś jest nieważne.

- Ach, tak.

- On nie jest moim rywalem, prawda? - zapytał Gene.

Spojrzała na niego, po czym roześmiała się bezradnie. - Jeszcze nigdy nie spotkałam kogoś takiego, jak ty. Leżysz na mojej kanapie, broczysz krwią, a jednocześnie ostro zalecasz się do mnie pięć minut po tym, jak rąbnęłam twój wóz wybijając ci dziurę w głowie.

- Usiądź koło mnie i przynieś ulgę mojej rozpalonej głowie - zaproponował.

Zrobiła to. Jej szlafrok rozchylił się, ale nie poprawiła go. Nie dlatego, żeby pod spodem nic nie miała; ubrana była w halkę, która w każdym innym roku poza 1987 mogłaby służyć za zupełnie przyzwoitą suknię. Ale też i nie można powiedzieć, że starała się go zachęcić.

- No więc jest nim? - ponowił pytanie Gene.

- Kto i kim?

- Harry, moim rywalem?

Roześmiała się znowu. - Właściwie nie. To tylko dobry przyjaciel. A skoro stwierdził, że nie zależy mu na tym, czy spotkam się z nim dzisiaj, czy nie, to może nawet nie jest to taki dobry przyjaciel.

Gene'owi wydawało się, że dla niej to już też nie ma znaczenia.

I wiedział, że zwyciężył.

Nie po tygodniach, miesiącach, latach, jak się spodziewał. Nie po wielu staraniach. Nie za pomocą błyskotliwych planów, namiętnych zalotów, czułych liścików miłosnych.

Wystarczyło po prostu mocniejsze uderzenie w głowę oraz szczere wyznanie miłości, nim Harry miał okazję zrobić to samo.

Nie zdobył jej jeszcze do końca, ale miał już wszelkie szansę. Coś, co nigdy przedtem mu się nie trafiło.

A więc nie miał do czynienia z amutantem.

Ale teraz był czas by wyjaśnić jedną sprawę, nim będzie za późno. -

- Słuchaj, Belindo - zaczął. - Przed chwilą był ten telefon od Harry'ego. Nie chciałem... powiedziałaś, że nienawidzisz kłamców. Nie chciałem, żebyś kiedyś pomyślała, że skłamałem. Harry powiedział, że to nieważne dopiero po tym, jak mu dałem do zrozumienia, że kocham ciebie. Jeśli o mnie chodzi, nie było to kłamstwo.

Patrzyła nań bez zmruczenia oczu. - Nie - odrzekła - jestem pewna, że nie było.

Usiadł. Od wysiłku pokój zafalował mu przed oczyma, ale schwycił ramiona Belindy i już było dobrze. Szybkie działanie zaprowadziło go daleko, jak dotąd. Nie wyglądało na to, by tym razem miałyby być inaczej.

Pocałował ją.

I wtedy rozległ się dzwonek u drzwi.

Mogli nie zwracać na niego uwagi, ale Gene odruchowo odsunął się od Belindy myśląc, że to może Harry; i zanim zdążył uświadomić sobie, że Harry nie zdążyłby się zjawić tutaj, nawet gdyby dzwonił z najbliższej budki, było już za późno, by powrócić do pocałunku.

Belinda podniosła się i wyszła.

Pięć sekund później do pokoju wpadło tornado. Było płci żeńskiej i zalewało się łzami. Rzuciło się do nóg Gene'a, płacząc teraz już z ulgi, bo okazało się, że obrażenia nie są poważne.

Była to oczywiście Doreen.

- Otrzymałam wiadomość od ciebie - powiedziała. - Człowiek który ją przyniósł, mówił, że jesteś ranny. Och, Gene, nie chciałabym więcej przeżywać czegoś takiego. Wiem, co uzgodniliśmy, ale kocham ciebie, nic na to nie poradzę, kocham cię.

Ponad jej jasną głową Gene zobaczył wchodzącą Belindę. Była zdziwiona, lekko urażona. Tylko bardzo lekko, bo przecież na tym etapie jeszcze nie była w nim zakochana.

Wiedział, że może ją jeszcze odzyskać. Wystarczy kilka chłodnych, uprzejmych słów wypowiedzianych do Doreen, by wykazać, że choć ona go kocha, dla niego nic nie znaczyła; dziewczyna opanuje się wówczas z ogromnym wysiłkiem i odejdzie. Mógł powiedzieć Belindzie prawdę o Doreen i Belinda uwierzyłaby, bo to rzeczywiście była prawda.

Oczy ich spotkały się ponad głową Doreen i zauważył, że Belinda zatrzymuje się nagle i bacznie mu się przygląda. Wpatrywała się w niego, w jego oczy, a jej własne łagodniały coraz bardziej.

Dopiero wtedy zdał sobie sprawę, że jego oczy są pełne łez, i pojął ich powód.

Nie mógł tego zrobić. Znowu stracił Belindę. Wciąż ją kochał i zawsze będzie ją kochał. Ale kochał również Doreen i wiedział już, że będzie to ona, a nie Belinda.

Belinda nie uwierzyłaby w to, co chciał jej powiedzieć o Doreen, bo nie byłaby to prawda. A więc jednak miał do czynienia z amutantem.

Kilka dni później zabrał Doreen na walkę Bolseya z Homeierem. Nie bardzo chciała iść, ale z Gene'em poszłyby na koniec świata.

Homeier od samego początku niemiłosiernie okładał Bolseya i wygrywał każdą rundę. Bolsey zbierał tyle ciosów, że ledwie mieścił się w limicie, powyżej którego walka zostałaby przerwana. Doreen robiło się niedobrze i chciała wyjść.

W ostatniej rundzie, gdy do końca walki został jedynie końcowy gong, Bolsey ułokował jeden celny cios i było po krzyku.

Bolsey po prostu musiał zwyciężyć.

Były takie rzeczy, które musiały się zdarzyć, obojętnie w jaki sposób.

- Nie, kochanie - szepnął Gene, gdy nic nie rozumiejącego Homeiera wyprowadzono z ringu - nie jestem kibicem boksu. Chciałem tylko coś sobie udowodnić, abyśmy mogli być szczęśliwi.

Spojrzała nań zaskoczona, ale nic więcej nie powiedział.

Nie zwracałem uwagi na to na wpół tylko ludzkie stworzenie, które czołgało się u moich stóp jęcząc "Błagam! Błagam! Błagam!". Zignorowałem je, jeśli nie liczyć odepchnięcia jego ręki, bo tylko tyle mogłem zrobić.

Porucznik Bill Easson, lat dwadzieścia osiem - trudno byłoby znaleźć bardziej niepozornego młodego człowieka. Ale teraz, bez własnej winy, byłem bogiem.

Nie mam zamiaru opowiadać całej historii ostatnich trzech tygodni. Można by nią wypełnić pokaźną bibliotekę. Toteż jeśli ktoś szuka tu jakiejś wielkiej sprawy, o której wie, i nie znajduje jej tu - albo zastanawia się, jak zamierzam wyjaśnić to czy tamto, i wyjaśnienia nie znajdzie - niech pamięta, że miałem do wykonania zadanie i nie starczało mi czasu na rozglądanie się.

Kiedy wszedłem na główną ulicę Simsville (3261 mieszkańców), wkrótce uwolniłem się od tego nieszczęśnika czepiającego się moich nóg. Dwaj miejscowi włóczędzy, gdy mnie poznali, odciągnęli go. Nie wiem, co z nim zrobili; nigdy więcej go nie widziałem.

Pat Darrell automatycznie przyłączyła się do mnie. Nawet się nie przywitała.

Trochę ponad dwa tygodnie temu, gdy przyjechałem do Simsville, zgłosiła się do mnie jako pierwsza. - Nie mam w tym żadnego interesu - zapewniła mnie od razu. - Po prostu taki jest mój przyjacielski charakter. Nie chcę tego, czego chcą wszyscy. W każdym razie nie spodziewam się tego. Więc może pan od razu wykreślić ten motyw.

Oczywiście, że miałem podejrzenia, traktując jej słowa jako nowy styl gry o tę samą starą stawkę. Każdy chce żyć. A ja przynosiłem ze sobą, ni mniej ni więcej, władzę nad życiem i śmiercią.

Stwierdziłem jednak później, że Pat wyraziła dokładnie to, co myślała. Była tak szczerą, jak jeszcze nikt w moim życiu. Już dawno pogodziła się z tym, że nie ma szczęścia. Nigdy niczego nie wygrała. Kiedy powiedziała mi o tym, spytałem z zaciekawieniem: - Nawet konkursu piękności?

- Byłam druga - mruknęła, jakby to wszystko tłumaczyło. I właściwie tak było.

Gdy szliśmy ulicą, Fred Mortenson zaszczycił nas z przeciwka beztroskim skinieniem ręki. Mortenson był przeciwieństwem Pat. Wiedział, że będzie żył; nie warto się było nawet zastanawiać nad inną możliwością. Udawało mu się tak wiele razy, w tych sprawach, że i teraz, w najważniejszej chwili, nie mogło być inaczej.

Mortenson miał rację; Pat również.

Powiedziano nam, że wybór musi być reprezentatywny. Nikt nie chciał, aby ludność nowej planety była dokładnie w tym samym wieku, tak że za kilka lat będą tam tylko czterdziestolatki oraz dzieci, a jeszcze później tylko starcy i dorastająca młodzież. Polecono nam więc wybrać reprezentatywną grupę osób, które, według nas, zasługiwały na to, aby żyć.

Nasze instrukcje były właśnie tak proste. Niektórzy ludzie nigdy nie potrafili tego zrozumieć. Marszczyli brwi i rozprawiali o wynikach badań lekarskich i psychologicznych, a potem obruszali się, zdjęci słusznym przerażeniem, gdy ktoś z nas powiedział im, co mogą zrobić z tymi wynikami. Byli to ci, którzy zawsze wszystko wiedzą najlepiej. Nie do nich należało wykonanie tego zadania, ale, oczywiście, to oni wiedzieli najlepiej, jak je należy wykonać.

Swoją listę ułożyłem wcześniej, przygotowany na to, że będę ją zmieniał w miarę następowania kolejnych wydarzeń; a tego, że będą następowały, byłem pewien. Wydawało mi się to najlepszym sposobem - mogłem przyglądać się tym, których wybrałem, i potwierdzić swój wybór albo zmienić zdanie. Lista zmieniała się szybko przez pierwszych kilka dni, ale później już nie.

Mortenson był na niej. Pat nie.

Powellowie też na niej byli, choć o tym nie wiedział nikt oprócz mnie. Naturalnie nikt oprócz mnie nie wiedział o moich planach. Powellów spotkaliśmy przed wejściem do baru Henessy'ego i zatrzymaliśmy się, by chwilę porozmawiać.

Marjory Powell stwierdziła, że mamy piękny dzień, a ja z wdzięcznością potwierdziłem. Powellowie, Pat oraz Sammy Hoggan byli jedynymi osobami we wsi, którzy traktowali mnie jak

zwykłego człowieka. Jack Powell był jednym z tych wysokich facetów, którzy tak łatwo się uśmiechają. Marjory, choć nie można było nazwać ją brzydką, obdarzona była jednak tak niewielką urodą, że dawno już przestała rościć sobie jakiegokolwiek do niej pretensje i poprzestała na byciu kimś.

Pat ich lubiła i ja też. Staliśmy i rozmawialiśmy z przyjemnością, i tylko świadomość, że spędzając z nimi zbyt wiele czasu sprowadzam na nich nienawiść i zazdrość innych, sprawiła, iż po paru minutach ująłem Pat za rękę i wprowadziłem do baru.

Powellowie nie zdawali się specjalnie przejęci cieniem, który zawisł nad światem. Wyrażali pogląd, że stało się to, co się miało stać, więc równie dobrze mogą dalej robić to co zwykle i ufać, że może coś się zmieni.

Gdy weszliśmy do środka, nastrój w barze wyraźnie się zmienił. Tak było wszędzie.

Byli tu oczywiście stary Harry Phillips oraz Sammy Hoggan. Wesoło pozdrowili nas skinieniem ręki. Pozostali po prostu nachmurzyli się jak dzieci, którym kazano zachować się grzecznie, a zaraz potem przyłapano je na psoceniu.

Przysiedliśmy się do Sammy'ego. Choć źle przyjął wieść o katastrofie, nie było z nim jeszcze najgorzej. Nigdy o tym nie mówił. Zamierzał pozostać nietrzeźwy przez resztę swojego życia. Był to taki typ pijącego, który siedzi nieporuszony i cały czas marnuje swe nerki.

- Witajcie, przyjaciele - odezwał się. - O tempora! O mores! Ave atque vale.

- Zrozumiałam pierwsze dwa słowa - powiedziała ostrożnie Pat.

- To wszystko, co umiem po łacinie, kochanie, więc zrozumiesz doskonale wszystko, co dalej powiem.

Chciałem mu postawić, ale zaczął błagać, bym tego nie robił. - Mam szczerą nadzieję, że Henessy nie opamięta się i nie pojmie, iż pieniądze nie mają już wartości - oświadczył. - Jeśli moja nadzieja się spełni, wkrótce będę musiał przestać pić: nie mam już więcej forsy.

Nie było w tym nic dziwnego, zważywszy na to, jak chlał od czasu, gdy przybyłem do wsi. Ale Pat zmarszczyła brwi. - Chce pan przestać pić? - powtórzyła po nim. - To czemu pan sam nie przestanie?

- Prostackom - westchnął Sam - wszystkie sprawy wydają się proste. - Wychylił drinka nawet nie zauważając tego. - Nie obrażaj się, kochana. Ale to jest tak. Gdybym cztery tygodnie temu miał tylko parę dolarów, wskoczyłbym w gorzałę tylko na bardzo krótko. Ale nie miałem szczęścia - starczyło na całe cztery tygodnie.

- Cztery tygodnie? - spytałem. - Więc...

Minęło już siedem tygodni, odkąd stało się jasne, że koniec świata, wielokrotnie obwieszczany w dziejach ludzkości, tym razem jest niechybny. I przeszły już dwa tygodnie i dwa dni od dnia, kiedy zacząłem swoją misję polegającą na wyborze dziesięciu mieszkańców Simsville, którzy mieli ten koniec świata przeżyć.

Z niesamowitą bezpośredniością ludzi bardzo pijanych Sammy odczytał moje myśli. - Sądysz, że piję, bo świat się kończy? - zapytał. Wybuchnął śmiechem. - Na Boga, ani mi to w głowie. Niech się kończy, kiedy chce. Jeszcze cztery dni, prawda? Mnie to pasuje.

Kiedy siedział, mówił wyraźnie i trzeźwo; potrafił również pewnie trzymać szklanekę. Ale gdy wstał, od razu stało się jasne, że jest zupełnie pijany. Wytoczył się z baru, by dać ulgę przeciążonym nerkom.

Henessy obojętnie przyniósł nasze drinki. Nie miał nadziei, że znajdzie się w dziesiątce. Swoje zajęcie traktował z ponurą pogardą. Po co komu barman na Marsie? I tak samo, jak Powellowie, traktował sytuację po swojemu: interes jak zawsze. Ale Powellów polubiłem. Natomiast z jakiegoś powodu nie potrafiłem się przekonać do Henessy'ego.

Przysiadł się do nas Harry. Wszyscy znali jego surowe rysy, fatalistyczną filozofię życia, niewzruszoność, a także jego śliczną wnuczkę. Bessie Phillips, lat osiem, była tak urocza i miała tak słoneczne usposobienie, że nie miałem serca nie wpisać jej na listę. Nie mogłem skazać jej na śmierć.

Gdyby ktoś mi kazał uzasadnić każdą kandydaturę (choć nie było o tym mowy), tylko dla Bessie musiałbym znaleźć jakieś usprawiedliwienie. Mogłem, oczywiście, znajdować różne powody, tak jak każdy, kto szuka usprawiedliwień, powody takie znajduje, ale faktyczny motyw był taki, że chciałem zabrać Bessie i mogłem to uczynić. Inny porucznik mógłby wpisać na swoją listę jakąś starszą panią, która przypominała mu jego matkę. Jeszcze ktoś na pewno znalazłby wiele powodów, by wyjaśnić, czemu zabiera tego właśnie chłopca w wieku lat czternastu, a nie jednego z trzydziestu czy czterdziestu innych; ostatnim uzasadnieniem, jakie by podał (gdyby mu kazano), byłoby to, że ów chłopiec przypomina mu jego młodszego brata, który zginął pod kołami ciężarówki.

Niesłuszne? Jasne, jeśli ktoś nadal trzyma się poglądu, że właściwy jest jedynie dobór oparty na badaniach medycznych i psychologicznych albo że szansę przeżycia należy dawać w drodze egzaminu konkursowego.

- Słuchaj, Harry - odezwałem się. - Dobrze znasz Sammy'ego Hoggana?

Harry znał wszystkich. Skinął głową z poważną miną. Wiedział, że cokolwiek powie, cokolwiek inni mi powiedzą, może to oznaczać czyjeś życie lub śmierć. Tak więc rozmowa ze mną była poważną sprawą.

Zapewne nigdy nie przeszło mu przez myśl, że może być jednym z dziesięciu. Kiedy tak naprawdę się nad tym zastanowić, zadziwiająco wielu ludzi uznawało, że nie mają prawa do życia, skoro przeżyć może tak niewielu.

- Co z nim jest? - zapytałem.

- Myślałem, że wiesz. Dziewczyna go rzuciła.

- I to wszystko?

- Synu - rzekł poważnie Harry - żyję na tym świecie już trochę dłużej od ciebie, nawet jeśli jesteś tu teraz najważniejszy. Nigdy nie mów "to wszystko" o powodach, dla których ktoś robi to czy tamto. To tylko twoja reakcja na znane ci okoliczności, a to nic nie znaczy.

- Dobrze - powiedziałem. - Jaka ona była?

- Nic dobrego.

- Bo zostawiła Sammy'ego?

- Między innymi. Sammy to dobry człowiek, Bill. Mógłbyś go polubić. Szkoda, że teraz nie masz możliwości przekonać się, jaki jest naprawdę.

Nieoczekiwanie Pat powiedziała coś grubiańskiego i, niestety, bardzo głośno. Jedną z pożałowania godnych cech Pat było to, że potrafiła się upić małą szklaneczką whisky.

Inną zaś jej cechą, choć nie wypada mi o tym mówić, było to, że gdy ludzie określali ją niemiłym mianem nadawanym zwykle ładnym, lekkomyślnym dziewczętom, tym razem mieli słuszność.

II

Po jeszcze paru szklaneczkach postanowiłem pojechać do Havinton, pięć mil po drugiej stronie wzgórza. Pat też chciała jechać, ale wolałem ją na trzeźwo. Szybko się upijała i szybko trzeźwiała. Kiedy wrócę, będzie już miała to za sobą.

Tego popołudnia miało wydarzyć się coś, co zupełnie było mi nie w smak. Odkładałem to tak długo, jak mogłem. Przez jakiś czas myślałem, że uda mi się kontynuować to odkładanie, aż będzie po wszystkim.

Kiedy pierwszy raz zjawiłem się w Simsville, przyszedł do mnie ksiądz Clark. Moje instrukcje przewidywały, że jeśli w ogóle mam z kimś współdziałać, to jedynie z duchownymi wszystkich wyznań. Mieliśmy zupełną swobodę; żadnych lub prawie żadnych powiązań z policją ani w ogóle z jakimiś miejscowymi władzami. Ale dziwna sprawa, zadanie duchownych w jakiś sposób przypominało nasze.

Ksiądz Clark był jednym z tych ludzi, którzy są na wskroś otwarci i tak pokorni, że normalny człowiek czuje się nieswojo w ich obecności i chce jak najszybciej od nich uciec. Kiedy oświadczył, że on, pastor Munch i wielebny John MacLean chcieliby się spotkać ze mną jak najszybciej i omówić kilka spraw, wykręcałem się i udało mi się uniknąć ustalenia dokładnego terminu spotkania. Współpraca z duchownymi trzech wyznań przez swoistą wzniosłość przypominała mi o tym, o czym nie chciałem pamiętać - że nie jestem już zwykłym człowiekiem nazwiskiem Bill Eason.

Trzej słudzy Boga byli tak zajęci, że unikanie ich przychodziło mi z łatwością. Jasne, że uchylałem się od swej odpowiedzialności. Miałem tylko jedno wytłumaczenie: była to jedyna odpowiedzialność, od której się uchylałem. Inni porucznicy mieli na pewno inne sprawy do pogodzenia z własnym sumieniem. Ci, którzy mieli przesady rasowe, musieli pogodzić się z tym, że katastrofa nie jest szczególnym zrzędzeniem losu pozwalającym na pozostawienie wśród ludzi jedynie przedstawicieli rasy białej. Niektórzy porucznicy, którym krew będzie się ścinać w żyłach na samą myśl o tym, zabiorą jednak kolorowych na Marsa, wiedzieli, że jeśli tego nie uczynią, nigdy już nie będą mogli spać spokojnie. Ci, którzy od lat nie zauważali dzieci, uświadomią sobie istnienie czegoś, co można nazwać odpowiedzialnością wobec młodych; inteligentni odnajdą w sobie odpowiedzialność za głupich; i oczywiście wszyscy z nas przyzwyczajali się do myśli, że dziecko, które dopiero co wyszło z łona matki, marzycielski ośmiolatek o nieskazitelnej cerze, uroczą siedemnastolatka, mężczyzna w kwiecie wieku i bezzębna staruszka - wszyscy oni stanowili równoprawne jednostki w tej nowo powstałej, fantastycznej numeracji.

W każdym razie moja odpowiedzialność jednak mnie dopadła. Miałem spotkać się z trzema duchownymi tego popołudnia. Tymczasem jednak dojadła mi moja ważność, więc udałem się do Havinton. Tam byłem tylko jednym z wielu; tamtejsi bogowie to porucznicy Britten, Smith, Schutz i Hallstead. Stąd można się domyślić, że Havinton było mniej więcej cztery razy większe od Simsville.

Trudno jest ustalić teraz, kiedy pojawiły się ostrzeżenia o końcu świata. Pierwszym konkretnym głosem był bez wątpienia artykuł profesora Clubbera w Biuletynie Astronomicznym, dwa lata temu, w którym uczony twierdził, że jeśli nastąpi to, tamto i owo, Słońce na pewno usmaży na frytki przynajmniej cztery najbliższe mu planety. No, ale kto czyta Biuletyn Astronomiczny?

Nie, dopiero na rok przed spodziewanym końcem świata dało się słyszeć o nim tyle, by zaczęły powstawać różne zwariowane sekty - a Bóg jeden wie, że takim wielkiej zachęty nie potrzeba.

Kłopot polegał tylko na tym, że zjawisko miało być raczej powszechne. Dotyczyło nie tylko Ziemi, ale także Merkurego, Wenus, Marsa i asteroidów. A ziemskie statki kosmiczne dalej jeszcze nie docierały. Kiedyś ktoś może by dotarł do księżyców wielkich planet, ale nie wtedy, kiedy mogłoby to mieć jakieś znaczenie w tej sprawie. Więc na początku mowy nie było o żadnym ratunku. Nikt się nie przygotowywał, bo nie było do czego. I stracono bezcenne miesiące.

Słońce nie miało stać się Nową, czy czymś podobnym. Przez jakiś czas tylko rozbłyśnie trochę mocniej, niczym podsycony ogień w kominku, i wyrzuci strumienie płonącego wodoru. Astronomowie na dalekich planetach, jeśli tacy są, powinni dysponować naprawdę wielką wiedzą, o ile w ogóle mają zauważyć zmianę jasności Sol w czasie przypuszczalnych obserwacji.

W kategoriach astronomicznych miała być to tak niewielka zmiana, że trudno zrozumieć, skąd wzięły się grupy kultowe, w rodzaju Stowarzyszenia Miłośników Słońca. Kiedy usłyszałem o nich po raz pierwszy, było ich tysiąc. Potem postanowiłem dokładnie sprawdzić ich liczbę - i okazało się, że wynosi ona trzy miliony. Tydzień później na całym świecie było już sto milionów członków SMS.

Ich celem było po prostu obcowanie ze Słońcem jeszcze przed nadejściem zmiany. Osiedlali się w tropikach. Szukali najgorętszych miejsc na Ziemi. SMS zjednoczyło w sobie zwolenników kąpeli słonecznych, prymitywistów, nudystów, egiptologów, amatorów pływania, słowem wszystkich, którzy mieli coś wspólnego ze Słońcem, choćby bardzo niewiele. SMS-owcy

(wymawiali to "Semsowcy") wkrótce wprowadzili rytuał, podczas którego ceremonialnie darli odzież na kawałki i całe ciało oddawali Słońcu.

No tak. Ale nie zniżajmy się nad nimi. Co najmniej 95% z nich to ludzie mądrzy, rozsądni. Jedynie nieliczni ekstremiści oddawali się takim wybrykom, jak przechodzenie przez ogień i po wytwórniach suchego lodu, rodzenie dzieci w piekących promieniach Słońca, a także publiczne znaczenie symbolem SMS swych piersi przez wypalanie ich promieniami Słońca skupionymi soczewką.

Większość członków SMS uważała, że jeśli zmienią środowisko z powiedzmy okutanej w futra Alaski na Bermudy, choć w części przygotowują się na niewielki, jak myślano powszechnie, wzrost natężenia promieniowania słonecznego. Oni nie wstawali przed świtem po to, by składać hołd Słońcu, a jeśli nawet robili to, to tylko z szacunku nie dla Boga Słońca, ale raczej dla bardziej żarliwych jego wyznawców.

Czego Semsowcy nie mogli czy nie chcieli zrozumieć, to faktu, że temperatury astronomiczne nawet wewnątrz Układu Słonecznego rozciągają się od -273°C do $20\,000^{\circ}\text{C}$, a ludzkość czuje się dobrze tylko między 10 i 30°C . Oczywiście, ludzie potrafili przeżyć i poniżej zera i powyżej temperatury ciała. Ale choć nikt nie spierał się tu o stopień czy dwa, po zmianie na pewno nie będzie na Ziemi miejsca, w którym woda pozostanie w stanie płynnym.

Później pojawili się Trogowie, którzy nie tyle chcieli przystosować się do nowych warunków, co od nich uciec. Prawdę mówiąc, gdyby ktoś chciał ująć ich cel w najprostszych słowach, grupy Trogów zamierzały po prostu zaryć się w ziemi. Och, oczywiście byli wśród nich uczeni autentycznie liczący na przeżycie wewnątrz planety, na której powierzchni panuje temperatura $250\text{--}500^{\circ}\text{C}$. Ich zamierzenia przewidywały wyszukanie odpowiednich schronień w celu wyrównania temperatury; zastosowanie chłodzenia z wykorzystaniem zewnętrznej energii cieplnej do utrzymywania kilku metrów sześciennych w chłodzie; wykorzystanie tanków hydroponicznych do żywności i wody - to wszystko, co zwykle. Jedyny kłopot polegał na tym, że przypominało to przesypywanie wielkiej góry za pomocą drewnianej łopaty. Po prostu nic z tego nie wyjdzie. Bez wątpliwości niektórzy Trogowie przeżyją dłużej niż inni, gdy nadejdzie fala gorąca: kilka minut, dni, może tygodni. Ale po prostu nie starczyło już czasu, by opracować taki schron, którego człowiek już nigdy nie opuści przy temperaturze trzystu stopni na zewnątrz, a w którym da się utrzymać mniej więcej normalne warunki termiczne. Nasza nauka przypominała technikę jaskiniowców: wiedzieliśmy, jak rozniecać ogień i ogrzewać się, ale naszym jedynym wyjściem, gdy tego ciepła było za dużo, pozostawało przeniesienie się gdzieś indziej.

Tak, szkoda, że tak długo opieraliśmy się na błędnych założeniach. Jeszcze w lipcu były pewne wątpliwości, ale wkrótce udowodniono ostatecznie dwie sprawy. Jedno - że życie na Ziemi ustanie ostatecznie osiemnastego września lub nieco później, drugie zaś - że Mars, zamiast wziąć udział w tej katastrofie, stanie się jeszcze bardziej odpowiedni do zamieszkania niż przed zmianą jasności Słońca.

Był to podwójny cios. Wcześniej ludzie mogli jeszcze nie przyjmować do wiadomości, że świat znajduje się w niebezpieczeństwie. Potem zaś zjawiała się świadomość, że niektórzy przeżyją. Prawo zachowania gatunku brzmiało teraz: Mars za wszelką cenę.

Kilka osób, które działały szybko, uratowały sobie życie po prostu kupując bilet na Marsa. Wkrótce jednak stacja ratowania rodzaju ludzkiego przybrała formy zorganizowane. Do pracy wzięli się planiści i statystycy. O ich rozważaniach i przesłankach nie wiem nic.

Wyrok brzmiał, że jeden człowiek na 324,7 znajdzie miejsce w rakiecie na Marsa. To zupełnie dobry stosunek, mówiono. Można go było uzyskać tylko przez przestawienie wszystkich nadających się do tego fabryk na Ziemi na produkcję wszystkiego, co zdoła się od niej oderwać, nim będzie za późno.

Może to był dobry stosunek, ale oznaczał, że spośród każdych 325 mieszkańców Ziemi, 324 miało umrzeć.

Trzeba było jakoś wybrać tego jednego spośród trzech setek, dając mu szansę życia na obcej planecie. I zadanie to powierzono, słusznie czy niesłusznie, tym, którzy mieli tych ludzi zabrać do nowego domu.

Nie było wiele czasu na spory. Ostateczny termin brzmiał: piątek, osiemnastego września. Jeszcze przez kilka godzin po południu tego dnia regularne statki kosmiczne, zbudowane we właściwy sposób na długo przed nadejściem fali gorąca, będą mogły lądować i zabierać dodatkowe grupy ludzi. Ale wcześniej, przed południem, nasze pośpiesznie sklecone tylko na tę jedną podróż szalupy ratunkowe muszą już być w drodze. Inaczej równie dobrze mogą pozostać na Ziemi.

Tak więc wysłali nas - mężczyzn i kobiety, którzy przypadkiem wiedzieli, jak obchodzić się ze statkiem kosmicznym - abyśmy wybrali po te dziesięć osób, które polecą z nami.

Widzicie, co miałem na myśli, mówiąc że cała opowieść zapełniłaby bibliotekę? Same szczegóły tego, jak dochodzono do porozumienia, wystarczyłyby na jedną książkę.

Nie byliśmy nikim szczególnym, my, nowo mianowani bogowie, którym przypadł wybór dziesięciu ludzi z nieco ponad trzech tysięcy. Po prostu najlepszą drogą zabrania największej liczby ludzi z Ziemi okazało się zbudowanie tysięcy niewielkich stateczków, z których każdy mógł zabrać jedenaście osób. Gdybyśmy mieli nieco więcej czasu, może udałoby się zbudować nieco większe statki i zastosować inny system doboru.

Każdy, kto dawał nadzieję, że potrafi pilotować szalupę ratunkową, otrzymał dowództwo takiej jednostki. Ja byłem kiedyś radiooficerem w wyprawie badawczej. Miałem przez to lepsze nawet pojęcie o pilotażu niż niektórzy inni mężczyźni i kobiety mający doprowadzić szalupy na Marsa. Wiedziałem na przykład, że dowództwo dostała również Mary Homer, stewardesa z mojej wyprawy.

Ostatecznie, oczywiście, zabrakło nie tyle dowódców, co szalup ratunkowych dla nich. Inaczej zorganizowano by przyspieszone kursy pilotażu (normalnie nauka trwała pięć lat).

Mnie przypadło Simsville, które liczyło sobie akurat tylu mieszkańców, by wybrać z niego załogę tylko jednej szalupy ratunkowej. Nie byłem tu, oczywiście, nigdy przedtem. Poruczników wysłano bez wyjątku tam, gdzie nikogo nie znali.

I dziś oto, cztery dni przed startem, miałem listę osób, którym dane będzie żyć.

Powellowie. Ideał młodości rodzaju męskiego i żeńskiego. Fred Mortenson, pewny siebie, harmonijnie zbudowany młody kandydat na bohatera. Harry Phillips, który nie był zupełnie pewien, czy to słuszne, by uciekać ze świata, który dał ludziom życie, tylko dlatego, że teraz przynosi im śmierć. Mała Bessie Phillips, która nie wiedziała, o co w tym wszystkim chodzi (a kto wiedział?). Panna Wallace, nauczycielka i to dobra. Tacy jak ona będą potrzebni. Stowesowie, ideał wieku starszego, wraz z synem, Jimem. Leslie Darby.

Ponieważ wybrałem Leslie, Pat musiała zostać. Nie zastanawiaj się nad tym, kogo wybiorą inni, powiedziano mi, a także innym porucznikom szalup. Trudno jednak było oprzeć się mniemaniu, że na listach pasażerskich na Marsa znajdzie się wiele młodych i pięknych dziewcząt. Wobec tego w mojej dziesiątce była tylko jedna.

Miałem teraz tylko trzy zmartwienia.

Jedno: pozostać przy życiu, dopóki nie opuszczę Simsville. Fanatycy już się pojawili; później dojdą jeszcze rozczarowani, rozwścieczeni, przerażeni ludzie, którzy zleją się w rozszalały tłum.

Drugie: zabrać moją dziesiątkę z Simsville. To nie będzie łatwe, pomimo tego, co mi powiedziano o poczynionych przygotowaniach.

Trzecie: doprowadzić mój statek na Marsa. Ale ta sprawa, najtrudniejsza i najważniejsza, w tej chwili trapiła mnie najmniej. Była to konfrontacja mnie i nie sprawdzonego stateczku z Kosmosem. A w dwóch pozostałych miałem przeciw sobie moich ludzkich braci.

Kiedy wróciłem do Simsville z mego krótkiego wypadu do Havinton, trzech duchowni czekali już na mnie zebrani w domu księdza Clarka. Gdy ksiądz wprowadził mnie do pokoju, zapanowała ta niezręczna cisza, która pojawia się w momencie przzerwania szczerzej rozmowy jakiejś grupy przez przybycie kogoś obcego.

Wielebny John MacLean mówił dosadnie i bez ogródek. - Nie traćmy czasu, poruczniku Easson - powiedział. - Uważa pan zapewne, że pański czas jest cenny; i ja tak samo sądzę o moim. Pan zacznie, czy ja mam to zrobić?

Usiadłem i spróbowałem poczuć się swobodnie. - Chyba pan - odezwałem się. - A dlaczego w ogóle chcieli panowie się ze mną zobaczyć?

- Przede wszystkim - rzekł szybko MacLean - wyjaśnijmy od razu jedną sprawę. Nikt z nas nie oczekuje...

- Wiem. Nikt z panów nie oczekuje, że poleci, ale... Ale co?

- Czy nie uważa pan tego za zbyt uczciwe? - spytał ksiądz Clark łagodnie. - Wiem, że na pewno miał pan powody, by przyjąć postawę obronną, nawet podejrzliwą, ale...

- Przepraszam - powiedziałem. - Kłopot polega na tym, że nie wiem, kiedy ostatnio rozmawiałem z kimś ot tak, po prostu.

Dobrze im się przyjrzałem. Jakoś cynicznie spodziewałem się, że będą się między sobą handryczyć, ale nie zauważyłem żadnych oznak czegoś podobnego.

- To jest jeden z powodów, dla których chcieliśmy z panem porozmawiać - odezwał się pastor Munch. Był to jeden z tych ludzi niewielkiego wzrostu, ale o zdumiewająco głębokim głose. Pokój zdawał się zbyt mały, by pomieścić wibrujące, organowe tony jego mowy. Miało się ochotę nie zwracać uwagi na to, co pastor mówi, tak fascynujące było brzmienie tego głosu.

- Widzi pan, poruczniku Easson - mówił dalej - my trzej uważamy, że jesteśmy odpowiedzialni za Simsville. Ta wieś, to wszystkie nasze sukcesy i nasze niepowodzenia. Nie jesteśmy na tyle ważni, by odpowiadać za cały świat. Musimy ograniczyć nasz zakres, by osiągnąć skuteczność. Celowo nie mówię o teologii; chcę po prostu stwierdzić, że wszystko, co dotyczy mieszkańców Simsville, dotyczy również nas. A cokolwiek ma się zdarzyć, musi być przez nas dokładnie zbadane, sprawdzone i, o ile to konieczne, wyjaśnione naszym parafianom.

- Właśnie - szybko wtrącił MacLean. - Jest pan narzędziem Boga. Czasem używano tego zwrotu jako usprawiedliwienia. Narzędzie siły wyższej. Wzruszenie ramion. Nie pozostaje nic innego, jak przyjąć zrzędzenie losu.

Pochylił się i postukał w oparcie mojego fotela. - Taka postawa, to apatia - oświadczył. - A apatia jest wbrew Bogu. My uważamy, my trzej, że do nas należy zbadanie, sprawdzenie i, jeśli to konieczne, wyjaśnienie tego, jak mówi pastor Munch, narzędzia Boga. Możemy pomóc lub przeciwdziałać. Możemy też wskazać drogę.

Dosadna choć nie wroga postawa MacLeana wymagała szczerości. - To znaczy - powiedziałem - że możecie pomóc, przeciwdziałać lub wskazać drogę - mnie.

- Nie ma mowy - szybko wtrącił ksiądz Clark - o przeciwdziałaniu.

Munch potwierdził mruknięciem, podobnym do dalekiego grzmotu spadającej lawiny. MacLean nie powiedział nic, wpatrywał się tylko we mnie.

- Nie chciałem tego spotkania - przyznałem - i zwlekałem z nim, dopóki tylko mogłem. Dlatego, że nie jestem w stanie niczego obiecać.

MacLean skinął głową. - Przyszedł pan tu, dokonawszy już wyboru - odezwał się.

Również skinąłem głową. - Przynajmniej w połowie.

Ksiądz Clark omal nie powykręcał sobie rąk. Był zbyt uprzejmy, jak na tak otwartą rozmowę.

- Czego, pańskim zdaniem - spytał MacLean - moglibyśmy od pana oczekiwać?

- Abym zabrał świętych - powiedziałem dosadnie - i pozostawił grzeszników.

Dotąd nie spojrzałem jeszcze Munchowi w oczy. Okazały się ciemne, łagodne, szczerze. Napotkały mój wzrok i poczułem się nieswojo.

- Oczywiście, że zabierze pan świętych - odezwał się - i pozostawi grzeszników. Ale chyba nie sądził pan, prawda, że będziemy nalegać, iż wyboru powinniśmy dokonywać my?

- Zabiorę, kogo zechcę - rzekłem bezbarwnym głosem - zgodnie z własnym sumieniem.

Pastor Munch skinął głową. - To właśnie miałem na myśli.

MacLean również przytaknął. - Chyba nie myślał pan tak, jak należy, młody człowieku - powiedział do mnie. - Jeśli chodzi o pańskie główne zadanie, to owszem, może. Ale co do naszej roli, to nie. W jaki sposób moglibyśmy panu narzucić jakikolwiek wybór? Byłoby dla nas stratą czasu rozważanie, co byśmy zrobili, gdyby mogło być inaczej. Słyszałem o panu. Widziałem pana raz czy dwa. Wiem, że robi pan to najlepiej, jak będzie można. Stąd też jest pan najlepszym narzędziem i gdybym to ja miał wybierać, wybrałbym pana.

Coś nagle stanęło mi w gardle; usiłowałem to przełknąć, nie wiedząc czemu zawstydzony z tego powodu. Munch znowu spojrzął mi w oczy i jego wzrok złagodniał jeszcze bardziej.

- Pojmujemy pańskie brzemię - oświadczył - ale nie byliśmy całkiem pewni, że pan też je zrozumie. Cieszę się, że tak jest. Musi pan zdać sobie sprawę z jego ciężaru, nim zacznie się on zmniejszać.

Wiele jeszcze padło słów i zdaje się, że były wśród nich uściski dłoni, błogosławieństwa i przyrzeczenia wszelkiej pomocy, jakiej będę potrzebował. Ale nie chcę o tym mówić.

Ci trzej byli nie tylko kapłanami Boga, ale również dobrymi ludźmi.

IV

Wychodząc z tej oazy spokoju trafiłem w samo piekło.

Widziałem już oznaki świadczące, że w Havinton będzie gorąco. Zresztą dotyczyło to całej Ziemi. Ale otrzymawszy skierowanie do Simsville, gdzie ludność liczyła zaledwie trzy tysiące osób, myślałem, że będę miał szczęście. Tłum w Simsville, nawet ogarnięty szaleń, może liczyć tylko trzy tysiące osób. Tłum w Havinton może obejmować trzynaście tysięcy - a to już dużo.

Jednak kiedy wracałem od księdza Clarka do hotelu i znalazłem się na rynku, zobaczyłem, że w Simsville też może być źle.

Na rynku trwały właśnie pierwsze zamieszki. Stałem z boku i patrzyłem. Byłem stosunkowo bezpieczny. Nikt poza szaleńcem nie zechce porwać się na jedynego człowieka, który może mu ocalić życie.

Nic nie wskazywało przyczyny wybuchu bijatyki. Pewnie i nikt go nie znał. Ludzie ogarnięci przerażeniem wpadają we wściekłość; a przy dostatecznym stopniu wściekłości nawet zwykła uwaga, że może spaść deszcz, wystarczy, by ich sprowokować.

Przyglądałem się walce z niesmakiem. Gdybym miał jakąś władzę nad tymi ludźmi, spróbowałbym ją przerwać; ale byłem tu nikim, a zresztą nic nie mogło powstrzymać walczących. Policjanci też wdali się w bijatykę; nie wiedziałem czy jako stróżowie porządku, czy też jako uczestnicy.

Nigdy przedtem nie oglądałem naprawdę brutalnej bójki. Nigdy dotąd nie widziałem, żeby mężczyźni odpychali dzieci, szarpali kobiety za włosy, kopali nieprzytomnych po żebrach i żołądku, i rzucali się do twarzy z pazurami. Nie chciałem na to patrzeć. Ruszyłem się z miejsca, chcąc odejść, ale uświadomiłem sobie, że w dalszym ciągu moim zadaniem jest wybranie dziesięciu osób z tego motłochu. Musiałem patrzeć.

Brian Secker powalił nie znanego mi mężczyznę na ziemię i tłukł jego głową o chodnik. Oznaczało to zabójstwo, teraz lub za kilka chwil. Czy mogłem zabrać na Marsa mordercę? Przeniosłem w myśli Seckera z listy opatrzonej nagłówkiem "prawdopodobni" na inną, nazwaną "zdyskwalifikowani". Była to jedyna kara, jaką mogłem wymierzyć, a on i tak nie dowie się o tym.

Harry Phillips też znajdował się w ogniu walki, ale nie brał w niej udziału. Ignorował zwykłą brutalność i robił tyle, ile mógł, by zapobiec czemuś jeszcze gorszemu. Nie zdziwiło mnie to; znałem Harry ego. Miejsce dla niego w szalupie stało się jeszcze pewniejsze.

Po drugiej stronie rynku dostrzegłem Mortensona, który bił się z uśmiechem na ustach. Dla niego walka była rozrywką, a nie udręką czy czymś przerażającym. Wybierał przeciwników równych sobie siłą. Spojrzałem gdzie indziej.

Z pewnym wstrząsem zobaczyłem, jak Jack Powell tłucze z całej siły Ala Waymana. Ale potem ujrzałem Marjory leżącą na ziemi bez przytomności i odwróciłem wzrok.

Ruszyłem w kierunku Pat. Prawie nie było jej widać spoza trzech atakujących ją mężczyzn. Ale dalej zobaczyłem Leslie kryjącą się w kącie z kilkorgiem dzieci, które osłaniała sobą. Poszedłem więc w jej stronę. Ci trzej przy Pat szarpali tylko jej ubranie, czego w końcu należało się spodziewać.

Ale kiedy dotarłem do Leslie, ta krzyknęła i pchnęła mnie w stronę Pat.

- Nic jej nie zrobią - rzekłem. - Ona...

- Ty głupcze! - krzyknęła na mnie Leslie. - Popatrz, jak jej "nic nie robią"! Oczywiście, że jej coś zrobią, nawet zabiją, jeśli się im to uda. Czy nie masz choć tyle oleju w głowie, by to dostrzec?

Obróciłem się i już nie potrzebowałem ponagień Leslie. Trzej mężczyźni używali Pat jako gruszki bokserskiej. Ludzie, którzy już się nie mogą bronić, szybko giną pod ciosami. Szczególnie kobiety.

Nie mogłem ich odciągnąć. Mogłem tylko pokazać im, że tu jestem. Ryzykowałem życie. Jednak świadomość, że byłem ich jedyną szansą życia, otrzeźwiła ich; odeszli ukradkiem. Pat leżała na ziemi, nieprzytomna.

Podniosłem ją i podszedłem do Leslie. Czulem oddech Pat. Wyżyje, nie miałem wątpliwości. Dzieci kulące się za Leslie patrzyły z przerażeniem.

Pat otworzyła oczy. - O Boże, co we mnie walnęło? - jęknęła. Potem dostrzegła przyglądające się dzieci. - Odwróćcie się, maluchy - powiedziała. - Jesteście za małe na to przedstawienie.

Odniosła mniejsze obrażenia, niż można się było spodziewać.

Leslie zdjęła sukienkę przez głowę i pomogła mi narzucić ją na Pat. - I w ten sposób zostałam gwiazdą night-clubu, Leslie - zauważyła Pat. - Ale trudno, moja potrzeba jest większa niż twoja.

Nagle, nie wiadomo dlaczego, bójka zaczęła wygasać. Ludzie znikli z ulicy niczym płatki śniegu w promieniach słońca.

Były to nasze pierwsze zamieszki i bez mała najgorsze. Ludzie dotąd nie zdawali sobie sprawy, co się może stać, gdy bójka wybucha wśród mężczyzn i kobiet, którym pozostały tylko cztery dni życia. Nie pojmowali dotąd, że sami mogą stać się ofiarami, a inni - ich zabójcami.

Pat nie mogła iść, ale nieśliśmy ją bez trudu. Dzieci można już było odesłać do domu. Odeszły, oglądając się na nas. Już zdążyły zapomnieć o walce, do tego stopnia, że zaczęły się chichotać.

Podnosząc Pat obróciłem się w stronę Leslie, marszcząc brwi. Dzieciaki chichotały, tak jakby usłyszały nieprzyzwoity dowcip, który nie całkiem zrozumiały. Leslie była nauczycielką i może niektórzy nieco zbyt wcześnie dojrzewający chłopcy bawili się znakomicie widząc ją ubraną - czy raczej rozebraną - jak dziewczyna z okładki. Ale przecież miałem już okazję słyszeć takie chichoty, nawet gdy Leslie nie było przy mnie.

Odczytała moje myśli. - To nie ze mnie się śmieją - powiedziała z zażenowanym uśmiechem, który wywołał u Pat złośliwy wyraz twarzy. - Z ciebie.

- Ze mnie? - W porę powstrzymałem się, by się nie obejrzeć, czy nie mam dziury w spodniach albo czegoś podobnego.

- Szkoły zostały zamknięte - mówiła Leslie - bo uznano, że dalsza nauka nie ma sensu. Bo szkoda było zawracać głowę nauczycielom. Bo rodzice chcieli mieć dzieci przy sobie. Ale nie wolno było mówić dzieciom, dlaczego zamyka się szkoły.

- Wiem. Bez sensu, rzeczywiście... po co ukrywać, że świat się kończy w piątek?

Leslie skinęła potakująco. Mówiła bardzo szybko, starając się chyba skupić moją uwagę na swych słowach, a nie na ciele. Nie miała się czego wstydzić. Jej ciało było raczej zbyt szczupłe, ale urocze.

- Tak, ale czy nie rozumiesz? - trąkotała dalej. - Kazali nam nie mówić im tego, więc dowiadują się od siebie nawzajem, w kącie, jak o czymś wstydlwym. Niektórzy rodzice, oczywiście, postępują mądrze i wyjaśniają po prostu. Inni jednak uciekają od tego problemu i pozwalają, by ich dzieci dowiadywały się prawdy niczym przeraźliwej tajemnicy...

Resztę mogłem sobie sam dopowiedzieć. Głupotą było ukrywać ten nowy fakt życia i śmierci przed dziećmi; nie było jednak nic dziwnego w tym, że ludzie tak robili. Zapomnieli albo nie zdawali sobie sprawy, że o ile można było ukryć przed dziećmi fakty, nigdy nie udawało się zataić napięcia. I ja stałem się jego 'ośrodkiem. Niosłem Pat do mojego hotelu, który był niedaleko. Postanowiłem nie zajmować się problemem dzieci; nie mogłem myśleć o wszystkim. Przypomniałem sobie jednak coś innego, co wywołało moje zaciekawienie nawet w ogniu walki.

- Co miałaś na myśli, Leslie - spytałem - mówiąc, że ci trzej na pewno zrobią coś złego Pat, a ja mam tak mało oleju w głowie, że tego nie widzę?

Leslie poczerwieniała, gdy na nią patrzyłem, ale tym razem nie był to rumieniec zażenowania. - Nie bądź głupi, Bili - powiedziała z irytacją. Miała słuszość. Powinienem to zrozumieć od początku.

Spojrzałem w dół, na Pat. - Czy ty rozumiesz, o czym ona mówi? - spytałem, głównie po to, by przestała myśleć o swoich potłuczeniach. Ale Pat nie wiedziała i przyznała to.

- Oni wiedzieli, że Pat ma zapewnione miejsce w szalupie - Leslie odezwała się nagle, z goryczą. - To jasne, że chcieli ją zabić. Sama nawet potrafię ich zrozumieć.

Pat usiłowała się roześmiać, ale dała spokój. - Powiedz jej, Bill - rzekła, z trudem wymawiając słowa.

Ale liczyło się przede wszystkim to, by nikt nie wiedział, czy leci na Marsa, czy nie leci. Ludzie mogli powazyć się na wszystko, gdyby mieli pewność, iż są już bez szans. Nawet Pat, pomimo jej deklaracji.

- Nikt nie może być pewien, że leci, Leslie - powiedziałem więc wymijająco. - Aż do czwartkowego wieczoru, kiedy jedenaścioro z nas opuści Simsville, nikt nie będzie wiedział, czy leci, czy zostaje. Jeśli zastanowisz się nad tym choć chwilkę, zrozumiesz, że tak musi być.

Leslie zmarszczyła czoło. Byliśmy wszak w moim apartamencie. Położyłem Pat na moim łóżku. - Ale... - zaczęła Leslie.

Tym razem Pat zaśmiała się naprawdę. - Wciąż jeszcze w to nie wierzysz? - spytała kpiąco. - Słuchaj. Bill i ja nigdy o tym nie rozmawialiśmy, z wyjątkiem tego, że od razu mu powiedziałam, iż nie spodziewam się trafić do dziesiątki. Nie mówię, że chcę umrzeć - kto chce? Ale jeśli Bill nie chce odpowiedzieć ci wprost, to ja to zrobię. On by nie wziął takiej, jak ja, na Marsa. Gdyby to zrobił, nie byłby sobą. Więc po prostu jestem nadal sobą, nie starając się zdobyć sobie miejsca w szalupie udając kogoś innego. Rozumiesz?

Leslie skinęła z niedowierzaniem głową. - Pójdę po lekarza - odezwała się. Bez słowa podałem jej jedną z moich koszul i spodnie.

- Miałbym o niej wyższe wyobrażenie, gdyby ci uwierzyła - powiedziałem marszcząc brwi, gdy Leslie wyszła.

- A czego się spodziewałaś? - rzekła kwaśno Pat. - Zawsze jesteśmy razem. My...

Ale zdecydowała, że szkoda wysiłku na słowa, i zamilkła. Pomyślałem, że w tej całej sprawie Pat znalazła się dużo lepiej niż Leslie, i dalej zmarszczyłem czoło w zamyśleniu. Ludzi można było osądzać według tego, co myślą o innych. Czyżbym popełniał błąd?

Czy też może był to jednak mistrzowski bluff Pat, o stawkę najwyższą ze wszystkich?

Następnego ranka złożono mi wizytę, nim zdążyłem się dobrze przebudzić.

Nie myliłem się; Pat miała silny organizm. Była już na nogach - chodziła po apartamencie w moim jedwabnym szlafroku zamawiając śniadanie i pozostawiając przysłowiowy ślad kobiecej dłoni w postaci porządkowania tego i owego.

Spędziła tę noc u mnie, co w tym wypadku nie oznaczało niczego szczególnego. Jeśli jacyś szaleńcy chcieli ją zabić i tylko ja mogłem dać jej ochronę, oczywiste było, że powinna tu zostać. Ale gdy usłyszałem stukanie do drzwi, skinąłem głową w kierunku łazienki.

Potrząsnęła zdecydowanie głową. - To pewnie tylko Leslie - powiedziała nie zniżając głosu. - A poza tym, im większą robi się z tego tajemnicę, tym więcej wagi ludzie będą do tego przywiązywać. Zapach moich perfum - a chyba zauważyłeś, że używam dość silnych? - i ani śladu kobiety, a nikt nie będzie miał żadnych wątpliwości. Wszyscy się dowiedzą, że mnie tu sprowadziłeś.

Sens tego wszystkiego był taki, że wcale nie zamierzała się ukrywać. Mówiąc do mnie podeszła do drzwi i otworzyła.

Był to Mortenson. Otwarte drzwi zasłoniły go na chwilę, więc nie dostrzegłem jego reakcji na otwarcie drzwi przez Pat. Kiedy już był w środku, zdawał się przyjmować jej obecność jako coś naturalnego. Mortensona nigdy nic nie peszyło.

- Słuchaj, Bill - powiedział, jak zwykle swobodnie i przyjaźnie. - Po tym, co zaszło wczoraj, nie sądzisz, że przydałaby ci się jakaś pomoc? Rozumiesz: mieszkasz tutaj sam. Pat się nie liczy w razie jakiegś rozróby. Dajmy na to, że ja się tutaj wprowadzę?

Rozważyłem to. Może innym razem ucieszyłbym się z jego propozycji. Wiedziałem jednak, że nie powinienem zbyt przestawać z ludźmi, których już wybrałem. To, co przydarzyło się Pat, było tego dowodem choć ona nie należała do wybranych. Wszyscy, którzy trzymali się mnie, byli podejrzani. Nie chciałem, aby Mortensona, Powellów, Leslie czy Harry'ego Phillipa znalaziono w jakiejś ulicy z nożem w plecach.

- Jakie to sprytne, Fred - zauważyła Pat z podziwem w głosie. - Gdyby przypadkiem Bill nie miał jeszcze okazji docenić twojego kryształowego charakteru, będziesz kręcić się w pobliżu i dasz mu tę szansę. Nie musisz się martwić. On i tak wie, jaki ty jesteś wspaniały.

Mortenson przyznał się do motywów swego postępowania bez cienia gniewu. Zawsze był swobodny, przyjazny, naturalny.

- Myśl taka rzeczywiście przemknęła mi przez głowę - powiedział. - No więc jak, Bill?

- Lepiej nie - powiedziałem i wyluszczyłem mu swe powody, nie informując go jednak, że znajduje się na liście. Skinął głową. - To rozsądnie - przyznał. - Gdybyś teraz ogłosił nazwiska tej dziesiątki, która z tobą poleci, stawiam cały Bank Narodowy przeciwko miedzianowi, że żaden z tej listy nie dożyje następnego dnia. Słuchaj, Pat: skoro Bill nie chce skorzystać z mojej oferty... gdybyś chciała gdzieś wyjść, a jego nie byłoby pod ręką, to zadzwoń do mnie, dobrze? Nie mam zamiaru udawać, że szaleję za tobą, ale też nie mam ochoty dowiedzieć się, że twoja śnieżnobiała szyja miała randkę z tasakiem.

Pat zadrzała. - Jak ty umiesz to wszystko realistycznie opisać - powiedziała.

Nim Mortenson wyszedł, uprzedził mnie jeszcze, że nie jest ostatnim z moich gości tego ranka. - Przyszedłem tak wcześnie, by być pierwszy - rzekł otwarcie. - Wiem, że panna Wallace tu się wybiera, Powellowie oraz Sammy Hogan...

- Sammy! - wykrzyknąłem. - On już jest na nogach?

- Wiedziałem, że go nie doceniasz - powiedział Mortenson potrząsając głową. - Mniej niż dwadzieścia cztery godziny temu padł jak nieżywy. Teraz zaś, jeśli nie liczyć pękającej głowy, którą chętnie by sprzedał, gdyby znalazł się kupiec, to znów jest to ten sam stary Sammy. Nagle pojął, że dziewczyna nie była tego warta.

Dobrze wiedząc, że gdyby został dłużej, nie byłby już w stanie zyskać sobie dodatkowych punktów, wyszedł i zamknął cicho drzwi za sobą.

Mortenson był dla mnie zagadką - co oczywiście oznaczało, że nie mogłem go rozgryść. W żaden sposób nie potrafiłbym określić bliżej najważniejszej jego cechy: tego wrażenia, że wyrasta ponad resztę świata, że widział i zrobił już wszystko. Był to człowiek o dziesięciu talentach. Kiedy odchodził, zastanawiałaś się, co też jest w nim takiego nadzwyczajnego; ale kiedy był z tobą, nigdy nie miałaś takich wątpliwości.

Spojrzałem przekornie na Pat. - Nie lubisz go - zauważyłem.

- Wręcz przeciwnie - odparła lekceważąco - kochałam się w nim przez wiele lat. On zaś co jakiś czas dawał mi poznać, że wie o tym.

- Nie brzmi to jak wyznanie miłości.

- Pomyśl dobrze, Bill: czy mógłbyś sobie wyobrazić mnie mówiącą coś, co brzmiałoby jak wyznanie miłości?

To była dla mnie nowość. Pat przeszła więc szkołę życia, w której naczelną zasadą było: okażesz swoje prawdziwe uczucie, a ktoś za to da ci po łapach.

- Nie chcesz o tym mówić, prawda? - spytałem.

- Nie ma o czym. Cóż może dama powiedzieć dżentelmenowi o innym dżentelmenie? - Słowa "dama" i "dżentelmen" wymówiła z goryczą. Nie odezwałem się, mając nadzieję, że wkrótce opowie mi o wszystkim. I tak się stało.

- Leciłam na niego - powiedziała. - Nie miałam dość oleju w głowie, by zachować się inaczej. Ale było to bez znaczenia, bo on okazał się dobry i wyrozumiały. Przyhamował mnie i postawił delikatnie na nogach. Nie można od niego wymagać więcej, prawda? Miałam wtedy siedemnaście lat. Spróbowałam znowu i tym razem już nie postawił mnie delikatnie na nogach. Trzymał mnie przez jakiś czas, a kiedy znowu postawił na nogach, to już nie tak łagodnie. Wówczas był już trochę mną znudzony. Rozumiesz, stałam się wymagająca.

Trudno mi było wyobrazić sobie wymagającą Pat. Ale może to o innej Pat opowiadano. Większość z nas przybiera różne postawy w różnych okresach życia.

- Nie wiń go - mówiła dalej. - Cokolwiek byś nie postanowił, nie wiń Freda. To byłoby niesprawiedliwe. - Nie wiedziałem, czy ironia w jej głosie odnosiła się do tego, o czym teraz mówiła, czy też do jej życia. Jej całego życia, pomyślałem.

- W końcu, czy ty nigdy nie robiłeś uników? No więc ta sama historia ciągle się powtarza. Dokładnie ta sama. Fred i ja spotykamy się, jakby po raz pierwszy, i odtwarzamy tę samą starą, pękniętą płytę.

- Dlaczego? - spytałem wprost.

- To proste - odparła lekko. - Ponieważ w ten sposób mogę być jakoś tam szczęśliwa. I ponieważ Fred nie jest z kamienia.

Powiedziała już wszystko, co było do powiedzenia na ten temat, a mnie nie trzeba było nic więcej. Była to jedna z tych opowieści, które zaczynały się od słów: "Byłoby zupełnie inaczej, gdyby..." Może i byłoby inaczej, ale dla mnie ważne jest tylko to, co jest, a nie co mogłoby być. Nie mogłem jednak powstrzymać się od myśli, czy przypadkiem nie byłoby inaczej, gdyby Pat zainteresowała się Sammym, co oczywiście nigdy nie miało miejsca.

- Jak to się stało, że nigdy nie słyszałaś o tej dziewczynie Sammy'ego? - spytałem.

Wzruszyła ramionami. - Nigdy się nim specjalnie nie interesowałam. Chyba kiedyś tam nasze drogi się rozeszły. - Zaśmiała się sztucznie. - To zdarza się nawet najporządniejszym ludziom.

Ledwie skończyliśmy śniadanie, gdy zjawili się Powellowie. Nie byli ani trochę zdziwieni widokiem Pat, ale jej obecność zdawała się ich krępować. Toteż po chwili Pat wyszła do sypialni.

Powellowie cały czas mieli kłopoty z zaczęciem właściwej rozmowy. Miałem nadzieję, że się nie rozkleją i nie zaczną błagać, bym zabrał ich na Marsa, bo Marjory spodziewa się dziecka, czy też z jakiegoś innego melodramatycznego powodu.

Dopiero Marjory przemogła się na tyle, by wyjawić mi powód ich wizyty, choć też nie od razu. Uparcie pocierała paznokcie, jakby je polerowała, a jednocześnie co jakiś czas wygładzała spódnice, która wcale nie była pomarszczona.

- Nie chcieliśmy o tym mówić - odezwała się - bo uważaliśmy, że to i tak nie ma znaczenia, ale jednocześnie pomyśleliśmy, że tak trzeba... rozumiesz, prawda? Na wszelki wypadek. Żeby było w porządku.

Czekałem wiedząc, że cokolwiek bym powiedział, posłużyłoby to za pretekst do dalszego owijania w bawełnę: zaczęliby bardzo skrupulatnie udowadniać, że nie to mieli na myśli.

- Ja uważałam, że w żadnym wypadku byś nas nie wybrał - powiedziała Marjory - ale Jack stwierdził, że w końcu nie jest to wykluczone. Zdecydowaliśmy się więc powiedzieć ci, żebyś tego nie robił. Nie znaczy to, że byliśmy pewni, ale...

- Dlaczego? - spytałem wprost. - To znaczy, że chcecie umrzeć?

- To znaczy, że nic na to nie można poradzić - powiedziała zwyczajnie Marjory. - Stanowią zbyt wielkie ryzyko, Bill. Miałam już jedno poronienie i doktor powiedział, że następna ciąża zabije i dziecko i mnie.

- Uważasz, że powinni polecić tylko ci, którzy mogą mieć dzieci?

- To nie tylko to, Bill. Nie wydawało się to nam ważne... Jestem w ciąży.

- Rozumiem - powiedziałem.

- Oczywiście możesz sobie pomyśleć, że mieliśmy chęć przypuszczać, iż wybrałbyś nas - rzekła szybko Marjory. - To nie o to chodziło. Tylko, że powinieneś wiedzieć o tym, tak na wszelki wypadek.

Cóż miałem im odpowiedzieć? Czy to, że byli na liście? Oczywiście, że nie. Czy sprawiłoby im zatem ulgę, gdybym stwierdził, że nigdy ich nie brałem pod uwagę? Nie. Mogłem tylko głupio wymamrotać, że bardzo mi przykro. Nie takiej nowiny się spodziewałem, ale ta też była melodramatyczna.

Pat wróciła z sypialni, gdy tylko Powellowie wyszli. Powiedziałem jej o wszystkim. - Ciekawe - zastanowiłem się - dlaczego też wszyscy wybrali sobie dzisiejszy ranek na to, by mi o tym mówić?

- To bardzo proste - odparła Pat. - Pięć osób zginęło we wczorajszej bójce. Dwadzieścia cztery inne zabrano do szpitala. Sześć zamknięto w areszcie, do procesu, który wyznaczono na poniedziałek. Tylko, że zapewne tego poniedziałku już nie będzie, więc jedynym widokiem, jaki im pozostał na resztę życia, to wnętrza ich cel. Ludzie nagle zaczynają pojmować, że to nie jest koszmar, który minie wraz z przebudzeniem się. Dziś jest wtorek. Jeśli nie przekonają cię do czwartku wieczorem, że to ich powinieneś zabrać na Marsa, czeka ich śmierć.

Bardziej niż jej słowa, interesowała mnie sama Pat. Przypomniałem sobie, że mam teraz dwa wolne miejsca w szalupie. W sprawie Powellów nie mogło być żadnych wątpliwości. Nie miałem prawa dawać jednego z tych bezcennych miejsc komuś, kto mógłby umrzeć za kilka miesięcy albo, co gorsza, trafić na Marsa jako kaleka, którym trzeba się będzie stale opiekować.

Nie chciałem widzieć nikogo więcej. Potrzebowałem usiąść i się zastanowić. Ale pochód gości trwał nadal.

Panna Wallace wcześniej zatraciła wszelkie ślady młodości i poprzestała na wieku nieokreślonym. Wiedziałem, że ma zaledwie trzydzieści lat, ale równie dobrze mogłaby wyglądać na czterdzieści pięć lub pięćdziesiąt, gdyby się postarała.

Powodem jej wizyty było wstawiennictwo za Leslie Darby, którą uważała za godną mojego wyboru.

- Może pan uważa, że Leslie jest młoda i frywolna - powiedziała z przejęciem (zupełnie niepotrzebnie, bo nikt nie miał wątpliwości, że Leslie jest młoda, a za frywolna mogła ją uważać chyba tylko panna Wallace) - ale jeśli nie widział jej pan jeszcze wśród dzieci, to daję panu słowo, ona ma dar postępowania z nimi. Taki dar przyda się w nowym świecie. Czasem obawiam się, poruczniku Easson - i ufam, że nie uzna pan moich obaw za bezzasadne - iż zarówno pan, jak i inni pańscy koledzy stworzą świat spartański: twardzi, dzielni mężczyźni i kobiety, którzy nie będą mieli czasu na delikatniejsze sprawy. Może to i słuszne. Tyle tylko, że w takim świecie dzieci moim zdaniem wyrosną na jeszcze twardsze i bardziej nieustraszone i tak zrodzi się nowa rasa, okrutna i nieświadoma, i...

- Chyba nikt z nas tego nie chce, panno Wallace - odezwałem się. Wkrótce się jej pozbyłem, bo w końcu traciła zarówno swój czas, jak i mój. Leslie była na liście. Podobnie zresztą, jak panna Wallace, choć wyglądało na to, że coś takiego nigdy nie powstało jej w głowie. Poza tym miałem jakieś niedobre przeczucie, że jej szczerłość mogłaby osłabić moją obronę i sprawić, że powiedziałbym coś, czego później mógłbym żałować.

- Wyjdźmy stąd - powiedziała Pat. - Inaczej zwali się nam tu całe Simsville.

- No, czy nie sądzisz, że powinienem się zobaczyć ze wszystkimi, którzy tego chcą?

- Nie jesteś ich spowiednikiem.

- Nie, ale mam władzę dać im życie po śmierci.

- To nieomal bluźnierstwo - powiedziała Pat. Zaskoczyło mnie to. Nigdy bym nie przypuścił, że ma właściwe pojęcie o tym, czym jest bluźnierstwo, ani że będzie się tym przejmować.

- W każdym razie chciałbym wiedzieć, co gryzie Sammy'ego - powiedziałem. - Bardzo jestem ciekaw, jak wygląda na trzeźwo. Zastanawiam się, o co mu chodzi.

Pat parsknęła cynicznie. - On rzeczywiście chce bilet na Marsa - powiedziała. - Teraz, gdy obudził się w świecie, który daje mu tylko trzy dni życia, przypelźnie tu na brzuchu, by cię błagać.

Nie podobały mi się jej słowa. Przed chwilą już, już miałem oddać jej miejsce po Marjory Powell. Teraz jednak jej słowa potwierdziły moje przekonanie, że byłby to błąd.

Może zbyt przymowałem się swą rolą. Może zacząłem myśleć, że naprawdę jestem bogiem.

VI

I za sto lat bym nie zgadł, z czym wybierał się do mnie Sammy Hoggan. Stało się z nim to, co często przydarza się facetom po zdrowym ochlaju. Nagle jest już po wszystkim, czują się parszywie, ale mózg pracuje chłodno i bez emocji. Spotkałem już uczonych, którym w takich okolicznościach przychodziły do głowy, nagle i bez trudności, odpowiedzi na pytania dręczące ich od lat.

Wszedł, stąpając ostrożnie, jakby jego głowa trzymała się za ledwie na ostrzu szpilki. Był to zupełnie inny Sammy. Spojrzał na mnie, potem na Pat i znowu na mnie.

- Nie wiem, czy powinienem mówić o tym, z czym przyszedłem - mruknął.

- Zobaczymy.

- Może lepiej byłoby, gdybym trzymał język za zębami, skoro, jak się wydaje, nikomu to dotąd nie przyszło do głowy. Jednak ta sprawa mnie dręczy, a ty może znasz odpowiedź. Jeśli nie, to chyba wróć do picia, choć z innego powodu.

- Co to jest, że nikt nie może od razu przejść do rzeczy? - poskarżyłem się. - Wal śmiało.

- Mogę ci zadać kilka pytań? - Ostrożnie usiadł na krześle. - Ile trzeba czasu, by zbudować porządny statek kosmiczny?

- Prawie rok.

- Ile osób mogłyby zabrać takie statki, gdyby był jeszcze czas?

- Nie wiem. Kilkaset. Mniej więcej jedną na pięć milionów. Do czego zmierzasz?

- Gdzie budują swoją szalupę ratunkową? Widziałeś ją?

Powinienem był od razu się domyśleć, o co mu chodzi, ale tak się nie stało. Za to Pat odgadła. Wstrzymała oddech i spojrzała na Sammy'ego z przerażeniem.

- W Detroit - odparłem. - Tak jak tysiące innych. Całe miasto ewakuowano i zamieniono w bazę wojskową. Podobnie jak Filadelfię, Phoenix, Birmingham, Berlin, Omsk czy Adelaide. Ale przecież wiesz o tym. Owszem, widziałem szalupy ratunkowe. Będą gotowe dopiero na kilka godzin przed startem. I nie będzie żadnych lotów próbnych. Wiele z nich w ogóle nie dotrze w okolice Marsa. Czy o to ci chodzi? Nie mówi się o tym głośno, ale każdy, kto choć trochę wie o lotach międzyplanetarnych, może to sobie sam wydedukować. Więc?

- Powiedzmy, że okazałoby się, iż tylko jedna osoba na pięć milionów ma szansę przeżycia. Co stałoby się wówczas na Ziemi?

- To nie jest miła perspektywa - zgodziłem się. - Te wczorajsze zamieszki są niczym w porównaniu z tym, co działałoby się codziennie, przez cały czas, na całym świecie. Ale człowiek staje się ogromnie pomysłowy, gdy śmierć depcze mu po piętach. Nie trzeba było dużo czasu, by zaprojektować pojazdy, które da się zbudować w ciągu ośmiu tygodni, skoro to konieczne. Tak więc to, co masz na myśli, nie nastąpiło.

- Tak - odparł cicho Sammy - nie nastąpiło. Bo tak jak mówisz, człowiek potrafi stać się ogromnie pomysłowy.

Zrozumiałem w końcu, o co mu chodzi, i roześmiałem się. Udało mu się jednak mnie zaniepokoić.

- Chcesz powiedzieć, że świadomi tego, co by się stało, gdyby tylko jedną osobę na milion można było przewieźć w bezpieczne miejsce, możni tego świata wymyślili lipną akcję ratunkową, by świat siedział cicho - rzekłem. - Jeden na trzystu to zupełnie co innego. To realna szansa. Ludzie jej nie odrzucają. Będą bardzo uważać do chwili, gdy stanie się jasne, że ją utracili. O to ci chodziło, prawda?

Roześmiałem się znowu. - Gdyby istotnie coś w tym było - mówiłem dalej - może bym sam zaczął w to wierzyć. Ale jaka byłaby korzyść z takiego posunięcia? Co by to zmieniło, gdyby ludzie na całym świecie zaczęli się bić, rabować, niszczyć, mordować? Kiedy rtęć podskoczy w termometrach, ostateczny efekt będzie taki sam.

- Może i znalazłoby się wytłumaczenie - rzekł Sammy. - Kto leci w zwykłych statkach? Grupy starannie dobrane - nie przez pośpiesznie mianowanych poruczników, których jedyna kwalifikacja polega na tym, że potrafią odróżnić jeden koniec statku kosmicznego od drugiego. Prawdziwe jednostki ratunkowe zabiorą najważniejsze osoby, sprzęt, zapasy...

- Oczywiście, skoro szalupy stanowią takie ryzyko.

- Jest to jeszcze bardziej oczywiste, jeśli założymy, że żadna z szalup nie ma dolecieć. Może nawet i żadna nie opuści Ziemi. Czy nie rozumiesz, czego się boję? Ważniaki z rządów wiedzą, że gdyby powiedzieli prawdę, świat ogarnąłby chaos. Tłumy zniszczyłyby statki, które i tak nie zabrałyby ich na Marsa. Zabito by każdego, kto byłby podejrzany o to, że został wybrany. Gdyby jakiś statek wylądował, gdziekolwiek, miliony ludzi zaroilyby się wokół niego, jeszcze przed otwarciem włazów.

I teraz popatrz. Najważniejsi urzędnicy wszystkich rządów mogą starannie, po cichu dobrać przyszłych osadników marsjańskich, zawieźć ich do portów kosmicznych i wsadzić na statki. Mogą się zdarzyć jakieś wypadki, ale na ogół ludzie nie będą robić większych kłopotów w obawie przed utratą miejsca w szalupie ratunkowej. Widzisz, co to za sprytny, diabelski plan? Ci, którzy naprawdę lecą na Marsa, mogą się przygotować po cichu, bez kłopotów, podczas gdy jedna trzecia ludności Ziemi zajmuje się budową bezużytecznych szalup ratunkowych, a pozostałe dwie trzecie spędza czas zachowując się jak należy, w nadziei, że w ten sposób zwrócą na siebie uwagę jakiegoś błaszanego poruczniczyny.

Pat była zaniepokojona. Odczuwałem wielki podziw dla niej i Sammy'ego. Wiedziałem - nie byłem pewien skąd, ale wiedziałem, że martwią się nie o siebie, bowiem żadne z nich nie oczekiwało biletu na Marsa, ale o te oszukane miliony, które myślą, że mają szansę, podczas gdy (wedle teorii Sammy'ego) wcale jej nie mają.

Nie było sensu udowadniać im, że gdyby nawet była to prawda, to może należałaby się jakaś pochwała tym, którzy tą metodą zapewnili, że jak najwięcej odpowiednich osób trafi do nowej kolonii. Pat i Sammy poddali się przerażeniu na myśl o świecie, który utrzymuje się w ryzach drogą okrutnego kłamstwa. Nie widziałem tego na ich sposób, choć miałem w tym większy interes niż oni.

Otoczyłem Pat ramieniem.

- Nie będę się spierał z twoją teorią, Sammy - powiedziałem - choć mógłbym. Powiem tylko tyle: to wszystko przyszło ci do głowy, kiedy upadłeś tak nisko, jak nigdy przedtem, prawda? Czyż nie czułeś się wtedy żałośnie, rozpaczliwie, na wpół martwy? Czy w takim stanie mogły ci przyjść do głowy jakieś inne myśli poza tymi najczarniejszymi, najbardziej ponurymi?

Uśmiechnął się kwaśno. - Coś jest w tym, co mówisz.

- No więc postaraj się poczuć trochę lepiej i jeszcze raz przyjrzyj się temu wszystkiemu, coś mi powiedział. Może wyda ci się, że jest inaczej.

- Pat nie była w depresji - odparł Sammy. - A i jej chyba się wydaje, że coś w tym wszystkim jest.

- Pat zawsze myśli, że coś jest we wszystkim. Nicemu nie ufa na pierwszy rzut oka. Ale często taka postawa maskuje romantyzm i wyobraźnię. Kto zresztą powiedział, że Pat nie jest w depresji? Ona twierdzi, że zmarnowała swoje życie. Uważa, że nie ma prawa lecieć na Marsa. Chciałaby...

Pat szybkim ruchem dłoni zamknęła mi usta. Schwyciłem jej przeguby i przez chwilę niby to się z nią mocowałem. Po tym wszystkim zdawała się mieć lepszy nastrój.

Nawet Sammy prawie się uśmiechnął.

VII

Zanim Sammy wyszedł, zadzwonił telefon. Odebrała go Pat. Postanowiła, jak się zdaje, że wszyscy powinni się dowiedzieć, iż jest ze mną - choć jaką korzyść chciała tym osiągnąć, nie miałem pojęcia. Efekt był wręcz przeciwny. Jednak ludzie, którzy bardzo się starają, by zachować uczciwość i szczerłość, są często uczciwi i szczerzy, nawet gdy nie wynika z tego nic dobrego, a jedynie same szkody.

Telefon był do Pat. Słuchała przez jakiś czas, po czym trzasnęła słuchawką o widelki i obróciła się do nas, wściekła.

- No i co powiecie na coś podobnego! - wykrzyknęła.

- Nic - odparł Sammy cierpliwie - póki nie powiesz, o co chodzi.

- Dzwoniła moja ciotka. Ktoś dostał się wczoraj w nocy do mojego pokoju i zniszczył wszystko - ubrania, książki, meble, listy. Rozpieprzył cały lokal. Wyobraźcie sobie coś podobnego!

Sammy spojrzał na to praktycznie. - I tak te rzeczy przydałyby ci się tylko przez dzień czy dwa - zauważył. - Co ci zależy?

- Ale...

- To tylko ludzka złość - powiedziałem. - Czemu się dziwisz, Pat? Jesteś tak cyniczna w wielu innych sprawach, że nie powinno cię szokować, gdy ci, którzy cię nienawidzą, chcą się na tobie zemścić, na ile mogą.

Pat uśmiechnęła się mimowolnie. - Właściwie to się nie dziwię - przyznała. - I Sammy ma rację: to już nie ma większego znaczenia. Ale to niezłe świństwo, nie?

- Cóż za osobliwe zestawienie - mruknął Sammy. - Niezłe świństwo. Niezłe świństwo.

Pat stwierdziła, że pójdzie popatrzeć na dzieło zniszczenia. Zaofiarowałem się, że ją odprowadzę, ale ku memu zdziwieniu podniósł się Sammy i rzekł, że to on z nią pójdzie. Zgrabnie to ujął, w słowach, które nie dopuszczały innej możliwości. Faktycznie to zostawił mnie na lodzie. Chyba czuł się już o całe niebo lepiej niż wtedy, gdy tu wszedł i zaczął swoje czarnowidztwo.

Stukanie do drzwi rozległo się tak szybko po ich wyjściu, że myślałem, iż to oni zawrócili. Otworzyłem drzwi tak niedbale, pewien, iż to Pat z Sammym, że pojawienie się kogokolwiek innego byłoby dla mnie zaskoczeniem.

Ale z pewnością nie spodziewałem się melodramatycznego widoku trzech zamaskowanych osobników, którzy precyzyjnie się obok mnie do pokoju i zamknęli drzwi.

Nie czułem obawy. Nic mi się nie mogło stać. Gdyby to był jeden człowiek, może poczułbym się niepewnie, bowiem jednostce może trafić się chwila takiego szaleństwa, że zabije jedyne

człowieka, który mógłby dać szansę ratunku. Ale trzech... nie mogli być wszyscy tak szaleni, w ten sam sposób, jednocześnie.

- I co teraz? - zapytałem. - A ściślej mówiąc, po co? Wszyscy trzech byli uzbrojeni. Przywódca wyciągnął swój pistolet i pomachał nim, jak to robią dzieci w czasie zabawy.

- Wybieramy się na Marsa, Eason - powiedział, celowo zniekształcając głos. - Jeśli uświadomisz to sobie od początku, będziemy się o wiele lepiej rozumieć.

- Więc lepiej wynoście się stąd, zanim któregokolwiek rozpoznam - powiedziałem do nich. - Inaczej macie stuprocentową pewność, że nikt z was tam się nie znajdzie.

- Jeden z nas zostanie z tobą do chwili startu. To chyba robi jakąś różnicę. My...

Jego kowbojskie teksty zirytowały mnie. Na tyle, na ile potrafiłem stwierdzić, mogły to być dzieciaki, które postanowiły się w ten sposób zabawić.

- Wynoście się stąd do diabła - powiedziałem - nim zedrę wam te maski. Czy macie mnie za idiotę?

Nikt się nie poruszył, więc wyjaśniłem im to, co powinno być dla nich oczywiste. - Jeśli zginę, nikt z Simsville nie poleci na Marsa - oświadczyłem, nieco bardziej cierpliwie.

- Nie przysła już następnego porucznika. Więc to wam nie pomoże. Jeśli zaś będziecie tu tkwić ze mną, to potrwa to tylko do Detroit, gdzie nas rozdziela. I nic na to nie poradzicie. Poślę was wtedy do jakiegoś mamra i będzie po wszystkim. Jeśli zmusicie mnie do jakiegoś przyrzeczenia - co nie będzie trudne, bo mogę powiedzieć, co tylko zechcecie - będzie ono obowiązywać tylko dopóki nie znajdę się w bezpiecznym miejscu. Potem zaś wszystko pójdzie tak jak poprzednio. Czy jest jasne?

Popatrzyłem na nich po kolei. - No, dobra - powiedziałem. - Wiecie gdzie są drzwi. Dopiero co przez nie weszliście.

I wyszli. Tak po prostu. Pomyślałem sobie, że jeszcze przed przyjściem tutaj musieli zdawać sobie sprawę, iż efekt będzie właśnie taki. Właściwie nie mogłem ich winić za to, że próbowali. Może okazałbym się taki słaby czy taki głupi, że przystałbym na ich plan. Ale próbowali bez większego przekonania.

Miałem dosyć siedzenia w apartamencie. Poszedłem do baru. Zobaczyłem tam Stowe'ów z Jimem i pomachałem im ręką. Pozdrowili mnie tym samym gestem, niezobowiązująco. Nadal należeli do tej małej grupki ludzi, którym zależało bardzo na tym, co inni myślą o nich. Nie chcieli, by ktoś mógłby powiedzieć o nich, że płaszczą się przede mną błagając o to, czego chcieli wszyscy.

Zobaczyłem Betty Glesor i Morgana Smitha, których dotąd nie wymieniałem w tej opowieści, bowiem nigdy o nich nie myślałem. Zamieniłem z nimi może dziesięć słów. Ale na mojej liście byli tuż za Powellami.

I tak to w końcu wyglądało: im więcej dowiadywałem się o jakichś ludziach, tym większe było prawdopodobieństwo, że spadną z listy. Może Smith był pijakiem, narkomanem, sadystą i mordercą - nie miałem czasu tego sprawdzić. Ale nie było mi wiadomo, żeby był kimś podobnym, więc mogłem go zabrać na Marsa.

Usunąłem z mojej listy Powellów i umieściłem na niej Smitha i Glesor.

Wciąż na nich patrząc omal nie wpadłem na Leslie. Była teraz bez zajęcia, skoro szkołę zamknęto. Uśmiechnęła się do mnie. Zatrzymałem się, nie mając jej nic do powiedzenia, ale też nie mając powodu, by omijać ją, kiedy wyraźnie chciała porozmawiać.

- Co robisz? - spytała, co było najgłupszym pytaniem, jakie w życiu słyszałem.

- Po prostu zabijam czas - odparłem.

- Mogę ci w tym pomóc?

- Jeśli masz jakieś znakomite pomysły.

Leslie powiedziała mi o pewnym miejscu w głębi doliny, którego jeszcze nie miałem okazji oglądać. Stwierdziła, że miejsce to będzie dobre do zapamiętania, gdy przyjdzie czas na wspomnienia o Ziemi.

Dziwna sprawa, nigdy o tym nie pomyślałem. Może dlatego, że nim jeszcze skończyłem dziesięć lat, mieszkałem w trzech regionach wiejskich i czterech dużych miastach, i z żadnym z nich nie czułem się związany. Nie zastanawiałem się wiele nad tym, że opuszczam Ziemię na zawsze. Zdawało mi się chyba, że Harry Phillips pożegna ją z żalem; ale skoro wszyscy tu pozostawieni mają umrzeć, to ja nie miałem czego żałować. Czymże w końcu była Ziemia? Tylko miejscem, takim jak inne. Wystarczy pomyśleć o niej "planeta" i oto mamy zamiast niej Marsa, a przy tej transakcji nie pozostanie żadna luka w technice, której nie dałoby się nadrobić w ciągu mniej więcej stu lat.

Ale nim jeszcze Leslie skończyła mówić, pojąłem, że żadna planeta nigdy nie będzie taka jak Ziemia.

Zatrzymaliśmy się około trzech kilometrów od Simsville; nigdzie ani śladu człowieka. Skłaniały się ku nam dwa pagórki, gęsto porośnięte drzewami. W dole toczył swe wody strumyk, skręcając to w jedną, to w drugą stronę, w poszukiwaniu ujścia. Niezwykle białe chmury płynęły ciągle po bez mała tropikalnym lazurze nieba.

Po raz pierwszy uświadomiłem sobie, że moje oczy, choć nie wdrożone do oglądania piękna, potrafiły je odbierać, a coś we mnie zachwycało się nim.

Leslie miała na sobie niebieską sukienkę z lejącego się jedwabiu - i nią też potrafiłem się zachwycać. Suknia kontrastowała z jej jasnymi włosami. Zawsze lubiłem zestawienie błękitu i złota.

- Chciałabym... - zaczęła Leslie.

Siedzieliśmy w cieniu; pochylała się do przodu opierając się na podciągniętych nogach i trzymając się dłońmi za kostki stóp.

- Co byś chciała? - spytałem uprzejmie.

Wydawało się, że zapomniała swych poprzednich słów. - Dlaczego to tak zostało ustalone? - spytała gniewnym tonem.

Byłem rozczarowany. Miałem nadzieję, że oddaliłem się od Simsville, mojego zadania i mojej odpowiedzialności.

- W jaki sposób jeden człowiek może przez dwa tygodnie dobrze poznać przeszło trzy tysiące osób? - ciągnęła. - Sam wiesz dobrze, że to niemożliwe. Nawet nie próbowałeś. Och, nie mówię, że nie jesteś sumienny. Uważam, że jesteś. Gdyby to tobie przypadło ustalić metodę selekcji na całym świecie, jakie wybrałbyś rozwiązanie?

Wzruszyłem ramionami. - Chyba wybrałbym książkę telefoniczną.

- Co to znaczy?

- Co trzysta dwudzieste piąte nazwisko.

Leslie wstrzymała oddech w taki sposób, jakbym dopiero co zaproponował spalenie katedry. - Nie mógłbyś tego zrobić! - wykrzyknęła. - To straszliwie niehumanitarne.

- Dlaczego? Za to byłoby uczciwe.

- Ale w taki sposób... Jest to w końcu jakaś szansa. Mogliby polecieć dobrzy, mądrzy, rozsądni, piękni...

- Na litość boską! - wykrzyknąłem, wstrząśnięty tym, że nie potrafiła tego zrozumieć. - Czy uważasz, że taka jest nasza rola? Zgromadzić w tysiącach naszych małych arek same koronowane głowy i nie zwracać uwagi na motłoch? Snobizm intelektualny czy artystyczny jest równie zły, jak snobizm społeczny. Gdybym miał tu, w Simsville, Beethowena, Michała Anioła, Napoleona, Marię Curie, Szekspira, Helenę Trojańską i świętego Piotra, czy sądzisz, że wybrałbym ich?

- A nie? - Przestrach już ją opuścił, zastąpiony niezmiernym zdziwieniem.

- Gdybym tak zrobił, to gdzie miejsce dla człowieka przeciętnego? Jasne, że gdyby w Simsville mieszkał jakiś geniusz, pomyślałbym o nim. Na świecie nie ma ich aż tylu. Ale kiedy proporcja jest jak jeden do trzystu, nie będziemy odbierać szans człowiekowi przeciętnemu przez wybór tylko tych, którzy zawsze wygrywali egzaminy konkursowe w tym czy w owym. Ja...

Brakło mi potrzebnej elokwencji. Wiedziałem, że mam rację. Chciałem jednak, by ona też to zrozumiała. Jak jednak mogłem jej powiedzieć, że ludzie wybitni są jak psy, które nauczyły się nowych sztuczek, i że John Smith jest tak samo cenny dla siebie, jak William Szekspir?

- Pomówmy o czymś innym - rzekłem bezradnie. - Albo jeszcze lepiej, nie mówmy w ogóle.

Skinęła głową, zawahała się i jakby nagle podjąwszy decyzję sięgnęła do szyi.

Może było w tym tyle samo mojej winy, co jej. Patrzyłem bezmyślnie, jak manipulowała przy zapięciach sukni, a potem rozzłościłem się, kiedy nie było po temu żadnego powodu. W końcu co złego jest w tym, że ktoś chce żyć? Dlaczego ludzie nie mają próbować wszelkich możliwości?

Wiedziałem o niej jednocześnie za dużo i za mało. Gdyby to była Pat... no więc, gdyby to była Pat, wszystko wyglądałoby zupełnie inaczej. Wiedziałem jedynie, że Leslie nie należała do dziewcząt, które bez zmruczenia oka oddają się prawie nieznanemu. I ta świadomość, zamiast pomóc, jeszcze bardziej wszystko popsowała.

- Po to mnie tu przywiozłaś? - spytałem rozwścieczony.

- A jeśli tak, to co? - odparła prowokująco.

Byłem nieprzytomny ze złości. A także, zupełnie irracjonalnie, rozczarowany. - Czy sądzisz, że mogłabyś jakiegokolwiek porucznika przekupić w ten sposób? - spytałem ostro. - Każdy z nas mógłby mieć co noc na swoje zawołanie gwiazdy filmowe, księżniczki i modelki, bez zobowiązań, bez zwracania sobie głowy małomiasteczkowymi nauczycielkami. Wiesz, co powinienem teraz zrobić? Skreślić cię z listy.

Znieruchomiała. Cała scena była melodramatyczna, nieszczerza i głupia. Jej wysiłki, by mnie uwieść, były straszliwie nieporadne, bo nie wiedziała, jak się to robi. Gdyby miała pojęcie, jak udawać miłość do mnie albo przynajmniej zainteresowanie, może ta nieszczerłość by zniknęła. Ale tylko dziewczyna ogarnięta wstydem mogła tak to spaprać, jak właśnie Leslie.

- Czy nie miałaś dość rozumu, by pojąć - mówiłem z goryczą - że każdy z nas mógłby mieć dowolną kobietę, którą zechce? Myślisz, że nie mam dosyć głupich ofert i propozycji? Od ludzi, którzy obiecują zrobić na Marsie wszystko, co rozkażę; którzy proponują mi równowartość swojego dziesięcioletniego wynagrodzenia w każdej walucie, jaka tam będzie w obiegu, nawet jeśli zmuszeni będą pracować dwadzieścia lat w pocie czoła, by to zapłacić... ludzi, którzy gotowi są dla mnie zabijać, pomóc mi ustanowić tam własne państwo. Do diabła, Leslie, czy to nie oczywiste, że już dawno postanowiłem, co zrobić z tymi wszystkimi ofertami - to znaczy pozostawić na Ziemi tych, którzy je składają?

- Powiedziałeś... coś, co sugerowało, że wybrałaś mnie do dziesiątki.

- Tak, powiedziałem.

Uniosła gwałtownie głowę i zaśmiała mi się w twarz. - To samo słyszałam często, gdy byłam mała - odparowała. - "Miałem coś ci dać, ale teraz już nie". Wszyscy tak mówili. To...

Uciekłem od niej, z powrotem do Simsville. Niebieska sukienka z jedwabiu wciąż leżała na ziemi wokół Leslie, otaczając ją niczym perliska kałuża.

VIII

Zostały już tylko godziny, nie dni. Wkrótce cała dziesiątka, która miała lecieć ze mną, dowie się o tym. To, czy w ogóle doleczą na Marsa, będzie zależało między innymi od tego, jak dobrze potrafią ukryć tę wiadomość.

Na rynku miała miejsce jeszcze jedna bijatyka. Tym razem oglądałem ją z okna mojego pokoju, dobrze ukryty, bo nie chciałem zbyt natrętnie rzucać się w oczy. Nikt nie chciał się bić, ale też nikt nie potrafił zapobiec bójkom. Wszyscy w mieście, poza jedenastoma osobami, mieli umrzeć. Na całej Ziemi temperatura była nadal normalna, a Słońce wyglądało tak jak zwykle. Trudno było uwierzyć, że nie ma żadnych oznak, widzialnych, słyszalnych czy odczuwalnych.

Odwrociłem oczy od Słońca i spojrzałem na rynek akurat w momencie, gdy umierał Jack Powell. Ktoś powalił go i zmiażdżył mu butem szyję. Z uczuciem obrzydzenia zobaczyłem, że był to Mortenson. Mortenson! W tej właśnie chwili coś mi zaskoczyło w mózgu i zacząłem rozumieć Mortensona.

Wybraniec losu. Szczęściarz. Silny, przystojny, zdrowy. Miał tyle, więc jakże by nie mógł mieć wszystkiego, czego zapragnął? Tak jak pewna znana mi piękna dziewczyna, która powiedziała mu coś - i stale mówiła - co właściwie oznaczało: "Rób ze mną, co chcesz, i tak cię kocham". Ludzie wszystko by mu wybaczyli. Mężczyźni go lubili, kobiety kochały.

Sprawił ból Pat. Wiedziałem o tym, ale właściwie nie zdobyłem się na żaden wysiłek, by to zrozumieć. Pat tylko raz rozmawiała ze mną o swoich sprawach z Mortensonem. Oczywiście, że sprawił jej ból. Domagała się tego wręcz - tak jak cały świat się tego domagał. Każdy pchał się z wybaczeniem, gotów zapomnieć o wszystkich wybrykach wspaniałego Mortensona.

W trzech słowach: miał za wiele. Miał więcej, niż potrzebował. Rozbestwiony, zszedł na złą drogę.

Nie interesowało mnie, kto w tej bójce miał rację, a kto nie; albo jaki był powód tego, że Mortenson odebrał życie Powellowi. Zawsze będzie mi stać przed oczyma jego obraz, tańczącego na ludzkiej szyi, ryczącego z radości. Mortenson już dla mnie nie istniał.

Teraz Marjory będzie umierać sama, w smutku, strachu i nienawiści. Nigdy już jej nie zobaczę.

Zjawili się Betty i Morgan, zobaczyli, co się dzieje i uciekli w boczną uliczkę. To dobrze; nie miałem powodu skreślać ich z listy pasażerów mojej szalupy. Sammy był na rynku; w ręku miał pistolet. Może on też był wśród tych trzech zamaskowanych? Nie: tamci to głupcy, a Sam głupi nie był. Poza tym, był razem z Pat. A właściwie, gdzie była teraz Pat?

Musiałem chyba to ostatnie zdanie powiedzieć na głos, bo odezwała się zza moich pleców. - Odejdź od okna, Bili - powiedziała. - To jak narkotyk; wciągnie cię w końcu. Nie jesteś dość odporny.

Przeciagnałem dłonią przed oczami. Miała słuszość; właściwie nie potrafiłem zrozumieć, co się dzieje. Przynajmniej starałem się wszystko wiernie zapamiętać, ale wywierało to na mnie wrażenie zupełnie nie takie, jak powinno.

Lista była ukończona. Mortenson skreślony, Powellowie skreśleni, Leslie skreślona. Leslie zrobiła coś, już nie pamiętałem co, za co spadła z listy. Panna Wallace, Harry Phillips, Bessie Phillips, małżeństwo Stowe, ich syn Jimmy, Betty Glessor, Morgan Smith. Ale to tylko osiem nazwisk. Aha, jeszcze Sammy i Pat.

- Mówiłem ci już, Pat? - spytałem. - Lecisz na Marsa. Nie była zaskoczona, jak się na wpół spodziewałem, a już na pewno nie była zachwycona. Tylko spokojna i poważna.

- Mówisz serio? - zapytała.

- Oczywiście. Nie żartowałbym w ten sposób.

- Nie. Ale pomyślałam sobie: czy to nie dlatego, że...

Nie o to mi chodziło, o czym myślała; jej zresztą chyba też nie.

- Żadne "dlatego" - powiedziałem. - Ze wszystkich mieszkańców Simsville nie znam nikogo, kto bardziej od ciebie zasługiwałby na życie.

Ufałem, że pozostali przyjmą to równie spokojnie. Nie miałem pewności. Żadnemu nie zamierzałem powiedzieć tego osobiście, poza Sammym i Pat.

Wyglądało na to, że bijatyka się skończyła albo przynajmniej przeniosła gdzieś indziej. Nie słyszałem żadnych krzyków ani jęków, gdy tak stałem zastanawiając się, jak przyjmie to pozostała ósemka.

Do Stowe'ów poszedł pastor Munch. Był to, oczywiście, jedyny sposób. W żadnym wypadku nie mogłem pójść sam do tych, których wybrałem; nie mogłem do nich napisać, zadzwonić ani zatelegrafować, ani też wysłać nikogo, kto był ze mną blisko związany. Trzej duchowni zaproponowali swą pomoc - i właśnie tak mogli mi pomóc. Nikt nie mógłby przeszkodzić im w

odwiedzaniu ludzi, a nie przebywałem w ich towarzystwie na tyle często ani na tyle otwarcie, by ktoś mógł odgadnąć, że to moi posłańcy.

Munch wiedział tylko o Stowe'ach. Nie życzył sobie wiedzieć więcej.

Ksiądz Clark miał zająć się Harrym Phillipsem. Harry nie będzie mógł uwierzyć - tak mi się zdawało. Cały czas myślałem o tym, że gdyby to tylko o niego chodziło, odmówiłby. Ale skoro miała lecieć również Bessie, nie będzie się upierał. Przestraszy się, że jeśli coś chlapnie o sobie, Bessie też straci swą szansę.

Także panna Wallace będzie zapewne zaskoczona. Ją też miał zawiadomić ksiądz Clark.

Nie miałem pojęcia, jak zareaguje Betty Glesor i Morgan Smith na wieść o tym, że lecą, którą przekaże im MacLean. Oboje stanowili element ryzykowny w grupie. Ale trzeba było ryzykować, gdy chodziło o pary. Może i niektórym wydawało się niesłuszne, że liczniejsza rodzina może zająć połowę miejsc w szalupie, ale przyjęliśmy, że rodzin nie będzie się rozdzielać. Z tego powodu brane były pod uwagę tylko rodziny jeszcze bezdzietne, jak Betty i Morgan, albo z jednym dzieckiem, jak Stowe'owie.

Na Marsie będzie mnóstwo dzieci. Zawsze tak bywało, gdy gdzieś życie rozpoczynało się od nowa. I ja się ożenię, oczywiście. Spojrzałem na Pat.

- Możesz mi zdradzić, kto jeszcze leci? - spytała. Powiedziałem jej.

- Dobrze wypełniłeś swoje zadanie - odrzekła. Doznałem niemierniej ulgi. Można było polegać na opinii Pat - a więc wybrałem najważniejszych ludzi.

- Ale... - powiedziała, marszcząc nagle brwi.

- Co ale?

- Co z Leslie?

- Zawsze zamierzałem zrobić wybór z różnych płci i pokoleń. Oznaczało to, że polecisz ty albo ona. Nie obie.

Teraz wyglądała na zaskoczoną. - Ale dlaczego ja?

- Zawsze miałaś niezbyt wysokie mniemanie o sobie, Pat. I słusznie. Żaden niewinny młody człowiek nie odważyłby się napisać o tobie do swoich rodziców. Może jedynie o twojej urodzie. Nieszczęście polega na tym, że inni są jeszcze mniej warci. A więc lecisz.

- Jeszcze mniej warci? - mruknęła, nie wiadomo czemu upokorzona. - Jaka szkoda.

To niby zwyczajne znaczenie jej słów zdało mi się najlepszym dowcipem, jaki słyszałem od wielu miesięcy. Byłem na granicy hysterii i śmiałem się do łez. Jaka szkoda, że ludzie są tacy ordynarni. Jaka szkoda, że Słońce będzie dawać więcej ciepła o ten ułamek, który oznacza koniec życia. Jaka szkoda, że tylko dziesięć osób z Simsville ma szansę przeżycia. Wszedł Sammy. Opanowałem się.

- Dobrze, że jesteś, Sammy - powiedziałem. - Zostałeś wybrany. Lecisz na Marsa.

Skinął głową; jeszcze jeden, który się nie zdziwił. - Myślałem, że może coś z tego będzie - przyznał - skoro Mortenson nie żyje.

- Nie żyje? - wykrzyknąłem.

- Nie wiedziałeś? Myślałem, że patrzysz z okna.

- Kto go zabił?

- Ja. Jeśli nie widziałeś, co on wtedy robił, nie każ mi opisywać. Zawsze miałem słaby żołądek. A Pat?

- Ona też leci.

Znowu kiwnął głową. Ale w dalszym ciągu myślał o Mortensonie. - Kto by pomyślał, że nawet coś takiego może tak szybko zmienić charakter człowieka - powiedział.

Pat roześmiała się, tym razem bez afektacji. - Chyba nie mówisz poważnie, Sammy - odezwała się. - Ludzie się nie zmieniają. Nigdy. Ktoś ich może zmienić albo mogą ujawnić swój prawdziwy charakter, albo też... może słyszeliśmy jakąś plotkę o tym, że samolot zabierze z parku wybraną dziesiątkę.

Sammy skinął głową.

- Samolot będzie - powiedziałem - ale to tylko dla zmylenia innych. Samolot eskortuje helikopter, który mniej więcej w tym samym czasie wylądowuje na rynku. Wszyscy powinni być wtedy w parku. Przynajmniej ci, którzy zamierzają sprawić jakiś kłopot. Pozostała ósemka, która leci z nami, już o tym wie. Muszą się dostać na rynek i to wszystko. Będą zupełnie bezpieczni, o ile się sami nie zdradzą.

Sammy zaczął protestować, ale ucieszyłem go z rozdrażnieniem. - Czy myślisz, że przez ostatnie kilka tygodni nie zastanawiałem się nad słabymi stronami tego planu? Ja go nie wymyśliłem. Zresztą co innego można było zrobić? Każdy, poza Stowe'ami, ma tylko kilkaset metrów do przejścia, a tamci przyjadą samochodem. Wiem...

Usłyszeliśmy daleki, lecz wyraźny warkot samolotu.

- Za wcześnie - powiedział Sammy.

- Nie. Samolot ma tu nadlecieć i krążyć, tak aby wszyscy uwierzyli, że to ten, o którym słyszeli... i wystarczy tylko, by zobaczyli, gdzie lądowuje: w parku czy gdzieś indziej. Nie będzie kłopotów, Sammy, chyba że zbyt wiele osób domyśli się, iż wystrychnięto ich na dudków.

- Ale przecież dobrze wiedzą, gdzie ty jesteś.

- To od początku było słabą stroną planu. Nic na to nie możemy poradzić, poza nadzieją, że samolot bardziej wszystkich przyciągnie.

Czekaliśmy przez długie, pełne napięcia minuty. Potem - bo trzeba było mieć trochę czasu w zapasie - wstałem.

- Idziemy - rzekłem.

Personel hotelu dawno już porzucił pracę. Za to kierownik nie miał w ogóle wyobraźni i nadal trwał na stanowisku, wykonując swe obowiązki. Toteż w budynku nie było żadnych niepożądanych osób.

Po drodze na parter nie spotkaliśmy nikogo. Oczywiście, nikt by nie wszedł szukać nas do wnętrza, gdzie mógłby się z nami rozminąć. Wystarczyło tylko obserwować wyjście.

Samolot krążył nadal. Raz czy dwa słyszeliśmy, jak zniża się do lądowania, po czym znowu się wspina. Piloci tych samolotów mieli wyjątkowo trudne zadanie. Musieli być zarówno dobrymi psychologami, jak i bohaterami, bowiem ich misja równała się samobójstwu. Tam, gdzie przyjęto taki plan, tłumy rozszarpią tych ludzi na strzępy, gdy się dowiedzą, że posłużyli oni za zasłonę dymną.

Problem polegał na tym, że wszyscy byli pewni, iż wciąż jestem w hotelu. Czy coś ich skłoni do odejścia z rynku? Tylko przekonanie, że w jakiś sposób im umknąłem. Wszystko, co mogłem w tej sprawie zrobić, już zrobiłem: kazałem zapalić w parkowym pawilonie sygnały świetlne, które z pewnością zasugerują ludziom, że to ja daję z parku sygnały pilotowi samolotu. Napięcie było najokrutniejszą, najskuteczniejszą częścią mojego planu. Ci, którzy zrazu z ponurą determinacją trwali na rynku, przekonani, że muszę się tam pojawić, poczuli, jak ich przeświadczenie chwieje się i słabnie wraz z kolejnymi nawrotami samolotu, pojawieniem się zapalonych sygnałów i ludzi biegnących do parku. Tych ludzi, zawzięcie obserwujących hotel, musiała ogarnąć panika na myśl, że oto niektórzy z biegnących z pewnością lecą na Marsa, a oni tu czekają i spokojnie się temu przyglądają!

Słyszeliśmy, jak samolot ostatecznie lądowuje. Pomyślałem, że to ostatecznie przełamie resztki wewnętrznego oporu tych, którzy musieli się teraz już domyślać, że nie mają szansy na życie na Marsie.

Śmiało wyszliśmy na rynek. Robiło się ciemno - zwodniczo ciemno. Nawet my, którzy spodziewaliśmy się tego, nie zauważyliśmy helikoptera aż do chwili, gdy wylądował na rynku.

Na rynku leżały ludzkie ciała. Helikopter osiadł pośród nich. Zobaczyłem Mortensona, jak leży rozciągnięty, sięgający po pistolet, którego nigdy już nie pochwyci. Mógł żyć jeszcze pięćdziesiąt następnych lat na innej planecie.

Nagle poruszyły się cienie. Pobiegliśmy w stronę helikoptera; ujrzałem Harry'ego Phillipsa niosącego w ramionach Bessie, a za nim, biegnących ręka w rękę Betty i Morgana. I wtedy Pat krzyknęła.

To, czy Mortenson był o krok od śmierci, czy został jedynie ogłuszony, nie miało znaczenia. Ale nie był martwy i miał w ręku broń. Widziałem, jak Sammy sięga po swój pistolet, by po raz drugi dziś wystrzelić, ale wiedziałem, że nie zdąży. Mortenson dobrze wiedział, ile ma czasu, i celował dokładnie. Mógł zabić każdego z nas: Sammy'ego, który do niego strzelał, albo mnie, bez którego nikt z Simsville nie miał szansy przeżycia i wszystko by się skończyło razem z Mortensonem, który sam nie mógł lecieć.

On jednak wybrał Pat. Coś w jego pokręconym umyśle kazało mu strzelić do dziewczyny, która go kiedyś kochała.

Mortenson i Pat zginęli jednocześnie. Były to dwa dobre, celne strzały. Nie doszło do żadnych przedśmiertnych pożegnań. Pat upadła, Mortenson znieruchomiał.

Nie potrafię wytłumaczyć tego, co zrobiłem. W ogóle nie myślałem o Pat. Zastanowiłem się jedynie, że Leslie pewnie nie pobiegła patrzeć na samolot. Pomknąłem do budki telefonicznej. Nakręciłem numer i od razu odezwał się jej głos. - Rynek, szybko - powiedziałem i rzuciłem słuchawkę. To było wszystko.

IX

Nie mieliśmy specjalnie okazji przyjrzeć się Detroit. Organizacja akcji była doskonała. Cały obszar miasta był gigantyczną firmą spedycyjną, a tych kilka osób, które tym wszystkim zarządzały, traktowało nas jak jedenaście puszek fasoli do wysłania. Nie wydano nam zestawu osobistego; kto inny miał się tym zająć. Powołano instytucję, której zadaniem były nie tylko sprawy przyziemne, jak to, w jaki sposób będziemy żyć na Marsie, ale także zagadnienia względnego luksusu, jak to, ile dzieł literatury i sztuki będziemy mogli zabrać. Ale to nie była nasza sprawa.

Przybyliśmy do Detroit w czwartek późnym wieczorem; tam nas nakarmiono i położono do łóżek, wszystkich w jednym pokoju. Potem z uśmiechem poinformowano nas, że w jedzeniu były środki nasenne. Kontaktowały się z nami tylko dwie osoby. Dwie, które miały zająć się... załogami ilu szalup? Zapewne tych, którzy nadzorowali pracę w Detroit, zabierze później statek regularny.

Spaliśmy aż do jedenastej następnego dnia. Gdy się obudziliśmy, świat nadal wyglądał tak samo. Zastanawialiśmy się - tak jak wszyscy, jak sądzę, którzy tego ranka patrzyli na Słońce - czy przypadkiem cała ta sprawa nie była ostatecznie pomyłką i czy życie na Ziemi nie będzie toczyć się tak, jak dawniej. Ale, oczywiście, problem polegał na tym, że zbliżaliśmy się do ostatniej chwili, co do której uczeni byli pewni, że jest bezpieczna. O ile się nie mylili, nic się nie stanie jeszcze przez jakiś czas później - minuty, godziny, może dzień czy dwa. A nawet gdy się już stanie, minie jeszcze osiem minut, nim Ziemia się o tym dowie...

Zjedliśmy razem śniadanie, a potem, rzucając tylko przelotne spojrzenie na pracę, która wrzała na otaczających nas setkach kilometrów kwadratowych, i na tysiące maleńkich, błyszczących szalup ratunkowych ustawionych na terenie Targów Państwowych i wszędzie tam, gdzie było dość wolnego miejsca, by wystartować, weszliśmy na pokład naszego statku. Jedna po drugiej, szalupy otrzymywały zezwolenie na start.

W końcu przyszła nasza kolej. Gdy oderwaliśmy się od Ziemi, uśmiechnąłem się do Sammy'ego, pamiętając o jego obawie, że szalupy są oszustwem.

Ale nim wylecieliśmy poza atmosferę, poznałem całą prawdę. Na szczęście tylko ja. Wywnioskowałem ją z tego, jak zachowywała się szalupa, z ilości zużywanego paliwa, z tego, ile go jeszcze będę potrzebował i ile mi zostanie.

Na swój sposób Sammy miał słuszość. Rządy świata, który miał zginąć, mogły dać, powiedzmy, milionowi ludzi sześćdziesięcioprocentową szansę przeżycia. Wszystko zależało od tego, jakim czasem i zasobem siły roboczej dysponowano. Cóż można było osiągnąć w tak krótkim czasie? Ale ten przelicznik był nie wystarczający, by móc zapanować nad sytuacją w miastach typu Detroit; by pracować do końca nie mając na karku wrzeszczących milionów walczących o życie ludzi.

W końcu postanowiono dać śmiesznie małą szansę przeżycia stosunkowo dużej liczbie osób. Jednej na 324,7. Dosyć, by utrzymać świat w prawie normalnym stanie przez te ostatnie kilka tygodni.

Oczywiście, miałem dość paliwa, by wyprowadzić nas poza strefę przyciągania ziemskiego, ale potrzeba mi było znacznie więcej. Gdzieś, kiedyś czekało mnie lądowanie. A w Kosmosie nie ma stacji paliwowych.

Myślałem o księdzu Clarku, pastorze Munchu i wielebnym Johnie MacLeanie, wciąż żywych, wciąż ze swoją trzódką - czy też może ich trzódka, rozszalały tłum, dowiedziała się, że byli moimi posłańcami, i rozszarpała ich na strzępy? Zaufali mi, zaakceptowali mnie - ale może nie w pełni zdawali sobie sprawę, że byłem narzędziem Boga nie tylko na te trzy tygodnie czasu wyboru, ale również na każdy centymetr z tych milionów kilometrów nicości, jaka rozciąga się między Ziemią i Marsem.

Ale nadal mogli mi ufać. Przyrzekłem życie Sammy'emu i Leslie, i wszystkim pozostałym, i jeśli go nie dostaną, nie będzie to moja wina.

Kobieta bez przeszłości

I

Gdyby była mężczyzną, oszczędziliby sobie wielu kłopotów i po prostu zabili ją. Ale mieli jednak dość powodów, by zrobić to, co zrobili.

Przede wszystkim należało w taki czy inny sposób skasować całą jej pamięć - co do tego nie było żadnych wątpliwości. Nie mogli sobie pozwolić na to, by ją trzymać w zamknięciu, gdziekolwiek na Murrane, więc pozostawała śmierć albo... to. Poza tym dysponowali nową metodą i oto nadarzyła się okazja, by ją wypróbować. Podobał im się ten pomysł, by ją wypuścić, nawet odstawić z powrotem na jej rodzinną planetę, a mimo to wiedzieć, że nie jest dla nich niebezpieczna. I może jeszcze druga sprawa - że gdyby kiedykolwiek okazało się to potrzebne, mogliby ujawnić, że ostatecznie wcale jej nie zabili.

Ale najważniejsze było to, że znajdowała się w rękach Murrańczyków. Na pograniczach zbadanej części Galaktyki kobiety uważano nieomal za świętość. Stosunek do kobiet był odmienny niż na przeludnionej planecie, gdzie mieszkało ich tyle samo, co mężczyzn. W tym konkretnym przypadku nie miało to istotnego znaczenia; mimo to jednak, jako Murrańczycy, nie potrafili się zdobyć na to, by zabić kobietę.

- Nie zdołacie tego ukryć! - spierała się z nimi gwałtownie. - Każdy człowiek, na Ziemi, na Murrane czy gdziekolwiek indziej, za kilka lat musi dowiedzieć się prawdy. Powinniście starać się załagodzić konflikt między Ziemią i Murrane, a nie ciągnąć tę bezsensowną wojnę!

- To jest jeden punkt widzenia - przyznał któryś z Murrańczyków. - Inny zaś jest taki, że mamy znacznie większą szansę zdobycia tego, co chcemy, na naszych warunkach, póki Ziemia nie ma najmniejszego pojęcia, jakie są nasze motywy.

- Ale nawet wasi obywatele myślą...

- Kiedyż to jakkolwiek naród - zapytał łagodnie Murrańczyk - wiedział dokładnie i faktycznie, dlaczego prowadzi wojnę?

Tak więc systematycznie niszczyli to, co wiedziała. Pierwszą rzeczą, która uległa zatarciu, była oczywiście ta informacja - prawdziwy powód wojny. Nie poprzestali jednak na tym. Zabrakło wszak tylko jednego składnika w uporządkowanym, pełnym faktów umyśle, który byłby w stanie odtworzyć brakujący element drogą analizy, obserwacji czy dedukcji. Wszystkie wspomnienia o wydarzeniach w jej życiu poszły więc na śmietnik niczym odpadki. Nie wiedziała już, kim jest i czego w życiu dokonała.

Pozostał jej jednak język, umiejętność czytania i pisania, chodzenia, mówienia i myślenia. Na ich podstawie można ją było zidentyfikować w ciągu pięciu minut. A więc i one musiały zniknąć.

Wszystko, czego nauczyła się przez wiele lat życia i studiów, zostało usunięte w ciągu paru godzin. Istniała jednak różnica między sposobem potraktowania jej wspomnień osobistych a podejściem do wiedzy ogólnej, w tym znajomości języka. Wspomnienia skasowano całkowicie, natomiast wiedzę jedynie przytłumiono. Toteż gdy zaczęto znowu uczyć ją jej języka, opanowała go bardzo szybko, ale mówiła nim zupełnie inaczej. Nauczono ją na nowo pisać; i jakby chciała pomóc im osiągnąć ten cel, zaczęła automatycznie pisać lewą ręką, choć dotychczas robiła to prawą. Charakter pisma był oczywiście zupełnie inny.

- Gdzie jestem? Kim jestem? - pytała często.

Na początku, póki знаła jeszcze tylko parę słów, nie odpowiadali. Kiedy jednak spostrzegli, że rozumie, powiedzieli jej dla uspokojenia, że nazywa się Muriel Martin.

- Muriel Martin - powtórzyła z wahaniem. - Mu-riel Mar-tin. Muriel... - i wybuchnęła nagle: - Ale to nie moje nazwisko!

- Niech i tak będzie - powiedziano jej. - Nazywaj się, jak chcesz. Czy znasz jakieś inne nazwisko?

Nie odpowiedziała. Nie знаła żadnego - nikt jej nie podał innych nazwisk.

Po tym wszystkim przyszedł czas na zmiany fizyczne. Najpierw zmieniono jej metabolizm. Poprawka była raczej niewielka, ale spowodowała pojaśnienie skóry, zmniejszenie apetytu, zmianę gustu w jedzeniu, a także sposób poruszania się: każdy jej ruch był teraz bardziej przemyślany, spokojniejszy. Odjęto jej kilka centymetrów z obwodu w biodrach i trochę więcej z klatki piersiowej. Pozostałe zmiany wprowadzono tylko po to, aby było inaczej. Ponieważ jednak ci, którzy zajmowali się nią, byli artystami w swoim fachu, ponieważ i tak musieli zmieniać i ponieważ był to eksperyment, wprowadzili ulepszenia. Wyprostowali kości jej nóg, poprawili postawę i wzmocnili mięśnie szyi i ramion, dzięki czemu wzrost jej zwiększył się o cztery centymetry. Wystarczyło. Wielkie zmiany były zupełnie niepotrzebne.

W procesie przekształceń nie było jednak miejsca na życzliwość, względy czy współczucie. Ponieważ zabiegi musiały być bolesne, wykorzystano jej również dla wytworzenia odruchów warunkowych. By upewnić się co do skuteczności uwarunkowania, nikt nie starał się ulżyć jej w bólu, którego można było uniknąć.

Odruchy warunkowe skierowano przeciwko jakiemukolwiek zainteresowaniu wojną Ziemi z Murrane, czy to jedną stroną, czy drugą. A szczególnie wpojono jej odruch sprzeciwiający się powrotowi na Murrane - kiedykolwiek. Uwarunkowanie było selektywne, ponieważ mieli do dyspozycji tak wiele efektywnego bólu; mogli sobie pozwolić na wdrożenie łagodnego respektu wobec Murrane oraz silnej niechęci powrotu. Było tyle bodźców, że starczyłoby nawet na znacznie bardziej skomplikowaną lekcję.

Później usunięto pamięć o wszystkim, co się zgromadziło od momentu pierwszego gwałtu zadanego jej mózgowi, całą zaś resztę pozostawiono na miejscu. W ciągu dwóch tygodni - mieli tylko tyle czasu do dyspozycji - zniszczyli jedną kobietę i zastąpili ją inną, całkowicie odmienną. Nigdy sobie nie przypomni swej przeszłości, bo nie pozostało jej nic, co mogłaby sobie przypomnieć.

Kiedy dzieło zostało ukończone, uspiono ją farmakologicznie, po czym umieszczono w niewielkim dwuosobowym statku, który nie tylko był w stanie pokonać odległość dzielącą Murrane od Układu Słonecznego, ale mógł również wylądować w dowolnym miejscu bez większego ryzyka, bowiem był tak mały i tak oczywiście niegroźny.

Pilot statku, który miał poprowadzić go bez ochrony dalej, niż ktokolwiek inny próbował przed nim, zmarszczył brwi i spytał, kim jest ta dziewczyna, który warta jest tyle zachodu.

Lepiej będzie, gdyby teraz o tym nie wiedział, poinformowano go. Ale kiedy wróci, może zapytać, jeśli chce.

Nie wrócił. Jego statek, choć maleńki, został wykryty przez flotę ziemską za orbitą Plutona i zniszczony, gdy próbował ucieczki. Była to ironia losu, bowiem w tym czasie nie leciał już w stronę Układu, ale opuszczał go wykonawszy zadanie. Nie robił nic złego.

Ale podczas wojny wróg jest wrogiem, obojętne, czy robi coś złego, czy nie.

II

Choć z pewnością były już takie dni, gdy zbliżała się do progu świadomości, dopiero w określonym dniu, prawie w konkretnej sekundzie odzyskała świadomość i zdała sobie z tego sprawę.

Rozejrzała się dookoła, ale było to zbyteczne. Przed powrotem pełnej świadomości nadeszła zdolność postrzegania, toteż zdążyła już poznać swe otoczenie.

Siedziała w ogrodzie - ciepłym, ożywczym, przepysznym ogrodzie, oczywiście na Wenus. Czowała lekkość, ale na Marsie lekkość ta byłaby jeszcze wyraźniejsza. Tu mogła wyciągnąć rękę w bok pod kątem prostym i trzymać ją tak przez pół godziny bez zmęczenia. Jednak najbardziej odmiennie było oddychanie. Na Ziemi rzadko się go całkowicie nie zauważało. Oddychanie stanowiło pewien wysiłek, konieczność unoszenia piersi i ramion, rozsuwania żeber. Tu zaś powietrze zdawało się

wpływać i wypływać z własnej woli. Nie występowała tendencja do kurczenia się w sobie podczas wydechu. Klatka piersiowa nie zapadała się; po prostu robiła się trochę mniejsza. I nie trzeba było oddychać szybko i płytko, jak na Marsie.

Na Marsie byłoby również znacznie chłodniej, a miała na sobie jedynie białe szorty i bluzkę, nic poza tym. Nie musiała też - była bardzo lekka - wkładać żadnego obuwia do ochrony stóp. Poza tym na Wenus, co szczególnie interesowało większość przyjeżdżających tu kobiet, gorsety i biustonosze były zupełnie niepotrzebne. Nawet zwiotczałe mięśnie klatki piersiowej trzymały się sztywno w łagodnej grawitacji Wenus, która wynosiła ledwie trzy dwudzieste ziemskiej.

O, tak, bez wątplenia była na Wenus. Potwierdzało to sto innych rzeczy: niskie, ciężkie chmury, gorąco, doskonale rozproszone światło Słońca, prawie zupełnie nie powodujące cieni, obfitość trawy, mgiełka nad lasem, zapach powietrza...

Z tego wszystkiego wynikało, że poznała już w swym życiu Wenus, Ziemię i Marsa. Przynajmniej tyle.

Była sama. Kiedy jednak obróciła głowę, pomiędzy drzewami ujrziała biały budynek. Z drugiej zaś strony, u stóp wzgórza, znajdował się, jak wiedziała, wysoki parkan z siatki drucianej. A więc, choć miejsce to wyglądało przyjemnie, stanowiło jednak rodzaj więzienia. W zamyśleniu przesunęła palcami po bluzce, która choć czysta i delikatna, była jednak bardzo prosta, o pospolitym kroju, taka, jakiej raczej nie nosi się z wyboru.

Nie czuła się zaniepokojona. Wiedziała, że nazywają ją Muriel Martin, i była prawie pewna, iż nie jest to jej prawdziwe nazwisko. Kimkolwiek jednak była, gdziekolwiek by się znajdowała i niezależnie od sposobu, w jaki się tu dostała, miała pewność, że poradzi sobie z tą sytuacją.

Próba sięgnięcia pamięcią w przeszłość, nawet niedaleką, okazała się doświadczeniem niezbyt przyjemnym. Zaprzestała wysiłków wobec dalekiej przeszłości. Nie znajdowała tam nic, a to "nic" cechowała osobliwa ostateczność. Jednak przeszłość bliższą zbadała sumiennie, mimo narzucającej się jej skłonności, by tego nie robić.

Znalazła tam cienie wspomnień o badaniach i sondach, o tym, jak ktoś zmuszał ją do zrobienia czegoś, czego nie mogła zrobić. Znalazła też ból związany z potraktowaniem jej jako coś niewiele lepszego od zwierzęcia, bowiem była czymś niewiele lepszym od zwierzęcia, przy świadomości jednak, iż jest prawie zupełnie zrównoważoną umysłowo, inteligentną istotą ludzką. Ale w owym postępowaniu nie było złej woli; tamci ludzie naprawdę chcieli jej pomóc.

Znalazł się jednak pewien przejaw złej woli; coś w związku z jakimś funkcjonariuszem bezpieczeństwa. Ten okazał się podły. Niezbyt dobrze pamiętała, co się wówczas wydarzyło, ale człowiek ów zachowywał się zdecydowanie nieprzyjemnie wdzierając się ze swymi pytaniami, podejrzeniami, gniewem i niedowierzaniem do umysłu, który usiłował zaleczyć swe rany. Zaklasyfikowała go na podstawie tych nielicznych faktów, które zapamiętała, jako drobnego, sfrustrowanego urzędnika: takiego, co to nigdy nie potrafi postępować z ludźmi, ale któremu zawsze pozwala się na następną próbę.

Z dalszej przeszłości zaś wiało grozą. Nic z niej nie pamiętała i nie chciała pamiętać. Choć z ponurym zacięciem sondowała ten obszar, raczej ku swemu zadowoleniu przyjęła wymuszone na niej przeświadczenie, iż teren ten jest dla niej niedostępny.

Uniosła się odrobinę z ziemi. Pozorna utrata nawet niewielkiego ułamka wagi ciała sprawia, iż każdy czuje się jak sportowiec. Sportowiec zaś czuje się tak, jakby mógł skakać ponad wierzchołki drzew. Pobiegła, nie dlatego, żeby jej się śpieszyło, ale po prostu miała na to ochotę.

Zatrzymała się, gdy ujrziała inną dziewczynę, również samą i ubraną w podobne szorty i bluzkę. Dziewczyna była ładna, ale w jej twarzy czegoś brakowało. Muriel dostrzegła to, jeszcze zanim do niej przemówiła.

Dwie minuty później obróciła się i odeszła. Tamta dziewczyna jedynie jak przez mgłę uświadamiała sobie, że ktoś do niej mówi. Wydawała w odpowiedzi jakieś dźwięki, które brzmiały potakująco; z pewnością nic z jej strony nie groziło. Jednak jej współczynnik inteligencji nie przewyższał 60, a zapewne był znacznie niższy.

W ciągu pół godziny Muriel rozmawiała z kilkunastoma kobietami spacerującymi po terenie; wystarczyło jej to, by się domyślić, że znajduje się w jakimś zakładzie dla upośledzonych umysłowo.

Jej pewność siebie nieco osłabła. Nie zamyka się nikogo w takim miejscu bez ważnego powodu. To puste, przerażające miejsce w jej przeszłości - czy to naprawdę było coś strasznego, czy też zdrowy umysł poradziłby sobie z tym z łatwością? Czyżby miała do czynienia z czymś, czego nie potrafiła pokonać, przed czym uciekała w popłochu zamiast dzielnie stawić mu czoła? Teraz, jak się jej zdawało, była zupełnie normalna - ale może tamto było czymś, co nie zdarza się często. Może miewała zaburzenia umysłowe. Może...

Odsunęła od siebie zatroskane, przerażone myśli, które napływały jej do głowy. Skoro nie zawsze bywała normalna, im prędzej uczyni właściwy użytek z przeblysku świadomości, tym lepiej.

Zresztą te inne kobiety, które tu widziała, nie wyglądały na obłąkane. Może zdarzały się wśród nich i takie, ale większości wydawały się jedynie upośledzone umysłowo.

Podeszła do domu. Zanim przeszła przez hali, wzięła ze stojącej zaraz za drzwiami szafki parę sandałów i wsunęła je na stopy. Odruch był automatyczny. Zastanawiała się, jak często była tu przedtem... jak często to robiła właściwie nie wiedząc, co robi.

Zawahała się chwilę, nim zdecydowała się zastukać w drzwi na końcu białego korytarza. Przed oczyma miała jasny obraz siedzącego wewnątrz mężczyzny, choć nazwiska jego nie pamiętała. Nie obawiała się go, to oczywiste; był to człowiek stary i dobry, choć czasem zbyt gwałtowny. Powodem jej wahania była nagła świadomość, iż nie ma pojęcia, jak ona sama wygląda... czy jest młoda, czy stara...

Zdecydowanym ruchem zastukała w drzwi i weszła do środka.

Mężczyzna był taki, jakim go pamiętała; od razu poznała, że może mu zaufać. Miał na sobie zwykły garnitur, co sprawiało, że jak na wenusjańskie warunki był aż nonsensownie ciepło ubrany. Jednak wiele starszych osób ubierało się podobnie. Nie dlatego, żeby miały coś przeciwko skąpom strojom, ale po prostu uważały, iż niekompletnie ubrani, nie będą w stanie zachowywać się odpowiednio dostojnie.

- Witaj, Muriel - odezwał się lekarz miłym głosem. - Usiądź. - Zauważyła, że wzrok miał przenikliwy, wychwytyjący niemal wszystko.

- Wydaje mi się, że już kiedyś zadawał mi pan pytania, doktorze - rzekła wesoło - i niewiele się pan ode mnie dowiedział. Może zechce pan spróbować jeszcze raz?

Wyraz jego twarzy przeszedł nieomal w zachwyty. Ów zapał, jak zgadywała Muriel, pochodził z naturalnego współczucia i zainteresowania charakterystycznego dla wszystkich, którzy pracują wśród osób niepełnosprawnych: była to radość z wszelkich oznak poprawy.

- Odzyskała pani pamięć? - zapytał.

- Niestety, nie. W dalszym ciągu nie wiem nic o sobie. Nie wiem nawet, ile mam lat ani jak wyglądam.

Doktor nie okazał rozczarowania. - Może tym zajmiemy się najpierw - oświadczył. - Chce pani wiedzieć, jak pani wygląda?

- To chyba oczywiste, że mnie to interesuje - uśmiechnęła się. - Spotkał pan kiedy kobietę, która byłaby mniej lub bardziej zrównoważona psychicznie, a jednocześnie nie wiedziała, czy jest wysoka, czy niska, młoda czy stara, ładna czy brzydka?

- Zanim spojrzy pani na swoje odbicie w lustrze - rzekł lekarz - czy pani zdaniem będzie to właściwe? To znaczy, czy nie obawia się pani widoku swej twarzy?

- Nie. Czuję tylko nie... - Zająknęła się.

- W czym problem? - spytał lekarz przyjaźnie. Przypomniała sobie, że jego nazwisko brzmi Johnston.

- Zabrakło mi słowa. Chciałam powiedzieć, że czuję jakąś tam ciekawość, ale nie pamiętam właściwego słowa. To samo, co "bardzo silną".

- Niezmierną?

- O, właśnie. Czuję tylko niezmierną ciekawość. - Przepowiedziała sobie te słowa kilka razy i stwierdziła, że przychodzą jej łatwo.

Lekarz uniósł się zza biurka i otworzył szafę. - W środku jest wysokie lustro - powiedział.

Muriel podniosła się i stanęła przed swym odbiciem. Przygotowała się psychicznie na to spotkanie, ponieważ miała nadzieję, że jest młoda, ale wiedziała też, że musi znieść ewentualne rozczarowanie, gdy okaże się, że jest stara. Chciała okazać się ładna, ale szansę na to wydawały się małe; miała jakieś niejasne przeczucie, że urodą nie grzeszy.

Jednak to, co ujrzała, przeszło jej wszelkie oczekiwania.

Była młoda, wyraźnie - najwyżej dwadzieścia pięć lat. I była piękna, olśniewająco piękna... ale nawet to spostrzeżenie ustąpiło na chwilę miejsca czemuś, w co nigdy by nie uwierzyła, nawet biorąc pod uwagę swój całkowity zanik pamięci.

Dziewczyna, którą widziała w lustrze, była jej całkowicie obca. Nigdy przedtem jej nie oglądała.

Po jakimś czasie Muriel siedziała nad testem na inteligencję. Powiedziała doktorowi Johnstonowi, bez namowy z jego strony, że jej zdaniem udałoby się jej zrobić test pisemny wedle własnych możliwości, ale póki co test ustny mógłby dać wynik mylący. Nie odrzekł nic; dał jej tylko skrypt i ołówek.

Przyglądał się jej, jak odpowiadała na pytania; nie wyglądało na to, że jej to przeszkadza. Zauważył, że najpierw wzięła ołówek do jednej ręki, potem do drugiej, zanim zdecydowała się pisać lewą, najpierw niezadarnie, potem coraz pewniej. Nie zaproponował jej, by usiadła przy biurku, ale czekał, co zrobi. Muriel skrzyżowała nogi i pisała zupełnie swobodnie trzymając skrypt na kolanie. Stenografistka? zastanawiał się.

Wyraźnie była zupełnie zdrowa psychicznie, ale ten typ amnezji intrygował go. Był osobiście selektywny. Dziwne, że nie pamiętała nic z własnego życia, a jednak dysponowała normalną wiedzą ogólną i słownictwem osoby wykształconej. Zdawał sobie sprawę, że nie postępuje z nią tak, jak zalecają podręczniki, ale miał pewność bez dłuższego zastanawiania się, że o wiele lepiej będzie dać jej umysłowi zbyt wiele zajęcia niż zbyt mało. Prawie nie korzystała z wskazówek, jak odpowiadać na pytania testu. Odnalazła sposób, w jaki został zbudowany, i zagłębiła się w pracy nad nim.

Gdy skończyła test, oddała skrypt lekarzowi. Ten odsunął go na bok.

- Nie sprawdzi pan? Chciałabym wiedzieć, jak mi poszło - powiedziała.

- Zwykle nie robi się tego.

- Wiem o tym. Ale sądzę, że pomogłoby mi to. Nie wiem, czy jestem powyżej, czy poniżej przeciętnej. Świadomość tego pomogłaby mi zaplanować swoje życie, gdy przyjdzie na to czas. Bardzo proszę, niech mi pan powie, co wykazuje test.

Jej zaufanie ujęło go. Od chwili, gdy weszła do gabinetu, czuła się swobodnie, jakby była w domu, jakby ta sytuacja nie przeszła jej.

Sprawdził test i porównał z wzorcem.

- Daje to pani współczynnik inteligencji ponad 130 - powiedział.

- Co to znaczy?

- Że należy pani do górnych dwóch procent społeczeństwa, jeśli chodzi o inteligencję. Więcej test nie jest w stanie powiedzieć. Jego standardowy przedział wynosi piętnaście... czy pani rozumie, o czym mówię?

- Chyba tak. Oznacza to, że przedział piętnastu punktów obejmuje mniej więcej jedną trzecią społeczeństwa. Jedna trzecia między 85 i 100 oraz jedna trzecia między 100 i 115. A ja mam 130.

- Ponad 130. Tym samym test nie podejmuje się ustalić pani poziomu inteligencji. Jego zdaniem jest stopniowanie osób normalnych i subnormalnych w pewnym zakresie, którego nie należy przeceniać.

- Nie w sposób absolutny, ale...?

- Empiryczny. Statystyczny.

- Rozumiem. Jaki jest następny ruch?

Jego twarz zniecała stwardniała, stała się nawet gniewna. Wiedziała jednak, iż ów gniew nie był skierowany przeciwko niej.

- Departament bezpieczeństwa - odrzekł. - Żądają następnego widzenia z panią, jak tylko będzie to możliwe. Niestety, właśnie teraz okazało się to możliwe. Przykro mi, pani Martin. Czy pani pamięta coś z poprzedniej wizyty oficera bezpieczeństwa?

- Tak, trochę... i to, co pamiętam, nie przypada mi do gustu. Cóż to jest - ten departament bezpieczeństwa? Dlaczego tak pragną mnie zobaczyć?

- Uważają, że pani może być szpiegiem Murrańczyków - rzekł lekarz szyderczym tonem.

- Murrane - zadumała się dziewczyna. - Nigdy tam nie byłam i nie ciągnie mnie tam. Wojna mnie nie interesuje.

- Wie pani o wojnie? - spytał szybko lekarz.

- Tylko tyle, że jest. Och, no dobrze, doktorze, skoro muszę oglądać tego człowieka, nich to będzie już teraz, jak najprędzej.

Doktor Johnston przyglądał się jej przez kilka chwil, po czym skinął głową. Zdjął słuchawkę telefonu stojącego na jego biurku.

III

Pielęgniarka Brayne paplała jak najęta. Słowa wylewały się z niej na kształt werbalnego perpetuum mobile, którego "rytm pracy" był nawet przyjemny, jeśli nie zwracało się uwagi na treść słów.

- Tak, ma pani moje wymiary; drobne różnice są zupełnie niewidoczne - powiedziała obrzucając baczny spojrzeniem Muriel. - Lepiej pośpieszmy się, panno Martin... a w ogóle, czy mogę mówić do ciebie po imieniu? Oficer bezpieczeństwa powiedział, że przyjdzie koło czwartej, ale to do niego podobne, że zjawi się ponad dwie godziny wcześniej, by zastać cię nieprzygotowaną. Taki jest ich styl pracy. Oczywiście to wszystko jest konieczne i niewątpliwie wykonują oni pożyteczną pracę, ale człowiek zastanawia się czasem, dlaczego są przy tym tacy nieprzyjemni. Tak się cieszę, że już się czujesz dobrze... zawsze uważałam, że ty jesteś inna niż wszystkie pozostałe, bo wyglądałaś tak inteligentnie nawet kiedy... ale już po wszystkim i jestem pewna, że nie zbłąznisz się przed tym oficerem i pokażesz mu, że nie może tobą pomiatać - bo naprawdę nie może, jeśli tylko nie zapomnisz, że nie masz się czego obawiać. Oni są twardzi i podejrzliwi, a do ludzi zabierają się w ten sposób, że ich denerwują i wprawiają w popłoch, a jeśli ktoś nie chce się zdenerwować, to muszą ustąpić i zachowywać się porządnie. Doktor Johnston mówi, że to barbarzyństwo, iż wolno im tu przychodzić i...

I tak dalej, i tak dalej. Muriel nawet trochę słuchała tego potoku słów, bowiem jej wiadomości były tak nikłe, że mogła się czegoś dowiedzieć nawet od siostry Brayne.

Minęły zaledwie dwie godziny od chwili, gdy odzyskała w ogrodzie całkowitą świadomość. Wiedziała już, że sześć tygodni temu znaleziono ją w odległej o osiemdziesiąt kilometrów wiosce Norburn, w której pojawiła się brudna, z potarganymi włosami i całkowicie oszołomiona. W okolicy zorganizowano poszukiwania rozbitego statku czy samolotu, którym mogła lecieć, ale niczego nie znaleziono. Zrazu padło przypuszczenie, że cierpi na zwykły szok powypadkowy, ale wkrótce okazało się, że jest w tym coś więcej. Zabrano ją do zakładu opiekuńczego, nie dlatego, że uznano, iż będzie to dla niej najwłaściwsze miejsce stałego pobytu, ale ponieważ trzeba było posłać ją gdzieś, gdzie się nią zajmą.

- Doktor Johnston ma zupełną słuszność - powiedziała pielęgniarka Brayne. - Będziesz się czuła znacznie pewniej wiedząc, że wyglądasz korzystnie.

- Myślisz? - zastanowiła się Muriel. - Moim zdaniem to nie będzie miało żadnego znaczenia, Helen.

- Nie obchodzi cię, jak jesteś ubrana?

- Nie.

To wyznanie nieomal sprawiło, że siostra Brayne oniemiała na chwilę.

To doktor Johnston wpadł na pomysł, żeby Muriel odświeżyła nieco swój wygląd przed przybyciem oficera bezpieczeństwa; ona sama zgodziła się, że z jednego punktu widzenia pomysł był nienajgorszy. Ludzie mimo wszystko sądzą innych po wyglądzie. Jeśli ktoś wygląda schludnie i jest nieskazitelnie ubrany, ludzie postępują z nim ostrożnie, bojąc się, co mógłby o nich pomyśleć, i czując się niepewnie. Ostatecznie jednak decyduje sposób zachowania.

W każdym razie Helen Brayne zaoferowała się, że zabierze ją do siebie, by zrobić coś z jej wyglądem. Muriel wzięła już prysznic i siedziała teraz w sypialni pielęgniarki czekając cierpliwie, aż ta zdecyduje się, w czym Muriel powinna wystąpić.

- Jesteś max czy min? - spytała pielęgniarka.

- Niestety, nie rozumiem - odparła Muriel. - Domyślam się, że oznacza to maximum i minimum, ale to mi niczego nie daje.

- Na pewno to wiedziałaś, ale zapomniałaś - rzekła Helen. - Wszyscy są albo max albo min. Ci pierwsi noszą przy każdej okazji tyle, ile da się na siebie włożyć, za to ci drudzy starają się nosić jak najmniej.

Muriel uśmiechnęła się. - Nie, to dla mnie coś nowego... ale przecież ludzie nie trzymają się sztywno jednego stylu?

- Wszystko jest dobrze, jak ma się własny gust - powiedziała wesoło pielęgniarka. - Ale ile dziewczyn go ma? Jeśli ubierają się według systemu: max-min, jasne-ciemne, proste-plisowane, to z pewnością prawie zawsze będą dobrze ubrane. Te zmiany mają sens, naprawdę. Gdy któraś natka na siebie ciuchów idąc na bal, a za to na przyjęcie ogrodowe przyjdzie prawie goła, to jej osobowość nie ma szans się ujawnić. Na pewno nie słyszałaś o max-min? Wydaje się, że wiesz bardzo dużo, a ten styl panuje już od pięciu lat.

Muriel to zaciekawiło. - To znaczy na Wenus i na Ziemi?

- I na Marsie.

- A jeśli ja nie byłam ani na Wenus, ani na Ziemi, ani na Marsie przez ostatnie pięć lat?

Helen nagle zaprzestała swej wesołej paplaniny i przeistoczyła się w niezwykle sprawną pielęgniarkę. - Rozumiem, co masz na myśli. Ale mogłaś też stracić pamięć pięć lat temu. Lecz jeśli nie było cię tu, musiałaś przebywać na Murrane.

- Murrane? Nigdy tam nie byłam. Nie ma żadnych innych możliwości?

- Nic o czymś podobnym nie wiem - chyba że brałaś udział w jakiejś wyprawie badawczej. No więc co wybierasz: max czy min?

- Chyba max.

Helen wyglądała na zdziwioną. - No, niech ci będzie, skoro chcesz. Kobiety, które mają twoją figurę, zwykle starają się tego dowieść - chyba rozumiesz, co mam na myśli. Słuchaj, Muriel - znowu wpadła w poważny ton - nie podsuwaj temu facetowi z bezpieczeństwa pomysłu, że przez ostatnie pięć lat byłaś poza naszym Układem. Oni są podejrzliwi z powołania.

Obróciła się ponownie ku szufladzie, której zawartość przeglądała.

Muriel doszła do wniosku, że być może ludzie z bezpieczeństwa muszą być twardzi i podejrzliwi, i nieustępliwi, by zrównoważyć uprzejmość takich osób, jak doktor Johnston i pielęgniarka Brayne, którzy zdawali się przyjmować na wiarę, że ona nie może być szpiegiem, sabotażystką czy kimkolwiek podobnym.

Ona sama nie odważyła się tego przyjąć na wiarę.

Okazało się, że siostra Brayne dobrze wyczuła oficera. Kiedy jeszcze czesała włosy Muriel, ponad dwie godziny przed umówionym terminem, nadeszło nagle wezwanie przyniesione przez inną, dość wystraszoną pielęgniarkę. Kapitan Clark znajdował się w gabinecie doktora Johnstona i chciał natychmiast widzieć Muriel Martin.

Lekarz spotkał ją w korytarzu i zapewne wbrew wszelkim przepisom oświadczył jej gwałtownie, że jeśli ten sztywny, nadęty gliniarz powie coś, co jej się nie spodoba, niech no tylko Muriel naciśnie guzik pod biurkiem, a doktor przybiegnie, by rozerwać tamtego na strzępy.

- Dziękuję, doktorze - rzekła ciepło Muriel - ale nie sądzę, by teraz okazało się to konieczne.

Przypomniała sobie coś niecoś z tamtej poprzedniej wizyty oficera bezpieczeństwa. Potrafiła wówczas wypowiedzieć tylko kilka słów i nie była w stanie zrozumieć, co się wokół niej dzieje. Odczuła jednak agresywność tamtego człowieka, jego podejrzliwość, jego wściekłość; emocje, które go przepełniały, odebrała jako fizyczny atak na nią. Raz szarpnął ją brutalnie i choć właściwie nic jej takiego nie zrobił, poczuła przerażenie i całkowitą bezsilność. Próbował wydostać z niej prawdę siłą, podczas gdy jedyny możliwy sposób dowiedzenia się czegokolwiek o niej, o czym na pewno uprzedził go doktor Johnston, polegał na bezgranicznej delikatności i cierpliwości.

Muriel otworzyła drzwi gabinetu i weszła do środka. Tym razem wszystko wyglądało zupełnie inaczej niż jeszcze niedawno, gdy była tu poprzednio. Mężczyzna siedzący za biurkiem był młodszy, niż się spodziewała, nie tak surowy, jak oczekiwała, ale równie ponury i poważny. Miał na sobie jakiś mundur, niebieski i elegancko zaprasowany. Gdy weszła, podniósł wzrok znad jakichś papierów, które trzymał w ręku.

Muriel była zadowolona z tego, że wygląda schludnie i atrakcyjnie. Przez maleńki ułamek sekundy oczy kapitana Clarka rozszerzyły się i przemknęły po jej postaci. Poznała wówczas, że pozostał nadal człowiekiem, nie maszyną, i pomyślała, że dla tego jednego momentu warto było podjąć trud ubierania.

Oficer powrócił do swego poprzedniego wyrazu twarzy. - Chcę wyprowadzić panią z błędu - oświadczył chłodno - co do wszystkich opinii, jakie mogła pani usłyszeć na temat departamentu bezpieczeństwa w tym cokolwiek mało nam przyjaznym zakładzie.

Było to nieuczciwe zagranie. W typowy dla departamentu bezpieczeństwa sposób, nawet wobec dziewczyny znajdującej się w domu opieki zaczął od próby zastraszenia, podminowania jej pewności siebie.

- Proszę bardzo - powiedziała swobodnie Muriel. - Jestem wyprowadzona z błędu.

- Nie pozwoliłem pani siadać - rzekł ostro Clark, gdy zbliżyła się do krzesła.

Usiadła. - Kapitanie Clark - oświadczyła - przyszedłem tu zdecydowana pomóc panu, ile tylko będę mogła. Czy naprawdę zamierza pan upierać się przy tym, by mi to utrudnić?

- Tak - odrzekł.

- Dlaczego?

- To ja zadaję pytania.

- Jeszcze żadnego pan nie zadał.

- Dlaczego chce mi pani pomóc? Bo ma pani coś do ukrycia?

Muriel roześmiała się. - To możliwe. Ukrywam to z powodzeniem i przed sobą, a pańska pomoc, lub kogokolwiek innego, przydałaby mi się, by stwierdzić, co to może być.

- Czy zdaje pani sobie sprawę, że mam nad panią władzę życia i śmierci?

- Nie. Na pewno tak nie jest.

- Daję pani uroczyste słowo honoru, że gdybym był przekonany, iż jest pani Murranką i ma jakąkolwiek szansę ucieczki, zastrzeliłbym panią tu, na miejscu.

- Och, bez wątpienia. Ale przecież to nie ma nic do rzeczy, prawda?

Już jakiś czas temu uświadomiła sobie, że mężczyzna odgrywa przed nią pewną rolę. Poprzedni urzędnik bezpieczeństwa, którego przypominała sobie jak przez mgłę, był albo człowiekiem innego pokroju, albo znacznie lepszym aktorem - ale cele ich obu były takie same. Obaj próbowali nią pomiatać, zdenerwować, przerazić. Tylko pierwszemu się to udało. Drugi był skazany na niepowodzenie.

- Jaki jest pani stosunek do wojny z Murrane?

- Zupełnie mnie ona nie interesuje.

- Jak to? - warknął Clark. - Walczymy o nasz Układ, o nasze życie, a panią to nie interesuje?

- Niestety, nie. Może nie miałam nic wspólnego z tą wojną.
- Niech pani nie próbuje się tłumaczyć. Sam dobrze widzę, co oznaczają te odpowiedzi. Uważa pani, że powinniśmy się poddać Murrańczykom?

- Nic mi o tym nie wiadomo. Niech pan nie zapomina, że dopiero co naprawdę się obudziłam. Czego pan chce, znowu mnie usnąć?

- Ach, tak - powiedział cicho Clark - więc tu jest pani czułe miejsce, co?

- Nic podobnego. Moje pytanie było jedynie zwykłą prośbą o informację.

Clark podniósł się zza biurka. - Proszę się przysunąć - polecił stając nad nią.

- Po co? - spytała nieufnie Muriel.

- Przysuń się! - ryknął.

Dosunęła krzesło do biurka. Miała teraz już pewność, że nic poważnego się jej nie przytrafi. Clark wyjął z kieszeni małe plastikowe pudełko, położył je przed nią na blacie biurka i otworzył. W środku znajdował się klucz telegraficzny, małe żaróweczka i brzęczyk.

- Proszę nacisnąć klucz - polecił jej. - Kiedy światelko się zapali i odezwie się brzęczyk, proszę jak najszybciej zwolnić klucz. Jasne?

- Tak. - Muriel przeszukała zakamarki swego umysłu szukając znaczenia terminu "czas reakcji", lecz choć rozumiała go doskonale, brakowało właściwych słów.

Dwadzieścia razy rozlegał się brzęczyk i zapalała się żaróweczka. Po zakończeniu testu Clark otworzył tylną ściankę pudełka i wyjął kartę z odczytem.

- Zero trzydzieści sześć, zero dwadzieścia dziewięć, dwadzieścia siedem, trzydzieści dwa, trzydzieści jeden... - przeczytał.

- Nie wierzę panu - rzekła Muriel.

Mruknął coś, ale nie pokazał jej karty. On jest bardzo złym aktorem, pomyślała Muriel. Było zupełnie oczywiste, że ani trochę jej już nie podejrzewa, aczkolwiek nadal zachowuje pozory szorstkości. Kapitan Clark jest zupełnie miły, pomyślała wyczuwając porządny charakter pod jego groźną powłoką zewnętrzną.

Odnalazła znaczenie terminu, którego szukała. - Murrańczycy mają więc dłuższy czas reakcji niż my, prawda? - spytała, zaciekawiona.

- Nie wiedziała pani tego?

- Chyba jednak wiedziałam. Czy zatrzymanie następuje w synapsach?

Chciał warknąć na nią, ale mu nie wyszło. - Nie. Wolniejszy jest czas przebiegu przez włókna nerwowe.

- Oczywiście. Zakres od czterech do sześćdziesięciu metrów na sekundę, a nie od pięciu do stu. Śmieszne, jaką mam pamięć do liczb. No, ale w takim razie nie może to być rozstrzygający test.

Clark spróbował udać gorzką ironię. - A pani ma pewnie coś lepszego?

- Na pewno bym znalazła. Może badanie krwi. Czy nie ma czegoś w powietrzu Murrane, jakiejś substancji rozpuszczającej się we krwi, która ma wpływ na działanie gruczołów dokrewnych - modyfikuje reakcje chemiczne, zmienia niektóre enzymy...

- No pewnie - odrzekł Clark, - Tylko że ja nie noszę przy sobie laboratorium analitycznego. A to mogę włożyć do kieszeni. Ale, ale - podobno ma pani zanik pamięci? - dodał, zapominając o potrzebie twardej postawy.

- Sama się zdziwiłam, że to pamiętam - odrzekła Muriel, zadowolona z siebie, - Wie pan co? Sama sobie zrobię badanie krwi i powiem panu, czy jestem Murranką, czy nie.

Tego już było za wiele nawet dla kapitana Clarka. Wytrzeszczył na nią na chwilę oczy, po czym roześmiał się.

- No, dobrze - rzekł - Wygrałaś. Mogę mówić do ciebie po imieniu?

Kiedy kapitan Peter Clark opuścił dom opieki w Veborn, powinien był już zacząć zapominać o istnieniu Muriel Martin. Jego obowiązki w departamencie bezpieczeństwa obejmowały kontrwywiad i nic poza tym. Upewniwszy się, iż Muriel nie jest Murranką, wykonał swoje zadanie i jeśli idzie o jego rolę w tej sprawie, dziewczyna powinna była przestać dla niego istnieć.

Jednak Murrańczycy, którzy pracowali nad Muriel, nie uwzględnili faktu, iż Peter Clark był młodszy od większości oficerów bezpieczeństwa, a poza tym zawsze lubił inteligentne brunetki, które nie tracą panowania nad sobą. Murrańczycy, rzecz jasna, mieli zupełnie inne mniemanie o pracownikach bezpieczeństwa i z pewnością nie uważali ich za istoty ludzkie.

Zamiast więc zapomnieć o istnieniu dziewczyny, Clark wyszukiwał coraz to nowe powody, by dalej zajmować się tą sprawą oraz Muriel.

Tymczasem w domu opieki Muriel zapewniała doktora Johnstona oraz siostrę Brayne, że oficerowie bezpieczeństwa nie są wcale tacy źli, za jakich ich się powszechnie uważa.

- Potem się przede mną wytłumaczył - powiedziała. - Może nie powinnam tego powtarzać, ale moim zdaniem nic się nie stanie, jeśli to wyjawię. Murrańczycy mają kompleks niższości, z którym nie potrafią sobie poradzić. Oczywiście zaprzeczają temu; chwalą się nawet, że każdy Murrańczyk jest lepszy od dowolnego Ziemianina o każdej porze dnia i nocy, ale to nie zmienia istoty rzeczy. Mają postawę gniewnie defensywną. Natomiast najłatwiej ich wykryć przyjmując postawę gniewnie agresywną. Widziałam, że Clark tylko próbuje mnie rozżłościć, a to, co mówił, nie miało większego znaczenia. Toteż nie udało się mu rozgniewać mnie ani trochę.

Kiedy to mówiła, doktor Johnston przyglądał się jej uważnie. - Jest pani całkowicie zdrowa psychicznie, panno Martin - powiedział. - Szczerze mówiąc, rzadko udaje mi się spotkać kogoś zdrowszego pod tym względem. Jest pani nieomal agresywnie zdrowa.

Muriel roześmiała się. - Tak. Ale proszę mi powiedzieć... co mam teraz robić?

- Może pani stąd wyjść, kiedy tylko pani zechce, skoro departament bezpieczeństwa już panią sprawdził. Ale nie na wiele się to pani zda, skoro nie ma pani pracy, żadnych krewnych czy pieniędzy. Proponuję pani pracę w naszym biurze. Wiele tu pani nie zarobi, ale przynajmniej będzie pani niezależna, a my pomożemy pani potem się jakoś ustawić.

- Dziękuję, panie doktorze - odparła ciepło Muriel. - Zrobię tak, jak pan radzi, przynajmniej na razie. Naprawdę jestem wolna?

- Oczywiście. Zanik pamięci to nie przestępstwo. Nigdy nie została pani ubezwłasnowolniona, a zresztą nasz zakład to nie dom wariatów.

Siostra Brayne, osoba uczuciowa, impulsywnie otoczyła Muriel ramieniem. - Nie damy ci się tu smucić - oświadczyła.

Trzy dni później Muriel przejęła całkowitą kontrolę nad biurem zakładu. Nikt poza nią nie miał najmniejszych zdolności organizacyjnych i wszyscy byli szczęśliwi, że ktoś chciał wziąć ster w swoje ręce.

Muriel nie była jednak przekonana, iż pracowała kiedykolwiek przedtem w biurze. Stwierdziła, że znacznie bardziej znajoma jest dla niej apteka. Stopniowo pewne przypuszczenia zostały potwierdzone lub odrzucone. Muriel miała coś wspólnego z chemią, ale nie z medycyną. Tym niemniej biologia była jej w dużym stopniu znajoma, a kiedy z czasem odkryła antropologię, przedmiot ten okazał się również nieobcy. W mechanice przejawiała całkowitą ignorancję; dynamika była dla niej terra incognita. Mówiąc szczerze, w przedmiotach technicznych były i takie, o których w ogóle nigdy nie słyszała. Chemia za to była najpewniejsza. Odzyskiwała całe partie dawnej wiedzy czytając tylko nalepki na butelkach z odczynnikami.

Przez cały ten czas uczyła się i to z ochotą. Często spoglądała jedynie na nazwę jakiejś substancji, a w jej pamięci pojawiały się informacje na temat własności tej substancji i jej zastosowania. Czwartego dnia przyszedł do niej gość.

- Żaden tam "kapitan Clark" - zaprotestował. - Mów do mnie "Peter". Dasz radę wziąć wolne popołudnie?

- Swobodnie - odparła - jeśli przedstawiś mi jakiś dobry powód.

Zmarszczył czoło. - Nie wiem, czy powód ten będzie dobry czy zły - przyznał - ale starałem się go wymyślić przez cały czas, odkąd widzieliśmy się po raz ostatni.

Roześmiała się i zwolniła się z pracy na popołudnie.

Nie zostali na terenie zakładu, ale i nie odeszli daleko. Na Wenus nigdzie nie można było usiąść bez całkowitego przemoczenia odzieży, ale Peter był przygotowany: na parującej trawie rozpostarł płachtę z tworzywa sztucznego. Muriel usiadła na jednym rogu i gestem wskazała mu miejsce po przeciwnej stronie.

- Nie za blisko - oświadczyła. - Mogę być mężatką, sam rozumiesz, więc lepiej na wszelki wypadek nie zaryzykuję niewierności.

Oczy Petera rozszerzyły się. - Nigdy o tym nie pomyślałem - powiedział. - Pokaż rękę... popatrz, nie ma śladu po obrączce!

- To niczego nie dowodzi - uśmiechnęła się. - A co z tym powodem, który miałeś mi przedstawić?

Peter spowaźniał nieco. - Szczerze mówiąc, z początku szukałem tylko pretekstu, żeby znowu cię zobaczyć - przyznał. - A gdybym go nie znalazł, to i tak bym przyszedł. Ale myślę, że jednak mam ten powód. Czy jest coś w twojej przeszłości, na ile ją pamiętasz, na temat tego, w jaki sposób postradałaś pamięć? Cokolwiek?

Pokręciła głową. - A czy coś z tego wynika?

- Owszem. Nie straciłaś pamięci sama z siebie. Ktoś ci w tym pomógł.

Powiedział to bez ogródek, a Muriel nie tylko od razu go zrozumiała, ale i całkowicie się z nim zgodziła.

- Ale jak się to mogło stać? - spytała. - Ma to oznaczać, że ktoś dał mi po głowie, czy co?

- Nie, zupełnie nie to. Jeśli ktoś traci pamięć drogą, że tak powiem, naturalną, nie zachowuje się normalnie i tak jak ty, kiedy jedynym objawem jest brak własnej przeszłości. Nie, ktoś taki jest oszołomiony, pełen wątpliwości, a jeśli odzyskuje po trochu pamięć, tak jak ty, to wraz z informacją o swej przeszłości. Utrata tożsamości jest wspólnym objawem, ale...

- Rozumiem - powiedziała powoli Muriel. - Pozostaje znajomość języka i wiedza, ale ani jeden fakt bezpośrednio dotyczący tej osoby. Nie pamiętam nikogo, kto byłby mi znajomy; szkoły, swego poprzedniego wyglądu...

Peter błyskawicznie podjął ten temat. Przez następną godzinę oboje dokładnie sprawdzali, co Muriel pamięta, a czego nie. Niewiele się z tego dowiedzieli, ale pogląd Petera zyskał pewne uzasadnienie. Wszystko wyglądało tak, jakby całe doświadczenie Muriel zostało podzielone na zasób pamięci osobistej i pamięci ogólnej, a potem zasób osobisty został usunięty.

- Co nie następuje przypadkowo - rzekł Peter. - Wiesz co, Muriel? Na Wenus jest jeden psychiatra, który mógłby doszukać się czegoś więcej. Zgłosisz się do niego?

- Oczywiście. Kto to jest?

- Dr Waterson, z Finylake. Mogę cię tam zawieźć, kiedy zechcesz.

Ustalili szczegóły wyjazdu, po czym Peter wydał westchnienie ulgi. - Wszystko to bardzo ładnie - rzekł - ale przyszedłem tu z dziewczyną, a nie z przypadkiem psychiatrycznym. Mogę się trochę przysunąć?

- A co z moim niewykluczonym mężem?

- Przecież nie pamiętasz żadnego męża, prawda? No więc nie było go wcale. - Przysunął się bliżej.

- Bardzo wielu ludzi nie spodziewałoby się tego po oficerze bezpieczeństwa - zauważyła pogodnie Muriel. - Czyż nie są oni twardzi i niesympatyczni?

- To tylko taki mit. Daj mi szansę, a ci to udowodnię. - Przybliżył się jeszcze bardziej.

- A niech tak naprawdę okaże się szpiegiem Murrańczyków?

- W tym jest właśnie sedno sprawy - oświadczył Peter z zadowoleniem. - Oto mój cały bezczelny szantaż. Jeśli nie pozwolisz mi się pocałować, pójdę do departamentu i powiem, że jednak jesteś Murranką. Wtedy cię wsadzą i rozstrzelają. Rozumiesz?

- Nie chcę, żeby mnie rozstrzelali - przyznała Muriel. Clark zaś wziął ją w ramiona i pocałował bardzo sumiennie.

Dr Waterson reprezentował nowy kierunek w psychiatrii - psychoelektronikę. Sam też wyglądał cokolwiek elektronicznie: pracując pomrukiwał niczym motorek elektryczny, jego małe czarne oczka błyszczały jak jądra atomowe, a włosy nieustannie stały sztorcem, jak gdyby były naładowane elektrycznością.

Gdy zbierał dane z poszczególnych aparatów, zupełnie nie zwracał uwagi na Muriel i Petera. Choć posługiwał się znaczną liczbą przyrządów, jego praca w żadnym wypadku nie ograniczała się tylko do elektroniki. W każdym razie nazwa jego specjalności była myląca; stosowano ją wobec doktora Watersona i jego kolegów w rezultacie całkowitego pomieszania psychiatrii z cybernetyką, encefalografią, robotyką, elektrycznością i elektroniką; a stosowano ją tak często, że się przyjęła. Teraz nawet sam Waterson nazywał się psychoelektronikiem, co daje pewne pojęcie o potędze ignorantów.

No więc praca doktora Watersona nie ograniczała się tylko do elektroniki: podłączając Muriel to do jednej maszyny, to do drugiej zadał jej tymczasem kilka dość wnikliwych pytań i kiedy już było po wszystkim, zastanawiała się, ile z tej całej imponującej maszynierii służy jedynie wywieraniu wrażenia na pacjencie.

W końcu powiedział: - Nic mi pani nie płaci, panno Martin. Co, niestety, oznacza, że nie potrafię osiągnąć żadnych wyników.

- Wszystko, co wiemy dotychczas, doktorze, oparte jest na domniemaniach - wtrącił się Peter. - Czy nie może pan niczego dodać, choćby też opartego na przypuszczeniach?

- Mogę powiedzieć tylko tyle: jeśli został dokonany jakiś zabieg na mózgu panny Martin - a przyznaję, że jest to wniosek nie bez podstaw - to wykonano go bardzo fachowo. Mamy tu z pewnością bardzo interesujący problem. Wydaje się wyjątkowo mało prawdopodobne, by pani utrata pamięci nastąpiła wskutek jakiejś neurozy. Oczywiście, neuroza tu występuje...

- Występuje? - przerwał Peter, zaskoczony.

Psychiatra uśmiechnął się lekko. - Nie wspominałbym o tym, gdyby miało to jakies poważniejsze znaczenie. Są tu pewne zafiksowane albo nieomal zafiksowane wzory, a każda fiksacja jest neurozą. Nie badałem ich, bowiem nie wygląda na to, by miały one cokolwiek wspólnego z utratą pamięci. Wydaje się, że powstały one później, zapewne w wyniku... ale utrata pamięci, skoro nie występuje na tle nerwicowym, musi być wynikiem jakiegoś zabiegu...

- Chirurgicznego? - spytał Peter.

Dr Waterson potrząsnął głową. - Nie ma żadnych śladów ingerencji chirurga. Ale również żadnych innych śladów. Zakładam jedynie, dysponując dość wyczerpującą wiedzą o ludzkim umyśle, że zabieg nie był chirurgiczny. Żałuję, że nie jestem w stanie powiedzieć nic więcej. Mogę jedynie powtórzyć: jeśli coś zostało zrobione, to zrobiono to bardzo dobrze. Upraszcza to sprawę, jeśli chce pani nadal badać tę tajemnicę.

- Upraszcza? - wykrzyknęła Muriel. - Myślałam, że jest dokładnie odwrotnie.

- Upraszcza - powtórzył cierpliwie psychiatra. - Czy ma pani dużo pieniędzy, panno Martin?

- Nie.

- Szkoda. Gdyby pani miała pieniądze, mogłaby pani udać się na Ziemię, by tam uzyskać konsultację u czołowych psychoelektroników. Wkrótce trafiłaby pani na właściwy ślad. Rozumie pani, jakoś wykonania owego hipotetycznego zabiegu oznacza, iż przeprowadzić go mogło tylko bardzo niewiele osób.

- Rozumiem - odrzekła Muriel.

Przy wyjściu psychiatra spytał jeszcze z zaciekawieniem: - Czy zamierza pani kontynuować poszukiwania, panno Martin?

Zawahała się. - Chyba nie. Właściwie jest to dla mnie bez większego znaczenia, a i tak upłynie wiele czasu, zanim będę sobie mogła pozwolić na podróż na Ziemię.

- Szkoda. Lepiej by było, żeby się pani jednak tam wybrała. Wszyscy, którzy mogliby pani pomóc, są na Ziemi. Albo na Murrane.

Gdyby nie dodał tych trzech ostatnich słów, prawdopodobnie cała sprawa nie miałaby dalszego ciągu. Jednak Peter usłyszał te słowa i obrócił się gwałtownie.

- Murrane! - wykrzyknął.

- Tam nie wysyłałem panny Martin - rzekł sucho psychiatra.

- Chce pan powiedzieć, że na Murrane są ludzie, którzy zrobili coś podobnego Muriel?

- O ile w ogóle coś zostało zrobione, to tak. Murrane zapewne znacznie wyprzedza nas w psychoelektronice. Zresztą, jak mi wiadomo, jest to jedyna gałąź psychiatrii, którą się zajmują.

- A więc jednak coś zostanie przedsięwzięte w tej sprawie - powiedział Peter. - Departament bezpieczeństwa przyjmuje to zagadnienie. Idziemy, Muriel. Jednak czeka cię wizyta w departamencie.

V

Podczas gdy nieduży samolocik Petera pokonywał krótki dystans między Finylake i Veborn, Muriel spytała chłodnym tonem: - Czy mam się uważać za więźnia, Peter?

- Odpowiedź na to pytanie mogłaby nastęrczać wiele trudności - odparł Peter wesoło. - Udawajmy, że go nie było, dobrze?

- Nie. Taka postawa zupełnie mi nie odpowiada. Chciałabym wiedzieć, na czym stoję.

- A kto w ogóle mógłby ci to powiedzieć? Właśnie to próbujemy ustalić.

- Co więc zrobimy?

- Po pierwsze, przejdiesz dokładne badania medyczne. Pozwolą one ustalić bez większych możliwości, czy jesteś rodowitą Murranką, czy też nie. Jeśli odpowiedź będzie negatywna, czego się zresztą spodziewam, zabiorę cię na Ziemię, na konsultację u tych specjalistów, o których wspominał dr Waterson.

- Po co?

- Sam jeszcze dobrze nie wiem - przyznał Peter. - Nic dotąd nie słyszałaś o pracy departamentu bezpieczeństwa, prawda? No więc, ma on odpowiedzialne zadanie. W obecnej wojnie biorą udział przede wszystkim dwie silne floty starające się nawzajem zniszczyć, przy czym nie silą się one na żadne inne działanie. Nasza flota, powiedzmy, nie może sobie pozwolić na zbytne oddalenie od Układu, póki flota Murrańczyków wciąż jest silna. Nie zdobędzie się na to, by zaatakować Murrane, bo to pozwoliłoby im z kolei swobodnie najeżdżać na Ziemię. Kosmos jest wielki, jedyne zaś, co powstrzymuje którąkolwiek ze stron przed napaścią na bazę przeciwnika, jest świadomość, iż podjęcie takiej akcji równałoby się klęsce. Rozumiesz, o co idzie? Wojna nie dzieli się już na atak i obronę - jest to po prostu działanie jednej floty przeciwko innej.

- Mów dalej. Nie całkiem rozumiem, dlaczego tak ma być, ale gotowa jestem uwierzyć ci na słowo.

- Nasze dowództwo nie może znajdować się wewnątrz floty, bo ta jest zbyt ruchliwa. Całe planowanie zapewne następuje na Ziemi, ale baza właściwa może równie dobrze znajdować się na Wenus czy na Marsie, czy nawet na Plutonie. W każdym razie łatwo pojąć, że w takiej wojnie każda z walczących stron może coś zyskać jedynie przez dokonanie czegoś niesztampowego. Może przeprowadzić skuteczny atak na Murrane, pod warunkiem, że jest on dokładnie zaplanowany, a wróg nie dowie się niczego o naszych planach.

I w tym sęk. Nasi szpiedzy nie przekazują nam nic lub prawie nic z Murrane, natomiast tamci najwyraźniej dowiadują się o nas bardzo dużo. Tak więc, wprost proporcjonalnie do tego, lepiej im ta wojna wychodzi niż nam.

I Ziemia w tej chwili przegrywa, pomimo większego potencjału wojskowego - a słabym ogniwem jest departament bezpieczeństwa. Murrane prowadzi z nami wojnę wywiadów i kontrwywiadów - i wygrywa ją. Rozumiesz teraz, dlaczego musimy podejmować każdy ślad, który się nadarza? Gdyby się okazało, że jesteś ich szpiegiem, byłibyśmy bardzo zadowoleni, że cię wykryliśmy, ale nie miałyby to większego znaczenia. Wykryliśmy już wielu szpiegów z Murrane. Ale gdybyśmy stwierdzili coś n o w e g o...

Sprowadził zgrabnie samolot na lądowisko Veborn. Drzwi otworzyły się prawie natychmiast; po obu ich stronach stanęli dwaj oficerowie bezpieczeństwa, czekając, aż Muriel wysiądzie.

- A więc jestem więźniem? - powiedziała.

- Chciałbym, żebyś nie wyciągała pochopnych wniosków, Muriel - rzekł Peter. - Nie masz się czego obawiać.

- Owszem, mam. - Ni stąd ni zowąd wybuchnęła łzami. - Chcecie mnie posłać na Murrane! - krzyknęła. Peter wytrzeszczył na nią oczy, zdumiony.

Badanie wykazało ponad wszelką wątpliwość, że Muriel jest rodowitą Ziemianką.

- Poza czasem reakcji nieco przewyższającym normalny - stwierdził lekarz - występuje jeszcze kilka drobnych objawów, które razem wzięte wykazują, iż Muriel Martin urodziła się i wychowała na Ziemi. Nie mogę, oczywiście, stwierdzić z całą pewnością, czy była kiedykolwiek na Murrane. Pewne rzeczy wskazują, że była. Ale wszelkie ślady enzymów murrańskich, jakie mogłyby się znaleźć w jej organizmie, są pomijalne.

Peter odwiedził Muriel w jej pomieszczeniu, które uparcie nazywał pokojem, nie zaś celą.

- Rozmawiałem z doktorem Johnstonem, Muriel - oświadczył. Powiedziałem mu, że zostałam wcielona do departamentu bezpieczeństwa.

Muriel była już znowu spokojna i swobodna. Podobnie jak Petra, ją też zaskoczył jej nerwowy wybuch. Zachodziła w głowę, co też mogło go spowodować.

- A zostałam? - spytała.

Potrząsnął głową. - Mam pewną teorię - rzekł cicho - że już kiedyś w nim pracowałaś.

Muriel poruszyła się, zaskoczona, ale nie odezwała się.

- Nasz lekarz dodał jeszcze kilka faktów do tego, co już wiemy o tobie - mówił dalej Peter. - Wciąż jeszcze nic konkretnego, ale coś się pojawia. Waterson powiedział wtedy, że w twoim mózgu mógł grzebać jakiś bardzo dobry psychoelektronik. Nasz doktor zaś powiada, iż prawdopodobnie przebywałaś przez dłuższy czas na Murrane.

- Tak powiedział? Myślałam...

- Po twoim wyjściu namówiłem go, by wyjawiał coś więcej. Bo wiesz, jesteśmy zobowiązani respektować zasadę, iż wątpliwości przemawiają na korzyść podejrzanego, a on zakładał, że jesteś podejrzana, że twoje życie zależy od tego, co on powie. Tak więc orzekł, zgodnie z prawdą, iż ślady enzymów murrańskich w twojej krwi są pomijalne. Kiedy jednak objaśniłem go co do faktycznej sytuacji oraz poinformowałem o moich podejrzeniach, przyznał, że choć nie mógłby cię oskarżyć na tej podstawie, był jednak zupełnie pewien, iż byłaś kiedyś na Murrane... i to pewnie przez dłuższy czas. Niestety, podczas gdy twój umysł powracał do równowagi, twoje ciało pozbywało się wszelkich śladów tamtego pobytu.

Muriel skinęła głową. - A więc tak. Mocna opalenizna, odbudowanie zasobów witaminy D, ponowne przyspieszenie czasu reakcji... jeśli byłam na Murrane, ale tylko przez rok czy dwa, sama podróż do Układu Słonecznego i kilka tygodni spędzonych na świeżym powietrzu ukryłyby ślad prawie wszystkiego.

- Lekarz twierdzi również - kontynuował Peter - że dokonano na tobie pewnych zmian fizycznych. Pewne rzeczy nie pasują do siebie. Ale znowu, wszystko wykonano znakomicie. Choć przeprowadzono kilka zabiegów chirurgicznych, główne znaczenie ma zmiana metabolizmu. Lekarz nie potrafi powiedzieć, jaka byłaś przedtem.

- I coś jeszcze - rzekła cicho Muriel, po czym opowiedziała mu, jak wraz z pielęgniarką Brayne doszły do wniosku, iż ostatnie kilka lat spędziła prawdopodobnie poza Ziemią.

- Wszystko pasuje - rzekł Peter.

- Do czego?

- Wszystko ma sens - powiedział powoli - jeżeli byłaś ziemską agentką na Murrane, zostałaś wykryta i z jakiegoś powodu znanego tylko Murrańczykom nie zabili cię, ale odesłali z powrotem, zmienioną.

Muriel zastanowiła się nad tym.

- Wygląda na to, że jest w tym pewien sens - powiedziała ostrożnie.

- Mimo tego, że jesteś przekonana, iż bez wątpienia nigdy nie byłaś na Murrane?

- Nie... nie jestem pewna. Ale z pewnością nie chcę tam lecieć!

- I to - rzekł Peter - jest w tym wszystkim najbardziej znamienne.

VI

Krótką podróż z Wenus na Ziemię składała się prawie wyłącznie z przyspieszania i hamowania, toteż prawie wszyscy na pokładzie nie opuszczali koi. Muriel wykorzystała ten czas na lekturę uzupełniającą o Murrane i wojnie. Musiała przewyciężyć niechęć nawet do lektury o tej planecie, ale to nie było trudne. Zaciekawilo ją to, co czytała, a niechęć do wszystkiego, co wiązało się z Murrane, straciła nieco na ostrości.

Jednak nadal trwała w przekonaniu, iż absolutnie nie ma mowy o tym, by się tam kiedykolwiek udała.

Swoje studia podzieliła na trzy części: planeta Murrane, wojna oraz to, jaki wpływ którakolwiek z tych spraw mogłaby mieć na nią. Zaopatrzyła się w kilka książek, które przerzucała szukając istotnych faktów.

Po pierwsze, Murrane.

Była to zimna planeta, ale ponieważ z innych względów nadawała się do kolonizacji, pogodzone się z zimnem. Nie występowała tam zmienność pór roku; nachylenie równika wobec płaszczyzny orbity wynosiło poniżej jednego stopnia i równie niewielka była nieregularność owej orbity. Rok równał się dwustu szesnastu dniom, każdy po trzydzieści osiem godzin, co w sumie dawało okres niewiele różniący się od roku ziemskiego. Średnica planety wynosiła około dwunastu tysięcy kilometrów, czyli mniej niż Ziemi, a nawet Wenus, ale jej masa wynikająca z gęstości - równoważyła to. Jedynym słabym punktem planety była jej temperatura. Kiedyś udało się zanotować rekordową temperaturę dwudziestu pięciu stopni Celsjusza, ale zazwyczaj wahała się ona na równiku między -10 i +10°C. Rzecz jasna, wszystkie murrańskie miasta rozciągały się w szerokim na półtora tysiąca kilometrów pasie po obu stronach równika.

Muriel stwierdziła, że wie to wszystko, już po pierwszym spojrzeniu na książkę. Wiedziała też więcej nawet nie zaglądając dalej do książki. Wiadomo jej było, ku jej własnemu zdziwieniu, iż Murrane kipi życiem istot ciepłokrwistych, na które nie dybały żadne istoty rozumne, dopóki nie przybyli tam koloniści z Ziemi. Wiedziała, że na Murrane była obfitość wszelkich metali, że istniały tam możliwości rozwoju hydroenergetyki. Poznała sposób ubierania się Murrańczyków: jednocześniey kombinezon śnieżny z kapturem, nałożony na kilka warstw bielizny, dzięki czemu uwięzione między nimi powietrze służyło za izolację.

Było już zupełnie oczywiste, iż część swego życia spędziła na Murrane, mimo że jakiś zakątek jej umysłu uparcie temu zaprzeczał.

Następnie przeszła do krótkiego opisu wojny. Nie czuła już żadnej potrzeby kontynuowania lektury o Murrane, jej obywatelach i historii. Wiedziała już o tym wszystko.

Była to dziwna wojna. Zaczęła się bez ostrzeżenia, od błahego podejrzenia, zazdrości i nieporozumienia. Ziemia okazała się nierozważna, Murrane zaś - pochopna. Ona to była stroną

atakującą, ale na Ziemi byli i tacy, którzy winą za wojnę obarczali własną planetę. W końcu, dowodzili, w historii było już tyle przypadków, gdy kolonie zwracały się przeciwko metropoliom, że zarzut, iż Ziemia powinna okazać czujność i nie dopuścić do takiego stanu rzeczy, nie wydawał się nieuzasadniony. Od samego początku wojna toczyła się w Kosmosie. Zdarzyły się naloty zarówno na Ziemię, jak i na Murrane, ale ich skutki nie były warte zachodu. Każda ze stron zabezpieczyła się przed powstaniem wrogiej bazy w pobliżu własnego terytorium, toteż wszelkie wypadki przeciwko planetom musiałyby się zaczynać z własnej strefy, z ominięciem wrogiej floty; a po ataku zdradzającym obecność grupy wypadkowej, który i tak następował przeciwko dobrze bronionym obiektom, musiała ona jeszcze dostać się z powrotem do własnej bazy.

Było to niewykonalne, wyłącznie ze względu na dane liczbowe. Skoro statki musiały pokonywać duże odległości podczas lotu okrężnego, ich siła bojowa ulegała redukcji ze względu na konieczność zaopatrzenia się w odpowiednią ilość paliwa i zapasów. Poza tym jednostki biorące udział w akcji były wyłączone z innych działań, bezużyteczne, choć zużywające paliwo i zapasy. Gdyby zaś próbowały szybkich, śmiałych uderzeń wprost, równałoby się to z pchaniem się w pułapkę. Powiedzmy, że flota Ziemian nie robiłaby nic, dopóki Murrańczycy nie zaatakowaliby Ziemi; wówczas można by ich było wyłapać, gdzie, kiedy i jak Ziemianie by sobie zażyczyli.

Ponieważ cała kampania składała się z manewrów flot, wszelkie przechwycenie informacji o wrogim manewrze było samo w sobie zwycięstwem. A w tym Murrańczycy przodowali. W końcu nawet dla Murrań-czyka piątego pokolenia - czyli bieżącego - wszystko, co ziemskie, było znajome, Ziemia zaś stanowiła jakby drugi dom. Cała ich literatura była o Ziemi, język ten sam, miasta zbudowano na wzór ziemskich. Każdy Murrańczyk, jeśli nie liczyć niewielkich różnic fizycznych, był naturalnym szpiegiem, którego w każdej chwili można było wysłać w tajemnicę na Ziemię.

Ziemianie, z drugiej strony, otrzymywali znacznie mniej informacji o Murrane. Kolonia rozwijała się szybko, podczas gdy Ziemia pozostawała prawie nie zmieniona. Informacji było niewiele. Niewyszkolony Ziemianin zdradziłby się na Murrane w ciągu pięciu minut, podczas gdy niewyszkolony Murrańczyk na Ziemi mógł bezpiecznie wmieszać się w tłum i dowiedzieć się wszystkiego, czego mu było trzeba.

Bowiem po raz nie wiadomo który zapomniano, iż od chwili, gdy człowiek udał się do kolonii, zostawał kolonistą, nie zaś obywatelem metropolii. Kolonia, gdziekolwiek była, stawała się jego domem. Aby w ogóle się tam udać, musiał woleć kolonię od poprzedniego miejsca zamieszkania. Był więc albo malkontentem, albo pionierem. Jeszcze zanim pojawiły się pierwsze oznaki konfliktu, jego lojalność była już dawno określona. Pozostawała jeszcze jedna sprawa: Ziemia uparcie nie doceniała Murrane. Miało to miejsce w przeszłości, w teraźniejszości, a zapowiadało się i na przyszłość. Dowództwo wojsk Ziemi już się z tym błędem prawie uporało, ale zwykli ludzie z Wenus, Ziemi i Marsa prawdopodobnie nigdy tego nie dostąpią. Nie doceniali Murrane pod wieloma względami, przede wszystkim jednak co do siły ludzkiej. Wiedząc, że Ziemia mogłaby pomieścić całą populację Murrane w jednym państwie, nie dopuszczali w ogóle myśli o możliwości zwycięstwa kolonii. Zapominali o tym, że z potencjału Ziemi stał do dyspozycji jedynie niewielki ułamek, a zdecydowana większość jej miliardów mieszkańców była zdania, że ich rola w tej wojnie ogranicza się do czytania gazet.

Muriel stwierdziła, że książki nie zatrzymywały się dłużej nad różnicami fizycznymi między Ziemianami i kolonistami. Prawdopodobnie były one bez większego znaczenia i na pewno nie one stanowiły powód konfliktu.

Kiedy zaś doszła do tej części swych studiów, która dotyczyła pytania, jakie to wszystko ma dla niej znaczenie, odpowiedź była zdumiewająco prosta.

Żadnego.

Albo przynajmniej tak to wyglądało.

W Nowym Jorku Peter zaprowadził Muriel prosto do siedziby departamentu bezpieczeństwa.

- Oczywiście, to absolutnie nie jest mój dział - powiedział - ale chcę postarać się o pozwolenie na prowadzenie tej sprawy do końca. Odpowiada ci to?

Nic na to nie powiedziała. Z pewnością nie miała nic przeciwko obecności Petera, ale co dokładnie ma powiedzieć w tych okolicznościach, stanowiło zagadkę, której nie potrafiła rozwiązać.

VII

Po wielu dniach wyczerpujących badań bezimienny dyrektor departamentu bezpieczeństwa powiedział do Muriel: - Moim zdaniem, panno Martin, nie ma mowy, aby pani była kiedyś naszą agentką wysłaną na Murrane.

- Nawet jeśli weźmiemy pod uwagę wszelkie zmiany chirurgiczne i medyczne? - spytał Peter, który prawie cały czas towarzyszył Muriel. Otrzymał zezwolenie na dalsze prowadzenie śledztwa w dziwnej sprawie Muriel Martin.

- Nawet jeśli weźmiemy pod uwagę wszystkie zmiany i dodamy jeszcze dwadzieścia pięć procent, na szczęście. Nie podam żadnych danych, nawet panu, kapitanie Clark, ale może pan sobie wyobrazić, że liczba agentek wysyłanych na Murrane jest niewielka. Z tych wszystkich zaś, które wylądowały na Murrane, możemy doliczyć się dość znacznej części. Jeśli zaś chodzi o pozostałe, zaginione, to w taki czy inny sposób nie może pani być żadną z nich.

- Czy może pan jakoś określić procentowo stopień prawdopodobieństwa takiej możliwości? - spytał Peter. - Rozumie pan, w sprawie panny Martin i tak już mamy mnóstwo nieprawdopodobieństw. Jeśli w ogóle mamy coś ustalić, będziemy chyba musieli w końcu wziąć pod uwagę to czy inne nieprawdopodobieństwo.

- Mogę stwierdzić - rzekł dyrektor - że szansę na to, iż panna Martin jest jedną z naszych dawnych agentek, wynoszą jeden do pięciuset.

Peter wstał. - Zobaczmy więc, Muriel, czy nie ma czegoś bardziej prawdopodobnego - powiedział. - Dziękuję, panie dyrektorze.

Bardziej konkretnej informacji udzielił pierwszy z odwiedzonych psychoelektroników. Stwierdził zdecydowanie, iż jest to przypadek, w którym zastosowano psychoelektronikę.

- Weźmy choćby to, co pani wie, a czego pani nie wie, panno Martin - powiedział. - Schemat rozdziału tych sfer jest zbyt idealny i zdecydowany, by mógł powstać w wyniku jakiegokolwiek choroby psychicznej. Ale...

Przyjrzał się w zamyśleniu Muriel, potem Peterowi - który był bez munduru - i ponownie Muriel.

- Jest to bez wątplenia sprawa kryminalna - oświadczył wprost. - Z własnej woli pani na pewno nie pozwoliła na coś podobnego, panno Martin. Proponuję, aby pani udała się na policję, dla własnego bezpieczeństwa. Każdy, kto zadał sobie tyle trudu, aby...

Peter okazał mu swoją odznakę. - Jeśli chce pan koniecznie komuś o tym donieść doktorze - powiedział - niech pan pójdzie do departamentu bezpieczeństwa, a nie do policji.

- Rozumiem - rzekł psychiatra. - Proponuję, aby państwo skonsultowali się z doktorem Hynekerem. Rozumieją państwo, psychoelektronika to nowa nauka. Ja jestem praktykiem, a nie jednym z jej teoretyków. Dr Hyneker i dr Ball będą mogli pomóc państwu tam, gdzie ja już nie jestem w stanie.

Poszli więc do doktora Hynekera.

VIII

Dr Hyneker osobiście przypominał tamtego psychiatrę, u którego byli na Wenus. Sprawiał to samo wrażenie - że sam jest maszyną - jak gdyby nowa nauka zmieniała jej adeptów w szybkie, zwrotne, bystrookie automaty.

Powiedzieli mu tak niewiele, jak tylko się dało, aby sprawdzić, ile zdoła ustalić sam. Ku ich raczej zdziwieniu lekarz skoncentrował się głównie na niechęci Muriel do podróży na Murrane.

- Zanim będzie można dać wiarę pani własnym wnioskom, panno Martin - stwierdził psychiatra przekładając cały czas papiery na biurku - musi pani usunąć tę fiksację.

- To brzmi interesująco, ale jak to zrobić? - spytała uśmiechając się Muriel.

- Niech pani poleci na Murrane.

Muriel jakiś czas temu opanowała już drzenie trwogi i wybuchy płaczu na samo tylko wspomnienie o czymś podobnym. Zmarszczyła jednak brwi z niechęcią.

Peter obrzucił ją szybkim spojrzeniem, po czym przemówił w jej imieniu. - Może i tak, doktorze - zauważył - ale jak pan proponuje to przeprowadzić?

Lekarz wyjął kilka kartek z leżącego na biurku stosu i zaczął rozkładać je na blacie niczym karty do pasjansa.

- Przyznaję, że w chwili obecnej propozycja jest cokolwiek trudna do zrealizowania - rzekł. - Jednakże my, psychiatrzy, często musimy podejmować trudne zadania. Powiedzmy, że ktoś tu przychodzi, a ja go badam i stwierdzam, że jedyne prawdziwe rozwiązanie jego problemu polega na tym, by został wielkim skrzypkiem. Ale może on nie ma w ogóle talentu. Co więc robię?

Westchnął. - Już dawno temu zdecydowałem, że jeśli któryś z moich pacjentów przejawia dostatecznie dużo rozsądku i równowagi psychicznej, trzeba mu dać rozwiązanie, choćby wyglądało ono na niemożliwe do wykonania. W zeszłym roku kazałem pewnemu człowiekowi udać się do domu i pobić żonę. Przyznaję, że spodziewałem się, iż nigdy się na to nie zdobędzie; jednak najwyraźniej pomyliłem się. Oboje są teraz bardzo szczęśliwi i zadowoleni z siebie.

- Chwileczkę, doktorze - odezwała się Muriel. - Nie przyszedłem do pana jako pacjentka w zwykłym sensie tego słowa. Nie chodzi mi o to, aby się z czegoś wyleczyć, bowiem nie czuję się w jakikolwiek sposób chora. Z wyjątkiem zaniku pamięci, a i tu mi powiedziano, że nie mogę jej odzyskać, bo nic z niej nie pozostało. Chcę tylko ustalić, co się ze mną działo. Chcę wiedzieć.

Oczy doktora Hynekera rozszerzyły się. - Ale przecież tego właśnie może się pani dowiedzieć jedynie na Murrane - powiedział tonem reprimendy, jakby Muriel powinna była o tym wiedzieć.

- Co takiego?! - wykrzyknął Peter.

- To oczywiste. - Nadal sprawiał wrażenie zdziwionego, że ktoś nie rozumie tak oczywistej sprawy. - Mamy oto przypadek dość zgrabnego usunięcia pewnych elementów pamięci, a ponad tym wszystkim - bardzo nieudolną groźbę, faktyczny zakaz wyjazdu na Murrane. Całość przeprowadzono wyjątkowo po amatorsku: inne przesłanki, jak wymuszona na pani obojętność wobec wojny, dowodzą, iż chciano, aby nigdy się pani nie dowiedziała, że Murrańczycy maczali w tym palce. Jednak z tego nienaturalnego szacunku, strachu i ostrzeżenia, z tego... tego obscurnego bohomazu wymalowanego na poprzedzającym go istnym dziele sztuki psychoelektronicznej, wyraźnie wynika, iż Murrane jest kluczem do całej sprawy i jeśli chce pani kiedykolwiek poznać prawdę, musi się pani tam udać.

Nadal przekładał papiery. Muriel machinalnie zauważyła, iż dawało im to wygląd coraz bardziej sfatygowany.

- Przykro mi - powiedział innym tonem - że nie może pani polecieć na Murrane, panno Martin. Pani przypadek jest bardzo ciekawy. Chciałbym poznać jakieś jego rozwiązanie.

Peter miał już coś powiedzieć, ale Muriel uciszyła go gestem dłoni. Z wyrazu jego twarzy można było wywnioskować, że to, co miał do powiedzenia, nie było zbyt pomocne.

- Chce pan przez to powiedzieć - rzekła powoli - że w wyniku takiej podróży dowiedziałabym się, o co w tym wszystkim chodziło?

- Zapewne. Może się to okazać nieco trudniejsze. Jeśli powiem coś więcej, będą to tylko moje domysły... rozumie pani? No więc dobrze: po zabiegach u mnie i pewnie u innych psychoelektroników może pani swobodnie założyć, że sam powrót na Murrane...

- Powrót! - ryknął Peter. - Jest pan tego pewien?

Dr Hyneker obrócił ku niemu zboląłą twarz. - Młody człowieku, takie zachowanie nie jest przyjęte w gabinecie psychiatry - oświadczył. - Jeśli pan się nie opanuje, będę zmuszony kontynuować tę rozmowę sam na sam z panną Martin. - Przyjąłem za pewnik - rzekł zwracając się ponownie do Muriel, że była pani tam już kiedyś. Tak więc, jak mówiłem, może pani swobodnie założyć, że sam powrót na Murrane zapewne usunie całkowicie tę fiksację. Na ile więc mogę sądzić, to stanie się pani wówczas osobą całkowicie racjonalną, w taki sposób, w jaki zwykle rozumiemy to słowo. Podróż na Murrane niczego więcej nie gwarantuje; może jednak otworzyć przed panią zasoby informacji o tej planecie, które pozwolą definitywnie wykazać, iż przebywała pani na niej. I te informacje mogą nawet ustalić, gdzie ma pani dalej szukać. Nikt by nie wprowadził określonego zakazu, gdyby niezastosowanie się do niego nie miało przynieść konkretnych skutków...

- Oczywiście - powiedział Peter. Był już całkowicie opanowany i mówił spokojnie. - Muriel, to wszystko ma sens.

- Ależ ja nie mogę...

- Doktorze - Peter zwrócił się do Hynkera. - Powiedzmy, że po prostu wysadzilibyśmy ją w jakimś cichym, odludnym miejscu na Murrane, a potem zabralibyśmy z powrotem. Czy to...?

- My? - zapytał lekarz.

I znowu Peter musiał pokazać swoją odznakę.

- Nie wiem - odrzekł dr Hyneker. - Jedynym sposobem udzielenia odpowiedzi na to pytanie jest - spróbować. Ja w to wątpię. Panna Martin będzie zapewne musiała nawiązać bliższy kontakt z życiem i warunkami panującymi na Murrane, zanim wydarzy się coś bardziej znaczącego.

I potem, jakby od niechcenia, rzucił kolejną bombę. - Gdyby jednak jakimś przypadkiem trafiła pani na Murrane, panno Martin - powiedział - radzę pani się zastanowić, nim zdecyduje się pani wybrać do miasta zwanego Rillan, a szczególnie nim pani złoży wizytę doktorowi Jamesowi Ballowi, który tam mieszka. Bowiem, choć przykro mi to mówić, obawiam się, że cokolwiek z panią zrobiono, musiał to przeprowadzić albo on, albo ktoś pod jego kierownictwem.

IX

Oboje zaczęli wypytywać Hynkera o Jamesa Balla, ale on odmówił odpowiedzi. - Nie widziałem go od lat - oświadczył. - Większość swoich prac przeprowadził na Murrane.

- On jest Murrańczykiem? - spytał Peter.

- Zależy, co pan przez to rozumie. Pracuje tam z własnego wyboru, nad tym, co sam nazywa fundamentalnymi zagadnieniami psychiatrii. Usunięcie pani wspomnień osobistych może być jego dziełem, panno Martin. Cała reszta jest dość niezdarna, jak na jego umiejętności. Kiedyś miałbym wątpliwości, czy wystąpiłby przeciwko Ziemi, ale teraz... on mieszka już na Murrane od jakiegoś czasu. Jeśli państwo chcą dalszych informacji o doktorze Ballu, nie ja jestem tu właściwą osobą. Jego córka, jak mi się zdaje, mieszka tu, w Nowym Jorku. Proszę pójść do niej.

Tak więc Muriel i Peter znowu znaleźli się na ulicy. Peter chciał porozmawiać o tym, o czym mówił Hyneker, ale Muriel dała mu do zrozumienia, że nie chce tego. Znosił to do czasu, gdy znaleźli się o jedną przecznicę od adresu, który podał im lekarz. Wówczas chwycił Muriel za ramię i zatrzymał ją.

- Spróbujemy się nad tym zastanowić, Muriel - powiedział. - Jeśli to właśnie dr Ball przeprowadził zabieg na twoim mózgu...

- Myślę, że to on - powiedziała w zamyśleniu. - Pamiętam Rillan. Jestem pewna, że tam byłam. Ale cóż szkodzi pójść do jego córki? Przecież w żaden sposób nie może być w kontakcie z Murrane.

- To jedna z rzeczy, co do której musimy upewnić się najpierw. Poczekaj tu, a ja zadzwonię do departamentu.

Zniknął w drzwiach drugstore'u. Nie było go zaledwie kilka minut. Wrócił z zamyśloną twarzą.

- Departament powiada, że obserwują ją już od dłuższego czasu. Przebywała w ziemskiej szkole, gdy wybuchła wojna; na Murrane nie ma, oczywiście żadnych porządniejszych szkół i Barbara przebywała tam tylko przez rok, kiedy miała czternaście lat. Resztę swego życia spędziła na Ziemi. Od wybuchu wojny starała się poruszyć niebo i ziemię, aby dostać się do departamentu bezpieczeństwa jako agentka skierowana na Murrane. Nic przeciwko niej nie mają, ale odmawiano jej regularnie: najpierw, ponieważ była zbyt młoda, potem zaś, ponieważ zapewne bardziej jej zależy na połączeniu się z ojcem niż na pracy dla Ziemi.

Jednak - mówił dalej Peter - wygląda na to, że Ball ma jeszcze jedną córkę, Lornę, która mieszka razem z nim w Rillan. Co o tym sądzisz?

- A powinnam coś sądzić? - spytała zdumiona.

Peter nie przeciągał tego tematu. - No dobrze, chodźmy więc do Barbary.

Barbara Ball miała lat dziewiętnaście, była drobnej budowy, o cerze raczej śniadej. Za ładną mógłby ją uznać tylko ten, kto uparłby się widzieć tylko jej najlepsze strony. Można było jednak nazwać ją atrakcyjną: miała całkiem zgrabną figurę, choć może zbyt szczupłą, oraz ciemne gęste włosy z takim połyskiem, że wiele od niej ładniejszych dziewcząt mogło jej pozazdrościć.

Peter od razu pokazał jej swoją legitymację wiedząc, że Barbara okaże wszelką pomoc oficerowi bezpieczeństwa. I tak się stało. Zaprosiła gości do zadziwiająco zbyt kownego salonu okazując wszelkie oznaki podniecenia.

- Nie chciałbym sprawić pani zawodu, panno Ball - rzekł Peter. - Nie jesteśmy tu w związku z pani podaniem o wysłanie na Murrane. To nie jest w ogóle mój dział. Chcemy pani zadać kilka pytań o pani ojca i siostrę - Lornę.

Była rozczarowana - okazywała to wyraźnie. Chyba jednak uparła się na tę wyprawę na Murrane. Zamrugła oczyma i uśmiechnęła się promiennie, ale Muriel nie dała się zwieść. Pogłaskała współczująco kolano Barbary.

- Szkoda że nie możemy się zamienić, Barbaro - rzekła. - Ty chcesz polecieć na Murrane, a mnie do tego zmuszają, choć ja tego nie chcę.

- Ostrożnie, Muriel - odezwał się cicho Peter. - Nie, panno Ball, nie o to chodzi, że pani nie ufamy. Ale za tym wszystkim może kryć się coś bardzo ważnego...

Zadał kilka pytań na temat doktora Balla i Lorny. Z odpowiedzi wynikało, że lekarz miał około pięćdziesiątki, a w swoim zawodzie pracował już kilka lat, zanim usłyszał o psychoelektronice. Zajął się tą dziedziną od samego początku i wkrótce, wraz z Hynekerem, stał się w niej czołowym autorytetem. Udał się na Murrane, bo, jak powiadał, na Ziemi nie widać poszczególnych drzew w lesie. Środowisko pacjenta lekarza psychiatry jest tu tak skomplikowane, że nigdy nie potrafił dostrzec wpływu poszczególnych jego elementów. Natomiast w kolonii życie jest stosunkowo proste, toteż można tam wyśledzić i wyleczyć zjawiska, które na Ziemi jedynie się łagodzą. Założył tam własną szkołę, w której prowadził eksperymenty i uczył następnych psychoelektroników.

- Widzę, że dobrze pani zna przeszłość ojca, panno Ball - rzekł Peter.

Potrząsnęła niecierpliwie głową. - Jestem zakałą rodziny - powiedziała.

Lorna również była w szkole w Nowym Jorku, ale pięć lat temu, gdy Barbara miała czternaście lat, Lorna wróciła na Murrane. Barbarę pozostawiono pod formalną opieką ciotki, czyli faktycznie samej sobie.

- Ojciec uważa, że od wczesnych lat należy radzić sobie samemu - powiedziała.

Lorna była niezwykle zdolna. W szkole i na uczelni miała bardzo dobre wyniki we wszystkich przedmiotach i odmawiała podjęcia specjalizacji. Liznęła tyle psychoelektroniki, by móc dobrze się

orientować w tej dziedzinie, ale jedynie od strony psychologicznej. Trzymała się z dala od medycyny i skoncentrowała się na chemii.

Peter przerwał Barbarze, gdy była w połowie opisu wyglądu Lorny.

- Ma pani jej zdjęcie? - zapytał.

- Lorny? Oczywiście, stoi na stoliku obok pana.

Peter uważnie przyjrzał się fotografii. Jej widok był dla niego szokiem, z dwóch powodów. Podał zdjęcie Muriel, która spojrzała na nie pobieżnie i odstawiła na stolik.

Najwyraźniej to, co przyszło do głowy Peterowi, całkowicie umknęło Muriel.

- Panno Ball - odezwał się powoli. - Powiedzmy, że na Murrane z jakiegoś powodu zmieniono Lornę fizycznie do tego stopnia, że stałaby się zupełnie kimś innym - tak że wygląd zewnętrzny niczego by tu nie dowodził. Powiedzmy, że usunięto by jej wszystkie wspomnienia osobiste, tak że nie wiedziałyby o niczym, co się kiedykolwiek z nią działo, nie poznawałyby nikogo z dawnych znajomych. Powiedzmy również, że jej wiedza ogólna, pamięć, która nie miała nic wspólnego z Lorną Ball osobiście, została bardzo ostrożnie oddzielona i tylko lekko przykryta. Zakładając to wszystko, jak by pani poznała, że obecna tu Muriel nie jest pani siostrą Lorną?

Muriel nie zdawała się przejęta możliwością, którą w taki sposób przedstawił Peter.

Barbara jednak wzdrygnęła się, pobladła i wytrzeszczyła oczy na Petera.

- Ona nie może być... - wyszeptwała. - Lorna to żadna piękność. A ona...

Zaniepokoiły ją te same dwie rzeczy, które Peter dostrzegł na zdjęciu. Lorna nie była brzydka, ale można ją było nazwać co najwyżej przystojną. Ktoś mógłby powiedzieć, że wygląda inteligentnie, co było prawdą, i w ten sposób w ogóle uniknęłoby się odpowiedzi na pytanie, czy jest ładna, czy nie.

Druga sprawa polegała na tym, że Lorna i Muriel różniły się tak wyraźnie, nawet pomijając urodę, że nikt nie starałby się doszukiwać w nich podobieństwa. To tak, jakby ktoś porównywał jabłko i pomarańczę. Nawet bardziej podobne do siebie dziewczyny uznano by za zupełnie różne osoby.

Barbara, choć nazywała siebie zakałą rodziny, na pewno nie była głupia. W ogóle wydawało się, że jej talenty są właśnie oparte na wyobraźni. Była artystką zrodzoną w uczonej: miała z pewnością intelekt, ale zamiast chłodnej kalkulacji, był to wyraźny talent. Na fortepianie leżał zbiór sonet Beethovena, akwarele na ścianach wyszły zapewne spod jej pędzla, Peter zaś nie zdziwiłby się, gdyby mu powiedziano, że również jest powieściopisarką.

Barbara szybko pokonała zwykłe trudności w oswojeniu się z tym odkryciem i zaczęła rozważać problem na serio.

Zadawała Muriel pytania na tematy znane Lornie i najwyraźniej dorzuciła kilka innych, dotyczących spraw, których jej siostra nie znała. Wkrótce, gdy jej własne wiadomości przestały wystarczać, wspomagała się encyklopedią. Muriel często nie była pewna odpowiedzi, zwykle wahała się. Czasem Barbara pomagała jej, podając część odpowiedzi, by przekonać się, czy Muriel potrafi ją uzupełnić. Zazwyczaj potrafiła.

Rzecz jasna, Barbara co jakiś czas próbowała innych wspomnień - ludzi, których Lorną znała, rzeczy, które zrobiła, miejsca, które odwiedziła. Czasem udawało się coś uzyskać w przypadku odwiedzanych miejsc, ale w pozostałych dwóch dziedzinach - nic.

- Czy masz bliznę na lewym udzie? - spytała Barbara.

- Chyba nie.

- Nie pozostawiono by takich śladów - wtrącił Peter. - Wszystkie pozostałe zmiany nie miałyby sensu, skoro Lornę ktoś mógłby zidentyfikować na podstawie zwykłej blizny.

Tym niemniej Muriel opuściła pończochę i Barbara przyjrzała się uważnie jej skórze. Dostrzegła bardzo niewyraźne zmiany, które mogły być pozostałością po bliznie.

- Nie ułatwili nam pracy, co? - odezwała się Muriel, rozbawiona. Nadal była o wiele mniej przejęta całą sprawą niż Peter i Barbara.

- Nie zależy ci na tym? - spytała Barbara.

- Oczywiście, że zależy, ale... w końcu muszę być k i m ś. A to, k i m jestem, nie ma w końcu tak wielkiego znaczenia - chyba mnie rozumiesz. Jeśli jestem Lorną Ball, to dobrze. Jeśli nie - serce mi nie pęknie.

Barbara obejrzała zęby Muriel. Brakowało jednego z tyłu, o czym Barbara nie wiedziała.

- Może było w nim coś niezwykłego - zasugerował Peter.

- Było - odparła Barbara z wyraźnym podnieceniem. - To jedyny ząb, który miał plombę. Albo Lorna usunęła go w ciągu tych pięciu lat, albo oni to zrobili, bo można ją było w ten sposób zidentyfikować na podstawie zdjęć rentgenowskich zębów.

- Więc jesteś przekonana, że Lorna to ja?

- Nie, nie jestem przekonana. Ktokolwiek to zrobił, tak to załatwił, że nie można mieć pewności. Nie ma tu nic rozstrzygającego. Nie wiesz wielu rzeczy, które Lorna z pewnością wiedziała. I wiesz to, czym Lorna się nie zajmowała, przynajmniej wedle moich wiadomości. Mimo wszystko jednak uważam, że jesteś moją siostrą.

- Nawet gdybym chciała - powiedziała powoli Muriel - nie mogłabym udać się na Murrane.

- Może byś i mogła - powiedział cicho Peter obserwując ją uważnie.

- Jak?

- Poprzez departament bezpieczeństwa. Tą drogą, którą próbowała dostać się tam Barbara.

Muriel spojrzała na Barbarę. - Jeśli jej nie chcą puścić, to mnie puszczą?

Na to pytanie odpowiedziała Barbara. - Jeśli jesteś Lorną - rzekła - pozwolą ci polecieć. Ziemscy agenci muszą znać Murrane i być w stanie zachowywać się jak Murrańcy. Departament bezpieczeństwa uważa, że ja nie potrafię. Sprawdzali mnie dwukrotnie. Jestem cicha, marzycielska i zrównoważona, a powinnam być lekkomyślna, popędliwa i otwarta albo przynajmniej umieć to naśladować. - Zmarszczyła brwi, po czym przyznała uczciwie: - Chyba nie potrafię tego. Ale ty jesteś inna. Spróbuj i zobaczysz.

Muriel w milczeniu stoczyła ze sobą ostrą walkę. Mogła być całkowicie szczęśliwa w niepewności, kim jest naprawdę - a lot na Murrane w roli szpiega nie należał do bezpiecznych. Tak właśnie o tym myślała - niebezpieczne. Była zupełnie przekonana, że wśród Murrańczyków może uchodzić za jedną z nich, że potrafi to zrobić.

Ale po co?

Po co podejmować takie ryzyko, gdy to wszystko nie ma znaczenia? Właściwie nie obchodziło jej za bardzo to, co jej zrobiono. Nie pożyła zemsty. I wciąż jeszcze wewnętrznie dygotała na samą myśl o udaniu się na Murrane.

Ale najważniejsze okazało się jedno: chciała wiedzieć więcej. A to był sposób, żeby się dowiedzieć.

- Peter - rzekła nagle - czy jestem wolna? Czy mi ufasz? Czy muszę lecieć na Murrane?

Peter wziął jej dłoń i uściskał z uczuciem.

- Weźmy po kolei twoje pytania, kochanie - rzekł. - Czy jesteś wolna? Oczywiście. Zawsze byłaś. Może departament powinien być tak twardy, jak o nim mówią, i zabijać na podstawie podejrzeń. Ale nie jest. Może i dlatego przegrywamy tę wojnę. Departament uznaje, że wątpliwości przemawiają na korzyść podejrzanego, a sama wiesz, że w tej sprawie jest tyle wątpliwości, iż departament nawet cię nie może tknąć. Czy ci ufam? To nie takie proste. Zaufanie musi być obustronne. Jeśli ty mi ufasz, to zapewne znasz już odpowiedź na to pytanie.

Muriel gorąco odwzajemniła uścisk. - To mi się podoba - rzekła. - Zawsze wiedziałam, że jesteś porządnym człowiekiem, Peter, nawet gdy udawałeś opryszka z powieści kryminalnej. Tylko dobry człowiek mógłby powiedzieć coś podobnego. Ale nie odpowiedziałeś na moje ostatnie pytanie.

- Czy musisz lecieć na Murrane? Nie, nie odpowiedziałem. Ale tylko ty możesz to zrobić.

- Powodzenia, Muriel - rzekł Peter. - I... wróć, proszę cię.

Już kiedyś Muriel pozwoliła mu się pocałować, ale tym razem to ona przejęła inicjatywę. Potem wysiadła ze śmigłowca i ruszyła w stronę odległej poświaty miasta.

Odrobinę kręciło się jej w głowie. Celowo teraz starała się nie myśleć o swoim strachu przed wyprawą na Murrane i o tym, że już się na niej znajduje. Istniało również niebezpieczeństwo, które towarzyszyć jej będzie przez cały czas pobytu na tej planecie - że zostanie rozpoznana jako szpieg z Ziemi. I dziwna rzecz, te dwie obawy zdawały się znosić nawzajem.

Statek, który ją tu przywiózł, pozostanie w pobliżu. Nie wiedziała gdzie - nie poinformowano jej o tym z obawy, że może zostać wykryta i przesłuchiwana. Na jego pokładzie znajdowali się Peter i Barbara i co trzy dni Peter miał lądować śmigłowcem w tym samym miejscu, by dowiedzieć się, czy Muriel chce już wracać albo ma coś do przekazania.

Statkowi nie groziło wykrycie. Pojedynczą jednostkę rzadko można dostrzec w Kosmosie, chyba że porusza się bardzo szybko. Prawie wszystkie urządzenia do wykrywania statków kosmicznych oparte były na zasadzie wzrostu masy wraz z wzrastającą prędkością. Im szybciej leciał statek, tym więcej szans miał na przedostanie się przez czyhającą nań flotę - i tym większa była możliwość jego wykrycia. Jeśli zaś leciał wolniej, trudniej go było dostrzec, ale gdyby został wykryty radarem, byłoby już po nim: nie miał dostatecznego przyspieszenia.

Nie, droga ucieczki dla Muriel była bezpieczna; jedyna groźba leżała w samej planecie.

Rozpoczynała się właśnie długa noc murrańska; śmigłowiec wysadził ją w połowie drogi między Felter i Ederton. Odpowiedzi na jej pytania czekały ją zapewne w Rillanie, dwieście kilometrów na południe, ale nie odważyła się udać tam od razu. Nie mogła nawet mieć pewności, czy dowolny mieszkaniec Rillan nie rozpoznałby jej natychmiast.

Idąc zamyśliła się nad tym, jaki ten świat wokół jest jej znajomy. Przeszła zwykle przeszkolenie agenta ziemskiego udającego na Murrane, ale to nie dzięki niemu unikała zetknięcia się ze zwisającymi gałęziami murrańskich sosen. Nie, bez wątpienia знаła już przedtem Murrane. Stało się to oczywiste w czasie jej przeszkolenia.

Była prawie pewna, że nie powiedziano jej wtedy nic na temat zachowania się murrańskich sosen w nocy. Planeta Murrane była kiedyś cieplejsza; wiele jej roślin cały czas swej egzystencji poświęcało na poszukiwanie źródeł ciepła, jakiegokolwiek by one nie były. Każde zwierzę czy człowiek, który zetknąłby się szczególnie z sosną, narażał się na pochwylenie i przytrzymanie - jeśli nie był dość silny i zwinny, by się wyrwać - dopóki sosna nie wysączy zeń ostatniej kalorii ciepła. Gdyby miał w sobie dość żywotności, może dotrwałby do ranka, ale było to wysoce nieprawdopodobne. Szczególnie jeśli ranek następował po trzydziestu ośmiu godzinach.

Szła po ubitym śniegu, przywykając do otoczenia. Trzy księżycy Murrane, wszystkie w tej chwili na niebie, dawały mniej więcej tyle światła, ile ziemski Księżyc w pełni.

Muriel miała na sobie czarny kombinezon śniegowy, prosty, ale zgrabnie skrojony. Okrywał wszystko poza twarzą, dłońmi i stopami. Na tych ostatnich znajdowały się futrzane buty; dłonie oraz rękawy kombinezonu ukryte były w długich rękawicach. Pod kombinezonem miała podobnego kroju, ale biały skafander, a jeszcze pod nim cienki sweter i spodnie. To wszystko mogła zdjąć, gdy trafi pod dach. Na samym spodnie miała ubranie do noszenia wewnątrz budynku - elastyczne spodnie i sweter. Jeśli na Murrane ktoś popełniał grzech nieczystości, to na pewno nie dlatego, że za dużo się napatrzył.

Zatrzymała się, gdy usłyszała z tyłu wołanie. Nie przestraszyła się; była raczej zadowolona, że pierwsze spotkanie z Murrańczykiem odbędzie się właśnie w taki sposób: sam na sam, na otwartym terenie, w nocy. Kobiety na Murrane nie miały się czego obawiać w takiej sytuacji: kary za wszelkie przestępstwa seksualne były tu zbyt surowe.

Nie widziała ani trochę lepiej owego człowieka, który podszedł do niej, niż mógłby ją zobaczyć: kilkanaście centymetrów kwadratowych twarzy ponad potężną sylwetkę.

- Och, dziewczyna! - wykrzyknął tamten nieco zdziwiony. - Coś późno się pani wybrała w drogę, nie?

Widać już było pewne różnice fizyczne pomiędzy Ziemią i Murrańczykami; wkrótce pojawi się wyraźny obcy akcent, potem zaś dialekt. Między ziemią i Murrane nie utrzymywano oczywiście łączności radiowej, ani nic nie wskazywało, że zostanie ona kiedykolwiek przywrócona. Każda zmiana wymowy była więc następną różnicą.

- Owszem, wybrałam się później, niż zamierzałam - odparła Muriel, starając się naśladować akcent tamtego. - Zdawało mi się, że już od godziny powinnam być w Felter.

Ruszyli dalej razem.

- Szuka pani pracy? - spytał Murrańczyk.

Wywiad ziemski, choć nienajlepszy, potrafił jednak swoim agentom zapewnić solidną tożsamość i zajęcie. - Tak - odrzekła Muriel - w fabryce potrzebują chemików.

- Skąd pani jest?

- Z Rillan.

- I wyprowadziła się pani z Rillan dla takiej dziury?

- W Rillan wszyscy się teraz zajmują psychiatrią i biologią. A to miasto wygląda, na raj dla chemików.

- Sprytna pani jest - odparł Murrańczyk po zastanowieniu. - Jak się pani nazywa?

- Thelma Bittner - Muriel podała mu swoje trzecie już z kolei nazwisko.

- Miło mi panią poznać. Ja się nazywam Bill Seuter. Ale zaraz - ja przecież pracowałem w Rillan. Dalej stoi tam na placu ten stary statek?

Odwróciwszy głowę Muriel wytrzeszczyła na niego oczy. - Statek? Na placu?

- Jasne, ten zabytek. Co dzień koło niego przechodziłem.

Niewiele pamiętała z Rillanu, ale podczas tej krótkiej wymiany zdań przed jej oczyma przesunęło się kilka niezbyt wyraźnych obrazów. Wystarczyło jednak, by mogła odpowiedzieć:

- Nie mógł pan tego widzieć w Rillan. Niech się pan nie obrazi... ale zdaje się, że wziął mnie pan za szpiega z Ziemi?

Seuter roześmiał się. - Sprawdzamy wszystkich, którzy gdzieś się pojawiają. To wystarczy. Nie popełniamy zbyt wielu błędów.

- My?

- Pracuję w kontrwywiadzie.

- Ach, tak. I sprawdzacie również tych, którzy jeszcze nie dotarli do miejsca przeznaczenia?

- Czasami. Ja nie działam według żadnego ustalonego schematu postępowania - odparł Seuter zadowolony z siebie - ale niewiele umyka mojej uwadze. Pani o nic nie podejrzewam. Kiedy znajdziemy się gdzieś, gdzie jest cieplej, proszę mi przypomnieć, a dam pani przepustkę do Felter.

Departament bezpieczeństwa nic nie wiedział o przepustkach.

- Dziękuję - rzekła Muriel. - Ale zaraz... na jakiej podstawie pan mnie nie podejrzewa? Tylko dlatego, że wiedziałam, iż na placu w Rillanie nie ma żadnego statku?

- Gdzie tam - odparł Seuter, wciąż zadowolony. - Jest taka sprawa: Ziemia i Murrane oddalają się od siebie z każdą chwilą. Nie muszę robić z panią testów laboratoryjnych, nawet gdybym wiedział jak. Wystarczy pięć minut rozmowy.

I miałby słuszność, pomyślała Muriel, gdyby nie ktoś taki, jak ona która w istocie kiedyś przebywała na Murrane.

- Wielu pan znajduje? - spatała.

- Troje na miesiąc. Często wychodzę na drogę i zaczepiam ludzi - tak jak panią.

Dotarli już do miasta. Ulice były wolne od śniegu; Murrane dysponowała wyłącznie energią elektryczną, ale za to w dowolnych ilościach. Właśnie dlatego, że dostępna była jedynie energia elektryczna, ludzie tak często wędrowali od miasta do miasta na piechotę. Napęd elektryczny nie nadawał się za dobrze do ciężkich pojazdów, jakie były konieczne, aby przebić się przez zasy i lód. Zamiast tego ciągle rozwijano sieć kolei elektrycznej. Muriel nie potrzebowała wyjaśnić, że dojechała pociągiem z Rillan do Ederton, a stamtąd udawała się piechotą do Felter; to się rozumiało samo przez się.

Seuter wydał jej przepustkę, pożegnał skinieniem dłoni i powrócił do patrolowania drogi. Muriel spojrzała za nim w zamyśleniu. Przez niego w ciągu najbliższego miesiąca troje Ziemiaków zostanie rozpoznanych i rozstrzelanych. Ale on tylko wykonywał swoją pracę i to z powodzeniem. Polubiła go. Czasem widzi się kogoś tylko przez kilka minut, zamienia z nim parę słów, po czym żegna się, ale ma się takie uczucie, jakby zyskała się przyjaciela. I tak właśnie było z Seuterem.

Desperacko chwytała się nadziei, że znajdzie to, czego szuka, i że stanie się to końcem owej bezsensownej wojny. Z pewnością, jeśli koniec nadejdzie prędko, Ziemia będzie miała dość rozsądku, by nie popełnić drugi raz tych samych błędów, jakie by one nie były, zaś Murrane dwa razy zastanowi się, nim rozpocznie walkę o wolność, której przecież nigdy jej nie odmówiono.

Nagle uświadomiła sobie, że od czasu, gdy postawiła stopę na Murrane, ani razu nie odczuła strachu.

XI

Dostała pracę. Na Murrane, jak dotąd, nie wprowadzono systemu sprawdzania kwalifikacji i opinii służbowych. Dawano komuś pracę, a jeśli wykonywał ją dobrze, zostawał na etacie.

W ciągu pierwszych kilku dni dostrzegła, jak łatwo komuś, kto zna Murrane, udawać Murrańczyka, zaś dla kogoś, kto nie zna planety, jest to całkowicie niemożliwe.

Różnice fizyczne były bez znaczenia - zupełnie bez znaczenia. Ważne było jedynie, czy ktoś jest Murrańczykiem, czy nie. Ziemia zasypywała Murrane agentami, którzy stąd nie pochodzili, toteż rzucali się w oczy jak czarne owce. Jednego z nich Muriel miała okazję widzieć. Nie mogła nic dla niego zrobić. Było oczywiste, że na jakiś czas pozostawiono go na swobodzie, oczywiście pod skrupulatną obserwacją, by sprawdzić, co będzie robił.

Jak mógł departament bezpieczeństwa w ogóle porywać się na szkolenie agentów? Potrzebna była nie tyle odpowiednia wiedza, ale odpowiednia postawa. Tego nie można nauczyć się w Nowym Jorku.

Po raz drugi spotkała Seutera kilka dni później, w fabryce. Przyszedł tu w celu sprawdzenia paru nowych chemików.

- No, no - powiedział, gdy ją ujrzał. - Gdybym wtedy mógł lepiej się pani przyjrzeć, tak szybko bym pani nie puścił!

- I mnie się tak wydawało - przyznała szczerze. - Zwykle mam większe powodzenie.

- Dlaczego jeszcze nie jest pani mężatką? - spytał wprost.

- Bo jestem chemiczką. W chemii nie ma romantyzmu.

- Jest taka jedna chemiczką, na którą bym polecał.

Uniosła ręce w proteście. - Nie - powiedziała - tylko nie mąż w kontrwywiadzie. Ktoś pana kiedyś zastrzelił. Nie mam zamiaru wyjść za kogoś, kto ma być zastrzelony.

Ale tu pojawił się problem. Na pograniczu zawsze jest więcej mężczyzn niż kobiet. Murranki bez wyjątku bardzo szybko wychodziły za mąż. Dwudziestopięcioletnia zdrowa, ładna dziewczyna, która nie ma męża, zawsze będzie zagadką dla wszystkich na Murrane. Muriel musi więc szybko wykonać swoje zadanie, nim ktoś się tak zdziwi, że zacznie mieć podejrzenia.

Wiedziała, że Peter ląduje co trzy dni w swej niewielkiej skorupce śmigłowca, w umówionym miejscu, by zabrać ją, gdy wypełni zadanie.

Wypełni! Nawet się do niego jeszcze nie zabrała.

Opierając się na założeniu, że szukana przez nią tajemnica była natury psychiatrycznej lub antropologicznej, przyglądała się otaczającym ją Murrańczykom nie pojedynczo, ale w masie. Nic się jej nie nasuwało. Różnili się, oczywiście, od Ziemiaków, ale wszystkie dostrzegane różnice albo już poznała na Ziemi, albo się ich domyśliła.

Byli więc nastawieni agresywnie-obronnie, jak kiedyś powiedział Peter. Chełpili się tym, że są o wiele lepsi od Ziemiaków, a w głębi duszy byli przekonani o czymś zupełnie przeciwnym. Mężczyźni

odznaczali się brawurą, męstwem i pogardą dla życia. Kobietom jednak nie pozwolono na okazywanie męstwa; były zbyt cenne jako matki Murrańczyków, których mogły urodzić. Ogólnie Murrańczyków cechowała niższa inteligencja niż Ziemi, większa skłonność do ryzyka, większa kłótniwość, niedojrzałość, szczodropliwość, witalność.

Ale o tym wszystkim wiadano. Co zaś nie było znane?

Nie udało się jej niczego spotkać, co miałoby bezpośredni związek z wojną: członków załóg jednostek bojowych, składów amunicyjnych, baz wojskowych. Zresztą unikała tego wszystkiego starannie. Na pewno śledzenie tego było bardzo niebezpieczne i zajmowali się tym zwykli agenci z Ziemi, z niewielkim lub żadnym powodzeniem, jak zwykle.

Poza tym była prawie pewna, że to, czego szukała, nie mieści się w sferze informacji natury wojskowej.

O wojnie rozmawiała tylko wtedy, gdy temat ten podejmowali inni. Stosunek do konfliktu był przeważnie taki, jakiego się spodziewała: jej współtowarzysze pracy niezbyt dobrze się orientowali, co się dzieje i dlaczego; tym niemniej, uczuciowo zawsze byli za wojną z Ziemią. Dla większości sprawa była jasna: Murrane dawała szkołę Ziemi. Pokazywano Ziemi, że Murrańczykami nie można pomiatać. Przeważnie wiedzieli, że za tym kryło się jeszcze coś więcej. Ale to była wyższa polityka, a więc nie ich sprawa.

Po dwóch tygodniach udawania zwykłej murrańskiej chemiczki Muriel zdecydowała, że musi zaryzykować odwiedzenie Rillanu. Dr Hyneker miał prawdopodobnie rację. Tajemnica znajduje się tam. Z pewnością nie było jej w Felter. Nic tu nie zobaczyła, co warto byłoby choćby pobieżnego zbadania.

Powiedziała Seuterowi, że wraca do Rillanu po parę rzeczy.

- A więc zdecydowałaś się zostać w Felter? - powiedział. - Znakomicie. Wciąż mam nadzieję, że zmienisz swoje nastawienie do pracowników kontrwywiadu.

- No to miej tę swoją nadzieję - rzekła Muriel tonem zachęty. - Nie poznałam jeszcze zbyt wielu. I może jeszcze upłynie dużo czasu, nim cię zastrzelą.

XII

Muriel zdawała sobie doskonale sprawę, że będzie to niebezpieczne. Tym niemniej zamiast bawić się w ostrożność, poszła prosto na Trzecią Ulicę pod numer 17, zadzwoniła do drzwi i spytała kobietę, która otworzyła, czy mieszka tu doktor James Ball.

- Już nie - odrzekła kobieta, nie okazując podejrzliwości. - Nie wiem, dokąd się przeniósł.

- A zna pani kogoś, kto by wiedział?

Kobieta zastanowiła się chwilę. - Może Joe Cruickshank, pod czternastym - rzekła. - On był przyjacielem doktora.

Muriel podziękowała jej i przeszła przez ulicę do domu nr 14.

Joe Cruickshank był starszawym mężczyzną z gęstymi czarnymi brwiami. Kiedy Muriel wspomniała o doktorze Ballu, zmarszczył je silnie, niemal kryjąc oczy.

- Pani jest jego znajomą? - spytał ostro. - Albo może jego córek? Mimo tych oznak nieufności Muriel pomyślała, że najlepszą odpowiedzią będzie "tak".

- Chce pani wiedzieć, co się z nim stało?

- I z Lorną.

Zawahał się; potem rzucił krótko: - Niech pani idzie - i ruszył w głąb domu nie oglądając się, czy Muriel podąża za nim.

W salonie, do którego ją wprowadził, nie było nic zbytkowego, ale w prosty sposób był to pokój bardzo wygodny. W jedną ścianę wbudowano elektryczny kominek; poza tym salon wyglądał jak żywcem wyjęty z dworku wiejskiego na Ziemi anno circa 1880. Cruickshank usiadł ciężko w bujanym fotelu i gestem wskazał dziewczynie fotel po drugiej stronie kominka.

- Kim pani, jest? - zażądał wyjaśnień.

Muriel nie chciała podawać mu żadnego z trzech dotychczas używanych nazwisk. Wciąż jeszcze nie było zupełnie pewne, czy jest Lorną Ball, a zresztą i tak przecież nie mogła przedstawić się w ten sposób. O ile zaś teoria, którą sprawdzała, była słuszna, nazwisko "Muriel Martin" otrzymała na Murrane, zapewne w Rillan, toteż tego również nie mogła wyjawiać. A choć "Thelma Bittner" udała się do Rillan całkowicie oficjalnie, Muriel wołała nie wiązać tego pseudonimu z zainteresowaniem Jamesem i Lorną Ball.

Podawała więc czwarte nazwisko oraz kilka drobnych szczegółów, które miały zaspokoić podejrzliwość Cruickshanka. Mogła wiele powiedzieć o Lornie, by udowodnić, iż rzeczywiście jest jej dobrą znajomą.

- I nic pani nie wie o tym, co się z nimi stało? - spytał Cruickshank.

- Nic.

- Podobnie jak wszyscy inni - rzucił Cruickshank z goryczą, wyraźnie postanowiwszy jej zaufać.

- Sądzę, że oboje nie żyją.

- Nie żyją! Dlaczego?

- Kiedy zaczęła się wojna, Jim odmówił wstąpienia do kontrwywiadu. Nie chciał mieć z nim nic wspólnego, podobnie jak z wojną. No, sama pani wie, co Jim Ball zrobił dla Murrane. Kontrwywiad może i chciałby go rozstrzelać albo uwięzić, ale większość z nas ma odmienne zdanie w tej sprawie. I nie odważyli się go tknąć. Pracował jak dawniej, choć zarówno on jak i Lorna musieli stawiać się w kontrwywiadzie co drugi dzień. Nie wolno im było ani pisać, ani otrzymywać listów.

- To dlatego nigdy nie otrzymywałam odpowiedzi na moje! - wykrzyknęła domyślnie Muriel.

- Pewnego dnia Jim powiedział do mnie, że zna prawdziwy powód tej wojny...

- Czy powiedział jaki?

- Gdyby to zrobił, nie byłoby mnie tu teraz. Później kontrwywiad naszpikował mnie narkotykami i puścił dopiero, gdy się upewnił, że naprawdę nic nie wiem. W każdym razie, następnego dnia po tym wyznaniu Jim zniknął. Podobnie jak Lorna.

Oddychał ciężko. - Zebraliśmy się w parę osób. Może i kontrwywiad śledzi nas i mówi, co mamy robić, ale Murrane to nie tylko kontrwywiad. Nie baliśmy się ich. Poszliśmy do ich biura, całą gromadą, gotowi roznieść cały budynek w puch. Ale zbyli nas jakąś opowiadką - powiedzieli, że doktor i Lorna wrócą za dwa tygodnie. Więc wyszliśmy stamtąd.

Cruickshank nie patrzył na Muneł, ale w pomarańczowy blask ognia w kominku. - Tamtej nocy przyszli do mnie i upewnili się, że nic nie wiem. Byli dość grzeczni, więc nie chciałem robić z tego sprawy. Dwa tygodnie później wróciliśmy do nich, by się dowiedzieć, że Jima i jego córkę deportowano na Ziemię. Nie uwierzyliśmy w to; przeszukaliśmy cały budynek, ale nie znaleźliśmy ani śladu żadnego z nich.

Podniósł głos. - Rozstrzelano ich, oto, jaki był powód! Kontrwywiad wiedział, że nie utrzyma ich w więzieniu: wydostalibyśmy ich stamtąd w jednej chwili. Jim Ball nigdy nie był przeciwny Murrane. Wszyscy o tym wiedzieli. Cokolwiek kontrwywiad miałby przeciwko nim, albo by mu się wydawało, że ma, nie wystarczyłoby, żeby postawić ich przed sądem. Nie mógłby ich zatrzymać. Mógł tylko ich zabić i ukryć ciała, tak by nikt nigdy ich nie znalazł. No, ktokolwiek wyrządził krzywdę Jimowi Ballowi albo jego córce, nie był prawdziwym Murrańczykiem i nie dbam o to, kto mógłby teraz usłyszeć moje słowa! Oni byli prawdziwymi przyjaciółmi nas wszystkich!

Obrzucił Muriel wściekłym spojrzeniem, jakby to ona reprezentowała kontrwywiad.

- Może oni powiedzieli prawdę - rzekła Muriel. - Może doktor i jego córka zostali deportowani.

- Czy kontrwywiad oddałby takiego człowieka, jak Jim Ball, za darmo? - parsknął szyderczo Cruickshank. - Nie, oni tego by nie zrobili. Na pewno ich rozstrzelali!

Wydawało się, że Cruickshank nie może powiedzieć jej już nic więcej. Chyba że...

- Jak się zachowywał doktor Ball, kiedy mówił panu, że zna prawdziwy powód tej wojny? - spytała. - Był zadowolony? Smutny? Rozczarowany? Rozbawiony?

- Nic z tych rzeczy. Tylko... zaskoczony. Jakby chciał powiedzieć "Kto by to pomyślał?"

To było coś. Muriel nabrała prawie zupełnego przekonania, że jest Lorną Ball.

Udało się jej wydostać coś jeszcze z Cruickshanka - nazwisko i adres. Był to teraz jej jedyny ślad.

Skoro Cruickshank nie mógł powiedzieć jej nic więcej, jasne było że musi pójść do kogoś, kto mógł to zrobić - czy tego chciał, czy nie. Nie spytała o miejscowego szefa kontrwywiadu czy jego zastępcę. Byli to niewątpliwie ludzie zbyt ważni, a przez to dobrze strzeżeni. Mogli też być zbyt sprytni lub fanatyczni. Więc spytała Cruickshanka o nazwisko kogoś mniej więcej na trzecim szczeblu w hierarchii służbowej. On też musiał znać ów sekret, a Muriel miała szansę dostania się do niego.

Wskazany człowiek nazywał się Edward Voigt, a mieszkał pod numerem 27 przy Siódmej Ulicy.

Wychodząc poradziła Cruickshankowi, że będzie lepiej, jeśli zapomni o tym, iż kiedykolwiek ją widział. Cruickshank nie zainteresował się jednak powodem tego ostrzeżenia, zatopiony w gniewie z powodu tego, co, jego zdaniem, stało się z Jimem i Lorną Ball.

XIII

Wyglądało na to, że dobrze zrobiła wybierając Voigta. Mieszkał w domu nie większym niż Cruickshank; Muriel znajdowała się już w środku, stojąc w drzwiach do kuchni i czekając. Żeby dostać się do wnętrza musiała włamać się przez okno do sypialni, ale zrobiło się już ciemno i była pewna, że nikt jej nie widział.

Dobrze wszystko zaplanowała; żadne dalsze plany nic by nie pomogły. Tej nocy Peter wylądował w okolicy Felter i Muriel musiała wsiąść do pociągu odjeżdżającego za dwie godziny, jeśli nie chciała czekać kolejnych trzech dni. Nie miała zbyt wielkiej nadziei, że uda się jej uzyskać potrzebne informacje przed wejściem na pokład statku, ale chciała skorzystać z tej szansy zdobycia ich - a jeśli jej się nie powiedzie, i tak będzie musiała uciekać z Murrane.

Voigt z pewnością wkrótce nadejdzie. Wszystko wskazywało na to, że mieszka samotnie. Muriel trzymała w dłoni pistolet zaopatrzonego w tłumik. Stała w ciemnościach, czekając na pierwszy dźwięk kogoś wchodzącego do domu.

Zrazu obawiała się, że Voigt zjawi się za wcześnie, bowiem nie mogła wyjechać z Rillanu inaczej, jak owym pociągiem, a czekać nań gdziekolwiek byłoby zbyt niebezpieczne. W miarę jednak, jak czas mijał, przyszło jej do głowy, że Voigt może w ogóle nie wrócić do domu na noc albo też przyjdzie zbyt późno, i nie zdąży zrobić tego, co zamierzała, i jeszcze złapać pociąg.

Twarz miała obwiązana szalem; było prawdopodobne, że Voigt widział ją już przedtem. Gdyby poznał ją od razu, domyśliłby się, że ma przed sobą Muriel Martin, która była kiedyś Lorną Bali. I wiedziałby też wiele innych rzeczy, których ona sama nie знаła. Przeczesała swoją pamięć szukając jakichś informacji o Voigtecie, ale nic nie znalazła. Owa dziwaczna granica w pamięci istniała w dalszym ciągu. Wiele z tego, co zobaczyła w Rillanie, wydało się jej znajome, ale z jakichkolwiek wydarzeń, które tu miały miejsce nie pamiętała nic. Na pewno kiedyś znała Joe Cruickshanka, ale obecnie był dla niej tak samo obcy, jak ona dla niego.

Nareszcie w zamku zachrobotał klucz. Muriel spięła się wewnątrz. W ciągu najbliższych kilku minut rozstrzygnie się: sukces albo porażka - a może także, zupełnie niezależnie: życie albo śmierć. Jednak nie żałowała, że wybrała tę drogę. W końcu stanie twarzą w twarz z człowiekiem, który miał potrzebne jej informacje.

W hallu rozległy się kroki, po czym zapaliło się światło. Muriel wyszła z kuchni, gdy Voigt zamykał drzwi wejściowe. Zobaczył ją od razu.

- Jeśli wydasz choćby najmniejszy dźwięk - odezwą się cicho Muriel - zastrzelę cię.

Voigtowi zaparło dech. Muriel spodziewała się zobaczyć młodego, ambitnego człowieka, przyszłego szefa miejscowego oddziału kontrwywiadu. Jednak ujrzała człowieka starego, który najwyraźniej osiągnął już w hierarchii wszystko, co mógł osiągnąć. Ucieszyła się; sprawa przedstawiała się dużo lepiej.

- Czy chcesz żyć, Voigt? - zapytała. - Potrzebuję informacji. Jeśli je dostanę, nikt nie musi wiedzieć, że dostałam je od ciebie. Jeśli zaś nic nie powiesz, zabiję cię i zapytam kogoś innego.

- Jesteś Ziemianką! - wykrzyknął Voigt. Zdjęła szal z twarzy.

- Rozumiesz teraz, dlaczego tu jestem? - spytała cicho. Voigt zbladł. - Muriel Martin - wyszeptał; Muriel wychwyciła jednak w tych słowach nutę indagacji, której nie udało mu się ukryć.

- Lorna Ball - odrzekła spokojnym głosem.

- Ale przecież nie możesz tego wiedzieć! Mówili nam...

- Jak widzisz, wiem jednak. - Starła się powiedzieć jak najmniej, by nie zdradzić, że jej wiedza jest ograniczona. - No więc, Voigt, powiesz mi sam, czy mam strzelać?

Voigt zeszytywniał nagle. - Kończ tę komedię i strzelaj. I tak nie zostawisz mnie przy życiu.

To było niefortunne. Wyglądało na to, że istnieją poważne powody, dla których Voigt zasłużył na śmierć z jej rąk. On je znał, a ona nie. - Z tego, co już wiem, mogłabym właściwie z tobą skończyć - powiedziała. - Cóż to był za ważny powód, dla którego zabiłeś mojego ojca?

- Nie zrobiłem tego! Zgadujesz tylko.

- Mów ciszej - mruknęła ostrzegawczo. Z jego rozpaczliwie wypowiedzianych słów, z jego reakcji na jej widok, z tego, jak powiedział "I tak nie zostawisz mnie przy życiu" wywnioskowała, prawie ponad wszelką wątpliwość, że jej ojciec nie żyje, a faktycznym sprawcą tej zbrodni jest Voigt. Jeśli to prawda, złożyło się fatalnie. Nie pamiętając swojego ojca, nie czuła potrzeby zemsty, ale Voigt nigdy w to nie uwierzy. A wszelkie jej groźby miały niewielką moc, bowiem on i tak był przekonany, że czeka go śmierć.

- Słuchaj - powiedziała. - Daję ci słowo, że jeśli mi powiesz, związę cię tylko nie czyniąc nic złego. Czego dowiedział się mój ojciec?

Voigt był przerażony, a ona zamierzała to wykorzystać. Inny, odważniejszy człowiek zaśmiałyby się jej w twarz i byłaby bezradna.

- Nie wiem - mówił z desperacją. - Nie zrozumiałem tego. To było zbyt skomplikowane.

Muriel potrząsnęła głową. - Skomplikowane rzeczy nie są takie ważne. To jest prosta sprawa. Powiedz mi to w jednym zdaniu.

Poznała z jego twarzy, że może to osiągnąć. Voigta łatwo było rozszyfrować. Zmusiła się do cierpliwości. Ktoś tak zdjęty strachem o swe życie musi w końcu coś powiedzieć.

- Pomyśl tortur niezbyt mi odpowiada - rzekła - ale być może jest to jedyna rzecz, którą potrafisz zrozumieć. Gdybym strzeliła ci dwa czy trzy razy w brzuch, zapewne błagałbyś mnie o skrócenie cierpienia. Czy więc wolisz prośbę o życie, czy też prośbę o śmierć?

Schwycił się oparcia krzesła, by się podtrzymać. - Wypuściliśmy cię - wymamrotał żałośnie.

- Chyba nie spodziewasz się ode mnie wdzięczności. No więc, co to takiego?

- Mutacja - powiedział nie panując już nad sobą. Słowa wypadały mu z jego ust rwane, prawie nie do rozpoznania. - Kiedy już nastąpi mutacja, nie będziemy mogli przejść jej raz jeszcze. Możemy tylko wrócić na Ziemię. Jesteśmy tu uwięzieni, nie możemy poszerzać naszej strefy wpływów, nie możemy...

Dzięki jakiemuś osobliwemu splotowi emocji odzyskał odwagę w chwilę po tym, jak już było za późno. Rzucił się na Muriel, jednocześnie otwierając usta do krzyku. Strzeliła mu w ramię, myśląc, że go to zatrzyma. Zamiast tego rozwścieczył się jeszcze bardziej. Najwidoczniej pomyślał, że już umiera, i rzucił się w przód, by zabrać ze sobą Muriel na tamten świat. Następny strzał był wymierzony w jego nogi, ale ponieważ Voigt pochylił się do jej kolan, niewielki pocisk trafił prosto w czaszkę. Jego ciało upadło jak zmięty garnitur.

Dziwna sprawa, Muriel przerażona. Zdawało się jej, że to nieważne, iż Voigt zabił jej ojca, a zabiłby pewnie i ją, gdyby jej dosięgnął. Mówiła groźnie o strzelaniu w brzuch, ale teraz sama myśl

o tym, że go zabiła, przerażała ją. Schyliła się przy nim na chwilę, w próżnej nadziei, że człowiek, przez którego mózg przeleciał pocisk, może być tylko ogłuszony, nie zaś martwy.

Potem jednak świadomość tego, co Voigt powiedział przed śmiercią, odsunęła z jej myśli wszelkie inne rozważania.

A więc jednak zabieg przeprowadzony na niej przez kontrwywiad niezbyt się udał; od razu bowiem uświadomiła sobie, iż wie, że to, co mówił Voigt, jest prawdą. Jej umysł uzupełnił luki w pamięci tworząc rozwinięte, dalekosiężne wnioski, do których musiała już kiedyś dojść.

Nie trzeba jej było już nic więcej. Zrozumiała. Nie miała dowodów, ale wiedziała, że potrafi je zdobyć.

Zdolność adaptacji owych wyjątkowo łatwo przystosowujących się stworzeń, jakimi były istoty ludzkie, miała jednak swoje granice. Ludzie mogli skolonizować nową planetę i uczynić z niej swój dom, w trakcie zaś tego procesu podlegali zmianom w celu dostosowania się do nowych warunków - niewielkim albo licznym, nie było to ważne. Zawsze tak musiało być, bowiem żadna planeta nigdy nie będzie dokładnie taka sama, jak Ziemia. A przeszedłszy transformację tracili nieco z tych zdolności przemiany. Mogli wrócić - Ziemia zawsze będzie dla nich przystanią - przystanią, z której w końcu mogli wyruszyć ku innym światom, odzyskawszy zdolność adaptacji.

Ale Murrane była więzieniem Murrańczyków. Odcięci od Ziemi, nie mogli oczywiście żyć swobodnie na żadnej innej planecie poza własną. A Murrańczycy, prawie bez wyjątku, składali się z niespokojnych duchów, zawsze nienasyconych, gorącokrwistych pionierów.

Sama myśl o tym ograniczeniu wystarczyłaby Murrańczykowi, by walczył z własnym cieniem, a co dopiero z planetą, która miała klucz do wolności.

Było to właśnie takie proste.

Mając myśli zaprzątęte tym, że zabiła człowieka, o mało nie wpadła przez to na stacji. Nie zauważyła nawet przyglądającego się jej bacznie agenta kontrwywiadu, dopóki ten nie przemówił.

- Dokąd pani jedzie? - zapytał.

Pośpiesznie zebrała myśli. Gdyby ją zdemaskowano, byłaby to tragedia.

- Do Everton, a stamtąd pieszo do Felter - odparła i pogrzebała w kieszeni. Podała tamtemu przepustkę od Seutera.

- Co pani tu robiła?

- Odwiedzałam krewnego.

- Kogo?

Nie mogła podać nazwiska Cruickshanka. Za kilka godzin wszystko się wyda i Joe zostałby rozstrzelany jako zdrajca.

- Eda Voigta - odrzekła śmiało.

- A... aha - na twarzy agenta malowała się ulga. Ale dodał jeszcze jedno pytanie, żeby się upewnić. - Niech mi pani powie: jaki zegar stoi u niego na gzymsie od kominka?

Muriel roześmiała się. - Jego kominek nie ma gzymsu. Na małym stoliku stoi budzik. Chodnik jest zielony, w białe kwadraty. - A Voigt leży na nim, pomyślała. - Zasłony są ciemnozielone, a w jednym rogu...

- W porządku - przerwał agent. - Oto pani pociąg. Od momentu, gdy pociąg dotarł do Everton, Muriel zaczęła odczuwać prawdziwą trwożę, po raz pierwszy od wylądowania na Murrane.

Teraz, kiedy chwila odlotu była tak bliska, cała nerwowość i przestrasz, których nie czuła przedtem, choć mogła, zdawały się gromadzić w jedną napływającą falę grozy. Na zmianę to czuła zimno, to gorąco. Zdawało się jej, że nogi idą własną drogą i już, już ma runąć przed siebie, na śnieg. Nie widziała nikogo na drodze, ale strach jej podpowiadał, że jeśli się obejrzy, zobaczy tuż za sobą rozjuszony tłum.

Kiedy dotarła do umówionego miejsca i czekała, zapomniiała o tym, co wiedziała o murrańskich sosnach i nim w ogóle zwróciła uwagę na badawczy dotyk jednej z gałęzi, już jej ciało, schwyte w pułapkę, zostało przyciśnięte do pnia.

Inne gałęzie przesunęły się powoli w jej kierunku, by uwięzić ją bez możliwości ucieczki; odczuwała już chłód pnia dotykającego jej pleców. Szarpała się dziko z gałęziami, które ciasno obejmowały jej ciało gniotąc zebra. Jedyna droga ucieczki leżała w dole: oparła się obiema rękami o gałąź i odepchnęła w dół, usiłując wydrzeć skafander śniegowy, który został mocno zakleszczony. Bardzo powoli materiał się rozdarł i gałęzie zaszurały po jej piersi.

Ześliznęła się na śnieg mając obie dłonie nadal uwięzione ponad głową; spróbowała zaprzeć się obcasami, by je wyrwać. Śnieg jednak nie dawał punktu zaczepienia.

Odprężyła się całkowicie i po paru długich sekundach gałęzie w górze lekko się rozluźniły. Oczekała chwilę, zbierając siły, po czym nagle rzuciła się w tył odpychając się ramionami i nogami. Ręce wyrwały się z potrzasku.

Muriel podniosła się i stała chwytając ustami powietrze i śmiejąc się bezsilnie, gdy okazało się, że zamiast połamanych zeber, co było prawdopodobne, nie doznała żadnych zadrapań. Wszelkie szkody poniosła jej ciężka odzież.

Jednak miała nadzieję, że Peter się pośpieszy, bo była już całkowicie przemoczona, a mroźne powietrze przedostawało się przez rozdarty skafander. Odrętwienie, jakie czuła w boku, nie było spowodowane raną; to zimne powietrze Murrane wysysało ciepło jej skóry.

Kiedy ciemna sylwetka opadła z nieco mniej ciemnego nieba, osunęła się, zemdlona, na śnieg.

XIV

Muriel obudziła się w łóżku na pokładzie statku - rozgrzana, sucha i z dobrym samopoczuciem - i, bez wątplenia, bezpieczna. Pamiętała jak przez mgłę, że mówiła: - Peter, zabiłam człowieka! - na co zareagował wesoło i nieoczekiwanie: - To i dobrze.

Siedział teraz przy niej na łóżku.

- Chyba nie ty kładłeś mnie do łóżka, co? - wykrzyknęła. Uśmiechnął się i ruchem głowy pokazał na drugą stronę. Muriel obróciła głowę i ujrzała Barbarę, która przyglądała się jej.

- Witaj, Barbaro - rzekła. - A więc jestem twoją siostrą.

- Wiem o tym.

- Doktor Ball... - nie wydawało się jej właściwe mówić o nim inaczej - doktor Bali nie żyje.

Barbara kiwnęła głową. - Spodziewałam się i tego.

- Zabiłam człowieka, który to zrobił, jeśli może to być jakąś pociechą. Nie chciałam tego.

Zapadła cisza; Muriel wiedziała, że czekają, by usłyszeć, czy jej misja zakończyła się powodzeniem czy klęską.

- Tak, mam to, czego szukałam. - rzekła. Opowiedziała im wszystko.

Stwierdziła, że Peter ma trudności ze zrozumieniem. Nie potrafił pojąć całego procesu, jego znaczenia i dlaczego jest on taki ważny. A szczególnie nie rozumiał, w jaki sposób to wszystko, znane tylko kontrwywiadowi Murrane, potrafi zmusić mieszkańców planety do walki z Ziemią.

- Przecież właśnie powinno być dokładnie na odwrót - powiedział. Czyż nie powinni próbować jakoś załagodzić istniejące spory z Ziemią, żeby mogli...

W czasie gdy mówił, Muriel przyglądała się Barbarze. - Ty to rozumiesz, prawda? - spytała.

- Chyba tak - powiedziała powoli Barbara. - To jest tak, Peter. Wyobraź sobie mężczyznę i kobietę idących przez ziemską pustynię. Mężczyzna jest silniejszy - on niesie wodę i zapasy. I po wielu długich, wyczerpujących dniach podróży kobieta myśli: Przypuśćmy, że odejdziesz i zostawi mnie tu, gdy będę spała. Wie, że w takim przypadku umarłaby z pragnienia. Nie odważy się poprosić o to, by mogła nieść trochę wody, bo mężczyzna może odmówić. Mogłaby też w ten sposób podsunąć mu pomysł odejścia. Tak więc, po wielu dniach tego wszystkiego, ona ze strachu zabiera wodę mężczyźnie, gdy on śpi, i dalej idzie sama. Może i zabija go dla pewności. Rozumiesz?

Muriel skinęła głową. - Właśnie tak. Kontrwywiad jest z natury podejrzliwy. Peter, podobnie jak niektórzy ziemscy oficerowie bezpieczeństwa. Kontrwywiad stwierdza, że Murrane zależna jest od Ziemi. Murrańczycy nie mogą sami kolonizować innych planet; nie mogą zrobić niczego oprócz pozostania na swojej niegościnniej, zimnej planecie. Jeśli zaś uzyskaliby możliwość kolonizacji, to jedynie z łaskawym przyzwoleniem Ziemi - a koloniści są najbardziej niezależnymi istotami ludzkimi w Galaktyce. Nie poproszą o nic, póki wiedzą, że mogą wziąć to samemu. Wiedząc to kontrwywiad podjudza kolonistów, którzy są zawsze gotowi do walki, przeciwko Ziemi. Niech to Ziemia pyta o warunki pokoju, a będzie można zażądać choćby i jej kawałka, gdzie Murrańczycy będą mogli...

- Tak, rozumiem - rzekł Peter, wyraźnie już podekscytowany.

- Ale to oznacza...

- W każdym razie koniec wojny. Kontrwywiad zawsze to wiedział. Sądzę, że strzegli tej tajemnicy w nadziei, że dostaną to, czego chcą, zanim nam uda się dowiedzieć, co to takiego. A poza tym...

Peter podskoczył. - Muszę natychmiast porozumieć się z szefostwem departamentu!

I już go nie było.

Muriel uśmiechnęła się krzywo, a Barbara, widząc jej uśmiech, też poweselała. - Niestety, zdaje się, że zupełnie o tobie zapomniał, Lorno - niby to drażniła się z nią. - Znowu wylazł z niego oficer bezpieczeństwa.

- Nie nazywaj mnie Lorną - rzekła Muriel. - Przestałam nią być, kiedy odebrano mi moją pamięć.

- Nigdy nie będziesz mogła jej odzyskać?

- Nie. Możesz mi wszystko opowiedzieć, a ja ci uwierzę. Ale pamiętać będę tylko to, że mi opowiedziałaś, a nie to, co się stało. Przyzwyczyłam się już do tego, że jestem Muriel Martin - i wolałabym nią pozostać.

Po chwili Barbara mruknęła: - Tak się często zdarza z nauką: ludzie czegoś się spodziewają, a tu prawdą okazuje się zupełnie coś innego. Czyż nie spodziewano się, że ewolucja raczej zwiększy zakres zdolności adaptacyjnych, a nie zmniejszy go?

- To prawda... a przecież nie potrafimy wydobywać tlenu z wody płucami, co najprawdopodobniej mogli robić nasi praprzodkowie. Nie, nie to jest w tym wszystkim najważniejsze, Barbaro. Nie widzisz tego? Często wydaje się, że natura pomyślała o tym, co się nam może przydarzyć, na długo przed tym faktem. Kiedy walczymy i zabijamy się nawzajem, zawsze rodzi się więcej dzieci niż kiedykolwiek indziej. A wygląda na to, że przyroda nawet uwzględniła broń atomową: ludzie wystawieni na działanie twardego promieniowania po prostu nie mają dzieci, skoro owe dzieci mogłyby być potworami. Kiedy dzieci się rodzą, to zawsze normalne. Jeśli stwierdzamy w czyichś genach, że dzieci nie byłyby normalne, to i tak nie musimy go sterylizować, bo już jest bezpłodny. Może to okrutne dla pojedynczych osób, ale znakomite dla całej rasy.

Popatrzmy teraz: ludzie sięgają do gwiazd i z konieczności adaptują się do życia w różnych warunkach. Nie ma tu żadnej trudności. Przystosowują się łatwo i logicznie. Ale potem okazuje się, że rasa ludzka będzie zawsze związana ze światem, który ich zrodził. Czyż to nie jest również mądre? Skolonizujemy wiele planet, na których zamieszka wiele narodów, sporo z nich o wiele bardziej różnych od nas niż Murrańczycy. Ale w dalszym ciągu będzie to jedność, a nie grupa jednostek. Poszczególne narody są powiązane - nie ze sobą, ale wszystkie po kolei z Ziemią. To tak, jak szprychy w kole. Nieważne, jakie rozpętają się spory - a spory będą zawsze - natura zawsze utrzyma ludzkość w jedności.

Rozejrzała się dookoła, szukając szlafroka. - Już się czuję dobrze. Chcę wstać.

Obecnie nikogo nie trzymano w łóżku, żeby odpoczywał, skoro chciał być czynny. Nareszcie uznano, że sam pacjent jest najlepszym autorytetem w tym, co jest najlepsze dla niego - albo dla niej. Barbara wyjęła różowy negliz z koronki.

- To będzie bardzo dobre - rzekła - kiedy twój człowiek z bezpieczeństwa ocknie się po jednej dawce emocji i przybiegnie szukać drugiej.

Muriel zaprotestowała, śmiejąc się.

Barbara uśmiechnęła się do niej. - Nie musisz być aż tak skrępowana - powiedziała. - Rozmawiałam z nim na tyle często, że pewna jestem, iż nie ma niebezpieczeństwa, abyś straciła jego szacunek. Jak na oficera bezpieczeństwa on jest całkiem, przyzwoity. Przyduś go, Muriel.

- Mimo to jednak nadal wołałabym bardziej szacowny szlafrok.

Barbara westchnęła i wyjęła inny strój. Muriel podniosła się z łóżka, stojąc pewnie mimo lekkiego szumu w głowie oraz pieczenia w miejscu, gdzie sosny zadrapały ją w żebra. Włożyła na siebie szlafrok, a gdy się obróciła, Barbary już nie było.

Przypuśćmy, pomyślała rozbawiona, że po tym wszystkim nie zechcę Petera? Wszyscy tak wiele zakładają z góry. Jednak ona naprawdę nie myślała o zamążpójściu, dopóki nie poczuje większej stabilizacji w swoim otoczeniu, podtrzymana na duchu przez wspomnienia, przyjaciół, poczucie bezpieczeństwa. Decyzja ta dotyczyła nawet Petera.

Rozległo się stukanie do drzwi.

- Zaczekaj - zawołała stanowczym tonem.

- Przepraszam cię, Muriel - rozległ się głos Petera. - Wiem, że na chwilę zupełnie o tobie zapomniałem.

Zbyt wiele osób popychało ją do małżeństwa. Gdyby Peter się jej oświadczył, przemyślałaby wszystko bardzo starannie, jak przystało na uczoną, nie śpiesząc się. Rozważyłaby wszystkie za i przeciw i upewniłaby się ponad wszelką wątpliwość, że ona i Peter odpowiadają sobie nawzajem, zanim...

- Musisz przyznać - mówił Peter - że zaniedbałem cię dla czegoś rzeczywiście wielkiego. Sama mi to powiedziałaś.

Wzięła do ręki koronkowy negliz, by gdzieś go schować. Co prawda nie było w nim nic niewłaściwego, pomyślała. Po prostu nie miała odwagi włożyć na siebie czegoś takiego.

- Proszę cię - rzekł Peter.

Zrzuciła z siebie szlafrok i wśliznęła się w różowy negliz, który osiadł na niej lekko, niczym mgielka perfum.

- Wejź, Peter - powiedziała.

Made in USA

I

Kiedy Roderick Liffcom prznosił swą świeżo poślubioną żonę przez próg domu, wokół nie było żywej duszy. Oboje - Roderick, psycholog, oraz Alison, do niedawna zatrudniona w agencji reklamowej - tworzyli sympatyczną, dobrze się prezentującą parę. Ich historia nie stała się jeszcze powszechnie znana; nic nie wskazywało, że nazwisko Liffcom znajdzie się na ustach prawie wszystkich mieszkańców świata, jako sygnał wywoławczy w sprawie interesującej każdego. Nie wszystkich ciekawi proces o morderstwo, o kradzież, o szpiegostwo. Ale wszyscy mieli śledzić przebieg sprawy Liffcomów.

Przyjrzyjmy się więc im dobrze, dopóki mamy jeszcze okazję, zanim otoczą ich tłumy ciekawskich. Roderick był tak dobrze zbudowany i silny, że mógł z lekceważeniem traktować te pięćdziesiąt pięć kilogramów żony, ale w sposobie, w jaki ją trzymał, nie było nic z owego lekceważenia. Niósł ją, jakby była milionem dolarów w drobnych banknotach, a wokół szalała wichura. Spoglądał na nią z miłością w oczach. Miał czarne włosy i brązowe oczy, a każdy, kto by mu się przyjrzał choć przelotnie, dostrzegłby, że gdyby Roderick zechciał, mógłby przebierać w kandydatkach do przenoszenia przez próg.

Alison skuliła się w jego ramionach jak kocię, z oczyma półprzymkniętymi z zachwytu, z ramionami wokół jego szyi. Włosy miała jasne, a oczy fantastycznie piękne, nie mówiąc już o jej pozostałych przymiotach, które również domagały się uwagi. Ale nawet na pierwszy rzut oka można było spostrzec, że Alison mogła poszczycić się nie tylko urodą. Należy tu wspomnieć o inteligencji, odwadze, czy gorzkich doświadczeniach, które nadały jej ostrość stali. Każdy, kto przyjrzałby się jej choć przelotnie, zauważyłby, że gdyby zechciała, mogłaby przebierać w kandydatach do roli niosącego przez próg.

Kiedy weszli, nastąpił koniec pewnej historii. Postąpmy jednak niekonwencjonalnie i nazwijmy to początkiem.

Rankiem, kiedy siedzieli na tarasie przy śniadaniu, obraz nie uległ zasadniczej zmianie. To znaczy, Roderick wyglądał nieco inaczej z cieniem zarostu na policzkach, zaspanymi oczyma, w płaszczu kąpielowym z brązowej flaneli, Alison zaś wyglądała zdecydowanie inaczej w bładozielonym szlafrocisku, który nie tyle nosiła, co unosiła na sobie niczym mgiełkę. Ale sposób, w jaki na siebie spoglądali, nie zmienił się zbyt - wtedy.

- Jest coś - zauważyła od niechcienia Alison wodząc smukłym paluszką po wypukłym wzorze na adamszkowej serwecie - o czym powinnam ci powiedzieć.

Dwie minuty później wyrwali sobie telefon.

- Chcę zadzwonić do mojego adwokata! - ryczał Roderick.

- Chcę zadzwonić do mojego adwokata! - nie pozostawała mu dłużna Alison.

Zatrzymał się w połowie wybieranego numeru. - Nie możesz - powiedział do niej szorstko. - To ten sam adwokat.

Opanowała się pierwsza, jak zawsze. Uśmiechnęła się promiennie. - Może pociągniemy o niego losy? - zaproponowała.

- Nie - oświadczył brutalnie Roderick. Gdzież, ach gdzież była jego wielka, oślepiająca miłość? - On należy do mnie. Płacę mu więcej, niż cię byłoby stać.

- Dobrze - zgodziła się Alison. - Będę występować w sądzie sama.

- Ja też! - wykrzyknął Roderick i trzasnął słuchawką o widełki. Natychmiast jednak ją podniósł. - Nie, będzie potrzebny, żeby napisać pozew.

- Zmowa przeciwko mnie? - spytała słodko Alison.

- Postąpiłaś podle, wrednie, złośliwie, paskudnie, nieprzyzwoicie, obrzydliwie i po chamsku, czekając aż...
 - Aż co? - spytała Alison z większą niewinnością, niż ktokolwiek przypuściłby, że może taka istnieć na świecie.
 - Androidka! - prychnął na nią wściekle.
- Pomimo opanowania oczy Alison zapłonęły gniewem.

II

Gazety nie tylko wzmiankowały, gazety grzmiały o tym z wysokości nagłówków: POZEW ROZWODOWY CZŁOWIEKA PRZECIWKO ANDROIDCE. Tytuł nie był specjalnie wystrzałowy, czytelnik bowiem zastanawiał się oczywiście, co też może być ciekawego w tej sprawie, że aż trafiła na pierwsze strony gazet. W końcu połowa ludności świata była androidami. Każdego dnia ludzie rozwodzili się z ludźmi, ludzie z androidami, androidzi z ludźmi i androidzi z androidami. Naturalna reakcja na taki tytuł brzmiała niezmiennie: "No i co z tego? Kogo to obchodzi?"

Ale nie trzeba było szczególnej inteligencji, by pojąć, że w tej sprawie musi być coś wyjątkowego.

Gazety pisały:

EVERTON, WTOREK. Dzisiejszy dzień zapisze się w dziejach jako data pierwszego pozwu rozwodowego między człowiekiem i androidką od chwili wejścia w życie ustawy o zrównaniu w prawach ludzi i androidów. Jest to również pierwszy pozew rozwodowy umotywowany tym, że jedna ze stron nie wiedziała, iż druga jest androidem. Stało się tak, ponieważ ustawa uchyliła obowiązek ujawniania swego pochodzenia przez androidy w czasie zawierania jakichkolwiek umów.

Świadome znaczenia tego precedensowego procesu, który z pewnością wpłynie w przyszłości na los milionów, 24 Godziny będą skrupulatnie relacjonować przebieg procesu rozpoczynającego się w najbliższy piątek. Nasi czołowi reporterzy, Anona Grier i Walter Hallsmith, przekażą naszym czytelnikom wszelkie szczegóły tego historycznego przewodu sądowego. Grier jest człowiekiem, Hallsmith zaś - androidem...

W dalszym ciągu gazety podawały takie szczegóły jak nazwiska stron w owej ważnej i precedensowej sprawie, zwracając niby to przypadkiem uwagę, że choć małżeństwo Liffcomów trwało zaledwie dziesięć godzin i trzynaście minut do chwili złożenia wniosku rozwodowego, znane są przypadki jeszcze krótszych małżeństw.

Tym samym redakcja zmyślnie zapobiegła napływowi tysięcy listów od czytelników z pytaniami, czy był to rekord krótkotrwałości.

III

Alison wyciągnęła się na kanapie znajdującej się w jej panińskim mieszkaniu, patrzyła w górę, gdzie poza sufit, i myślała, myślała, myślała.

Nie była specjalnie nieszczęśliwa. Nie dla niej niedola, uraza i szaleńcza, niemożliwa do spełnienia nadzieja. Stawiała czoła swej życiowej tragedii ze spokojną rezygnacją, a nawet humorem.

- Spójrzmy prawdzie w oczy - rzekła do siebie stanowczo. - Moje serce zostało zranione. Wierzyłam, że powie: "To nie ma znaczenia. Jakie to mogłoby mieć znaczenie? To przecież ciebie kocham" - coś takiego, co mężczyźni zawsze mówią w romansach. A on co powiedział? "Parszywa androidka"!

No, trudno. Życie to nie romanse; inaczej nie byłyby one jedynie literaturą.

Właściwie powinna już teraz, na początku przyznać przed sobą, że nadal go kocha. To pozwoli jej usystematyzować uczucia.

Powinna była mu wcześniej powiedzieć, że jest androidką. Może rzeczywiście miał pełne prawo wierzyć, że odczekała tyle, by non-consum-matum nie mogło stanowić już podstaw do udzielenia rozwodu, a potem triumfalnie obdarzyła go wieścią, kim jest naprawdę. (Ale co by jej to pomogło?)

To wszystko, oczywiście, było zupełnie nie tak. Nie powiedziała mu dlatego, że musieli poznać się lepiej, nim mogła być mowa o podobnych sprawach. Ktoś, kogo przedstawiają drugiej osobie, nie zaczyna od stwierdzenia: "Jestem mężatką" albo "Siedziałem pięć lat za kradzież", albo "Jestem androidką. A ty?"

Gdyby podczas tych pierwszych kilku tygodni od chwili poznania Rodericka padła choć jedna uwaga na temat androidów, na pewno przyznałaby, że sama do nich należy. Ale tak się nie stało.

Kiedy się jej oświadczył, zupełnie uczciwie nie pomyślała o tym, by mu wtedy o tym powiedzieć. Są takie chwile, gdy ma to znaczenie, oraz inne, kiedy nie ma. Moment oświadczyn, wydawało się jej, należał do tych ostatnich. Roderick był tak inteligentny, miał takie liberalne i swobodne poglądy (z wyjątkiem okresów, kiedy wpadał w złość), że nie przyszło jej do głowy, iż będzie to miało dla niego jakieś znaczenie.

W ogóle nigdy jej to nie przyszło do głowy. Wspomniała o tym przy okazji, tak samo, jak ktoś inny powiedziałby: "Chyba nie będzie ci przeszkadzać, że co rano pijam mrożoną kawę". No, prawie tak samo. Wspomniała po prostu...

I szczęście się skończyło.

Teraz zaś, w smutnym strumieniu myśli rodził się nowy pomysł. Czy Roderick naprawdę chciał tego rozwodu, czy też potrzebował czegoś dowieść? Bo jeśli tak, to gotowa była przyznać z uśmiechem, że dowód się udał.

Potrzebowała Rodericka. Niezupełnie dobrze pojmowała, co się stało: może jednak przyjmie ją z powrotem, kiedy ona zgodzi się na uprzednie zmieszanie z błotem? Jeśli tak, to wszystko było w porządku. Była gotowa na to, by pozwolić mu jej nauragać i wyszaleć się na androidów, i wyładować wszystkie uprzedzenia i nienawiść, które może gdzieś, jakoś się w nim zebrały - jeśli zgodzi się przyjąć ją z powrotem.

Sięgnęła za siebie, wzięła telefon i wybrała numer Rodericka.

- Witaj, Roderick - rzekła wesoło. - Mówi Alison. Nie, nie odkładaj słuchawki. Powiedz mi, dlaczego nienawidzisz androidów?

Nastąpiła tak długa cisza, że domyśliła się, iż rozważa wszystkie możliwości łącznie z odłożeniem słuchawki bez słowa. O Rodericku można było śmiało powiedzieć, że jest to taki człowiek, który wszystko przemyśli bardzo starannie, zanim mu szajba odbije.

- Nie nienawidzę androidów - warknął w końcu.

- W takim razie jesteś jakoś uprzedzony do dziewcząt, tak?

- Nie! - krzyknął. - Jestem psychologiem. Moje myśli są stosunkowo prostolinijne. Nie jestem skażony rasizmem, uprzedzeniami, megalomanią czy...

- W takim razie - powiedziała bardzo cicho Alison - nienawidzisz po prostu jednej konkretnej androidki.

Głos Rodericka również nagle się uspokoił. - Nie, Alison. To nie ma z tym nic wspólnego. Chodzi po prostu o dzieci.

Więc to tak. Oczy Alison wypełniły się łzami. W tej jednej sprawie nie mogła nic zrobić, o niej jednej starała się nawet nie myśleć.

- Naprawdę o to ci chodzi? - spytała. - To nie jest tylko argument procesowy?

- To jest argument procesowy - odparł - i naprawdę o to mi chodzi. Kłopot polega na tym, Alison, że trafiłaś na coś, czego nie mogłaś przewidzieć. Wielu ludzi chce mieć dzieci, ale potrafią się pogodzić z tym, że nie mogą ich mieć. Ja byłem ósmym, najmłodszym dzieckiem w rodzinie, więc każdy by pomyślał, że ród nasz znajdzie kontynuację, prawda? Wszyscy moi bracia i siostry są

żonaci i zameżne, niektórzy już od dłuższego czasu. Jeden brat i dwie siostry nawet już po raz drugi. Daje to w sumie siedemnaście osób, nie licząc mnie. A ich wspólne dokonania w dziedzinie prokreacji wynoszą dokładnie zero. Chodzi więc tu o ciągłość rodziny, nie rozumiesz tego? Nie sądzę, by nasz problem mógł mieć jakieś większe znaczenie, gdyby poza tym było choć jedno dziecko. Ale go nie ma, a zostałem tylko ja, jako ostatnia szansa.

W tym momencie boleść Alison przekroczyła wszystko, czego do tej pory doświadczyła. Pojęła każde słowo, które wypowiedział Roderick, i co znajdowało się za tymi słowami. Gdyby to ona mogła mieć dzieci, nie oddałaby tej szansy za niego, za niczyją miłość. No, ale oczywiście, nie było jej to dane.

Podczas jej milczenia Roderick odłożył słuchawkę. Alison spojrzała w dół, na swoje piękne ciało, i po raz pierwszy nie mogła się zdobyć na choćby ślad zadowolenia na jego widok. Zamiast tego rozdrażniło ją ono, bo nigdy nie miało dać jej dziecka. Na cóż się zda jej wygląd, cały mechanizm seksualny, skoro nie spełnia tej jedynej istotnej funkcji?

Jednak nigdy nie przyszło jej do głowy, by ustąpić, by oddać sprawę walkowerem. Musi się znaleźć coś, co będzie mogła zrobić; jakaś linia obrony, którą będzie mogła przyjąć. Wygranie sprawy nie miało dla niej żadnego istotnego znaczenia poza tym jednym: że może to być drobny, nieistotny szczegół pomocny w odzyskaniu Rodericka.

IV

Sędzia był cokolwiek pompatyczny i wszyscy obecni od razu poznali, że dysponując znacznymi uprawnieniami przyznanymi mu przez system kontraktów sądowych zamierza poprowadzić tę sprawę na swój sposób i mieć z tego satysfakcję.

Złożył ręce na stole sędziowskim i rozejrzał się z zadowoleniem po wypełnionej po brzegi sali. Rozpoczął swe przemówienie wstępne z widocznym przekonaniem, że co najmniej pięćdziesięciu reporterów notuje każde jego słowo.

- Nazwano ten proces ważnym - oświadczył - i jest on taki. Mógłbym wyjaśnić, dlaczego jest on ważny, ale nie godziłoby się to z poczuciem sprawiedliwości. Nasz punkt wyjścia musi być następujący. - Skinął uroczyście głową w stronę ławy przysięgłych. - Nie wiemy nic.

Spodobało mu się to: powtórzył zdanie. - Nie wiemy nic. Nie znamy żadnych istotnych faktów. Nigdy nie słyszeliśmy o androidach. Tego wszystkiego i wielu innych rzeczy musimy się dowiedzieć. Możemy wezwać wszystkich, zewsząd, by dali świadectwo. I musimy podjąć decyzję tu i teraz, na podstawie tego, co usłyszymy t u i teraz, co do słuszności tej sprawy - i niczego więcej.

Przedstawił swój temat i rozwinął go. Wznosił się i spadał jak jastrząb; znikał z oczu i powracał jak śmigły kruk, by rzucić perły przed wieprze. Bowiem oczywiście jego słuchacze składali się z wieprzy. Nie powiedział tego wprost ani nie uczynił najmniejszej nawet aluzji, ale nie było to potrzebne. Jedynie Roderick i Alison obdarzył ojcowskim, przyjaznym spojrzeniem. To dzięki nim miał swoją godzinę chwały. Z pewnością nie należeli do wieprzy.

Sędzia Collier nie był jednak głupcem. Zanim całkowicie utracił zdobyte na początku zainteresowanie sali, był już z powrotem i ruszał sprawę z miejsca.

- Rozumiem - powiedział spoglądając od Alison do Rodericka i z powrotem, co było zrozumiałe - że państwo sami prowadzą swoją sprawę. Oznacza to rezygnację z wielu wymogów formalnych, co tylko wyjdzie nam na dobre. Przede wszystkim jednak proszę spojrzeć na ławę przysięgłych.

Wszyscy obecni spojrzeli na ławę przysięgłych. Jej członkowie spojrzeli po sobie. Zgodnie z procedurą sądów kontraktowych Roderick i Alison zostali umieszczeni twarzą do siebie, po przeciwnych bokach sali, przysięgli zaś siedzieli obok Alison mogąc w ten sposób widzieć Rodericka en face, zaś ją z profilu, i poznać, kiedy którekolwiek z nich skłamię.

- Alison Liffcom - powiedział sędzia - czy wnosi pani sprzeciw wobec składu ławy przysięgłych?

Alison przyjrzała się ławie. Dwanaście osób, ni mniej ni więcej. Dokładne sondaże policyjne pozwalały skompletować ławy przysięgłych tak zbliżone do przypadkowego doboru, jak tylko było można.

- Nie - odezwała się.

- Roderick Liffcom, czy wnosi pan sprzeciw...

- Tak - rzekł wojowniczo Roderick. - Chciałbym wiedzieć, ilu jest wśród nich androidów.

Na sali rozległ się szmer zaciekawienia.

A więc sprawa zapowiadała się jako pojedynek między człowiekiem i androidem.

Twarz sędziego Colliera pozostała niewzruszona. - Wykluczam sprzeciw - rzekł. - Ludzie i androidzi zostali zrównani w prawach i nie może pan wnosić sprzeciwu wobec przysięgłego tylko z powodu jego pochodzenia.

- Ale ten proces dotyczy praw ludzi i androidów - zaprotestował Roderick.

- Niczego podobnego nie dotyczy - odparł stanowczo sędzia - i jeśli pański pozew opiera się tylko na tym, to śmiało możemy zapomnieć o całej sprawie i udać się do domu. Nie może pan otrzymać rozwodu tylko dlatego, że żona jest androidką.

- Ale ona mi nie powiedziała...

- Ani dlatego, że panu nie powiedziała. Żaden android nie ma obecnie obowiązku wyjawiać kiedykolwiek...

- Ja to wszystko wiem - rzekł Roderick poirytowany. - Czy mam powtarzać rzeczy oczywiste? Nigdy nie miałem zbyt wiele do czynienia z prawem, ale wiem jedno: fakt, że A równa się B może nie mieć żadnego znaczenia, za to fakt, że B równa się A może być decydujący. Dobrze, powiem to, co powinno być oczywiste. Żądam rozwodu dlatego, iż Alison ukryła przede mną aż do następnego dnia po ślubie, że nie może mieć dziecka.

Była to jedyna możliwa linia ataku, która wszakże okazała się niespodzianką dla niektórych. Rozległ się szmer zaciekawienia. Teraz się zacznie, jest się o co spierać.

Alison obserwowała Rodericka i uśmiechnęła się na myśl o tym, że zna go o wiele lepiej niż ktokolwiek inny spośród obecnych w sądzie. Na spokojnie był niebezpieczny i dlatego walczył, by zachować spokój. I gdy tak nań patrzyła, opanowana, część jej umysłu zastanawiała się, jak by go tu rozdrażnić i zbić z tropu, druga zaś część błagała Opatrzność, by Roderick zdołał się opanować i dobrze wypadł przed sądem.

Poproszono ją, by wstała celem złożenia wyjaśnień. Uczyniła to bezwiednie, wciąż myśląc o Rodericku. Tak, nie zgadza się na rozwód. Nie, nie zaprzecza przedstawionym faktom. Na jakiej więc podstawie sprzeciwia się wnioskowi?

Skupiła swą uwagę na toczącym się procesie. - O, to bardzo proste. Potrafię to ująć w... - policzyła na palcach - w siedmiu słowach. Skąd wiadomo, że nie mogę mieć dziecka?

Reporterzy napisali "sensacja". Sensacja nie trwałaby długo, ale Alison wiedziała o tym. Dołała oliwy do ognia.

- Nie chcę teraz przedstawiać całej mojej linii obrony - rzekła. - W chwili obecnej pragnę tylko powiedzieć... - Zacerwieniła się. Poczowała rumieniec na twarzy i była zadowolona z siebie samej. Nie miała przedtem pewności, że uda się jej go wywołać. - Nie lubię mówić o tych sprawach, ale chyba muszę. Kiedy wychodziłam za Rodericka, byłam dziewicą. Skąd więc miałam wiedzieć, że nie mogę mieć dziecka?

V

Po tych słowach przywrócenie spokoju w sądzie zabrało dłuższą chwilę. Sędzia spocił się okrutnie, tłukąc młotkiem i grożąc opróżnieniem sali. Alison jednak pochwyciła spojrzenie Rodericka, który uśmiechnął się i nieznacznie pokręcił głową. Mieszkały w nim przynajmniej dwie osoby. Jedną był choleryk - skłonny do gniewu, impulsywny, emocjonalny. Ale był tam również -

choć czasem trudno jej było w to uwierzyć - psycholog, zdolny do badania, rozważania i klasyfikowania okoliczności oraz decydowania, co one oznaczają.

Wiedziała, o czym myślał, gdy pokręcił głową. Przedstawiła sztuczny argument, skuteczny tylko przez chwilę. Wiedziała przecież, że jest androidką i że androidzi nie mogą mieć dzieci. Reszta była nieważna.

- Ustaliliśmy dotąd - mówił sędzia, zdyszany od krzyków i stukania młotkiem - czego dotyczy pozew oraz niektóre fakty. Alison Liffcom przyznaje, że zataiła fakt, iż jest androidką, do czego miała prawo... - Zmarszczył brwi patrząc na Rodericka, który wstał z miejsca. - O co chodzi?

W tym momencie Roderick występował w roli psychologa. - Wysoki Sądzie, Sąd wymienił słowo "android". Czyżby Sąd zapomniał, że nikt z nas nie wie, czym jest android? Powiedziano tu, o ile sobie dobrze przypominam: "Nigdy nie słyszeliśmy o androidach".

Sędzia Collier wyraźnie wołał tego drugiego Rodericka, którego mógłby łatwo zgnieść, kiedy tylko zechciał. - Słusznie - odrzekł bez entuzjazmu. - Czy zamierza pan nam to powiedzieć?

- Zamierzam powołać kogoś, kto nam to powie - rzekł Roderick.

Przed sądem stanął dr Geller. Roderick ustawił się doń frontem, opanowany i pewny siebie. Publiczność w sądzie składała się głównie z kobiet; Roderick wiedział, jak wyglądać najkorzystniej, i osiągnął to. Dr Geller, siwowłosy, dystyngowany, był tak nieporuszony, jak posąg.

- Kim pan jest, doktorze? - spytał chłodno Roderick.

- Jestem dyrektorem Ośrodka Everton, w którym powstają androidzi dla całego stanu.

- Wie pan, zapewne, dość dużo o androidach?

- Tak jest.

- A tak na marginesie, gdyby ktoś był tego ciekaw... mógłby pan nam powiedzieć, czy jest pan człowiekiem, czy androidem?

- Proszę bardzo. Jestem androidem.

- Rozumiem. Może teraz powie nam pan, czym są androidzi, kiedy stworzono ich po raz pierwszy i dlaczego?

- Androidzi są po prostu ludźmi. Nie różnią się niczym od "zwykłych" ludzi oprócz tego, że zostali wyprodukowani, a nie urodzeni. Sądzę, że nie o to chodzi, bym zagłębiał się w szczegóły dotyczące procesu produkcji. Mówiąc w skrócie, zaczyna się od paru żywych komórek - to jest zawsze konieczne - i stopniowo tworzy się z niego kompletne ciało ludzkie. Nie ma żadnej różnicy; chcę to podkreślić. Android jest kobietą albo mężczyzną, a w żadnym wypadku jakimś robotem czy automatem.

Znowu rozległ się szmer. Sędzia uśmiechnął się lekko. Świadek Rodericka zdawał się go obciążać. Roderick jednak tylko skinął głową: widocznie wszystko było w najlepszym porządku.

- Około dwustu lat temu - kontynuował doktor - wykazano ponad wszelką wątpliwość, że rasa ludzka zmierza ku wymarciu i to wkrótce. Liczba ludności malała o połowę w ciągu każdego pokolenia. Nawet jeśli człowiek miał przeżyć, cywilizacja była skazana na zagładę...

Wywód był nudny dla wszystkich. Nawet sam doktor Geller nie wydawał się zainteresowany tym, co mówił. Wszystko to było powszechnie znane. Sędzia jednak nie przerywał; każdy fakt miał znaczenie dla sprawy.

Zrazu androidzi byli jedynie eksperymentem, interesującym, ponieważ ich wyprodukowanie zakończyło się tak zdumiewającym powodzeniem. Było niewiele błędów i mnóstwo olśniewających sukcesów. Gdy tylko opracowano metodę, stało się możliwe stworzenie, za pomocą sztucznych środków, osobników, którzy nie różnili się ani na jotę od "zwykłych" mężczyzn i kobiet. Była tylko jedna mała wada - androidzi nie mogli się rozmnażać, zarówno między sobą, jak i z ludzkimi partnerami. Cały akt seksualny następował normalnie, poza zapłodnieniem.

W miarę jednak zmniejszania się liczby ludności, w miarę pogarszania się lub likwidacji usług publicznych było logiczne, że komuś w końcu przyjdzie to do głowy; dlaczego nie mają tego robić androidzi?

Tak więc zaczęto ich produkować i szkolić do funkcji użytkowych. Zrazu ich status był gorszy od zwierząt. Ale, by oddać sprawiedliwość ludzkości, trwało to tylko do chwili, gdy przyjęto, że androidzi są też ludźmi. Wówczas podniesiono ich w społecznej klasyfikacji do chwalebnej rangi niewolników. Osobliwe było przy tym to, że istniał tylko jeden sposób produkcji androidów - wytwarzanie dzieci, które potem dorastały. Nie można było robić wyłącznie głupich, niedoskonałych, dorosłych androidów. Gdy dorastali, byli jak ludzie - dobrzy, źli, obojętni.

Potem nastąpiła przemiana. Wskaźnik przyrostu naturalnego nagle się podniósł. Nastąpiło odrodzenie, które przyniosło w rezultacie nawet pewne bezrobocie. Zabicie wszystkich androidów byłoby oczywiście niehumanitarne, ale z drugiej strony, skoro groził głód, równie dobrze mógł grozić tylko im.

I androidzi głodowali.

Nie produkowano już ich więcej. Przyrost naturalny przeszedł w ubytek. Znowu zaczęto je produkować. Nastąpił wzrost urodzeń.

W końcu wszystko stało się jasne. Rasa ludzka nie tyle dążyła do wymarcia poprzez kontrolę urodzeń, co po prostu zaprzestawała reprodukcji. Większość ludzi w tym czasie - mężczyzn i kobiet - było nieplodnych. Ale pewna grupa przypadków nieplodności miała podłoże psychologiczne. Androidzi stanowili wyzwanie. Stali się stymulatorem uporu, który dotąd skrywał się gdzieś głęboko w ludziach.

Osiągnięto więc równowagę. Produkcja androidów została utrzymana jedynie z dwóch powodów: w celu utrzymania owego wyzwania, które skłania rasę ludzką do walki o przeżycie, a nawet odrobienie strat, oraz w celu wykonywania wszelkiej brudnej roboty polegającej na zapewnieniu bezawaryjnego funkcjonowania ekonomicznego molocha dla zdziesiątkowanej ludzkości.

Nawet w początkowym stadium androidzi mieli swoich mistrzów. Dziwna rzecz, problem walki o równość i jej zdobycie nie był tylko wewnętrzną sprawą androidów, ale raczej sprawą ludzi, którzy walczyli między sobą i stopniowo przyznawali androidom równe prawa.

Najgorętszymi bojownikami byli ci, którzy nie mogli mieć dzieci. Jedyne, co mogli zrobić, by powiększyć rodzinę, to zaadoptować maleńkiego androida. Naturalnie przelewali potem na niego wszelkie uczucia i troskę, którą obdarzyliby własne dzieci, gdyby je mieli. Z czasem coraz częściej uznawali androidów za własne dzieci; dlatego też silnie popierali wszelkie działania usuwające ograniczenia nałożone na androidów. W końcu własny syn czy córka nie powinien być traktowany jako istota niższego rzędu.

Tak wyglądała owa historia, naszkicowana przez doktora Gellera. Publiczność była niespokojna, sędzia spoglądał w sufit, ława przysięgłych zaś - na Alison. Jedyne Roderick z uprzejmą uwagą przysłuchiwał się słowom Gellera.

VI

Wszyscy spostrzegli, że monotony okres dobiegł końca. Nawet jeśli ktoś nie dosłyszał pytania Rodericka, żaden z obecnych nie przeoczył odpowiedzi doktora Gellera:

- ...dowiedzione, że androidzi nie mogą się rozmnażać. Z początku wyrażano obawy, iż będą mogły; uważano, że potomek androida i człowieka może okazać się jakimś potwornym mutantem. Jednak do reprodukcji nie doszło.

- Jedna sprawa, doktorze - odezwał się swobodnie Roderick. - Istnieje, jak rozumiem, jakaś metoda identyfikacji, jakiś sposób odróżnienia człowieka od androida i na odwrót?

- Są dwie takie metody - odparł lekarz. Niektórzy spośród obecnych na sali podnieśli wzrok, nagle zainteresowani. Inni okazywali ostentacyjnie swoją obojętność, dając do zrozumienia, że

wiedzą, o czym będzie mowa. - Pierwszą jest system daktyloskopowy. Ma on zastosowanie do androidów tak samo, jak do ludzi, a od każdego androida w każdym Ośrodku pobiera się odciski palców. Jeśli z jakiegoś powodu zaistnieje konieczność zidentyfikowania osobnika, który może być androidem lub nie, przeprowadza się badanie daktyloskopowe. Przesyła się je do wszystkich głównych ośrodków produkcji androidów na całym świecie - co zabiera zaledwie dwa tygodnie - po czym dany osobnik zostaje albo zidentyfikowany jako android, albo drogą eliminacji okazuje się człowiekiem.

- I nie ma możliwości pomyłki?

- Zawsze istnieje możliwość pomyłki. System jest doskonały, ale błędzić jest rzeczą ludzką i - jeśli wolno mi w ten sposób zażartować - również rzeczą androidów.

- Słusznie - rzekł Roderick. - Można jednak przyjąć, iż w tym przypadku możliwość pomyłki jest niewielka?

- Można. Co zaś do drugiego sposobu identyfikacji, to jest on pozostałością wczesnego okresu wytwarzania androidów i wielu z nas uważa... ale to nie należy do sprawy.

Jednak po raz pierwszy zdawał się czuć cokolwiek nieswojo, gdy kontynuował; Androidzi, oczywiście, nie rodzą się. Nie ma więc pępownicy. Każdy z androidów ma pępek mały i symetryczny; wewnątrz są wypisane niezbyt rzucające się w oczy, lecz dobrze widoczne słowa - przynajmniej w tym kraju - "Made in U.S.A."

Przez salę sądową przebiegała fala chichotów. Doktor lekko poczerwieniał. Istniało mnóstwo dowcipów na temat tego znamienia androidów. Stał się on nawet głównym motywem wielu karykatur politycznych. A pointa jednej rzekomo pikantnej opowiadki polegała na tym, iż pewna aktoreczka, którą dotąd uważano za "Made in U.S.A.", okazała się zamiast tego być "Fabrique en France"

Ów stempel, który każdy android miał nosić na swym ciele do śmierci, mógł zawsze być przedmiotem drwin ludzi. Dwadzieścia lat temu wszelkie prześladowania androidów podobno się skończyły, androidzi zaś otrzymali wolność i prawie wszystkie prawa należne ludziom. A jednak dwadzieścia lat temu stroje wieczorowe kobiet niezmiennie odkrywały pępek, niezależnie od tego, jakie inne części ciała troskliwie skrywały.

Dziewczęta z rodzaju ludzkiego pyszniły się tym, że są ludźmi. Androidzi albo potulnie pokazywały znamię, albo kryjąc je przyznawały, kim są.

- Rozważa się - oświadczył doktor - propozycję rezygnacji z tego, co, jak uważają niektórzy, stanowi znamię podporządkowania...

- Jest to jeszcze sub judice - przerwał sędzia - a poza tym nie należy do sprawy. Interesują nas tylko rzeczy, które istnieją. - Spojrzał pytająco na Rodericka. - Czy skończył pan przesłuchanie świadka?

- Nie tylko przesłuchanie - powiedział Roderick - ale także całe postępowanie dowodowe. - Wyglądał na tak zadowolonego z siebie, że Alison, którą trudno było rozzłościć, chciała go rąbnąć.

- Słyszeli państwo oświadczenie doktora Gellera. Żądam, by Alison poddała się wymienionym przez niego dwóm testom. Kiedy zostanie ustalone, że jest ona androidką, zostanie również stwierdzone, że nie może mieć dzieci. I tym samym, że ukrywając swój status androida zataiła, iż nie może mieć dzieci.

Sędzia skinął głową z pewnym ociąganiem. Ponad okularami spojrzał na Alison bez większej nadziei. Szkoda byłoby, żeby tak dobrze zapowiadający się proces mógł spalić na panewce tak prędko i tak pospolicie. Jednak osobiście nie widział niczego znaczącego, co Alison mogłaby przeciwstawić wnioskowi.

- Świadek jest twój - rzekł Roderick z takim gestem, który aż prosił się o kopniaka w zęby; tak przynajmniej pomyślała Alison.

- Dziękuję - powiedziała słodkim tonem. Uniosła się z krzesła i podeszła do miejsca dla świadków. Miała na sobie prosty, szary kostium oraz bluzkę żywego żółtego koloru, widoczną tylko odrobinę, by ożywić szarość ubioru. Nigdy w życiu lepiej nie wyglądała - i była tego świadoma.

Roderick spojrział na nią tak, jakby tracił owo żelazne panowanie nad sobą, które utrzymywał tak długo wbrew jej wszelkim oczekiwaniom; spróbowała przyspieszyć ową dekoncentrację wygładzając spódniczkę w taki sposób, jaki zawsze mu się podobał.

- Przestań! - syknął. - To poważna sprawa.

Alison pokazała mu jedynie w uśmiechu dwadzieścia osiem doskonale utrzymanych zębów, po czym obróciła się w stronę doktora Gellera.

VII

- Zaciekawilo mnie użyte przez pana sformułowanie, doktorze - powiedziała Alison. - Stwierdził pan, iż "zostało dowiedzione, że androidzi nie mogą się rozmnażać". Chciałabym teraz upewnić się co do prawdziwości kilku faktów. Pan jest dyrektorem Ośrodka w Everton?

- Tak.

- I dlatego pańskie doświadczenie zawodowe ogranicza się do androidów w wieku do dziesięciu lat?

- Tak.

- Czy jest to normalne, nawet wśród ludzi - spytała Alison - by rozmnażanie następowało w wieku do dziesięciu lat?

W sali zapadła cisza, po której rozległ się śmiech i oklaski. - To nie teatr! - krzyknął sędzia. - Proszę mówić dalej, pani Liffcom.

Alison posłuchała. Doktor Geller jest właściwą osobą, do której należy się zwracać po informacje dotyczące młodych androidów, zauważyła z ubolewaniem, ale do wyjaśnienia spraw dotyczących dorosłych androidów (nie chcąc, oczywiście, urazić doktora Gellera) proponuje jednak powołać doktora Smitha.

Wtrącił się Roderick. Chętnie wysłucha sprawy Alison, oświadczył, ale może najpierw zakończy się rozpatrywanie jego wniosku? Czy Alison zgodzi się poddać wymienionym przez niego dwóm testom?

- To niepotrzebne - powiedziała Alison. - Jestem androidką. Nie zaprzeczam temu.

- Jednak... - zaczął Roderick.

- Niezupełnie pana rozumiem, panie Liffcom - włączył się sędzia. - Gdyby były jakiegokolwiek wątpliwości, to tak. Ale przecież pani Liffcom nie zaprzecza, że jest androidką.

- Chcę wiedzieć.

- Sądzi pan, że jest jakaś wątpliwość?

- Bardzo bym chciał, żeby była.

Znowu "sensacja".

- A jednak to zupełnie naturalne, gdy się nad tym zastanowić - rzekł Roderick, gdy można już go było słyszeć. - Żądam rozwodu, bowiem Alison jest androidką i nie może mieć dziecka. Jeśli się pomyliła albo jest to jakaś jej gra, albo cokolwiek, nie chcę rozwodu. Chcę Alison, dziewczyny, którą poślubiłem. Chyba nie tak trudno to zrozumieć?

- Dobrze - powiedziała Alison beznamiętnie. - Trochę potrwa sprawdzenie moich odcisków palców, ale druga próba może być przeprowadzona natychmiast. Czy Sąd życzy sobie, żebym rozebrała się tu, na oczach wszystkich?

- Wielkie nieba, w żadnym wypadku!

Pięć minut później, w pokoju ławy przysięgłych, sędzia, przysięgli i Roderick oglądali dowód. Pokazując im go, Alison nie utraciła ani trochę ze swej godności czy opanowania.

Nikt już nie mógł mieć wątpliwości. Znamię androida było doskonale widoczne.

Roderick patrzył na nie ostatni. Kiedy już przyjrzał się znakowi, Alison napotkała jego wzrok i musiała powstrzymać napływające do oczu łzy. Nie ujrzała bowiem ani satysfakcji, ani gniewu, a jedynie żal.

Gdy znaleźli się już na sali sądowej, Roderick oświadczył, że rezygnuje z daktyloskopowania, Alison zaś wezwała doktora Smitha. Był on starszy od Gellera, ale oczy miał jasne i bystre. Było w nim coś szczególnego; ludzie pochylili się do przodu, gdy zajął miejsce dla świadków, domyślając się nie wiadomo skąd, że usłyszą coś godnego uwagi.

- Zgodnie z precedensem stworzonym tu przez mego dostojnego przedmówcę - zaczęła Alison - chciałabym spytać, czy jest pan człowiekiem, czy androidem?

- Proszę bardzo. Jestem człowiekiem. Jednakże większość moich pacjentów to androidzi.

- Dlaczego?

- Bo już dawno uświadomiłem sobie, że androidzi to przyszłość. Ludzie tracą swoją pozycję. Ponieważ tak się sprawy mają, chciałem ustalić, jakie są różnice pomiędzy ludźmi a androidami, o ile takie w ogóle istnieją. Jeśli ich nie ma, to tym lepiej: rasy ludzkiej nie czeka wymarcie.

- Ale, oczywiście - wtrąciła Alison niedbale, a jednak wszyscy jakoś dziwnie uważnie śledzili jej słowa - była jedna zasadnicza różnica. Ludzkość stawiała się bezpłodna, ale androidzi nie mogli się rozmnażać.

- Nie było żadnej różnicy - oświadczył dr Smith.

Czasami nieoczekiwane stwierdzenie powoduje milczenie, czasem zaś wrzawę. Doktor Smith doświadczył po kolei jednego i drugiego. Trwała jeszcze wywołana szokiem cisza, gdy wyjaśnił znaczenie wypowiedzianego przed chwilą zdania, ponad wszelką wątpliwość:

- Androidzi mogą mieć i nie raz mieli dzieci.

Reszta jego słów utonęła w powodzi okrzyków, szeptów i jęknięć, które w ciągu kilku sekund spotężniały do ryku. Na próżno sędzia walił młotkiem i zdierał sobie gardło.

W okrzykach brzmiał gniew. Słysząc w nich było podniecenie, troskę, niedowierzenie, trwogę. Albo lekarz kłamał, albo mówił prawdę. Jeśli kłamał, odpowie za to. Ludzie zwiedzeni podobną mistyfikacją są rozgniewani, żądni zemsty.

Jeśli jednak mówił prawdę, każdy będzie musiał przemyśleć swój pogląd na życie. Każdy - człowiek i android. Powróci znów stary problem religijny. Rozstrzygnięty zostanie problem, czy człowiek, sam wymierający, faktycznie wydarł tajemnicę życiu, a nie jedynie zawarł z nim kompromis. Przystanie być ważne, czy ktoś został zrodzony, czy wyprodukowany.

Nie będzie już mowy o androidach, a jedynie o istotach ludzkich. Człowiek zaś zostanie obwołany panem stworzenia.

VIII

Po krótkiej przerwie przewod sądowy został wznowiony. Sędzia obrzucił baczny spojrzeniem Alison i doktora Smitha, który ponownie zajął miejsce dla świadków.

- Pani Liffcom - rzekł - zechce pani kontynuować przesłuchanie świadka?

- Oczywiście - powiedziała Alison. Obróciła się w stronę Smitha. - Twierdzi pan, że androidzi mogą mieć dzieci?

Tym razem słowa lekarza padały w zupełnej ciszy. - Tak. W tej sprawie, jak łatwo można sobie było wyobrazić, dowody są niejednoznaczne. Dowody, które chciałbym przytoczyć, bywały często obalane. Reakcja sali na moje pierwsze oświadczenie pozwala domyślać się dlaczego. Jest to ważne zagadnienie, co do którego każdy ma swoje własne zdanie. Prawdopodobnie każdy po prostu wierzy w to, co mu powiedziano.

Podczas wypowiedzi doktora Alison rzuciła przelotne spojrzenie na Rodericka. Zrazu był obojętny. Nie wierzył w to wszystko. Potem okazał niewielkie zainteresowanie tym, co mówił Smith. W końcu ogarnęło go takie podniecenie, że ledwie mógł usiedzieć na miejscu.

I Alison znowu zaczęła mieć nadzieję.

- Mamy tu wśród nas psychologa - zauważył spokojnie doktor Smith - który zapewne wkrótce zasypie mnie pytaniami. Ja nie zajmowałem się psychologią w większym stopniu niż każdy internista; chciałbym jednak, nim przytoczę kilka przykładów, podkreślić jedno. Każdy android osiąga wiek dorosły wiedząc, że nie może mieć dzieci. Taka opinia przyjęła się w naszej kulturze. Uważam, że tak nie jest, i wyjaśnię dlaczego.

Nikt mu nie przerywał. Wystąpienie Smitha nie było efektowne, ale za to rzeczowe.

Doktor przytoczył sprawę Betty Gordon Holbein, sprzed 178 lat. Nikt w sądzie o niej nie słyszał. Betty Gordon Holbein była człowiekiem, oświadczył lekarz. Pewnego dnia, skrajnie wyczerpana i w stanie szoku, zeznała, iż została zgwałcona przez androida. Na wskazanym przez nią osobniku dokonano samosądu. W normalnym czasie Betty Holbein urodziła zdrowe dziecko.

- Akta dotyczące tej sprawy są dostępne dla wszystkich - oświadczył Smith. - Gdy owa dziewczyna została zgwałcona, otaczało ją wielkie zainteresowanie połączone z wzburzeniem; skończyło się ono, gdy urodziła dziecko. Betty Holbein zaprzeczała, iżby miała począć dziecko dopiero po incydencie z androidem, ale nie nadano temu żadnego rozgłosu, ani nie dawano temu wiary, nawet wówczas bowiem wiadomo było, że androidzi są bezpłodni.

Roderick zerwał się z miejsca. Spojrzał na sędziego, który skinął głową.

- Słuchaj pan, czy wykręca pan kota ogonem, by dowieść swego - zapytał obcesowo - czy też ta dziewczyna...

- Nie może pan wymagać od świadka, by przyznał się do krzywoprzysięstwa - zganił go sędzia.

- Guzik mnie obchodzi krzywoprzysięstwo! - wykrzyknął Roderick. - Chcę tylko wiedzieć, czy to wszystko prawda!

Było to bardzo niezgodne z przepisami; ale Alison wiedziała, że Roderick może w każdej chwili wybuchnąć i skłąć zarówno doktora, jak i sędziego. Spojrzała więc mu w oczy i powiedziała:

- To prawda, Rodericku.

Roderick usiadł.

- Aby otrzymać wierny obraz - kontynuował lekarz - musimy pamiętać, iż miliony androidów poddawały się testom i spółkowały między sobą, a nawet wchodziły w nieprawidłowe związki z ludźmi - i nie było żadnego przypadku poczęcia. Ale czy naprawdę?

Nieco ponad sto lat temu znaleziono w lesie androidkę, żywą, ale na skraju śmierci. Dziewczyna została okaleczona; wokół niej znajdowały się ślady wielu osób. Choć przeżyła ten szok, nigdy już nie wróciła do równowagi psychicznej.

Androidka ta jednak urodziła dziecko.

Roderick znowu wstał z krzesła, marszcząc brwi. - Nie rozumiem - oświadczył. - Skoro to jest prawda, dlaczego o tym nic nie wiadomo?

Sędzia zamierzał interweniować, ale Roderick kontynuował pośpiesznie: - Doktor i ja jesteśmy specjalistami. Mam chyba prawo zapytać go o specjalistyczną opinię, prawda? No więc, doktorze?

- Ponieważ zawsze można było nie dowierzać temu, czemu ktoś chciał nie dowierzać. W tym przypadku owa bezimienna kobieta została tak okaleczona, iż jej znak w pępku uległ zatarciu. Jej ociski palców zidentyfikowano jako należące do androida. Oświadczone jednak oficjalnie, iż musiała zająć jakaś pomyłka oraz że przez urodzenie dziecka kobieta ta udowodniła, iż nie jest androidką.

Półtora wieku temu niejaka Winnie - w owym czasie androidzi mieli już przynajmniej imiona - urodziła dziecko; znowu stwierdzono, że dziewczynę tę, zatrudnioną jako pomoc w pralni, błędnie uznano za androidkę, podczas gdy zarówno ona, jak i dziecko należeli do rasy ludzkiej.

Kiedy indziej znaleziono martwe niemowlę zakopane w ogrodzie i nawet pozwano w tej sprawie przed sąd pewne małżeństwo androidów. Ale ponieważ nie byli to ludzie, uznano, że nie może to być ich dziecko, a więc zwolniono ich.

Roderick znowu zerwał się z miejsca. - Jeśli pan wiedział to wszystko - zapytał - dlaczego pan dotąd utrzymywał to w tajemnicy?

- Pięć lat temu - odparł lekarz - napisałem artykuł na ten temat. W końcu wydrukowało go jedno z czasopism medycznych o niewielkim nakładzie. Otrzymałem później kilka listów od osób zainteresowanych tym problemem. I nic poza tym.

Trzeba przyznać - dodał - że ani jeden z wymienionych przeze mnie przypadków, opisanych przez współczesnych im obserwatorów, nie mógłby zostać uznany za niepodważalny dowód, że androidzi mogą się rozmnażać. Owe fakty zostały zapisane dla potomności przez osoby, które nie wierzyły w nie. Ale...

- Ale - rzekła Alison kilka minut później, gdy doktor skończył swe zeznanie - w świetle powyższego w żadnym wypadku nie można stwierdzić, iż w i e m, że nie mogę urodzić dziecka. Taki fakt może być nieprawdopodobny. Czyż jednak potrzebuję powoływać nowych świadków ze świata medycyny, by wykazać, jak mało prawdopodobne jest obecnie poczęcie dla przeciętnej kobiety ludzkiej?

Sędzia Collier nie przerywał, więc Alison mówiła dalej: - Obecnie sytuacja wygląda w ten sposób - o czym mógłby zaświadczyć każdy, kto ma do czynienia z rodzeniem dzieci - że niewiele małżeństw owocuje potomstwem, ale jeżeli już któreś je ma, jest ono zwykle liczne. Mamy takie czasy, że jeśli ktoś może mieć dzieci, korzysta z tego intensywnie.

Chciałabym wprowadzić jednak nowe spostrzeżenie. Nie może być powodem rozvodu między ludźmi fakt, że kobieta jest bezpłodna i o tym nie wie. Z drugiej strony, jeśli poddała się operacji, wskutek której utraciła zdolność poczęcia, i ukrywa to, stanowi to podstawę do orzeczenia rozvodu.

- Widzę, do czego pani zmierza - oświadczył sędzia. - To bardzo pomysłowe. Proszę kończyć.

- Ponieważ nie przechodziłam podobnej operacji - rzekła Alison - i ponieważ mogę to udowodnić, rozumiem, iż z punktu widzenia prawa nie można mnie posądzić o to, iż wiedziałam, że nigdy nie będę mogła mieć dzieci.

- Wykorzystując swoje prawo do stwarzania precedensów - rzekł sędzia z zadowoleniem - oświadczam tu i teraz, iż pozwana ma słusność. Do ławy przysięgłych należy orzeczenie merytoryczne. Można wszak uznać, iż pani Liffcom ustanowiła...

- Proszę o ogłoszenie przerwy - wtrącił się Roderick.

Rozległ się niezbyt głośny szmer, który stopniowo ucichł. Roderick i Alison stali wpatrując się w siebie nawzajem poprzez dzielące ich dziesięć metrów. Intensywność ich uczuć mógł odczuć każdy obecny na sali.

- Sąd ogłasza przerwę do jutra - rzekł pośpiesznie sędzia.

IX

Prawie każda gazeta, która relacjonowała sprawę Liffcomów, dopuściła się obrazy sądu. Może panowało przekonanie, iż nie można oskarżać jednocześnie tak wielkiej części społeczeństwa. Wszystkie gazety poruszały słuszne i niesłuszne aspekty tej sprawy, jak gdyby i one zostały powołane na świadków. Tylko niewielka część publikacji opowiadała się za lub przeciw androidom. Zdecydowana większość ustosunkowywała się za lub przeciw zebranym dowodom.

Każdy może stwierdzić, perorowała jedna gazeta, iż Alison Liffcom nie jest głupia. Jeśli taka kobieta zadaje sobie trud, by bronić jakiegokolwiek sprawy, na pewno wynajdzie jakieś atuty i

wykorzysta je do końca. Nie chodzi tu o rzucanie oszczerstw na moralność czy uczciwość pani Liffcom, którą gazeta podziwiała jak najszczerzej. Wystarczyło jej tylko rzucić najdrobniejszy cień na ów pewnik, że androidzi nie mogą się rozmnażać. I to uczyniła.

Ale, orzekła stanowczo gazeta, nie oznacza to, że mogą.

Inny dziennik zaczął swoje wywody od tego miejsca. Równie dobrze, stwierdził, można by dowodzić istnienia duchów, telepatii, ludzi nawiedzonych przez diabła, wilkołaków... Dr Smith, który bez wątpienia miał szczerze intencje, jest w błędzie, zwiedziony paroma wątpliwymi przypadkami. Bowiern jest oczywiste, że skoro androidzi przypominają ludzi pod każdym względem z wyjątkiem jednego, to niektórych ludzi można pomylić z androidami i odwrotnie. Podobnie nie ma wątpliwości, iż taki błąd mógłby zostać wykryty tylko wtedy, gdy zaistniałoby poczęcie, co właśnie miało miejsce w przypadkach wspomnianych przez doktora Smitha.

Trzecia gazeta zaproponowała nawet pewien pomysł, który Alison może wykorzystać w sądzie, jeśli zechce. To prawda, że doktor Smith wykazał, iż takie pomyłki mogą zaistnieć. Wystarczyło więc tylko, aby Alison powołała się na te przypadki i zaakcentowała możliwość, iż coś podobnego mogło się i jej przydarzyć. Skoro dowód na pochodzenie androidalne przestanie być dowodem, sprawa musi upaść.

Inne jednak gazety przyjęły tezę, że może coś być w tym przypuszczeniu, iż androidy mogą się rozmnażać. Czemu nie? pytała jedna. Androidzi nie są stworami martwymi czy gorszego gatunku. Człowiek może coś ogrzać trzymając to w ciepłe własnego ciała albo przy ogniu. Podobnie dzieci można hodować wewnątrz ludzkiego ciała lub w warunkach sztucznych. Wyniki będą identyczne. Muszą być identyczne, jeśli po czterdziestu latach można jedne i drugie osobniki poddać ścisłym badaniom, a mimo to odróżnić się je da tylko po stemplu "Made in U.S.A." oraz po jego odciskach palców znajdujących się w kartotece.

Ludzie wierzyli dotąd, że androidzi nie mogą mieć dzieci, bo wmawiano im, że nigdy ich nie mieli. Teraz powiedziano, że jednak się rozmnażali. Gdzie leżała trudność? Człowiek wierzy, że skończyły mu się papierosy, do czasu, gdy zajrzy do paczki i stwierdzi, że został jeszcze jeden. Co wtedy? Czy nadal upiera się, że nie ma już papierosów, a to, co leży w paczce, to zupełnie co innego? Czy z tego powodu wyrzuca go do śmieci?

I prawie wszystkie gazety, niezależnie od ich zasadniczego punktu widzenia, zadawały najważniejsze, podstawowe pytanie.

To, że sztucznie wyprodukowani ludzie mogą się rozmnażać, było teoretycznie wiarygodne. Równie wiarygodne teoretycznie było to, że nie mogą.

Dlaczego jednak tylko jeden android na milion, jeden na pięć milionów, jeden na dziesięć milionów? Nawet obecnie wśród ludzi było przeciętnie jedno płodne małżeństwo na sześć.

X

- Jeśli Sąd się nie sprzeciwi - rzekł uprzejmie Roderick (postanowił zachowywać się najlepiej, jak potrafi, pomyślała Alison) - chciałbym niniejszy przewód przekształcić w postępowanie dochodzeniowe. Powiedzmy nawet, jeśli sąd sobie życzy, że Alison skutecznie obroniła swoją tezę, że prawnie rzecz biorąc nie można stwierdzić, iż wiedziała, że nie może mieć dzieci. Zapomnijmy o rozwodzie. Nie o to chodzi.

- Myślałem, że o to - odezwał się sędzia, oszołomiony.

- Każdy widzi, że ważne obecnie jest to - rzekł niecierpliwie Roderick - o czym wspomniiał dr Smith. Zajmijmy się problemem, czy w ogóle istnieje jakaś szansa na to, że Alison będzie miała dziecko.

- Sala sądowa niekoniecznie jest najlepszym miejscem do udowadniania tego - mruknęła Alison. Poczwała jednak pierwszy ciepły powiew szczęścia, którego, jak dotąd się jej zdawało, nie miała już nigdy doświadczyć.

- Kobiety zawsze przechodzą od spraw ogólnych do szczegółów - odparował Roderick. - Nie chodziło mi o to, czy będziesz miała dzieci, tylko o to, czy jest to faktycznie możliwe.

Sędzia zastukał donośnie.

- Zaniechałem się - oświadczył. - Nalegam na zachowanie pewnego porządku w moim własnym sądzie. Rodericku Liffcom, czy wycofuje pan swój pozew?

- Jakże to ma znaczenie? Więc, jeśli sąd musi już postępować formalnie, trzeba będzie postawić kilka szczerych pytań w rodzaju, czy Alison wciąż mnie kocha.

Sędziemu aż zatkało.

- A więc? - zażądał odpowiedzi Roderick, przesywając wzrokiem Alison.

Alison czuła się, jakby serce miało jej za chwilę wybuchnąć. - Jeśli żądasz szczerzej odpowiedzi - rzekła - brzmi ona "tak".

- Bardzo dobrze - oświadczył z satysfakcją Roderick. - Możemy więc od tego zacząć.

Obrócił się, by przygwoździć groźnym spojrzeniem sędziego Colliera, który usiłował mu przerwać.

- Proszę Sądu - powiedział zdecydowanie - czy Sąd chce poznać prawdę?

- Oczywiście, ale...

- I ja też chcę. Niech więc Sąd siedzi cicho. Zamierzałem trzymać swoje nerwy na wodzy, ale Sąd nieustannie załazi mi za skórę. Alison, czy zechcesz zająć miejsce dla świadków?

Nikt w sądzie nie miał wątpliwości, że Roderick to silna osobowość.

Kiedy Alison stanęła już, gdzie jej kazano, zwrócił się do ławy przysięgłych. - Powiem wam, o co mi chodzi - zaczął przyjaznym tonem. - Wszyscy zastanawiamy się, dlaczego, skoro coś takiego jest możliwe, występowało to tak rzadko. Niestety, dotychczas nikt oficjalnie nie przyznał, że to jest możliwe, więc ja o tym nie wiedziałem. Nigdy nie miałem okazji zająć się tym. Teraz mam taką okazję. Chcę wiedzieć, co przeszkadza androidom mieć dzieci, skoro teoretycznie mogą je począć.

Wyciągnął bezwiednie dłoń, nie patrząc dookoła, i ścisnął Alison za ramię. - Mamy tu przed nami Alison - kontynuował. - Spróbujemy ustalić, jeśli zdołamy, co mogło jej przeszkodzić mieć dzieci.

Alison cieszyła się w duchu, że siedzi. Czuła, jak kolana jej słabną do tego stopnia, że nie byłyby w stanie jej podtrzymać. Czy odzyskała Rodericka, czy też nie? Czy naprawdę mogła mieć dziecko? Dziecko Rodericka? Obraz sali sądowej falował jej przed oczyma.

Dopiero po chwili, stopniowo, uświadomiła sobie, że Roderick pyta ją, czy dobrze się czuje, pochyła się nad nią, obejmując ją, podtrzymuje.

- Tak - rzekła słabym głosem. - Przepraszam cię, Rodericku. Spróbuję ci pomóc, na ile będę mogła, ale czy naprawdę sądzisz, że jest jakaś szansa?

- Jestem psychologiem - przypomniał jej bardzo cicho - a ponieważ nigdy nie widziałaś mnie przy pracy, nie zaszkodzi poinformować cię, że jestem całkiem niezłym fachowcem. Może nie załatwimy tego przez najbliższe pół godziny, ale przekopimy się przez to w ciągu najbliższych sześćdziesięciu lat.

Alison nie zapomniała, gdzie się znajduje, ale wszystko dookoła wydało jej się takie szalone, że uznała, iż odrobina więcej szaleństwa nie zaszkodzi. Podniosła rękę i przyciągnęła jego usta do swoich.

XI

- To, czego szukam, musi być częścią życia każdego androida, zarówno mężczyzny, jak i kobiety - oświadczył Roderick. - Nie oczekuję, że znajdę to natychmiast. Powiedz nam po prostu, Alison, o

wszystkich przypadkach, kiedy zdawałaś sobie sprawę z różnicy - kiedy uświadamiano ci, że jesteś androidem, a nie człowiekiem. Zaczynaj od tak wczesnego okresu życia, jak zechcesz.

I - dodał z nagłym, nieoczekiwanym uśmiechem - zwracaj się, proszę, do sądu. Starajmy się oddzielić tę sprawę od naszej własnej, jak tylko się da.

Alison zebrała myśli, by zająć się wyznaczonym jej zadaniem. Właściwie nie zależało jej na sięganiu pamięcią w przeszłość. Chciała spoglądać przed siebie, w nową, świetlaną przyszłość. Zmusiła się jednak, by zacząć.

- Wychowałam się w Ośrodku Androidów w Nowym Jorku - powiedziała. - Tam nie było żadnej różnicy. Niektóre dzieci uważały, że owszem, jest. Słyszałam czasem, jak starsze rozmawiały, że miałyby znacznie lepiej, gdyby były ludźmi. Jednak dwukrotnie, gdy w Ośrodku było przepełnienie, a sierociniec dla ludzkich dzieci miał dużo wolnych miejsc, przenoszono mnie do niego i żadnej różnicy nie zauważyłam.

Najważniejszą sprawą w Ośrodku - daleko ważniejszą niż kiedykolwiek później - jest umiejętność zachwalania swoich walorów. Jeśli masz atrakcyjny i pociągający wygląd, wówczas ktoś szukający dziecka do adopcji zauważy cię i zyskasz dom, poczucie bezpieczeństwa, uczucie. Ja nie byłam ani atrakcyjna, ani pociągająca. Siedziałam w Ośrodku aż do dziewiątego roku życia. Widziałam wiele małżeństw szukających dzieci, które zawsze zabierały jakieś inne, nigdy, nigdy mnie, tak że w końcu byłam pewna, iż zostanę tam tak długo, aż będę za stara do adopcji i przyjdzie mi zarabiać na swe utrzymanie, zawsze samotnie.

Pewnego razu jedna z pielęgniarek w Ośrodku znalazła mnie zapłakaną - już nie pamiętam, dlaczego płakałam - i uspokajała mnie mówiąc, że nie mam żadnego powodu do płaczu, bo jestem mądra, a będę piękna - a czego więcej może chcieć dziewczyna? Spojrzałam w lustro, ale nadal wydawałam się sobie taka, jak poprzednio. Pielęgniarka chyba jednak dobrze wiedziała, co mówi, bo po upływie zaledwie tygodnia zjawilo się pewne małżeństwo, które rozejrzawszy się po Ośrodku wybrało mnie.

Alison zaczerpnęła głęboko powietrza; łzy w jej oczach nie były udawane.

- Nikt, kto nie przeszedł tego, co ja, nie potrafi docenić, co to znaczy w wieku dziewięciu lat mieć po raz pierwszy prawdziwy dom - rzekła. - Powiedzenie, że oddałabym życie za rodziców, nawet w połowie nie wyraża moich uczuć. Może to właśnie wprowadziło w błąd Rodericka.

Wiedział, że przynajmniej dwa razy w miesiącu odwiedzam rodziców. Na pewno pomyślał, że to prawdziwi rodzice, więc nie zapytał, czy jestem androidką.

Spojrzała na Rodericka po raz pierwszy od początku swej opowieści. Ten skinął głową.

- Mów dalej, Alison - odezwał się cicho. - To jest to, o co mi chodzi.

- Ten świat nie jest przykry dla androidów - upierała się Alison. - Tylko czasami, bardzo rzadko...

Umilkła i Roderick musiał ją ponaglić. - Tylko czasami co?

Ale Alison nie była już na sali sądowej. Cofnęła się jedenaście lat w przeszłość.

XII

Alison wiedziała wszystko, co trzeba, o tym kłopotliwym okresie, kiedy przestanie być dzieckiem, a stanie się kobietą. Ale zupełnie nie zdawała sobie sprawy, jak nagle to się stanie, że zdawać się będzie procesem jeszcze gwałtowniejszym i przemiana zakończy się, nim ona sama przygotuje się do jej przyjęcia.

Nie sypiała zbyt dobrze, ale była zdrowa i miała takie rezerwy energii, że bezsenność nie odbijała się na jej twarzy; a w tym jednym przypadku jej adoptowani rodzice zawiedli ją. Choć Alison nigdy się do tego nie przyznała, wszystko poszłoby o wiele łatwiej, gdyby Susan przeprowadziła z nią rozmowę, a Roger, nie mówiąc ani słowa, okazał swoim zachowaniem, że wie, co się dzieje.

Pewnego dnia wyszła na spacer, próbując zmęczyć się na tyle, by nie mieć kłopotów z bezsennością. Po jakimś czasie natknęła się w lasku na grupę chłopców w jej wieku. Jednego z

nich, Boba Thompsona, znała przelotnie; poza tym wiedziała, że przewodzi im wysoki jak chłopcy w wieku lat piętnastu Harry Hewitt. Nie wiedziała, czy któryś z nich jest androidem; nigdy nie przyszło jej do głowy pytać o to. Nie wydawało się też, by ktokolwiek interesował się czy przywiązywał jakąś wagę do tego, że ona jest androidką, więc gdy przeszła obok nich, a któryś gwizdnął, i gdy poczuła wbity w siebie wzrok wielu oczu, mimo woli poczerwieniała.

Widziała, jak Bob Thompson szepce coś do Harry'ego Hewitta. - Androidka, co? - wypalił Harry. - Androidka! No, to pięknie! - Stał przed nią i zagroził jej drogę. - Cóż za piękna androidka - odezwał się głośno, ale mówił bardziej do swej widowni niż do niej. - Widziałem cię już przedtem, ale myślałem, że jesteś zwykłą dziewczyną. Zdejmuj bluzkę, androidko.

Stojący w grupce poruszyli się, zaniepokojeni. Któryś szturchnął Hewitta.

- Wszystko w porządku - zapewnił tamten. - Ona jest androidką. Nie ma prawdziwych rodziców; mieszka u ludzi, którzy ją wzięli, żeby udawać, że mogą mieć dzieci.

Alison spoglądała to w lewo, to w prawo, niczym osaczone zwierzę.

- Ludzie mogą robić z androidami, co zechcą - poinformował Hewitt swoich bojaźliwych towarzyszy. - Nie wiedzieliście tego? Ale musimy upewnić się, że ona jest androidką. Trzymaj ją, Butch.

Ktoś z tyłu schwycił Alison mocno za biodra, które tak niedawno straciły chłopięcy wygląd i alarmująco się zaokrągliły. Wierzgała nogami i wrywała się, aż serce groziło jej pęknięciem, ale Butch, kimkolwiek był, okazał się silny. Dwaj inni chłopcy chwycili ją za ręce. Powoli, do wtóru nerwowych, podnieconych chichotów, Hewitt odsunął jej bluzkę od spódnicy i spojrzał na pępek.

- Made in U.S.A. - orzekł z zadowoleniem. - A więc wszystko gra.

Porzuciwszy zupełnie swój poprzedni ostrożny, w miarę przyzwoity sposób postępowania, wyciągnął jej białą bluzkę zza paska i szarpnięciem zdarł z ramion. Alison osunęła się na kolana, gdy poczuła, jak ktoś z tyłu zaczyna manipulować przy jej staniku.

- Ach nie, nie! - wykrzyknął Hewitt z udanym przerażeniem. - Nie wolno tego robić, póki ona sama nie pozwoli. Nawet androidzi mają swoje prawa. Albo przynajmniej, jeśli nie mają, powinniśmy okazać kulturę i udawać, że mają. Powiedz, androidko, że możemy robić z tobą, co zechcemy.

- Nie! - krzyknęła Alison.

- No, to trudno. Przesuń trochę uchwyt, Butch. Szorstkie dłonie przesunęły się w górę po jej żebrach, drapiąc delikatną skórę.

Alison dziko wrywała się i wykręcała.

- Siedź spokojnie - rozkazał Hewitt. Mówił bardzo cicho, ale na jego twarzy malowała się dzika radość. Powoli i ostrożnie rozpiął pasek Alison i ściągnął w dół spódnice i znajdujące się pod nią białe figi. Potem wyjął ciężki składany nóż, otworzył go i przytknął ostrze dokładnie w środku jej brzucha. Alison wciągnęła brzuch; ostrze jednak przesunęło się w przód, wpijając się w skórę.

- No, androidko, powiedz, że możemy robić z tobą, co zechcemy!

Nóż wbił się mocniej. Spod ostrza wypłynęła karmazynowa kropelka i spłynęła powoli w stronę spódnicy. Alison przestała panować nad sobą.

- Możecie ze mną robić, co zechcecie! - zawyła.

Jej stanik, rozpięty przez kogoś z tyłu, opadł na ziemię. Nóż Hewitta przeciął jej pasek i spódnica zaczęła ześlizgiwać się wzdłuż po biodrach. Ręce Butcha znowu przesunęły się na jej talię, brutalnie się w nią wpijając. Gdzieś z tyłu jakaś ręka jakby na próbę dotknęła jej piersi, zaś inna schwyciła ją za ramię. Jej stopy uniesiono nad ziemię, jedną po drugiej, zdjęto z nich pantofle i rzucono je w krzaki.

Ale jednak ktoś usłyszał krzyk Alison. Wiele czasu po tym, jak pomyślała, że nikt nie przyjdzie, ktoś się jednak pojawił.

- Cholera - powiedział Hewitt, gdy któryś z jego kompanów krzyknął i pokazał ręką - zawsze coś musi wszystko popsuć! Spadamy, chłopaki.

I już ich nie było. Alison schwyciła spódnicę i obejrzała się z wdzięcznością. Mężczyzna i kobieta stali zaledwie o kilka metrów od niej. Kobieta była młoda i brzemienna. Oczywiście ludzie, oboje. Otworzyła usta, by im podziękować, by wyjaśnić, by zapłakać.

Ale oni patrzyli na nią jak na jakiegoś rozdeptanego żuka.

- No jasne, androidka - powiedział mężczyzna z niesmakiem. - Parszywe, małe bydlę.

- Prawie dziecko - odrzekła kobieta - a już się do tego zabiera.

- Chyba jej przetrzępię skórę - mówił dalej mężczyzna. - Nie sądzę, żeby to wiele pomogło, ale...

Alison wybuchnęła płaczem i rzuciła się pomiędzy krzaki. Nie obejrzała się, by zobaczyć, czy mężczyzna pobiegł za nią. Gałęzie i kolce raniły jej skórę; spódnica opadła i przeszkadzała jej w biegu. Pędziła na łeb, na szyję, uskoczyła przed kolczastym krzakiem, walnęła z całej siły w pień drzewa i upadła na ziemię bez tchu, przerażona, czekając na uderzenia.

Jej nogi, ramiona i dłonie pokryte były długimi zadrapaniami, a na skórze okrywającej zebra jakaś giętka gałązka, która uderzyła ją niczym bicz, pozostawiła pokaźną pręgę. Ale to nie miało znaczenia. W jej bok wpijał się zakrzywiony korzeń - ale to też nie miało znaczenia. Nic się nie liczyło. Dlaczego nikt jej nie powiedział, że jest istotą drugiej kategorii? W jakiś sposób sama o tym wiedziała - zawsze o tym wiedziała. Ale nikt jej do dotąd tego nie wykazał.

Potem zrozumiała, dlaczego ten mężczyzna i kobieta, którzy na pewno zobaczyli lub odgadli, co się naprawdę stało, zareagowali w taki sposób. Albo już mieli dzieci, albo się ich spodziewali. Nienawidzili wszystkich androidów. Androidzi byli niepotrzebni, byli ich wrogami i wrogami ich dzieci.

Ale w tamtej chwili po prostu czekała, bezsilna, niezdolna do żadnej myśli. Mężczyzna przyjdzie i ją zbije, Susan i Roger wypędzą ją i nigdy już nie zazna szczęścia.

XIII

- Rodzice nigdy się o tym nie dowiedzieli - rzekła Alison. - Schowałam się w zaroślach, póki nie zrobiło się ciemno, a potem poszłam prosto do domu. Po dachu szopy wspierałam się do okna mojej sypialni, a potem udawałam, że jestem tam od dawna.

- Dlaczego nikomu nic nie powiedziałaś? - spytał Roderick.

Alison wzruszyła ramionami. - Był to drobny incydent, który dotyczył tylko mnie. Kiedy już miałam czas się zastanowić, pojęłam, że rodzice będą się martwić i gniewać, choć nie na mnie. Zdecydowałam, że lepiej nic nie powiem. Nic mi się nie stało, a cała reszta nie jest ważna, kiedy się zastanowić nad tym później, prawda?

- A co z tym mężczyzną, który obiecywał ci lanie?

- Nigdy więcej go nie widziałam. Dopiero dwa lata później otrzymałam swoją pierwszą karę.

- Chwileczkę - rzekł Roderick. - Powiedziałaś, że nawet wtedy wiedziałaś, iż jesteś istotą drugiej kategorii; że wiedziałaś o tym nawet wcześniej, ale dopiero wtedy ci to uświadomiono. Skąd o tym wiedziałaś? Kto ci o tym powiedział? Kiedy? Gdzie?

Alison próbowała sobie przypomnieć. Wszyscy widzieli jej wysiłek. Ale zdołała wykrztusić jedynie: - Nie wiem.

- No, dobrze - powiedział Roderick, jak gdyby nie miało to znaczenia. - A co zdarzyło się dwa lata później?

- Być może przywiązuję zbyt wielkie znaczenie do tych incydentów - zauważyła Alison tonem usprawiedliwienia. - Pewnie, zdarzyły się. Kiedy jednak mówię "minęły dwa lata", daję do zrozumienia, że nie zdarzyło się prawie nic; prawie nikt niczego nie powiedział ani nie zrobił, co przypominałoby mi, że jestem androidką, a nie człowiekiem.

Kiedy miałam lat szesnaście, może siedemnaście, odkryłam nagle w sobie talent do tenisa. Grałam już wcześniej, gdy byłam całkiem mała; ale gdy czołowi gracze to mają formę, to jej nie mają, ja poprawiałam się ze spotkania na spotkanie. Zmieniłam klub. Wystawiono mnie do

ważnego meczu. Grałam w singlach, mikście oraz deblu żeńskim. Poszło mi dobrze, ale nie o to chodzi.

Po meczu moja partnerka z debla powiedziała mi, że jestem proszona do szatni. W jej głosie było coś dziwnego, czego w pierwszej chwili nie potrafiłam zidentyfikować. Pomyślałam, że może zagrałam w niewłaściwym meczu czy nie pokłoniłam się trzy razy na wschód - wszyscy wiedzą przecież, jakie są te kluby.

- Nie, nie wiemy - odezwał się sędzia Collier. - Przecież nie wiemy niczego, pamięta pani? Proszę nam powiedzieć.

Ni stąd ni zowąd nieobliczalny Roderick przytaknął mu skinieniem głowy.

XIV

Alison uśmiechała się niepewnie idąc za Veronicą. Zazwyczaj nie denerwowała się zbyt ani nie przejmowała; rzadko ogarniały ją obawy. Była oczywiście zainteresowana, a do głowy przychodziły jej coraz to dziwniejsze przypuszczenia. Czyżby wzięto ją za kogoś innego? Czy ktoś coś ukradł i podejrzewano, że to ona zrobiła? Może sprawdzano jej raketę i stwierdzono, że jest o cal za szeroka.

W szatni zebrała się cała drużyna. Sprawa zaczęła wyglądać poważnie, szczególnie gdy Alison zobaczyła twarze kolegów. Nadal nie przychodziło jej do głowy, że to, iż jest androidką, może mieć z tą sytuacją cokolwiek wspólnego. Jak dotąd tylko raz w jej życiu dano jej naprawdę do zrozumienia, że androidzi to istoty drugiej kategorii.

Ale chodziło właśnie o to. Bob Walton, kapitan drużyny, oświadczył poważnie, że ich przeciwnicy, pokonani prawie bez walki, zarzucili im, iż wzmocnili swą drużynę czołową androidką.

Alison roześmiała się. - To coś nowego. Słyszałam już najróżniejsze wykrety. Sama je również wymyślałam: światło było złe, sędzia stuknięty, miałam kamyk w bucie, ludzie się wierzili, siatka była za wysoko. Ale nigdy "wystawiliście przeciw nam androidów". Androidzi to zwykli ludzie - zawodnicy dobrzy i źli. Mistrz świata w singlu jest androidem; za to mistrzyni ma pochodzenie naturalne. Sami o tym dobrze wiecie, tak jak ja. Tak samo ktoś mógłby się uskarżać, że został pokonany przez zawodnika wysokiego, niskiego albo długorękiego.

Wszyscy się wyraźnie odprężyli.

- Przykro nam, Alison - rzekł Walton. - Po prostu nikt z nas nie wiedział, że jesteś androidką.

Alison zmarszczyła czoło. - O co wam chodzi? Oczywiście, że jestem androidką. Nie powiedziałam tego, bo nikt mnie o to nie pytał.

- Każdy z nas sądził - powiedział sztywno Walton - że będziesz o tym wiedziała... i z resztą z pewnością wiedziałaś. W Lidze Ateńskiej nie występują androidzi. Staramy się, aby przynajmniej jedna grupa zachowała czystość.

Obrzucił spojrzeniem pozostałych dwóch mężczyzn z zespołu i skinął głową. Bez słowa wszyscy trzej wyszli z szatni.

Alison, pozostawiona z trzema dziewczętami, z których jedną wyeliminowała z drużyny, sprawiała wrażenie zirytowanej.

- Przecież to bzdura - odezwała się. - Chcecie mieć ligę tylko z ludzkimi zawodnikami, to proszę bardzo, mnie to nie przeszkadza. Ale rozwieście sobie odpowiednie transparenty, żeby nie było nieporozumień. Ja nie wiedziałam...

- Czy wiedziałaś, czy nie, to nie ma znaczenia - oświadczyła zimno Veronica. Ta sama Veronica, która jeszcze przed paroma minutami śmiała się, paplała i razem z nią wygrała mecz. - Załatwimy to tak, że teraz już będziesz pamiętać.

Wszystkie ruszyły na nią; zapowiadała się walka. Alison nie przejmowała się. Silnym ciosem w zębra posłała w kąt Veronicę, chwytając ustami powietrze. Oczekiwała, że zaczną zdzierać z niej kostium, bowiem wydawało się jej, że ludzie zwykle w ten sposób postępują z androidami. Ale ta scena była zupełnie odmienna od tamtej, w zaroślach. Tym razem walka była czysta i sportowa. Mężczyźni zachowali się przyzwoicie wychodząc, toteż zamiast kilku uzbrojonych w nóż nastolatków przeciwko przerażonemu dziecku stały teraz trzy dziewczyny naprzeciw jednej.

Alison walczyła twardo, ale przepisowo. Domyślała się, że gdyby nie zachowywała się fair, dostarczyłaby argumentów ludziom nienawidzącym androidów. Trzeba było jednak oddać sprawiedliwość i dziewczętom - one również walczyły przepisowo. Zadawały jej ciosy, ale nie rzucały się z pazurami do twarzy ani nie szarpały za włosy.

Spisywała się mężnie, ale przy równych siłach troje zawsze pokona jednego. Przewrócono ją na podłogę, twarzą w dół. Dwie dziewczyny usiadły na jej nogach i ramionach, a trzecia waliła zamasyście rakieta w jej siedzenie.

To nie były żarty. Alison nie pisnęłaby, nawet gdyby razy były o wiele silniejsze; kiedy jednak puściły ją, czuła się fatalnie. Dziewczyny wyszły zostawiając ją samą w szatni.

Pozbierała się i otrzepała z kurzu. Podłoga była jednak czysta, toteż stojące w rogu lustro powiedziało jej, że wygląda nieźle. A w rzeczywistości wyglądała znacznie lepiej niż trzy dziewczyny, które spuściły jej lanie.

Wciąż jeszcze rozgniewana, potrafiła jednak pomyśleć ze stoickim uśmiechem, że gdyby chciała, pokonałaby wszystkie trzy zarówno w tenisie, jak i w konkursie piękności. Mogłaby wmówić sobie, gdyby chciała, że zazdrościły jej tego. Może i w części było to prawdą.

Uczucia jej zostały zranione, ale innych szkód nie poniosła. Potrafiła nawet dostrzec punkt widzenia tamtych.

XV

- A jakież to był punkt widzenia? - spytał Roderick.

- No więc byli to ludzie, a poza tym snobi. Nawet przyznaliby się do tego, że są snobami, gdyby właściwie sformułować pytanie. Klub był prywatny...

- Toteż jest zupełnie oczywiste - podsunął Roderick delikatnie - że powinni wykluczać androidów, którzy są istotami drugiej kategorii.

- Nie, to nie tak - zaprotestowała ze śmiechem Alison. - Właściwie to nie uważam... Przerwała.

- Tylko czasami? - nalegał Roderick. - Czy też częścią swego umysłu, podczas gdy druga wie doskonale, że android jest równy człowiekowi?

Alison nagle zadrżała. - Wiesz co? Mam dziwne uczucie, jakbym wpadała w jakąś pułapkę.

- Ludzie zawsze to czują - rzekł Roderick - na chwilę przed tym, jak stwierdzą, że nie muszą już się obawiać pająków czy czegośkolwiek, przed czym dotychczas czuli strach.

W sądzie panowało całkowite milczenie. W profesjonalnej fachowości Rodericka oraz determinacji Alison skłaniającej ją do współpracy było coś, co wykluczyło jakiegokolwiek zakłócenie ciszy.

- Chyba niewiele więcej mogę do tego dodać - rzekła Alison. - Podjęłam pracę, nie żebym musiała, ale chciałam. Zatrudniła mnie agencja reklamowa. Wiedzieli, że jestem androidką. Płacili mi dokładnie tyle, co innym. Kiedy zobaczyli, że pracuję dobrze, dali mi podwyżkę.

Potem jednak zauważyłam coś: nigdy nie przypisywano mi żadnych zasług. Kiedy wpadłam na jakiś dobry pomysł, zawsze jakoś udawało się zaliczyć go komuś innemu. Wkrótce wytworzyła się dziwaczna sytuacja. Miałam niskie stanowisko, pozycję prawie żadną, ale wykonywałam odpowiedzialną pracę i płacono mi za nią dobrze.

Poszłam do innej agencji; tym było zupełnie inaczej. Znowu wszyscy wiedzieli, kim jestem, ale nikt nie zdradzał najmniejszego zainteresowania tym faktem. Kiedy szło mi dobrze, byłam

premiowana. Kiedyś coś spaprałam, mój szef wymyślał mi, nazywając mnie głupią, niekompetentną, pustogłową laleczką z okładki, a także innymi określeniami, których wolałabym tu nie powtarzać.

Nigdy jednak nie przyszło mu do głowy nazwać mnie parszywą androidką. Myślę też, że on nie był androidem.

Wstąpiłam do kółka dramatycznego, ale znowu wybrałam niewłaściwie. Nikomu nie przeszkadzało, że jestem androidką. Nie dawali mi samych ogonów. Ale przecież było zupełnie oczywiste, że trzy normalnie urodzone dziewczyny z obsady nie będą używać tej samej garderoby, co ja i jeszcze jedna androidka. Kiedy nie było dwóch pomieszczeń, ona i ja musiałyśmy przebierać się za kulisami.

Zdarzyły się jeszcze dziesiątki podobnych incydentów. Mnożyły się w miarę upływu lat - nie dlatego, że zróżnicowanie stało się silniejsze, ale ponieważ zaczęłam poruszać się w wyższych sferach. Tam, gdzie ciebie nie szanują, jeśli nie skończyłeś Harvardu czy Yale, to, że jesteś androidem, również ci nie pomaga.

Potem wyszła ustawa i już nie trzeba było się przyznawać do swego pochodzenia. Nie wiem, co poczęła z tym fantem Ateńska Liga Tenisowa. Mogłam już pojechać do Everton i mało kto wiedziałby, kim jestem. A poza tym jeszcze ten prosty fakt, pomimo wszystkiego, o czym opowiadałam - że mało kto zwracał na to uwagę. Jest tylu androidów, tylu ludzi. Można znaleźć się w towarzystwie jako jedyny android wśród ludzi - lub na odwrót.

Potem poznałam Rodericka.

- Myślę - rzekł Roderick - że to nam wystarczy. - Zwrócił się w stronę sędziego. - Oczywiście, wycofuję swój pozew. Zdaje się, zresztą, że jest to oczywiste od jakiegoś czasu.

Podał ramię Alison. - Chodźmy, kochanie, pora na nas.

Burza w sądzie rozpętała się na nowo. Był to zapewne jeden z najbardziej hałaśliwych, a jednocześnie jeden z najspokojniejszych procesów w dziejach sądownictwa. Sędzia, zapomniawszy o swoim dostojeństwie, wstał i podskakiwał, zły i zniecierpliwiony, to na jednej nodze, to na drugiej.

- Nie możecie tak sobie... wyjść! - zaskrzeczał. - Nie skończyliśmy... nie wiemy...

- Mnie to zupełnie wystarczy - powiedział Roderick. Zawahał się chwilę, podczas gdy hałas na sali narastał. - No, dobrze - rzekł podnosząc głos. - Proszę jednak pamiętać, że nie da się słowami wytłumaczyć ludzi przed nimi samymi. To te drobiazgi, które sprawiają, że ktoś popełnia głupstwa czy nie postępuje normalnie, pomagają stopniowo wytłumaczyć go przed kimś czy przed nim samym.

Pogrzebał w kieszeniach i wyciągnął kluczyki. - Zaczekaj w samochodzie, kochanie - rzekł i wytłumaczył Alison, gdzie zaparkował. Wyszła, wciąż oszołomiona.

- Muszę ukryć ją przed dziennikarzami na dzień czy dwa - Roderick mruknął jakby do siebie. - Potem to już nie będzie miało znaczenia. - Następnie przeniósł swą uwagę na salę sądową. - No dobrze, posłuchajcie. Jeśli się nie mylę, odkryłem coś, co leżało pod nosem każdego bez wyjątku przez ponad dwieście lat, a nikt tego dotąd nie zauważył. Nie twierdzą, że znalazłem to w pięć minut. Myślałem nad tym przez ostatnie dwadzieścia cztery godziny, z pomocą zapisów przypadków znacznej liczby pacjentów - androidów.

Chcecie słuchać, czy nie? - ryknął, gdy szum podnieconych głosów przybrał na sile. - Wcale nie muszę wam tego mówić. Wolę wracać do domu z Alison. Widzieliście ją. Więc jak?

Sala powoli się uspokoiła.

- Zastanówmy się chwilę nad problemem bezpłodności u ludzi - powiedział Roderick. - Jak można sobie wyobrazić, część przypadków ma podłoże medyczne, część zaś - psychologiczne. Jako psycholog wyleczyłem już kilka osób z tak zwanej "jałowości", a kiedy leczenie się zakończyło, okazało się, że nie miała ona nic wspólnego z bezpłodnością; była jedynie nerwicą.

Tacy ludzie nie mieli i nie mają dzieci, ponieważ z powodu jakiegoś wniosku, do którego doszła ich podświadomość, nie chcą ich; uważają, że nie powinni ich mieć, albo są przekonani, że nie mogą ich mieć.

Ale to tylko niewielka część przypadków. Mam również inne i po konsultacji z odpowiednim specjalistą stwierdzam, że nie ma w nich nic psychologicznego.

Obecnie zaś doszedłem do wniosku, że wszyscy androidzi są nieplodni z powodów psychicznych. Bezpłodność wżarła się w cykl reprodukcyjny ludzi, ale czemu miałyby dotknąć androidów? Jeśli jeden z nich jest w stanie się rozmnażać, to wszyscy pozostali również. Chyba że oni, podobnie jak ci ludzie, których wyleczyłem, doszli podświadomie do wniosku, że androidzi nie mogą albo nie powinni mieć dzieci, albo też nie wolno im.

I wiemy teraz, że niemal wszyscy doszli do takiego wniosku.

Głos Rodericka ścichł nagle; a kiedy mówił cicho, to po to, by podkreślić pewne punkty. Wtedy ludzie słuchali; na sali nie było słycać żadnego szmeru.

- Moim zdaniem, gdyby ktoś teraz przeprowadził badanie opinii w celu ustalenia, kto nadal utrzymuje - żarliwie, uczciwie i szczerze - że androidzi nie mogą się rozmnażać, stwierdziłby, że najbardziej żarliwymi, uczciwymi i szczerymi orędownikami tej tezy są sami androidzi. Gdyby zaś zbadać przeszłość, myślę, że przyniosłaby ten sam wynik. Czyż nie jest znamienne, że to lekarz - człowiek po raz pierwszy publicznie oświadczył, iż androidzi nie są bezplodni?

Każdy android ma wbudowany aksjomat psychologiczny, stwierdzający, że aby przeżyć, musi być niższej kategorii niż człowiek. I oto jest odpowiedź. Androidzi nie przychodzą do mnie, żebym ich wyleczył z bezpłodności, bo nie chcą zostać wyleczeni. Wiedzą, że to jest dla nich ważne. Drugą, bardziej świadomą częścią swego umysłu myślą coś wręcz przeciwnego, ale to się nie liczy, gdy dochodzi do spraw takich, jak ta.

I dawno temu, nieświadomie, androidzi wybrali taką postawę. Androidzi nie mogą stanowić zagrożenia, skoro nie są w stanie się rozmnażać. Androidzi będą uznani za istoty niższego rzędu, jeśli nie będą w stanie się rozmnażać. Androidom pozwole się istnieć, jeśli nie będą w stanie się rozmnażać. Androidzi mogą współzawodniczyć z ludźmi w innych dziedzinach, skoro nie są w stanie się rozmnażać.

Rozglądając się po sali sądowej Roderick wiedział, że się nie myli. Po raz pierwszy można było prawie natychmiast odróżnić ludzi od androidów. Połowa osób siedzących na sali okazywała zainteresowanie, znużenie, rozbawienie, obojętność, zamyślenie... to ludzie. Druga połowa była rozgniewana, przerażona, zawstydzona, apatyczna, urażona, dziko podniecona albo we łzach... Roderick bowiem targał posadami ich świata.

- Pokładam wielkie nadzieje w Alison - zauważył łagodnie - ponieważ sprowadziła doktora Smitha. Rozumiecie, co to znaczy? Nawet jeden android na tysiąc nie zdobyłby się na coś takiego? Ona musi mnie bardzo kochać... ale to już zupełnie nie wasz interes.

Wyszedł z sali tymi samymi drzwiami, co Alison. Tym razem nikt nie próbował go zatrzymać. U drzwi przystanął.

- Kiedy urodzą się pierwsze uznane dzieci androidów - zauważył - będzie to oznaczało, iż niezależnie od wszelkich doświadczeń i nieszczęść, jakie jeszcze czekają ludzkość, rasa ludzka nie wymrze. Ponieważ... sądzę, że wszyscy moglibyśmy pogłowieć się nad tym troszkę... dzieci androidów nie mogą przecież być androidami, prawda?

XVI

Roderick prowadził. Zazwyczaj robiła to Alison, gdy jechali gdzieś razem, ale powstała jakaś niepisana umowa, że przez jakiś czas prawie wszystkim zajmie się Roderick.

- Wygraliśmy oboje - powiedziała z zadowoleniem. - A przynajmniej wygramy, gdy zjawi się mały Roderick.

- Jesteś pewna, że się pojawi? - spytał Roderick, swoim zawodowym, beznamiętnym tonem.
- Nie całkiem. Ciekawe, o czym mówiłaś w sądzie. Może nie powinnam próbować się dowiedzieć?

- Próbuj, jeśli chcesz. Ale rób to od siebie. Ze swej duszy. Ja ci pomogę.

- Myślę - zadumała się Alison - że to musi mieć coś wspólnego z doktorem Smithem.

- Tak? Dlaczego?

- Ponieważ kiedy przypominałam sobie, jak po raz pierwszy usłyszałam o nim i jego poglądach, że androidzi mogą mieć dzieci, doznałam osobliwego uczucia. Jak wtedy, gdy Hewitt wbijał mi nóż w brzuch, tylko że...

Zaśmiała się nerwowo, niespokojnie. - Jak gdybym to ja trzymała ten nóż i musiała coś ze swego ciała wyciąć, ale nie zabijając przy tym siebie. A jednocześnie wydawało mi się, że mogę to wyciąć, jeśli będę próbować dostatecznie mocno i długo, a przy tym nie zabiję siebie.

Roderick skręcił w ulicę, przy której mieszkali. - To może niezbyt profesjonalna postawa - rzekł źle ukrywając radość w głosie - ale nie sądzę, żeby ci to zaszkodziło, Alison. No więc będzie mały Roderick. Nie ja o tym zadecydowałam. Ty to zrobiłaś. I nie zabije cię to. I... O mój Boże, popatrz tylko!

Aparaty fotograficzne cykały jak świerszcze, gdy Roderick Liffcom prznosił swoją żonę przez próg ich domu. Fotoreporterzy nie musieli za nimi jechać, bo dobrze wiedzieli, dokąd udają się Liffcomowie. Naświetlano dziesiątki klitek. Roderick i Alison byli na ustach wszystkich. Ich nazwisko znał prawie każdy.

Roderick był tak dobrze zbudowany i silny, że mógł z lekceważeniem traktować te pięćdziesiąt pięć kilogramów żony, ale w sposobie, w jaki ją trzymał, nie było nic z owego lekceważenia. Niósł ją, jakby była z kryształu, który nawet najlżejszy wstrząs mógłby roztrzaskać na kawałki. Każdy, kto by mu się przyjrzał choć przelotnie, dostrzegłby, że gdyby Roderick zechciał, mógłby przebierać w kandydatkach do przenoszenia przez próg.

Alison skuliła się w jego ramionach jak kocię, z oczyma półprzymkniętymi z zachwytu, z ramionami wokół jego szyi. Każdy, kto przyjrzałby się jej choć przelotnie, zauważyłby, że gdyby zechciała, mogłaby przebierać w kandydatach do roli niosącego przez próg.

Kiedy weszli, nastąpił początek pewnej historii. Postąpmy jednak niekonwencjonalnie i nazwijmy to końcem.

Miałeś rację Joe

Nie wiem, Joe, czy te słowa do ciebie docierają, ale skoro miałeś rację w tylu innych sprawach, to sadzę, że i tu się nie pomyliłeś.

Pamiętasz, wyszło ci, że nie zmaterializuję się ot, tak sobie, nago na ulicy jakiegoś miasta. Powiedziałeś, że będę autentycznym człowiekiem z ich czasów, odpowiednio ubranym, z jakaś tam przeszłością. Ale uprzedziłeś mnie - i za to jestem ci wdzięczny, Joe; nie musiałeś, ale mnie uprzedziłeś - że nie ma gwarancji, iż zachowam swój wygląd.

Mogę już teraz przyznać się, że wcale mnie to nie cieszyło. Nie byłem dotąd specjalnie przystojny, a i moja budowa ciała nie dawała mi szans na mistrzostwo wagi ciężkiej. Ale przyzwyczaiłem się już do swojej twarzy i nie całkiem pasowało mi oglądanie obcej za każdym spojrzeniem w lusterko.

Gdybym wtedy wiedział, jak to będzie, nigdy bym się na to nie zgodził. Przykro mi, Joe, ale nawet dla ciebie nie zrobiłbym tego. Ale skoro już tu jestem, muszę się ustawić jak najlepiej.

Miałeś rację, Joe, cały czas. Nikt nie uciekł z wraskiem, kiedy się tu zjawiłem, i nikt mnie nie aresztował. Trafiłem po prostu w miejsce, które było przeznaczone dla mnie, właściwie ubrany, ze znajomością odpowiedniego języka. Mam nowe nazwisko. I tak, jak powiedziałeś, jestem inny. Inny? To tak, jakby ktoś powiedział, że Gina Lollobrigida różni się "nieco" od ciotki Flory!

Kiedy się tu znalazłem, rozejrzałem się dookoła, oczywiście. Widziałem przechadzających się ludzi i barwne budowle, prawie zupełnie pozbawione linii prostych. Wystarczyło przelotne spojrzenie, by się przekonać, że jest to wysoko rozwinięta cywilizacja, wiele wieków po naszej.

Zanim rozejrzałem się dokładniej, zrobiłem następną oczywistą rzecz. Spojrzałem w dół, na tę część mojego ciała, która mogłem widzieć.

O mało nie wyskoczyłem ze skóry, Joe. Znasz te reklamy: "I ty możesz być tak zbudowany, jak ja !" No więc ja właśnie byłem taki : złota opalenizna, pulsujące mięśnie, klatka piersiowa jak u byka. Właśnie: "ja - Tarzan". Ubrany byłem w bardzo krótkie, obcisłe spodenki oraz buty, to wszystko. Wierz mi, byłem przerażony jak nigdy w życiu.

Wiem, ostrzegałeś mnie, Joe. Śmieszna rzecz, spodziewałem się, że będę młody. Byłem nawet przygotowany na to, że mogę być, starcem. Ale nigdy nie widziałem siebie w roli Supermana. Nie mogę się do niej w ogóle przyzwyczaić.

Nie to, żeby wszyscy dookoła byli tacy jak ja. Wcale nie. Wszyscy wyglądali młodo i zdrowo; wszyscy byli przystojni. Jednak nie odznaczali się wzrostem ani siłą. Od razu stwierdziłem, że zwracam na siebie uwagę, że się wyróżniam.

I to mnie ogromnie przerażyło. Niektórym wcale by nie przeszkadzał wygląd greckiego boga. Ja taki nie jestem. Całe życie mnie nie zauważano wiesz o tym dobrze, Joe - i nie nadają się na wcielenie męskości. Nie wiem, czy w ogóle się kiedyś do tego przyzwyczaję.

W każdym razie, Joe, poza tym, o czym przed chwila wspominałem, wszystko się chyba udało. I chciałbym od razu zaznaczyć, że moim zdaniem możesz się też bezpiecznie tu wybrać, jeśli chcesz. Nigdy nie mówiłeś, że wysyłasz mnie jako królika doświadczalnego, żeby sprawdzić, czy sam możesz się tu bezpiecznie przenieść, ale taki głupi to ja nie jestem. Mimo to i tak zgodziłem się zaryzykować.

Jeśli się tu znajdziesz, też pewnie okaże się, że z ciebie kawał przystojnego. chłopca. Sam to lepiej skapujesz niż ja; mnie się zdaje, że to dlatego, że nasz świat wymaga od nas większej siły, niż potrzebują jej ludzie z t e g o świata. Jeśli się tu pojawiajemy, to w postaci większej i silniejszej, niż którykolwiek z nas o tym marzył.

Ty może nie będziesz miał nic przeciwko temu, by zostać Supermanem. Właściwie, jakby się nad tym zastanowił, to by ci to pasowało.

Trudno mi wyjaśnić to, co wiem i czego jeszcze nie wiem o tym świecie. Nawiasem mówiąc nazywam się Elan Rock. T y l e to wiem. Znam ich język i choć jeszcze go nie używałem, jestem pewien, że kiedy już będę musiał, pójdzie mi gładko. Wiem, jak otwierać drzwi i czego tu używają

zamiast telefonów, co trzeba powiedzieć zamiast "dzień dobry" i jak się robi to, co oni nazywają "czytaniem", i gdzie się można napić tego, co oni piją teraz.

Wszystko to wiem. Ale jakie jest to społeczeństwo, kto nim rządzi, który jest teraz rok, dlaczego budynki nie są kanciaste i dlaczego wszyscy chodzą, zamiast używać samochodów tego nie wiem.

Teraz muszę na chwilę przerwać, Joe. Kiedy się już przyzwyczaję, będę mógł mówić do ciebie bez względu na to, co bym robił. Na razie nie chciałbym mieć wpadki już w pierwszych minutach spędzonych w przyszłości.

Wkrótce znów się odezwę.

Teraz wiem już dużo więcej. Joe. Obejrzałem się w Lustrze i jest tak, jak myślałem, a nawet jeszcze gorzej. Mam twarz Apolla, a pod nią sylwetkę kulturysty. Mogłbym ci więcej opowiedzieć o tym, jak wyglądam, ale byś nie uwierzył.

Tak sobie myślę: nie można po prostu wskoczyć do przyszłości i być kimś, kto nigdy przedtem nie istniał. Elan Rock musiał przez dwadzieścia pięć lat egzystować połowicznie, żebym ja mógł skoczyć przez stulecia i zostać nim.

Chyba coś takiego raz mówiłeś, Joe, tylko że wtedy nie skapowałem wszystkiego, co powiedziałeś w ciągu tak krótkiego czasu przed moim wyruszeniem.

Miałeś również rację, że trafię do miejsca, które zmieści się w granicach mojej zdolności pojmowania; w otoczenie, w którym ktoś taki, jak ja, o mały włos nie postradałby zmysłów.

A mimo to świat ten jest o wiele prostszy od naszego. Na przykład, znam już całe tutejsze prawo. Zobaczyłem je przypadkiem parę minut temu nad wejściem do instytucji, która tutaj odpowiada Ministerstwu Sprawiedliwości. W tłumaczeniu brzmi to mniej więcej tak:

"Nie wolno urażać innych ludzi. A jeśli inni ludzie to akurat ty, nie wolno ci zbyt łatwo się urażać."

I to wszystko. Te dwa zdania obejmują zabójstwo, kradzież i inne rzeczy tego rodzaju, co do których większość ludzi zgadza się, że są to przestępstwa. Sam się możesz zabić, jeśli chcesz - to nie zbrodnia. A jedyne przestępstwa seksualne, to czyny, które łamią jedno z tych dwóch praw. I zwróć uwagę, że również zbyt łatwe urażanie się to występki.

Wiesz co? Poczulem szacunek do tych ludzi, kiedy uświadomiłem sobie, że te ich prawa, to jedyne, które są im potrzebne. Gdyby ktoś chciał kierować naszym społeczeństwem za pomocy dwu takich praw, nic by z tego nie wyszło. Na przykład Herb Jones dowodziłby w sądzie, że uraża go widok długich kalesonów wiszących na podwórku Homera Smitha. A jakiś sprytny adwokat udowodniłby jeszcze, że nie jest to czcza uraza. Wówczas, zgodnie z prawem, Herb Jones otrzymałby wysokie odszkodowanie.

Ludziom można dać ogromną swobodę, jeśli wiadomo, że nie bada jej nadużywać. Tak tu chyba jest.

Zaczynałem się już przyzwyczajając do mojej boskiej urody, kiedy nastąpił klops numer dwa.

Na razie nie chciałbym wyrażać swego zdania w tej sprawie, Joe. Oczywiście moralność zmienia się w zależności od społeczeństwa. Ale i tak przeżyłem wstrząs, kiedy niewysoka brunetka, ładna jak nie wiem co, wzięła mnie za rękę i... hm, dała mi do zrozumienia, że chce, abym poszedł do niej do mieszkania i tam się z nią kochał.

Uśmiechnąłem się i potrząsnąłem głową, a ona była wyraźnie zdumiona i urażona, ale co mogłem zrobić? Już i tak ledwie udało mi się oswoić z moim wyglądem, a jeszcze się okazało, że trafiłem do miejsca, gdzie seks jest tak swobodna i naturalna rzecz, że... cholera jasna, przecież pamiętasz, jak czerwieniłem się i jękałem, kiedy przyszło mi rozmawiać z dziewczyną!

Dopiero kiedy brunetka odchodząc odwróciła się do mnie ślicznymi plecami, wyprostowanymi niczym wykrzyknik oburzenia, zdałem sobie sprawę, że mogłem po prostu uprzejmie jej podziękować i wyjaśnić, że cały czas mam podobne propozycje, a mężczyzna nie dysponuje nieograniczonymi możliwościami... rozumiesz mnie?

Spróbuję zrobić tak następnym razem. Mam jakieś niezbyt miłe przeczucie, że będzie ten następny raz, może już za pięć minut. Kiedy to się stanie, to...

Przepraszam, że urwałem tak gwałtownie, Joe.

Zanim powiem coś więcej, chciałbym, abyśmy doszli do porozumienia w sprawie tej władzy, która, jak twierdzisz, masz nade mną. Powiedziałeś mi, że jeśli nie będę się z tobą porozumiewał, jeśli zamilknę, zrobisz coś takiego, że umrę. Szczerze mówiąc, nie wierzę w to Joe. Myślę, że powiedziałeś tak, aby trzymać mnie w ryzach.

Nie wydaje mi się, żebyś teraz mógł mi coś zrobić, skoro nawet nie możesz do mnie mówić. Tłumaczyłeś mi, dlaczego ja mogę się z tobą porozumiewać, a ty ze mną nie. Nie zrozumiałem tego, co mówiłeś, ale brzmiało to bardzo przekonywająco.

Jednak nie było to już przekonywające, gdy twierdziłeś, że nadal będziesz mnie miał pod kontrolą, kiedy się, już tu znajdę, a ty będziesz tam. Czyżbyś nie wiedział, Joe, że czasem można odróżnić prawdę od kłamstwa, nawet jeśli żadnego z nich się nie rozumie?

Co by to nie było, Joe, nie mam zamiaru się przed tobą ukrywać. Będę ci uczciwie przekazywał; co się dzieje.

Ale jeśli się mylę i naprawdę możesz mnie tu osiągnąć, Bóg wie, ile setek lat w przyszłości, nie czepiaj się mnie tylko dlatego, że przerwę na kilka minut. Może mam ważny powód.

Tak jak teraz. Nie możesz mnie winić za to, że tak nagle zamilkłem. Zdarzyło się coś tak dzikiego, że przez chwilę myślałem, że ten skok w czasie pomieszał mi we łbie.

Ulica przeszło kilkunastu dzikusów ubranych w skóry zwierząt. Spojrzałem na innych dookoła nie wiedząc, jak się zachować. Wszyscy byli zdziwieni, ale nie przerażeni. Pomyślałem więc, że to tylko przedstawienie, jakiś wygłup, czy co, może parada, więc starałem się również okazywać zdziwienie, ale nie przerażenie, jak wszyscy.

To dzicy byli przerażani. Wrzeszczeli, biegali i oglądali się za siebie. Jeden z nich, niosący kamienną maczugę, zatrzymał się o kilka metrów ode mnie przed jakąś kobietą, powiedział coś i uniósł maczugę.

Prędzej czy później i tak musiałbym sprawdzić, czy jestem taki silny, na jakiego wyglądam. Zrobiłem krok naprzód i przyłożyłem jaskiniowcowi w podbródek. W ostatniej chwili zdałem sobie sprawę, że jeśli walnę go całą siłą, to pewnie złamię mu kark, toteż wyhamowałem uderzenie.

I wiesz co, Joe? Mój cios odrzucił dzikusa na dwadzieścia pięć metrów! Aż tyle leciał w tył, dopóki nie walnął o ziemię. Był z niego kawał chłopca, bo po czymś takim nawet za bardzo go nie zamroczyło.

Z drugiej strony ani on, ani jego kumple nie śpieszyli się już tak do mnie ze swoimi maczugami.

- Ach, ty mój cudowny mężczyzno! - powiedziała dziewczyna, która uratowałem od śmiertelnego bólu głowy. Gdybym umiał, przekazałbym jej słowa lepiej, ale ponieważ wolę pominąć wszelkie sugestywne odcienie jej słów, mogę przetłumaczyć je tylko w ten sposób.

Śpieszyli ku nam inni znajdujący się na ulicy ludzie. Dzicy spojrzeli po sobie i wzięli nogi za pas. Ten, którym walnąłem o ziemię, pozostawał jakiś czas w tyle, ale potem, kiedy już znikali z oczu, przepchnął się do przodu i był już na czele. Oto przywódca dla ciebie!

Nie wiem, o co w tym wszystkim chodziło. Stałbym i zagadnął kogoś, ale się bałem.

Może nie wszyscy są tu cywilizowani jak ludzie z tego miasta. Nie ma tu, na przykład, obowiązku chodzenia do szkoły, więc może tutejsze półgłówki i trutnie uciekają z miast i żyją jak dzicy. Może są tacy, którzy nie chcą cywilizacji. Może...

Sam to potrafisz skapować, Joe, pewnie lepiej ode mnie.

Jestem teraz koło parku; wszedłem do środka i posiedziałbym myśląc o różnych rzeczach, gdyby nie jedna sprawa.

Wydaje mi się bardzo prawdopodobne, że skoro tutejsze dziewczęta zaczepiają otwarcie na ulicach, to parki muszą być czymś ekstra dla młodych nieśmiałyh mężczyzn, takich jak ja. Podniecające, że tak powiem.

Muszę dowiedzieć się wielu rzeczy i prędzej czy później muszę zaryzykować i z kimś pogadać. Kłopot polega na tym, że nie potrafię zachowywać się naturalnie, skoro czuje się tak nienaturalnie,

jak kotka znosząca jaja. Czy mogę podejść do pierwszej z brzegu ładnej dziewczyny i powiedzieć: "Weź moją dłoń, jestem obcy w tym raj"? Nie mogę. Zrobiłaby to.

Mimo to będę musiał z kimś porozmawiać przy pierwszej sposobności. Oni muszą mieć tu jakiś karnawał, czy coś. Oto idzie następny pochód około dwudziestu osób mija park. Nie umiem odgadnąć, za kogo są przebrani, ale widoczek jest niewąski. Wyglądają zupełnie tak, jak reżyserzy filmowi naszych czasów wyobrażali sobie ludzi z przyszłości. Kobiety w miedzianych strojach bikini, zaś mężczyźni wymachują potężnymi miotaczami. A wszyscy tacy czyści, jakby dopiero co wyszli z pralni. Wyglądają na trochę zdziwionych. Może się zgubili.

Pryskam do parku, żeby nie pytali mnie o drogę. Jeżeli będę cały czas spacerował, to może tutejsze piękności nie zdążą mi się dobrze przyjrzeć i zdecydować, że właśnie o kimś takim marzyły przez całe życie.

Wygląda na to, że miałem rację w sprawie parków. Można się zresztą było tego spodziewać. Już w naszych czasach młodzi obściskiwali się w miejscach publicznych. Tutaj, to po prostu krok naprzód.

A cóż to takiego, do cholery?! Możesz mi wierzyć lub nie, Joe, ale właśnie zabiłem tygrysa szablastego!

Wiem, że ciężko ci to zrozumieć, Joe. Było ich trzy, o wiele gorsze niż te, które można zobaczyć w książce lub na filmie. Właściwie nie były to tygrysy szablaste, ale coś, na co nie ma jeszcze nazwy. Może nikt dotąd nie wykopał szkieletu żadnego z nich.

No więc były trzy tygrysy i sześć parok (oraz ja) w promieniu gdzieś trzydziestu metrów. Nie miałem za dużo czasu, aby się dobrze przyjrzeć tym bestiom. Największy mnie zaatakował. Chyba zdecydował, że kiedy usunie mnie z drogi, pozostałe dwanaście obiadków da się zgarnąć bez większej trudności. Miał pewnie rację.

Nie chcę się chwalić, Joe; stałem no miejscu, bo byłem zbyt przerażony, żeby uciekać, Mówiłem ci, że jestem teraz dobrze zbudowany, ale nie mogę się równać z tygrysem szablastym.

Skoczył na mnie, a ja sobie przypomniałem, jak to Tarzan wskakiwał tygrysom na grzbiet i zakładał im półnelsona. Ale mnie nie wydało się to praktyczne.

Uskoczyłem przed pierwszym atakiem. Ktoś rzucił w tygrysa nożem i o mało mnie nie trafił. Złapałem nóż i odwróciłem się do bestii. Ani przez chwilę nie wierzyłem, że uda mi się coś zdziałać tą "bronią", bowiem był to składany scyzoryk z ośmiocentymetrowym ostrzem. Kiedy jednak jesteś prawie nagi i musisz się bronić przed dzikim zwierzęciem, łapiesz nawet drewniany miecz, jeśli to jest jedyna rzecz, którą masz pod ręką.

Pozostałe tygrysy stały czekając, co będzie dalej. Wszystkie kobiety wrzeszczały, co może nawet pomogło. Te zwierzęta wiedziały równie mało o ludziach, jak ludzie o nich.

Gdy tygrys zaatakował mnie po raz drugi, rozprułem mu bok; wydawane przez niego ryki napełniły mnie po raz pierwszy nadzieją, że może jednak będę żył dłużej niż tylko przez następne pięć minut.

Wszystko przez ten nóż. Nie wiem, czy był tylko taki ostry, czy też miał jakąś inną właściwość, ale przeciął ciało bestii jak woda. I choć głębokie na pięć centymetrów cięcie przez cały tułów tygrysa nie mogło go obezwładnić, jednak wcale mu nie przypadło do gustu.

Miałem z nim jakieś szanse tylko dlatego, że biedny potwór, przy całej swej sile, odznaczał się zupełnie nic nie wartym refleksem. Mógłbym krążyć wokół niego jak motorówka wokół barki. Jeśli ciosy boksera czasem porównują do kropek i kresek telegrafu, to poczynania zwierzęcia były jak długie listy przesyłane dylizansem.

Przeciąłem mu ścięgna na karku, co ani trochę nie było bardziej niebezpieczne niż przejście ruchliwej ulicy w południe - a może nawet mniej. Tygrys walczył długo i nie chciał zdychać, ale w końcu pożegnał się z życiem.

Obróciłem się ku pozostałym tygrysom, które zobaczyły, co się stało, i wykazały nieoczekiwana inteligencję zmykając co sił w nogach ku kępie drzew oddalanej o jakieś dwieście metrów. Skryły się wśród nich i nikomu nie było przykro.

Wszystkie pary, które wciąż jeszcze były w pobliżu, podbiegły do mnie gratulując i poklepując mnie po plecach. Mówili, że byłem wspaniały. Dwie dziewczyny pocałowały mnie, a ich partnerom (chyba to będzie właściwe słowo) nic to nie przeszkadzało. Mnie też nie za bardzo. Myślę, że z czasem przyzwyczaję się do tego świata.

Ale nie do nagłego pojawiania się wrogo nastawionych prehistorycznych bestii.

Wyszliśmy z parku nie tracąc oni chwili, na wypadek, gdyby to, co się wydarzyło, miało się powtórzyć.

Stwierdziłem, że idę razem z jedną parą; oboje rozmawiali z taką swobodą, że nie mogłem przepuścić podobnej okazji. Ci ludzie nie mają w ogóle zahamowań, Joe, a jeśli dziwili się moim niektórym pytaniom, to zgrabnie to ukrywali.

Wyglądało na to, że pojawienie się trzech tygrysów w parku było dla nich takim samym wstrząsem, jak dla mnie. Nie byli przyzwyczajeni do czegoś takiego. Również nikt nie miał ochoty się przyzwyczajać.

Tak więc nagłe ukazanie się trzech prehistorycznych bestii nie należało do typowych niebezpieczeństw związanych z życiem w tym świecie.

Ci dwoje, z którymi rozmawiałem, byli tak samo przestraszeni, jak reszta, ale szybko się z tego otrząsnęli; Oni nie są nerwowi, ci tutaj. Stają wobec niebezpieczeństwa i odczuwają przed nim strach; ale wystarczy tylko usunąć zagrożenie, a wzruszają ramionami i stwierdzają: "Dobrze, że się skończyło".

Może dlatego właśnie nie ma wśród nich tylu chorych umysłowo. Skąd więc te dzikusy?

Oboje młodzi byli wkrótce skłonni do rozmowy na każdy temat, a rzucona mimochodem uwaga dziewczyny o tym, że jestem sam, dała mi okazję do wypymania się o ich sprawy seksualne.

Wychodzi na to, że oni oddzielili miłość od seksu. Jeśli chcesz mieć kobietę, nie musisz udawać przed sobą i nią, i wszystkimi, że ją kochasz. Z drugiej strony, jeśli zakochałeś się w dziewczynie, niekoniecznie musisz ograniczać się tylko do niej.

Nie różni się to za bardzo od tego, co my mamy, tyle że oni w tych sprawach nie oszukują siebie samych i każdego z osobna. Naturalnie, wciąż jeszcze jest miłość i małżeństwo, ale niezależnie od tego, czy jesteś zakochany, czy żonaty, zwykle masz dość bogate życie seksualne. Chyba, że nie chcesz.

A jeśli ktoś chce, by go nie nagabywano - tak jak ja, przynajmniej na razie - wystarczy, że nosi srebrną bransoletę na prawym ramieniu. Noszę taka teraz; jeden z moich nowych znajomych mi ją dał.

Nie poszedłem z tymi ludźmi, których poznałem w parku; odłączyłem się, jak tylko nadarzyła się okazja. Moim zdaniem, najlepiej zbierać informacje od różnych osób. W ten sposób nie zdradzę nikomu całej swej ignorancji, a jedynie troszeczkę.

Wróciłem na jedną z głównych ulic. Tu nie powinny się pętać żadne tygrysy szablaste.

Główna ulica wcale na taka nie wygląda. Nie widziałem ani samochodu, ani samolotu, ani ciężarówki, ani roweru, ani wozu konnego. Tu cały ruch kołowy odbywa się w specjalnych tunelach pod ziemią.

Oto rozwiązanie problemu ruchu ulicznego: nie ma ruchu - nie ma problemu.

Nie wiem jeszcze dokładnie, jak się schodzi do tych tuneli. Ale ta sprawa może poczekać.

Zaczynam się już przyzwyczajać do tutejszej architektury. Myślę nawet, że ją polubiłem.

Łagodne linie krzywe zawsze były piękniejsze niż proste. Budowaliśmy z kamienia i wzdłuż linii prostych, bo nic lepszego nie wpadło nam do głowy.

- Tutaj głównym budulcem jest jakiś plastik - z niego zrobione są budynki, okna, chodnik, wszystko. Przed chwilą, kiedy nikt nie patrzył, schyliłem się, by dotknąć chodnika. Jest doskonale gładki, nieskalany, coś między kamieniem i gumą; ale na kamień jest za miękki, a na gumę - za twardy. Bez wątplenia jest to odlew, wyjątkowo trwały. Nie potrafiłem zarysować go paznokciem, choć pod naciskiem się uginał.

Na ulicach są tylko przechodnie. Nie śpieszący się, wszyscy wyglądający bardzo młodo (może starsi używają środków komunikacji publicznej). Ludzie przyjaźni, szczęśliwi.

Wiem, co sobie myślisz, Joe, gdzieś tu musi być jakiś haczyk.

Ja wiem tylko tyle: jeszcze go nie widziałem. Chyba, że to te tygrysy szablaste.

To już wykracza poza żart. Jaskiniowcy nie sprawili mi większego kłopotu, facetom z miotaczami umknąłem, a z tygrysami sobie poradziłem. Ale jeśli takie wydarzenia będą się powtarzać, mój kontakt z tobą może się kiedyś nagle urwać.

Nie będziesz wtedy zadowolony, Joe, bo nigdy się nie dowiesz, co mi się stało. Ja też nie będę zadowolony. Podoba mi się tu, jeśli nie liczyć niebezpieczeństw. Chciałbym tu pozostać. Ale w całości.

Tym razem byli to ludzie w czerwonych kurtkach, uzbrojeni w tak prymitywne muszkiety, jakich jeszcze nigdy nie widziałem. I strzelali z nich. Nie spostrzegłem, żeby kogoś trafili, ale to nie znaczy, że nie chcieli. Wyglądało na to, że ich broń miała rozrzut dochodzący do dziewięćdziesięciu stopni, co może było i dobre.

Prawdopodobnie ktoś zrobił z nimi porządek. Nie czekałem, by popatrzeć. Inni zresztą też nie. Nie to, żebyśmy się tratowali uciekając w popłochu, ale też i nie traciliśmy czasu, by wydostać się poza zasięg tych muszkietów.

To już nie była zabawa, Joe. Zaczynam mieć własny pogląd na tę sprawę.

Powiedzmy, że robią tu eksperymenty z czasem. Powiedzmy, że jest jakiś zderzak, który odpycha wszystko, co znajdzie się na torze. A może jest jakiś magnetyzm czasowy, który ściąga tu wszystkich podróżników w czasie.

Jakim sposobem tygrysy szablaste i dzicy z maczugami mogliby być podróżnikami w czasie, nie mam pojęcia, ale każda teoria jest lepsza niż żadna.

Tylko dlaczego ja tu wylądowałem, tak jak przewidziałeś, jako zaakceptowany członek tego świata, ubrany we właściwą odzież i dwa razy mocniej zbudowany niż przedtem, a wszyscy pozostali pojawiają się w swej poprzedniej postaci.

Myślę, Joe, że jak zwykle znasz odpowiedź. Szkoda, że nie możesz mi jej podsunąć.

I jeszcze coś. Kilkanaście osób obojga płci w strojach balowych. Chyba wiek siedemnasty. Wszyscy mrugają ze zdziwienia oczami i rozglądają się wokół.

Cholera, myślałem, że to myśmy wymyślili głęboki dekolt. A suknia tej rudej nie przeszłaby przez Urząd Moralności Publicznej, nawet gdyby zaczynała się siedem centymetrów wyżej. Nie, przesadziłem. Nie przeszłaby, nawet gdyby zaczynała się d z i e s i ę ć centymetrów wyżej.

Chyba odebrałeś coś z tego, co zaszło przed chwila, Joe.

Czułem się głupio. Ci uchodźcy z siedemnastego wieku wybrali mnie za swego rozmówcę. Ruda podeszła wprost do mnie. Jej maniery były doskonałe i wyszukane, co wskazywało na to, że była dama. Ale jej oczy nie należały do damy; kryła się w nich raczej obietnica niż ciekawość.

Potraktowałem ją, jakby była moja siostra.

Kłopot polegał na tym, że ja potrafiłem zrozumieć, co ci ludzie mówią, o nikt poza tym nie umiał. Stwierdziłem, że trudno mi się zdecydować, czy mam udawać, że ich też nie rozumiem, czy też nie.

Z tego, jak mrugali i zasłaniali oczy, domyśliłem się, że tam, skąd przybyli, panowała noc. Faktycznie byli na balu.

Oczywiście chcieli wiedzieć, o co tu chodzi. Zanim właściwie zdecydowałem się, czy przyznać się, że ich rozumiem, zdałem sobie sprawę, że odpowiadam na ich pytania.

Ponieważ ci ludzie, w przeciwieństwie do Czerwonych Kurtek, byli raczej zdziwieni niż nastawieni wrogo, wkrótce znaleźli się w centrum zainteresowania podnieconego tłumu, który zasypywał ich słowami, ale z wyjaśnień nie potrafił nic pojąć.

Cały czas wtrącałem to słowo, to dwa, skierowane do stojących obok mnie mieszkańców miasta, aby dać poznać, po czyjej jestem stronie. Ludzie podsuwali mi propozycje, co mam mówić

przybyszom; tak też robiłem. Nikt się chyba zbyt nie zdziwił, że tylko ja umiem się z nimi porozumieć. Wszyscy pewnie myśleli, że jestem studentem historii albo czymś podobnym.

Trwało to przez jakieś dziesięć minut. Potem obcy nagle zniknęli, a my zostaliśmy wpatrując się w siebie z głupimi minami.

Nie starałem się tym razem zwrócić na siebie uwagi odchodząc jako pierwszy. Kiedy jednak wyjaśniło się, że nikt nie podejrzewa, bym wiedział o tym incydencie więcej niż wszyscy, wycofałem się, jak potrafiłem najdyskretniej.

Chciałbym jeszcze przy okazji o czymś powiedzieć, Joe. Ludzkość naprawdę się rozwija. Patrząc na tych przybyszów z siedemnastego wieku i porównując ich z tutejszymi ludźmi, nie wątpię, że dokonał się wielki postęp w inteligencji, wyglądzie, postawie i wszystkich innych liczących się sprawach. To tak, jakby postawić kundla obok rasowego psa.

Nawet rudowłosa, która na pewno uważała się za piękność, nie mogła równać się z którąkolwiek dziewczyną z tłumu.

Ledwie stamtąd odszedłem, gdy na następnej ulicy zobaczyłem corridę, ni mniej ni więcej. Zrazu byk i matador nie zorientowali się, że wszystko wokół nich jest zupełnie inne niż przed chwilą.

Potem matador podniósł oczy i wybałuszył je, skamieniały ze zdumienia. Byk o mało go nie dopadł. Matador uskoczył, ale nie miał już serca do walki. Nie dziwię mu się.

Byk i matador nie pozostali nawet tak długo, jak goście z siedemnastego wieku. Byli tu może ze dwie minuty.

Mam nadzieję, że wszyscy powrócili tam, skąd przybyli. Spodobała mi się ta ruda, mimo braków w uzębieniu. Na matadorze i byku specjalnie mi nie zależało, ale po co miałyby się im stać krzywda?

Joe, nie wiem, jak ci to powiedzieć. Zwinęli mnie. Właściwie nie było to aresztowanie - od razu tak powiedzieli. Prawdę mówiąc, bardzo się mną zainteresowali i wygląda na to, że czeka mnie tu ciekawe życie - życie "Herkulesa z Przeszłości".

Byli to trzej mężczyźni i dwie kobiety; przeprosili mnie za ograniczenie mojej swobody. Wychodzi na to, że mam tu takie same prawa, jak inni.

Ale zaistniała nadzwyczajna sytuacja, powiedzieli. Przyrzekli mi, że później wszystko wyjaśnią. Tymczasem koniecznie chcieli mnie gdzieś szybko zabrać.

Wiedzieli, jak się nazywam, i w ogóle wszystko o mnie. Wiedzieli nawet, że nie jestem taki sam, jaki byłem w moich czasach, bo choć nigdy jeszcze coś podobnego się nie wydarzyło, to skoro już nastąpiło, w ciągu mniej niż pół godziny skapowali, w czym rzecz.

Joe, czuję się jak łajdak. Ale kazali mi tobie to powiedzieć. Mówią, że oni się gorzej czują niż ja.

Widzisz, gdybym po prostu się tu pojawił i nie nawiązywał z tobą kontaktu, może nigdy by się nie dowiedzieli, co się wydarzyło. Ale ta łączność z tobą to powód całego zmartwienia.

Otworzyliśmy dziurę w czasie, Joe. I dopóki jest otwarta, wszystko, gdziekolwiek, kiedykolwiek może przez nią wpaść.

Powiedzieli mi, że przez czas rozciąga się teraz jakby elastyczny kanał i myśmy to spowodowali. Nie mogą tego tak zostawić. Czas mógłby się rozlecieć na kawałki.

Zawsze mówiłeś, Joe, że każdy ma się troszczyć o siebie. I oni właśnie tak chcą postąpić. Więc i tu miałeś rację.

Chcę ci powiedzieć, że tyle razy miałeś rację, więc musiałem ich skłonić, aby pozwolili mi wyjaśnić ci, co się stanie, i żebyś miał szansę coś wymyślić.

Widzisz, oni będą odcinać ten elastyczny kanał. I wiesz, co się stanie? Mówią, że mnie nic nie będzie, bo jestem tutaj, a odetną go od mojej strony.

Ale kiedy zostanie on odstrzelony, to po twojej stronie pieprznie jak jasna cholera.

Masz kilka minut, żeby coś wymyślać. Wiem, że potrafisz to zrobić, Joe. W końcu popatrz, jak często miałeś rację. Powodzenia, Joe, i trzymaj się.

Nieśmiertelność dla wybranych

Znowu uciekał. Tym razem w ucieczce nie było radości, a jedynie posępne oczekiwanie na porażkę. Nie można było wiecznie chować się przed ludźmi - wśród ludzi.

Zawsze najbardziej korzystał z tego, że policja, przeświadczona o tym, że nie może istnieć żadne przestępstwo, o którym by nie wiedziała i natychmiast nie wyjaśniła, zwlekała z badaniem spraw, o których zadecydowała, że jej nie dotyczą.

Inna korzyść wynikała z tego, że dotąd był sam. Tym razem jednak stało się inaczej. Siedząc na plaży w promieniach palącego słońca Florydy co jakiś czas machał do dziewczyny w srebrzystym kostiumie, która kąpała się na mieliźnie.

Jeśli policja jeszcze go nie szukała, nadal był bezpieczny. Ale tym razem szukają go na pewno, a to oznaczało, że w każdej chwili mógł spodziewać się ciężkiej dłoni na ramieniu, co będzie jednoznaczne z końcem jego wolności i życia.

Sięgając myślami wstecz nie mógł znaleźć błędu, który by popełnił czy którego mógł uniknąć. Oczywiście, gdyby wtedy nie poszedł do nocnego klubu "Blue Moon", wszystko wyglądałoby inaczej. Skoro jednak nie posiadał daru jasnowidzenia, jak mógł to przewidzieć? Sprawy może wyglądałyby lepiej, gdyby przedstawił się Maricie fałszywym nazwiskiem. Ale to mogłoby okazać się jeszcze groźniejsze. Nie udałoby się zapobiec spotkaniu ludzi, którzy znali cię pod jednym nazwiskiem, z tymi, którzy znali cię pod innym.

Do wody wbiegł opalony młody Adonis kierując się prosto ku dziewczynie w srebrzystym kostiumie. Nie zwracając na niego uwagi dziewczyna posłała pocałunek w stronę plaży i pewność siebie młodziana ulotniła się: Przepłynął obok niej.

Człowiek na plaży pomachał jej w odpowiedzi. Dziewczyna była w nim z pewnością zakochana. Zastanawiał się, czy wie, że on jej nie kocha - i czy może to jej sprawić ból?

Zaledwie kilka metrów od niego w powietrzu rozległ się trzask. Coś takiego zdarzało się czasem, gdy ktoś podglądał cię za pomocą telewizji beznadajnikowej. Poczul impuls zmuszający go do zerwania się na nogi i do ucieczki, ale zwalczył go. Jeśli to rzeczywiście była telewizja beznadajnikowa, im mniej się nią przejmie, tym lepiej. Zawsze trzeba było pamiętać o tym, że gdy coś koło ciebie pstryka, to tak jakbyś zobaczył gliniarza. A jeśli za każdym zobaczeniem gliniarza będziesz brał nogi za pas, wkrótce wpadniesz w tarapaty.

Trzask w powietrzu oznaczał tylko, że ktoś mu się przyglądał. Mógł to być koniec całej sprawy, mógł być i początek albo też nieudany, nieważny epizod z akcji policyjnej w zupełnie innej sprawie.

Minęły go dwie kobiety idące plażą. Żadna z nich nie powinna była wkładać na siebie stroju plażowego, ale obie je miały. Jedna z nich powiedziała:

- Widzisz tę dziewczynę w srebrnym kostiumie? O takim typie myślałam.

- Jakim typie? - spytała druga.

- Zbyt naiwna, by było to prawdziwe. Niewinne, niebieskie oczęta. Figura, z jakiej rzekomo nie zdaje sobie sprawy. Założę się, że ona zdążyła już zapomnieć więcej o mężczyznach, niż ja czy ty wiedziałyśmy kiedykolwiek...

Osobliwa rzecz, pomyślał mężczyzna na plaży, jak kobiety potrafią być przenikliwe w sprawach dotyczących innych kobiet. Ta oto powiedziała coś, co zabrzmiało, jakby wyszło z ust Susan Sonnenburg.

Susan Sonnenburg... w pewnym sensie to jej wina, że znowu musiał uciekać. Choć przestała istnieć ponad tydzień temu, nieświadomie zapoczątkowała łańcuch wydarzeń, który doprowadził do obecnej sytuacji: Czemu nie pilnowała własnego nosa?

- Pod główne wejście, proszę - powiedziała stanowczo Susan Sonnenburg, kiedy aerotaksówka podeszła do lądowania o całą przecnicę dalej od budynku Musicosmosu.

- Bardzo panią przepraszam, ale nie mam zezwolenia - odparł pilot taksówki. - Jeśli siądę przed frontem Musicosmosu, powietrze zrobi się niebieskie od gliniarzy, zanim zdąży pani otworzyć drzwi.

- Nie zrobi się. Mam kartę.

- Dobrze, proszę pokazać.

- Nie mam zamiaru grzebać pół godziny w torebce. Uprzejmie proszę uwierzyć mi na słowo.

- Nie będę ryzykować, kochana. Może pani stąd dojść.

- W żadnym wypadku nie mogę stąd dojść i nie zamierzam próbować. W moim wieku ma się wystarczająco dużo wysiłku, gdy się podejmuje decyzje.

Pilot uśmiechnął się, - Wie pani co? Jeśli wydali pani kartę, to pewnie o pani słyszałem. Jak się pani nazywa?

- Powiedziała, że mam kartę oświadczyła Susan. - A pan w grubiański sposób wątpi w moje słowo. Dlaczego więc teraz miałby pan mi uwierzyć, jeśli powiem, że nazywam się Marsha Washington

Pilot nagle pomyślał o czymś. i spojrzał na jej dłonie. Specjalnie, z przekory, schowała je za sobą.

Ale jego twarz rozjaśniła się. - Susan Sonnenburg, pianistka - powiedział. - Mam w pani wykonaniu sonatę Chopina, tę w d-moll.

- B-moll - rzekła Susan.

- Niech pani będzie. Pięć bemoli w każdym razie. Za szybko gra pani marsza żałobnego. Ale jasne, ma pani kartę. Zaraz wyląduję pod gmachem.

Aerotaksówka przeleciała wzdłuż ulicy ku budynkowi Musicosmosu i łagodnie osiadła na parkingu strzeżonym.

- Nie gram za szybko - odparowała Susan. - To pan słucha za wolno. - A poprzedzającą go część - kontynuował pilot - tę z wzrastającymi akordami chromatycznymi, gra pani tak, jakby to właśnie był marsz żałobny. A kiedy zbliża się ten kawałek, co ma być szybszy, to pani gra w tym samym tempie.

- Powinien pan posłuchać mojego nagrania menueta G-dur - rzekła zjadliwie Susan. - Czasem zdarza mi się dobrze go zagrać.

Pilot nacisnął guzik otwierający drzwi. Kiedy Susan otworzyła portmonetkę, potrząsnął głową. - To na mój koszt, pani Sonnenburg. Kiedy mówiłem, że gra pani druga część za wolno, a trzecia za szybko, to nie znaczyło, że mi się nie podoba.

- No, nie ma potrzeby, żeby się pan zachłystywał entuzjazmem na temat mojej gry niczym jakiś poeta stwierdziła ironicznie Susan i ruszyła do wnętrza wspierając się na lasce.

Gmach Musicosmosu strzelał w niebo niczym hymn pochwalny. Muzyka w tych dniach oznaczała pieniądze nawet muzyka poważna. Niektórzy twierdzili, że zmiana przyszła wtedy, gdy szkoły zaczęły uczyć dzieci nie bać się myślenia, nie krępować się być innym, a nawet nie wstydzić się skrytych marzeń o dobrym smaku i kulturze. Inni utrzymywali, że w czasach, gdy policja i wymiar sprawiedliwości nie tylko dotrzymywały kroku zbrodni, ale nawet wyprzedzały ją, nie pozostawało nic innego, jak oddawanie się najzupełniej legalnej miłości, lekturze książek, oglądaniu telewizji i nawet słuchaniu Beethovena i Brahmsa. Trzecia grupa - skrajni optymiści - mówiła: Kto wie, może rodzaj ludzki nareszcie zaczął mądrzeć?

Sześćdziesiąt lat po śmierci Borodina jego muzykę przerobiono na ogromnie popularny musical składający się głównie z blondynek, brunetek i rudych piękności o obfitych kształtach odzianych jedynie w prześwitujące majteczki i biżuterię. Dwieście lat -po śmierci Borodina jego II Symfonia już w wersji oryginalnej, nie przerobionej, weszła na szczyt listy przebojów. To wszystko czegoś dowodziło.

Stary Benny dotknął czapki pozdrawiając Susan wchodzącą do gmachu. Był jeszcze starszy od niej; nikt nie wiedział, ile ma lat.

- Czekają na panią w studiu siódmym - mruknął, potrząsnął nie wiedzieć czemu głową i podał jej rękę. Susan przyjęła to z wdzięcznością.

Osiem miesięcy temu fatalnie się przewróciła i choć poskładanie złamanych kości nie przysporzyło wiele trudu, od tamtego czasu nie była już w pełni sprawna. Dziwna rzecz; o nauka ułatwiła życie przeciętnemu człowiekowi, o tyle osobom dotkniętym choćby niewielkim kalectwem żyło się znacznie trudniej. W XIX wieku człowiek stary i niedołężny - także bogaty - mógł otoczyć się służbą, która mu pomagała, ubierała, a nawet nosiła, jeśli było to konieczne. Teraz zaś w całych Stanach Zjednoczonych nie pozostał ani jeden służący, a trzeba było chodzić coraz dalej (z powodu kłopotów z parkowaniem), wspinać się na coraz wyższe schody (bowiem przechodniów usunięto z ulic przeznaczonych tylko dla ruchu kołowego) i wdrapywać się na coraz więcej wysokich stopni (taksówki, autobusy, schody ruchome), niż trafiało się to starszej pani z XIX wieku.

Dlatego właśnie Susan zawsze była wdzięczna za niezbyt zgrabną choć delikatną usłużność Benny'ego. Ponieważ ostatni raz miała jej potrzebować, zatrzymała się nagle, nie chcąc przepuścić okazji, by wyrazić wdzięczność.

- Benny - odezwała się. - Jestem kobietą stara, kapryśną i oschłą. Dlaczego zawsze byłeś dla mnie taki miły?

To nagłe pytanie było dla niego zbyt trudne. Na jego apatycznej, miłej twarzy odbiło się zdumienie i wysiłek myślowy. Czegoś od niego żądano, ale nie wiedział czego.

- To bez znaczenia - rzekła Susan z niespotykaną łagodnością. - Chcę ci powiedzieć, że i tak zawsze byłam ci wdzięczna za twoją dobroć.

- Dobroć? - spytał Benny wciąż zdezorientowany.

- Tak jak teraz. Jak wzywanie dla mnie taksówek i załatwianie, by piloci podlatywali pod główną bramę. Jak znalezienie dla mnie pokoju tamtego dnia, gdy poczułam się źle. Jak obcięcie kawałka mojej laski, kiedy skarżyłam się, że jest za długa. Jak przynoszenie mi kanapek w czasie długiej próby. Jak...

- To do, mnie należy, proszę pani rzekł Benny zażenowany. - Ja tu jestem dozorcą, człowiekiem do wszystkiego. Przez większość dnia nie ma nic do roboty. Więc...

- Więc pomagasz wszystkim, którzy potrzebują pomocy. Wiem o tym. Sadzę, że jeszcze przez wiele lat mogłabym uważać tę pomoc za coś naturalnego, Benny, tylko że dzisiaj z jakiegoś powodu uświadomiłam sobie, ile dla mnie zrobiłeś dzięki tylu drobnym czynkom.

Zawahała się; to, co teraz chciała mu powiedzieć, mogło wypaść jak wyznanie głodnemu człowiekowi, że właśnie zjadła suty obiad, a teraz udaje się na bankiet. Ale nie mogła zniknąć ot, tak sobie, bez słowa, bez pożegnania. Benny był stary, małowówny, niezbyt bystry i zręczny, nie lubiła go jednak.

- Dziś jestem tu po raz ostatni. Benny - odezwała się cicho, bez swego zwykłego sarkazmu. - Dziś mmm swoje ostatnie nagranie, a potem udaję się po Drugie Życie.

Nagły błysk w jego oczach zaskoczył ją. Jednak powiedział tylko: - Tak, pani Sonnenburg.

- Raz już obraziłam cię proponując ci napiwek - rzekła. - Nie chciałabym zrobić tego po raz drugi. Wiem, że nie oczekujesz żadnej nagrody za to, co robisz. Ale czy słyszałeś kiedy o honorarium?

- Ororarian?

- Czasami, kiedy ktoś zrobi coś wykraczającego poza jego zwykłe obowiązki, wymagania czy zobowiązania, ludzie chcą mu jakoś wyrazić swą wdzięczność. Dają mu więc coś i nazywa ją to "honorarium". To nie jest tak, jak z napiwkami. Każdy może przyjąć honorarium.

- A jak ten... ororarian wygląda?

- Mogę ci dać tylko pieniądze. Ale ty możesz je przyjąć i kupić, co ci się tylko spodoba, a to, co kupisz, będzie ci przypominało o mnie. Dziękuję ci, Benny... i żegnaj.

Zostawiła go pod drzwiami studia nr 7 wciskając mu w dłoń trzy zmięte banknoty. Wyglądził je pieczołowicie. Dwieście pięćdziesiąt dolarów.

Okazało się, że wcale tu jeszcze na nią nie czekali. Collini, dyrygent, nie skończył dopieszczać wszystkich tutti.

Od czasu wprowadzenia techniki pasowania fal większość sesji nagraniowych przypominała układanie łamigłówek. Choć niektórzy konserwatywni dyrygenci i wykonawcy wciąż trwali przy dawnej metodzie prób i błędów, obecnie jednak najczęściej przygotowywano wzorzec, projekt danego wykonania, rodzaj obrazu o pożądanym orkiestrowym brzmieniu. Wzorzec optyczny łatwo można było przekształcić bezpośrednio w dźwięk, ale w takim przypadku interesowałby on wyłącznie muzykologów. Zwykłych melomanów znudziłby jako zbyt mechaniczny.

Kiedy wzorzec był ukończony; orkiestra nagrywała muzykę, po czym następował automatyczny proces porównywania. Maszyny nie zwracały uwagi na odcienie ekspresji i frazowania, których nie rozumiały; koncentrowały się jedynie na faktycznych, wymiernych błędach w wykonaniu - że druga trąbka zagrała E zamiast Es, że drugie skrzypce zagłuszały pierwsze, że jakiś instrument dęty popiskiwał w czasie pauzy. Inżynierowie, dyrygent, solista, jeśli było trzeba, oraz reżyser nagrania dokładnie studiowali owe błędy, decydowali, które z nich nie mają znaczenia, które wypadły nawet lepiej niż we wzorcu, a które trzeba poprawić.

System ten nie dawał muzyki o jakiejś wielkiej wartości artystycznej; pozwalał po prostu otrzymać o wiele więcej doskonałej muzyki w znacznie krótszym czasie.

Collini nie skończył jeszcze swego wzorca orkiestrowego, więc Susan wycofała się na razie do pokoju wypoczynkowego obok studia. Z niesmakiem stwierdziło, że Weygand wszedł za nią.

- Tak więc marny oto ostatnie nagranie Susan Sonnenburg - westchnienie Weyganda zabrzmiało jak sentencja.

- Kiedy wypowiada pan takie zdanie, panie Weygand - odezwała się Susan - trudno się z panem nie zgodzić.

Weygand był to zabiegany, stereotypowy człowieczek, którego rola polegała na tym, by być stereotypowym. Piastował stanowisko jednego z dyrektorów Musicosmosu i to, co mu się podobało, przypadało do gustu prawie wszystkim.

- Koncert G-dur Mozarta, numer 453 u Kochla - zadumał się. - Można by żałować, że ostatni utwór, który pani nagrywa, nie jest wspanialszym dziełem, szlachetniejszym, jak na przykład Koncert nr 5 Beethovena. No, ale nagrała go już pani dla nas czternaście lat temu.

- Skoro pan tak mówi.

- Czy nie jest pani trochę smutno... trochę żal? - spytał Weygand. W końcu najprawdopodobniej pianistka już pani nie będzie. Może nawet w ogóle nie będzie pani grać. Sława też może panią ominąć.

Jeśli go zaszokuje, to może pójdzie sobie. - Z drugiej strony, nie będę musiała sypiać samotnie.

Weygand przyjmował wszystko dosłownie. - Owszem, będzie pani musiała, jeszcze przez kilka lat. Przynajmniej przez cztery.

Susan z rezygnacją dała się wciągnąć w rozmowę. Jeśli miała zachować postawę uczciwą wobec siebie samej - a zwykle tak było - musiała przyznać, że jedynym istotnym powodem jej niechęci do Weyganda była owa pogarda, która artyści muzycy żywią do teoretyków, oraz to, że zawsze wiedziała, co on powie, nim jeszcze otworzył usta.

- Zrobiłam prawie wszystko, co może zrobić pianista w muzyce - powiedziała. - Nie chciałabym tego powtarzać.

- Naprawdę? - w głosie Weyganda słychać było zadumę.

- Może tym, razem zostanę trębaczem jazzowym czy pieśniarką bluesową.

Weygand prychnął. - To nie byłoby w porządku. Jest pani wielka artystka, pani Sonnenburg.

- Otrzymałam dobrą ocenę za sprawność mechaniczną. Może czeka mnie kariera fizyka czy lekarza.

- Uczonego! - zawołał Weygand przerażony.

- O, niech się pan nie obawia Susan uspokoiła go łaskawie. - Wedle moich wyników, nie doczekałabym się wybitnych osiągnięć. Więc wszystko w porządku, prawda?

Weygandowi odebrało mowę, co samo w sobie było nad wyraz pożądane. Susan napawała się ciszą do czasu, gdy w końcu przyszło jej na myśl coś, co Weygand mógłby i na pewno zechciałby dla niej zrobić.

- Panie Weygand - spytała - zna pan Benny'ego?
- Dozorcę? Oczywiście.
- Może pan coś dla mnie zrobić? Może pan wysłać go na test?
- Co to znaczy, "na test"?

Nie mogła się zdobyć na te słowa: "Test Drugiego Życia". Cała ta koncepcja było zbyt fantastyczna. Drugie Życie przeznaczone dla Górnej Dziesiątki - dla tych dziesięciu procent społeczeństwa, które oceniono najwyżej według skali WS (wartości społecznej).

Dziesięć procent to naprawdę szeroki przedział. Susan oczywiście znajdowała się w górnym ułamku najwyższego procentu w skali WS. Wszyscy, których znała, cały jej krąg przyjaciół kwalifikował się do Drugiego Życia. Każdy absolwent wyższej uczelni, każdy wyższy urzędnik, artysta, pisarz, muzyk, technik, lekarz, pielęgniarka prawdę mówiąc każdy, komu się choć trochę w życiu powiodło - miał prawie pewność, że się zakwalifikuje.

Wszyscy, których znała Susan, poza Bennym.

Nie potrafiła wyjaśnić Weygandowi, szczególnie jemu, tego co czuła. Przeczucie, intuicja, wrażenie, że w Bennym było coś więcej, niż mogłoby się to wydawać na pierwszy rzut oka. Doskonale zdawała sobie sprawę z tego, że nie jest obiektywna: lubiła Benny'ego, a on mógł umrzeć każdego dnia, mimo że jak na swój wiek wydawał się silny i zdrowy. Więc naturalne było dla niej to, że chciała, by Benny dostał Drugie Życie tylko dlatego, iż miał taki porządny charakter.

Ona sama była jednak przekonana, że kryło się w tym coś więcej. Skala WS obejmowała inteligencję, szeroki zakres uzdolnień, coś, co nazywano "pokrewieństwem duchowym", a czasem empatia. Jednym słowem, oznaczało to, że choć zabieg dający Drugie Życie i tak eliminował wszystkie objawy psychoz, porządny człowiek zawsze miał większą szansę, by się zakwalifikować - przy innych wynikach na tym samym poziomie - niż ktoś, kto miał skłonność do obrywania skrzydełek muchom.

Benny na pewno uzyskałby dobry wynik, przynajmniej w kategorii pokrewieństwa duchowego.

- No, wie pan, o jaki test mi chodzi - powiedziała z irytacją. Nie chciała powiedzieć "test WS". Ten był zarezerwowany dla Drugiego Życia. - Test na zdolności muzyczne?

- Właśnie, ten. - Test ZM służył do zupełnie innych celów, ale badał pobieżnie inteligencję i wystawiał jeszcze pobieżniejszą ocenę osobowości. Jeśli okaże się, że Benny ma w ogóle jakiś talent, zdolność, inteligencję czy potencjał, test to wykaże i naturalnym porządkiem skieruje go na badania WS.

- Jak pani sobie życzy, pani Sonnenburg - rzekł Weygand. - Chce pani coś sprawdzić u Benny'ego?

Susan uchyliła się od odpowiedzi. Zrobi pan to?

- Oczywiście.

Jeden z inżynierów zapukał i otworzył drzwi. - Jesteśmy gotowi, pani Sonnenburg - powiedział.

Nie było to zwykłe nagranie; wszyscy wiedzieli, że natychmiast po jego zakończeniu Susan Sonnenburg udaje się do Instytutu Drugiego Życia. Choć nie oznaczało to śmierci, choć tylko najbliżsi krewni i to rodzaju żeńskiego płakali, gdy ktoś szedł do Instytutu, choć każdy, kto zasłużył na Drugie tycie, był niewymownie wdzięczny, a każdy, kogo to ominęło, niezmiernie żałował, w pewnym sensie zabieg ów był równie ostateczny, jak śmierć. Susan Sonnenburg - pianistka - będzie tak samo martwa, jak gdyby teraz, przy klawiaturze powalił ją atak serca. Nikt jej potem nie powie, kim była w poprzednim życiu, chyba że psychologowie postanawia, iż jej ta informacja nie zaszkodzi; a wiadomo było, że psychologowie są zawsze przeciwni zdradzaniu takich tajemnic.

Inżynierowie nagrania musieli być ogromnie dokładni w pasowaniu fal, bowiem nie będzie już powtórek, a przynajmniej nie z Susan. Ciekawe: kiedy już wszyscy przygotowali się długie i ciężkie nagranie, jak jeden mąż złapali wysoka formę i prawie nic nie trzeba było powtarzać.

Kiedy Susan przekonała się, że jej partia solowa znalazła się na taśmie, obróciła się i wyszła przez pokój wypoczynkowy tak zwyczajnie, iż Collin!, Weygand i wszyscy pozostali byli przekonani, że po prostu wychodzi do łazienki. Ale ona doszła prosto do drzwi wyjściowych, unikając nawet spotkania z Bennym.

Susan Sonnenburg nie lubiła pożegnań.

Pilot taksówki, który wiozł ją do Instytutu Drugiego Życia, również zachowywał się zwyczajnie. - Ach, tak; pani to ta słynna pianistka - odezwał się. Chyba będę musiał szczególnie uważać. Nie byłoby dobrze, gdyby pani zginęła w drodze po Drugie tycie; prawda?

- Jak pan uważa - zgodziła się.

- Sam tu przyjdę za jakieś sześćdziesiąt lat. Nie przyszłoby pani do głowy, że pilot aerotaksówki zasłużył na Drucie tycie, co?

- Więc niech pan będzie podwójnie ostrożny. Chyba żadne z nas nie życzyłoby sobie zaprzepaścić szansy na nieśmiertelność, prawda?

I nie zaprzepaścili. Kiedy Susan weszła kuśtykając do ogromnego kwadratowego gmachu, w którym mieścił się Instytut Drugiego bycia, westchnęła z wdzięcznością na myśl o tym, że kiedy znowu przyjdzie jej chodzić, będzie mogła też biegać, jeśli zechce.

Weygand podniósł słuchawkę. - Tak, mówi Weygand z Musicosmosu. Instytut Drugiego Życia? Tak, oczywiście.. Benjamin Rice? Pewnie jest u nas zatrudniony, ale nie przypominam sobie tego nazwiska. Susan Sonnenburg wymieniła go jako kogo?

- Zazwyczaj zadajemy pytania osobom, które były przyjaciółmi naszych pacjentów - mówił cichy, anonimowy głos. - Oczywiście to, co pacjenci mogą o sobie powiedzieć, jest zbyt subiektywne. Pani Sonnenburg stwierdziła, że ów Benjamin Rice z Musicosmosu może nam pomóc.

- Hm, minęły już trzy dni od jej zabiegu - powiedział Weygand. - Jak to przechodzi?

Anonimowy głos wydawał się zdziwiony tym pytaniem. - Tak jak oczekiwano, panie Weygand. Normalny przypadek. żadnych komplikacji. A teraz co do tego Benjamin Rice'a...

- Jedna chwileczkę. Czyżby to był stary Benny? Niech pan posłucha, sprawdzę to i pošlę panu Benjamin Rice'a, kimkolwiek by nie był, tak prędko, jak będzie można. Zgoda?

- Dziękuję, panie Weygand. Weygand zadzwonił przez aparat wewnętrzny do działu kadr.

- Kto to taki Benjamin Rice? - zapytał.

Sprawdzenie zajęło mniej niż minutę. - Jeden z dozorców, panie Weygand. Chce pan jego teczkę?

- Nie, to wszystko, dziękuję. Połączył się z maleńkim pokoikiem Benny'ego. - Benny? Mówi Weygand. Właśnie miałem telefon z Instytutu Drugiego Życia. Pani Sonnenburg podała tam twoje nazwisko. Zdaje się, że chcą ci zadać kilka pytań. Nie obawiaj się, nic złego ci się nie stanie. To tylko jakaś sprawa porządkowa. Pójdź tam zaraz, dobrze? I, Benny...

Przypomniał sobie nagle, z poczuciem winy, że obiecał Susan zrobić Benny'emu test na ZM. Nie zapomniał, po prostu nie pamiętał o tym.

- Nieważne - powiedział i odłożył słuchawkę. Zadzwoni do Waltera Jenningsa z działu testów, a ten wezwie Benny'ego, gdy będzie gotów. Zresztą, żeby znowu nie wyleciało mu z pamięci, Weygand ponownie podniósł słuchawkę telefonu wewnętrznego i od razu wykręcił numer Jenningsa.

Benny zdjął z wieszaka płaszcz i włożył go powoli, w zamyśleniu. Przebiegały go jakieś dreszcze na myśl o udaniu się do Instytutu. Ale nie mógł nic poradzić. Zostawił na stoliku kartkę z wypisanym wielkimi literami zawiadomieniem WYSZEDŁEM W SPRAWACH SŁUŻBOWYCH i skierował swe kroki do wyjścia.

Benny Rice miał już ponad sto lat i czasem, w gmachu Musicosmosu, wyglądał na te lata. Ale kiedy szedł w stronę Instytutu Drugiego Życia nie przyszło mu do głowy, by wsiąść do autobusu czy taksówki, choć miał do pokonania ponad trzy kilometry, a Musicosmos albo Instytut zapłaciłby za przejazd - stopniowo prostował się, oczy zapalały się blaskiem, pierś się wyprężała; w połowie drogi nikt nie dałby mu więcej niż pięćdziesiątkę. Ponieważ przeciętna długość życia wynosiła obecnie sto siedem lat, pięćdziesięciolatek był uważany bez mała za młokosa.

Fizycznie Benny był wyjątkowym osobnikiem, tak wyjątkowym, że aby uniknąć zwracania na siebie uwagi w Musicosmosie, gdzie dokładnie znano jego wiek, już z przyzwyczajenia poruszał się odrobinę wolniej i bardziej niezgrabnie, niż potrafił. Poza budynkiem chętnie udawał pięćdziesiątkę, o ile nie było to dla niego ryzykowne. Przeważnie nie było. Przy odrobinie szczęścia miał jeszcze przed sobą czterdzieści lat życia.

Z zewnątrz Instytut był zimnym, pustym, bezosobowym prostopadłościanem otynkowanym na biało. Ale wewnątrz zaskakiwało. Umeblowanie i wystrój upodabniały go raczej do luksusowego hotelu aniżeli do szpitala czy zakładu opiekuńczego.

- Benjamin Rice? - spytała elegancka blondynka w recepcji. - Tak jest, dr Martin chce pana widzieć. Jest w ogrodzie, Sammy pana zaprowadzi.

Sammy był młodzieńcem o rudych włosach, który przez cały czas milczał. To zdziwiło Benny'ego, bo Sammy wyglądał na miłego i rozmownego chłopca. - Co z tobą, synu? - spytał, gdy weszli do ogrodu rozciągającego się za Instytutem. - Kto ci odgryzł język?

Sammy obdarzył go spojrzeniem do tego stopnia pełnym inteligencji i przekory, że Benny spodziewał się zgrabnej riposty. Ale zamiast tego Sammy powiedział tylko: - Da-da.

Wtedy Benny zrozumiał i zganił siebie w duchu za głupotę. Sammy, oczywiście, był jednym z tych, którzy otrzymali Drugie Życie. Posiadł już cały intelekt, który ma mu w nim towarzyszyć, ale nie nauczył się jeszcze mówić.

Recepcjonistka też pewnie była już po zabiegu. To naturalne; jeżeli Instytut musi się opiekować ludźmi przez prawie cztery lata, zagoni ich do pracy.

Dr Martin wyglądał ledwie na dwadzieścia lat, ale nie mógł być pacjentem Instytutu. Drugie Życie nie było czymś w rodzaju ekskluzywnego klubu społecznego. Choć z konieczności ci, którzy otrzymali Drugie Życie musieli przebywać razem, by dojrzeć i odzyskać owe podstawowe informacje, którymi powinien dysponować każdy inteligentny obywatel, tak szybko jak to możliwe pacjentów rozdzielano i mieszano z resztą społeczeństwa. Martin nie mógł być posiadaczem Drugiego Życia, bo żadnemu lekarzowi, który przeszedł zabieg, nie zalecano by ani nawet nie pozwolono na zakopanie się w Instytucie Drugiego Życia. Byłoby to powrotem do łona matki.

Podniósł wzrok uśmiechając się Benjamin Rice?

- Wszyscy mówią do mnie "Benny".

- Jasne. Dziękuję ci, Sammy, możesz wracać do recepcji.

Stali na ogromnym trawniku, na którym poustawiano w zgrabnych rzędach dziesiątki leżaków. Choć nie było tu ani jednej pielęgniarki i w ogóle nikogo z personelu poza doktorem Martinem; widok zdawał się zrazu normalny: ot, trawnik w dowolnym sanatorium. Potem jednak zauważało się, że wszyscy zajmujący leżaki mają po jakieś czternaście lat, są głęboko uśpieni środkami farmakologicznymi, a poza tym wszyscy, chłopcy i dziewczęta, ma ją na sobie szerokie białe koszule. Koszule przypominające trochę piżamy dla lalek - tyle, że nikt ich nie dopasowywał, by nadać im jakiś atrakcyjniejszy wygląd - były z tego wszystkiego najdziwniejsze, bowiem nikt nie mógł mieć wątpliwości, że żaden normalny chłopiec czy dziewczyna nie zgodziłiby się włożyć na siebie czegoś podobnego, gdyby mieli w tej sprawie cokolwiek do powiedzenia.

Mimo zdrowego wyglądu, owe przerośnięte niemowlęta miały umysły tak puste, jak kieszeń stracha na wróble. Chłopcy nawet nie wiedzieli, że są chłopcami, podobnie jak dziewczęta dziewczętami.

- Pan pracuje w Musicosmosie, Benny?

- Jestem dozorca.

Martin wyglądał no zaintrygowanego. - Jak się układały pańskie kontakty z panią Sonnenburg?

- Znakomicie, panie doktorze. To była wspaniała kobieta. Żałowałem jej bardzo, kiedy tu poszła.

- Żałował pan? Chyba nie chciał pan, żeby umarła?

- To była wspaniała kobieta powtórzył wymijająco Benny.

Martin był coraz bardziej zaintrygowany. Susan wpisała nazwisko Benny'ego do formularza w tym miejscu, gdzie należało podać znajomego, który mógł udzielić informacji o jej osobowości, zachowaniu, charakterze jeśli okazałoby się to konieczne. Martin zakładał przedtem, że Benjamin Rice okaże się jakimś kolegą Susan muzykiem, pisarzem, plastykiem czy kimś podobnym.

- Niech mi pan o niej opowie odezwał się tonem zachęty.

- Zawsze była dla mnie miła. Ona mówiła, że ja też jestem dla niej miły, ale nie wiem, o co jej chodziło. Oczywiście nie mogła się poruszać tak sprawnie jak przedtem, odkąd miała tamten wypadek, więc jej pomagałem, takie tam drobiazgi. Powiadali, że jest wielką pianistką, ale mnie to nic nie mówiło. Ja wiem tylko, że była wspaniałą kobietą.

Martin milczał. Było oczywiste, że Benny nie powie mu niczego, co mogłoby się przydać. Zapewne Susan Sonnenburg wpisała jego nazwisko dla żartu, podobnie jak w rubryce "Inne zajęcia" podała "gra w pchełki".

Łatwo mógł znaleźć wiele innych osób, które dobrze znały Susan Sonnenburg. Intrygowało go jednak, dlaczego Susan wpisała właśnie Benny'ego. Czy był to tylko bezsensowny żart, raczej w złym guście, czy też coś się za tym kryło?

- Jak długo znał pan Susan Sonnenburg? - spytał leniwie.

- Tylko rok. Nie, trochę mniej. Przyszedłem do Musicosmosu we wrześniu.

A więc to tak. Martin musiał zrezygnować ze swej hipotezy, że Sonnenburg i ten stary człowiek byli niegdyś kochankami, dawno temu. Zresztą pomysł był dość nierealny.

Podniósł się. Będzie musiał znaleźć kogoś innego, by podał mu swoje wrażenia o charakterze Susan Sonnenburg, do wpisania w historii przypadku. Benny był miłym starszym facetem, ale niezbyt byстрыm.

- Chciałby pan teraz zobaczyć panią Sonnenburg? - spytał.

Benny cofnął się odruchowo. Nie! - wykrzyknął gwałtownie.

To było interesujące. Może jednak kiedyś byli kochankami?

- Ona już nie jest dawną Susan Sonnenburg. Ale jeśli pan ją lubił, Benny, uważam, że powinien pan ją teraz zobaczyć. Zmieniła się oczywiście. Myślę jednak, że gdy ją pan zobaczy, nie będzie pan tak bardzo żałował jej odejścia. Czeka ją wiele szczęścia.

Benny nie opierał się, gdy Martin prowadził go przez trawnik. Doktor stanął przed jednym z leżaków i pokazał nań. Benny wstrzymał oddech.

Znajdująca się na leżaku dziewczyna, uśpiona głęboko, miała około czternastu lat, podobnie jak pozostali na trawniku. Jej gładka, ładna twarz przypominała rysy Susan. Wyrażała pełnię inteligencji i absolutny brak doświadczenia. Gdyby nie ów wyraz inteligencji i przebłysków poczucia humoru, byłaby to twarz pięknej kretyнки.

"Drugie Życie" to wygodna nazwa dla czegoś, co nim nie było w żadnym wypadku. Ludzie nie odradzali się; wymazywano im do czysta umysł i odnawiano w tanku kulturowym. Ich zegar życia cofano o osiemdziesiąt lat. Stare komórki zastępowano nowymi, wiek starczy - młodością. W zamian za to musieli oddać wszystko, co w życiu poznali.

Dziewczyna, która trochę przypominała Susan, miała na sobie prosta koszulę, która sama w sobie nie pozwoliłaby odróżnić jej płci. Jej ciało, choć ledwie dojrzałe, było równie piękne, jak jej twarz. Wyglądała jak nowo narodzone dziecko, które w jakiś sposób weszło w posiadanie młodzieńczego ciała, co zresztą w pewnym sensie było zbliżone do prawdy.

Betty Roger - Martin uważał, by nie ujawnić przed Bennym jej nowego nazwiska - miała wszystkie zdolności, talent i inteligencję Susan Sonnenburg. Czy jednak zyska tę samą osobowość, tego nikt nie wiedział na pewno. W poszczególnych przypadkach nie wiadomo było, w jakim stopniu osobowość wyrastała z cech dziedzicznych, a w jakim z wpływu środowiska. Betty i Susan

miały te same cechy dziedziczne, ale ich środowisko postąpi z nimi całkowicie odmiennie. Betty zapewne będzie szczęśliwsza niż Susan i osiągnie mniej. Ale równie prawdopodobne było, że osiągnie jeszcze więcej.

- Myślałem, że będzie małym dzieckiem - odezwał się Benny chrapliwym głosem.

Martin potrząsnął głową. - Moglibyśmy tak zrobić, ale to niepotrzebne, a nawet niepożądane. Poprawiliśmy naturę. W naturalnym porządku rzeczy dziecko potrzebuje dwudziestu lat, by osiągnąć dojrzałość umysłową i fizyczną. My możemy przekazać tyle, ile trzeba, w ciągu czterech lat. Kiedy ona skończy osiemnaście lat, nie będzie w niczym ustępowała swej rówieśnicy, która urodziła się i wychowała normalnie. Nie cofamy pacjentów przed okres dojrzewania, bowiem cztery lata wystarcza nam aż nadto, a poza tym w ten sposób unikamy wielu problemów emocjonalnych. Jest prawie pewne...

Urwał w pół zdania. Mówił do Benny'ego tak, jakby on okazał się tym, którego spodziewał się ujrzeć. Oszołomienie malujące się na twarzy starego człowieka pokazywało, że doktor traci po prostu czas.

Poprowadził go przez trawnik z powrotem do budynku. - Dziękuję panu, Benny, że pan przyszedł - rzekł. Bardzo mi pan pomógł. Chcę po prostu porozmawiać z kilkoma osobami, takimi jak pan, które dobrze znały panią Sonnenburg. Może mi pan zaproponuje, do kogo mam się teraz zwrócić?

- Do pana Colliniego - powiedział Benny, dumny z tego, że zapytano go o zdanie. - On jest dyrygentem. Pani Sonnenburg często z nim pracowała.

- Dziękuję panu, Benny. Tak zrobię. W drodze powrotnej do Musicosmosu Benny zgarbił się i znowu zaczął wyglądać na swoje lata.

Susan Sonnenburg odeszła. Ta piękna pół-dziewczynka, pół-kobieta, która zobaczył, nie była Susan Sonnenburg i nigdy nią nie będzie.

Może to się wydać dziwne, ale mało go to obeszło; nie był to też powód jego przygnębienia. W końcu Susan miała już tyle lat, że w każdej chwili mogła się spodziewać śmierci, a zbliżała się pora, gdy jej odejście stawało się pewne. (Miała tylko pięć lat mniej od niego.) W chwili obecnej nie była bardziej martwa, niż gdyby naprawdę umarła. Stąd też, logicznie rzecz biorąc, oddaliła się raczej od śmierci.

Kiedy tego wieczoru Benny wrócił do swego jednopokojowego mieszkania, wyciągnął owe dwieście pięćdziesiąt dolarów, które dała mu Susan, jak dotąd nie tknięte. "Kup sobie coś, co będzie ci mnie przypominało" powiedziała wtedy.

Nie potrzebował niczego takiego. Nie było sensu o niej pamiętać. Jedyna rozsądna rzeczą, która mógł zrobić, było umieścić te pieniądze tam, gdzie pozostałe, i zapomnieć, skąd je ma.

Zza staromodnej toaletki wyjął wielką kopertę i zajrzał do wnętrza. Dwa tysiące dolarów. Nie chciał ani nie potrzebował więcej. Zamknawszy kopertę odłożył ją na miejsce. Pieniądze od Susan nadal leżały na toalecie.

Susan Sonnenburg odeszła, skończyła się. Pozbędzie się tych pieniędzy, które od niej otrzymał, jak można najszybciej i najskuteczniej. Wyrzuci je w błoto. Nic z nich nie zatrzyma, nawet tyle by kupić firmowe zapalki w nocnym klubie.

Nocny klub. Ostatni raz był w czymś takim dwadzieścia lat temu. Nie zamartwiłby się na śmierć, gdyby już ani razu tam nie poszedł. Ale skoro ktoś chce pozbyć się pieniędzy nie wyrzucając ich po prostu do śmietnika...

Z szafy wyjął wieczorowe ubranie, tanie, lecz dobrze skrojone; tak dobrze, że kiedy włożył je na siebie, całkowicie straciło swój tani wygląd. Wydawał się w nim również młodszy nie tyle wiekiem, co duchem. Mężczyzna siedemdziesięcioletni tańczący hopaka wygląda znacznie młodziej niż sześćdziesięcioletek w wózku inwalidzkim. Otaczający go ludzie mogli dość dokładnie odgadnąć jego wiek. Tym niemniej, w towarzystwie dwudziestoletnich dziewcząt wyglądałby o wiele mniej dziwnie niż wielu o połowę od niego młodszych mężczyzn.

Był tego świadom.

Pogwizdując z zadowoleniem, choć może niezbyt składnie, ubierał się myśląc bez żalu o Susan. Łatwo było o sentymentalizm, gdy ktoś umierał lub udawał się po Drugie Życie, ale prawdę mówiąc, ani Susan, ani ktokolwiek inny w ciągu dwudziestu lat nie stał mu się na tyle bliski, by można było mówić o przyjaźni. Nie mógł sobie na nią pozwolić. Mógł dopuścić, żeby kobiety kochały go, gdyby mogły i chciały tego; ale nie wolno mu było przystać na to, by ktokolwiek, mężczyzna czy kobieta, stał się jego przyjacielem.

Choć Susan mogła zostać jego przyjaciółką.

Przygotowawszy się na rozkosze nadchodzącej nocy zjadł nie spiesząc się dobrą kolację w pobliskiej restauracji. Posiłek nie był obfity, ale dobrze wybrany: towarzyszyła mu butelka jugosłowiańskiego rieslinga.

Potem udał się do nocnego klubu "Blue Moon". Zanim usiadł przy barze, przez kilka minut przyglądał się występom. Jakiś magik pokazujący nadziane elektronika sztuczki cieszył się znacznie mniejszym zainteresowaniem, niż na to zasługiwał. Niektóre z jego rekwizytów były zdalnie sterowane radiem. Kiedy zasłaniał oczy, używał radaru. Wszystkie jego zwierzęta zaś były znakomicie zaprojektowanymi robotami. Szkoda, że ktoś mu nie powiedział, by zachował się staromodnie i włączył do numeru kilka pańienek.

Gdy Benny podszedł do baru, siedziały przy nim dwie dziewczyny; jedna, której profesja mogła budzić wątpliwości - w różowej sukni, druga zaś ubrana na czerwono. Jej aparycja mogła być wzorem dla koleżanki.

- Cześć - powiedziała ta w różowym.

Benny uśmiechnął się do niej o wiele milej i serdeczniej niż do dziewczyny w czerwonej sukni. Tym niemniej, najdelikatniej jak umiał, wyjaśnił sytuację i różowa westchnęła filozoficznie.

- Ona ma na imię Marita - powiedziała. - Postaw mi drinka i spływam.

Marita nie wyglądała na taką, jaką była; jak zresztą uczy historia, najznakomitsze przedstawicielki jej profesji nigdy na to nie wyglądały. Z wyjątkiem tego, że suknia przylegała do niej niczym opalenizną, ubrana była przyzwoicie i miała inteligentny wygląd.

Kiedy Benny zjawił się następnego dnia w gmachu Musicosmosu, z pieniędzy ofiarowanych przez Susan nie pozostało nic poza lekkim kacem i uczuciem znużenia, oczywistym przy jego wieku.

Jennings położył teczkę na biurku Weyganda. - Zrobiłem te testy, które pan chciał, z Benny Rice'em. Chce pan spojrzeć na wyniki?

- Nie, chyba że jest w nich coś interesującego. A jest?

- To zależy, co jest dla pana interesujące.

Jennings był wysokim niechlujnym mężczyzną, który przez większość swego życia sprawiał wrażenie zmęczonego i znudzonego, zgrzytającego niczym silnik na niskim biegu. Co pewien czas jednak coś wprawiało go w podniecenie. Wtedy natychmiast wrzucał wyższy bieg i zaczynał perlić się niczym szampan.

Jego rozczarowanie wynikało stad, że niewiele osób rozumiało czy też przywiązywało wagę do jego badań. Połowę życia spędził tłumacząc, że jego testy przeznaczone są do wykrywania p o t e n c j a ł u muzycznego. Jeśli ktoś nawet uzyskał ogromny współczynnik muzykalności - 185, nie oznaczało to, że zostanie wielkim kompozytorem, wykonawcą, dyrygentem. Oznaczało to jedynie, że jego współczynnik muzykalności wynosi 185. Przy innych sprzyjających okolicznościach może uda mu się osiągnąć coś na polu muzyki. Jeśli owe okoliczności będą dokładnie takie, jak trzeba, zapewne zrobi karierę, o ile zacznie dość wcześnie i pójdzie we właściwym kierunku. Jeśli zaś okoliczności okażą się niesprzyjające, będzie z niego dobry kierowca lub urzędnik.

- No więc jak, Benny jest muzycznie niedorozwinięty? - spytał Weygand.

- To nie jest dokładnie tak. Osobnik muzycznie niedorozwinięty miałby współczynnik muzykalności między 70 i 80. Benny ma 42, co sprawia, że należy go uważać za muzycznego imbecyla.

Weygand westchnął. - Dziękuję panu, Jennings.

- A o co w ogóle chodziło?

- Susan Sonnenburg chciała, by go zbadać. To chyba owa kobieca intuicja, jak mi się zdaje.

Jennings na chwilę stracił swój zwykły znękaną wyraz twarzy; ogarnął go autentyczny entuzjazm. - Jeśli Susan Sonnenburg o to prosiła - powiedział - to wiem, o co jej chodziło. Drugie Życie. Wyczuła, że Benny nie jest taki głupi, na jakiego wygląda. I miała słuszość.

- Chce pan powiedzieć, że Benny mógłby być kandydatem do Drugiego Życia? Z takim współczynnikiem muzykalności?

Wyraz bólesci znów powrócił na twarz Jenningsa. - Prezydent Fuller gna współczynnik muzykalności 61 - powiedział. - Co nie przeszkadza, że znajduje się prawie na szczycie skali WS.

Uniesione brwi Weyganda sugerowały łagodne, niezbyt głębokie zdziwienie. - Mój współczynnik muzykalności jest taki sam, jak mój WS.

- I pracuje pan na stanowisku administracyjnym w instytucji artystycznej.

- No to co z tego?

Przez twarz Jenningsa przemknęło najwyższe cierpienie. Czasem zastanawiał się, po co w ogóle zadaje sobie trud.

- Czy mam zrobić Benny'emu test na WS?

- Gdyby jego WS był wysoki, przecież odkryto by to już dawno, prawda? - O, ta k.

- Więc niech pan da spokój. Zrobiłem wszystko, czego Susan ode mnie chciała.

Ale Jennings nie dał temu spokoju. Wróciwszy do siebie rozmyślał nad swoją oceną Benny'ego. Nie wiedząc nic o przyczynach przypuszczał, że zażądano testu, bo ktoś pomyślał, iż Benny ma zdolności muzyczne. No więc, nie miał ich - łagodnie mówiąc.

Jennings miał okazję dobrze poznać Susan Sonnenburg - a pod jednym względem lepiej niż ktokolwiek inny. Znał wyniki jej testów. Współczynnik muzykalności - 141. ("Tylko 141 ?" powiedział raz Weygand. "To doskonale pokazuje, ile są warte pańskie testy. Ona jest największa pianistka na świecie". Jennings usiłował wyjaśnić, w jaki sposób współczynnik muzykalności równy 141 lub nawet mniej może wystarczyć komuś, kto ma taki intelekt i taka wytrwałość, jakie miała Susan. toby coś osiągnąć, trzeba mieć coś więcej niż tylko potencjał.) Współczynnik inteligencji - 155. Sprawność mechaniczna - 139. WS 198.

Do cholery, testy były w najlepszym porządku, jeśli ktoś używał ich, z odrobina zdrowego rozsądku. Owe trzy liczby dotyczące Susan wyjaśniały wszystko: współczynnik inteligencji 155, sprawność mechaniczna - 139, WS - 198. Najwyraźniej miała niesamowita intuicję. Wciąż jeszcze nie opracowano sposobu bezpośredniego testowania intuicji, ale podobnie jak z obecnością radu w uronice, można było domniemywać. Jeśli przeciętna z 141, 139 i 155 wynosiła 198, . można się było spodziewać obecności radu.

Jennings, matematyk i fizyk, gotów był podtrzymać swym autorytetem przecucie Susan co do Benny'ego. Nie dlatego, że stary dozorca interesował go jako człowiek. Chodziło mu raczej o działanie systemu testowego.

Wróciwszy do swego pokoju zatelefonował do Federalnego Instytutu Drugiego Życia, aby podano mu zarejestrowany WS Benny'ego. Otrzymał go po kwadransie - 31.

Kiedy to usłyszał, wstrzymał oddech ze zdumienia. Oczy mu błyszczały, kiedy wrzucał swój drugi, a potem trzeci bieg i przeistaczał się w ludzki buldożer. Miał oto coś do sprawdzenia, coś, co nie było w porządku.

Współczynnik WS równy 31 był po prostu niemożliwy. Prawda, Benny był muzycznym imbecylem. Również pozostałe testy nie wykryły w nim żadnego geniusza. Jednak współczynnik WS wynoszący 31 oznaczał, że ktoś nie jest w stanie wykonywać żadnej pracy, a już na pewno wypełniać obowiązków dozorecy. Było w tym wszystkim coś dziwnego. Coś dziwnego i interesującego.

Jennings ponownie wezwał . Benny'ego, który zjawił się natychmiast. - Pan mnie wzywał, panie Jennings? - zapytał.

- Tak. Usiądź tam, Benny. Pewne zastanawiałeś się, po co był ten poranny test. Prawdę mówiąc, prosiła o to Susan Sonnenburg. Nie powiedziała dlaczego, ale moim zdaniem uważała, że należy ci się Drugie tycie.

- Nie należy mi się - odparł po prostu Benny. - I, jeśli nie ma pan nic przeciwko temu, nie chciałbym już więcej o tym mówić.

- Jedynie z ciekawości - rzekł Jennings - odszukałem twój oficjalny wskaźnik WS, Benny. Wynosi on 31. Krótko mówiąc, to nie jest możliwe. Wierz mi na słowa, coś tu zostało kompletnie pokręcone. Czy pamiętasz coś z tamtego testu?

- Prawie nic. Było to siedemdziesiąt lat temu.

Jennings skoczył na równe nogi. Gdybyś naprawdę miał 31, Benny, nie mógłbyś pamiętać, że było to przed siedemdziesięciu laty. Nie potrafiłbyś nawet obliczyć, kiedy to miało miejsce. Rozumiesz?

- Skoro pan tak mówi, panie Jennings.

- Co jeszcze pamiętasz z tego testu sprzed siedemdziesięciu lat? Czy było w nim coś szczególnego? Może wtedy chorowałeś, albo coś innego?

- Nie pamiętam, panie Jennings.

- Chciałbyś zrobić go jeszcze raz?

- Nie, panie Jennings.

Owa jednoznaczna, szczerza odpowiedź na chwilę zbiła Jenninąsa z tropu. - Ależ Benny, twój wskaźnik jest całkowicie błędny. Musi być. Nie mogę niczego obiecać. oczywiście, poza tym, że na pewno jesteś znacznie wyżej na skali. O ile wyżej, tego nie wiem. .

Górne dziesięć procent obejmowało tych, których wskaźnik wynosił ponad 120. Było wysoce nieprawdopodobne, żeby Benny w ogóle zdołał się zbliżyć do 120, a Jenninąs nie chciał rozbudzać nadziei starego człowieka, nawet gdyby wspierała je intuicja Susan Sonnenburg. Ale test trzeba było przeprowadzić.

- Niech pan posłucha, panie Jennings - odezwał się Benny prosząco. - Od siedemdziesięciu lat wiem, że Drugie Życie nie jest dla mnie. Zestarzałem się wiedząc, że inni mogą się go spodziewać, ale nie ja. Już się z tym dawno oswoiłem. I wbiłem sobie w głowę, że nie chcę Drugiego Życia... czy pan to rozumie?

- No, jeśli sam nie będziesz go chciał, to nie. Drugie Życie wcale nie jest przymusowe; chyba że ktoś ma tak wysoki WS, że społeczeństwo nie może sobie pozwolić na to, by go utracić. Chciałbym, Benny, poddać cię testowi po to tylko, żeby zrobić porządek w archiwach. Twój wskaźnik WS wcale nie równa się 31 i nigdy taki nie był. Wynosi on, powiedzmy, 70..., 100... może nawet 110. Nie chciałbyś tego wiedzieć na pewno? Tylko po to, żebyś dalej nie myślał o sobie, żeś nic niewart?

Benny wzruszył ramionami. - Jeśli pan tego chce, panie Jennings. Jak pan sobie życzy.

Wynik nadszedł po paru godzinach. Jennings patrzył nań nie dowierzając własnym oczom. WS - 30.

Nie wiedział, co ma powiedzieć Benny'emu. Teraz, gdy już było po wszystkim, gdy nie mogło być nowy o żadnych wątpliwościach, nasuwały mu się najróżniejsze możliwe wytłumaczenia.

Podobnie jak Susan Sonnenuurg mogła mieć średnią wyższą niż którykolwiek ze składających się na nią składników, tak samo średnia Benny'ego mogła być niższa. Współczynnik inteligencji - 98. Współczynnik muzykalności - 42. Sprawność mechaniczna - 116. Sprawność matematyczna 126 (niezwykle wysoka, jak na dozorcę). Pewność siebie - 42 (z kolei niesamowicie niska). Pamięć - 110.

Żaden ze współczynników nie był niższy od 41, a jeden sięgnął 126. Zaś WS równała się 30. Powodem obniżenia tego . wskaźnika mogły być skłonności zbrodnicze, psychopatyczne, antyspołeczne - ale w tym przypadku nie były. Wartość współczynnika skłonności antyspołecznych była w normie.

Jennings rozwiązał problem, co ma powiedzieć Benny'emu, w ten sposób, że nie powiedział mu w ogóle nic. Posłał tylko kartkę informującą go, iż nowy test potwierdził wyniki starego.

Potem spróbował zrobić to; co porodził mu Weygand: zapomnieć o Benny'm.

Jednopakojowe mieszkanie. Benny'ego znajdowało się o dwadzieścia minut drogi piechotą od budynku Musicosmosu. Wracając do domu zastanawiał się, czy ma odejść z obecnej pracy. Na zimno, spokojnie, bez zdenerwowania rozważył oba aspekty sprawy.

Z jednej strony, kiedy ktoś zaczyna się tobą interesować, zazwyczaj trwa w tym zainteresowaniu, dopóki nie znajdzie aż za dużo. Z drugiej strony, jeśli stawić temu czoła i nic sobie z tego nie robić, wszelka ciekawość mogłaby się uciszyć i byłbyś tak bezpieczny, jak nigdy dotąd. Nikt nie patrzy po raz drugi tam, gdzie już szukał. Ty jednak nigdy byś się o tym nie dowiedział - zawsze uciekałaś, gdy robiło się gorąco.

Właśnie gdy podejmował decyzję, że tym razem postara się wytrzymać tak długo, jak będzie można, zdał sobie sprawę, że ktoś go śledzi.

Nie zmylił kroku. Kto mógłby go śledzić? Tylko ten, kto nie wiedział o nim zbyt wiele. Każdy inny, kto wiedział, pojąłby, że Benny wraca po prostu do domu z Musicosmosu, jak co dzień, i nie ma najmniejszej potrzeby śledzenia jego kroków.

Może popełnił błąd w tym teście na WS.

Po co w ogóle go testowali? Zraz, myślał, że ma to tylko coś wspólnego z Susan Sonnenburg - że ona załatwiła ten test sądząc, że robi mu przysługę. Ale jeśli tak, to kto teraz szedł za nim? Susan była w Instytucie Drugiego Życia i dawno już przestała znać Benny'ego Rice'a oraz myśleć o nim.

Celowo minąwszy kiosk, w którym zawsze kupował gazetę, Benny udał, że nagle sobie o niej przypomniał, i zawrócił. Dało mu to sposobność przyjrzenia się człowiekowi, który szedł za nim. Był to osobnik między trzydziestką a czterdziestką; bardziej niepozornego Benny nigdy jeszcze nie widział. Nawet patrząc prosto na niego Benny nie potrafił znaleźć jakiegokolwiek cechy, która później pozwoliłaby go zidentyfikować. Napotkawszy wzrok Benny'ego ów człowiek spojrział na niego tak obojętnie, że przez chwilę staremu wydawało się, iż jest w błędzie.

Ale nie, to nie był błąd, uświadomił sobie. Ten człowiek był mistrzem w swoim zawodzie. Był tak dobry, że przez chwilę Benny zastanowił się, czy przypadkiem tamten nie dał mu poznać, że jest śledzony, by zobaczyć jego reakcję.

Nie denerwując się już Benny błyskawicznie układał swój plan. Musiał pójść do swego mieszkania, bo miał tam pieniądze uskładane na wypadek, gdyby musiał uciekać. Idąc za nim detektyw nie będzie się spodziewać, że zaraz po wejściu do mieszkania natychmiast z niego wypadnie.

Tak więc odpadała możliwość pozostania na miejscu i nadrabiania miną. Kiedy łążą za tobą najlepsi detektywi, za późno na udawanie, że jesteś starym, głupim dozorca, WS - 30, i już nigdy nie uda Ci się nikogo przekonać, że nim byłeś. Nieważne kto i po co zatrudniał detektywa; skoro już do tego doszło, było po sprawie.

Detektyw nie był z policji, bo ta do śledzenia używałaby telewizji beznadajnikowej. Najlepszym wyjściem było więc przyskać jak najdalej, zanim zainteresuje się nim władze.

Znowu uciekał.

Kiedy następnego ranka Benny Rice nie zjawił się w Musicosmosie, nie był to fakt aż tak ważny, żeby ktokolwiek objawił większe zainteresowanie. A już z pewnością o jego nieobecności nie powiadomiono nikogo tak ważnego, jak Weygand czy Jennings.

Dopiero kiedy przyszła jakaś kobieta i zaczęła się wypytywać, portier o obojętnym wzroku, który zajął miejsc Benny'ego przy drzwiach wejściowych, skojarzył wydarzenia ostatnich paru dni i zadzwonił do Jenningsa.

- Tutaj jakaś kobieta pyta o Benny'ego, panie Jennings - powiedział. On często ostatnio do pana łąził. Może pan...

- Co to znaczy; pyta o Benny'ego? Nie ma go tam?

- Nie ma. Nie było go od rana. Myślałem, że pan...

- Co to za kobieta? Stara?

- Nie, młoda. - Portier, który już dawno nie był młody, nie sprecyzował wieku przybyłej.

- Niech pan ją przyśle do mnie. Jennings ze zdziwieniem ujrzał młodą kobietę w wieku lat dwudziestu kilku, która niewątpliwie zarabiała na życie swą urodą w taki czy inny sposób. Przedstawiła się jako Merita Herbert.

- Przepraszam, że zawracam panu głowę, panie Jennings - powiedziała. - Interesuje mnie Benny Rice. Chcę go odszukać, to wszystko.

- Dlaczego?

Uśmiech nie zniknął z jej twarzy, ale wyraźnie ochłódł. - Szczerze mówiąc, panie Jennings, nie rozumiem, co to może pana obchodzić.

Jennings wzruszył ramionami. - Jeśli pani chce, żebym pomógł odnaleźć Benny'ego, musi mi pani coś powiedzieć. Zupełnie mnie nie ciekawią pani sprawy, panno Herbert. Ale mnie wciąż interesuje Benny.

- Wciąż?

- Dlaczego chce go pani odnaleźć? Wzruszyła smutno ramionami, prawie ze złością. - Poznałam go przedwczoraj. Jest trzy razy starszy ode mnie, ale ma w sobie coś takiego... Chcę go jeszcze raz zobaczyć. Muszę. Nawet wynajęłam detektywa, by mi go znalazł.

Jennings przełknął ślinę. - Zakochała się pani w nim? - spytał tonem niedowierzania.

- To nie to. Niedokładnie to. Czy nie mam prawa zobaczyć go jeszcze raz, nie kochając go?

- Powiedziała pani, że wynajęła Detektywa, by go wysłedził. Nie wiedziała pani, gdzie mieszka?

- Znałam tylko jego nazwisko. Wynajęty detektyw ustalił, że Benny pracował tutaj. Powiedzieli mi, że jest dozorca, ale to niemożliwe.

- Dlaczego nie, panno Herbert?

- Tamtej nocy szastał pieniędzmi na prawo i lewo.

- Może je wygrał na wyścigach.

- Może, ale... Wie pan, on jest miły. Wyrozumiały. Inteligentny, ale nie w ten sam sposób, co profesor z uniwersytetu. Domyślny. Wykształcony. I ma gust.

Jennings zaskoczony odrzekł: - Wielu takich jest dozorcami.

- Zgrywa się pan? Może pan myśli, że jestem głupia i nie potrafię wyczuć, jak ktoś ma klasę? Słuchaj pan, panie Jennings, chcę znowu zobaczyć Benny'ego Rice'a, bo... bo w ciągu tych paru godzin nauczył mnie inaczej patrzeć na wszystko. Przywrócił mi moją ambicję, kapuje pan? Potrzebuję go tak, jak inni potrzebują chodzić do kościoła. Czy choć trochę rozumie pan, o czym mówię?

Jennings przypomniał sobie wynik Benny'ego: WS - 30. Zbyt łatwo ustąpił. Oczywiście, że ta liczba była nie do przyjęcia, tak jak powiedział Benny'emu przed testem. Musiał to przemyśleć.

- Niech pani zostawi mi swój adres; panno Herbert. Kiedy sprawdzimy to i owo, damy pani znać. Poślemy kogoś do mieszkania Benny'ego.

Wzruszyła ramionami. - Może pan sobie oszczędzić trudu. Nie ma go tam: Zdaje się, że ja wiem dużo więcej o nim niż wy.

- Co pani wie, panno Herbert?

- Mówiłam panu. Nie ma go w mieszkaniu. Silver, ten detektyw, którego wynajęłam, zadzwonił do mnie wczoraj wieczorem i powiedział, że szedł za nim aż do jego mieszkania. Wygląda na to, że właśnie kiedy telefonował, Benny prysnął. I nikt od tamtej pory go, nie widział. Ten mój sprytny kapuś mówi, że ma jakiś cynk, ale nie liczę na to.

Kiedy poszła, oczy Jenningsa znowu były ożywione.

W jakiś sposób Benny sfalszował ten test na WS. Musiało tak być, bowiem Benny, którego znał Jennings, absolutnie nie przypominał tego, którego poznała Marita Herbert.

Z jednej strony Benny dokonał niebywałego wyczynu : zwykła próba oszukania testu od razu by się wydała. Z drugiej strony jednak okazał się wyjątkowo ograniczony. Dlaczego ktoś, kto był na tyle mądry, że potrafił oszukać test i testujących, okazał się takim idiotą, że zapewnił sobie wynik

30? Jeśli po prostu chciał się ukryć, pozostać nie zauważony, powinien wymierzyć w przynajmniej 90, może 100. Nic mniej nie zwraca uwagi, jak przeciętność. Zamiast tego Benny dwukrotnie uzyskał fałszywy wynik, który musiał zdziwić wszystkich.

Benny nigdy nie zdradził się intelektem w obecności Jenningsa, jak to się stało wobec Marity i zapewne Susan Sonnenburg. Tym niemniej nigdy nie objawiał takiej głupoty, by pasować do wyniku WS - 30.

Czemu ktoś chciał udawać beużytecznego debila, skoro nim nie był? Jenningsowi tylko jedna odpowiedź przychodziła do głowy.

Policjanci byli uprzejmi, ale niezbyt zainteresowani. Tym niemniej, sierżant Basch zjawił się u Jenningsa. Był to bystry młody człowiek, który wyglądał tak, jakby zamierzał krótko pozostać sierżantem.

- Rozumiem, że ten Rice zniknął? odezwał się Basch.

- Wrócił wczoraj, jak zwykle, do mieszkania, ale nie zatrzymał się w nim ani pięciu minut. Od tego czasu nikt go nie widział.

- Nie bardzo zrozumiałem to, co pan powiedział o tym teście, panie Jennings. Dlaczego jest pan przekonany, że Rice go sfalszował?

- Jak wszystkie badania osobowości - powiedział Jennings - ten jest również oparty na doświadczeniach. Cały czas porównuje się go z faktami, innymi danymi i innymi wynikami. I w świetle tego wszystkiego jest on modyfikowany. Tak było od dawna. Możemy nawet odwrócić sprawę i zamiast stwierdzić "WS tego człowieka wynosi tyle i tyle, więc jest on zdolny zrobić to i to", możemy powiedzieć "Ten człowiek robi to i to, a więc jego WS musi wynosić tyle i tyle". Trudno byłoby powiedzieć, żeby Benny kierował pracą Musicosmosie, ale nawet to, co robił, wymagałoby wskaźnika WS równego około 80.

- A test wykazał 30. - Tak jest.

- I dlatego?

- Dlatego coś tu jest nie tak. Nie z samym testem czy ze sposobem jego przeprowadzenia, ale z tym, jak Benny go wykonał.

- Rozumiem. Więc myśli pan...

- Że ma on swoje powody, by udawać, że jest beużyteczny i mało ważny. Proste wyjaśnienie to takie, że Benny popełnił kiedyś jakieś przestępstwo.

Basch potrząsnął głową. - Nie ma nie rozwiązanych zagadek kryminalnych, panie Jennings. Dobrze pan o tym wie. Wykrywamy wszystkich przestępców, jacy się pojawiają.

- O ile ustaliliście, że dany wypadek jest zbrodnią.

Basch był stanowczy. - Wraz z wprowadzeniem telewizji beznadajnikowej zbrodnia prawie zupełnie przestała istnieć - powiedział. - Nie mówię o zbrodniach w afekcie, popełnionych w wyniku impulsu. Ale co do przestępstwa z chęci zysku, to tak. Po prostu nie ma żadnego zysku.

- Uważam, że nie dostrzegł pan w tym wszystkim jednego ważnego punktu, sierżancie. Benny ma ponad sto lat. I jeśli, podrobił wczorajszy test, sfalszował również tamten, który przeszedł siedemdziesiąt lat temu.

- Może jestem tylko głupim gliniarzem, ale nie rozumiem.

- Jeśli Benny musiał ukrywać się siedemdziesiąt lat temu, jego zbrodnia, o ile w ogóle istniała, została popełniona wcześniej.

Basch strzelił palcami. - Oczywiście. To znaczy, że było to wtedy, kiedy nie mieliśmy jeszcze telewizji beznadajnikowej?

- Może nie dokładnie tak, ale przynajmniej zanim ustaliła się obecna sytuacja, kiedy każdy wie, że zbrodnia nie popłaca, i nie stara się ryzykować.

Basch uśmiechnął się jak chłopak. Jeśli starszy pan uniknął odpowiedzialności przez ponad siedemdziesiąt lat, to ja bym mu tylko pogratulował.

- Przecież chyba nie o to chodzi, co? Nie chce pan poznać prawdy? Ja chcę. Nie potrafię pojąć, w jaki sposób Benny obszedł te testy.

- No, gdyby pan mnie testował, a ja z jakiegoś powodu chciałbym otrzymać słaby wynik, chyba wystarczyłoby, żebym źle odpowiedział na większość pytań?

- Nie. To nie jest zwykły kwestionariusz, w którym odpowiada się "tak" albo "nie". Pytania zazębiają się i często sprawdzając odpowiedzi muszą je łączyć. Niekonsekwencja wychodzi na jaw i celowa próba sfałszowania skazana jest na niepowodzenie.

- Ale dopiero co pan powiedział...

- Jest tylko jeden sposób, w jaki można to zrobić. Ja mógłbym, bo znam test i pamiętam odpowiedzi.

- Czy to jest możliwe?

- Owszem, ponieważ pamiętać trzeba nie tyle poszczególne nic nie znaczące odpowiedzi, co model. Należy poznać te powiązania, które jest się w stanie zauważyć, oraz te, które powinny być poza zdolnością pojmowania. - Należy wiedzieć, na które pytania trzeba odpowiedzieć poprawnie, gdzie zostawić puste miejsce, a gdzie wpisać byle co.

- To wymaga dużego sprytu, prawda?

- Owszem.

W spojrzeniu Jenningsa było coś znaczącego i raz jeszcze Bascha olśniło. - To znaczy, że ten Rice zasługuje na Drugie Życie, ale nie może po nie pójść, bo udaje debila?

- Właśnie.

Basch spoważniał. - Jeśli ma pan słuszość, jeśli rzeczywiście było jakieś przestępstwo, to musiało ono być bardzo poważne. Najmniej morderstwo. No, wkrótce to sprawdzimy.

- Jak?

- Zbadamy życiorys Rice'a i zobaczymy, kto z jego otoczenia umarł. Potem sprawdzimy wszystkie przypadki śmierci, by się upewnić, że są one faktycznie tymi, za które je uważano. - Można to teraz ustalić?

- Oczywiście.

- W jaki sposób?

- Na milion sposobów. Powiedzmy, że teraz, tutaj, zastrzeliłby mnie pan. Szkło, metal, drewno i plastik w tym pokoju uległyby wibracji i zarejestrowałyby ów strzał w swojej strukturze molekularnej. Jeszcze za dziesięć lat można byłoby stwierdzić, że padł tu strzał, a jego datę ustalić z dokładnością do miesiąca. Poza tym gazy z wybuchu osiadłyby na sprzętach, przykryłyby je kurz i nawet gdyby wiele razy tu sprzątać, pozostałyby warstwy, jak w skale, i szczegółowe badanie mogłoby wykazać pokład gazów. Mogłoby - głowy za to nie dam. Tak samo, gdybym upadł na podłogę, w jej strukturze też by się to zapisało... Oczywiście, na jeden potrzebny nam fakt w sprawie nas interesującej przypadają tysiące niepotrzebnych o innych zdarzeniach, innych okolicznościach...

- To znaczy, że kiedy już macie powód, by sprawdzać jakieś miejsce, to potraficie ustalić wszystko, co się tam wydarzyło?

- Coś w tym rodzaju. Rzecz jasna, musimy wszystko odpowiednio zinterpretować.

- I ma pan zamiar sprawdzić Benny'ego?

- Chyba pan tego chciał, nie? Jennings nie był już tego taki pewny. Nie miał nic przeciwko Benny'emu, a poza tym było coś nieludzkiego w metodzie śledczej, która pozwalała ustalić, co się wydarzyło w jakimś pokoju przed laty, nawet jeśli wszyscy tam obecni już dawno nie żyli...

Marita powoli wspinała się po schodach do swego mieszkania zastanawiając się, czy postąpiła głupio. Od dnia, w którym poznała Benny'ego, noga jej nie postąpiła w nocnym klubie. Kogo jednak starała się oszukać?

Jeśli któraś z dziewcząt nie ma powodzenia, łatwo jej wejść na drogę cnoty i zerwać z przeszłością. Ale jeśli któraś zarabia w ten sposób więcej, niż mogłaby zyskać gdziekolwiek indziej, nie było to takie proste.

Na drzwiach wisiała kartka od pani Gersteiner:

“Człowiek przedstawiający się jako J.S. dzwonił dwa razy”.

J.S. był to John Silver, ów detektyw, którego wynajęła, by odnalazł Benny'ego Rice'a. Może miał coś do przekazania. Ale teraz nie była już pewna, czy zależy jej na odnalezieniu Benny'ego. Coś w nim było niewątpliwie dziwnego.

Weszła do łazienki i odkręciła kurek. Rozbierając się złapała się na tym, że ma ochotę zadzwonić do Silvera.

Siedząc w wannie namydliła się obficie. I nagli uświadomiła sobie, że czuje się tak czysta, jak nigdy, od wielu lat.

Kiedy zrozumiała raz jeszcze, co znaczył dla niej Benny, wyskoczyła z wanny rozpryskując wodę we wszystkich kierunkach niczym otrząsający się pies i pobiegła do telefonu.

Połyskujący, kremowy telefon ślizgał się jej w namydlonych dłoniach, ale zdołała nakręcić numer Silvera.

- Panna Herbert? Mam dla pani wiadomości. Zaraz przyjdę.

- Nie może pan powiedzieć przez telefon?

- To zależy. Chce pani, żebym powiedział?

Zawahała się. - Nie. Proszę przyjść. Odłożyła słuchawkę na widełki.

Wróciwszy do łazienki opłukała się pod prysznicem i wytarła.

Kiedy rozległ się dzwonek u drzwi, nie zaczęła się jeszcze nawet ubierać. Silver musiał być szybki. Narzuciła sukienkę na ramiona i wsunęła stopy w ranne pantofle.

Silver wszedł i przyjrzał się jej od stóp do głów z widoczną przyjemnością. - Ta robota zaczyna mi się coraz bardziej podobać - oświadczył.

- Gadaj pan - rzuciła krótko Marita.

Cały czas wodząc po niej wzrokiem, niczym strumieniem wody z węża, Silver zaczął mówić niezbyt przytomnie, ale do rzeczy.

- Rice był już zdecydowany na ucieczkę, kiedy wszedł do mieszkania. Późniejsze wydarzenia dowodzą tego. Jeśli chciał zgubić mnie czy kogokolwiek innego, kto by go tropił, musiał uciekać daleko i szybko. Założyłem więc, że udał się prosto na lotnisko i wsiadł do pierwszego samolotu lecącego w dowolnym kierunku.

- Benny nie zrobiłby czegoś tak oczywistego.

- Czyżby? Kochana, bywają takie chwile, kiedy subtelność może zaprowadzić cię na stryczek. Jedynym środkiem na telewizję beznadajnikową jest ukrycie się, gdy policja zaczyna się tobą interesować.

- Policja nie ma tu nic do rzeczy.

- Nie? A mnie się wydaje, że ten Rice myślał, że owszem. Inaczej po co by uciekał jak poparzony kot?

- Miał pan, zdaje się, coś do zakomunikowania? - spytała Marita.

- Jasne. No więc wsiadł do pierwszego samolotu lecącego w dowolnym kierunku. Floryda, z przesiadką w Waszyngtonie. Domyśliłem się, że wysiądzie w Waszyngtonie i kazałem jednemu człowiekowi sprawdzić. No i okazało się, że wysiadł. Złapał samolot lecący na - niech pani uważa - na Florydę.

- Co takiego?

- O, on nie jest głupi. Jeśli ktoś leci na Florydę i wysiada wcześniej, ostatnim miejscem, w którym by go szukano, jest Floryda. Tylko jeśli ktoś go jednocześnie śledzi, taki manewr jest na nic.

- A więc Benny Rice jest na Florydzie?

- Mieszka na przedmieściach Miami. Wiem gdzie, ale nie kazałem go obserwować.

- Dlaczego nie?

- On się nigdzie nie wybiera. Wie, że albo wytropiono go w drodze do Miami, a więc można będzie śledzić jego ruchy stamtąd, albo nie wytropiono, więc głupi byłby, gdyby się ruszał z miejsca.

Agresywna pewność siebie Silvera zirytowała Maritę. Mówił i zachowywał się tak, jakby miał prywatny numer telefonu do Pana Boga. Ale musiała go zapytać.

- Dlaczego byłby głupi, gdyby się zruszał z miejsca?

- Kiedy gliniarze kogoś szukają, sprawdzają środki komunikacji. Lotniska, porty morskie, stacje kolejowe i autobusowe. Każdy, kto przez cały czas ucieka, zostanie złapany. Jak ktoś chce być sprytny, powinien wleźć w dziurę i zasypać ją za sobą.

- Powiedzmy, że Benny Rice wyprzedza pańskie myśli o jeden krok?

- Więc nie będzie go w Miami. Niech mi pani powie - po co pani taki stary pryk.

Przysunął się bliżej, niby to dla zaakcentowania swojej opowieści. Jego ręce, jakby przypadkiem, objęły ją w talii.

Marita otrząsnęła się niecierpliwie, nie starając się wyrwać. - Wynoś się powiedziała beznamiętnie. - Zachowuj się, albo się wynoś.

- Kogo ty chcesz oszukać, laleczko? Myślisz, że pracowałbym dla ciebie, gdybym nie sprawdził, coś ty za jedna?

- Wynajęłam pana do wykonania określonego zadania. Poza tym jest pan dla mnie jak martwy.

- Mógłbym ożyć.

Marita uwolniła się, jednocześnie sięgając do szuflady po maleńki rewolwer. - Precz - powiedziała nie okazując ani strachu, ani zainteresowania, ani obrzydzenia.

Silver potrafił się jeszcze uśmiechnąć. - Jest mi pani winna kupę forsy. Nie musiałyby pani mi jej dawać. - Jednak wolę to zrobić.

Uśmiech zniknął z jego twarzy. No, dobra. Ale czego mi brakuje? Czyżbym tracił swój zabójczy urok?

- Nie wiem. Nigdy nie miałam okazji go dostrzec.

W jego oczach pojawiło się zaskoczenie i niedowierzanie. - Pani zakochała się w tym starym - mruknął. - Kto by to pomyślał?

- Więc jaki to adres! - spytała Marita.

Marita pomachała znowu ręką i zaczęła brnąć przez wodę w jego kierunku. Jej srebrny strój plażowy połyskiwał w przedwieczornym słońcu.

Benny przyglądał się jej z chłodną przyjemnością, charakterystyczną dla jego lat. W tym wieku raczej już nie nadawał się na ognistego kochanka. Mógł odczuwać przyjemność patrząc na doskonałość jej kształtów, ale tak samo mógłby czuć zadowolenie patrząc na żonę czy kochankę innego człowieka.

Krople wody skrzyły się na jej złocistej skórze, gdy opadła na piasek obok niego. - Czemu nie pływasz, Benny?

- Myślę, że byłem obserwowany mruknął.

Schwyciła go za ramiona i trzymała mocno, tak jakby chciała swą determinacją odepchnąć resztę świata. Nigdy nas nie znajdą - powiedziała.

- Wręcz przeciwnie - rzekł łagodnie Benny - z pewnością nas znajdą, jeśli zostaniesz ze mną, Marito. Jeśli naprawdę chcesz mi pomóc, proszę cię, odejść.

- Nie. Nigdy.

Benny westchnął. Pewność klęski go porażała, bo inaczej na pewno spróbowałby znaleźć jakieś wyjście. Przecież zawsze był jakiś sposób na pozbycie się kobiety, prawda?

- Marita - rzekł łagodnie, z uczuciem - chyba rozumiesz, że ja ciebie nie kocham.

- Nie - odparła z goryczą. - Jesteś jedynym mężczyzną, którego miłości pragnęłam, więc oczywiście jest to niemożliwe.

- Jesteś za młoda, żeby tak myśleć, Marito. Mam cztery razy więcej lat niż ty i większą znajomość świata. .

- Benny, czemu mi nie chcesz powiedzieć? Czy nie mogę ci pomóc? Nic nie mogę zrobić?

- Owszem. Możesz wrócić do domu. Wtedy może będę miał jakąś szansę. - Dlaczego tak mówisz? Czym ja ci szkodzę?

- Ten twój detektyw wie, że byłem w Miami. Kiedy zaczną mnie szukać, znajdą go. Dowiedzą się, że pojechałaś do Miami. Poszukają ciebie i znajdą mnie.

- Ale my wyjechaliśmy z Miami.

- Tak. Ale wciąż jesteśmy tak blisko, że jeśli zaczną szukać w Miami i naprawdę będą chcieli nas znaleźć, to nas znajdą. I jeśli odjedziemy stąd samolotem, statkiem, autobusem czy pociągiem, to też nas znajdą.

- Benny, co ty takiego zrobiłeś? Co ci za to grozi, jeśli cię złapią?

- Śmierć - odparł po prostu. Zaparło jej dech w piersiach. Chciała się rozplakać, ale tak dawno już nie płakała, że zapomniała, jak się to robi.

- Nadal Kocham życie - powiedział. - Jestem stary, ale krzepki. Jeśli zostawiono by mnie w spokoju, mógłbym jeszcze swobodnie przeżyć dwadzieścia lat. Może trzydzieści. Miałbym przed sobą więcej życia, niż ty masz za sobą - gdyby mi pozwolono. Ale chyba się starzeję, starzeję duchem - bo inaczej walczyłbym. Uciekłbym od ciebie i znalazłbym kolejną dziurę, w której mógłbym się zakopać.

- Ale tego nie zrobisz? - spytała gwałtownie. - Przysięknij mi. Potrząsnął głową. - Nie mogę przysiąc, Marito. Powiniennem walczyć dalej... i biedy jeszcze zbiorę w sobie tę resztkę odwagi moralnej, która mi została, będę walczył. Jeszcze im pokażę...

Czyjaś ręka opadła mu na ramię. Marita krzyknęła, a przez ten krzyk przebiły się słowa: - Benjaminie Rice, aresztuję pana pod zarzutem zbrojstwa Ralpha Charlesa Colemana.

Benny pódniósł wzrok i uśmiechnął się.

- Chciałbym panu powiedzieć, panie Rice - rzekł lodowato adwokat że pańska postawa nie ma tu znaczenia. Zostałem wynajęty do pańskiej obrony. Zrobię to najlepiej, jak będę umiał, niezależnie od tego, jakimi obelgami będzie pan mnie obrzucał.

- Spodziewam się tego - odparł Benny - skoro zgadza się pan na przyjęcie opłaty za swe usługi z pieniędzy zarobionych przez prostytutkę.

Kensel odetchnął głęboko. - Zważywszy na to, co panna Herbert robi dla pana - oświadczył - to stwierdzenie obnaża najniższy z możliwych poziom pańskiej moralności.

- Obnaża prawdę.

Adwokat przelknął ślino. - Rice, czy nie zdaje pan sobie sprawy z tego, że ta dziewczyna... ta dziewczyna pana k o c h a. - Udało się mu to wydusić z siebie, choć ów wysiłek sprawił, że twarz mu poróżwiała ze wstydu,

- Wydaje się, że nie będzie mi wolno o tym zapomnieć - odparł Benny. Walczył teraz. Było już za późno na ucieczkę; pozostała mu jedynie sprawność umysłowa. Na początek musi spróbować pozbyć się tego człowieka.

- Marita Herbert jest jedną z najszlachetniejszych kobiet, jakie znam oświadczył Kensel. - Zupełnie nie pojmuję, jak mogła się tak pomylić w ocenie kogoś takiego, jak pan. Ale skoro czuje to, co czuje, ja jestem przygotowany na to, by wierzyć, że zostało w panu choć trochę dobroci.

- To bardzo szlachetnie z pańskiej strony - rzekł Benny. - Nie potrzebuję pana, Kensel. Mam zamiar przyznać się do winy.

- Nie wolno panu tego robić.

- Więc sam będą - prowadził swą obronę.

- To panu wolno.

- Dlaczego więc pan się stąd nie wyniesie?

- Na prośbę panny Herbert zrobię dla pana, co będę mógł. Mam nadzieję, że pošlą pana do komory gazowej, ale zamierzam zrobić wszystko, co w mojej mocy, by tak się nie stało.

I wyglądało na to, że tak będzie. Benny milczał, obmyślając nową taktykę. Dotychczasowa była do niczego; Marita dobrze urobiła Kensela. Nawet jeśli nie udało się jej przekonać go do Benny'ego, przekonała go do siebie.

- Ponieważ przed chwilą zmusił mnie pan do . szczerości - rzekł adwokat, którego różowe policzki zrobiły się jeszcze bardziej różowe - równie dobrze mogę powiedzieć panu jeszcze coś.

Pańska zbrodnia sprzed dwudziestu lat, morderstwo dokonane na takim człowieku, jakim był Ralph Charles Coleman - a nie mam wątpliwości, że pan go zamordował - jest tak wyjątkowo bestialskie, że żałuję, iż to nie ja jestem prokuratorem. Dobrze pan wiedział, co pan robi. Za marne trzy tysiące dolarów zabił pan jeden z największych umysłów naszego wieku.

- On był starym nudziarzem - odezwał się Benny w zadumie.

- Największy na świecie autorytet w dziedzinie malarii... człowiek, który uratował od śmierci więcej osób niż...

- Nic mi nie udowodnią i pan o tym dobrze wie - rzekł Benny.

- Wręcz przeciwnie, istnieją wszelkie szanse na to, że jednak udowodnią. Choć wtedy policji wystarczyło stwierdzenie, że Coleman zastrzelił się sam, niedawne badanie pokoju wskazuje jasno na to, że najpierw się przewrócił, a strzelano. do niego p o t e m. Co do tego nie ma żadnych wątpliwości, a tego nie potrafi pan wytłumaczyć.

- Po co miałbym to tłumaczyć?

- Bo jeśli pan tego nie zrobi, to zostanie pan skazany. W jaki sposób człowiek mógł popełnić samobójstwo, skoro upadł, a dopiero potem został zastrzelony?

Benny wzruszył ramionami. - Wstał, zastrzelił się i znowu upadł.

- Nie. Dowody zebrane w gabinecie Colemana, a od tamtej pory nikt gabinetu nie używał, są zupełnie jasne. Był tylko jeden upadek. A po nim Coleman został zastrzelony. Został zastrzelony, gdy leżał na ziemi. Sam nie mógł tego zrobić.

Nie, nie mógł, myślał Benny. I nie zrobił tego. Ja to zrobiłem. Śmieszne, że nie wiedzą jeszcze o, pozostałych kilkunastu osobliwych i znaczących faktach dotyczących tamtego dnia sprzed dwudziestu lat, ale tego jednego są absolutnie pewni.

Tak więc owe cudowne metody policyjne nie są tak znowu cudowne. Dwadzieścia lat temu policjanci uwierzyli w jedno kłamstwo. Obecnie są przekonani co do prawdziwości innego. Za następne dwadzieścia lat może uda im się poznać prawdę.

Od drzwi dobiegł głos strażnika. Pani Herbert do was, Rice.

- Może pan odejść - powiedział Benny do adwokata. Nie mógł zdobyć się na okrucieństwo wobec Marity; jeśli Kensel zobaczy ich oboje razem, domyśli się, jaka grę prowadził Benny.

- Ona chce, żebym został. Chce z panem pomówić w mojej obecności. Wejście Marity rozjaśniło celę, niczym promyk słońca. Kolejna linia obrony pękła wewnątrz Benny'ego. A, niech tam. I tak nie udawało mu się pozbyć Kensela.

Ujął ją za ręce i uśmiechnął się. Stojący obok Kensel omal się nie zakrztusił z powodu tej zmiany w Bennym.

- Siedemdziesiąt pięć procent gazet jest za nami - oświadczyła żywo Marita. - Piszą, że skończyłeś już sto lat i nie jesteś niebezpieczny. Nie ma żadnych danych, że w ciągu tych dwudziestu lat popełniłeś jakiegokolwiek inne przestępstwo. Mówią, że... Benny, ja wciąż nie mogę w to uwierzyć. Nie wierzę, żebyś zabił kogokolwiek. Nie jesteś do tego zdolny.

- Ale to zrobiłem - rzekł łagodnie Benny. - Jakże się cieszę, Marito, że przyszłaś. Próbowałem zniechęcić do siebie Kensela, by zrzekł się obrony. Ale on nie chciał. Spróbujmy więc czegoś innego. Zawsze chciałaś tego, co ja chcę, prawda?

- Tak.

- Chcę umrzeć.

- Nie! - szepnęła Marita, a Kensel patrzył oszołomiony na tego lamparta, który nagle zmienił układ swych cętek. Był oto grzeczny i łagodny wobec Marity.

- Nie możesz - oświadczyła Marita z jeszcze większym przekonaniem. Nie zrobisz tego. Kochasz życie. Wciąż jeszcze kochasz życie.

- Owszem - przyznał Benny - o ile mogę je przeżyć tak, jak chcę; Jako wolny człowiek. Dobrze wiesz, Marito, że nie zostanę uniewinniony. Jak tylko policja zaczęła sprawdzać życiorys Benny'ego, było już po mnie. Sprawdzili go do momentu, gdy zostałem dozorca u Colemana i oczywiście, po drodze, jeszcze raz zajrzeli do sprawy jego samobójstwa. Dwadzieścia lat temu

Coleman napisał listy i przeprowadził rozmowy telefoniczne, które upewniły jego otoczenie, że zamierza popełnić samobójstwo. A ponieważ ja byłem na miejscu, mogłem skierować śledztwo w takim kierunku, by oficjalne wnioski były zgodne z tym, co sobie zaplanowałem. No, ale co można zrobić, kiedy policja wraca na miejsce zbrodni i z wibracji zapisanych w drewnie, metalu i tkaninach dwadzieścia lat temu potrafi odtworzyć, co się wówczas stało?

- C z ę ś ć z tego, co się wówczas stało - odezwał się Kensel.

W jego głosie brzmiał ton tak znaczący, że Marita spojrzała nań z zaskoczeniem, zaś Benny z nagłym przeczuciem czegoś złego.

- Dotychczas widziałem pana tylko w roli chama pierwszej klasy - powiedział adwokat - inaczej dawno bym już to wszystko odgadł. Pan jest oczywiście Colemanem.

Benny przewidywał, co ma nastąpić, i postanowił nie zaprzeczać. - Tak. Czy t e r a z pan rozumie, dlaczego chcę umrzeć? Jestem Colemanem, Wielkim Człowiekiem, jak się pan wyraził, Kensel. Ale morderstwo to morderstwo, niezależnie od tego, czy nieprzydatny stary debil w rodzaju Benny'ego Rice'a zabija Colemana, czy też Coleman zabija nieprzydatnego starego debila. Jest to w dalszym ciągu takie samo przestępstwo - morderstwo. Przeżyłem dwadzieścia lat jako Benny Rice i oddałbym wszystko za następne dwadzieścia. Ale jeśli mam umrzeć albo, co gorsze, pójść do więzienia, to wolę pozostać Bennym.

Marita zmarszczyła brwi. - Dla mnie to obojętne, kim jesteś. Znałam cię jako Benny'ego Rice'a; i nie obchodzi mnie, kim jesteś naprawdę.

- Wiem o tym, Marito. Ale mnie obchodzi. Kensel, czy załatwi mi pan wyrok śmierci, skoro wie pan, że mi na tym zależy?

- Chciałbym załatwić panu Drugie życie - rzekł cicho Kensel.

Marita instynktownie podskoczyła. Benny roześmiał się. - Nie, dziękuję uprzejmie. Abyś mógł dostać Drugie Życie, musiałby pan załatwić moje uniewinnienie, wykazując, że dwadzieścia lat temu nie było żadnego morderstwa. Potem musiałby pan udowodnić, że jestem Colemanem, a nie Rice'em. Potem musiałby pan...

- Jedna chwileczkę - przerwał ostro Kensel. - Właśnie coś mi przyszło do głowy. Jeśli uda się nam wykazać, że pan to Coleman, a nie Rice, znika motyw przestępstwa. Nie zabił pan Rice'a z powodu swoich własnych trzech tysięcy dolarów, które stanowiły drobny ułomek pańskiego konta bankowego. Musi pan udowodnić, że Jest pan Colemanem.

- Wręcz przeciwnie - powiedział Benny - muszę pozostać Rice'em Rice był, jak by nie patrzeć, debilem. Oskarżyć go można tylko o brutalną, prostą zbrodnię. Oskarżenie Colemana, czyli mnie, przewidywałoby ułożenie przeze mnie skomplikowanej intrygi poprzez pisanie listów i telefonowanie do ludzi oraz sfalszowanie wszystkich danych dotyczących, mnie po to, by martwe ciało Rice'a zostało wzięte za moje. Z tego by wynikało - ponieważ był on dokładnie w moim wieku, ponieważ zatrudniłem go wiele tygodni wcześniej, ponieważ zamieniłem rysy jego twarzy na moje, a moje na jego - że był to dawno ukartowany spisek mający na celu zamordowanie biednego, starego półgłówka i zastąpienie jego ciałem mojego, abym ja mógł zniknąć.

Twarz Marity zdradzała pomieszenie i żal. W ciągu ostatnich kilku minut w jakiś sposób straciła Benny'ego. Ów dziwny romans ze starym dozorcą był w wielu aspektach nierówny, ale jakoś udawało się go zrównoważyć. Romans między nią a Ralphem Charlesem Colemanem, który może i był kiedyś wielkim człowiekiem, ale starym nudziarzem, jako go nazwał Benny, w ogóle nie dawał się zrównoważyć.

Kensel też wyglądał na nieszczęśliwego. - No więc d l a c z e g o pan to zrobił? - zapytał stanowczo.

Benny zamyślił się. - Może i mógłbym panu powiedzieć - rzekł.

Kensel jednak wiedział, że Benny kłamie; że nigdy nie powie tego nikomu.

Kensel mylił się jednak. W czasie procesu Benny'ego nadszedł moment, kiedy wspomniano o możliwości, że może on być Colemanem a nie Rice'em. Była taka chwila, kiedy wydawało się, że zostanie skazany na dożywocie, a nie na śmierć.

Lawa przysięgłych orzekła, że jest winny; wybór był tylko między więzieniem a śmiercią.

- Tak - odezwał się Senny. Chcę coś powiedzieć.

Przez salę sądową przebiegł pomruk. W ciągu całego procesu Benny milczał tak uparcie, jakby jego rzekomy wskaźnik WS odpowiadał rzeczywistości. Teraz zaś przemówił mocnym i wyraźnym głosem, a zmienił się tak, że wyglądał jak własny syn.

- Wspomniano tu o możliwości, że mogę być Colemanem, a nie Rice'em - oświadczył Benny. - Nikt tego nie podjął, bo wydawało się to oczywistym absurdem. Czy teraz jest to również absurdem?

Szum w sali nasilił się. Każdy wiedział, ile wynosi współczynnik inteligencji i WS Benny'ego. Tych słów nie mógł wypowiedzieć Benny Rice.

- Powiem wam - oświadczył Ralph Charles Coleman - dlaczego zabiłem Benny'ego Rice'a. Nie chciałem Drugiego Życia.

Chciałem przeżyć swe życie do końca i umrzeć, gdy nadejdzie jego kres. Kiedy człowiek otrzymuje Drugie Życie, czy jego faktyczne życie trwa nadal? Nie. Nic nie pamięta ze swego poprzedniego życia, ze swego życiorysu. Staje się zupełnie inną osobą.

Nie chciałem zostać inną osobą. Chciałem żyć aż do śmierci. Wielu myśli tak, jak ja, czuje tak, jak ja, ale ucisza ich duma z tego, że uznano ich godnymi Drugiego Życia, a poza tym boją się wiecznej nocy. Drugie Życie odwleka ją. Nawet jeśli zapominają kim byli, to przynajmniej nie jest jeszcze koniec - na razie. Oddają swoje życie w wieku lat siedemdziesięciu, osiemdziesięciu obawiając się śmierci; która może nadejść w każdej chwili, gdyby poczekali jeszcze dłużej.

Kiedy miałem osiemdziesiąt lat, znajdowałem się pod nieustannym naciskiem, bym przyjął Drugie Życie. Nie chciałem go. Wybrałem te dwadzieścia lat, które przeżyłem od tamtego czasu, a także następne dwadzieścia czy trzydzieści, które mogłem jeszcze mieć przed sobą. Ale Ralph Charles Coleman nie miał wyboru. Był zbyt ważny, zbyt cenny. Świat nie mógł sobie pozwolić na utratę jego cennego umysłu. Nacisk sięgnął punktu, od którego stawał się przymusem.

Musiałem uciec. Postąpiłem samolubnie. Nic mnie nie obchodziło, jaką wartość dla świata przedstawia Ralph Charles Coleman. Interesowała mnie tylko moja wartość dla siebie samego. Chciałem pozostać sobą.

A mogłem to zrobić tylko w jeden sposób - przestać być sobą.

Mój plan się powiódł, zgodzicie się ze mną. Gdyby tylko ludzie zostawili w spokoju biednego, nieszkodliwego Benny'ego Rice'a, wszystko byłoby dobrze. Wiedząc, że nie ma talentu muzycznego, zgłosiłem się do Musicosmosu na stanowisko dozorca. Bez słuchu, jak mógłbym się zdradzić? Niestety, jedna kobieta mnie polubiła, inna pokochała. I wydarzyły się różne rzeczy, i stwierdzono, że dwadzieścia lat temu człowiek, który zginął, nie był tym, który strzelał.

Ralph Charles Coleman patrzył sędziemu prosto w oczy. W sądzie panowała zupełna cisza.

I w tym właśnie momencie przez umysł Colemana przemknął obraz tego, co naprawdę zdarzyło się dwadzieścia lat wcześniej.

Stary Benny umarł, a on strzelał do niego, ale go nie zabił. Dopiero jak stary zmarł na udar mózgu, błyskotliwy umysł Ralpha Charlesa Colemana opracował ów fantastycznie skomplikowany plan, który miał na celu odebranie jego istnienia Instytutowi Drugiego Życia. Tylko lekarz był do tego zdolny. Wiele rzeczy trzeba było zrobić - wiele rzeczy zrobiono. Ale z tego wszystkiego wykryto tylko jedno że upadek nastąpił przed Strzałem.

Coleman mógł zostać uwolniony, nawet jeszcze teraz. Mógł zażądać dokładniejszej wizji lokalnej, w czasie której prowadzący śledztwo, którzy nie szukaliby jedynie dowodów na to, że domniemane samobójstwo było morderstwem, stwierdziliby, że nie nastąpiło ani jedno, ani drugie, a strzelano do martwego człowieka.

Ale to nie byłoby uniewinnienie. Ta droga prowadziła do Drugiego Życia dla Colemana.

- Przedstawiłem to oświadczenie powiedział - ponieważ więzienie byłoby dla mnie Jeszcze gorszą niż Drugie Życie. Muszę jednak odpokutować, w postaci uwięzienia, Drugiego Życia lub śmierci. Społeczeństwo nie chce pozostawić mnie w spokoju, bym umarł własną śmiercią. Zabiłem

człowieka, by uniknąć Drugiego Życia. Skoro więc musi być to więzienie lub śmierć, chciałbym prosić o łaskę.

Proszę o śmierć.

Zapadła długa cisza. Potem sędzia spełnił prośbę Colemana.

Rozgłos tej sprawy był wyjątkowo krótkotrwały. Po egzekucji dylemat prawniczy, czy Coleman mógł być skazany za zabójstwo Rice'a po tym, jak został skazany jako Rice za morderstwo popełnione na Colemanie, stał się wyłącznie akademicki.

Opinia publiczna uznała, że wyrok był niesłuszny.

A później wszyscy chcieli jak najprędzej o wszystkim zapomnieć.

Trzy tygodnie później Marita wyszła za mąż za Kensela, ku wielkiemu zdumieniu wszystkich, nie wyłączając nich samych. Kensel był dla niej trochę za stary, ale i tak miał sześćdziesiąt lat mniej niż Benny.

Wszyscy nadal używali tego imienia, mówiąc o Colemanie. Bowiem jednym z powodów, dla których cały rozgłos ucichł tak szybko, był niesmak, jaki ta sprawa pozostawiła. Niektórzy uważali, że nawet taki człowiek, jak Ralph Charles Coleman, powinien móc żyć tylko raz, jeśli tego chce, a nie żeby, weń wmuszano Drugie Życie. Inni byli zdania, iż nie powinno tak być, żeby ktoś musiał zabijać, by uniknąć Drugiego Życia. Prawie wszyscy, życzliwi i nieżyczliwi, uznali, że cała ta sprawa rzuciła cień na imię i sławę wielkiego człowieka.

O wiele lepiej było myśleć o nim jako o Bennym Rice'u.

W Instytucie Drugiego Życia doktor Martin patrzył na uśpionego chłopca i przypomniał sobie powłóczęgę nogami starego durnia, który tak go zwiódł. Stary musiał być niezłym aktorem.

Zbliżyła się Betty Rogers i stanęła obok lekarza.

- On jest nowy, prawda? - spytała; potrafiła już mówić. Również zaczęła się interesować swoim wyglądem, a w białej sukience ze sztucznego włókna wyglądała zupełnie nieźle.

- Tak.

- Jak się nazywa?

- Dick Herman. - Albo Benny Rice, albo Ralph Charles Coleman, pomyślał Martin. Biedny, stary Benny, który nie chciał Drugiego Życia, ale nie udało mu się go uniknąć.

- Dlaczego on śpi dłużej niż inni? - Nie byliśmy pewni, czy będzie mógł tu zostać. Widzisz, Betty, my chcieliśmy go tutaj, tak jak chcemy was wszystkich, ale jeśli ktoś z was zrobił przedtem pewne rzeczy, nie wolno mu tu zostać. Dick został tu sprowadzony, bo bardzo chcieliśmy go mieć, a także dlatego, że ktoś pomyślał, iż skoro jest takim miłym chłopcem, nie mógł jednak zrobić tego, o co został posądzony.

Była to bardzo przyjemna alegoria wyjaśniająca, jak to Benny został sprowadzony prosto z komory gazowej nieprzytomny, ale na pewno nie martwy - i poddany zabiegowi, gdy myślał, że umarł w komorze gazowej, o ile można to tak ująć.

- Dlaczego oni myśleli, że on coś zrobił, skoro tak nie było? - spytała Betty.

Pytania dziecka w Drugim Życiu były równie trudne, jak w przypadku zwykłego dziecka. Ale Martin przyjął wyzwanie.

- On chciał, żeby wszyscy myśleli, że on to zrobił, bo nie chciał tu przyjść:

Policja ostatecznie upewniła się, że po śmierci Benny'ego Rice'a, który umarł naturalnie, Coleman przygotował znakomity plan, by móc przeżyć jeszcze dwadzieścia lat, nieomal zakończonych śmiercią w komorze gazowej. Wiele jeszcze twarzy czerwienilo się z tego powodu, że Benny Rice został nie tylko aresztowany, ale i skazany za morderstwo, którego w ogóle nie było, a gdyby nawet, to zupełnie na odwrót.

Martin zastanawiał się odważnie, czy przypadkiem możni tego świata nie postanowili po prostu, że nie było morderstwa, bowiem taki człowiek, jak Coleman, nie mógł ot, tak sobie zginać w komorze gazowej tylko za to, że skrócił domniemane cierpienia doczesne kogoś takiego, jak Benny Rice. Ale myśli takie były niebezpieczne.

- Dlaczego nie chciał tu przyjść? pytała Betty.

- Nie wiedział, jak tu jest - odparł cierpliwie Martin. - Gdyby wiedział, na pewno by chciał.
- Skąd pan wie? Czy ja też nie chciałam tu przyjść?
- Tobie to nie przeszkadzało. Popatrz, Dick się budzi.

Betty pochyliła się nad nim jak dziewczynka nad swoją lalką. - Spodoba ci się tu, Dick - powiedziała pocieszająco.

Martin pomyślał że mógłby się założyć, iż tak się stanie. Sam nie miałby nic przeciwko poślubieniu Betty Rogers za rok czy dwa.

No, ale Instytut Drugiego Życia nie był biurem matrymonialnym. Małżeństwa kojarzą się w niebiosach.

Z materiału przygotowanego, oczywiście, przez Instytut Drugiego Życia.

- Nie umiesz jeszcze mówić - rzekła Betty - ale my ciebie nauczymy. Och, panie doktorze, niech pan spojrzy, jak on się ładnie uśmiecha. Chyba go polubię.

W niebiosach coś się dokonało.

Pęknięta płyta

Mężny Cortez i jego żołnierze spoglądający po sobie w podejrzliwym osłupieniu - stojący w milczeniu na szczycie góry w Darien - nie byli ani w połowie tak zdumieni, jak pierwszy człowiek, który wylądował na Marsie i przyjrzał się dobrze tubylcom. Nawet odkrycie Pacyfiku ani się nie umywało do owego pierwszego widoku Marsjan.

Ziemiańskie z owej pierwszej wyprawy (a dokładnie, dwaj Amerykanie, Szkot i Polak pochodzenia latynoamerykańskiego z domieszką krwi rosyjskiej) wcale by się nie zdziwili, gdyby Marsjanie w najmniejszym stopniu nie przypominali ludzi; nie zdziwiliby się też, gdyby ich przypominali.

Ale stało się jasne dla Ziemiań, że ktoś tu z nich zakpił, kiedy okazało się, że Marsjanie wyglądają jak duszki z bajek.

Później uczeni, którzy coś powiedzieć musieli, postulowali istnienie w przeszłości kontaktów między Marsjanami i Ziemiańkami, co wyjaśniłoby częste pojawianie się w ziemskich legendach wróżek, gnomów, chochlików i karłów. Uczeni odrzucili większość dzieł antropologicznych i wysunęli hipotezę, iż rodzaj ludzki zaczął się na Marsie, musiał się przenieść, udał się więc na Ziemię i uległ ewolucji. A ci nieliczni, którzy pozostali na Marsie, nie musieli się rozwijać.

Wszystko to w niewielkim stopniu dotyczyło Davida i Dorothy Barnesów. W ich czasach podróże kosmiczne dawno stały się chlebem powszednim. Tamci dwaj Amerykanie, Szkot i Polak pochodzenia latynoamerykańskiego z domieszką krwi rosyjskiej od dawna już, niestety, nie żyli, więc stało się jasne, że jeśli wygląd Marsjan miał być dowcipem, żart ten dawno już przeszedł wszelkie granice śmieszności i walenia dłońmi w kolana.

Dziwna sprawa, bo chociaż David i Dorothy od dawna mieli własny autolot, to Marsa nigdy jeszcze nie widzieli. Była to po prostu jedna z tych spraw, których nie zdążyli załatwić.

I

- Kochanie, skoro został nam już tylko tydzień, to powinniśmy coś zrobić, a nie tylko mówić - rzekła Dorothy.

- Dobrze - odparł David.

- Musisz zacząć z a ł a t w i a ć, mój drogi, bo inaczej tylko tracisz czas. A masz tylko trzy tygodnie. Pomyślałam sobie, że skoro już mamy ten autolot, to lećmy na Marsa i zamieszkajmy tam pod namiotem, jak pionierzy. To...

- Dobrze - powtórzył David. Ostatecznie zawsze pozostawiał Dorothy decyzję w podobnych sprawach. Ona jednak zdawała się nie rozumieć, że się jej nie sprzeciwia, i wciąż usiłowała go przekonać.

- Mówią, że tam jest cudownie. Ale nie musisz mi wierzyć na słowo, zajrzyj do tej książki. Proszę - podała mu przewodnik otwarty we właściwym miejscu i cofnęła się skromnie, z rękami założonymi z tyłu, jak dziecko czekające na pochwałę.

David spojrzął na przewodnik. Wszystko, co mówiono o Marsie, zanim ktoś tam dotarł, okazało się całkowicie fałszywe. Nie była to wcale zamrażająca planeta; klimatem nie różniła się od Kalifornii z powodu ciepłego prądu w Kosmosie - triumfalnie obwieszczała książka (był to taki międzyplanetarny Golsztrom).

Zdjęcia w przewodniku przedstawiały swojskie pejzaże, przypominające północną Kanadę latem. W końcu nie mogli co roku spędzać urlopu na Wenus.

- Bywa gorzej - stwierdził niechętnie David.

- Och, Davidzie, wiedziałam, że ci się spodoba - odparła Dorothy z wdzięcznością. - Więc polecimy?

David zdążył już oswoić się z pomysłem podróży na Marsa. Książka utrzymywała, że ryby biorą tam wspaniale. - Jeśli chcesz koniecznie - odparł - to chyba dam radę to wytrzymać.

Przez jakiś czas Dorothy tryskała entuzjazmem. Potem zaczęła myśleć rzeczowo...

- Możemy polecieć nawet w szóstkę - rzekła zastanawiając się. - I pomyślałam sobie, że niech to będzie młode towarzystwo. Wszyscy w wieku od osiemnastu do dwudziestu pięciu lat. Powiedzmy, John Morgan czy Nancy Rotar...

David przyglądał się jej z rozbawieniem. Dorothy miała dwadzieścia osiem lat. Co kryło się za tym pomysłem, by pasażerowie mieli od osiemnastu do dwudziestu pięciu albo jeszcze lepiej, do dwudziestu jeden lat? Czy chodziło o to, by odmłodzić się w ten sposób do dwudziestu pięciu albo jeszcze lepiej, do dwudziestu jeden lat? Czy też chciała grać rolę matki dla wszystkich, kobiety światowej, nie starszej, uchowaj Boże, ale bardziej doświadczonej od jej gości, potrafiącej się nimi opiekować i ich zrozumieć?

Kiedy poślubił ją przed ośmiu laty, Dorothy była piękna i czarująca; a ponieważ prawdopodobnie zachowa te przymioty przez następne czterdzieści lat, to zapewne nadal taka była. Tak więc zmiana, myślał, musiała zajść w nim. Można było się nadal nią szczyć, imponować i wywoływać zazdrość u innych mężczyzn, i, oczywiście, nadal darzył ją sympatią, ale...

- Co mówiłaś? - spytał nieprzytomnie.

- Powiedziałałam: Jacky Greene, kochanie - powtórzyła Dorothy. Weźmiemy ją do kompletu. Zawsze jej unikasz, ale to miła dziewczyna.

- Och, zaproś ją, jeśli chcesz - rzucił David niedbale. - Takie decyzje zawsze pozostawiam tobie.

II

John siedział za sterami, gdy autolot śmignął szerokim łukiem nad powierzchnią planety, schodząc do lądowania. John Morgan był typowym mocno zbudowanym, leniwym, dobrodusznym wiecznym studentem. Uniwersytet skończył już dawno, ale zawsze wszędzie łąził, gdy tylko mógł, w żółtym pulowerze z wielką literą "F" wyszytą szkarłatnym jedwabiem z przodu i z tyłu. Gęste, rozczochrane włosy sterczały mu niczym zaniedbany żywoplot - i będą tak sterczeć, nawet kiedy z jasnych zmieniają się w siwe. Zawsze zachowa doskonale utrzymane zęby i ten leniwy, swobodny uśmiech, który zdawał się rozchodzić z jego twarzy na całe ciało.

Nie każdy miał na własność autolot, który jest wygodniejszy od wielu domów mieszkalnych. Większość posiadaczy takich pojazdów zachowywała się jak dzieci obdarowane kosztownymi zabawkami, spędzając prawie cały czas za sterami i patrząc zazdrośnie, gdy ktoś inny próbował przy nich swoich sił. Ale nie David. Lubił swoje dyżury przy sterach i potrafił się fachowo obchodzić ze statkiem, jednak kiedy ktoś inny chciał i potrafił przyjąć je na jakieś trudne lądowanie, David ochoczo ustępował mu miejsca. John znakomicie umiał prowadzić statek.

- Czy nie powinienieś zejść trochę niżej? - spytała zaniepokojonym tonem Dorothy. Nawet w autolocie nie mogła się powstrzymać od pouczeń.

- John wie, co robi, kochanie - odezwał się spokojnie David. - Oszczędza mi paliwa za jakieś dwieście dolarów, lądując z wykorzystaniem siły ciężenia i oporu powietrza. Nawet pilot liniowca nie zrobiłby tego lepiej.

Komplement wywołał szeroki, uszczęśliwiony uśmiech na twarzy Johna.

- Ale dlaczego lądujemy po ciemku? - spytała Jacky. Była dwudziestodwuletnią blondynką, najwyższej klasy rozbijaczką małżeństw. Zarówno ona, jak i Dorothy, miały na sobie spodnie. W przypadku Dorothy był to błąd. Ale Jacky nigdy nie popełniała błędów w ubiorze. Miała na sobie beżowe, marszczone spodnie, które, jak myślał David, powinny były podkreślić, że ona może je na siebie włożyć, a Dorothy nie.

- Nie lądujemy po ciemku - wyjaśnił cierpliwie David. - Idziemy po wznoszącej się krzywej, która przeniesie nas ponownie poza strefę zmroku. Wtedy opadniemy łagodnie tam, gdzie jeszcze jest dzień. Będziemy mieli godzinę czy dwie, by rozgościć się, nim słońce zajdzie.

Wylądowali tak zgrabnie, jak mógłby sobie każdy tego życzyć, w pięknej dolince, gdzie znajdowały się obok siebie wszystkie rodzaje najwspanialszych ziemskich krajobrazów. Na północy i zachodzie rozciągały się wzgórza, wznoszące się łagodnie niemal z miejsca, w którym

wylądowali; na wschodzie znajdował się gęsty las, rozdzielony błękitnym jeziorem spowitym delikatną mgiełką, z czterema wpływającymi doń strumieniami; na południu rozciągała się dolinka, przecięta jednym ze strumieni, dochodząca do podnóża dalekich, szaroczerwonych gór.

- Skraj lasu będzie znakomitym miejscem na rozbicie obozu - rzekła Dorothy. - Spójrzcie, nikogo tu nie ma! Czy to nie cudowne? Zdażymy rozbić namioty, nim zapadnie zmrok!

- Nie dzisiaj - rzekł stanowczo David. - Dziś śpijmy w autolicie.

- Och, no dobrze. Ale musimy przynajmniej trochę się rozejrzeć. Chcę zobaczyć duszki. Ale może one przychodzą tam, gdzie są ludzie, pod wielkie obozowiska i miasteczka letniskowe...

- Więc będziemy się musieli bez nich obejść - oświadczył David. Planeta była rzeczywiście taka, jak ją opisywał przewodnik: temperatura tropikalna, żadnych owadów, a powietrze upojne jak wino.

III

Słońce stało w zenicie; w jego promieniach Jacky sprawdzała swą ziemską opaleniznę.

- Pewna jesteś, że Dorothy nie wejdzie do twego namiotu? - spytał David.

- Ona uważałaby przerwanie czyjegoś snu za zbrodnię - odparła Jacky. - Nie wejdzie do mnie i będzie pilnować, by nikt inny tego też nie zrobił. Wślizgnę się od tyłu, gdy wszyscy będą zajęci lunchem.

Oboje znajdowali się półtora kilometra od obozu; leżeli w zagłębieniu na szczycie pagórka. Jacky rzuciła swą białą spódniczkę na rozgrzaną trawę i opalała się w silfowym kostiumie, który zdawał się żyć, kiedy rozszczepiał światło słoneczne niczym pryzmat. Raz był zielony, upstrzony żółcią i błękitem; kiedy indziej biały, ze świetlistymi pasmami szkarłatu; jeszcze innym razem karmazynowy, z tańczącą po nim szarością i oranżem - ale zawsze połyskliwy, zawsze kontrastujący z brązową opalenizną jej skóry, bowiem właśnie dla kontrastu usunięto brąz z jego widma.

- A nawet jeśli coś zauważy - mówiła dalej - uzna to tylko za urlopową przygodę. Nie mogła niczego podejrzewać, bo inaczej nie zaprosiłaby mnie.

- Ale gdyby się wydało, musielibyśmy być znacznie ostrożniejsi.

- Nie moglibyśmy być jeszcze bardziej ostrożni niż teraz. Czy Dorothy... to znaczy, czy ona też idzie swoją drogą? Nigdy nic o tym nie słyszałam.

Nie musiała wyjaśniać, co rozumie przez "pójście swoją drogą". - Nie sędzę - odrzekł David czując się niezręcznie. - Czułbym się lepiej, gdyby tak było.

- Tobie by to nie przeszkadzało?

- Nie wiem. Nigdy o tym nie myślałem.

Leżeli przez chwilę w milczeniu; David wciąż obserwował grę barw na kostiumie Jacky. Teoretycznie jeśli dziewczyna nie poruszała się, a światło było jednostajne, powinien utrzymywać się ten sam układ kolorów. Widział to w domach mody. Ale choć Jacky leżała rozluźniona na trawie, nie była w stanie trwać w bezruchu na tyle, by utrzymać jeden układ. Unoszące się w oddechu piersi sprawiały, że po staniku przemykała kaskada barw, a prawie niedostrzegalne falowanie przepony przesuwano się od talii na majteczki, które mieniły się wszystkimi barwami tęczy i jeszcze mocniej.

- Spójrz - powiedziała nagle Jacky podniecona, ale David nadal wpatrywał się w jej kostium mieniący się kolorami przy najlżejszym poruszeniu. - Są tu jednak duszki.

Obrócił się wtedy gwałtownie; przez chwilę, oślepiiony słońcem, nie widział niczego. Potem dostrzegł sylwetki.

Duszki miały nieco ponad metr wysokości; ich nogi były długie i smukłe, ciała drobne, bajkowe, podbródki spiczaste. Było ich chyba coś koło tuzina i wszystkie tańczyły.

David zerwał się na równe nogi.

- Och, nie ruszaj się! - wykrzyknęła Jacky. - One uciekają, gdy się do nich podchodzi. Nikt jeszcze żadnego nie schwytał.

- Nie zamierzam ich łapać - odparł David. - Po prostu chcę im się dobrze przyjrzeć.

Duszki - innej nazwy nie można było im nadać, tak bardzo przypominały ilustracje w książeczkach dla dzieci - nie dały mu podejść bliżej. Kiedy znalazł się o jakieś sto metrów od nich, odbiegły nadal tańcząc. Ustawiły się w jakiś krąg i pozornie nie zwracały uwagi na niego ani na Jacky, ale kiedy się zbliżył, znowu umknęły, a gdy stanął, one też się zatrzymały. Rzuciły do siebie różowym kryształem niczym piłką lekarską. Ale kryształ nie był ciężki, płynął powoli jak balon.

David pobiegł w ich stronę, jak mógł najszybciej, ale duszkom łatwo udawało się utrzymać dystans. Nagle stanął, zastanawiając się, czy przypadkiem nie chcą odciągnąć go od Jacky. Przyszły mu do głowy baśniowe opowieści o zaginionych księżniczkach. Wrócił na poprzednie miejsce. Duszki poszły za nim.

- Nie chcą się zaprzyjaźnić - powiedział do Jacky. Ale ona myślała o czymś innym. - Powinniśmy powiedzieć reszcie o nich - rzekła - jeśli jeszcze ich nie widzieli. Głupio wyszło.

- Wcale nie - odparł David. - Ty wrócisz pierwsza, wślizniesz się po kryjomu, a potem ja sam wejść do obozu. Nie muszę mówić, że byliśmy razem.

- Dobrze. - Wstała w nagłym zawirowaniu kolorów, tak oślepiąco zmiennym, że David spojrzał w inną stronę, na jej twarz, na ręce, czy długie opalone nogi, gdziekolwiek, byle nie na tę burzliwą, lśniąca feerię barw. Potem Jacky zapięła spódnice w talii i pośpieszyła w kierunku obozu.

Duszki zignorowały ją. Nadal bawiły się w swoją niepojętą grę z różowym kryształem.

IV

John i David byli na rybach.

- Davidzie - odezwał się John w zamyśleniu - czy uważasz, że jesteś w porządku wobec Dorothy?

David wstrzymał oddech, ale spróbował zachować spokój. - O czym mówisz?

- Dobrze wiesz, o czym mówię. Gdyby ktoś cię do tego zmuszał, to nigdy byś nie wybrał Jacky. Może to nie moja sprawa, ale...

- Tu masz słusność - rzekł chłodno David.

- Niech ci będzie. Tyle tylko chciałem powiedzieć. Pomyślałem, że może nie zastanowiłeś się nad tym poważnie. To znaczy, prędzej czy później będziesz musiał wybierać między nimi. I oczywiście wybierzesz Dorothy, bo nie jesteś głupcem. Ale wtedy może być za późno... a w każdym razie nie tak, jak przedtem.

David gorączkowo szukał czegoś, co mógłby powiedzieć. I znalazł.

- Spójrz! - wykrzyknął. - Tam są.

Po drugiej stronie jeziora znowu tańczyły duszki, przerzucając między sobą kryształ.

- No, popatrz, miałaś rację! - wykrzyknął John. - To naprawdę są duszki.

Wstał, by pójść w ich kierunku, naokoło jeziora.

- To na nic - rzekł David. - Nie dadzą ci podejść.

- Więc wracajmy. Zobaczmy, czy one do nas przyjdą. Może przepłyną przez jezioro.

Cofnęli się kilka metrów. Nie wyglądało to, by którykolwiek z duszków patrzył na nich, ale wszystkie ruszyły w ślad za nimi. Obaj mężczyźni wytrzeszczyli oczy.

- Tańczą na wodzie! - wykrzyknął David. Dostrzegali zmarszczki na powierzchni jeziora, gdzie dotykały jej małe stopki. Duszki zanurzyły się odrobinę w wodzie, ale to było wszystko.

- To niemożliwe, by tak je wypierało - mruknął David. - Poza tym jak zachowują równowagę? Nie mają skrzydeł.

- Muszą być zbudowane z innej postaci materii - rzekł John. - Woda jest dla nich ciałem stałym.

- I jeszcze jedno. Ta ich gra jest bardzo dziwna. Czy zauważyłeś: kiedy któryś z nich chwyta kryształ, jego obraz faluje. Jakby na chwilę zniknął. Chwywanie kryształu jakoś na niego działa. Nie wiem, co to może być.

- Wracajmy do obozu - powiedział John. - Może pójdą za nami i dziewczyny też je zobaczą. Ruszyli w powrotną drogę. Duszki, nadal nie zwracając na nich uwagi, ruszyły za nimi.

V

Chociaż noc już zapadła, nie było ciemno. Mars miał dwa księżyce, a poza tym nie otulał go trzystukilometrowy koc atmosfery, wchłaniający światło gwiazd. Tworzyły one koronkowy ornament czarodziejskich światełek.

- Nikt nie zbliży się do mojego namiotu - rzekła Jacky - ale czy jesteś pewien, że Dorothy nie zauważy, że zniknąłeś?

- Powiedziałem jej, że mam niewielką temperaturę i idę spać na statek - odrzekł David. - Ona panicznie boi się zarazić czymkolwiek. Będzie się niepokoić, ale zostawi mnie samego.

Oboje znajdowali się na małej polance w środku lasu, trzy kilometry od obozu. Przybiegli tu razem pośród nocy, śmiejąc się, ale niezbyt głośno, bo w ciszy nocnej dźwiękiniosły się daleko.

- A więc nic nam nie grozi? - odezwała się Jacky.

- John Morgan wie - rzekł David.

- On? - Jacky wytrzeszczyła oczy. - Czy...

- On nic nie powie Dorothy. Cokolwiek by się stało. Rozmawiał ze mną, może też zwrócić się do ciebie, ale Dorothy w to nie wciągnie.

- Ach, tak.

Nawet noc na Marsie była tropikalna. Oboje mieli na sobie koszulki i szorty, a i tak było im za ciepło. Prąd kosmiczny, pomyślał inteligentnie David.

Schwycił Jacky za ramiona i spojrzał jej w oczy, które wydawały się mu szare w silnym, ciepłym blasku gwiazd. Stopniowo przytulała się do niego coraz mocniej. Gorąca noc stała się wyraźnie gorętsza. W takiej chwili czas niewinnie przestaje płynąć. Rozległ się jakiś dźwięk, ale David zignorował go; usłyszał go znowu i obrócił się gwałtownie wypuszczając Jacky z objęć.

Były to znowu duszki, tańczące w zwykłej odległości. Dobięgl go ów delikatny świergot, który słyszał już przedtem dwukrotnie. Zaklął.

- Nie przejmuj się nimi - odezwała się niecierpliwie Jacky. - Nie będą nam przeszkadzać. Nigdy nie przeszkadzają komuś, kto tu przylatuje.

David rzucił się szaleńczo w ich stronę próbując je przepędzić. Zniknęły, ale kiedy wracał do Jacky, zjawiły się znowu. W ciemności widział tylko jej bluzkę i lekkie szorty; reszta zlewała się z ciemnością.

- Uważaj! - krzyknęła Jacky, gdy zbliżał się do niej. - Coś rzucają.

Obrócił się i ujrzał płynący ku nim w powietrzu różowy kryształ.

- Nic nam nie robi - powiedział. - Złapię go tak samo, jak one to robią.

- Nie ruszaj tego! - wykrzyknęła Jacky.

- Mogłoby być niebezpieczne, gdyby się z tym obchodzić nieostrożnie. Ale będę uważał.

Stał tuż pod opadającym kryształem i schwycił go w obie dłonie.

III

Słońce stało w zenicie. W jego promieniach Jacky sprawdzała swoją ziemską opaleniznę.

- Pewna jesteś, że Dorothy nie wejdzie do twojego namiotu? - spytał David.

- Ona uważałaby przerwanie czyjegoś snu za zbrodnię - odparła Jacky. - Nie wejdzie do mnie i będzie pilnować, by nikt inny też tego nie zrobił. Wślizgnę się od tyłu, gdy wszyscy będą zajęci lunchem.

Oboje znajdowali się półtora kilometra od obozu; leżeli w zagłębieniu na szczycie pagórka. Jacky rzuciła swą białą spódniczkę na rozgrzaną trawę i opalała się w silfowym kostiumie.

Czy silf to rzeczywiście taki dobry pomysł? zastanawiał się David. Uszyty z niego strój był zawsze piękniejszy od ubranej weń dziewczyny. Nic nie było w stanie równać się z tą błyskotliwą, olśniewającą kaskadą barw. Nawet Jacky.

- Cały kłopot z opalaniem - odezwał się leniwie - leży w tym, że jest zbyt gorąco, by cię pocałować.

- Coś podobnego! - wykrzyknęła ze śmiechem. - Ty zresztą też jesteś rozgrzany.

- Nie jest tak źle, gdy się nie ruszam.

Leżeli przez jakiś czas w milczeniu. David zamknął oczy i pozwolił błędzić swoim myślom.

- Spójrz - powiedziała nagle Jacky. - Są tu jednak duszki.

- Wcale się nie dziwię - odparł nie otwierając oczu. - Mówią ci, że w Egipcie są piramidy, a kiedy tam pojedziesz - popatrzysz i stwierdzisz, że rzeczywiście są.

- Ale spójrz, Davidzie - nalegała Jacky.

Spojrzał. Duszki tańczyły i rzucały do siebie różowym kryształem, który wyglądał jak olbrzymi brylant. Tylko że brylant nie płynąłby tak wolno w powietrzu.

- Nie uważasz, że trzeba coś zrobić? - spytała Jacky.

- Co? Odezwać się do nich? Uciekną tylko.

- Powinniśmy powiedzieć reszcie o nich, jeśli ich jeszcze nie widzieli. Głupio wyszło.

- Wcale nie - odparł David dziwiąc się, że Jacky nie rozumie oczywistych rzeczy. - Ty wrócisz pierwsza, wślizgniesz się po kryjomu, a potem ja sam wejdę do obozu.

- Dobrze. - Wstała i podniosła spódniczkę, ale David nie patrzył na nią; zamyślony, przyglądał się z zaciekawieniem duszkom.

IV

- Davidzie - odezwał się John w zamyśleniu, podczas wędkowania.

- Nie - przerwał mu David.

- Słucham?

- Chcesz porozmawiać ze mną o Jacky i zapytać, czy uważam, że jestem w porządku wobec Dorothy. No więc, nie uważam. Ale to wszystko. Trzymaj się od tego z daleka. Samo się jakoś ułoży.

- Pewnie tak, skoro zastanawiasz się nad tym - odparł chłodno John. - Myślałem, że nie. Nie jesteś złym człowiekiem, Davidzie. Nie należysz do tych, co krzywdzą swe żony. Nie - chyba, że postanowiłeś nie zauważać, że właśnie to robisz.

- Wiem, co robię.

Zapadło milczenie, potem: - Czy to te duszki, o których mówiłeś? - zapytał John.

- Tak, te. Udawaj, że cię nie interesują. Są jak dzieci - starają się przyciągnąć czyjąś uwagę. Ignoruj je, może dowiemy się czegoś więcej o nich. - Ziewnął. - O ile to ma jakiegokolwiek znaczenie - dodał obojętnie.

V

Chociaż noc już zapadła, nie było ciemno. Mars miał dwa księżyce...

- Nikt mnie nie będzie szukał - powiedziała Jacky - ale co z tobą?

- Powiedziałem Dorothy, że mam temperaturę - rzekł David. - Myśli, że śpię w statku.

Nastało niezręczne milczenie. Oboje wiedzieli, po co tu przyszli, a każde z nich wiedziało, że drugie też wie, i że zdaje sobie sprawę, iż ono też wie, ad infinitum. Starczyło, by oboje poczuli się nerwowo i trochę głupio.

David schwycił Jacky za ramiona, mając takie wrażenie, jakby skupiły się na nim obiektywy pięćdziesięciu kamer. Jacky nie zareagowała. Buntując się w duchu przeciwko tej oczywistości wszystkiego, przyciągnął ją i przycisnął do siebie, jakby zostało im tylko kilka sekund życia.

I tak, jak prawie się tego spodziewał, usłyszał świergot. Nie potrzebował się obracać.

- Nie mam zamiaru kochać się przy świadkach - powiedział z wściekłością.

- Nie zwracaj na nie uwagi - rzekła Jacky, równie rozgniewana.

David rzucił się dziko w kierunku duszków, pomykając nad ziemią niczym jeleń i myśląc tylko o tym, by choć raz jednego z nich dotknąć. Ale sprawa była beznadziejna. Powłócząc nogami powrócił do Jacky. Ściemniało się i jej jasne szorty i bluzka kontrastowały z gromadzącymi się ciemnościami.

- Uważaj - odezwała się Jacky bez większej emocji. - Coś rzucają.

- A, niech tam.

Nie obejrzał się; jedynie przez krótką chwilę poczuł lekki dotyk czegoś na ramieniu.

III

Słońce stało w zenicie.

- Nie wejdzie do ciebie? - spytał David.

- No chyba - odparła krótko Jacky.

Opalała się w silfowym kostiumie; błąd, pomyślał David. Była w końcu tylko dziewczyną, jakich widział już miliony. Po co ktoś miałby spoglądać na opalone ciało, takie jak każde inne opalone ciało, kiedy trwała ta symfonia barw? A w ogóle po co nawet patrzeć i na tę symfonię barw?

Nic już nie było do powiedzenia. David miał jakieś przeczucie, że wszystko zostało już powiedziane i nie tylko przez niego, ale również przez każdego żonatego mężczyznę związanego z inną dziewczyną. Oboje po prostu leżeli i smażyli się w słońcu.

- Spójrz - powiedziała nagle Jacky.

- Wiem. Duszki.

- Skąd wiesz? Nigdy przedtem ich nie widzieliśmy.

- Może przyśniło mi się, że zaglądamy do namiotu. Potem zapomniałem.

- Tym razem mają większy kryształ - powiedziała nieobecny głosem Jacky. - Większy i niebieski.

- A teraz ty zaczynasz - zauważył Dawid. - Przecież nigdy nie widziałaś ich z kryształem.

- Nie wiem. Jakoś wydawało mi się, że powinien być mniejszy i różowy. Nie mam pojęcia dlaczego.

Nie zaproponowała, by spróbował porozumieć się z duszkami. Też wiedziała, że to się na nic nie zda. Nie pomyślała, że głupio wyszło, iż ujrzeli duszki wtedy, kiedy po raz pierwszy znaleźli się sam na sam. Wiedziała, co trzeba zrobić.

IV

- Dawidzie - odezwał się w zamyśleniu John podczas wędkowania. Potem uśmiechnął się przewrotnie. - Nie, chyba nie muszę tego mówić. Wiesz o co mi chodzi.

- Wiem - odparł David. - Nie powiem, że to nie twój interes, bo może w jakiś sposób jest to twój interes. Ale chyba nie musisz się o tę sprawę martwić.

- Nie. Twoje niewłaściwe postępowanie nie trwałoby zbyt długo. Pomyślałem jednak, że może potrzebne ci niewielkie... przypomnienie.

- Może i tak - przyznał David. - Chodźmy stąd, dopóki te przeklęte duszki nie wypłoszą wszystkich ryb swymi tańcami na wodzie.

V

Chociaż noc już zapadła, nie było ciemno.

- Nikt mnie nie będzie szukał - powiedziała Jacky - ale co z tobą?

- To nieważne. Zaczynam się zastanawiać, czy cokolwiek jest ważne.

- Jedna rzecz zawsze jest ważna. Miłość. - Ostatnie słowo wypowiedziała szeptem.

- Miłość? - wykrzyknął David. - Co to takiego?

Jego dłonie spoczywały na jej ramionach. Może ona je tam położyła - ale właściwie nie wydawała się bardziej zainteresowana tym wszystkim od niego. W pewnym sensie, oboje grali na czas.

Pochwycił ją i przycisnął do siebie ze szczerym zamiarem pogruchotania jej żeber.

Z tyłu rozległ się świergot.

- No jasne - odezwał się posępnie. Nie spojrzął na duszki. Starał się uśpić ich czujność, wyrobić w nich przekonanie, że nie domyśla się ich istnienia. Nagle odskoczył w tył, obracając się w powietrzu, i puścił się biegiem, gdy tylko jego stopy dotknęły ziemi.

Nic to nie pomogło. Uświadomił to sobie, zaprzestał pogoni i wrócił do Jacky. Nie potrzebował prawie widoku jej jasnego ubioru, by wiedzieć, gdzie stoi.

- Chyba coś rzucają - odezwała się zmęczonym głosem, gdy stanął przy niej.

Schwycił ją z wściekłością za rękę i pobiegł, nie oglądając się za siebie i klucząc. Ale i tak poczuł dotknięcie na ramieniu.

I

- ... robić coś więcej, a nie tylko mówić - rzekła Dorothy.

- Dobrze - odparł David.

- Musisz zacząć załatwiać, mój drogi, bo inaczej tylko tracisz czas. A masz tylko trzy tygodnie. Pomyślałam sobie: skoro już mamy ten autolot, to lećmy na Marsa i zamieszkajmy tam pod namiotem, jak pionierzy. To...

- Mars? - powiedział David. - A, jest coś takiego.

- Mówią, że tak jest cudownie. Wenus jest już zupełnie niemodna. Wszyscy lecą na Marsa. Przynajmniej raz...

- Więc coś jest z nim nie w porządku - rzekł David beznamiętnie - i polecimy gdzieś indziej.

- Ale...

- Dorothy, nieczęsto się upieram, ale tym razem nie ustąpię. Nie polecimy na Marsa. Czy to jest jasne?

- Oczywiście, kochanie - rzekła Dorothy ze swą zwykłą uległością. - Polecimy na Wenus, jak w zeszłym roku.

- Przynajmniej wiadomo, czego można się tam spodziewać.

- Słusznie. Można polecieć nawet w szóstkę...

David nie słuchał. Kiedy poślubił Dorothy siedem lat temu, była piękna i czarująca. Nie każdy mąż, pomyślał z dumą, może pochwalić się tym, że jego żona wydaje się z latami coraz piękniejsza i bardziej czarująca. On mógł się tym pochwalić.

- Co mówiłaś? - spytał nieprzytomnie.

- Powiedziałam: Jacky Greene, kochanie - powtórzyła Dorothy. - Weźmiemy ją do kompletu.

- Dorothy - rzekł cicho David - prawie zawsze robię to, co chcesz, prawda? Ale mogę ci równie dobrze powiedzieć tu i teraz - podniósł głos - że jeśli zaprosisz tę dziwkę, to ja zostaję w domu!

- Dobrze, kochanie - powiedziała ulegle Dorothy. - Wiem, że zawsze jej unikasz, ale to naprawdę miła dziewczyna.

Szpieg

I

Corvey opierał się temu, póki nie skończył swego artykułu, nie czytał go, zesłał na dół, nie przejrzał wszystkich michałków, które każdego dnia zbierają się na biurku reportera, i nie porozumiał się z zastępcą naczelnego w sprawie ewentualnych wyjaśnień co do artykułu. Dopiero wtedy wyszedł z budynku redakcji.

Powstrzymywał go idąc ulicą do baru "Diament". Wolałby wziąć taksówkę czy nawet pojechać autobusem, bo nogi miał jak z gumy, a w głowie pulsował mu tępy, stłumiony, monotony ból, który nasilał się przy każdym potknięciu, by potem osłabnąć, podczas gdy on z wysiłkiem stawiał jeden drżący, niepewny krok za drugim. Jednak autobusy, a szczególnie taksówki były niebezpiecznie uspokajające. Bezpieczniej, choć mniej przyjemnie, było pójść piechotą.

Cały czas powracał problem, czy pojawiać się w miejscach, w których był znany i nie wzbudziłby żadnych podejrzeń, nawet gdyby zachowywał się dziwnie - czy też raczej chodzić tam, gdzie go nie znano, ale mógłby zostać zapamiętany jako dziwaczny osobnik, gdyby coś się stało. Poprzednio, gdy spodziewał się czegoś, mógł zdecydować, która z tych dróg jest bezpieczniejsza. Jednak dziś nie czuł się na tyle silny, by spróbować nowego lokalu. Poszedł więc automatycznie do "Diamentu", ufając, że dalej będzie się zachowywał tak, jak podczas setek poprzednich wieczorów.

Odpierał go, gdy wchodził do kawiarni; znalazł ciemny kąt z dala od wejścia, uśmiechnął się po swojemu - przyjaźnie, lecz bez żadnych sugestii - do Rosie, najładniejszej z kelnerek, i zamówił jajka na szynce.

"Diament" był przyjemnym azylem dla tych, którym mieszkania służyły jedynie za miejsce noclegu i rannego golenia. Był to lokal bezpretensjonalny, dość zaniedbany, choć jeszcze nie brudny, a potrawy, jakie w nim serwowano, zachowywały złoty środek pomiędzy jakością i ceną. Jeśli ktoś wpadał tu tylko na filiżankę kawy, obsłudze to nie przeszkadzało; podobnie jak nikt nie zwracał uwagi, gdy inny klient zamawiał siedem dań.

Kiedy Corvey miał już przed sobą jedzenie, mógł nareszcie osłabić uścisk, w jakim trzymał siebie samego przez cały dzień. Osłabiał go po trochu, pozwalając, by rozkosz odprężenia rozlewała się po jego ciele ciepłym, wdzięcznym strumieniem.

Z ironią, nieomal z irytacją przyjął fakt, że kiedy w końcu "odpuścił", nic się właściwie nie stało. Gdyby się stało, nie wiedziałby o tym, ale tego, że nic nie było, mógł być prawie pewien. Kiedy się ma halucynacje, nie jest się tego świadomym, ale zawsze wiadomo, gdy się ich nie ma.

Tam gdzie bywał rzadko, nigdy nie mógł się do końca rozluźnić. Kiedy ktoś się znajduje w nieznanym otoczeniu, tym bardziej mu jest trudno zachować kontakt z rzeczywistością. Natomiast bywanie w miejscu takim jak "Diament" wiązało się z inną nieprzyjemnością: mało kiedy pozostawiano go tu samemu sobie.

Ledwie zabrał się do swej jajecznicy na szynce, kiedy powiew znajomych perfum o zapachu zgniecionych płatków kwiatów, pomieszany z aromatem lekkiego, suchego tytoniu fajkowego, oznajmiły mu przybycie Babs i Dave'a Andrewsów.

Nie podnosząc oczu odezwał się: - Nie, żadne z tych miejsc nie jest zajęte.

- Znowu zaczyna - wykrzyknęła Babs. - Daje do zrozumienia, że wydzielamy swoisty zapach. - Otoczyła go gwałtownie ramionami z tyłu i pocałowała soczyście. Babs była jedną z tych młodych żon, które z zasady oddają się innemu mężczyźnie w obecności męża. Nadal czasami zaskakiwała Corveya, który był raczej zadowolony, że nigdy nie miał okazji spotkać się z Babs bez Dave'a.

Opadła lekko na krzesło obok niego, podczas gdy Dave usadowił się nieco mniej zgrabnie po jego drugiej stronie.

- Wyglądasz na zmęczonego, Ken - zauważył Dave.

- Jestem zmęczony. Padam z nóg.

- Ale apetytu ci to nie odebrało, jak widzę.
- Do cholery, nie jestem przecież chory tylko zmęczony.
- Ostatnio często bywasz zmęczony - głos Babs dźwięczał niepokojem.

Irytujące, jak bystrzy i przenikliwi są ludzie, kiedy wolałoby się, aby nie byli tacy bystrzy i przenikliwi.

- To nic - rzekł Corvey wzruszając ramionami. - Wiesz, jak to jest w dziennikarstwie: trzeba wstawać zawsze trochę wcześniej niż twój sąsiad, pracować trochę ciężiej, być trochę sprytniejszym i dowiadywać się trochę więcej. Nic więc dziwnego, że pod koniec dnia człowiek jest zmęczony.

- Mimo to powinieneś pójść do lekarza, żeby cię zbadał.

Ken Corvey wzruszył ramionami, jakby to wszystko było nieważne. Ale, oczywiście, było ważne. Dave miał słuszość: potrzebował opieki lekarskiej. Ale nie mógł tak ryzykować. Jedyne, co mógł zrobić, gdy ten temat powracał, to traktować go swobodnie i ufać, że po chwili znajdzie się inny.

Babs była nieduża, lekka, szybka i niespokojna. Zawsze siadała na skraju krzesła, pochylona do przodu, jak gdyby za chwilę miała skoczyć w powietrze niczym żaba. Dave był ciężki, powolny i niezgrabny jak spasiony pies. Wyglądał na starszego od Babs, co nie było prawdą. Na ile dało się to ustalić, Babs urodziła się trzydzieści sześć minut przed nim, choć oboje spotkali się po raz pierwszy dopiero dwadzieścia dwa lata później. A kiedy nastąpiło to spotkanie, stało się natychmiast jasne - przynajmniej dla nich - że są dla siebie stworzeni. Małżeństwo zostało zawarte w ciągu sześciu tygodni, a przez siedem lat, które upłynęły od tego czasu, oboje często gratulowali sobie wzajemnie roztropności.

Kolejne złudzenie rozwiało się, gdy wszyscy troje rozebrali się do kąpieli. Corvey doświadczył już tego przedtem, ale po raz kolejny uświadomił to sobie z mocą, spotkawszy oboje w klubie sportowym Rutledge.

Przyjechał tu, by popływać, miał bowiem nadzieję, że w ten sposób przewycięży tępy ból głowy. Chociaż dokładnie przyjrzał się mężczyźnie, który przebierał się w sąsiednim przedziale, o mało nie minął go nie poznając - Dave w ubraniu sprawiał wrażenie otyłego, sflaczałego i bez kondycji - ów mężczyzna zaś był mocno zbudowany, a jego piękny tors nadawałby się do celów reklamowych. Jednak był to Dave.

- Udajesz, że mnie nie zauważasz, co? - spytał Dave, co zresztą było nienajgorszym dowcipem, gdyż Dave ważył ponad sto kilo.

A potem, gdy skierowali się w stronę basenu, a Corvey przez cały czas rzucał zdumione spojrzenia na kroczącego obok niego kulturystę, z szatni damskiej wyszła Babs - i niespodzianka była równie wielka, tyle że w odwrotną stronę. Babs wyglądała cudownie w ubraniu, ale najwyraźniej nigdy nie powinna była się pokazywać w stroju plażowym. Kolana miała zbyt kościste, biodra za wąskie, klatkę piersiową zbyt ukazującą zebra, obojczyk wystający. Jej kostium plażowy nie pominął żadnej wady w budowie.

Dave okazał, że wciąż jest w niej zakochany, z podziwem pytając: - Czyż ona nie jest cudowna? - i święcie wierząc, że tak jest.

Pływali przez jakieś dwadzieścia minut, co wystarczyło, by Corvey pozbył się bólu głowy. Później, leżąc w blasku popołudniowego słońca, Dave i Babs zaczęli wypytywać go o jego pracę, aby w ogóle o czymś rozmawiać.

- Cóż to takiego: reporter analityczny? - spytała Babs.

- Analiza opinii publicznej drogą reportaży to stosunkowo nowa rzecz - odparł. - Pamiętacie dawne plebiscyty, badania opinii publicznej, analizy wyrywkowe i całą resztę? Ja robię to samo, bez wydawania pieniędzy na badania.

- To znaczy, że ty zgadujesz?

- Nie. Moje wyniki uzyskuję drogą skrótu. Największą trudność w każdych prognozach opartych na badaniach wrywkowych sprawiała właśnie ich wrywkowość. Jeśli ktoś chciał wiedzieć, jak zareaguje milion osób, nigdy nie miał całkowitej pewności, nawet jeśli przebadał milion ludzi. Metoda doboru owego miliona mogła być subiektywna. Jeśli jednak miało się pewność, że grupa została naprawdę dobrana losowo, milion wystarczyłby w zupełności. A mówiąc szczerze, gdyby był jakiś sposób na upewnienie się, że zaledwie dziesięć osób stanowi grupę reprezentatywną, wystarczyłoby dziesięć. Do niedawna nie było na to sposobu, tak więc by ustrzec się przed wpływem subiektywizmu, trzeba było badać liczne grupy. Setki, tysiące, nawet dziesiątki tysięcy.

- Powiedziałeś: "do niedawna" - zauważył Dave. - Ja zaś raczej powiedziałbym, że sposobu takiego nie będzie nigdy. W jaki sposób mógłbyś zapewnić, że dziesięć osób stanowi grupę reprezentatywną?

- Właściwie to nie mógłbym - przyznał Corvey. - Zbyt to uprościłem, naturalnie. Zawsze istnieje coś, co nazywamy grupą znaczącą. Statystycy ograniczają jej wielkość starając się, by stanowiła ona przekrój społeczeństwa. Jest w tej grupie lekarz, adwokat, wódz indiański. Postępując wedle tej samej zasady grupy znaczącej potrafię zazwyczaj osiągnąć z kilkoma niewielkimi zespołami - w serii prób - te same wyniki, które otrzymałbym z wielkiej grupy dobieranej wrywkowo. Tutaj subiektywizm eliminuje się poprzez obliczenia i zdrowy rozsądek.

- Założę się, że często się mylisz - sprzeciwiła się Babs.

- Nie częściej niż przeprowadzający dawne badania opinii publicznej. Zwykle dzielę to, czego chcę się dowiedzieć, na około dziesięć elementów, z których żaden nie jest samodzielnie godzien zaufania, po czym przeprowadzam ich integrację, tak że różnice wykluczają się wzajemnie...

- I zgadujesz - powiedziała Babs z zadowoleniem. - Wiedziałam, że w końcu wyjdzie to na jaw.

Dave i Corvey wymienili uśmiechy; Corvey bezradny, Dave zaś z uwielbieniem dla Babs. Dla niego wszystko, co zrobiła jego żona, było cudowne. Jeśli rzuciła jakąś uwagę, musiała ona być celna, bowiem to Babs ją wypowiedziała. Jeśli ktokolwiek pokonał ją w czymkolwiek, to ów ktoś musiał być rzeczywiście mistrzem.

Tym niemniej Dave, tam gdzie to nie dotyczyło Babs, potrafił być naprawdę przenikliwy.

- A poza tym - rzekł - jest jeszcze sprawa twojego drugiego zajęcia.

- Drugiego zajęcia? - powtórzył jak echo Corvey.

- Twojego prawdziwego zajęcia. Wiemy o tobie, Ken. Myślałeś, że nie wiemy, że jesteś szpiegiem?

Patrzyli nań bez wrogości, jedynie rozbawieni, że przyszło mu do głowy, iż oni nie wiedzą.

- Co to, czyżbym wyglądał na szpiega? - spytał po prostu Corvey starając się siłą woli opanować oddech i bicie serca, próbując zachowywać się tak, jakby ów pomysł był rzeczywiście niewiarygodny.

- Gdybyś na niego wyglądał, marny byłby z ciebie szpieg - zauważyła Babs, po czym wybuchnęła śmiechem, a Dave jej zawtórował.

- A kto jest twoją piękną współniczką? - zapytał.

Corvey nie miał pięknej współniczki, choć Sandra Reid bez wątpienia była piękna. Z chęcią wzięłby ją na współniczkę. Stanowiła ów niecodzienny fenomen: była inteligentną dziewczyną, która zachowywała się jak ulicznica, ulicznicą, która zachowywała się jak porządna dziewczyna, porządną dziewczyną zachowującą się jak szczególnie uwodzicielska gwiazda filmowa; wszystkim po trochu.

Spoglądał na nią, jak leżała z zamkniętymi oczyma, nieświadoma jego obecności. Chciałby bardzo spędzać długie godziny na przyglądaniu się Sandrze Reid.

Ale na wszystko był czas i miejsce, z wyjątkiem Sandry. Dla niego i Sandry żaden czas i żadne miejsce nie były dobre. A jeśli nawet gdzieś, kiedyś takie były, to na pewno nie teraz i nie tutaj.

Nie wolno mu mieć nic wspólnego z Sandrą.

Kiedy już miał odchodzić - naprawdę odejść - otworzyła oczy. I coś mu umknęło.

- ...chory? - spytał Dave.

Corvey przebiegł swe myśli w pamięci, ale nie udało mu się odnaleźć reszty zdania. To się rzadko zdarzało.

Dave czekał. Corvey nie umiał odpowiedzieć na pytanie, nie mógł odmówić odpowiedzi, nie mógł też zignorować pytania, a nie przychodziło mu nic do głowy, jak mógłby poprosić o powtórzenie.

Sprawdził pośpiesznie. Czy to było prawdziwe?

Oczywiście, że było prawdziwe. A Dave czekał.

- Przepraszam cię, Dave - powiedział Corvey. - Przypomniałem sobie coś, co powinienem był zrobić dziś po południu, a nie zrobiłem. O co pytałeś?

- Pytałem, czy dlatego nie chcesz brać choć trochę wolnego, nawet kiedy jesteś chory?

To niewiele pomogło. - Czy dlaczego? - musiał zapytać.

- Dlatego, że jest tak mało reporterów analitycznych i nikt nie potrafi dokończyć pracy innego reportera.

- Ach, o to chodzi - powiedział z ulgą Corvey. O swojej pracy mógł rozmawiać godzinami. Był tak zadowolony, że rozmowa, która umknęła jego świadomości, obracała się wokół tak niewinnego tematu, że powiedział coś zupełnie niepotrzebnego. - Przecież chyba opowiadałem wam o mojej pracy przedwczoraj, nie?

- Przedwczoraj?

- W klubie sportowym.

Dave wytrzeszczył na niego oczy. - Nie byliśmy w klubie od kilku tygodni.

- Ach, więc musiałem to mówić komuś innemu - rzekł Corvey swobodnie, choć w rzeczywistości sphywał potem. Tak więc epizod w klubie sportowym nie wydarzył się naprawdę. Mógł się tego spodziewać, po tym jak urwał się i rozpląnął na końcu - ale nie zdążył go jeszcze przeanalizować.

- Naprawdę jesteś chory, Ken - rzekł z troską Dave.

Corvey potrząsnął głową. - Roztargnienie jest jakby chorobą zawodową reporterów analitycznych - powiedział. - Pracuję właśnie nad wieloma trudnymi problemami. I jestem zmęczony - Boże, jakież jestem zmęczony.

- Zostaw Kena w spokoju, Dave - powiedziała Babs współczująco. - On jest po prostu śpiący. Chodź, zabierzemy go do domu i położymy do łóżka.

Choć Corvey protestował, zrobili, jak powiedziała Babs. Nim wyszli z jego domu, dwukrotnie sprawdzał desperacko, pewien, że coś takiego nie może dziać się naprawdę. Ale działało się.

Ojciec Corveya powiedział raz do niego: "Przyjaciół poznasz po tym, ile są gotowi dla ciebie zrobić, synu". Gdyby tak było, Dave i Babs okazaliby się jego najlepszymi przyjaciółmi - i nie tylko na Ziemi.

Nareszcie sam, bezpieczny w wygodnym łóżku, w ciemnościach, tęsknił za snem. Ale najpierw miał jeszcze coś do przemyślenia.

Dzień dzisiejszy był jak dotąd najgorszy. Jeśli Dave i Babs choć cokolwiek wiedzieli o ritanii, z pewnością rozpoznali atak tej choroby i domyślili się, że Corvey nie jest Ziemianinem.

Na szczęście nikt poza układem Jernam, który znajdował się w odległości dziewięćdziesięciu siedmiu lat świetlnych, nie wiedział wiele o ritanii, odmianie febry spotykanej jedynie na Aramie, piątej planecie układu. Na ile Corveyowi było wiadomo, nikt nigdy nie miał ataku poza Aramem.

Kiedy wysłano go na Ziemię, zapewne zakładano, że skoro jeszcze się nic takiego nie zdarzyło, to nie nastąpi to nigdy.

Corvey nadawał się do szpitala, ale nie mógł tego zaryzykować. Gdyby poszedł tam, lekarze byłiby w kropce przez kilka godzin czy dni, ale w końcu sięgnęliby do objawów chorób pozaziemskich i wykryliby rytanię. Gdyby jego aramańskie pochodzenie było stwierdzone oficjalnie, zachorowanie na rytanię nie stanowiłoby przestępstwa. Jeśliby się jednak okazało, że Kenneth Corvey, reporter analityczny gazety Rutledge Star, którego rzekome dzieje sięgają trzydzieści jeden lat wstecz aż do fałszywych narodzin w Nowym Jorku, w istocie pochodzi z planety Aram...

Oznaczałoby to, że jest szpiegiem. A Corvey był przekonany, że szpiegostwo nadal karane jest śmiercią. Nie miał żadnej gwarancji, że go rozstrzelają, ale jeszcze mniej - że tego nie zrobią.

Jego mocodawcy nie przedsięwzięli żadnych kroków, by zabrać go na rodzinną planetę Aram wcześniej niż po ukończeniu jego misji, z powodzeniem lub bez, w ciągu trzech tygodni. Czy wytrzyma te trzy tygodnie?

Mógł się gdzieś ukryć i przeczekać, aż przyjdzie czas opuścić Ziemię. W ten sposób uratowałby życie, nie wykonując jednak zadania, z jakim go tu skierowano. Mógł też zostać na miejscu i prawdopodobnie również nie wykonać zadania, a jednocześnie postradać życie. Ale póki istniała jeszcze szansa powodzenia, musiał zostać.

Jakie były owe szanse? Biorąc pod uwagę dzisiejszy atak, nienajlepsze. Szpiegdy zawsze musieli postępować nadzwyczaj ostrożnie, by żaden drobny, nie rzucający się w oczy zgrzyt nie zdradził ich.

Corvey miał jednak jeszcze dodatkowe utrudnienie: męczyła go choroba, która osłabiała jego ciało tym samym zmniejszając zdolność panowania nad tym ciałem. Bolała go również nieustannie głowa, powodując czasem niekontrolowane dreszcze, a także sporadyczne omamy.

Nie była to choroba psychiczna, ale fizyczna. Towarzyszące jej halucynacje nie miały zasadniczo tła psychotycznego. Przez to jednak były znacznie trudniejsze do odróżnienia od rzeczywistości. Nie miały cech marzeń, wspomnień, obaw, ostrzeżeń, wyrzutów sumienia i tych wszystkich innych spraw które składają się na materiał do powstawania zwykłych snów.

Owe omamy były zasadniczo ekstrapolacją tego, co działo się faktycznie, i nic w nich nie zdradzało, że są one uludą. Corvey mógł wówczas swobodnie spotykać się w klubie sportowym z Dave'em i Babs. Jedynie stwierdzenie Dave'a, że Corvey jest szpiegiem, było niesamowite, jakby z niespokojnego snu. Z drugiej strony, gdy Dave i Babs kładli go niedawno do łóżka, trudno było uwierzyć, że to się dzieje naprawdę, że nie jest fragmentem jakiejś zwariowanej sceny, którą stwarza jego rozgorączkowany umysł.

Najgorsze w rytanii było to, że wspomnienia były wspomnieniami i miało się trudności z osądzeniem, czy wspomnienie dotyczy faktu rzeczywistego, czy złudzenia rytanicznego. Wspominając o zdarzeniu w klubie sportowym Corvey nie był świadom ryzyka, jakie podejmował. Nie skontrolował tego zdarzenia w myślach, by upewnić się, że rzeczywiście miało ono miejsce. Przypominał sobie jedynie, że rozmawiał z Dave'em i Babs w klubie sportowym o swej pracy.

Co się z nim działo, kiedy ogarniał go omam, nie był w stanie ustalić. Z innych przypadków, jeszcze na Aramie, wiedział, że ofiara rytanii często zachowywała się normalnie i przekonywująco przez dłuższy okres czasu, powodowana jedynie nawykami. Na planecie, gdzie rytania była zjawiskiem powszechnym, ofiary takie z łatwością identyfikowano i leczono. Ale na Ziemi...?

Leczenie polegało na spędzeniu miesiąca w łóżku. Halucynacje rytaniczne, które nie miały pochodzenia psychosomatycznego, były nieszkodliwe; jeśli pacjent leżał nieruchomo na plecach, choroba ustępowała, omamy znikaly i w końcu nie pozostawało nic poza wspomnieniami jakichś niezwykle żywych snów, zazwyczaj ani przyjemnych ani nieprzyjemnych. Jedynie chorzy umysłowo miewali gwałtowne halucynacje.

Corvey nie mógł jednak położyć się do łóżka. Gdyby to zrobił, nieomal natychmiast miałby wizytę lekarza. Musiałby wtedy udawać, że jego stan jest normalny, co nie tylko stworzyłoby niebezpieczeństwo dekonspiracji, ale również nie pozwoliłoby, aby choroba ustąpiła.

Nie miał słabego charakteru - szpiedzy międzygwiazdni rzadko bywają chwiejni. Czasem jednak niebezpieczeństwo, choroba, trudne zadanie, nieosiągalność tej jednej rzeczy, której naprawdę potrzebował - wypoczynku w łóżku - potęgowały się i zwały na niego. W takich chwilach chciał, naprawdę chciał, by go zdekonspirowano. Chciał, aby było już po wszystkim.

II

Rano czuł się strasznie, ale przynajmniej nie istniało zbyt wielkie niebezpieczeństwo dalszych omamów. Rankiem miał zawsze najsilniejsze bóle głowy, ale choroba zwykle nieco ustępowała. Mógł zawsze trochę popracować, nim znowu chwytala go ritania.

Kiedy już miał wyjść z biura na lunch, wezwał go Jim Neave, redaktor działu i szef Corveya wedle wszelkich zasad. Corvey pracował na zmianie dziennej, ponieważ najczęściej zajmował się codzienną pracą ludzi.

Neave miał około pięćdziesiątki; był to człowiek dobroduszny, pozornie otwarty. Corvey wiedział, że sposób zachowania jego szefa był zasłoną, za którą tamten pracował, i przestał zwracać zbyt dużą uwagę na jego dziwactwa. Poznał już, że kiedy Neave zaczyna kogoś wychwalać pod niebiosa, zachwycać się własną mądrością czy rozprawiać o czymś niezbyt ważnym, nie można było z tego wyciągać żadnych wniosków poza jednym: że Neave ma coś na wątrobie i uznał, iż należy okryć to zasłoną.

Jednak jego podwładnym powodziło się nienajgorzej. Jak się wydawało, Neave znał możliwości wszystkich, zawsze wymagał odrobinę mniej, niż był w stanie uzyskać, zawsze wyrażał uznanie, gdy ktoś wniósł się ponad to, czego od niego oczekiwano.

- Słuchaj, Ken - powiedział Neave - za ciężko pracujesz.

- Może trochę - ostrożnie przyznał Corvey.

- Dlaczego?

- To cecha mojej pracy - odrzekł. - Czasem się to zdarza. Ktoś inny zatrudniłby asystenta, ale mnie asystent nie przydałby się na nic. Nikt nie jest w stanie pójść za linią badań reportera analitycznego poza nim samym. To tak jak ciąg myśli. Ktoś inny mógłby myśleć, nawet dojść do tych samych wniosków, ale nigdy w ten sam sposób. Przyznaję jednak, że czuję się zmęczony.

Neave skinął głową. - Zastanówmy się - powiedział przerzucając kartki czarnego notatnika. - Winien jesteś nam artykuł o rekrutacji osadników...

- Prawie gotów.

- Oraz analizę porównawczą poziomu inteligencji w Ameryce i Europie... jak się ona posuwa? Musimy udzielić odpowiedzi temu londyńskiemu profesorowi.

- Będę to miał do soboty.

- Później zaś nie ma nic istotnego do momentu, gdy zaczniesz serię artykułów na temat prób obronnych. Nie, nie będę cię jeszcze wprowadzał w ten temat. Wiesz, co ci powiem, Ken? Jak wystąpisz o tydzień urlopu zaczynający się od soboty, postaram się, byś go dostał.

- Dziękuję, Jim. Napiszę podanie. Sam wiem, że wypoczynek mi się przyda.

Corvey był zadowolony i nie starał się tego ukrywać. Tydzień wypoczynku nie wyleczy ritanii, ale może pomóc mu doczekać końca misji.

Pojęcie państwa opiekuńczego rozprzestrzeniło się po całym świecie. Ludzie bez wątplenia cieszyli się wolnością. Jednak rdzeniem państwa opiekuńczego było bezpieczeństwo - a bezpieczeństwo równało się pewnym ograniczeniom. Niektóre sprawy musiały działać

automatycznie, a należała do nich służba zdrowia. Każdy, kto opuścił dwa dni pracy, mógł spodziewać się wizyty lekarza.

Corvey mógł przyjąć tydzień urlopu, skoro mu go zaproponowano. Gdyby tak nie było, podanie o urlop mogło doprowadzić do badań lekarskich, którym nie mógł się sprzeciwić. Wynik byłby taki sam, jak przy opuszczeniu dwóch dni pracy.

Wszystko wyglądało więc lepiej, niż się dotąd zapowiadało, bowiem nie pracował w gazecie dostatecznie długo, by mieć prawo do jakiegokolwiek urlopu.

Po wizycie u Neave'a zjadł samotnie lunch. Wychodząc z restauracji nieomal wpadł w ramiona Sandry - które były całkiem przyjemnym miejscem, choć dotychczas unikał przyznania się do tego, że wie o tym.

- Wyglądasz na bardzo zadowolonego z siebie - powiedziała. - Wygrałeś jakiś zakład?

Corvey opowiedział jej o urlopie.

- To wspaniale - rzekła Sandra. - Chodźmy wypić drinka z tej okazji.

Wszyscy jej znajomi mężczyźni adorowali ją, zaś kobiety równie powszechnie jej nie lubiły. Babs nawet posunęła się do nienawiści.

Weszli do cocktail-baru, całego w lustrach; było to naprawdę rozkosznie zaciszne miejsce. Sandra, siedząca na wysokim stołku i unosząca drinka w toaście do Corveya, wyglądała prześlicznie. Należała do tych ciemnych blondynek, które oparły się pokusie zostania złotymi blondynkami. Nie miała na sobie ani grama zbytecznego ciała, ale też ani grama jej nie brakowało. Miała ów wielki dar, rzadką cechę przejmowania inicjatywy w sposób dyskretny, bez ostentacji, tak że towarzyszący jej mężczyzna zawsze uważał się za bardzo przedsiębiorczego.

- Dokąd jedziesz? - spytała.

Wzruszył ramionami. - Gdzieś na południe... chyba na Florydę.

- I popatrz, co za zbieg okoliczności - powiedziała Sandra. - Myślałam o spędzeniu tygodnia w Miami.

- Znakomicie - oświadczył Corvey, bowiem wychylona przed chwilą whisky zabiła zarówno ból głowy, jak i chorobę, i w ogóle czuł się cudownie. - Polecimy razem.

Wkrótce stwierdził, że całuje Sandrę. Było to bardzo przyjemne uczucie, jak się zresztą zawsze spodziewał. Nawet dwa razy przyjemniejsze, niż myślał.

Uzgodnili, że spotkają się w sobotę przed odlotem popołudniowego samolotu, i wychylili jeszcze drinka, czy dwa, by przypieczętować umowę.

Dopiero w czasie serii obliczeń, które Corvey robił po południu, zdał sobie sprawę, że wszystko to zdarzyło się naprawdę.

Miał już kiedyś atak ritanii, na Aramie. Zazwyczaj choroba ta, niczym odra, tylko raz się komuś przydarzała, ale czasem niektórzy miewali drugi i trzeci jej napad, zanim powodujący ją zarazek stawał się dla nich nieszkodliwy.

Przy poprzednim ataku - oczywiście w odpowiednich warunkach - nauczył się ją leczyć. Teraz zaś musiał walczyć z omamami i nie przestawał się zadrećzać, bojąc się zdekonspirować.

Pozwolił, by zdarzenie z Sandra potoczyło się swoim torem, bowiem nie istniało żadne widoczne bezpośrednio niebezpieczeństwo. Nie usiłował nawet ustalić, czy to się z nim rzeczywiście dzieje, czy nie, bowiem założył z góry, że to omam. Spotkanie z Sandrą miało w sobie ową beztroskę, swobodę, brak szczegółów charakterystyczne dla halucynacji ritanicznych. Tylko w omamie poszedłby do baru z dziewczyną, którą ledwo znał, powiedziałby jej, że leci na Florydę, pocałowałby ją i umówiłby się z nią na wspólny lot. Z czegoś takiego właśnie rodziły się marzenia senne.

Jednak po zastanowieniu upewnił się, że to wszystko stało się naprawdę.

Mógł postępować i myśleć zupełnie racjonalnie, a także odróżniać zdarzenia prawdziwe od wyobrażonych, o ile się dobrze nad tym skupił.

Wyjazd z Sandrą był całkowicie wykluczony. Musiał znaleźć jakiś łatwy wykręt. Nie spotkać się z nią na lotnisku? Nie, to na nic. Powiedzieć, że zmienił zdanie? Owszem, jeśli znajdzie jakiś dobry powód. Może wybrać się tam, gdzie ona nie zechce jechać?

Raz jeszcze stanął twarzą w twarz z ironią swego położenia - położenia szpiega. Nic mu bardziej nie odpowiadało jak urlop z Sandrą. Gdyby nie był szpiegiem, mógłby też znakomicie się jej pozbyć. Gdyby nie był szpiegiem, prawdopodobnie nie zaintrygowałby Sandry do tego stopnia, by ta zaproponowała mu wspólny wyjazd. Gdyby nie był szpiegiem...

Znajdował się w biurze Jana Rytera, na Aramie. Tym razem miał niejasne pojęcie o tym, że jest to złudzenie. Jednak pozwolił mu trwać, podobnie jak człowiek, który wie, że musi już wstawać z łóżka, pozwala sobie jeszcze na kilka chwil drzemki - ponieważ nawet taki powrót do domu był czymś wspaniałym dla Kena.

Po namyśle szybko przeżył tę scenę, jak zwykle w rytanii.

- Mógłbym zachowywać się uprzejmie - Ryter mówił chłodno - ale w tej sprawie nie ma sentymentów, a jestem zdania, że obaj wolimy zachować nasze sentymenty na czas po pracy. Mam rację?

Corvey skinął głową.

- No więc, Corvey, co pan osiągnął? Jeśli nic, proszę to powiedzieć wyraźnie.

- Więcej niż nic. Umieszczenie mnie w roli reportera analitycznego miało tę dobrą stronę, że skierowano mnie do przeprowadzenia całej serii analiz na temat prób obronnych. Przed rozpoczęciem prób nie byłem w stanie ustalić, jakie informacje zostaną mi udostępnione, a jakie nie. Tym niemniej, jeśli mam uzyskać jakieś znaczące wyniki, mam uzasadnione powody żądać bez mała wszelkich danych.

- Czy pański przydział został jakoś uzgodniony oficjalnie?

- Nie, jestem jedynie przedstawicielem gazety, a wszystkie moje materiały zostaną ocenzone przed publikacją. Ale oczywiście, muszę mieć znacznie więcej danych, niż będę mógł wykorzystać.

- Ma pan już jakieś pojęcie o tym, jakie będą pańskie wnioski?

- Sądzę - powiedział ostrożnie Corvey - iż stwierdzę, że system obronny Ziemi jest wyjątkowo dobry, że da to do myślenia na temat możliwej generacji broni zaczepnej, która przesądziłaby losy każdej wojny przeciwko nam - oraz że nikt nie sugeruje żadnych animozji czy potencjalnego konfliktu zbrojnego z nami czy jakkolwiek inną kolonią.

Ryter skinął głową. - Muszę podziękować panu za zdecydowaną, jasną i szczerą opinię.

I nagle Corvey patrzył na rząd cyfr, których nie poznawał. Nie znajdował się już na Aramie, ale w Rutledge, na Ziemi. Zapewne robił nieświadomie jakieś obliczenia - powoli, lecz poprawnie - dotyczące programu osadnictwa.

Zdumiewające, że nie zauważył tego wcześniej: widać teraz było wyraźnie, że koloniści stanowili grupę ściśle wyselekcjonowaną. Wszyscy koloniści, na każdej planecie.

Ziemia miała ponad cztery miliardy mieszkańców, ale na świecie nie było specjalnego przeludnienia. Nie zauważało się go przy wydajnych technikach rolniczych oraz kilku zakładach hydroponicznych w każdym państwie. Oczywiście więc było, że młody człowiek czy młoda rodzina wolała zostać na Ziemi.

Jedynie określony typ - a raczej kilka typów ludzi wybierało emigrację.

Ten oczywisty fakt, którego przedtem nie zauważył, kosztował go kilka godzin niepotrzebnej pracy.

Kiedy zastanawiał się jeszcze nad tą sprawą, do jego maleńkiego pokoju wszedł Jim Neave. Corvey zwrócił mu uwagę na tę prawidłowość.

Neave zmarszczył brwi. - Nie jestem reporterem analitycznym, Ken, ale ja bym wpadł na to od razu. Tylko ktoś, kto kiedyś sam był kolonistą, nie zwróciłby na to uwagi.

Corvey został już dawno odpowiednio wyszkolony, by nie reagować gwałtownie w podobnych okolicznościach. Powiedział jedynie: - Ach, tak. Chyba pracowałem nad tym problemem z punktu widzenia osadnika - i zaraz zmienił temat na swoje plany urlopowe.

Była to jeszcze jedna z tych rzeczy, które mogły się w każdej chwili przytrafić szpiegowi. Wcześniej czy później ktoś zacznie coś podejrzewać - nie tak jak Babs, Dave czy Jim Neave. A ten, kto poweźmie podejrzenia, pójdzie śladem tego, co je wywołało. Sprawą zajmie się amerykański kontrwywiad, który przekaze ją do A.S.

A.S. była agencją kontrwywiadu ONZ, Corvey zaś zupełnie szczerze obawiał się jej. Jeśli A.S. uzyska wyraźny ślad uzasadniający podejrzenia, Corvey zostanie albo ostatecznie oskarżony, albo ostatecznie uniewinniony.

A.S. działała tak sprawnie, że mało kto w ogóle wiedział o niej coś więcej. Ryter nie potrafił nic przekazać Corveyowi na jej temat, poza tym, że jedynym sposobem uchronienia się przed A.S. jest unikanie z nią kontaktu. A.S. była postrachem każdego agenta skierowanego na Ziemię. Na pewno wiadano o niej tylko jedno: z rzadka tylko udało się komukolwiek dowiedzieć się czegoś na temat tajemnic, których A.S. miała strzec.

A A.S. z pewnością będzie zajmować się ochroną prób obronnych w Rutledge.

Dlatego właśnie Corvey musiał umiejętnie załatwić sprawę z Sandrą. Jak dotąd nikt nie wiedział niczego, co można by uznać za dowód przeciwko niemu. Jednak Sandra z pewnością zyska taki dowód, o ile natychmiast z nią nie zerwie.

Tak więc nie było mowy o wspólnym wyjeździe.

Równie ważne było to, aby pozbyć się Sandry nie dając jej równocześnie żadnych podejrzeń, dlatego niezmiennie odmawia podjęcia każdej inicjatywy.

Wiedział, gdzie Sandra pracuje. Nie była modelką, jak ktoś mógłby się spodziewać, ale wysoko opłacaną autorką haseł reklamowych, co oznaczało, że nie jest głupia. Głupim ludziom nie płaci się tyle, co Sandrze.

Stał przy drzwiach do jej biura, kiedy się pojawiła. Zrównał się z nią krokiem i wziął ją za rękę. - Chodźmy na jeszcze jednego drinka, Sandro - zaproponował.

- Ale...

- Myślę, że musimy pogadać na temat tej Florydy.

- Dobrze - odparła wesoło Sandra.

Tym razem Corvey upewnił się dokładnie, że to spotkanie nie jest halucynacją. Skupił się na bólu głowy. To zwykle utrzymywało go w rzeczywistości. Poszli do tego samego cocktail-baru, co było jeszcze jednym punktem styczonym.

- Słuchaj, Sandro - powiedział Corvey, uśmiechając się. - To na nic.

Sandra nie udawała, że nie rozumie.

- Chodzi ci o wspólny wyjazd na Florydę? Nie masz prawa tak mówić. Niczego nie sugerowałam...

- Nie musisz niczego sugerować. Wiem, co z tego będzie.

- A więc wiesz więcej ode mnie.

- Jeśli mam słuszność, to nie chcę, żebyś jechała. Jeśli się mylę, to nie masz po co jechać.

- Posłuchaj - odparła Sandra. - Powiedziałeś, że jedziesz na tydzień na Florydę. Ja na to, że wyjeżdżam na tydzień do Miami. I to wszystko.

- Mówiąc poważnie, Sandro, jadę odpocząć. A teraz, proszę cię... - reszty zdania nie dopowiedział.

Sandra zaśmiała się, biorąc to za komplement.

- Wierz mi, przy mnie też można odpocząć.

- Corvey potrząsnął głową. - Przy tobie to nie jest możliwe.
- Znaczy to więc, że nie chcesz, abym jechała z tobą, tak?
 - Tak jest.
 - Dobrze. Zrozumiałam aluzję. Powodzenia, Ken.
 - Żegnaj, Sandro.
 - Nigdy nikomu nie mówię "żegnaj".

III

Corvey wyjechał zgodnie z planem i zameldował się późnym sobotnim popołudniem w cichym hoteliku w Miami. Ritanii nie towarzyszyła utrata apetytu - a świeże powietrze, dobre jedzenie, światło słoneczne i wypoczynek były najlepszym lekarstwem na tę chorobę. W wybranym przez siebie hotelu miał to wszystko.

Wylegiwał się całą niedzielę i poniedziałek. Jedna halucynacja gonila drugą, ale to nie było ważne. Spędzał większość godzin dnia na werandzie, na wpół drzemiąc, a drzemki tej nie zakłócał ani personel hotelu, ani inni goście. Mógł odpowiadać na pytania przez sen, z roztargnieniem lub nie, a nikt nie powziąłby najmniejszych podejrzeń.

Rzadko przypominał sobie o bólu głowy. Jedynie trzy czy cztery razy dziennie, kiedy wstawał z kanapy, musiał przewycięzać słabość swego ciała. Nie musiał chodzić na posiłki - przynoszono mu je tam, gdzie się znajdował. Dawał do zrozumienia, że przechodzi rekonwalescencję po chorobie.

Wśród jego omamów były bardzo przyjemne, kilka obojętnych, a kilka zupełnie niemiłych. Te przyjemniejsze zdarzały się wówczas, gdy ich ofiara nie walczyła przeciw nim - inaczej halucynacje zaczynały być obsesyjne.

Pewnego razu znalazł się z powrotem na Aramie; kąpał się w rzece z Janet, swoją pierwszą dziewczyną.

Kiedy indziej udał się w wyimaginowaną podróż na Wenus - zdecydowanie wyimaginowaną, ponieważ nigdy nie był na Wenus.

W jeszcze innym odcinku - zupełnie niemiłym - zamordował Babs dość brutalnie i pomagał ponuremu, żądnemu zemsty Dave'owi wykryć mordercę. Dave zdawał się przebywać cały czas na granicy prawdy, a Corvey umierał po tysiącokroć podejmując wysiłki, by sprowadzić go z właściwego śladu.

Częstotliwość i gwałtowność omamów, nawet teraz, kiedy tylko wypoczywał, wskazywała, że stan Corveya jest bardzo poważny. Gdyby ritanię leczono we właściwy sposób, miałyby przebieg łagodny, ale Corvey zrobił sobie największą krzywdę, jaką mógł, powstrzymując nasilanie się choroby. Ritania nie należała do chorób, z którymi można walczyć. Wyzdrowienie polegało na poddaniu się jej całkowicie.

W kolejnej halucynacji nie był szpiegiem. Urodził się na Ziemi i prawie nic nie wiedział o Aramie.

Ten omam był faktycznie bardzo przyjemny. Miło było nie być szpiegiem - i jako zwykły Ziemianin wykonywać taką pracę, jaką się chciało.

Jednak wszelkie wnioski, jakie można byłoby wyciągnąć z tej halucynacji, upadały wobec faktu, że w innych, w których był zwykłym Aramańczykiem mieszkającym na swej planecie, również znajdował przyjemność.

Sandra pojawiła się we wtorek wieczorem.

Corvey właśnie przeorientował się na Kena Corveya, reportera analitycznego z gazety Rutledge Star, spędzającego urlop w Miami. Sandra wkroczyła na werandę, ubrana w strój plażowy, co

wskazywało, że mieszkała niedaleko. Ubiór ten z trudnością można by uznać za odpowiedni na ulicę, nawet w Miami.

- Myślałem, że się pokazesz, prędzej czy później - powiedział.

Potrząsnęła głową. - Nie miałeś powodu liczyć na to, Ken. Jeśli mężczyzna dostatecznie długo gra niedostępnego, wkrótce ma szansę znaleźć się bez oferentek.

- Nie gram niedostępnego - powiedział cicho Corvey.

Zmarszczyła czoło. - Masz żonę, czy co?

- Coś. Usiądź, opowiem ci.

Usiadła na pneumatycznej kanapie i wyciągnęła się malowniczo w oczekiwaniu. Jakaś część uroku Sandry pochodziła z jej zapału, zaciekawienia wszystkim, co miało się do powiedzenia. Nie była znudzoną laleczką - słuchała z wdzięczną uwagą, wtórowała wszystkim sugestiom, cieszyła się z każdej zaproponowanej rozrywki.

- Są takie sprawy - powiedział Corvey - które są ważniejsze niż czyjeś życie prywatne.

Sandra zdecydowanie potrząsnęła głową. - Nie wierzę w to.

- To znaczy, że ty byś czegoś podobnego nie zrobiła? Skinęła głową. - Tak, właśnie to miałam na myśli. A ty chcesz mnie przekonać, że twoja praca należy właśnie do takich?

- Tak.

- Praca w gazecie?

- Nie - inna.

- Tajna?

- Tak.

- Dlaczego mi o tym mówisz teraz, skoro nie chciałeś przedtem?

- Bo teraz myślę, że mogę ci ufać.

Wzrok Sandry napotkał jego oczy. - Lubię, jak mi ufają - przyznała. - Mów dalej.

- Czy byłaś kiedyś poza Ziemią? - spytał Corvey.

- Byłam na Księżycu i to wszystko. Dlaczego pytasz?

- Czy słyszałaś coś o koloniach?

- To znaczy, o planetach daleko w Kosmosie - Vokis, Ritchel, Watton i cała reszta? Niewiele.

- A co sądzisz o tych koloniach, o których tak niewiele wiesz?

- Zdawało mi się, że masz mi coś powiedzieć, a nie ciągle pytać.

- Co o nich sądzisz? - nie ustępował Corvey.

- Nie wiem. Nie wiem, czy w ogóle coś o nich sędzę. Chciałabym, oczywiście, kiedyś tam polecieć, gdyby było można. Jak bym je zobaczyła, to może bym miała jakieś zdanie. Tymczasem - nie. Nigdy też nie byłam w Nowej Zelandii i nic do niej nie czuję. To tylko miejsce, które widziałam na zdjęciach i to wszystko.

- Nie czujesz wrogości wobec Vokisa, Ritchel czy Wattona?

- A dlaczego miałabym czuć?

- Niektórzy czują - bo są to nieznajome planety.

Sandra wzruszyła ramionami. - Nie ma takiej głupoty, w którą ludzie by nie uwierzyli - ani takiej niechęci czy uprzedzenia, którego ktoś by nie podzielał.

- Czy sądzisz, że potrafiłabyś zrozumieć punkt widzenia Vokisa, Ritchel czy Wattona, nawet jeśli Ziemia miałaby w tej sprawie odmienne zdanie?

Sandra stała się nagle ostrożniejsza. - Może... ale chyba nie. Czy mam przez to rozumieć, że przygotowujesz jakiś spis przeciwko Ziemi?

- Nie przeciwko Ziemi - w żadnym wypadku.

- Ale pracujesz dla jednej z tych planet - i może to być przeciwko Ziemi?

- Tak. I jaka jest twoja reakcja?

Sandra miała poważną twarz. - Nawet gdybym podzielała twój punkt widzenia, Ken, nie mogłabym ci pomóc. A właściwie mogłabym ci tylko przeszkodzić.

- Dlaczego?

- Bo zdrajca to ktoś odrażający.
- Nie bardzo rozumiem.
- Zdrajcy nie są uczciwymi ludźmi, nawet jeśli szczerze wierzą w to, że sprawa tego kraju, któremu pomagają przeciwko własnemu, jest słuszna. Pracują przeciwko krajowi, którego opiekę akceptują. I to jest dla mnie najwstrętniejsze. Szpiedzy nie są jeszcze tacy źli.
- Co więc zrobisz? - spytał Corvey.
Nie patrzył na nią, bowiem wtedy znacznie łatwiej prowadziło się rzeczową rozmowę. Teraz jednak obrócił się i spojrzał jej prosto w twarz.
- Myślę - powiedziała powoli - że będę musiała spróbować ci przeszkodzić.
- Nawet jeśli powiedziałem ci to wszystko z własnej woli, w zaufaniu?
Potrząsnęła niezdecydowanie głową. - Nie możesz wymagać ode mnie, Ken, bym była zdrażczynią. Jeśli to żart, to bardzo głupi. A jeśli nie, to muszę donieść o wszystkim, co mi powiedziałeś, nawet gdy...
- Nawet gdy co?
- No, chyba nie sądzisz, że będzie to dla mnie łatwe, co? Nie mówię, że zamierzam cię przekazać władzom. Byłoby lepiej, gdybyś zniknął, a potem, gdy już wyjedziesz, będę mogła przekazać policji to, co mi powiedziałeś.
- Jeśli tylko tyle możesz mi zaproponować - odrzekł cicho Corvey - obawiam się, że będę musiał ustalić lepsze dla mnie warunki.
Nim zdołała się poruszyć, jego but wgniół się w jej przeponę. Zaczęła walczyć o oddech, którego nigdy nie odzyskała, bowiem Corvey opadł na kanapę obok niej i sprawnie, skutecznie skręcił jej kark.

Dotarł do tego miejsca, ale wstrząs emocjonalny wyrwał go z halucynacji.
Wszystko to było zupełnie realne, bowiem w większości halucynacji nie miał pojęcia nawet o istnieniu ritanii. Dopiero kiedy zaatakował Sandrę, zdał sobie sprawę z elementu nierealności.
Nadal spływając potem, odzyskując równowagę po szoku, zastanowił się nad tym incydentem.
Prawdopodobnie jego przebieg nie odbiegał zbytnio od tego, co by się faktycznie stało, gdyby w ten sposób rozmawiał z Sandrą. Omamom nie był potrzebny żaden element prawdopodobieństwa, a halucynacje prorocze mogły być całkowicie niewiarygodne. Ogólnie jednak przepowiednie okazywały się równie słuszne, jak mu się zdawało, i nie widział powodu, by nie ufać ostrzeżeniu, jakie niósł ze sobą ten incydent.
Ostrzeżenie zaś brzmiało: nie zmieniać zdania w sprawie Sandry.
Istniało niebezpieczeństwo i to poważne, że w końcu mógłby się jej zwierzyć. A mało prawdopodobne było to, że kiedykolwiek udzieliłaby mu poparcia przeciwko swej własnej planecie.
Ale nie miał czasu na rozważania, bowiem miał już następną halucynację - a nie wiedział, że to halucynacja.
Stał oparty o reling jachtu, a chłodny wietrzyk muskał jego twarz. Dookoła była noc, tak gwiazdzista, że nie zauważało się braku Księżyca. Tym razem wiedział, że urodził się na Aramie, a znajduje się na Ziemi.
Z tyłu dobiegł go znajomy zapach - zgniecionych płatków kwiatu i łagodnego tytoniu fajkowego. Jednym ramieniem otoczył Dave'a, a drugim Babs i stanął tyłem do relingu.
- Na Aramie niczego podobnego nie ma - odezwała się Babs z wyzwaniem w głosie.
Nie dał się wciągnąć w sprzeczkę. - O tym właśnie myślałem - powiedział. - Kiedy Ziemianin przybywa na Arama, uważa go za piękną planetę. I Aram jest taki - pełen zieleni, purpur, brązów, ciepły i mglisty, bajkowy. Jednak następnego dnia, następnego miesiąca, następnego roku Aram jest wciąż taki sam, podczas gdy Ziemia ma zawsze coś nowego do pokazania, coś innego.

- Zawsze kiedy rozmawiamy o Ziemi i Aramie - odezwał się Dave, jak zwykle powoli i z namysłem - wydaje się, że wybierasz Ziemię. Czyżbyś stał się naturalizowanym Ziemianinem, Ken?

Corvey przez dłuższą chwilę nie odpowiadał. Poprzez ramiona nadal był w bliskim, przyjaznym kontakcie z Babs i Dave'em, którzy dla niego zawsze będą uosabiać Ziemię. Dave był mocny, powolny, sympatyczny. Jeśli ktoś chciałby traktować to symbolicznie, Dave wyobrażałby sobą flegmatycznego, ale przebiegłego wieśniaka, który nadal stanowił trzon ludzkości. Babs była impulsywna, zawsze w pośpiechu, ale równie gotowa do pomocy, jak jej mąż. Symbolizowała pośpieszne, gorączkowe życie w wielkich miastach, coś mało znanego w koloniach.

- Myślę - powiedział w końcu - że intelektualnie cały czas wolę Ziemię, ale uczuciowo pozostałem Aramańczykiem.

Babs uściśniła z uczuciem jego ramię. - To bardzo ładna odpowiedź - powiedziała ciepło. - Nie cierpię ludzi, którzy wyrastają pychą ponad własny naród.

IV

Środa, czwartek i piątek minęły bez komplikacji i przyjemnie. Halucynacje rozrzedziły się - często Corvey miał nawet wyraźne sny, ale także świadomość tego, że jest to tylko sen.

Sobota nie była już tak dobra, bowiem musiał następnego dnia wracać, by skończyć artykuł do poniedziałkowego wydania. Stał przed dwoma problemami. Po pierwsze, rytania nie ustąpiła i kiedy znowu zacznie z nią walczyć, może przysporzyć mu wiele kłopotów. Po drugie zaś, kiedy wróci do Rutledge, znowu będzie arameńskim agentem działającym przeciwko Ziemi.

W swej halucynacji starał się usprawiedliwić przed Sandrą. Działał nie przeciwko Ziemi, ale dla własnej planety.

Było to odróżnienie bez różnicy.

Szpieg nie miał kontroli nad tym, do czego posłużą informacje, które ukraść. Był złodziejem, ni mniej ni więcej, złodziejem cennych informacji. Zabierał je i przekazywał swym mocodawcom. Informacje mogły zostać użyte do celów wyłącznie obronnych, co było w porządku. Ziemi nie zaszkodzi, jeśli Aram pozna i skopiuje ziemski system obronny.

Ale obrona często prowadziła do napaści, informacje o zabezpieczeniach umożliwiały konstrukcję bardziej śmiertelnej broni, a bardziej śmiertelna broń czasem wymagała próby, którą czasem nazywano wojną.

Corvey wiedział bardzo dobrze, że w końcu wykona zadanie, z którym go tu przysłano. Ale to nie spowodowało, że przestał mieć na ten temat wątpliwości.

Został szpiegiem, ponieważ miał fałszywe pojęcie o tej pracy - a o tym, że jest ono fałszywe, dowiedział się prędko. Kiedy to nastąpiło, nie zrezygnował z tej pracy, tak samo jak zarazone bakcylem sceniczną dziewczętą, kiedy stwierdzą, że teatr nie jest taki, jak sobie to wyobrażały, albo jak pisarze, kiedy okaże się, że ich pierwsza książka nie staje się bestsellerem, czy też jak skrzypkowie, kiedy uzmysłowią sobie, że kariera solistów nie jest dla nich. Podobnie jak oni wszyscy parł naprzód, pozbywszy się złudzeń całkowicie albo prawie całkowicie, wykonując pracę, w której pozostał jedynie ślad dawnego blasku, jaki go przyciągnął.

Pozostał szpiegiem Aramu, bowiem nie wyobrażał się w innej roli.

W sobotę wieczór Sandra zjawiała się naprawdę.

Kiedy ją ujrzał, nie trapiły go żadne omamy. Ale sprawdzał to raz po raz, aż się upewnił, że Sandra jest realna. Szczypał się, w myślach dokonywał szybkiego przeglądu wydarzeń dnia, sprawdzał swoją orientację - i kiedy Sandra znalazła się w zasięgu jego głosu, wiedział, że naprawdę jest tu przy nim.

Poza przyjemnością płynącą z tego, że ją oglądał, oraz świadomością, iż musi wiele dla niej znaczyć, skoro tak bezwstydnie goni za nim, pozostawała jeszcze jakaś chłodna ciekawość - jak też przebiegnie to spotkanie w konfrontacji z tamtą halucynacją. Przynajmniej w jednym punkcie będzie odmienne - na pewno nie powie jej, że jest szpiegiem.

Sandra weszła na werandę, podobnym krokiem i w podobnym kostiumie. Corvey jednak nie zaczął od tej samej bezczelnej odzywki. Tym razem poczekał na to, co ona powie.

- Przyszłam cię zabrać - powiedziała z uśmiechem i opadła na pneumatyczną kanapę dokładnie tak samo, jak w halucynacji.

- Dzisiaj? - wykrzyknął.

- Nie, jutro.

- To po co przyszłaś dzisiaj?

Wzruszyła ramionami i znowu się uśmiechnęła, ale nie powiedziała nic.

- Nie rozumiem - rzekł. - Wydawało mi się, że dlatego za mną chodzisz, bo ja za tobą nie chcę. Ale to nie może być tylko to.

- Ja też tego nie rozumiem - przyznała Sandra. - Powinłam była zupełnie z ciebie zrezygnować już dawno temu i nie wiem, dlaczego tego nie zrobiłam. Częściowo dlatego, że jestem pewna, iż nie jesteś wobec mnie tak obojętny, jak udajesz.

- To nie żadna tajemnica - powiedział Corvey. - Jakże bym mógł być obojętny?

Sandra zmarszczyła brwi. - Masz żonę, czy coś? - spytała, dokładnie tak samo, jak w halucynacji.

Potrząsnął głową. - Powiedzmy, zamiast tego, że jestem chory.

Spojrzała szybko na niego. - Chory... czy to o to chodzi? To znaczy, że masz jakiś trwały problem ze zdrowiem?

- W pewnym sensie tak. - Fakt, że ktoś się urodził na Aramie był równie trwałym problemem jak każdy inny, przynajmniej w takim stopniu, w jakim obchodziło to Sandrę.

- Tak chory, że postanowiłeś nigdy się nie żenić?

- Owszem.

- A kto tu coś mówił o małżeństwie?

Wyciągnęła do niego ramiona. To, że mógł oprzeć się nawet tak silnej pokusie, było niespodzianką również dla Corveya. Urósł we własnych oczach - bowiem faktycznie się jej oparł.

Sandra westchnęła i opuściła ramiona. - Och, dobrze - powiedziała. - Rzadko mówię o sobie, bo tego jednego się wstydzę.

Zaczęła szczytać poduszkę pod sobą, jednocześnie spoglądając w dół, na swoje długie palce. - Nie wiem, co ci jest, Ken - powiedziała - ale ze mną jest rzeczywiście coś nie w porządku. Nie powinnam się była w ogóle urodzić. A skoro już się urodziłam, nie powinnam była przeżyć nawet kilku dni - i sto lat temu tak by się stało. Pięćdziesiąt lat temu umarłabym jeszcze jako dziecko. A i tak ledwie utrzymano mnie przy życiu, ale życie to była jedyna rzecz, którą mogli mi dać.

Corvey patrzył na nią z niedowierzaniem. Sandra była szczupłą, miała jasną karnację - nie tylko piękna dziewczyna, ale doskonały okaz fizycznie zdrowej kobiety. Nie widać było żadnej wady.

- Nie - przyznała, wyczuwając jego wzrok, - teraz mi już nic nie jest. Dysponując czasem lekarze potrafią zdziałać cuda. Niepotrzebna im nawet silna budowa fizyczna - dają ci ją, by na jej fundamencie budować. Ale to wymaga wiele czasu. Nigdy nie byłam dzieckiem, w normalnym sensie tego słowa. Od chwili urodzenia byłam pacjentem. Zaczęłam chodzić dopiero w wieku siedmiu lat, a biegać - gdy miałam trzynaście. Dopiero gdy skończyłam szesnaście - siedem lat temu - można było powiedzieć, że mój stan zdrowia jest normalny.

Corvey musiał się znowu upewnić, że Sandra naprawdę mu to wszystko opowiada. Nigdy nawet nie podejrzewał, że dziewczyna może mieć taką przeszłość - choć teraz, gdy już o tym wiedział, wyglądało to sensownie.

- Nauczono mnie - cicho kontynuowała Sandra - od pierwszej chwili, kiedy mogłam widzieć, słyszeć i myśleć, że moje ciało oznacza ból. A nawet jeśli nie ból, to przykrą, trwałą dolegliwość. Nigdy naprawdę nie czułam się dobrze aż do jedenastego roku życia, a przez następne pięć lat ból czasem powracał. Nie skarżę się. Jestem najszczęśliwszą z dziewcząt pod słońcem, bo teraz jestem silna, zdrowa i ładna. Jestem równie szczęśliwa, jak wszystkie znane mi dziewczęta, a mam po temu więcej powodów. Opowiadam ci o kontraście, o przemianie we mnie. Kiedy byłam niepełnosprawna, otrzymałam solidne wykształcenie - ale jednej rzeczy byłam pewna tak jak niczego na świecie, z własnego doświadczenia: że moje ciało nigdy, nigdy nie da mi przyjemności.

Może teraz zrozumiesz mnie lepiej. Mając szesnaście lat nauczyłam się pływać. Byłam tak wniebowzięta, że pływałabym cały dzień, gdyby poza tym nie było również przyjemności chodzenia. Czy możesz sobie wyobrazić, jak cudownie jest iść kilometrami i nigdy się nie męczyć, pamiętając te czasy, kiedy się zatrzymywałam i musiałam odpoczywać kilka razy, zanim przeszłam z jednej przecznicy na drugą? Bieganie było jeszcze lepsze. Kiedy jest się doskonałą maszyną do biegania, zerwanie się do biegu okazuje się istną ekstazą - szczególnie jeśli ktoś żywo pamięta, jak to kiedyś mógł jedynie kuśtykać ciężko dysząc i czując ból w boku.

Pojawiały się tysiące rzeczy - tych, których albo nie potrafiłam dotąd wykonywać, albo robiłam z wielkim wysiłkiem, mało skutecznie i bez przyjemności. Taniec - musieli mi go na jakiś czas zabronić, tak się w nim zapamiętałam.

I mężczyźni - prawie natychmiast pocałunki, pieszczoty i uczucia. Przez szesnaście lat moje ciało było mi ciężarem. Teraz zaś nagle i cudownie stało się mym zyskiem.

Spojrzała mu w oczy zrazu wyzywająco, potem jednak spuściła wzrok i mówiła dalej. - Kiedy będę trochę starsza, stanę się bardziej zrównoważona. Poznałam przyjemności umysłu i ciała, i za kilka lat znajdę między nimi równowagę. Tymczasem jednak przyjemności fizyczne są dla mnie wciąż czymś zbyt nowym, bym miała jeszcze czas na coś innego. Rozumiesz?

Nie odpowiedział nic, domyślając się jakoś, że dziewczyna ma jeszcze coś do dodania. Wkrótce przemówiła znowu.

- I jeszcze jedno: powiedziałam ci, że nigdy nie powinnam była się urodzić. To wina moich rodziców. Nie poznałam ich nigdy i może to i lepiej. Nienawidzę ich. Są to jedyne osoby, które nauczyłam się nienawidzić, a zabrało mi to wiele czasu - wiele lat bólu.

Nie zostało już tak wielu ludzi, których cechy dziedziczne są tak złe, by stworzyć taką kreaturę jak ja. Oni nigdy nie powinni byli się żenić, a już na pewno nie ze sobą. A jeśli już się pobrali, to zbrodnią było zdecydowanie się na dziecko. Rozumiesz teraz, co mam na myśli, gdy mówię, że nigdy nie wyjdę za mąż?

- Nie ma powodu... - zaczął Corvey.

- Wiem, co chcesz powiedzieć. Wiele ludzi pobiera się, choć nie mogą mieć dzieci, ale ja z pewnością tego nie zrobię. Choć mogłabym, gdybym wiedziała, że dany mężczyzna również nie chciałby mieć dzieci. Ale zastanowiłabym się przedtem dwa razy.

Corvey skinął głową. - Rozumiem. Dziękuję, że mi to wszystko powiedziałaś, Sandro.

Zastanowił się, czy się jej nie zwierzyć, tak jak ona to zrobiła. Ale raz jeszcze zdecydował, że nie. W głowie zabrzmiały mu słowa piosenki: "To pora spełnienia, a jam nie z kamienia".

Pochylił się i pocałował ją bardzo delikatnie. O ile lepiej skończył się ów prawdziwy epizod, pomyślał, w porównaniu z halucynacją, w której musiał ją zabić.

Wróciwszy do Rutledge Corvey wkrótce stwierdził, że odpowiedzi na trzy najważniejsze pytania, o jakich mógł pomyśleć, brzmią "tak", "nie" oraz "tak-i-nie".

Czy otrzyma dostęp do tajnych materiałów, kiedy rozpoczną się próby obronne? Otrzyma.

Czy uwolni się od rytanii i troski, niewygody i dodatkowych trudności, jakie powodowała choroba? N i e.

Czy Sandra zostawi go w spokoju?

Na to właśnie pytanie odpowiedź brzmiała "tak-i-nie". Były to bowiem właściwie dwa pytania, wymagające dwóch odpowiedzi. Chciał, aby Sandra zostawiła go w spokoju, a jednocześnie nie chciał. W rzeczywistości problem polegał teraz nie na tym, co robi Sandra, ale co o n robi.

Łapał się na tym wielokrotnie, że myśli zupełnie bezwiednie o Sandrze, a pod koniec dnia tęskni do niej coraz mocniej. Zakochał się w tej dziewczynie, z tym nie było wątpliwości, a nie widział żadnej możliwości zapobieżenia temu. Pamiętał doskonale, ale nie bez zaskoczenia, taki czas, kiedy znał Sandrę, ale mało o niej myślał.

Jim Neave'a zobaczył dopiero w poniedziałek. Szef wyjaśnił mu jego rolę w obsłudze prasowej prób obronnych.

- Zrobiłem dla ciebie, co tylko mogłem, Ken - powiedział. - Wiesz, jacy są urzędnicy z Ministerstwa Obrony w sprawach bezpieczeństwa. Chcieli, żebyśmy przygotowali olśniewające reportaże nic o tym nie wiedząc. Ale dostałem to, co chciałem, bez większych kłopotów, jeśli nie liczyć ciebie. Natomiast w twojej sprawie trochę się pokłóciliśmy.

Zamilkł czekając na zachętę. Corvey nie omieszkiał tego uczynić.

- Wydział bezpieczeństwa chciał mi dostarczać własne analizy. Powiedziałem, że albo będziemy mieli własne, albo żadne. Potem zdecydowali, że będą ci dostarczać liczby. Stwierdziłem wówczas, że nie będziesz w stanie wyciągać żadnych wniosków poza tymi, które będą im wygodne. O to im zresztą chodziło, ale nie mogli tego przyznać wprost. Powiedzieli...

Opisał ze szczegółami i znacznym samozadowoleniem cały przebieg negocjacji, zakończony, jak wynikało z jego słów, całkowitym zwycięstwem. Corvey szczerze mu pogratulował.

Reportaż analityczny był wciąż jeszcze nowym pojęciem i każdy taki reporter zatrudniony w gazecie musiał od razu upewnić się, że jego zwierzchnicy rozumieją choć trochę jego metodę. W takim przypadku, jak ten, Corvey nic by nie osiągnął, gdyby Neave nie rozumiał problematyki jego zawodu i nie zrobił wszystkiego, co było w jego mocy, aby spełnić wymagania tej dziedziny żurnalistyki. Toteż Corvey nie wzdragał się przed pochlebstwami wobec Neave'a, skoro ten je lubił.

Neave zdobył dla niego zezwolenie na chodzenie wszędzie i zadawanie dowolnych pytań - czyli istny otwarty Sezam, którego skarbami był program prób obronnych.

Więcej nie mógł sobie wymarzyć; więcej nie potrzebował.

Ponieważ ritania go nie opuszczała nawet w najkorzystniejszych warunkach, należało oczekiwać, że nie pozostawi go w spokoju, kiedy Corvey wróci do pracy. I nie pozostawiła. Szczerze mówiąc, nawet jeśli halucynacje zdarzały się rzadziej niż przed urlopem, a ból głowy i gorączka nie były tak silne, owe lekkie, łatwe do rozpoznania omamy znacznie się pogłębiły.

Spróbował zabezpieczyć się na zapas, dyskretnie uprzedzając wszystkich dookoła, że przez następny tydzień czy dwa będzie bardzo ciężko pracował i mogą mu się zdarzyć napady roztargnienia. Ludzie, którzy nie odznaczali się zbytnią bystrością, przyjmowali te wyjaśnienia, ci bystrzejsi jednak albo ci, którzy byli nim osobiście zainteresowani, jak Dave, Babs i Jim Neave, zdawali się z niedowierzaniem przyjmować to wytłumaczenie. Nic więcej jednak nie mógł zrobić.

Ostatnie dwadzieścia cztery godziny na Florydzie, które spędził z Sandrą, były wyśmienite. Doskonale się z nią spędzało czas: Sandra gotowa była na wszystko i niczego sama nie wymagała - była zupełnie pozbawiona egoizmu i egotyzmu. Mogła rozmawiać na dowolny temat. W ciągu piętnastu lat, które spędziła jako osoba niepełnosprawna, nauczyła się czegoś ze wszystkich dziedzin.

Sandra była tą wyjątkową rzadkością - sensualistką, która rozumiała, że sensualizm stanowi tylko część życia.

Nie widział się z nią ani w poniedziałek, ani we wtorek, po ogromnych staraniach. W środę zabrał ją na lunch, potem wieczorem na przedstawienie i oczywiście później do domu.

Całkiem przypadkowo rozmowa zbiegła na taki temat, który pozwolił mu poznać nieco jej poglądy na temat sprawy "Ziemia a kolonie". Wino, którym poczęstowała go w domu - Sandra mieszkała we własnym domu, a nie w apartamencie, jak dotychczas myślał - pochodziło z kolonii i gdy je sączyli, rozmawiali o koloniach.

- Często trudno jest nadażyć za problemami polityki kolonialnej - zauważyła Sandra. - Czasem można by pomyśleć, że one boją się Ziemi.

- I tak jest - powiedział Corvey. - Kiedyś dobrze znałem pewnego kolonistę; z jego punktu widzenia każda kolonia trochę obawiała się Ziemi.

- Ale dlaczego?

- Bo Ziemia jest tak potężna. Ponieważ mogłaby zgnieść każdą kolonię jak owada.

- To nonsens - oświadczyła Sandra.

- O, nie - to prawda.

- Nie mówię, że to nieprawda - ale sam ten pomysł jest śmieszny. Równie dobrze można by powiedzieć, że ludzie mieszkający na Księżycu powinni obawiać się Ziemi, która może roztrzaskać go na atomy nawet nie wysyłając statku załogowego.

Choć nie chciał postawić się w sytuacji obrońcy sprawy kolonii, Corvey musiał jednak stwierdzić, próbując zachować bezstronność: - To inna sprawa, Sandro. Księżyc jest prawie częścią Ziemi.

- A czy kolonie też nie są prawie częściami Ziemi?

- Nie, to niepodległe planety - albo mogłyby być nimi. Niepodległe, ale nigdy tak potężne jak rodzinną planetę. Zawsze jako łatwy łup, jeśli...

- Jeśli Ziemi potrzebny byłby łatwy łup. Chyba ty w to nie wierzysz, Ken, co?

- Tamten człowiek mówił bardzo przekonująco.

- Ken, czy przypadkiem twój znajomy i cała jego planeta, a także inne kolonie nie cierpią na paranoję?

- Paranoję?

- A jak inaczej nazwać taką postawę, w której jedynym powodem obaw jest to, że Ziemia mogłaby ich zniszczyć - gdyby chciała?

Pytanie to zawisło w powietrzu i nadal pozostawało bez odpowiedzi. Corvey potem już nie był pewny, czy uchylił się od niego, czy też Sandra zaniechała kontynuowania tego tematu. Bowiem mniej więcej w tym momencie rozmowa zesłała na sprawy osobiste.

Tym razem to Corvey wspominał o małżeństwie, na próbę i bezosobowo, tak jak w przypadku rozmowy o koloniach. Sandra zachowała tę samą konwencję.

Była teraz nieco mniej stanowcza niż wtedy, gdy prezentowała swe poglądy na małżeństwo. Może kiedyś wyjdzie za mąż, jeśli znajdzie kogoś, kto będzie miał podobne cechy, jak Corvey, i jeśli przekona się, że jemu nie będzie zależało na dzieciach.

Tak było w środę.

We czwartek Corvey przejrzał to, czego się do tej pory dowiedział o próbach obronnych, stoczył nie mniej niż trzy drobne bitwy z rytanią i choć nie widział się z Sandrą, poczuł przemożną ochotę, by dwukrotnie do niej zadzwonić.

Nie dowiedział się zbyt wielu szczegółów o potencjale obronnym Ziemi, ale ogólnie miał dobre o nim pojęcie. Jego halucynacyjne sprawozdanie zaprezentowane Janowi Ryterowi, choć było jedynie omamem, okazało się bardzo bliskie prawdy. Jak się domyślił, Ziemia tak bardzo wyprzedziła jego własną planetę w rozwoju technicznym, że nie było szans na dogonienie jej, nawet gdyby Corvey miał wykształcenie techniczne i był w stanie przekazać wszystkie szczegóły technologiczne.

Ziemia stała na czele, nie dzięki kapitałom w banku, jeśli tak można powiedzieć, ani dzięki talentom ukrytym pod ziemią, ale dzięki czynnie używanym zdolnościom. Potencjał Ziemi leżał w

jej ludziach, a nie w tym, czego dotąd dokonali. Uczni aramańscy, otrzymawszy dostęp do prób w Rutledge, mogli udać się na swoją planetę i zbudować broń oraz urządzenia obronne w każdym calu tak dobre, jak ziemskie - i niczego by to nie zmieniło.

Bowiem wtedy, kiedy Aram podciągałby się do poziomu Ziemi, ta znowu posunęłaby się naprzód.

Nie było to zachęcające sprawozdanie, jakie przyszło mu wykonać, ale najważniejsze w raporcie Corveya było to, że miał on być uczciwy, a nie zachęcający.

Zadzwoił więc do Sandry rankiem, a potem wieczorem, by odwołać umówione spotkanie. W czasie prób musiał pracować zarówno w domu, jak i w redakcji. Problem z reportażem analitycznym był taki, że dziewięćdziesiąt procent całej pracy szło na marne.

Piątek...

Choć z początku tego nie wiedział, piątek okazał się krytycznym dniem. I tak zresztą nie mógł nic na to poradzić. Wszystko miało zbiec się w jednym punkcie, a tym punktem był piątek.

Piątek rano. Próby obronne przeprowadzano w sekcjach. Tajemnicą poliszynela był fakt, że w Rutledge odbywały się jakieś ćwiczenia wojskowe. To właśnie miało być całkowicie tajne dla wszystkich poza armią, lotnictwem, flotą kosmiczną, Białym Domem, ONZ, Wydziałem Bezpieczeństwa, FBI oraz "starannie dobranymi przedstawicielami prasy". Ten ostatni nagłówek zapewne obejmował wszystkich mieszkańców Rutledge, którzy nie znaleźli się w pozostałych kategoriach, bowiem wszyscy w mieście wiedzieli, że owe ćwiczenia wojskowe obejmowały próbę wszystkich lądowych systemów obronnych przed wszelkimi znanymi formami ataku z Kosmosu.

W piątek badano głównie czas reakcji. Zakładano, że nastąpił wstępny bodziec, na który zaprojektowano każdy system ostrzegawczy. Przeprowadzono pomiary czasu, jaki mijał od chwili wprowadzenia działań odwetowych - i porównano to z pozostałymi czynnikami wynikającymi z opóźnienia: rozmiarze zniszczeń, jakie nastąpiłyby do tego momentu, czasu potrzebnego istocie ludzkiej, a nie maszynie na reakcję oraz pozostałych danych, z którymi warto było, jak się wydawało, porównywać te rezultaty.

O jedenastej przed południem Corvey stał na otwartej, pustej przestrzeni trzy kilometry poza Rutledge mając obok siebie kilkunastu innych dziennikarzy i obserwatorów. Przed nimi o dwieście metrów stało coś, co wyglądało jak staromodna haubica, obsługiwana przez kilkusobową załogę obojga płci. W siłach obrony służyło tyle samo kobiet, co mężczyzn. O trzysta metrów na lewo znajdowała się stacja radarowa.

Ktoś coś powiedział do Corveya, ale to się nie liczyło. Zdawał sobie ponuro sprawę, że wielu specjalistów z Departamentu Obrony na Aramie oddałoby prawą rękę za możliwość oglądania tego, co on już widział i jeszcze zobaczy. Niestety, jedynie reporter analityczny mógł mieć taką okazję - a jako reporter analityczny Corvey nie dysponował niezbędnymi zdolnościami, by pojąć więcej niż jedynie ułamek tego, co oglądał.

Coś się nagle poruszyło koło stacji radarowej. Kilka sekund później iskra ożywienia pokonała odległość dzielącą stację od haubicy, której załoga zaczęła zwijać się jak w ukropie. Tępy koniec urządzenia jednym ruchem przesunął się w bok i w górę, a z jego wierzchołka wydobył się snop światła. Ta część działań okazała się raczej rozczarowaniem. Światło było jedynie odrobinę jaśniejsze niż blask dnia, przez który się przedzierało, i można było odnieść wrażenie, że źródło energii haubicy jest na wyczerpaniu.

Rozległ się nagły, zaskakujący dźwięk trzask niezbyt głośny, ale niezwykle zjadliwy. Razem z nim pojawiło się lekkie drganie powietrza. Wypełniał się walec próżni o średnicy zaledwie kilkudziesięciu centymetrów, ale o długości wynoszącej tysiąc trzysta kilometrów - a może raczej należało powiedzieć, że wypełnił się nieomal jednocześnie wraz ze swym powstaniem, ów dźwięk zaś i drganie powietrza to skutki tego zjawiska.

Nastąpiła długa chwila napięcia, jakby wszyscy czekali na odgłos pluśnięcia monety wrzuconej do studni.

Po chwili pojawiła się mała plamka, która rosła, aż stała się statkiem, który spadł na ziemię. I znowu ktoś powiedział do Corveya coś niezrozumiałego - ale jego oczy, podobnie jak oczy wszystkich, skupiły się na statku. Powiększał się bardzo powoli, choć niewątpliwie spadał bezwładnie; załoga haubicy nie zwracała na niego uwagi, wyraźnie usatysfakcjonowana, że statek już nikomu nie zagraża. Jednakże obsługa radaru pracowała nadal śledząc tor upadku pojazdu.

Statek wydawał się Corveyowi dziwnie znajomy. Nim jeszcze mógł się całkowicie upewnić, wyteżał wzrok, błagając los, by jego domniemania okazały się nieprawdziwe.

Ale tak się nie stało - statek był pochodzenia aramańskiego. Spadał jak kamień, wirując, a jego część rufowa utraciła dawny kształt. Upadł w odległości półtora kilometra i przez moment zniknął w chmurze z ziemi i kamyków.

- Panie Corvey! - rozległo się ostre, natarczywe warknięcie. - Muszę pana prosić, żeby udał się pan ze mną do kapitana Swana.

Corvey obrócił się, zaskoczony. Oczy jego zarejestrowały jedynie mundur tamtego, po czym znowu zwróciły się w stronę aramańskiego statku.

Nie było żadnego statku. W ogóle nigdy go nie było.

Miał więc halucynacje związane z próbą. Jak przez mgłę uświadomił sobie, że stojący obok niego oficer już od jakiegoś czasu starał się przyciągnąć jego uwagę, ale bez powodzenia.

- Przepraszam - odezwał się. - Myślałem o czymś.

Stojący w pobliżu przyglądali się im. Tak więc jego trans musiał być głęboki i dziwaczny. Oficer miał czerwoną twarz i denerwował się, ale był natarczywy.

- Oczywiście - powiedział Corvey. - Gdzie jest ten kapitan Swan?

Poprowadzono go do stacji radarowej. Usiłował nie sprawiać wrażenia więźnia prowadzonego pod eskortą, ale niezbyt mu się to udało. Gdy go doprowadzano, pozostali korespondenci szeptali między sobą, a towarzyszący mu oficer szedł zawsze krok z tyłu, melodramatycznie trzymając jedną rękę w kieszeni.

Trudno było się zdecydować, jaką przyjąć postawę - obojętną czy oburzoną. Tymczasem jednak udawał, że nie zauważa, iż w istocie prowadzą go jak więźnia.

Jego konwojent polecił mu stanąć z boku, podczas gdy sam zamienił kilka słów z kapitanem Swanem, jednocześnie jednak przyglądając się bacznie Corveyowi i dając wyraźnie do zrozumienia, że podejrzewa się go o coś bardzo poważnego.

Corvey zdecydował się. Ruszył przed siebie. - Co to ma znaczyć? - zapytał z oburzeniem. - Jestem Kenneth Corvey z Ruiledge Star i co najmniej tuzin osób może to potwierdzić. A jeśli potrzebne wam moje upoważnienie...

- To nie o to chodzi, panie Corvey - rzekł otwarcie Swan, szorstki, chudy mężczyzna niskiego wzrostu. - Wygląda na to, że przed chwilą kilkakrotnie próbowano bez powodzenia przyciągnąć pańską uwagę. Dowiedziałem się, że znajdował się pan w jakimś transie przez co najmniej cztery minuty. Czy może pan to wyjaśnić?

- Już wyjaśniałem - odparował Corvey. - Jestem reporterem analitycznym, co oznacza, że znaczną część swej pracy wykonuję w postaci obliczeń przeprowadzanych w myśli, jeśli tak można powiedzieć. To wymaga najwyższego skupienia...

- Rozumiem to wszystko, panie Corvey. Wygląda jednak na to, że pańskie skupienie, jak je pan nazywa, było zbyt głębokie i nieprzenikalne jak na takie zwykłe wyjaśnienie. Jestem pewien, że musi być jakieś... jakieś inne wytłumaczenie.

- Jakie, na litość boską? - zawołał Corvey tonem o jeden stopień bardziej rozgniewanym. - Czy to przestępstwo nie odpowiadać, kiedy się do kogoś zwracają?

- Jeśli nie pójdzie nam pan na rękę, panie Corvey - rzekł sztywno Swan - zobaczy pan, że i my też panu nie pomożemy.

- Jak mógłbym wam iść na rękę? Czego ode mnie chcecie? O jakie przestępstwo się mnie oskarża i co uznalibyście za dowód niewinności?

Swan zaczął zdawać sobie sprawę, że jego pozycja jest słabsza, niż myślał, a z każdą chwilą słabła jeszcze bardziej.

- Musi pan zrozumieć, panie Corvey - odezwał się bardziej pojednawczym tonem - jacy musimy być ostrożni; sam pan wie, jak dokładnie sprawdzono wszystkich obserwujących próby. Musimy badać wszystko, czego nie potrafimy zrozumieć, a ten pański trans... przecież jest możliwe, że miał pan z kimś kontakt telepatyczny, albo że wykonywał pan jakiś nakaz post-hipnotyczny, albo...

- Kapitanie Swan - rzekł Corvey stanowczo, ale już bez gniewu - rozumiem, że musicie być ostrożni, ale to nie obejmuje urojeń. Dałem panu całkowicie rozsądne wyjaśnienie czegoś, co mnie się w żadnym wypadku nie wydaje dziwne. Nie zrozumie pan, do jakiego stopnia jest to rozsądne wyjaśnienie, póki nie usłyszy pan hałasu, jaki panuje wokół pokoju, w którym muszę pracować. Może chce pan, żebym panu wypisał niektóre z przebiegów analiz, jakie w myśli badałem?

- Wie pan przecież, panie Corvey - rzekł Swan z jeszcze mniejszym przekonaniem - że o nic pana nie podejrzewamy. To tylko w celu sprawdzenia. Czy zechce się pan poddać małemu badaniu? Chodzi jedynie o ustalenie...

- Nie - odrzekł Corvey. Z niechęcią to powiedział, ale przecież nie mógł przewidzieć, co wykaże takie badanie. Wystarczy, żeby mu wetknęli termometr do ust, a zaczęłyby się niewygodne pytania. A jeśli trafiłby się wśród nich zdolny operator detektora kłamstw, doszukałby się paru bardzo ciekawych odpowiedzi.

- Ach, tak? - powiedział Swan, natychmiast powracając do pierwotnego tonu. - A dlaczegoż to, panie Corvey?

I choć Corvey nie zawahał się i nie okazał braku pewności siebie, wiedział, że od tej chwili wszystko, co zrobi, będzie coraz mniej przekonujące.

Piątek po południu. Corvey wyszedł z biura wydziału bezpieczeństwa "prześwietlony" i zdumiony. Poddał się kilku badaniom, innych zaś odmówił, a dwaj przesłuchujący - oficerowie zupełnie innej kategorii niż kapitan Swan - wydawali się usatysfakcjonowani tym, co usłyszeli i zobaczyli. Wiedział jednak, że obaj wyglądali dokładnie tak, jak chcieli wyglądać, zupełnie niezależnie od tego, co myśleli naprawdę.

Domyślał się, że ciężą nad nim podejrzania i będzie z pewnością odtąd dokładnie śledzony. Było zupełnie możliwe, z tego, jak go potraktowano, że cały czas był podejrzany i że Departament Bezpieczeństwa złożył się na swoich niższych pracowników, że go wzięli w obroty.

Przyszło mu nawet do głowy, że może jakiś jego bliski znajomy - Babs, Dave, Jim Neave czy Sandra - obserwuje go teraz, jak zresztą od samego początku.

W każdym razie od tej chwili nie mógł sobie pozwolić na robienie czegokolwiek poza wypełnianiem zwykłych obowiązków. A.S. mogła podejrzewać go trochę, mocno lub z całkowitą pewnością. Możliwość, iż nie jest w ogóle podejrzany, była tak nikła, że aż pomijalna.

W żadnym wypadku nie można było powiedzieć, że zawiódł. W dalszym ciągu będzie miał dostęp do tajnych informacji i wolno mu będzie obserwować dalsze próby obronne. Ale od tej chwili nie powierzą mu niczego, co ma istotne znaczenie.

Kiedy Dave i Babs spotkali go przed biurem wydziału bezpieczeństwa, jego podejrzanie, iż oboje są agentami A.S. jeszcze wzrosło. Jednakże głupotą byłoby dać po sobie poznać, że to podejrzewa.

- Słuchaj, co jest? - zapytała Babs z troską. - Nie tak dawno bezpieka zahaczyła nas o ciebie. Ale już wszystko w porządku, mam nadzieję?

- W porządku - odrzekł swobodnie Corvey. - Sprawdzają wszystkich po kilka razy teraz, gdy ci... ale może nie powinienem nic mówić o tym, co się dzieje, bo oficjalnie nic się nie dzieje.

- A, daj spokój, Ken - zachnęła się Babs. - Teraz przy nas wzięło cię na ostrożność. Daliśmy ci znakomitą opinię i sądzę, że powinieneś postawić nam drinka jako wyraz twej wdzięczności.

Corvey postawił im drinka; fakt, czy należeli do A.S., czy też nie, nie miał wpływu na jego sympatię do nich. W końcu oszukiwał ich przez cały czas wspólnej znajomości, więc nie powinien mieć żalu, że i oni go oszukiwali.

Sandra wbiegła do baru i pocałowała go z ulgą, że znowu go widzi. Nie zwracała uwagi na Babs i Dave'a.

- Dzięki Bogu! - rzuciła bez tchu. - Z tego, co do mnie mówili przez telefon, wynikało co najmniej, że wsadzili cię na całe życie, o ile nie do egzekucji. Mogę was przeprosić na chwilę, kochani? Dziękuję.

Pociągnęła Corveya na drugi koniec baru, gdzie Babs i Dave nie mogli słyszeć, o czym rozmawiają.

- Powiedz mi, Ken - zaczęła poważnie. - Czy wypuścili cię dlatego, że nie jesteś szpiegiem, czy też nie mogli tego udowodnić?

Wiele się zmieniło od czasu, gdy zastanawiał się, czy powiedzieć jej prawdę. - Ani jedno, ani drugie - odrzekł chłodno. - Sądzę, że wiedzą, iż jestem szpiegiem, ale czekają na to, co zrobię.

- A więc jesteś szpiegiem? - spytała cicho.

- Tak. Och, zupełnie pospolitym, nie takim jak ci wspaniali agenci z literatury sensacyjnej. Nie przybyłem tu po to, by wykraść plany tajnej broni, ale w celu dokonania ogólnej oceny możliwości Ziemi.

- Dla kogo? Dla tego, kto da ci najwięcej?

Gorycz jej pytania ubodła go, choć mógł się tego spodziewać.

- Nie - powiedział. - Dla mojej własnej ojczyzny - dla Aramu. I nie do celów agresywnych. Nie ma w ogóle mowy, by Aram...

- Nigdy o tym nie ma mowy - odparowała Sandra, nie z gniewem, ale z gorzkim rozczarowaniem w głosie. - Zawsze to niczyjaś ręka naciska na spust. Wygląda na to, że wszystkie bitwy zostały stoczone w obronie własnej.

Corvey westchnął. - Wiem o tym. Przejrzyj historię, a znajdziesz...

I w tym momencie urwało się, bez powodu, a Babs i Dave wpatrywali się w niego. Wiedział, że był to nawrót porannej halucynacji.

Był faktycznie w cocktail-barze z Babs i Dave'em - to wszystko miało miejsce. Jednak przybycie Sandry, podobnie jak upadek statku aramańskiego, nałożył się na istniejącą sytuację, a sądząc z wyrazu twarzy jego przyjaciół, wyglądał w tym czasie na nieobecny duchem.

Ludzie powracający do przytomności często pytają "Gdzie jestem?" - choć może to brzmieć głupio - ponieważ pierwsze sekundy po powrocie do świadomości rzadko charakteryzują się wybitną bystrością i przenikliwością.

Dave odezwał się, zanim Corvey zdążył coś wymyślić. - To właśnie zdarzyło się po południu, prawda? - zapytał domyślnie.

Zaprzeczenie nie miało sensu. Corvey skinął głową. - Wiem o tym - przyznał. - Nie niepokoi mnie to i po chwili przechodzi. Ale to niełatwo wyjaśnić.

- Rozumiem to - zgodził się Dave.

- Słuchaj no, co to jest takiego? - spytała Babs. - Okresowe stany transu? Jak i gdzie się tego nabawiłeś?

- Próbowałem to tłumaczyć przez całe popołudnie - rzekł Corvey znużonym głosem. - Może teraz mógłbym odpocząć?

- No, jak chcesz - odparł powoli Dave. - Ale teraz jest inaczej, Ken. Agencje bezpieczeństwa rzadko są sympatyczne. My owszem. Może byś spróbował z nami?

Jeśli byli agentami A.S. i tak o nim wiedzieli. A jeśli nie, byli to tylko Dave i Babs, jego przyjaciele. Gdyby nie chciał nic powiedzieć, domyśliliby się tego, co przemilczał.

I tak był skończony. Wszystko wskazywało na to, że tak będzie przez cały czas: to stopniowe stapianie się faktycznych wypadków z halucynacją ritaniczną, która przeszła teraz w stan transu, a nie była jedynie roztargnionym, mechanicznym zachowaniem, dzięki któremu mógł poprzednio unikać podejrzeń. Wtedy jeszcze działanie było ryzykowne, ale nie niemożliwe.

Teraz zaś już było niemożliwe. Nie wiedział o tym wychodząc z biura wydziału bezpieczeństwa, ale to było przed drugim transem. Podobne stany nie były typowe dla ritanii. Całkiem możliwe, że na innych planetach choroba przybierała inną postać niż na Aramie. Jeśli należało się spodziewać kolejnych transów, będzie musiał zadowolić się tym, czego już się dowiedział, ukryć się i opuścić Ziemię nie dokończywszy zadania - ale żywy - zamiast trwać przy nim, co z pewnością skończy się aresztowaniem.

- No, dobrze - powiedział cicho. - Zgadzam się. Czy to, co powiedział Dave, dotyczy również ciebie, Babs?

- Jasne - odparła. - Wał. - Pochyliła się ciekawie do przodu, intuicyjnie domyślając się, że to, co Corvey ma do powiedzenia, będzie interesujące.

- Choruję na pewną odmianę febry - rzekł Corvey - która jest typowa jedynie dla mojej planety - a planetą tą nie jest Ziemia. Dlatego musiałem walczyć z tą febrą, nie mogłem się do niej przyznać, nie mogłem wziąć zwolnienia lekarskiego. Gdybym wezwał lekarza, wkrótce by odkryto, że nie jestem Ziemianinem, za którego się podawałem, że moja przeszłość jest fałszywa... że, mówiąc w skrócie, mogę tu być jedynie jako szpieg.

W wielu omamach przyznawał się Babs i Dave'owi oraz Sandrze, w taki czy inny sposób, że jest szpiegiem. Tym razem, gdy trwający obecnie incydent był prawdziwy, skontrolował go i upewnił się do końca. Wreszcie podzielił się z kimś swoim sekretem.

- A więc działasz na rzecz innej planety przeciwko Ziemi? - spytał Dave cicho. Babs wstrzymała oddech.

- Niezupełnie. Ja...

- Nie możemy ci pomóc, Ken - powiedział Dave tym samym cichym głosem. - Przykro mi, jeżeli sprawiłem, że pomyślałeś, iż będziemy mogli. Jednak nie mogłem uwierzyć, że ty...

- Nie usprawiedliwiał się, Dave - wtrąciła Babs. - Była to po prostu propozycja dla przyjaciela i sądzę, że Ken jest nim nadal. Ale powinieneś być wiedzieć, Ken, że nie jesteśmy zdrajcami. Słuchaj - zapomnijmy o tym, co powiedzieliśmy przed chwilą, dobrze?

Corvey ze znużeniem skinął głową. Ich reakcja była podobna jak Sandry w tamtej pierwszej halucynacji: taka, jak jego zdaniem zachowywali się ludzie uczciwi, patriotyczni, ale bez fanatyzmu.

- Chyba już pójdziemy - powiedziała Babs wstając. - Na pewno cię nie wydamy, Ken. Ale nie możemy ci pomóc i lepiej nie rozmawiajmy już o tym w ogóle. Jeśli... kiedy się znowu zobaczymy, najlepiej będzie, gdy pominiemy milczeniem to, co dzisiaj zaszło...

Gdy jednak mówiła te słowa, wiedziała, podobnie jak Corvey, że nie zobaczą się już, chyba że jako świadkowie na jego procesie.

Corvey raz jeszcze zbadał ten incydent co do realności i upewnił się, że był prawdziwy. Jednak wszystko poza tym pękało w szwach.

Powinien był wiedzieć, jak zareagują Dave i Babs. Jakie to jednak miało znaczenie, skoro bezpieka deptała mu po piętach?

Był już teraz pewien, że Dave i Babs nie są agentami A.S. Upewnił się również, że mógł im ufać - że go nie wydadzą. Musiał jednak się ukryć. Teraz, dziś.

Nawet nie powinien był myśleć o Sandrze - ale pomyślał.

Chciał pójść do niej, dowiedzieć się, co ona powie - naprawdę powie - czy jej reakcja będzie podobna, jak Babs i Dave'a. Przez chwilę usiłował przekonać siebie, że skoro od tej chwili i tak uciekał, odwiedzenie Sandry po drodze nie zrobiłoby różnicy.

Ale miłość nie zaślepiła go jeszcze na tyle, by zdołał w to uwierzyć.
Nie, nie mógł sobie pozwolić na odwiedzenie Sandry, nawet po to, by się pożegnać.

VI

Piątek wieczór. Kiedy ostatni raz był u Sandry, interesowała go tylko ona, nie jej dom. Miał trudności ze znalezieniem go w ciemnościach. Godzinę czy dwie układał sobie wszystko w głowie, a przez ten czas pokonał prawie całą odległość dzielącą go od domu Sandry. Chciał do niej zadzwonić, upewnić się, że jest w domu - ale telefon mógł być na podsłuchu. Był to jeszcze jeden powód, żeby się do niej nie zbliżać. Jeśli faktycznie A.S. prowadziła ścisłą obserwację jego poczynąń, wiedziała wszystko o Sandrze.

Znalazł go w końcu - maleńki domek z równie maleńkim ogródkiem. Rozejrzał się uważnie, upewniając się, że nikt nie obserwuje tego miejsca - choć właściwie nie spodziewał się, by ktoś je obserwował. Średnio zadowolony z oględzin wciąż jeszcze nie podchodził do drzwi frontowych, ale okrążył ostrożnie dom, znalazł dróżkę, która biegła w pobliżu tylnej ściany ogrodzenia, i wspiął się na mur.

W jednym z okien, zasłoniętym storą, paliło się światło. Corvey miał specjalne wykształcenie, z którego dawno nie korzystał, ale które zaczęło mu się przypominać od chwili, gdy postanowił się ukryć. W ciągu trzech minut był już we wnętrzu domu i stał przed drzwiami pokoju, w którym paliło się światło.

I tyle zostało z jego postanowienia, by nie iść do Sandry.

Zastukał w drzwi. - To ja, Ken - powiedział.

Za drzwiami rozległ się stłumiony okrzyk. Corvey czekał. Wkrótce rozległy się prowokujące słowa Sandry:

- Jeśli jesteś Kenem, powiedz coś jeszcze.

Powiedział jej coś, co stanowiło dowód, że jest Corveyem. Potem, gdy jej głos zabrzmiał już nieco pewniej, wślizgnął się do środka wyłączając jednocześnie światło.

- Co, do licha...? - z ciemności dobiegł go głos Sandry.

Odnalazł ją i pomimo jej zaskoczenia i zdumienia, była gotowa otoczyć go ramionami i pocałować z ochotą. Wciąż jednak chciała wiedzieć, dlaczego do niej przyszedł w ten sposób. Czuł, jak owa ciekawość pulsuje w jej ciele.

- Twój dom to pestka dla włamywaczy - mruknął.

- Dobrze, dobrze, Ken - odpowiadał!

I powiedział jej.

Nie odezwała się ani słowem do chwili, gdy poznała już wszystkie najważniejsze fakty. Ale wciąż jeszcze znajdowała się w jego ramionach, a jej ciało powiedziałoby mu, jeśli odczułaby szok albo niesmak.

Opowiadał jej o tym już dwukrotnie w majaczeniach gorączki - i za każdym razem odwróciła się od niego. Naturalne było, że miewał halucynacje o tym, że Sandra się dowie.

Tym razem jednak działało się to naprawdę - i jak dotąd, nie odwróciła się od niego z niesmakiem. Jej ramiona nadal go otaczały, jej oddech mieszał się z jego oddechem.

- Opuuszczasz zupełnie próby w Rutledge - rzekła chłodno - i ukrywasz się do czasu, gdy zaborą cię na Arama?

- Tak.

- A... a gdyby nie to, między nami mogłoby być zupełnie inaczej?

- Z pewnością.

- I jesteś nadal chory?

- Tak. Ale kiedy mam przebliski świadomości, wiem, co mówię, i podtrzymuję to, co powiedziałem.

- Nie o to mi chodziło. Jadę z tobą, Ken. Wstrzymał oddech. Było to coś, na co nie był przygotowany, coś, o czym dotąd nawet nie marzył.

- Nie oznacza to, że zgadzam się z tym, co robiłeś, czy że pomogłabym ci przeciwko Ziemi. Nie pomogłabym.

Objął ją mocniej, ale unikała jego ust. - Zostawmy to na razie. Czy masz jakieś plany... rozsądne plany?

- O, tak - powiedział Corvey. - Mogłem to zrobić już dawno, ale czekałem, póki jeszcze była szansa.

- Daj spokój. Nie możesz spodziewać się, że będę ci współczuć, bo nie udało ci się szpiegostwo na rzecz innej planety.

- Jedną chwileczkę. Sandro. Dlaczego chcesz ze mną lecieć?

- Bo cię kocham, idioto! Ale to nie znaczy, że kocham i twoją pracę albo... Szkoda czasu na kłótnie. Co robimy?

Puścił ją, cofnął się i włączył światło. Sandra mrugała przez chwilę, po czym wydała okrzyk zaskoczenia.

Mężczyzna stojący obok niej nie był Kenem Corveyem. Miał jaśniejsze włosy, odmienną postawę, oczy piwne zamiast niebieskich i mniejszy nos. Różnice były niewielkie, ale wystarczające, by przeszła obok niego na ulicy nie poznając go.

- Rozumiem - powiedziała, opanowując się. - A który z was to prawdziwy ty?

- Żaden - odrzekł Corvey. Głos też miał już inny.

Patrzył na nią tak, jak nigdy przedtem - zastanawiając się, w jaki sposób mógłby zmienić jej wygląd w znacznym stopniu, ale bez większych trudności. Miał pewne akcesoria, na wypadek, gdyby znowu musiał zmieniać powierzchowność, ale nie było tego wiele.

Udało mu się to w ciągu siedemnastu minut, w czasie których przyciemnił jej włosy, polecił zmienić uczesanie, sprawił, że jej usta wyglądały na pełniejsze, a policzki na bardziej zapadnięte. Ten ostatni zabieg zaskoczył ją; dotknęła ręką twarzy.

- Ta maść napina mięśnie twarzy - wyjaśnił. - Nie dotykaj jej. Kiedy wyschnie, wystarczy na jakieś dwadzieścia cztery godziny. No, nie wyglądasz dużo gorzej niż poprzednio, ale inaczej.

Nie dał jej przejrzeć się w lustrze, dopóki nie ubrała się w rzeczy wybrane i zaadaptowane za jego radą. Gdy spojrzała w wysokie lustro, aż mowę jej odebrało ze zgrozy.

- Wyglądam strasznie! - zajęczała.

- Ani trochę. Po prostu inaczej. Oczywiście, masz na sobie rzeczy, które uważasz za całkowicie nieodpowiednie dla siebie - bo tak je dobrałem. Ludzie mają zwykle swój wzór powierzchowności, mowy, chodzenia, ubierania się. Aby stać się kimś innym wystarczy zmienić ten wzór. Pamiętaj tylko, że jesteś dziewczyną z lustra, a nie Sandrą Reid. Sandra zamknęła dom i wyszła uważając, by nie sprawiać wrażenia, że opuszcza dom w pośpiechu. Napisała też krótki liścik do kierownika biura, w którym pracowała. Kawalek drogi przeszli piechotą, aby żaden taksówkarz nie mógł powiedzieć, że zabrał kobietę i mężczyznę spod domu Sandry Reid.

Zgodnie z umową Corvey informował ją tylko o najbliższym posunięciu, tak aby jeśli coś się nie uda, nie znała całego jego planu. A jeśli coś się nie uda, to po prostu będzie mogła wrócić do domu. Corvey zawsze mógł się z nią tam skontaktować.

Następnym posunięciem, po dotarciu na lotnisko, był lot na jakiegokolwiek lotnisko. Sandra nie wiedziała, jaki będzie następny etap ich podróży.

Płacąc taksówkarzowi Corvey zastanowił się, że w końcu wytropią ich drogę na lotnisko, a potem do Nowego Jorku, San Francisco, czy gdziekolwiek by polecili. Musiał upewnić się, że ich trop stamtąd będzie znacznie mniej wyraźny, a od następnego przystanku niemożliwy do wykrycia. Jego droga prowadziła do Kingston na Jamajce, ale musiał być zupełnie pewien, że nie zostawił żadnych śladów - bowiem Kingston był ostatnią przystanią każdego agenta aramańskiego na Ziemi.

Stwierdzili, że najbliższy samolot jest do Nowego Jorku, co odpowiadało Corveyowi. Wykupił bilety pod nazwiskami, których nawet nie starał się zapamiętać - nie będą już więcej potrzebne. Weszli do poczekalni, by spędzić ostatnie dwadzieścia minut przed odlotem.

I pierwszą osobą, którą Corvey zauważył wchodząc za Sandrą, był Jim Neave.

Nie zwrócił na nich uwagi. Sandra, która nie знаła Jima, mówiła coś bez znaczenia, ale w każdej chwili mogła przejść na temat znacznie bardziej istotny. Corvey przerwał jej ordynarnie, mając nadzieję, że domyśli się dlaczego. Nie od razu to nastąpiło. Wzdrygnęła się i posłała mu zdumione spojrzenie. Aby upewnić się, że będzie miała sposobność pomyśleć przez chwilę, nim wyskoczy z czymś fatalnym, przeszedł obok niej szybko, by wyrzucić przez okno na samoloty, jednocześnie dając jej ostrzegawczego szturchańca pod żebra w momencie, gdy jego ciało zasłaniało ją przed Neave'em.

Kiedy stanęła przy oknie obok niego, domyślił się, że zrozumiała. Była cicha i uległa, naśladowując go w każdym kroku.

Corvey nie przyjrzał się bliżej Neave'owi, ale miał świadomość, że jego szef cały czas patrzy na niego. Był prawie pewien, że Jim szuka go tutaj, w tej chwili bowiem powinien być w biurze. Pozostawało jedynie pytanie, czy Neave jest agentem A.S., czy też po prostu jednym z tych, którzy mogą zidentyfikować Corveya. To, że zjawił się sam, sugerowało pierwszą możliwość. Ale może nie był sam, jakby się to mogło wydawać.

Przebranie Corveya miało za zadanie zapobiec identyfikacji na podstawie rysopisu i fotografii, ale nie przez kogoś, kto znał go dobrze. Nie odważył się spojrzeć na Neave'a. Miał nadzieję, że nie jest on agentem A.S., bo jeśli byłby nim, wiedziałby, co ma robić, i kazałby śledzić Corveya.

Corvey wziął Sandrę pod rękę i odezwał się innym głosem niż ten, który znał Neave: - Śmierdzi tu. Chodźmy na świeże powietrze.

Neave znalazł się przy nim. - Przepraszam pana... - zaczął.

Gdy Corvey obrócił się i spojrział na niego, zobaczył jak twarz tamtego zaczyna wyrażać całkowitą pewność. Zapewne Neave przygotował się na podobną okoliczność notując w pamięci jakąś małą bliźnię czy nieregularność w jego twarzy, coś, o czym nawet Corvey nie wiedział. W każdym razie już nie można było udawać.

Corvey zgiał tamtego w pół ciosem w żołądek, po czym uderzył go kantem dłoni za uchem. Pistolet, który Neave już częściowo wyjął z kieszeni, stuknął o podłogę. Corvey nie tracił czasu, by go podnieść. Kopnął go i posłał po podłodze pod kanapę.

Wszyscy stojący dookoła widzieli to zdarzenie, przynajmniej w części. Corvey zdecydował, że bluff mu się nie opłaci. Pozostała jedynie ucieczka.

Ponownie schwycił Sandrę za ramię; z szybkością, z jaką zerwała się do biegu zrozumiał, że przyszedł jej do głowy ten sam pomysł. Wybiegli na betonowy chodnik.

- Zatrzymać się! - krzyknął za nimi ostro jakiś głos.

Corvey nie zdążył jeszcze rozpoznać niebezpieczeństwa, gdy już go nie było. Kiedy obrócił się, ujrzał padającego do przodu mężczyznę, wypadający mu z dłoni pistolet oraz Sandrę masującą swą nogę.

- Dobra robota! - wykrzyknął. - Nie wiem, co zrobiłaś, Sandro, ale wyszło znakomicie.

Wskoczyli na wózek bagażowy, a Corvey puścił go naprzód, z dala od jaskrawo oświetlonego pasa przed oknami poczekalni.

- Nie ma sensu wsiadać do samolotu, nawet gdyby się to nam udało - powiedział. - Musimy dostać się z powrotem do miasta i uciekać pociągiem czy autobusem. To jedyna...

Dwa strzały przedziurawiły szerokie boczne opony wózka, który zahamował z rozdzierającym uszy zgrzytem stali po betonie. Corvey nie zatrzymał się, by spojrzeć, skąd padły strzały, które jednak były tak precyzyjne i tak wyraźnie wymierzone po to, by ich zatrzymać nie raniąc, że równie dobrze mogli oboje zostać na miejscu i czekać na aresztowanie.

Tym niemniej zrobili to, co było oczywiste: pognali w kierunku brzegu lotniska. Corvey nie po raz pierwszy doświadczył dreszczy fizycznego przerażenia, które zjawiało się wraz ze

świadomością, że w każdej chwili pocisk mógłby przebić dowolną część jego ciała; wiedział jednak, że Sandra zapewne czuła to po raz pierwszy. Żałował bardzo, że ją w to wciągnął.

W dalszym ciągu nie zapalono dodatkowych reflektorów, nie było żadnych oznak niezwykłego zamieszania, żadnego hałasu czy okrzyków. Jedyne Neave, ów człowiek na zewnątrz i dwa strzały, które unieruchomiły wózek.

Sandra krzyknęła nagle i Corvey spojrział w jej stronę, by ujrzeć, jak pada na ziemię. Ktoś bardzo fachowo ją podciął.

Nie zobaczył już, co było potem, bowiem coś twardego spadło mu na głowę i zdawało się wbijać go w ziemię niczym pał.

Piątek w nocy. Corvey otworzył z lekka oczy i ujrział nogi Sandry. Przebudzenie mogło być gorsze - tym niemniej widok nóg Sandry wobec tego, co miało miejsce poprzednio, wydał mu się niestosowny. Otworzył szeroko oczy.

- Znowu z nami, Ken? - spytał Neave.

Znajdowali się w niewielkim pokoju na lotnisku. Sandra siedziała w fotelu, przyglądając się mu. Nie wyglądało na to, by coś jej się stało. Uśmiechnęła się kwaśno, gdy ich oczy się spotkały. Neave stał nad nim, a z tyłu dwaj inni mężczyźni.

Corvey nie odezwał się. Był teraz całkowicie w mocy A.S. Czegokolwiek jeszcze nie wiedzieli, mogli dowiedzieć się bardzo prędko za pomocą środków farmakologicznych. Dobrze, że przesłuchanie wykaże, iż Sandra nie była jego współniczką.

- Moglibyśmy oczywiście postawić cię pod ścianą i rozstrzelać - powiedział Neave - ale nie zrobimy tego. Na początek rozładuję twoje napięcie, Ken. Najpierw, jak się zapewne domyślasz, podamy ci farmaceutyki i dowiemy się wszystkiego, co wiesz. Zakładając, że nie ma tego więcej, niż się spodziewamy, i że twoje zadanie jest właśnie takie, jak się domyślamy, poddamy ci niewielkiej kuracji, po czym będziesz mógł wrócić do swej pracy w Ruiledge Star. Tylko... jedną chwileczkę: żebyśmy się dobrze zrozumieli. Jeśli powiedziałem, że możesz wrócić, oznacza to, że jest to rozkaz. Jeśli nie zechcesz, zostaniesz rozstrzelany.

- Chcecie, żebym dla was pracował, dla A.S.? - spytał Corvey.

Neave skinął głową. - Właśnie. I nie próbuj odmawiać. To tylko próżny wysiłek i strata czasu.

Corvey podziwiał zachowanie Neave'a - cały czas takie samo, jak poprzednio, a jednocześnie znacznie efektywniejsze teraz, gdy wiadomo było, że jest pracownikiem A.S. a nie jedynie redaktorem działu.

- A co z Sandrą? - spytał Corvey.

Neave wzruszył ramionami. - Już ją przesłuchaliśmy. Nic do niej nie mamy. W istocie ona z nami współpracuje.

Zaskoczyło to Corveya. - Od początku? - zapytał.

- Tak, ale nie w ten sposób, jak ci się wydaje. Nie chcesz spytać o tę "niewielką kurację" o której wspominałem?

- Domyślam się, co to za kuracja - odrzekł krótko Corvey. - Mówisz o reedukacji psychologicznej.

- Właśnie. Ale nie sądzisz, że przyda ci się coś takiego?

Corvey uśmiechnął się bez humoru. - Jeśli mam pozostać przy życiu, to pewnie się przyda.

- Nie tylko to; naprawdę potrzebne ci leczenie psychiatryczne. Panna Reid zdaje się kiedyś ci o tym mówiła, choć nie przypuszczała, że to się może do ciebie odnosić.

- O czym mówiła?

- O paranoi. Jak wszyscy koloniści jesteś przekonany, że Ziemia jest przeciwko wam. Nie masz racji. A po tej kuracji...

- Wiem, po tym, jak mi przemeblują mózg, będę myślał tylko to, co wy będziecie chcieli.

Neave potrząsnął głową. - Wciąż jeszcze nawet nie chcesz dopuścić możliwości, że to prawda - rzekł cierpliwie. - Wolałbym, żebyś jednak uwierzył, Ken. Nie rozstrzelujemy szpiegów z kolonii, ponieważ nie musimy, a poza tym oni nie są winni. Po prostu leczymy ich, a potem są z nich znakomici agenci A.S. Znikają albo przekazują na swoje planety fałszywe informacje, albo wracają - oczywiście pod naszą opieką - i z pewnością w koloniach myślą, że zrobiliśmy im coś strasznego, bo oni się zmienili. Może nie powiedziano ci o tym.

Wtrąciła się Sandra. - Paranoja jest rodzajem kompleksu niższości, Ken - powiedziała cicho - i to naturalne, że koloniści mają skłonność myśleć w ten sposób o Ziemi. Nie jesteście szaleni; macie tylko w jednej kwestii olbrzymie uprzedzenia. A oni jedynie usuną te uprzedzenia.

Corvey spoglądał to na Sandrę, to na Jima. Wiedział, że to wszystko, co mówili, było nieprawdziwe, że wmuszą weń fałszywe przywiązanie do Ziemi, a zniszczą miłość do Arama.

Ale nie mógł im przeszkodzić. A sposób, w jaki Sandra patrzyła na niego, dowodził, że nie zmieniła zdania od tamtej chwili, gdy zdecydowała się odlecieć z nim.

- Dobrze - odezwał się. - Przyznaję, że to możliwe, jeśli to ma was zadowolić. Myślę zresztą, że to całkiem humanitarny sposób podejścia do szpiegów i nie mam pretensji. Jak sądzę, A.S. wiedziała o mnie przez cały czas od momentu, gdy po przyjeździe umieszczono mnie w redakcji?

- Nie wiedzieliśmy o tobie aż do przedwczoraj - odrzekł Neave. - A upewniliśmy się dopiero wczoraj. I nie posadzono mnie w redakcji specjalnie po to, bym miał oko na ciebie, Ken. Powinieneś o tym wiedzieć. Uważasz, że jestem redaktorem z przypadku? Nie, to moje faktyczne zajęcie.

- Jak więc trafiłeś do A.S.? - spytał zdumiony Corvey.

- Tak samo, jak ty. Ja również kiedyś byłem szpiegiem z kolonii.

I nagle Corvey zrozumiał olśniewającą skuteczność A.S. Słusznie czy niesłusznie moralnie - Corvey nie wiedział tego - Ziemia miała i będzie miała najlepszy kontrwywiad w całej Galaktyce.

A.S. była drapieżna. Pożerała agentów ze wszystkich planet w Galaktyce poza Ziemią, i przemieniała ich na własną modłę.

Był to znakomity system.

Uparci ludzie I

Po raz pierwszy naszły nas wątpliwości co do powodzenia wyprawy, dopiero kiedy mijaliśmy Plutona łukowatą trajektorią.

- Chyba wrócą z nami? - odezwała się nagle Tylo, kiedy wśród wielu punkcików światła majających przed nami wyłowiliśmy Ziemię.

- No, oczywiście - odparłem. - Dlaczego mieliby zostać?

- Nie wiem. Tak się tylko zastanawiałam - rzekła wymijająco.

Nie wypada mi tego mówić jako jej bratu, ale Tylo nie jest zbyt inteligentna. Nie przeszkadza jej, gdy to mówię, jeśli od razu dodaję - co właśnie mam zamiar zrobić - że czego natura poskąpiła w jej rozumie, to wynagrodziła w urodzie. Sam bym może tego nie zauważył, ale inni często tak mówili. Ma w sobie też coś, czego umie używać i używa zamiast inteligencji. Może to intuicja. W każdym razie jest to często objawiająca się zdolność znajdowania właściwego rozwiązania bez pretensji do tej mądrości, która potrzebna jest reszcie z nas, by dojść do tego samego. Gdyby nie ta zdolność, nigdy nie zostałaby porucznikiem we Flocie Kosmicznej.

Na razie tylko tyle powiedziano na temat czekającego nas zadania. Nic nie wskazywało na żadne trudności.

Mała gwiazdka, do której się zbliżaliśmy, była kiedyś o wiele jaśniejsza. A i tak świeciła teraz mocniej, niż będzie za dwieście lat, sto, nawet pięćdziesiąt. Było to słońce, które ogrzewało planetę, która wykarmiła ziarno, z której wyrosło życie, i które osiągnęło stadium inteligencji, która odkryła moc, dzięki której mogła podbić Kosmos. Jak w wierszyku o domu, który zbudował Jaś, rosła, rok po roku, potężna Federacja, która przeniknęła do Galaktyki.

Niedawno otrzymałem awans na dowódcę transportowca Natal. Dowodzenie transportowcem to osobliwe zajęcie, pełne wzlotów i upadków. Czasem masz tylko sam statek - zwany holownikiem - i czujesz się jak najmniejszy majtek we Flocie, ponieważ jednostka ta, pomijając jej moc, jest trochę tylko większa od statku patrolowego. A patrolowcami dowodzą tylko porucznicy, nie zaś ważne szczyty Floty, czyli kapitanowie, jak ja. Manewrując powoli w swym holowniku, absurdalnie małej siedmioosobowej blaszance, najbrzydszym i prawie najmniejszym statku kosmicznym, czujesz się jak admirał w roli sternika załogi wioślarskiej.

Ale kiedy otrzymałeś transport dziewięcio- czy nawet dziesięcio-członowy i ciągniesz za sobą parę tysięcy osób lub setki ton ładunku, wtedy czujesz, że jesteś kimś. Nie ma wtedy znaczenia, że twój wehikuł jest tak samo brzydki i niezaradny, jak zawsze, a komenderujesz załogą, która nadal liczy sobie nie więcej niż dwadzieścia osób. Pod względem siły żywej i sprzętu masz równie wielką odpowiedzialność, jak każdy inny dowódca Floty i kiedy przelatujesz przez jakiś sektor, wszystkie inne statki zmieniają kurs, by dać ci jak najszerszą drogę. Czujesz wtedy, jaki jesteś ważny.

Dowództwo nad Natalem stało się moim chrztem bojowym w roli kapitana, a zadanie, które mi powierzono, było ważne. Nie wyglądało na zbyt trudne, przynajmniej na pierwszy rzut oka. Miałem tylko zabrać ostatnie siedem tysięcy Ziemiaków i przetransportować ich na Yuny. Z technicznego i astronawigacyjnego punktu widzenia zadanie to nie wykaczało poza możliwości przeciętnego porucznika Floty.

Kiedy jednak weźmie się pod uwagę, kogo miałem transportować, skąd i dlaczego, stanie się jasne, dlaczego było to ważne zadanie. W końcu Ziemia jest kolebką rasy ludzkiej. Choć w żadnym wypadku nie jest to jedyne miejsce w Galaktyce, gdzie ludzie mogą żyć, to tylko na Ziemi ewolucja mogła, doprowadzić do ich powstania.

Owa ewakuacja, ostatnie pożegnanie z Matką Ziemią było czymś znacznie większym niż tylko przeprowadzką siedmiu tysięcy ludzi z jednego miejsca na drugie.

Dotarliśmy w pobliże Ziemi i wysłaliśmy nasze czternaście potężnych członów - a właściwie osobnych statków - na orbitę wokół planety. Wymagało to czasu i ostrożności, ale niekoniecznie jakichś szczególnych umiejętności. Zasada działania transportowca jest oczywista. Statek mający przewieźć pięćset osób i wyposażony we własny napęd nie jest niemożliwy do zbudowania, ale jest niepraktyczny. Największe budowane jednostki mieszczą około dwustu osób. Z drugiej zaś strony, pięćset osób można łatwo i wygodnie rozlokować w olbrzymiej skorupie bez silników, dysz i żyroskopów, która nigdy nie musi przeciwstawiać się działaniu sił grawitacji.

Takie człony łączy się w Kosmosie, ładuje i rozładowuje w Kosmosie, a kiedy chwilowo nie są wykorzystywane, pozostawia się je na orbicie wokół pobliskiej planety, dopóki nie będą znowu potrzebne. Liczba członów, które uciągnie jeden holownik, jest praktycznie nieograniczona. W każdym razie, nikt jeszcze nie chciał przewieźć na raz więcej ludzi czy towarów, niż mógłby jeden holownik.

Jedyną właściwie różnicą między transportowcami a pociągami towarowymi kursującymi po powierzchni planety jest brak siły ciężenia. Zamiast włączyć hamulce jak w lokomotywie, która chce się zatrzymać, holownik musi przelecieć na tył członów lecących siłą bezwładności, doczepić się tam i włączyć silniki hamujące. Brzmi to bardzo skomplikowanie, ale wcale takie nie jest. Holownik musi tylko odsunąć się z toru lotu członów, delikatnie wyhamować, przepuścić je obok siebie, wejść na właściwe miejsce i stopniowo zmniejszać prędkość konwoju.

Manewrowanie nad Ziemią pozostawiłem Tylo i Jimowi Cubertowi. Służbę pełniła cała siódemka, ale poza tą dwójką nie miała nic do roboty; chyba tylko sprawdzać to, co robią Tylo i Jim.

Wyrażają się o nas we Flocie niezbyt przychylnie, bo zawsze stajemy okoniem, gdy każą nam coś zrobić. Trzeba jednak przyznać, że w większości nie ma kłopotów z obsadą naszych statków. Zawsze do każdego zadania znajdzie się odpowiednia załoga. Obsługa patrolowca nie zda się na nic w transportowcu, a obie załogi będą zupełnie nieprzydatne w krążowniku.

Kobiety i mężczyźni wyselekcjonowani do służby na statku transportowym mają jedną wspólną cechę: są to osoby rozluźnione, wręcz opieszałe. Nie martwią się niczym, nie śpieszą, są jednak zdolne do krótkich zrywów wzmożonej aktywności. Tacy ludzie są właśnie potrzebni na pokładzie transportowca. Przez większość czasu nie robi się tu nic, bo nie ma nic do roboty. Dyscyplina praktycznie nie istnieje. Na żadnym innym okręcie Floty brat i siostra nie mogliby być jednocześnie oficerami, natomiast na statkach transportowych coś takiego zdarza się nader często.

- Jak nam poszło? - spytała Tylo z niepokojem. Niepotrzebnie: raz jeszcze zademonstrowała swą umiejętność robienia tego, co należy, pozornie nie myśląc.

- Trudno byłoby lepiej - przyznałem. - To znaczy, zakładając, że orbita jest prawidłowa. Poczekajcie, aż sprawdzę.

Razem ze mną sprawdzała Mary Wall. Mary i Tylo były jedynymi kobietami na pokładzie Natalu. Powinny być trzy i czterech mężczyzn, ale Flocie zawsze brakowało dziewcząt. Wiele się zgłasza, ale też większość szybko odchodzi z różnych powodów.

Mary jest miłą dziewczyną. Ale aparycją ustępuje wielu dziewczynom, które z kolei ustępują Tylo. Był to mój pech. Pozostali czterej mężczyźni mogli choć co jakiś czas spojrzeć z przyjemnością na Tylo, a ja nie miałem z tego nic.

Cieszyłem się więc, kiedy schodziliśmy do lądowania pozostawiając nasze czternaście członów - każdy pod dowództwem porucznika - na orbicie około ziemskiej. Tak dawno moje oko nie spoczęło na żadnej interesującej przedstawicielce rodzaju żeńskiego, że już cieszyłem się na spotkanie z Ziemianami i przyjemność podróży powrotnej.

Wylądowaliśmy w dolinie Lenny i włożywszy ciepłe okrycie opuściliśmy statek. Okrycia właściwie nie były nam potrzebne; dolina Lenny znajduje się na równiku i nie jest tam jeszcze zimno. Ale świadomi tego, że ongiś ciepła i przyjazna Ziemia była teraz w dziewięćdziesięciu procentach pokryta śniegiem i lodem, zaczęliśmy mieć wątpliwości nawet co do nielicznych miejsc umiarkowanych.

Ziemiańskie wyszli, by nas powitać; zjawiły się ich dosłownie setki. Ze zdumieniem przyglądaliśmy się ich lekkiej odzieży. Mieli na sobie tylko lekkie, barwne ubranie, a nie futra i botki, jak tego oczekiwaliśmy. Wyglądali interesująco - bardzo interesująco. Od razu rzuciło mi się w oczy, że tutejszym starcom udało się zachować młodą sportową sylwetkę, a kobiety w średnim wieku nie traciły urody i szczupłej figury.

- Witajcie - odezwał się wysoki Ziemiańszczyzna miłym głosem. - Jestem Wili. To jest Jan, to Bel... Meni... Reina... Tian... Martin. Czy to wam na razie wystarczy?

Zrozumiałem, że Wili przedstawił nam siedem osób łącznie ze sobą, ponieważ i nas było siedmiu. Przeprowadziłem prezentację w podobnie suchy sposób.

- Kapitan Tony Wolkin. Moja siostra Tylo... Jim Cubert... Mary Wall, Noblin... Joe Dee... Ramon Barr... - Tymczasem zdołałem zauważyć kilka różnych drobiazgów: dominującą osobowość Wiliego, szeroki, przyjazny uśmiech Tiana, pozorny brak podniecenia u Ziemiańszczyzna, a nawet w ogóle czegoś innego poza lekkim zaciekawieniem, kształtne kostki u nóg Meni, szybkość, z jaką moje ciało przystosowało się do warunków ziemskich, osobliwe, nieoczekiwane błyski w czarnych włosach Jan, złośliwy uśmieszek w oczach Martina.

Wili był kimś więcej niż tylko wysokim przedstawicielem Ziemiańszczyzna. Był ich przywódcą; jednym z tych przedziwnych osobników, których ludzie lubią i za którymi podążają, choć właściwie nie ma ich za co lubić i nie ma powodu, dla którego należy za nimi podążać. Wiedziałem, że Wili był jednym z tych, których nigdy się nie zapomina; musiałem coś w sobie przezwyciężyć, zanim mogłem rozmawiać z nim jak równy z równym, jak jeden przywódca z drugim.

- Czy przejdziemy od razu do rzeczy - zapytałem wprost - czy też będzie lepiej, jak się bliżej poznamy?

- Będzie lepiej, jak się poznamy - odparł uprzejmie. - W waszym statku musi być dość ciasno. Może pójdziemy do mojego domu? Tam będzie nam wygodnie.

Ruszyliśmy powolnym krokiem po trawie. Siedmiu Ziemiańszczyzna, których nam przedstawiono - cztery kobiety i trzech mężczyźni, wszyscy młodzi - szło obok nas, ale reszta trzymała się z dala. Wili nie odzywał się, cę mi odpowiadało. Chciałem zebrać jeszcze trochę wrażeń.

Uroda Ziemiańszczyzna z bliska była jeszcze bardziej uderzająca. Zacząłem powoli pojmować jej sekret, gdy się im przyglądałem, jednemu po drugim.

Niespokojna, porywcza, wielojęzyczna kultura odznacza się jednym rodzajem urody fizycznej. Znałem ten typ dzikiego, męskiego uroku spotykanego na wielu planetach należących do Federacji, gdzie wszystko jest nowe i surowe, a cechy ludzkiego charakteru - rasa, inteligencja, siła, pasja, niecierpliwość, talent artystyczny, odwaga - ulegają wstrząsom i gwałtownemu przemieszczaniu podczas zrywu pionierskiego.

Ziemiańszczyzna dla odmiany byli spokojni, cierpliwi i chłodni. Żaden z nich nigdzie się nie śpieszył. Zamiast mówić szybko i głośno, bo brakuje czasu na rozmowę, a słuchaczom na słuchanie, Ziemiańszczyzna uczynili z mowy dzieło sztuki - słodkie, powolne, melodyjne. Zamiast zmagać się w nieustannym wyścigu z czasem, ruchom swym nadali płynność i wdzięk, i harmonijne przejście od jednego do drugiego. Zamiast narzucać na siebie odzież bez zwracania na nią uwagi, ubierali się z tak wyszukany smakiem i troskliwością, że każdy z nich mógłby służyć za model tym nielicznym leniwym obywatelom Federacji, którzy naprawdę troszczyli się o swój wygląd.

Ziemiańszczyzna byli artystami, każdy z nich. Ci, którzy mieli talent wrodzony, rozwijali go; inni, pozbawieni talentu, zastępowali go edukacją artystyczną.

Zbliżywszy się do ich miasta, Lennu, spostrzeżliśmy te same przejawy dobrego smaku i mistrzostwa w wykonaniu. Nie będę próbował tego opisywać. Wiem, co dobre, kiedy to zobaczę, ale dlaczego, jakim sposobem jest to dobre, tego nie umiem powiedzieć.

Zanim dotarliśmy do domu Wiliego, zdążyliśmy się już porządnie zgrzać. W środku zdjęliśmy okrycia i w ślad za siódmką Ziemian weszliśmy do miłego pokoju, ni to werandy, ni to solarium.

Nie wiedziałem, ile powiedziano Ziemianom o celu naszej wyprawy. Do mnie należało po prostu całkowite ewakuowanie Ziemi, do ostatniego jej mieszkańca, z powodów, które wyżej wyjaśniłem, ale których, o ile to możliwe, miałem Ziemianom nie ujawniać.

Zauważyłem, że Wili spodobał się Tylo. Moja siostra to prostoduszna dziewczyna. Najłatwiej byłoby opisać ją jako dobrotliwą, matczyną starszą panią, z tym wyjątkiem, że ma dwadzieścia dwa lata i jest piękna. Zawsze ma dobre mniemanie o ludziach bez względu na to, ile ostrożności i twardości starała się jej wszczepić Flota, a także, na ilu pozeraczy serc niewieścich napotka w czasie swych licznych przygód miłosnych.

Nie byłem pewien co do Wiliego, ale zdawało mi się, że Tylo też się mu spodobała.

- Nie - właśnie mówiła do niego - nigdy przedtem nie byłam na Ziemi. Ale chyba wiesz o tym, prawda? Musiałeś poznać wszystkich, którzy tu w ostatnich latach przylatywali.

- Po prostu się zastanawiałem - odparł Wili - bo przyjmujecie wszystko jakoś tak naturalnie - ty i twój brat. To dość niezwykle.

- A czegoż takiego inni nie przyjmują naturalnie? - spytałem.

Wili uśmiechnął się. - Ostatni statek Floty był tu dwa lata temu. Ci, którzy nim przylecieli, uważali nas za dziwaków. Fotografowali nas, a nawet nagrywali naszą mowę.

- "Krajowcy są nastawieni przychylnie".

- No właśnie! Wygląda na to, że rozumiecie.

Zacząłem wyjaśniać, jakich ludzi wybiera się do służby we Flocie. Tamten statek sprzed dwóch lat przywiózł wyprawę badawczą. I bez aluzji Wiliego wiedziałem, że na jego pokładzie znajdowali się sławetni turyści polujący na wszystko, co jest inne niż na planetach, które znają. Wili z ciekawością słuchał mojego tekstu reklamującego Flotę.

W trakcie tego wykładu przyłączyła się do nas Jan, ku mojemu zadowoleniu. W grupie Wiliego wyróżniała się urodą tak samo, jak Tylo w naszej. Moim zdaniem jednak moja siostra jej ustępowała. Ale może to dlatego, że Tylo ubrana była w kombinezon spełniający prawie wyłącznie funkcję użytkową, podczas gdy Jan miała na sobie zieloną suknię z jedwabiu, czystą poezję.

Czuję teraz większy szacunek dla waszej Floty - odezwał się Wili. - Nie sądziłem, że potrafiałyby dobrać odpowiednich ludzi do wykonywania zadań.

Chciałem powiedzieć coś do Jan, ale nie wiedziałem co. Zamiast tego odpowiedziałem Wiliemu.

- Turyści rzadko wydają dobre świadectwo swemu krajowi czy planecie. Mają wszakże w sobie dość ciekawości oraz energii, by dowiedzieć się tego, czego chcą się dowiedzieć. I zazwyczaj potrafią się zachować. Chyba nie naprzykrzali się wam?

- Wcale nie - odparła Jan. - Byli sympatyczni. Prawie wszyscy obdarzyli mnie komplementem fotografując na pamiątkę. Więc nie mogę im niczego zarzucić.

Jan włączyła się do rozmowy we właściwym momencie, ale nie bardzo miałem się o co zaczepić. Mówiła z ironią, z lekkim odcieniem urazy, a nawet jeszcze słabszym odcieniem rozbawienia. Cokolwiek bym nie powiedział, mogło okazać się nie na miejscu. Zamyśliłem się nad tym osobliwym obrazem turystów robiących pamiątkowe zdjęcia Jan, atrakcyjnej autochtonki. Czy nawet oni nie wyczuli jej niepospolitej inteligencji i poziomu kulturalnego?

Prawdopodobnie nie. Nie mam zbyt wysokiego współczynnika inteligencji, ale za to dość rozumu i spostrzegawczości, by od razu zorientować się, że Ziemianie mają w sobie więcej prawdziwej kultury niż jakikolwiek inny naród Federacji. Jednak ludzie, którzy przylecieli statkiem badawczym, na pewno zauważyli, że Ziemianie chodzą po schodach zamiast używać wind, poruszają się na piechotę zamiast samochodami i nie mają pralek mechanicznych, telewizji ani gwiazd filmowych. Uznali więc ich za zabawnych autochtonów, zdziwaczałych i zacofanych.

- Nie należy nie doceniać tamtych ludzi - powiedziałem czując jakąś niejasną potrzebę obrony Floty. - Na pewno przekazali kilka wnikliwych raportów, w tym od osób, których może i nie zauważyliście.

Wili skinął głową. - Tego się domyślałem. Dlatego staraliśmy się, aby te sprawozdania były jak najdokładniejsze.

I znowu poczułem się wśród tych ludzi jak małe dziecko. Nie zrozumcie mnie źle: nie mam zamiaru dowodzić, że Ziemianie są jakąś super-rasą czy czymś takim. Ale odznaczają się taką kulturą, wiedzą i rozumieniem, jakich prawdopodobnie nikt inny nie miał czasu ani chęci osiągnąć w naszej epoce. I Wili, i Jan, i pewnie Martin dysponowali intelektem, z którym ja nie mógłbym się równać. To było oczywiste. Byli oni prawdopodobnie najmądrzejszymi spośród siedmiu tysięcy Ziemian, a ja - tylko prostym kapitanem Floty.

Wili zmusił mnie jakoś do wyjawienia, z czym przybyliśmy, zupełnie nie w tym momencie, który ja uznałbym za odpowiedni. Wymienił spojrzenia z Jan, które wyraźnie wskazywały, że Ziemianie właśnie tego spodziewali się po nas.

- Odleci z wami około dwudziestu osób - powiedział. - Nie jestem pewien ile. Nie badaliśmy tego. Powiedzmy: dwadzieścia na pewno, może pięćdziesiąt, w każdym razie nie więcej niż sto.

- Ale ja tu jestem po to, żeby was wszystkich zabrać - odparłem starając się ukryć moje zakłopotanie.

- Ależ nie - powiedział Wili uprzejmie. - Reszta z nas nigdzie się nie wybiera. Ani teraz, ani później.

- A jeśli uważasz, że ktoś boi się wychylić - dodała Jan obojętnym tonem - możesz spytać każdego na osobności. To nie będzie miało znaczenia. Zostajemy tutaj. Tu jest nasze miejsce.

II

Stawało się jasne, że mówili poważnie. Wówczas jeszcze nic nie powiedziałem. Chciałem sobie wszystko przemyśleć. Potem jednak przekonywałem, sprzeczałem się, groziłem.

Raz jeszcze przeczytałem moją instrukcję. Nie pozostawiała żadnych wątpliwości: Ziemię należało ewakuować całkowicie. Przeczytałem również przedstawione w niej powody i porównałem je z moimi poglądami. Stwierdziłem, że są one rozsądne.

Ziemia wciąż jeszcze była ważna. W całej Galaktyce, na każdej z dziewięćdziesięciu czterech planet Federacji ludzie czuli sentyment do Starego Świata. Weźmy na przykład mieszkańców Yuny: ci darzyli jakimś tam zainteresowaniem Collahimańczyków, Smitheończyków czy Caronejczyków, ale wszyscy troszczyli się znacznie bardziej niż "jakoś tam" o Ziemian. Ziemia była hamulcem dla wszystkich spraw Federacji.

Gdyby wszystko tu szło po dawnemu albo gdyby Ziemia była już martwa i opuszczona, ludzie nie poświęciliby jej ani chwili uwagi. Ale teraz, ponieważ Słońce szybko traciło swą moc, ponieważ uczeni Federacji poszukiwali wyjaśnień i przyczyn faktu, który kiedyś uznali za niemożliwy, Ziemia znajdowała się w centrum uwagi całej Federacji. Była to jakby zajmująca gra, która się jeszcze nie skończyła.

Tymczasem zaś Ziemia znaczyła tak wiele. Nikt chyba nie miał co do tego wątpliwości. Nie dlatego, żeby ludzie kochali Ziemię; oni po prostu czuli do niej sentyment. Była to jakby scena z dawnego wyciskacza łez, scena przy łożu śmierci, która mogła się ciągnąć jeszcze przez wiele lat. Federacja usiłowała prowadzić swe rozliczne działania, cały czas wszakże jednym okiem zerkając na Ziemię. Kupcom, trzeźwiej myślącym, to się nie podobało. Nie podobało się to także gubernatorom planet, ani samej Flocie.

Tego właśnie nie miałem mówić Ziemianom, o ile to możliwe. Na szczęście żadna z osób pozostających jeszcze na Ziemi nie była nigdy w żadnym mieście Federacji. Ziemianie nie mieli okazji zobaczyć, jak to naszym rzeczowym, energicznym obywatelom czy przymykały się w rozmarzeniu i coś ścisnęło serce, gdy słyszeli piosenkę "Wróć ze mną na starą, kochaną Ziemię". Ziemianie nie wiedzieli, dlaczego kazano mi spuścić kurtynę - żeby widownia mogła z powrotem zająć się swą pracą.

I zgodziłem się z tym, że Ziemianom nie należy tego mówić. I tak byli dumni, spokojni i niewzruszeni. Byli inteligentni i cywilizowani, ale mimo to dumni i uparci. Ta cała sprawa mogła im jeszcze dodać dumy i wtedy już zupełnie nie udało się ich nakłonić.

Mogłem oczywiście wrócić i oświadczyć, że Ziemianie nie chcą się ewakuować. Ale już wyobrażałem sobie, co by powiedziano w Dowództwie Floty, gdybym tak zrobił. "Otrzymał pan rozkaz ewakuacji, prawda? Dlaczego więc go pan nie wykonał?"

Każdy kapitan Floty Kosmicznej ma znacznie większe uprawnienia niż nawet admirał floty morskiej. Admirał otrzymywał rozkazy przez radio. Natomiast kapitan Floty Kosmicznej sam podejmuje decyzje. Mogą minąć miesiące, nawet lata, nim zdoła wrócić po dalsze polecenia, udać się ponownie na pole akcji i wykonać rozkazy. Nie należy przy tym zapominać o poważnych kosztach. Czy więc mogłem wrócić na Yuny i zapytać, co teraz mam robić?

Nie mogłem.

Wysłano mnie, bym ewakuował Ziemię, i nie mogłem wracać bez Ziemian, chyba że miałbym możliwość oświadczyć: "Nie wykonałem polecenia, ponieważ tymczasem zmieniła się sytuacja. Więc zamiast tego..."

Ale sytuacja się nie zmieniła. Ziemię w dalszym ciągu trzeba było ewakuować, teraz czy później. Nawet ślepy by to zobaczył. Dlaczego więc Ziemianie nie chcieli tego zrozumieć? Czemu wybrali upór?

Poszedłem do nich; starałem się zmusić ich, by zrozumieli. Spierałem się z Wilim, z Jan, z Bel, z Martinem, z ludźmi, których sam wyszukiwałem, aby poznać poglądy przeciętnego Ziemianina.

Już prawie cała Ziemia znajdowała w śmiertelnych okowach mrozu. Tylko wąski pas, który otrzymywał najwięcej słabnących promieni Słońca, miał dość ciepła i światła. Prawda, nadal płonął wewnętrzny ogień planety. W porównaniu z niektórymi jałowymi, dopiero kolonizowanymi światami. Ziemia była jeszcze młoda. Ale życie tutaj zależało od Słońca, które zawiodło. Na przeważającej części powierzchni planety szalały huragany; zamiecie śnieżne nie pozwalały dostrzec martwych skał. Tam, gdzie kiedyś leżała Kraina Północnego Słońca, docierał teraz ledwie słaby promyk.

Na równiku były jeszcze ciepłe regiony. Dowiedziałem się, że Ziemianie chodzą czasem popływać w basenach z letnią wodą, tam gdzie temperatura przekraczała jeszcze dwadzieścia stopni - na razie. Ale tylko w dolinie Lenny utrzymywała się ona w tym wąskim przedziale, do którego ludzie byli przystosowani. Taka swoista Shangri-la, ucieczka od śnieżyc szalejących po okolicach, od siarczystego mrozu, porywistych wiatrów, powodzi, nawet od czasem występujących kapryśnych upałów.

Po kilku dniach wiedziałem już, że w dolinie Lenny można było żyć całkiem wygodnie mając byle jaki dach nad głową, bez sztucznej regulacji pogody, bez mechanizacji. Ziemianie uprawiali stoki doliny, mając w rezerwie na wypadek nieurodzaju tanki hydroponiczne. Hodowali bydło, owce, drób; prowadzili życie proste, niezbyt męczące, ale przeżyte w pełni. Swój czas dzielili między rolnictwo, budownictwo, czytanie, muzykę, tkactwo, sztukę dramatyczną, malarstwo i sto innych rzeczy. Sielanka - ale tak ulotna.

Za rok, może za dziesięć lat grube kurtki zastąpią koszule, ciężkie buty wyprą sandały, ocieplane spodnie zajmą miejsce spódnic. Zboże przestanie rosnąć. Zwierzęta wyginą. Nawet ludzie zaczną umierać, w miarę jak życie stanie się ciężkie. I nigdzie nie będzie miejsca, w którym można by się

schronić. Kiedy w dolinie Lenny zapanuje zimno, poza nią będzie jeszcze zimniej. O ile Federacja nie zapomni o swojej urazie spowodowanej poprzednim odrzuceniem jej pomocy i nie wyśle kolejnego transportowca - bo Ziemianie nie mieli w ogóle żadnych własnych statków kosmicznych - wszyscy zginą, najpierw niewielu, potem zaś reszta, w przeciągu krótkiego czasu.

Była to postawa tak nierozsądna, tak zawzięta, tak nie pasująca do Wiliego i Jan, że zacząłem się zastanawiać, czy są całkowicie przy zdrowych zmysłach. Wiedziałem, dlaczego chcą pozostać na Ziemi. Było to naturalne - sam to rozumiałem. Ale żeby nie chcieć stąd odejść, kiedy to było bez wątplenia konieczne? Czyżby uważali, że Federacja będzie wciąż przysyłać po nich statki? Jeśli tak, to im prędzej rozwieję ich złudzenia, tym lepiej. Flota nie jest nieludzka, ale potrafi czymś takim obciążyć swoje sumienie.

Wysyłanie statków w długą i niewiarygodnie kosztowną podróż co kilka lat, po to tylko, żeby sprawdzić, czy przypadkiem Ziemianie nie przygotowali się już do drogi, było całkowicie sprzeczne z polityką ekonomiczną Floty. Nikt nawet nie potrafił obliczyć, po tylu już popełnionych omyłkach, jak długo Słońce będzie jeszcze wysyłać energię w tej samej mniej więcej ilości, co obecnie. Plan Floty, plan rozsądny zakładał ewakuację Ziemi teraz, wcześniej niż trzeba, zamiast wysyłać wyprawę ratunkową, która może przybyć za późno.

Jeśli sytuacja była rzeczywiście taka, na jaką wyglądała, stało się oczywiste, że będę musiał zabrać Ziemian siłą, o ile to konieczne. Skoro zachowywali się jak uparte osły, będę musiał ich odpowiednio potraktować. Powiedziałem to Wiliemu.

Zaczął się śmiać. - Nie powiedziałbyś mi tego, gdybyś naprawdę miał zamiar to zrobić - odparł. Wciąż starał się zachować przyjaźnie. - A ja nie śmiałybym się, gdybym był przekonany, że mogłoby ci się udać. Ale mimo że ten twój szkaradny statek dysponuje potężną siłą, jak masz zamiar użyć tej siły, żeby nas, całe siedem tysięcy osób zapakować wbrew naszej woli do tych twoich skorup krążących w Kosmosie? Jak chcesz nas zmusić przy pomocy siedmiu ludzi - a choćby i dwudziestu jeden?

Miał słuszość. Ewakuacja siedmiu tysięcy niechętnych Ziemian z tymi siłami, którymi dysponowałem, była jak budowanie statków z własnym napędem, dla pięciuset osób - nie całkiem niemożliwa, ale wysoce niepraktyczna.

- Mógłbym spowodować uznanie waszej decyzji pozostania tutaj - mówiłem kiedy indziej, tym razem do Jan - za usiłowanie samobójstwa. W takim razie zostaniecie oddani pod nadzór i przeniesieni na bezpieczniejsze planety.

- Słusznie - westchnęła Jan, nie okazując większego zainteresowania, jak zresztą zawsze. - Ale jeśli spróbujesz zrobić to z poszanowaniem prawa, to zastanów się nad tymi wszystkimi lotami, które trzeba będzie wykonać stąd na planety Federacji i z powrotem. Czy tobie wyszłoby to na dobre?

Nie wyszłoby. Musiałem porzucić ten pomysł. I tak było ze wszystkim, co przychodziło mi do głowy.

Któregoś dnia Jan i ja przeszliśmy z półtora kilometra doliną, a ja przez cały czas nie wspominałem o swym zadaniu. Tym razem bardziej interesowała mnie dziewczyna. Nie umiem zbyt trafnie oceniać ludzi w rodzaju Ziemian, narodów, czy ras. Ale umiem nieźle oceniać pojedyncze osoby. I zaczynałem mieć już swoje pojęcie o Jan. -Była młoda, piękna, inteligentna - a jednak znudzona, urażona, nieledwie apatyczna. Mimo to byłem przekonany, że jest stworzona do radości, a nie do nieszczęścia. Nie było u niej nic z tej zdolności rozkoszowania się własnym nieszczęściem, która charakteryzuje prawdziwego pesymistę.

- Powiedzmy, że spróbuję cię pocałować - zastanawiałem się głośno. - Co z tego wyjdzie?

- Pewnie ci się uda - odparła obojętnie. Wyglądało na to, że bycie całowaną należało do tych licznych rzeczy, które się w ogóle nie liczyły. Pocałowałem ją. Następnie spojrzałem na nią, zdumiony.

- Czy mam czerwone zęby? - spytała urażona. - Albo nos mi się przekręcił?

- Gdybym tylko mógł cię zrozumieć, Jan.

- Nikt nigdy nikogo naprawdę nie zrozumiał. Potrząsnąłem głową. - Daruj sobie tę jeszcze jedną ze swych inteligentnych uwag. Dobrze wiesz, co mam na myśli.

- Dlaczego mam myśleć za ciebie?

Spróbowałem ją objąć, ale się uchyliła. - Czy mogę trzy razy zgadywać?

- Na jaki temat?

- Na twój temat. Dlaczego zawsze jesteś rozgniewana.

- Nie jestem rozgniewana - odparła gniewnie.

- Ludzie przeważnie się złością - powiedziałem z namysłem - gdy wydaje im się, że popełnili poważny błąd.

Zbladła. - Możesz sobie za to przyznać dziesięć punktów - rzekła gorzko. - Jasne, że zrobiłam błąd. Teraz wracamy.

- Jeszcze nie zgadywałem. Po pierwsze: nie możesz się zdecydować, czy odlecieć z Ziemi, czy też tu zostać.

- Nieprawda. Zostaję, ale w rzeczywistości niewiele mnie to obchodzi.

- Po drugie: kochasz Wiliego, a on ciebie nie chce. Nie zrobiła nic. Stała po prostu nieruchomo i patrzyła na mnie wzrokiem bez wyrazu.

- Po trzecie - powiedziałem - ze względu na poprzednie punkty postanowiłaś poświęcić się okazywaniu wszystkim, jak głęboka jest rana w twoim sercu.

W oczach Jan pojawił się niebezpieczny błysk. Wkrótce jednak się opanowała. - To nie twój interes - odrzekła w końcu. - Zresztą nie chodzi o Wiliego. I nie ma to zupełnie nic wspólnego z tobą ani z powodem twego przylotu, więc daj już temu spokój, dobrze?

- To nie będzie możliwe.

W czasie tej wymiany zdań siedzieliśmy na kępie trawy. Wziąłem ją za rękę. Wyglądała na zbyt zdumioną, by w jakikolwiek sposób zareagować. Prawdopodobnie nie przyszło jej nawet do głowy, że mój pocałunek nie był jedynie zwykłym potwierdzeniem tego, że Jan jest atrakcyjną dziewczyną.

- Owszem - przyznałem - może i nie ma to nic wspólnego z powodem mojego przylotu. Ale nic się nie dzieje w oderwaniu od innych rzeczy. Wszystko się miesza... w każdym razie nie mogę, ot tak, po prostu dać spokój. Czy śmiałybyś się, gdybym ci powiedział, że zakochałem się w tobie od pierwszego wejrzenia?

- Nie śmieję się - odrzekła. - Ale przesadzasz.

- Trochę. Jednak to prawda, że od kiedy cię spotkałem, zawsze chciałem poznać cię lepiej, dowiedzieć się czegoś o tobie...

Poruszyła się niespokojnie i odsunęła dłoń. - Słuchaj, Tony - powiedziała mimo wszystko życzliwie. - Nadal uważam, że powinieneś o wszystkim zapomnieć.

- Czy nic nie da się zrobić?

- Z czym? Nieważne. Wracajmy już. Tym razem mówię serio. Wróciliśmy więc, po jednej z najbardziej nieudanych scen miłosnych w dziejach.

III

Prawdopodobnie tylko dlatego, że umysł miałem zaprzątnięty Jan, nie zauważyłem pewnej rzeczy dotyczącej Ziemian, która od dawna rzucała się w oczy. Natomiast szczerą miłość którą żywiła Tylo, rozwijała się o wiele pomyślniej. Kochała Wiliego z każdym dniem coraz bardziej, a on zdawał się odwzajemniać jej uczucie. Nie wtrącałem się. Uważałem, że intuicja Tylo nie zawiedzie jej. Będzie wiedziała, kiedy może posunąć się naprzód, a kiedy powinna się wycofać.

Pewnego słonecznego popołudnia byliśmy razem w sterowni, kiedy kilkoro młodych Ziemian, a wśród nich Wili i Jan, wyszło na dwór i rozłożyło się leniwie, by zażyć kąpieli słonecznej. Spojrzałem z ciekawością na termometr wskazujący temperaturę na zewnątrz. Było poniżej

dwudziestu stopni; nawet jeśli dotyczyło to tylko temperatury w cieniu, to przy lekkim wietrzyku wiejącym na dworze, w słońcu nie mogło być więcej. Ale i tak było ciepło, jak na warunki w dolinie Lenny, a Ziemianie przyzwyczajeni byli do niższej temperatury niż my.

- Tony - odezwała się Tylo, patrząc na nich z wahaniem.
- Słucham?
- Czy miałbyś coś przeciwko temu, gdybym do nich poszła?
- Ani trochę.

Wydawało mi się, że chodzi jej również o to, bym ja również wyszedł; miałem jednak inne zamiary. Chciałem lepiej przyjrzeć się Ziemianom, gdy nie wiedzą, że ich obserwuję. Chciałem ich posłuchać, na wypadek, gdyby wyrwało im się coś, co mogłoby podsunąć mi jakiś pomysł na zrozumienie, dlaczego tak uparcie, tak nierozsądnie trzymają się planety, która mogła utrzymać ich przy życiu tylko przez krótki czas.

Tylo wahała się jeszcze chwilę, po czym wyszła. Ziemianie leżeli na trawie dwieście metrów od statku; miałem jednak w sterowni urządzenia, które pozwoliłyby mi policzyć włosy na ich głowach, gdybym zechciał. Zwykle podsłuchiwanie oraz przybliżenie ich obrazu do odległości dwóch metrów było fraszką.

Oczywiście najpierw spojrzałem na Jan. Teraz kiedy miałem już jakiś klucz do jej osobowości, wydawało mi się, że będę ją lepiej rozumiał za każdym razem, gdy ją zobaczę. Jej emocje sięgały zbyt głęboko. Należała do ludzi, których łatwo urazić i to głęboko z powodów, które inni zapominają po pięciu minutach.

Kochała kiedyś kogoś, niezbyt mądrze, ale zbyt poważnie. I zacząłem wyczuwać, kto był przedmiotem jej miłości. Było coś w tym, jak spoglądała na Tiana, jakieś napięcie w jego uśmiechu skierowanym do niej. Tian był mężem Meni, która również tam się znajdowała. Nie próbowałem zgadnąć, co między nimi zaszło. Szczegóły nie miały znaczenia. Ważne było tylko to, że Jan cierpiała od rany, która nie chciała się zagoić tak szybko, jak powinna.

Wszystko, co Ziemianie robili, sposób, w jaki się ubierali, zdradzał ich artystyczną duszę. Gdy Tylo przyłączyła się do zażywających kąpeli słonecznej, do tego stopnia odstawała od nich, że aż lekko to mną wstrząsnęło. Miała na sobie zwykły dwuczęściowy strój kąpielowy i na każdej z planet Federacji wygląd jej uznano by za niemal doskonały.

Ale przy stroju Jan opalacz mojej siostry wydał się nagle pospolity, niemal żenujący. Zakrywał to co zwykle i usilnie starał się, by więcej nic nie zasłonić. Jakby szył go nie krawiec, lecz cenzor obyczajowy. Jan zaś miała na sobie przepiękny asymetryczny kostium, który z beztróską ujawniał wiele z tego, co się kryło pod strojem Tylo, a zasłaniał parę innych miejsc, których oglądania poczucie przyzwoitości nie zabraniało. Było to dzieło sztuki zestawione z masową tandetą.

Ku memu niejakiemu zdziwieniu Tylo zauważyła to od razu.. Zapytała, czy może pożyczyć strój podobny do tych, jakie miały na sobie Ziemianki, i z pewnym zaskoczeniem usłyszała zgodną odpowiedź, że to niemożliwe.

- Żaden cudzy ubiór nie jest odpowiedni dla innej osoby - wyjaśniła Meni. - Jeśli tobie by pasował, oznaczałoby to, że był zupełnie niewłaściwy dla poprzedniego użytkownika.

- Nawet taki kostium, jaki ma Jan...? - mruknęła Tylo z wahaniem w głosie.

- Tak - zdecydowanie odparła Meni. - Absolutnie tak! Ty i Jan... - i zaczęła wymieniać najprzeróżniejsze różnice w budowie ciała, napięciu mięśni i sposobie poruszania się, które sprawiały, że strój Jan był całkowicie nieodpowiedni dla mojej siostry. Tylo przytaknęła z powątpiewaniem nie pretendując do umiejętności artystycznej oceny, których nie posiadała.

- Kiedyś uszyję ci kostium - obiecała Meni.

- Mundur Floty - zauważył Wili - pasuje twemu bratu. Wygląda w nim zupełnie nieźle. Ale ty nie, Tylo. Przyrzeknij mi, że nie włożysz go więcej na siebie, póki jesteś tutaj.

- Przyrzekam - odparła uszczęśliwiona Tylo, zadowolona, że może coś obiecać Wiliemu.

Potem rozmawiali o kąpielach słonecznych, o pływaniu i w ogóle o życiu Ziemian. Tylo napomknęła nieśmiało, że z tego, co widziała na innych planetach, jej zdaniem trzeba będzie tu niedługo to i owo zmienić.

Ziemianie posłusznie zgodzili się z każdym jej słowem.

I to było w tym wszystkim najbardziej niezrozumiałe. Miałoby jakiś sens, gdyby Ziemianie spierali się o przyszłość i żarliwie utrzymywali, że Słońce nigdy nie zgaśnie. Ale oni przyznawali, głęboko w tym przekonani, że wkrótce nie będą mogli już żyć tak, jak dotychczas.

Widzę teraz jaki byłem wtedy głupi. Dopiero kiedy przestałem zwracać uwagę na to, o czym Ziemianie rozmawiali z Tylo, i pogrążyłem się w smętnej kontemplacji wdzięków Jan, doznałem pierwszego olśnienia. Skłamałem sobie w duchu, chwilę pomyślałem i udałem się w ślad za Tylo.

Poszedłem prosto do grupy Ziemian i stanąłem nad Wilim. - Chyba powinienem się wstydzić - powiedziałem - ale dopiero teraz przyszło mi do głowy, że musicie mieć gdzieś jakieś schronienie.

Jan podniosła wzrok; w jej oczach ujrzałem cień uśmiechu. Wydało mi się, że odczuwa jakieś zadowolenie z tego, iż w końcu się domyśliłem, jak gdyby pozostali Ziemianie twierdzili, że jestem na to za głupi, a ona - że nie.

- Musicie, oczywiście, dysponować energią jądrową - ciągnąłem - choć nie używacie jej tutaj. Jednak nie zapomnieliście swojej wiedzy. Po prostu zrobiliście sobie ostatni urlop od cywilizacji mechanicznej, zanim będziecie musieli do niej wrócić na zawsze. Wolicie życie wśród maszyn na Ziemi niż jakiegokolwiek życie - gdzie indziej.

Wili chłodno skinął głową. - Nawet udało ci się odgadnąć nazwę - powiedział. - Właśnie tak nazywamy to miejsce: Schronienie.

- Pod ziemią?

- Nie. W dolinie, podobnej do tej.

- Więc co za sens? Jakże to może być schronienie?

- Jutro zabierzemy tam ciebie i Tylo - odparł Wili. - Wtedy zrozumiesz.

Wyglądali, jakby ich to w ogóle nie obeszło. Nie wiedziałem, czy to dlatego, iż spodziewali się, że nigdy się nie domyśle istnienia tego jeszcze jednego asa w zanadrzu, czy też oczekiwali, że powinienem się tego domyślić dużo wcześniej. Byli tak zwyczajnie, tak całkowicie doskonali umysłowo, że podobny jak ja troglodyta zawsze musiał w coś wdepnąć.

Wkrótce potem Tian, Meni i Tylo odeszli we troje, po nich zaś inni i w końcu zostałem tylko ja i Jan, co skończyło się kolejnym beznadziejnym epizodem.

Nie potrzebuję przytaczać szczegółowo tego, co jej powiedziałem - moje słowa były szczerze i całkowicie odpowiadające sytuacji. Nawet oświadczyłem, że nie mogę bez niej żyć.

Słuchała tego wszystkiego z obojętnością. - Pocałuj mnie - powiedziała w końcu.

- Po co? - spytałem przekornie. - Co nam z tego przyjdzie?

- A co nam przychodzi z wszystkiego? - odparła typowym dla siebie tonem.

- Chcę ciebie; nie tylko pocałunków i uścisków, po których będę jeszcze bardziej ciebie pragnął.

- Możesz mnie mieć.

Wytrzeszczyłem oczy. - Co chcesz przez to powiedzieć?

- Właśnie to! My, Ziemianie, jesteśmy z zasady obyczajni, więc innym się to nie spodoba. Ale sądzę, że to nieważne. Więc kiedy i gdzie?

Poczułem wewnątrz jakiś dziwny uścisk, którego nie potrafiłem rozpoznać. - Nie o to mi chodziło - odpowiedziałem wsłuchując się we własne słowa, jakby płynęły z bardzo daleka. - Chcę, żebyś została moją żoną.

- Byłoby to niemądre. Jeśli w ogóle jeszcze mi na czymkolwiek zależy, to na tym, by nie łamać danego słowa. Nie mam zamiaru składać tych wszystkich przysięg małżeńskich, skoro nie mogę ich dotrzymać.

- Co się z tobą dzieje, Jan? Tian nie jest tego wart. Nikt nie jest tego wart.

- A więc wiesz, że to o niego chodzi.

- Nieważne. Jeśli nie możesz mieć tego mężczyzny, na którym ci zależy, to jeszcze nie koniec świata.

Na jej zwykle zasnutej cieniem powagi twarzy pojawił się ów rzadki przeblysłk wesołości; uśmiechnęła się nawet. - Zdaje się, że przed chwilą twierdziłeś, iż nie możesz beze mnie żyć.

Wybrałem jedyne pozostające mi wyjście. - To było kłamstwo - odrzekłem. - Mógłbym żyć bez ciebie, ale nie chcę.

Znowu się uśmiechnęła, ale już z goryczą. Nie myśląc o tym, co robię, osunąłem się na trawę obok niej. Chciałem, nie całkiem świadomie, tylko ją chronić, ale kiedy jej dotknąłem, wszystkie moje dobre intencje rozwiały się. Całowałem ją raz po raz, trzymając w ramionach to w taki sposób, to w inny. Okrywałem pocałunkami jej rękę, szyję, ramiona, wiedząc, że już za chwilę trzeba będzie wstać, uspokoić się, opanować, ale jeszcze nie teraz, jeszcze nie po tym pocałunku.

W końcu jednak trzeba było ją puścić i zmusić się do odsunięcia. Byłem opanowany, ale wcale nie spokojny.

- Przepraszam - rzekłem bezbarwnym głosem.

- Za co? Nie opierałam się.

Była to prawda; ale i nie odwzajemniała pieścizot - w każdym razie nie zanadto.

- Co mogłoby dać ci wolność? - zapytałem. - Śmierć Tiana?

- Chyba nie chcesz go zabić?

- Czy jego śmierć dałaby ci wolność? - nalegałem.

- Zawsze uważałam - odrzekła powoli - że mogę być wolna, kiedy tylko zechcę.

- Czemu więc nie zrobisz tego i nie zaprzestasz tej gry? Wyglądała na urażoną. - A któż tu gra?

- Ty, z tą całą obojętnością, brakiem zainteresowania. Udajesz przed wszystkimi, a szczególnie przed sobą, że twoja miłość była tak ogromna, tak szczerą, że kiedy Tian ciebie nie chciał, to całe życie straciło dla ciebie sens.

- Odejdź - powiedziała. Aż zeszywniała z wściekłości. Mięśnie jej napięły się; dyszała lekko. Nigdy przedtem nie widziałem nikogo tak widocznie, tak fizycznie rozgniewanego.

Chciałem zostać przy niej i zmusić ją jakoś do wyzwolenia tej całej pasji. Nie jestem psychologiem, ale byłem pewien, że pozbycie się choć części tej gwałtowności wyjdzie jej na dobre. Jednak nie potrafiłem przewidzieć możliwej reakcji, a nie mogłem sobie pozwolić, by miało to przeszkodzić w wypełnieniu mojego zadania na Ziemi.

Odwróciłem się i pomaszerowałem w kierunku statku, nie oglądając się ani razu.

Czasem wydaje mi się, że słowa nie potrafią opisać Ziemi i Ziemian. O ile były prawdą, jeśli chodzi o ich głosy, wygląd zewnętrzny, ubiór i proste budynki Lennu, to tym bardziej dotyczyło to Schronienia.

Wili zaprosił tylko Tylo i mnie, a ja nie ubiegałem się o pozwolenie zabrania reszty załogi. Spośród Ziemian wybrali się tam Wili, Tian, Meni, Martin i Jan. Jan ani nie szukała specjalnie mego towarzystwa, ani też nie starała się go unikać. Całkowicie zignorowała incydent z poprzedniego dnia.

Miałem na sobie swój mundur; czułem się w nim dobrze wiedząc, że dobrze w nim wyglądam, zdaniem Ziemian. Byłem również całkowicie świadom tego, że wyróżniam się spośród pozostałych jako przybysz z innego świata. Tylo została już prawie zupełnie wchłonięta przez Ziemian, bo choć nadal poruszała się tak, jak poprzednio, miała na sobie suknię uszytą dla niej przez Meni; suknia dodawała wdzięku każdemu ruchowi mojej siostry. Jej głos zawsze był łagodny i dźwięczny, znacznie bliższy głosom Ziemian niż większości innych głosów mieszkańców planet Federacji. Już

otwarcie starała się naśladować tutejszą wymowę, z niezłymi wynikami, bowiem jej słuch muzyczny był znacznie lepszy niż poczucie estetyki.

Stroje, które Ziemianie włożyli na wyprawę do Schroniska, powinny były dać mi wiele do myślenia o tym miejscu. Były równie proste, jak zazwyczaj, ale sugerowały znacznie wyższą, znacznie mniej prymitywną kulturę. Po pierwsze, nie były przeznaczone do ocieplania ciała. Ziemianie ani trochę nie przejmowali się obowiązującymi w Federacji zasadami przyzwoitości, sądząc po sposobie, w jaki piersi Jan i brzuch Tylo zostały zakomponowane w krój ich strojów. A jednak żaden z nich nie służył celom seksualnym bądź ekshibicjonistycznym.

W przypadku Jan i Tylo, tak samo jak i pozostałych Ziemian, widać było jasno, że celem jest czyste piękno, a nie zmysłowość; i piękno to chwalebnie osiągnięto. Ani trochę nie niepokoiłem się z powodu Tylo, tak jak mogłoby to mieć miejsce, gdyby pojawiła się w podobnym stroju na jakimś balu na Yuny.

Pierwszym zaskoczeniem była kolej podziemna, ale w obliczu tego, co zobaczyliśmy później, nie warto się nad nią dłużej zatrzymywać. W jednym z budynków, w którym jeszcze nie byliśmy, zeszliśmy schodami w dół i znaleźliśmy się na świetnie zaprojektowanej stacji kolei podziemnej. Już wcześniej byliśmy świadomi, że Ziemianom pozostała jednak owa dojrzała technika, która zrodziła statki kosmiczne, ale dopiero po raz pierwszy dostrześliśmy jakąś oznakę, że w dalszym ciągu z tej techniki korzystają.

Nic nie pozwalało odgadnąć, jak daleko nas wiezie ten wagonik. Ponieważ poruszał się w tunelu próżniowym, mógł pędzić dowolnie szybko, przyspieszenie zaś było tak łagodne, że niewiele można było z niego wywnioskować. Tylo zapytała szczerze, jak daleko jedziemy, ale Wili, który trzymał się blisko niej od samego początku podróży, uśmiechnął się tylko i potrząsnął głową.

Ja siedziałem z tyłu, obok Jan. Wśród Ziemian istniało milczące porozumienie, że Jan i ja oraz Wili i Tylo powinniśmy trzymać się razem. Inni ani nie narzucali się nam, ani też nie stawiali nas w kłopotliwej sytuacji ostentacyjnie zostawiając samych.

- Jeśli Wili poślubi Tylo - odezwała się nagle Jan - to czy ona tu zostanie?

Jej pytanie było nie tylko zaskakujące; w ogóle nie było na nie odpowiedzi. Jeśli o mnie chodziło, w ogóle nie brałem pod uwagę możliwości pozostawienia tu Ziemian. Tym mniej więc pozostawienia tu jeszcze Tylo.

Odpowiedziałem jej zgodnie z tym, co mi przyszło na myśl. - A jeśli ty zostaniesz moją żoną, to polecisz ze mną na Yuny?

Jan była znacznie mniej rozgoryczona i urażona, znacznie miłsza niż kiedykolwiek przedtem - co wydało mi się dziwne po naszej poprzedniej rozmowie.

- Odłóżmy na razie pierwszą część pytania - odparła swobodnie - i zajmijmy się drugą. Czy poleciałabym na Yuny? Oczywiście, jako turystka. Ale sądzę, że w końcu bym tu wróciła.

- Ze względu na to miejsce czy na tych ludzi?

- Ze względu na ludzi. Ziemia liczy się mniej dla mnie jako miejsce niż dla większości pozostałych. Ale widziałeś już, jak tu żyjemy. Czy coś takiego istnieje gdziekolwiek indziej?

- Nie - przyznałem. - Czy zastanawiałaś się nad opuszczeniem Ziemi na stałe z powodu Tiana?

- Owszem, często.

- Czy zastanowisz się jeszcze raz?

- Tak.

W tym momencie przeszkodzono nam. Ale rozmowa ta, choć krótka, była najbardziej zadowalającą spośród wszystkich, które dotąd odbyłem z Jan.

Cóż mógłbym powiedzieć o Schronieniu? Pomyślcie o starożytnym Babilonie, Atenach, Rzymie, Paryżu, Nowym Jorku. Pomyślcie o Neris na Yuny, o Phalanie na Colahimie, o Mercosancie na Smithsonie, o Sanktuarium na Carone. Wyobraźcie sobie miasto, które, jak każdy musiałby przyznać, byłoby trochę lepsze, trochę piękniejsze, trochę znaczniejsze niż wszystkie tamte - i to będzie Schronienie. Nie wysilajcie swej imaginations malując je jako o wiele lepsze, o wiele piękniejsze. Wyobraźnia by tego nie ogarnęła.

Miasto nie było ogromne, ale widać było wyraźnie, że zbudowano je dla większej liczby mieszkańców niż tych siedem tysięcy Ziemian.

- Kiedy się tu przeniesiemy - wyjaśnił Wili - zaczniemy się znowu mnożyć. Może pewnego dnia Ziemia znowu będzie miała milionowe miasto.

- Czemu nie przyjdziecie tu już teraz? - zapytałem rozglądając się w zadziwieniu.

- A po co? To jest Schronienie, na które przyjdzie pora. Jak widzisz, to też jest dolina, podobnie jak Lenny. Ale wkrótce zobaczysz różnicę.

Sam mogłem ją odgadnąć. Lenn to maleńkie, zwykłe miasteczko. Schronienie nie było jedynie miastem; było potężne, wszechstronne, mądre. We wspaniałych budowlach sztuka i wiedza stapały się w jedno. Sztukę Ziemian już widziałem, ale ich wiedzę poznałem dopiero w Schronieniu.

Statek badawczy nic o nim nie wspominał. Nie wiedział nic o nim. Jeśli ktoś je zobaczył, w jego oczach Ziemianie od razu przeistaczali się z sielankowych, prymitywnych tubylców w lud wciąż jeszcze wielki i potężny. Jedno spojrzenie wystarczyło, by upewnić się, że Ziemianie są w stanie regulować w tej dolinie warunki klimatyczne, ogrzewać domy, ulice, a nawet samo powietrze, o ile okaże się to konieczne; z samej atmosfery nad nimi mogli wydobyć dokładnie takie warunki, jakie będą potrzebne. Wiedziałem, że kiedy zechcą, będą w stanie postawić kopułę nad miastem i żyć wygodnie, niezależni od Słońca i warunków na reszcie kuli ziemskiej. Wiedziałem, że oglądam miasto samowystarczalne, bez mała nieśmiertelne.

- Obecnie mieszka tu kilkanaście, może dwadzieścia osób - powiedział Wili. - Zajmują się tylko utrzymaniem tu porządku; wszystko jest gotowe dla nas, gdy nadejdzie czas, by tu przybyć.

Dotąd tylko rozglądałem się dookoła. Było to dość dla mnie; nie zastanawiałem się jeszcze nad konsekwencjami tego, co zobaczyłem. Tyło nic nie mówiła, wytrzeszczała tylko oczy.

Spacerowaliśmy pustymi ulicami. Zazwyczaj puste miasto ma w sobie coś ponurego, ale tylko dlatego, że powód takiego spustoszenia bywa ponury. Schronienie było ciepłe i przyjazne; jak nowy płaszcz, który masz właśnie na sobie włożyć. Ani trochę nie sprawiało wrażenia martwego: drzwi otwierały się pod lada dotknięciem, wszystko było nieskazitelne, wszystko działało, gdy Wili pokazywał. Był to twór bez jednej usterki.

Teraz domyśliłem się, dlaczego Ziemianie przybyli tu ubrani w ten sposób. Ich stroje były odpowiednie do takiego właśnie miasta. Tu nigdy nie będzie za ciepło ani za zimno. Tu nigdy nie spadnie deszcz ani śnieg, chyba że Ziemianie tego zechcą. Ubrania, owszem, nie było to przecież miasto, w którym ludzie mieli spacerować nago. Ale stroje niekoniecznie muszą służyć ochronie przed złą pogodą. Tu nigdy nie rozwieje ich kapryśnie zbyt mocny wiatr. Nigdy nie poszarpią się o źle wykonany mechanizm czy twarde, ostre kanty.

Może byłem niewłaściwym człowiekiem do wykonania tego zadania. Tysiące kapitanów zobaczyłoby w Schronieniu tylko budynki. Ja jednak ujrzałem coś więcej. Miałem w sobie dość zdolności do oceny piękna i wspaniałości Schronienia, by poddać się im i uświadomić sobie jasno jedną sprawę.

Czekała mnie porażka. Moje rozkazy nie dopuszczały innej możliwości - miałem ewakuować Ziemian. Nie chodziło o nich samych ani o to, że Ziemia nie jest w stanie utrzymać ich przy życiu, ale o to, aby wszyscy obywatele Federacji mogli starannie podkreślić koniec historii Ziemi i zakończyć już okres trosk i sentymentów w tej sprawie.

Nie byłem politykiem. Miałem po prostu zrobić to, co mi kazano, nie wdając się w żadne za i przeciw tej sprawy, która właściwie stanowiła problem polityczny i gospodarczy. Nie byłem nawet psychologiem. Nie mogłem powiedzieć: "Ziemianie są zupełnie bezpieczni. Są w stanie zadbać o siebie, więc ich tam zostawiłem. A zresztą uważam, że nie macie racji: ludziom nie zaszkodzi pewna doza sentymentu w stosunku do Ziemi".

Wciąż bezwiednie wypytywałem Wiliego, wypełniając luki w mojej wiedzy o tym miejscu.

- Schronienie zaczęliśmy budować niedawno - powiedział Wili. - Gdzieś z piętnaście lat temu. I, jak widzisz, zaplanowano je i zbudowano jako jeden kompleks. Nie ma tu żadnych późniejszych dodatków. Niemniej jednak pierwotny plan dopuszcza możliwość wszelkich form rozwoju miasta, które mogą okazać się konieczne później.

Tylo patrzyła na rnnie z wyrzutem. Oto odbierałem jej Wiliego, podczas gdy na moje pytania mógł odpowiedzieć każdy z Ziemian. Tylo przeszła już przez pierwsze stadium oczarowania; wciąż jeszcze co jakiś czas wydawała lekkie okrzyki radości, ale zaakceptowała już sam fakt istnienia miasta.

Usiadłem obok Jan.

- No więc? - zapytała. Wiedziałem, o co jej chodzi. Myślała o naszej rozmowie w wagonie kolei podziemnej, o Wilim i Tylo, o sobie samej i o mnie, o moich rozkazach ewakuacji Ziemian. Przeszedłem od razu do tego, co według mnie było sednem całej sprawy.

- To wszystko nie będzie miało żadnego znaczenia dla Federacji - powiedziałem w zamyśleniu. - Dla mnie to ma znaczenie, ale ja to nie cała Federacja ani nawet Flota. Czymże jest dla nich jedno miasto? Na dziewięćdziesięciu kilku planetach znajdują się setki tysięcy miast. Federacja chce was stąd zabrać. Jest to ruch w wielkiej grze, która ze mną nie ma nic wspólnego.

Choć raz Jan okazała pewne zainteresowanie. - Ciekawe byłoby przyjrzeć się z bliska podobnej wielkiej grze - powiedziała. - Ale przecież twoje zadanie musi skończyć się wraz z powrotem i oświadczeniem, że nie chcemy opuścić Ziemi, że potrafimy się o siebie zatroszczyć?

Potrząsnąłem głową. - Ani trochę. To nie wpłynie na zmianę decyzji Federacji. Chyba wprost przeciwnie, jak sądzę. Bo jeśli jej obywatele usłyszą o Schronieniu, wszyscy zechcą je obejrzeć. I zamiast spisać Ziemię na straty, będą tu przylatywać bez końca jako turyści; może nawet wielu zechce tu zamieszkać.

Skinęła głową. - Dlatego właśnie Wili nie chciał wam mówić o Schronieniu, o ile udałoby się tego uniknąć. Wiedział, że to mało prawdopodobne, ale nic nie szkodziło spróbować. Nie chcemy tu przybyszów z Federacji, Tony. Nie będą pasować do tego miejsca. Nie myślę o takich, jak ty i Tylo - tacy jak wy będą tu powracać, a my przyjmujemy ich z otwartymi ramionami. Ale inni... czy pozostała piątka z waszej załogi choć trochę potrafi nas zrozumieć?

Wiedziałem, że nie. - Ale to jeszcze drobiazg - rzekłem. - Powiedzmy, że wrócę i przekażę to, co proponujecie. Jeśli Federacja nie zmieni zdania - a nie zmieni - po prostu wyśle kogoś innego, by wykonał to samo zadanie. Mój powrót nie rozwiąże niczego. Musicie stąd odejść, Jan.

Uśmiechnęła się tylko.

Od samego początku wiedziałem o istnieniu tego drugiego, przyjemniejszego, bardziej zainteresowanego wcielenia Jan. Nigdy bym jej nie pokochał, gdybym nie był tego świadom. Ale po raz pierwszy dopiero teraz to drugie wcielenie się objawiło i już nie wiedziałem, czy bardziej chcę ewakuacji Ziemian, a wśród nich i Jan, czy raczej wolę starać się o jej względy i zapomnieć o swoich rozkazach. Czasem przychodzi taka chwila, gdy czyjeś życie prywatne staje się ważniejsze niż wszelkie zobowiązania wobec społeczeństwa. Jan sprawiła, że prawie osiągnąłem to stadium.

Zostaliśmy w tyle daleko za innymi. Wili musiał to zauważyć, ale nie wydawało się, żeby mu to robiło różnicę. Jan skręciła w bok wybierając inną drogę niż reszta grupy. Nie odezwałem się.

Po jakimś czasie wskazała mi drzwi, do których prowadziły niezbyt strome stopnie wykute w kamieniu. - Tu będę mieszkać - rzekła. - Nawet, widzisz, ustaliliśmy, gdzie kto się osiedli. - Weszliśmy do środka.

- I nie niecierpliwisz się, że jeszcze tu nie mieszkasz?

Uśmiechnęła się; w jej uśmiechu zjawił się ślad dawnej goryczy. - Ja mam się niecierpliwic z jakiegoś powodu?

Gdy powiedziała to w ten sposób, zabrzmiało to śmiesznie. Nie potrafiłem sobie wyobrazić podnieconej Jan, wyczekującej przyjemności, która miała nadejść za jakiś czas. Ustaliła, że żadnej przyszłości zapewne nie będzie, a już na pewno nie będzie w niej nic przyjemnego.

- Ty nie, ale może inni? - zapytałem.

- Niecierpliwosc nie leży w naszym charakterze. Poza tym, jeśli można tak powiedzieć, nikt nie otwiera parasola, dopóki nie zacznie padać deszcz. Pozostało nam już tak niewiele życia na Ziemi w ten sam sposób, jak żyli na niej ludzie od początku dziejów - a Schronienie jest wieczne. Rozumiesz?

Przerwała swe wyjaśnienia, bo znaleźliśmy się właśnie w pomieszczeniu przypominającym świetlicę - wygodnym, ale nie przesadnie zbytkownym. Ziemianie cenili wygodę, ale mniej od innych, ważniejszych ich zdaniem rzeczy. Na przykład krzesła były tak pięknie wykonane, jak to tylko możliwe, ale z wygodą było już inaczej. Brakowało w nich tych zaokrągleń i miękkości, jakimi charakteryzują się najzbytkowniejsze fotele.

Jan zakręciła się na środku sali. Przepelniało ją tak nieomal pełne szczęście i było nam we dwoje tak dobrze, że w każdej chwili spodziewałem się, iż stanie się coś niedobrego. Czy i kiedy Jan pozbędzie się obsesji na punkcie Tiana, cienia miłości do niego, tego jeszcze nie wiedziałem. W każdym razie to jak dotąd nie nastąpiło.

- Co teraz zrobisz? - zapytała.

Przez myśl przemknęło mi to, co trzeba zrobić. Ale tego nie mogłem powiedzieć Jan. - Nieważne - odparłem. - Na ten temat powiedzieliśmy już wszystko.

Skinęła głową. W jej oczach pojawił się osobliwy wyraz. Nie była to uraza ani gorycz, ani nawet jeden z jej napadów kwaśnego humoru. Wyglądało to prawie jak tęsknota. Nie ufałem temu.

Nie ufałem Jan. Chciałem jej nie takiej, jaką była, ale takiej, jaką mogła być.

- Lubię cię, Tony - powiedziała nagle. - Czy naprawdę uważasz, że nie powinniśmy...

Uległem. Gdy ktoś czuje to, co ja czułem do Jan, może odrzucić taką propozycję tylko raz.

- Nie - powiedziałem, znowu czując, jakbym to nie ja mówił. - Wcale tak nie uważam.

Złączyliśmy się w uścisku i pocałunku. Jan zgięła nogę w kolanie w ten osobliwy, prześliczny sposób, jak robią to kobiety w podobnej sytuacji. Było zupełnie inaczej niż poprzednim razem. Było cudownie; wszystko, co czułem, stawało się nowym przeżyciem, bo nigdy jeszcze nie trzymałem w ramionach kobiety, którą kochałbym choć w ćwierci tak mocno, jak Jan.

Właśnie dlatego było to takie inne od wszystkiego, co mi się dotąd w życiu przytrafiło; pomyślałem, że mimo wszystko, życie jest cudowne. Pocałowałem Jan łagodnie w czoło.

I nagle wybuchnęła gorzkimi łzami i zaczęła walić mnie pięściami w pierś. - Nie jesteś Tianem! Nie jesteś Tianem! - krzyczała raz po raz. Ale odzyskała panowanie nad sobą, zanim musiałem ją uderzyć, by się uspokoiła.

Kiedy wróciliśmy, Tylo chciała zamieszkać z Meni i Tianem. Bez słów, lecz jasno dałem jej do zrozumienia, że życzę sobie, aby wróciła ze mną na statek. Gdy szliśmy do mojej kabiny, spotkali nas Jim i Mary pytając, co widzieliśmy, i jednocześnie wytrzeszczając oczy na Tylo. Zostawiłem ich jednak z otwartymi ustami i zamknąłem drzwi kabiny za Tylo i za mną.

- Co się stało? - zapytała, zaskoczona.

Spojrzałem na nią, jakbym widział ją po raz pierwszy w życiu. Byłem wściekły. Taksowałem ją wzrokiem od stóp do głów, aż zaczerwieniła się jak burak. Te kilka godzin wśród Ziemian nie zmieniły jeszcze całkowicie jej charakteru i zdumione spojrzenie Jima, Mary i moje uświadomiły jej brutalnie, że żadna szanująca się dziewczyna nie włożyłaby podobnego stroju w miejscu publicznym.

- Zdejmij te nieprzyzwoite szatki i włóż mundur - powiedziałem. - Potem wróc tutaj.

Znakomicie udało mi się wywołać u niej uczucie przykrości i wstydu; nie poruszyła się jednak.

- Wykonaj polecenie! - krzyknąłem.

- Obiecałam Wiliemu - szepnęła.

- A... nieważne. Sami Ziemianie poddali nam sposób, w jaki możemy ich ewakuować - rzekłem. - Teraz wystarczy nam tylko odnaleźć miejsce, w którym znajduje się Schronienie, zniszczyć je i wtedy oni...

- Nie! - wykrzyknęła Tylo z pobladłą twarzą. - Nie możesz tego zrobić.

- Dlaczego nie? - rzuciłem gwałtownie. - Musimy wykonać zadanie, a Flota przymknie oczy na drobne przekroczenie uprawnień podczas operacji.

- Zniszczenie Schronienia to nie jest żadne drobne przekroczenie uprawnień! - krzyknęła Tylo chwytając mnie mocno za ramię. - To zbrodnia!

- Gdy nie będzie Schronienia - ciągnąłem brutalnie - będą musieli odlecieć z nami. Póki istnieje, będą odmawiać. Drugi raz nie uda się go zbudować... możemy upewnić się, że na planecie nie pozostał nawet jeden śrubokręt, z którym można by zacząć budowę następnej siłowni jądrowej. Tak właśnie musimy postąpić.

- Jesteś szalony - powiedziała Tylo. - Nie wiesz, co mówisz. Ty lepiej rozumiesz Ziemian niż ja. Lepiej pojmujesz niż ja, jakim wspaniałym dziełem jest Schronienie.

- No i dobrze - odparłem już spokojniej. - Więc niech sobie zbudują nowe. Damy im planetę - nowy, mały świat krążący wokół gorącego słońca. Zrobią sobie jeszcze lepsze Schronienie i nie będą musieli okrywać go kopułą, która stanie się ich więzieniem, gdy planeta umrze. Cóż jest takiego cudownego w starej, martwej Ziemi? Mówię ci, że Schronienie zostanie starte na proch i pył, a Flota słowa mi nie powie, a nawet mi pogratuluje.

- Nie możesz zabić ludzi, którzy są tam teraz, ty głupcze! - rzekła.

- Nie, będę musiał ich stamtąd jakoś wydostać, zanim zniszczę miasto. Nie będą mieli się czym bronić. A jeśli nawet będą mieli, to my...

- Nie możesz tego zrobić, Tony - powiedziała. Minęło już jej pierwsze, szalone przerażenie. Mówiła z pasją, ale poważnym głosem. - Jeśli zniszczysz Schronienie, nigdy nie będziesz tego mógł zapomnieć. Mówię o tobie, a nie o Federacji czy Flocie, czy Ziemianach.

Raz jeszcze znalazła odpowiedni argument nie szukając go właściwie. Uspokoilem się jeszcze bardziej.

- Nie mam wyboru, Tylo - odparłem. - Powiedzmy, że wrócę i zdam sprawozdanie. Od razu zapytają mnie: "A nie miałeś żadnej możliwości zniszczenia tego tak zwanego Schronienia i zmuszenia tych głupców, by polecili z tobą?" I nie wyobrażam sobie, że mogłbym im odpowiedzieć: "Owszem, mogłem to zrobić, ale było to takie urocze miasteczko, że nie miałem do tego serca".

- Schronienie to nie żadne urocze miasteczko. Zamieszkał tam z Wilim, kiedy już nie będzie można zostać w Lenn.

Przez chwilę nawet poddałem się jej słowom. - Czy on ciebie o to poprosił? - zapytałem.

- Nie, ale poprosi. Wiem, że to robi.

- Byłabyś mu bardziej potrzebna na młodej planecie - rzekłem.

Jednym szarpnięciem Tylo otworzyła drzwi i wybiegła. Jej ruchy były tak szybkie, że choć obserwowałem ją uważnie, gotów na wszystko, co mogłaby zrobić, była już w korytarzu, zanim

zdołałem się poruszyć. Zatraskujące się drzwi uderzyły we mnie, gdy ruszyłem w pościg. Zanim dotarłem do wjazdu, była już prawie na ulicach Lennu, cały czas biegnąc szybciej niż ja.

Zatrzasnąłem wjazd. Oznaczało to, że muszę działać natychmiast. Odwracając się, wpadłem na Jima i Mary i skierowałem ich na stanowiska. Holownik w ciągu dwóch minut znalazł się w powietrzu.

Jeśli istniał jakiś system obronny, Wili będzie miał czas, by go uruchomić, bo nie byłem pewien, gdzie się Schronienie znajduje. Jednakże dokładnie odnotowałem położenie Słońca w Lennie i w Schronisku, i miałem pewne pojęcie, w którą stronę lecieć. Przy odrobinie szczęścia Wili zdoła ostrzec te dwadzieścia osób znajdujących w mieście, by się stamtąd oddaliły.

W każdym razie wiedziałem, że mogę bez obaw zniszczyć główną siłownię miasta. Na razie nie pracowała i nikt w jej okolicy nie mieszkał. Dwadzieścia osób opiekujących się Schronieniem przebywało w jednym zakątku miasta i jeśli zachowam ostrożność, będę mógł równać z ziemią dzielnicę po dzielnicy, aż zmuszę ich do ucieczki. Kiedy upewnię się, że już ich nie ma, dokończę robotę.

Jim, Mary i Ramon zarzucali mnie pytaniami, ale powiedziałem im tylko, że musimy zniszczyć opustoszałe miasto. Poza tym nie zwracałem na nich uwagi.

Raz po raz powtarzałem sobie w myślach rozkazy oraz moją ocenę sytuacji. Byłem przekonany, że Federacja chce, by Ziemię ewakuować za wszelką cenę - i to teraz. Gdy Schronienie zostanie zniszczone i Ziemianie opuszczą tę planetę, argumenty będą tylko stratą czasu. Nie oznacza to, że protestów nie będzie, ale radcy prawni Floty zawsze chętnie będą bronić kapitana, który wykonał rozkaz Floty. Nie, o to nie musiałem się martwić. O ile nikomu się nic nie stanie, Federacja po prostu uprzejmie wysłucha wszystkich protestów, które mogliby wnieść Ziemianie, a następnie okaże szczodrość, przekazując im jako pełne odszkodowanie jakąś niedawno odkrytą i zbadaną planetę.

Znalazłem Schronienie łatwiej, niż się spodziewałem. Z powietrza, w gasnącym świetle Słońca, było to miejsce bajecznej urody. Jim i pozostali wykrzyknęli, gdy je zobaczyli. Ale spostrzegli też wyraz na mej twarzy. Nie było sprzeciwów.

Miasto sprawiało wrażenie bezbronnego. Naturalnie mieliśmy włączone ekrany ochronne, ale żadna siła nie starała się sprawdzić ich wytrzymałości. Zeszliśmy niżej; na pagórku po północnej stronie miasta zauważyłem niewielką grupkę ludzi. Najwyraźniej ostrzeżono ich. Eksplozja niczym im nie groziła - nie przy tej precyzyjnej broni, której mieliśmy użyć.

Ustawiłem celownik na miejsce, w którym znajdowała się siłownia. Pozostanie on w tej pozycji niezależnie od ruchów statku. Nastawiłem zakres działania na siedemnaście kilometrów, co mogło zniszczyć siłownię od razu, choć nie wydawało się to prawdopodobne. Dotknąłem guzika.

V

Zdałem sobie sprawę, że wszystko to było grą, tak jak u Jan. Wiedziałem, że powinienem nacisnąć guzik - nie miałem co do tego żadnej wątpliwości. Ale nigdy nie zamierzałem tego zrobić. Wszystko, co mówiłem do Tylo, było prawdą. Jednak jeśli Flota chciała zniszczenia Schronienia, będzie musiała posłać kogoś innego. Ja nie mogłem tego zrobić.

Może przedtem, pomyślałem złość i gorycz z powodu Jan mogły wpłynąć na moją decyzję. Może gdybym wydał rozkaz komuś innemu, by to zrobił, miasto zostałoby zniszczone. Ale teraz - byłem jak pies, który tylko warchy, ale nie gryzie. Sprawilem, żeby Tylo, która znała mnie lepiej niż ktokolwiek inny, pomyślała, że mogę coś takiego zrobić. Nawet sam siebie prawie o tym przekonałem.

- Odwołuję ostatnie polecenia - powiedziałem. - Wracamy.

W drodze powrotnej byłem równie nieprzystępny, jak w czasie lotu do Schronienia. Wiedziałem już, że przegrałem. Oczywiście teraz już żadne prośby skierowane do Wiliego nie odniosą skutku, a nie było sensu grozić zniszczeniem Schronienia, skoro nie miało się zamiaru wprowadzić gróźb w czyn.

Osadziłem statek dokładnie w tym samym miejscu, co przedtem, jak gdybym po prostu wykonał lot ćwiczebny. Kiedy hałas silników ucichł, usłyszałem tykanie celownika. W dalszym ciągu ustawiony był na siłownię Schronienia.

Spojrzałem w stronę Lennu oczekując, żeby ktoś wyszedł z miasta. Przez dłuższy czas nikt się nie pojawił. Zrazu poczułem się urażony myśląc, że mogliby wyjść i okazać wdzięczność za to, że ostatecznie nie zniszczyłem Schronienia. Ale teraz uśmiechnąłem się odruchowo na myśl o Ziemianach wypłakujących łzy wdzięczności, ponieważ nie popełniłem czynu, który nawet Tylo nazwała zbrodnią.

W końcu ukazała się jakaś postać, ale to nie była Tylo. Poznałem idącą samotnie Jan.

Nie chciałem, żeby moja załoga słyszała naszą rozmowę, więc wyszedłem, by spotkać ją na zewnątrz.

Przez pełną minutę staliśmy patrząc na siebie bez słów. Nie potrafiłem odczytać, co wyrażała twarz Jan; było to niezwykle. Jak dotąd, aż nadto jasno poznawałem, co myśli.

- To był głupi pomysł, prawda? - odezwała się w końcu.

Wzruszyłem ramionami. - Powiniennem był doprowadzić sprawę do końca - odrzekłem. - Ktoś inny to zrobi, później, chyba że przedtem uda się wam wpłynąć na Federację lub opinię publiczną.

Potrząsnęła zdecydowanie głową. - Nigdy byś tego nie zrobił - rzekła. - Byłam tego pewna już wtedy, gdy Tylo powiedziała nam, co się stało.

- Więc znasz mnie lepiej niż Tylo?

- Być może. Wściekłeś się z powodu tego, co stało się w Schronieniu, i to wszystko. Uraziłeś Tylo, bo ona była szczęśliwa, a ty nie, Wiem. Sama coś takiego robiłam.

Uśmiechnęliśmy się do siebie. Przez jej uśmiech przebijała odrobina gorzkości, ale przywykłem już do tego.

- Dobrze - powiedziała. - Spróbujemy.

Wiedziałem, o co jej chodzi. - Nawet jeśli nie jestem Tianem? - spytałem kwaśno. Musiałem to przyjąć na spokojnie, bo gdybym odpuścił, mógłbym zrobić coś głupiego.

- Nie sądzę, żebym znowu coś takiego zrobiła. To było wbrew mojej woli. Zaskoczyło mnie w równym stopniu, jak i ciebie. W każdym razie, Tony, dotrzymam słowa. Jeśli wypowiem owe przysięgi małżeńskie z tobą, to na poważnie.

Nawet się nie pocałowaliśmy. Chyba robiliśmy to przedtem zawsze w nieodpowiednich okolicznościach, o niewłaściwej porze.

- Wili chce się z tobą spotkać - powiedziała.

- Tak sądziłem.

- Nie spodoba ci się to, co ma do powiedzenia - ostrzegła mnie. - Może zniszczyć to twoją miłość własną. Dlatego właśnie powiedziałam ci to pierwsza.

Zawsze była taka - nigdy nie zepsuta do cna, ale po wierzchu.

- Zaczekam tutaj - powiedziała.

Tylo była z Wilim, ale zostawiła nas samych, gdy się pojawiłem. Unikała mojego wzroku. Nie wiedziałem, czy wciąż się jeszcze na mnie gniewa, czy nie, ale nie uważałem tego za prawdopodobne. Nie potrafiła się gniewać na nikogo długo, nawet jeśli bardzo chciała.

Wili uśmiechnął się i wyciągnął rękę. Przyjąłem ją. To wiele ułatwiło.

- Z tego, co powiedziała Jan - zauważyłem - wnoszę, że Schronienie nie tak łatwo zniszczyć, jak by się wydawało?

- Słusznie. Nie sądzę, by ktoś faktycznie zaatakował miasto. Dla nikogo nie będziemy rywalami ani zagrożeniem. Ale mimo to jesteśmy przygotowani do jego obrony. Nasz system regulacji klimatycznej, dopóki nie zamkniemy kopuły, będzie oczywiście oparty na zespole pól siłowych obejmujących masy powietrza i odpychających deszcz i śnieg. Do celów zwykłej obrony wystarczyłoby tylko wzmocnić ten zespół. Jak możesz sobie wyobrazić, zasoby energii są prawie nieograniczone. Niepotrzebna nam energia słoneczna. Wystarczy atomowa.

Skinąłem głową, odnotowując jednocześnie, że zbyt wiele mi nie powiedział. To było oczywiste. Musiałem zdać sprawozdanie w Dowództwie Floty, toteż powiedział mi tylko tyle, ile jego zdaniem powinno się w tym raporcie znaleźć.

- Ale nie o tym chciałem z tobą mówić, Tony - rzekł Wili. Był jak zwykle łagodny i przyjazny. Dopiero teraz zacząłem zdawać sobie sprawę, że przez cały czas starał mi się, pokazywać tylko z jednej strony. Tyło w żadnym wypadku nie zakochałoby się w tym łagodnym, niepo-ruszonym, bezbarwnym osobniku, którego ja znałem.

- Wiesz, że Tyło zostaje? - zapytał. Skinąłem głową.

- Jak na to zareaguje Flota?

- Nijak. Gdyby chodziło o mężczyznę, sprawa przedstawiałaby się inaczej, ale kobiety często opuszczają służbę w ten sposób. Gdyby ktoś chciał wyciągać z tego konsekwencje, dziewczęta nie wstępowałyby do Floty. A poza tym wszystkim, to, co się stanie, w dużym stopniu zależy od raportu kapitana, no a o to Tyło nie musi się martwić.

Wili zaśmiał się. - Im więcej słyszę o tej twojej Flocie, tym większy czuję do niej szacunek. A ty, co ty myślisz o tym, że twoja siostra zostaje?

- Nie jestem pewien. Czy naprawdę ją kochasz? Czy będzie szczęśliwa z tobą?

- Te dwa pytania nie mają ze sobą nic wspólnego. Czy naprawdę ją Kocham? Zapewne nie. Według mnie nie jestem stworzony do takiej miłości, jak ty ją rozumiesz. Kocham wszystkich, a nie poszczególne osoby. Co do tego zaś, czy będzie ze mną szczęśliwa, to mogę cię zapewnić, że tak. Znasz ją przecież, czy możesz więc w to wątpić?

Nie, nie wątpiłem w to. Gdyby nie ogromny intelekt Wiliego, uważałbym go za wielki i piękny, ale pusty w środku manekin. Raz jeszcze pomyślałem, że chyba nie potrafiłem go zrozumieć.

- Jeszcze jedna rzecz - dodał Wili. - Ty już wracasz, prawda? No i znowu to samo: właśnie kiedy podjąłeś jakąś decyzję, on o tym wiedział i przyjmował to jako rzecz naturalną.

- Tak - odparłem. - Wracam.

- Mogłbym się z tobą pożegnać nic nie mówiąc - powiedział w zamyśleniu - ale uważam, że skoro mamy zostać braćmi, powinien cię podsunąć, jak masz sformułować swój raport. Jeśli stwierdzisz w nim jasno, że wiesz, dlaczego cię tu przysłano i z jakim zadaniem, może mieć to ogromny wpływ na twoją karierę.

Byłem w kropce. Wili zaś ciągnął pogodnie:

- Przecież uwierzyłeś w te wszystkie bzdury, o których mówiłeś Tyło: czego naprawdę chce Federacja, prawda?

- Przypadkiem tak jest w rzeczywistości - odparłem.

- Słuchaj, Tony - rzekł cicho Wili. - Tyło nie powiedziała mi, jakie otrzymałeś rozkazy, ale potrafię się tego domyślić. Polecono ewakuować nas, nie mówiąc jednak, w jaki sposób, a jako powód podano ci sentyment mieszkańców Federacji do Ziemi, prawda?

W tej sprawie nawet słowem nie wolno mi było się zdradzić przed Ziemianami. Mogłem tylko skinąć głową.

- Czy sądzisz, że ta wyprawa badawcza sprzed dwóch lat naprawdę dała się zwieść myślą, że nie potrafimy się o siebie zatroszczyć?

- Nie wiem. Może i nie.

- Pozwól, że będę z tobą zupełnie szczery. Federacja musiała wiedzieć, że odmówimy odlotu. Sprawa stawała się więc kwestią polityczną. Kwestią, którą trzeba przedyskutować i rozsądzić, jeżeli chce się coś osiągnąć; jeżeli naprawdę chcieli, żebyśmy opuścili Ziemię. Wiedzieli, że w żadnym wypadku nie jesteśmy głupcami. Czy więc wysłali misję polityczną, która układałaby się z nami proponując wszelkie korzyści z ewakuacji? Czy skierowali tu doświadczonego kapitana Floty, aby zmusił nas do ewakuacji wbrew naszej woli? Nie zrobili tego. Nie wybrali ani metody pokojowej ani zbrojnej w celu osiągnięcia swego rzekomego celu. Wysłali za to - raz jeszcze mi wybac - świeżo upieczonemu kapitanowi z niemożliwymi do wykonania poleceniami i z niezbyt rozgarniętą załogą. Uważam, że nie docenili ciebie, Tony. Byłeś już tak blisko ewakuowania nas, że nikt z nich się nie spodziewał. Nawet mogła ci się ona powieść, pomimo wszystkiego, co Flota zrobiła, by ją udaremnić.

- Mówisz więc - wykrzyknąłem - że wcale się tego po mnie nie spodziewano?

Był cały czas cierpliwy. - A czy mieli prawo się tego spodziewać?

- Dlaczego więc mnie wysyłali?

- Nie jestem pewien - powiedział Wili z zadziwiającą skromnością - ale istnieją dwie możliwości. Albo Federacja została do tego zmuszona, być może właśnie z tych powodów, które wymieniono w twoich rozkazach, albo też padłeś ofiarą jakiegoś manewru, którego ogniskiem jest Ziemia. Pierwsza możliwość jest całkiem prawdopodobna. Wówczas twoje rozkazy są prawdziwe i szczerze, tyle że Federacja była przekonana, że ci się nie uda, a tymczasem miała nadzieję znaleźć jakieś inne wyjście z sytuacji. Druga możliwość zaś jest moim zdaniem mniej prawdopodobna. Jednakże, jeśli tak właśnie się sprawy mają, zapewne zostaniesz ośmieszony i wyrzucony z Floty, być może z pełną emeryturą w charakterze rekompensaty. Ale możesz tego uniknąć, jeśli jasno przedstawisz w swoim raporcie, że dokładnie przejrzałeś motywy działania Federacji.

Wyszedłem od Wiliego oszołomiony. Jak przez mgłę dopatrzyłem się paru rzeczy, które trzymały się kupy.

W obecnie istniejących warunkach Federacja po prostu musiała wysłać transportowca do ewakuacji Ziemi. Ale czy naprawdę chciała tej ewakuacji, to inna sprawa. Gdy się nad tym dobrze zastanowić, to nawet członkowie Rady Federacji mieli jakiś czuły punkt w kwestii Ziemi, jakieś uczucie zadowolenia, że ktoś tam jeszcze jest, że Ziemia nie wymarła zupełnie.

Oczywiście nikt nie oczekiwał ode mnie cudów. Jan miała rację - moja duma własna została urażona, gdy powiedziano mi, że zostałem wysłany po to, żeby przegrać. Ale nie całkiem przegrałem, właściwie nie.

Jan czekała, tak jak mi obiecała. Wieczory na Ziemi były teraz już nie tylko bardzo ciemne, ale i chłodniejsze, i prawie już zapadła noc. Zarzuciłem jej na ramiona swoją kurtkę.

- Czy przylecisz na Yuny, Jan? - zapytałem.

- Tak - odrzekła, a z tonu jej głosu wywnioskowałem, że ma na ustach znowu ten swój kwaśny uśmiech. - Ciekawe, jak będzie wyglądało moje życie o biliony kilometrów od Tiana, w charakterze żony kogoś innego. - Dalej mówiła już pewniej. - Myślę, że poradzę sobie z tym, Tony. Bądź tylko cierpliwy. Uważam, że życie teraz jest bogatsze niż kiedyś - zanim ty się tu zjawiał.

- A kiedy obejrzymy już sobie i zrobimy to i owo - powiedziałem do niej - a ja zakończę służbę we Flocie, może tu wrócimy.

Spodobało jej się to. Mogłem to poznać ze sposobu, w jaki chwyciła moją rękę.

- Może - dodałem cicho - Ziemia musiała pozbyć się swoich wszystkich niespokojnych duchów, zawsze śpieszących się ludzi, żeby móc osiągnąć całkowitą doskonałość życia.